

JOHN CROWLEY

MAŁE, DUŻE

przełożyła
Beata Horosiewicz

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Little, Big

Data wydania:

1981

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Wydanie:

II poprawione i uzupełnione

Ilustracja na okładce:

fragmenty obrazów

Sophie Anderson „Take the Fair Face of Woman...”

oraz „The Turtle Dove”

Przełożyła:

Beata Horosiewicz

Wydawca:

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

Tel./fax 089 5413117

e-mail: agencja@solarisnet.pl

ISBN 978-83-7590-024-8

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Nieco później, pamiętając o ziemskim pochodzeniu człowieka: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, wyobrażali sobie, że są bańkami powietrza. Kiedy byli sami na polu i nikt ich nie widział, podskakiwali i brykali, ledwie dotykając ziemi i wołając: „Jesteśmy bańkami powietrza! Bańkami powietrza! Bańkami powietrza!”

Flora Thompson, *Lark Rise to Candleford*

KSIĘGA PIERWSZA

EDGEWOOD

I

Mężczyźni są mężczyznami, ale człowiek jest kobietą.

Chesterton

Pewnego czerwcowego dnia roku 19... młody mężczyzna szedł na północ, z wielkiego Miasta do osady zwanej Edgewood, o której słyszał niegdyś, ale której nigdy nie odwiedził. Nazywał się Smoky Barnable, a w Edgewood miał się odbyć jego ślub. Fakt, że szedł, a nie jechał, był jednym z warunków, które musiał spełnić.

Skądś dokądkolwiek

Choć opuścił swój pokój w Mieście wczesnym rankiem, dochodziło już południe, kiedy mało uczęszczaną ścieżką przeszedł przez ogromny most i wyszedł na ciągnące się bez końca osiedla po północnej stronie rzeki. Przez całe popołudnie przedzierał się przez miejsca o indiańskich nazwach i nie był w stanie trzymać się prostego szlaku wyznaczonego przez nieustanny i dominujący ruch uliczny; spacerował od podwórza do podwórza, zaglądał w alejki i do sklepików. Dostrzegał niewielu przechodniów, nawet tych miejscowych, choć dookoła kręciły się dzieciaki na rowerach. Zastanawiał się, jak żyją w tych miejscach, które wydały mu się tak ponure i prowincjonalne. Dzieci jednak wyglądały całkiem radośnie.

Regularne aleje handlowe i ulice domów mieszkalnych zaczęły stopniowo tracić symetrię, rzednąć niczym skraj wielkiego lasu. Pojawiły się przesieki pełne chwastów oraz skarłowaciałe zagajniki i zapuszczone łąki, których wygląd świadczył o tym, że wkrótce rejon ten zamieni się w przemysłową pustynię. Smoky powtarzał sobie w myślach ten zwrot, ponieważ rzeczywiście w tym miejscu na świecie właśnie się znajdował – przemysłowa pustynia, coś pośredniego pomiędzy pustynią a polem uprawnym.

Przystanął obok ławki, na której przesiadywali ludzie czekający na autobusy Skądś Dokądkolwiek. Usiadł, ściągnął mały plecak i wyjął z niego kanapkę przyrządzoną własnoręcznie – kolejny warunek, który musiał spełnić – oraz kolorową mapę samochodową. Nie był pewien, czy posługiwanie się mapą jest dozwolone, ale ponieważ instrukcja dotarcia

do Edgewood wydawała mu się niejasna, jednak otworzył mapę.

Co teraz? Ta błękitna linia przedstawiała najwyraźniej popękany makadam, wzdłuż którego wznosiły się puste, ceglaste fabryki. Miał okazję oglądać je po drodze. Obrócił mapę tak, aby linia ta pobiegła równolegle do jego ławki, podobnie jak sama droga (odczytywanie map nie było jego mocną stroną). Gdzieś daleko, po lewej stronie, odnalazł miejsce, do którego zmierzał. Samego Edgewood nie było na mapie, ale znajdowało się pośród pięciu osad oznakowanych mało znaczącymi kółkami. Widniała tam potężna, podwójna czerwona linia, biegnąca obok, dumna ze swych licznych wjazdów i zjazdów. Wędrowanie tą drogą było niemożliwe. Gruba linia w kolorze niebieskim (patrzac na ten model systemu naczyniowego, Smoky wyobrażał sobie, że cały ruch uliczny płynący na południe, w stronę Miasta, porusza się po linii niebieskiej, zaś w kierunku przeciwnym – po linii czerwonej) znajdowała się nieco bliżej i rozchodziła się na boki do pozostałych miast i miasteczek. Zasilała ją cienka linia niebieska; przy niej właśnie siedział. Prawdopodobnie tędy wiódł szlak handlowy, tu ulokowane było Osiedle Narzędzi, Centrum Spożywcze, Świat Mebli, Wioska Dywanów. Tak... Ale była tam jeszcze prawie niedostrzegalna, wąska, czarna linia, po której mógłby się poruszać. W pierwszej chwili pomyślał, że prowadzi donikąd, ale nie – ciągnęła się dalej, słaba, prawie zapomniana przez kartografa w splocie rysunków, by potem znów pojawić się na północnym pustkowiu, podchodząc do miasteczka, o którym Smoky wiedział, że znajduje się blisko Edgewood.

A więc to ta droga. Wyglądało na to, że można ją pokonać pieszo. Kciukiem i palcem odmierzył na mapie przebyty dystans, a następnie sprawdził, jak długa droga go jeszcze czeka (o wiele dłuższa). Zrzucił plecak na ramię, nasunął kapelusz na czoło i ruszył w dalszą wędrowkę.

Długi łyk wody

Choć przez ostatnie dwa lata tej miłości prawie nigdy o niej nie zapominał, podczas swej wędrowki nie rozmyślał o niej zbyt wiele. Oczywiście wyobraźni widział pokój, w którym się spotkali. Kiedyś w takich chwilach ogarniało go drżenie, teraz – uczucie szczęścia. Widział też twarz George'a Mouse'a, wyłaniającą się zza szklanki i fajki, oraz jego dwie wysokie kuzynki: ją i jej nieśmiałą siostrę.

Zdarzyło się to w kamienicy Mouse'a, ostatnim zamieszkanym domu na tej ulicy, w bibliotece na trzecim piętrze – tam, gdzie okna zdobione kamiennymi kolumnami zatkanie były tekturą, a z ciemnego dywanu, w miejscach między drzwiami, barkiem a oknami, wychodziły białe strzępy.

Ona była wysoka. Wysoka na sześć stóp, o kilka cali wyższa od Smoky'ego. Jej siostra, czternastolatka, dorównywała jej wzrostem. Miały na sobie odświętne sukienki, krótkie i błyszczące, ona – czerwoną, a jej siostra – białą. Ich długie, bardzo długie pończochy lśniły w blasku światła. To niezwykle, że choć zostały obdarzone takim wzrostem, wstydziły się

wszystkiego – zwłaszcza młodsza, zawsze uśmiechnięta. Bała się nawet dotknąć dłoni Smoky’ego i chowała się za siostrę.

Delikatne wielkoludy. Starsza gapiła się na George’a, który udzielał dobrodusznym porad. Uśmiechała się niepewnie. Miała kręcone włosy w kolorze starego złota. George powiedział, że na imię jej Daily Alice.

Ujął jej dłoń i podniósł wzrok.

– Długi łyk wody – odezwał się, a ona wybuchnęła śmiechem.

Jej siostra śmiała się również, a George Mouse pochylił się i poklepał po kolanie.

Nie mając pojęcia, dlaczego tak bardzo ich śmieszy dowcip z brodą, Smoky przejechał po nich wzrokiem z idiotycznym wyrazem twarzy. Nie wypuszczał jej dłoni.

Był to najszcześniejszy moment jego życia.

Anonimowość

Do chwili spotkania Daily Alice Drinkwater w bibliotece kamienicy Mouse’a nie był zbyt szczęśliwym człowiekiem. Jednakże jego życie stanowiło jak gdyby przygotowanie do tego właśnie momentu. Był jedynym dzieckiem z drugiego małżeństwa swego ojca. Zjawił się na świecie, gdy ojciec dobiegał sześćdziesiątki. Kiedy matka zdała sobie sprawę, że pokaźny majątek Barnable’ów skurczył się znacznie pod zarządem jego ojca, stwierdziła, że niepotrzebnie wyszła za mąż za starca i urodziła mu dziecko. Odeszła pełna urazy. Był to przykry cios dla Smoky’ego, gdyż ze wszystkich krewnych ona jedna wydawała się najmniej anonimowa. Co więcej, była to jedyna osoba powiązana z nim więzami krwi, której twarz, nawet w dojrzałym wieku, doskonale pamiętał, mimo że miał zaledwie kilka lat, kiedy matka ich opuściła. Po swej rodzinie Smoky odziedziczył przede wszystkim dziwną nieokreśloność postaci i charakteru, od matki przejął odrobinę konkretności. Tak twierdzili ci, którzy go znali. Jednak cecha odziedziczona po matce roztopiała się w anonimowości Barnable’ów.

Stanowili ogromną rodzinę. Jego ojciec miał pięcioro dzieci – synów i córki z pierwszego związku. Wszyscy mieszkali na przedmieściach wielkich miast, w stanach, których nazwy zaczynają się na literę I. Nawet przyjaciele Smoky’ego z Miasta nie potrafili tych miejsc odróżnić. Od czasu do czasu Smoky gubił się w tym również. Dzieci przypuszczały, że ojciec ma sporo grosza, a ponieważ nie były pewne, co zamierza zrobić ze swoim majątkiem, często zapraszały go do siebie. Po odejściu żony postanowił sprzedać dom rodzinny Smoky’ego i odwiedzić potomstwo. Zabrał ze sobą najmłodszego syna, kilka psów i siedem kufków wykonanych na zamówienie, zawierających całą jego bibliotekę. Barnable był człowiekiem wykształconym, lecz ta wiedza, zdobyta wiele lat temu i nieco przestarzała, wcale nie pozwoliła mu nabyć ogłady towarzyskiej i nie zmieniła ani trochę wrodzonej nieokreśloności charakteru. Jego synowie i córki nie przepadali za tymi kufkami pełnymi książek tak samo jak za praniem jego skarpetek razem z własną bielizną.

(Później Smoky starał się jakoś odróżnić przybrane rodzeństwo oraz ich domy,

przypisując ich odpowiednim miastom i stanom. Oddawał się temu zajęciu, ilekroć siedział na sedesie. To właśnie w toaletach czuł się najbardziej anonimowy, anonimowy tak bardzo, że aż niewidzialny. Tak czy owak, musiał spędzać w nich czas i tasował wtedy swoich braci i siostry oraz ich dzieci niczym talię kart, próbując powiązać twarze z odpowiednimi werandami i trawnikami. Miał nadzieję, że w jesieni życia dojdzie w tym do perfekcji. Dawało mu to tę samą nikłą satysfakcję, co rozwiązywanie krzyżówek, wywoływało podobne wątpliwości – co z tego, że odgadnięte wyrazy pasowały do krzyżówki, jeśli jej twórca miał na myśli inne słowa? Rozwiązania wydrukowane w następnym tygodniu nigdy nie docierały do Smoky’ego).

Odejście żony nie pozbawiło Barnable’a radości życia, umocniło tylko jego anonimowość. Kiedy stawał się coraz bardziej nieokreślony, jego dzieciom zdawało się, że niknie z dnia na dzień. Jedynie Smoky’emu ofiarował coś konkretnego: swą wiedzę. Ponieważ często zmieniali miejsce pobytu, Smoky nigdy nie chodził do zwykłej szkoły. Gdy w jednym ze stanów, którego nazwa zaczynała się na literę I odkryto, co przez te wszystkie lata ojciec wyczyniał ze Smokym, było już za późno, by posłać chłopca do szkoły. I tak w wieku lat szesnastu Smoky znał klasyczną i średniowieczną łacinę, grekę oraz arytmetykę; potrafił też zagrać na skrzypcach. Przeczytał niewiele książek oprócz klasycznych dzieł ojca w skórzanych okładkach; umiał wyrecytować dwieście wersów Wergiliusza; miał piękny charakter pisma.

Właśnie w tym czasie zmarł jego ojciec, przekazując synowi całą swą energię. Przez kilka następnych lat Smoky kontynuował wędrówkę. Bez dyplomu trudno mu było znaleźć pracę. W końcu w jakiejś nędznej szkole biznesu poznał tajniki maszynopisania (było to gdzieś w South Bend) i tak oto został urzędnikiem. Mieszkał na przedmieściach trzech różnych miast, które w każdym z nich nosiły taką samą nazwę. Jego krewni nazywali go na trzy różne sposoby – imieniem nadanym mu po urodzeniu, nazwiskiem ojca oraz imieniem Smoky. To ostatnie tak dobrze pasowało do jego efemeryczności, że postanowił je zachować. Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, otrzymał jakiś zapomniany spadek po ojcu. Wsiadł do autobusu jadącego do Miasta, zapominając natychmiast o wszystkich miastach, w których mieszkali jego krewni i również o samych krewnych. Zapomniał o nich do tego stopnia, że po jakimś czasie, aby przypomnieć sobie ich twarze, musiał odtwarzać najpierw w pamięci trawniki i werandy, z którymi były powiązane. Gdy dotarł do Miasta, zatopił się w nim z radością i bez reszty, niczym kropla deszczu w otchłani oceanu.

Nazwisko i numer

Znalazł pokój w budynku dawnego probostwa przy bardzo starym, zrujnowanym kościele. Z okna widział przykościelny cmentarz, na którym drzemali wygodnie w starych grobach ludzie o holenderskich nazwiskach. Rano budził go zgiełk wielkiego miasta. Nie

mógł spać, gdyż tuż pod oknem przetaczały się z łomotem pociągi jadące na Środkowy Zachód. Potem wychodził do pracy.

Pracował w szerokim, białym pokoju. Najmniejsze dźwięki ulatywały tam pod sufit i odbijały się echem. Gdy ktoś cicho zakaszłał, odgłos ten był zwielokrotniony. Przez cały dzień Smoky przesuwiał szkło powiększające po drobnym druku, kolumna po kolumnie, sprawdzając dokładnie każde nazwisko, towarzyszący mu adres i numer telefonu. Czerwony znak stawiał przy tych, które nie zgadzały się z nazwiskiem, adresem i numerem telefonu wypisanymi na stertach kartek, ustawianych co rano na biurku Smoky'ego.

Początkowo nazwiska, które odczytywał, były dla niego całkowicie pozbawione znaczenia, tak samo anonimowe jak numery telefoniczne. Jedyne, co je wyróżniało, to przypadkowe, choć nieuniknione miejsce w porządku alfabetycznym. Smoky otrzymywał pensję za wykrycie wszystkich idiotycznych błędów popełnionych przez komputer. (Smoky'ego nie dziwił fakt, że komputer mylił się bardzo rzadko, zdumiewał go raczej jego przedziwny brak inteligencji; nie wiedział na przykład, że „St.” oznacza „street” oraz „saint” i rozwijał te skróty, w wyniku czego powstał Bar i Grill Siódmego Świętego oraz Kościół Wszystkich Ulic).

Mijały tygodnie. Smoky wypełniał puste wieczory, spacerując po ulicach Miasta (nie wiedząc, że inni ludzie po zmroku nie wychodzą z domów), poznając bliższą i dalszą okolicę, bary i werandy. Nazwiska, które wyglądały na niego spod szkła powiększającego, zaczęły przybierać twarze, wiek, postawę; ludzie widywani w autobusach, pociągach i cukierniach, ludzie pokrzykujący na siebie w podwórzach czynszowych kamienic, gapiący się na wypadki drogowe, kłócący się z kelnerami i sprzedawczyniami – wszyscy ci ludzie zaczęli przesuwac się po jego cienkich kartkach. Książka stała się wielkim poematem epickim z życia Miasta, z jego gwarem, tragediami i farsami, zmiennym i pełnym dramatyzmu. Natrafił na owdowiałe damy o starych, holenderskich nazwiskach, mieszkające przy wspaniałych alejach, w domach z wysokimi oknami. Ich mężowie zarządzali kiedyś wielkimi posiadłościami, a ich synowie nosili imiona Steel lub Eric, byli lekarzami i mieszkali wśród cyganerii artystycznej. Poznał ogromną rodzinę o dziwnie brzmiących greckich nazwiskach. Ludzie ci mieszkali w kilku budynkach przy gwarnej ulicy, którą kiedyś spacerował. Rodzina rozrastała się, a jej członków odnajdywał pod innymi adresami – doszedł do wniosku, że to Cyganie. Znał mężczyzn, których żony i nastoletnie córki miały prywatne telefony (aby móc gruchać ze swoimi ukochanymi), podczas gdy oni dzwonili do licznych firm noszących ich nazwiska. Nie ufał ludziom korzystającym z inicjałów i drugich imion, gdyż najczęściej byli oni prawnikami bądź komornikami, a adresy ich firm odpowiadały adresom zamieszkania. Mogli też okazać się urzędnikami miejskimi, handlującymi na boku starymi meblami. Stwierdził, iż każdy o nazwisku Singleton albo Singletary mieszka w północnej dzielnicy dla czarnych; tam, gdzie mężczyźni noszą imiona białych prezydentów, a kobiety – imiona brzmiące jak nazwy szlacheńskich kamieni: Pearl, Ruby i Opal, poprzedzone dumnym „Mrs”. Wyobrażał je sobie

jako wyniosłe i ciemne, promieniejące kobiety, krzątające się po mieszkaniu i chuchające na gromadkę wymytych dzieciaków. Znał tych ludzi: od dumnego kowala, który w nazwie swego mikroskopijnego warsztatu miał tak wiele liter A, że znalazł się na początku listy, do Archimedesza Zzzyandottie, znajdującego się na ostatnim miejscu (był to uczony staruszek, żyjący samotnie, czytający greckie gazety w swym ubogim mieszkanku). Pod jego szkiełkiem pojawiło się maleńkie nazwisko i numer, by opowiedzieć swoją historię, niczym szczątki okrętu wyrzucone na plażę przez morskie fale. Smoky natężył słuch, rzucił okiem na kartę, porównał ją z nazwiskiem i numerem, nie dostrzegł żadnych różnic, odwrócił kartę. Szkiełko zaczynało już kolejną opowieść. Siedzący obok niego korektor westchnął z przejęciem, a jego westchnienie odbiło się od sufitu. Rozległ się zwielokrotniony śmiech. Wszyscy podnieśli wzrok.

To śmiał się młody człowiek, który niedawno rozpoczął pracę.

– Właśnie znalazłem taką oto pozycję: Klub Strzelecki przy Hałaśliwym Moście.

Ledwo był w stanie skończyć, krztusząc się ze śmiechu, a Smoky zdumiał się, że milczenie pozostałych korektorów nie uciszyło go.

– Nie chwytasz? – młodzieniec zwrócił się do Smoky’ego. – To dopiero był hałaśliwy most.

Smoky parsknął śmiechem. Ich śmiech wzbił się pod sufit i odbił od niego echem.

Nazywał się George Mouse. Do szerokich spodni nosił szerokie szelki, a po skończonej pracy owijał się obszernym wełnianym płaszczem, którego kołnierz przygniatał jego długie, czarne włosy. Musiał więc wyciągać je ręką jak dziewczyna. Miał kapelusz taki sam jak Svengali i takie same jak on oczy – ciemne, przyciągające i zabawne. Nie minął nawet tydzień, kiedy wylali go z posady, a wszystkie pary okularów w białym pokoju odetchnęły z ulgą. A potem on i Smoky stali się serdecznymi przyjaciółmi, o czym tylko Smoky mógł zaświadczyć z całą powagą.

Mysz miejska¹

Mając u boku George’a za przyjaciela, Smoky rozpoczął kurs niewinnej rozpusty, umiarkowanego picia i zażywania narkotyków. George zmienił jego sposób ubierania i mówienia, a następnie przedstawił Dziewczynom. Już niebawem anonimowość Smoky’ego została zamaskowana niczym Niewidzialny Człowiek w swych bandażach; ludzie przestali wpadać na niego na ulicy i siadać mu w autobusie na kolanach bez przeprosin, co przypisywał kiedyś swej nieuchwytniej dla większości osób obecności.

Dla rodziny Mouse’ów – mieszkającej w ostatniej kamienicy, którą wybudował pierwszy Mouse i która wciąż do nich należała – przynajmniej istniał. I bardziej niż za nowy kapelusz i nowy język podziękował George’owi za tę gromadkę niezwykłych i uczuciowych krewnych.

¹ Gra słów, polegająca na tym, że George ma na nazwisko Mouse, czyli Mysz, a równocześnie jest to odniesienie do bajki o myszy wiejskiej i miejskiej.

Potrafił godzinami siedzieć niezauważony pośród ich kłótni, żartów, przyjęć, codziennych zajęć, prób samobójczych i hałaśliwych pojednań, aż nagle wujek Ray lub Franz czy też mamuśka, podnosili zdziwiony wzrok i wykrzykiwali: „Smoky jest tutaj!”. Wtedy się uśmiechał.

– Czy masz jakieś kuzynki z prowincji? – zapytał Smoky George’a, gdy czekając aż ustanie śnieżyca, siedzieli w ulubionym barze hotelowym George’a. I rzeczywiście miał.

Od pierwszego wejrzenia

– One są bardzo pobożne – powiedział mu George z przymrużeniem oka, odciągając go od chichoczących dziewcząt w stronę ich rodziców, doktora Drinkwatera i jego żony.

– Nie prowadzę już praktyki – poinformował doktor, pomarszczony człowieczek o kędzierzawych włosach i pozbawionej uśmiechu wesołości małego zwierzątka.

Nie dorównywał wzrostem swej żonie, której jedwabny szal o licznych frędzlach falował, gdy ścisnęła dłoń Smoky’ego i prosiła, by mówił do niej Sophie. Ona sama nie była tak wysoka jak jej córki.

– Wszyscy z rodu Dale’ów byli wysocy – stwierdziła, podnosząc wzrok, jakby szukała ich wszyskkich gdzieś w górze.

Dlatego przekazała swe panięskie nazwisko wyrośniętym córeczkom, Alice Dale i Sophie Dale Drinkwater. Ale matka była jedyną osobą, która tych imion używała, z jednym wyjątkiem – w dzieciństwie Alice Dale nazwana została przez jakieś inne dziecko Daily Alice i tak już zostało, Daily Alice i po prostu Sophie, i nie było w tym nic dziwnego, a każdy, kto na nie patrzył, z pewnością dostrzegał, że pochodzą z Dale’ów. Teraz wszyscy przenieśli na nie wzrok. Wyznawana religia nie powstrzymywała ich od pykania fajki z Franzem Mouse’em, który przysiadł u ich stóp, gdyż obie zajęły całą otomanę; czy też od popijania ponczu rumowego, podawanego przez matkę, albo od śmiechów z twarzą ukrytą w dłoniach, śmiechów będących bardziej skutkiem wymienianych szeptów niż głupich uwag Franza, lub od pokazywania, kiedy tak siedziały ze skrzyżowanymi nogami, długich ud.

Smoky tylko patrzył. Choć George Mouse nauczył go, jak być człowiekiem Miasta i nie bać się kobiet, niełatwo było pokonać życiowe przyzwyczajenie, więc ciągle patrzył. Sparaliżowany przez jakiś czas niepewnością, zmusił się, by przejść po dywanie do miejsca, w którym siedziały. Nie chciał wyjść na ponuraka – „Na Boga, nie bądź takim ponurakiem”, mawiał George – usiadł więc obok nich na podłodze, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, a jego zachowanie sprawiało, iż wyglądał dziwnie krucho (a był oszołomiony faktem, że kiedy Daily Alice spojrzała na niego, poczuł, iż jest dla niej widoczny). Miał zwyczaj obracania kieliszka między kciukiem a palcem wskazującym, wstrząsając kostkami lodu, który schładzał napój. Zrobił to i teraz, a lód zadzwonił w kieliszku niczym dzwon na trwogę. Zapadła cisza.

– Często tu przychodzisz? – spytał.

– Nie – odparła spokojnie. – Nie do Miasta. Tylko czasami, kiedy tatuś ma jakąś sprawę, albo... coś innego.

– Jest lekarzem.

– Właściwie nie. Już nie. Jest pisarzem. – Uśmiechała się, a Sophie chichotała u jej boku, ale Daily Alice ciągnęła rozmowę, jakby chciała sprawdzić, jak długo uda jej się zachować powagę.

– Píše opowieści o zwierzętach, dla dzieci.

– Och.

– Jedną każdego dnia.

Spojrzał w jej śmiejące się oczy, przejrzyste i brązowe jak butelkowe szkło. Poczul się bardzo dziwnie.

– Z pewnością nie są zbyt długie – wyjąkał, połykając ślinę.

Co się dzieje? Zakochał się, to oczywiste, od pierwszego wejrzenia, ale i wcześniej był już zakochany, zawsze była to miłość od pierwszego wejrzenia, a jednak nigdy nie czuł się tak jak teraz – jakby coś w nim rosło nieubłaganie.

– Píše pod nazwiskiem Saunders – powiedziała Daily Alice.

Udawał, że szuka w pamięci tego nazwiska, ale w rzeczywistości szukał przyczyn swego osobliwego samopoczucia. Teraz przeniosło się ono na zewnątrz, na jego dłonie. Zbadał je dokładnie, kiedy leżały na jego kościstych kolanach, sprawiając wrażenie, jakby były ogromnie ciężkie. Zaplótł niezgrabne palce.

– Wspaniale – odezwał się, a kiedy dziewczyny parsknęły śmiechem, Smoky zaśmiał się również. Czuł potrzebę śmiechu. To nie z powodu dymu; dym zawsze wywoływał u niego poczucie lekkości i przezroczystości. Wprost przeciwnie. Im dłużej na nią patrzył, tym mocniej to narastało, im dłużej ona patrzyła na niego, tym silniej odczuwał... ale co? Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a Smoky, jak rażony piorunem, pojął, zdał sobie sprawę, co się wydarzyło: nie tylko zakochał się w niej, i to od pierwszego wejrzenia, ale i ona zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, i te dwie okoliczności wywarły na niego taki wpływ, że wyleczył się z anonimowości. Nie musiał się już maskować, jak radził George Mouse, wyleczył się, od wewnątrz. To było właśnie to uczucie. Jakby zmieszała go z mąką kukurydzianą. Zaczął gęstnieć.

Młody Święty Mikołaj

Zszedł wąskimi, tylnymi schodami do jedynej toalety w budynku, która jeszcze działała, i zapatrzył się w szerokie, cętkowane lustro wiszące w tym kamiennym miejscu.

Cóż. I kto by pomyślał. Z lustra spoglądała na niego twarz, już naprawdę nieobca, ale jakby ujrzana po raz pierwszy. Okrągła, szczerą twarz, twarz młodego Świętego Mikołaja, jakiego znamy z wczesnych fotografii: nieco poważna, z ciemnymi wąsami, okrągłym nosem i drobnymi zmarszczkami w kącikach oczu, a nie skończył jeszcze dwudziestu trzech lat.

Razem wzięwszy, twarz promienna, choć oczy jeszcze bez wyrazu, niezdecydowane, wyblakłe i puste, których, jak przypuszczał, nic już nie wypełni. Wystarczy. Prawdę mówiąc, to jakiś cud. Z uśmiechem pokiwał głową do swego nowego znajomego, spojrzał na niego przez ramię i wyszedł.

Wracając tylnymi schodami na górę, spotkał na zakręcie Daily Alice, zupełnie nieoczekiwanie. Idiotyczny grymas zniknął z jego twarzy; dziewczyna nie chichotała. Zbliżając się do siebie, zwolnili kroku. Kiedy przecisnęła się obok, nie poszła dalej, ale odwróciła się w jego stronę. Smoky stał o stopień wyżej, a ich głowy znajdowały się w idealnym położeniu do filmowego pocałunku. Serce waliło mu ze strachu i podniecenia, głowę rozsadała niepohamowana pewność tylko jednego – pocałował ją. Nie pozostała obojętna, jakby i ją ogarnęła taka sama pewność, a w potoku jej włosów, ust i otaczających go długich rąk Smoky dorzucił ten skarb do swego małego składu mądrości.

Z góry dobiegł ich jakiś hałas, zadrżeli. Nad nimi pojawiła się Sophie z szeroko otwartymi oczami, zaciskając usta.

– Muszę siusiu – oznajmiła, przesuając się obok nich.

– Wkrótce wyjedziesz – odezwał się Smoky.

– Dziś wieczorem.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

Przycisnął ją jeszcze raz. Ten drugi uścisk był łagodny i zdecydowany.

– Bałam się – rzekła.

– Wiem – powiedział, nie posiadając się z radości.

Boże, ależ ona jest duża. Jak miałby ją objąć, gdyby nie te schody?

Morska wyspa

Jak każdy mężczyzna, który dorastał w anonimowości, Smoky zawsze uważał, że kobiety wybierają lub odrzucają mężczyzn według kryteriów, które są mu obce, kierując się kaprysem jak władcy, gustem jak krytycy; zawsze zakładał, że wybór kobiety, który padł na niego lub kogoś innego, jest przesądzony, nieuchronny i nagły. Dlatego usługiwał im jak dworzanin, czekając, aż któraś zwróci na niego uwagę. Nareszcie, pomyślał, stojąc tej samej nocy na werandzie George'a, nareszcie jest inaczej; one – a ona z pewnością – wypełniona jest taką samą pasją i wątpliwościami, podobnie jak ja jest nieśmiała, przepełniona pragnieniem, a w tym uścisku serce jej waliło tak jak moje, wiem, że tak było.

Długo stał na werandzie, zgłębiając ten klejnot wiedzy, wdychając wiatr, który, jak to się rzadko zdarza w Mieście, zmienił kierunek i wiał od strony oceanu. Czuł zapach fal i wybrzeża, i morskich odpadów: kwaśny, słony i słodkogorzki. Zdał sobie nagle sprawę, że Miasto jest morską wyspą, małą wyspą.

Morska wyspa. Mieszkając tu, tak łatwo można było zapomnieć o tym podstawowym

fakcie. Zdziwiałym, lecz prawdziwym. Zszedł z werandy i ruszył ulicą, sztywny jak posąg, a na chodniku zastukotały jego kroki.

Korespondencja

Jej adres brzmi „Edgewood, to wszystko”, twierdził George Mouse. Telefonu nie było i ponieważ Smoky nie miał żadnego wyboru, kochał się z nią w listach z dokładnością, jakiej już nie spotyka się na świecie. Jego grube listy dostarczano do Edgewood, a on czekał na odpowiedź. Kiedy już nie mógł się doczekać, pisał kolejny list, wtedy ich listy mijaly się w drodze, jak to zwykle bywa z listami prawdziwych kochanków. Ona zbierała je wszystkie, wiążąc lawendową kokardą, a wiele lat później jej wnuki znalazły je i przeczytały o tej niesamowitej pasji dwojga ludzi.

„Odkryłem park – pisał swym czarnym piśmem chochlika – na kolumnie przy wejściu widnieje pamiątkowa płyta z napisem «Mouse Drinkwater Stone 1900». Czy to o was? Jest w nim mały pawilon Czterech Pór Roku, i posągi, a wszystkie ścieżki są tak kręte, że prostą drogą trudno dotrzeć do środka. Idziesz, idziesz, aż docierasz do bramy. Lato jest tam bardzo stare (tego nie widać w Mieście, tylko w parkach), sumiaste, zakurzone, a sam park jest maleńki. Ale to wszystko przypomina mi ciebie”.

„Znalazłam plik starych gazet – tak zaczynał się jeden z jej listów, który minął się z jego listem (dwaj kierowcy ciężarówek pomachali sobie ze swych wysokich, niebieskich szoferek, mijając pewnego mglistego poranka rogatki miasta). – Był tam komiks o chłopcu, który śni. Ten komiks to jego sen, jego Kraina Snów. Kraina Snów jest przepiękna; pałace i parady maleją i znikają, to znów rosną do niewyobrażalnych rozmiarów, a kiedy baczniej im się przyjrzyysz, stają się czymś innym – wiesz – tak jak w prawdziwych snach, tylko zawsze są piękne. Ciotka Cloud mówi, że zachowała je, gdyż człowiek, który je narysował, a nazywał się Stone, był kiedyś architektem w Mieście, tak jak pradziadek George’a i mój! Byli architektami w epoce Beaux-Arts. Kraina Snów to właśnie Beaux-Arts. Stone był pijakiem – tego słowa używa Cloud. Chłopiec w snach zawsze jest senny i zdziwiony. Przypomina mi ciebie”.

Po tych nieśmiałych początkach ich listy stały się tak bezpośrednie, że gdy w końcu się spotkali w barze starego hotelu (za którego ołowianymi oknami sypał śnieg), oboje zastanawiali się, czy nie nastąpiła jakaś pomyłka, czy rzeczywiście nie wysyłali swych listów do niewłaściwej osoby, tej osoby, obcej, roztrzepanej i zdenerwowanej. Ale to minęło w jednej chwili, choć przez jakiś czas mówili na przemian, bo tylko tak potrafili. Zaczęła się zamieć śnieżna, w Café Royal zapanował chłód. Jej zdania napotykały jego słowa, jego zwroty stykały się z jej słowami, rozmawiali, tak podnieceni, jakby byli pierwszymi, którzy odkryli tę sztukę.

– Czy nie... hmm... nudzisz się tam, taka sama przez cały czas? – zapytał Smoky, gdy już trochę poćwiczyli.

– Nudzę się? – zdziwiła się.

Wyglądało na to, że taki stan jest jej obcy.

– Nie. Nie jesteśmy tam sami.

– Nie miałem na myśli... Kim są ci ludzie?

– Jacy ludzie?

– Ludzie... dzięki którym nie jesteś sama.

– Cóż... było tam kiedyś wielu farmerów. Na początku imigranci ze Szkocji: MacDonald, MacGregor, Brown. Teraz nie ma tak wielu farm. Zostało tylko kilka. Wielu z tych ludzi jest naszymi krewnymi, w pewnym sensie. Sam wiesz, jak to jest.

Prawdę mówiąc, nie wiedział. Zapadło milczenie, a po chwili odezwali się w tym samym momencie. I znów cisza. Smoky przemówił pierwszy.

– To duży dom?

Uśmiechnęła się.

– Ogromny. – Jej brązowe oczy topniały w świetle lampy. – Spodoba ci się. Każdemu się podoba. Nawet George'owi, choć on twierdzi inaczej.

– Dlaczego?

– Bo zawsze się w nim gubi.

Smoky z uśmiechem wyobraził sobie, jak George, tropiciel śladów, przedzierający się nocą przez ponure ulice, gubi się w zwykłym domu. Próbował przypomnieć sobie, czy w jednym z listów nie zażartował z myszy miejskich i wiejskich.

– Czy mogę ci coś powiedzieć? – odezwała się.

Serce zabiło mu mocniej, bez wyraźnego powodu.

– Pewnie.

– Znałam cię, kiedy się spotkaliśmy.

– Co masz na myśli?

– To znaczy, rozpoznałam cię. – Opuściła gęste, czerwonozłote rzęsy, rzuciła mu krótkie spojrzenie, a następnie rozejrzała się po ospałym barze, bojąc się, że ktoś może podsłuchiwać.
– Mówiono mi o tobie.

– George?

– Nie, nie. To było dawno temu. Kiedy byłam mała.

– O mnie?

– No, może nie o tobie. Albo o tobie właśnie, tylko że o tym nie wiedziałam, aż do momentu, kiedy się spotkaliśmy.

Oparła łokcie na kraciatej serwecie, wsunęła pod nie dłonie i pochyliła się do przodu.

– Miałam dziewięć albo dziesięć lat. Padał deszcz. Pewnego ranka spacerowałam ze Sparkiem po parku...

– Co takiego?

– Spark był naszym psem. A park, jak wiesz, to teren dookoła. Wiał lekki wiatr i

wyglądało na to, że w końcu przestanie padać. Przemokliśmy do suchej nitki. Spojrzałam na zachód: zobaczyłam tęczę. Przypomniałam sobie, co powiedziała moja matka: kiedy rano tęcza na zachodzie, to pogoda zyska na urodzie.

Wyobraził ją sobie bardzo wyraźnie, w żółtym deszczowcu i wysokich kaloszach, z piękniejszymi i bardziej kręconymi niż teraz włosami. Zastanowił się, skąd wiedziała, gdzie jest zachód. Ten problem przez jakiś czas nie dawał mu spokoju.

– To była tęcza, ale taka jasna i wydawało się, że jej koniec jest właśnie tam, no wiesz, niedaleko. Widziałam trawę, lśniąca wszystkimi barwami. Niebo stało się takie wielkie, wiesz, kiedy w końcu rozjaśnia się po długim, deszczowym dniu, a wszystko było tak blisko. Miejsce, którego dotykała tęcza, też było w pobliżu. Bardziej niż czegokolwiek pragnęłam w nim stanąć, spojrzeć w górę i skapać się w kolorach.

Smoky wybuchnął śmiechem.

– To nie takie proste – stwierdził.

Ona też się roześmiała, przechylając głowę i zasłaniając brzegiem dłoni usta w sposób, który pobudzał bicie jego serca.

– Oczywiście – przytaknęła. – Trwało to chyba całą wieczność.

– To znaczy, że ty...

– Za każdym razem, kiedy myślałam, że już się zbliżam, to miejsce pozostawało odległe, gdzie indziej; a gdy się już tam znalazłam, okazywało się, że stamtąd właśnie przyszłam. W gardle zaschło mi od biegu, a nie posunęłam się ani na krok. Ale ty wiesz, co wtedy trzeba zrobić...

– Odejść stamtąd – rzekł, zaskoczony własnym głosem, ale w jakiś sposób pewien, że tak brzmi właściwa odpowiedź.

– Jasne. To nie takie proste, jak się zdaje, ale...

– Nie, myślę, że nie – przerwał ze śmiechem.

– ...ale jeśli zrobisz to we właściwy sposób...

– Nie, zaczekaj – przerwał.

– ...po prostu we właściwy sposób, to wtedy...

– One tak właściwie nie dotykają ziemi – powiedział Smoky. – Z pewnością nie.

– Tutaj nie – oznajmiła. – A teraz słuchaj. Poszłam za Sparkiem. Pozwoliłam mu wybrać, bo jemu nie zależało, a mnie tak. Wystarczył jeden krok, jeden obrót i zgadnij, co się stało.

– Co tu zgadywać. Zatopiłaś się w kolorach.

– Nie, nie tak. Na zewnątrz widzisz kolory wewnątrz; tak więc wewnątrz...

– Widzisz kolory na zewnątrz.

– Tak. Cały świat zabarwił się, jakby zrobiono go z cukierków. Nie, jakby był z tęczy. Cały barwny świat, miękki jak światło wokół i w oddali. Chcesz biec, by go zbadać. Ale nie masz odwagi zrobić najmniejszego kroku, bo może to być błędny krok, a więc tylko patrzysz i patrzysz. I tak sobie myślisz: „W końcu się udało” – zatopiła się w myślach. – „Nareszcie” –

powtórzyła cicho.

– Jak – zaczął, przełknął ślinę i zaczął od nowa – w jaki sposób ja się tam znalazłem? Wspomniałaś, że ktoś ci powiedział...

– Spark – szepnęła. – Albo ktoś do niego podobny.

Przyjrzała mu się bacznie, a on próbował przybrać przyjemny wyraz twarzy.

– Spark jest psem – odezwał się.

– Tak – wydawało mu się, że ona nie ma ochoty ciągnąć tej rozmowy.

Podniosła łyżeczkę, zobaczyła w niej własne odbicie, maleńkie, odwrócone do góry nogami, i odłożyła ją na bok.

– Albo ktoś do niego podobny. Cóż. To nieważne.

– Zaczekaj – poprosił.

– To trwało tylko minutę. Kiedy tam staliśmy, pomyślałam, ostrożnie, nie patrząc na niego – pomyślałam, że Spark powiedział... – podniosła na niego wzrok. – Czy trudno w to uwierzyć?

– Cóż, raczej tak. Trudno w to uwierzyć.

– A myślałam, że będzie łatwo. Przynajmniej tobie.

– Dlaczego właśnie mnie?

– Ponieważ – zaczęła, ściskając policzek, twarz miała smutną, nawet rozczarowaną, co uciszyło go natychmiast – to o tobie mówił Spark.

Udawanka

W tym momencie – a raczej w chwilę po tamtym momencie – tylko dlatego, że nie miał nic do powiedzenia, wydusił z siebie, w formie dalekiej od perfekcji, to trudne pytanie czy też delikatną propozycję, którą tłumił w sobie przez cały dzień.

– Tak – odpowiedziała, nie odrywając dłoni od policzka, ale za to z nowym uśmiechem rozjaśniającym jej twarz jak poranna tęcza na zachodzie.

I tak, kiedy fałszywy świt świateł Miasta ukazał im sterty głębokiego i kruchej śniegu, nawet na okiennym parapecie, leżeli opatuleni po szyję w głębokiej, kruchej pościeli (ogrzewanie w hotelu chyba przestało działać) i rozmawiali. Nie spali.

– O czym ty mówisz? – odezwał się.

Zaśmiała się, dotykając go palcami stóp. Poczuł się nieswojo, zakreśliło mu się w głowie, po raz pierwszy od czasu dojrzenia, co było niezwykle; uczucie całkowitego spełnienia, w czubkach palców i w głowie poczuł mrowienie, być może nawet promienia. Wszystko było możliwe.

– To taka udawanka, prawda? – zapytał, a ona przekreśliła się na bok z uśmiechem. Ich ciała ułożyły się w podwójną literę „s”.

Udawanka. Kiedy był jeszcze dzieckiem i kiedy wraz z innymi znajdował jakiś zakopany przedmiot – szyjkę od brązowej butelki, zaśniedziałą łyżeczkę, a nawet chropowaty kamień –

przekonywali się wzajemnie o jego pradawnym pochodzeniu. Z pewnością był tam już za czasów George'a Washingtona. Albo jeszcze wcześniej. Był zabytkiem o ogromnej wartości. Przekonywali się o tym kolektywnym aktem woli, którą jednocześnie przed sobą skrywali: mała udawanka, ale inna.

– Teraz rozumiesz? – spytała. – Tak miało być. A ja o tym wiedziałam.

– Ale dlaczego? – zapytał zachwycony, cierpiący. – Dlaczego jesteś tego taka pewna?

– Bo to jest Opowieść. A Opowieści się sprawdzają.

– Ale ja nie wiem, czy to Opowieść.

– Ludzie w opowieściach nie wiedzą, nigdy. Ale w nich są.

Pewnej zimowej nocy, gdy był chłopcem i zamieszkiwał w jednym pokoju ze swym przyrodnim bratem, umiarkowanie religijnym, po raz pierwszy zobaczył pierścień wokół księżycy. Gapił się na niego, na ten bezgraniczny lodowy pierścień, prawie tak szeroki jak nocne niebo, i zapewniał sam siebie, iż zwiastuje on Koniec Świata. Czekał na podwórku podniecony, aż ta cicha noc rozleci się na kawałki w apokalipsie, wiedząc w głębi ducha, że tak się nie stanie, że nic takiego nie zdarza się na tym świecie, że nie ma takich niespodzianek. Tej nocy śnił o Niebie: Niebo było ciemnym lunaparkiem, małym i ponurym, tylko żelazne Diabelskie Koło kręciło się w wieczności, a posępna arkada zabawiała wiernych. Obudził się z ulgą i już nigdy potem nie wierzył w swe modlitwy, choć odmawiał je bez żalu za brata. Odmówiłby i za nią, gdyby go o to poprosiła, z wielką przyjemnością; ale nie zamówiła żadnej. Zamiast tego poprosiła, by zgodził się na coś tak dziwaczego, tak niewyobrażalnego we współczesnym świecie, do którego należał, że zaśmiał się, zaskoczony.

– Opowieść – powiedział.

– Tak mi się zdaje – stwierdziła sennym głosem.

Pociągnęła go za rękę i oplotła ją wokół siebie.

– Tak mi się zdaje, jeśli tylko chcesz.

Wiedział, że musi uwierzyć, by udać się tam, gdzie była; wiedział, że jeśli uwierzy, dotrze tam, nawet jeśli tego miejsca nie ma, jeśli to tylko udawanka. Przesunął dłoń po jej smukłym ciele, a ona z cichym westchnieniem przytuliła się do niego. W myślach szukał tego starego życzenia, niestosowanego od dawna. Jeśli się tam udała, nie miał zamiaru zostać z tyłu; nie chciał być od niej dalej niż teraz.

Życie jest krótkie albo długie

W maju w Edgewood, w mroku lasu, Daily Alice przysiadła na lśniącej skale, która wystawała nad głębokim stawem, stawem, do którego spadała woda ze szczeliny w wysokiej, skalistej ścianie. Strumień, lejący się bez końca przez szczelinę i rozbijający się o taflę stawu, przemawiał ciągle tak samo, ale zawsze ciekawie. Daily Alice słuchała, choć znała to już na pamięć. Wyglądała jak dziewczynka na butelce wody sodowej, choć nie tak subtelnie, poza tym brakowało jej skrzydeł.

– Dziadku Pstrągu – rzuciła w stronę stawu. I jeszcze raz: – Dziadku Pstrągu.

Zaczekała chwilę, a kiedy nic się nie wydarzyło, podniosła dwa kamyczki i włożyła je do wody (zimnej i jedwabistej wody w kamiennym stawie) i zastukała nimi, a w wodzie rozległ się huk – jakby wystrzał odległych dział – i trwał dłużej niż podobny stukot na powierzchni. I wtedy, gdzieś z okrytej wodorostami, podwodnej kryjówki przy brzegu, wypłynął wielki, biały pstrąg, albinos bez najmniejszej cętki lub paska, jego różowe oko było rozwarte i poważne. Zdawało się, że w drobnych falach mknących od wodospadu cały drży, mruży potężne oko albo trzęsie się od łez (czy ryby mogą płakać? – zastanowiła się, nie po raz pierwszy).

Gdy przyciągnęła już jego uwagę, rozpoczęła swą opowieść o wyprawie do Miasta, jesienią, o tym, jak spotkała tego mężczyznę w domu George’a Mouse’a i jak w mgnieniu oka zrozumiała (lub przynajmniej bardzo szybko zdecydowała), że to właśnie on, ten jedyny, obiecany, którego „znajdzie lub wymyśli”, jak to dawno temu powiedział jej Spark.

„Kiedy spałeś przez zimę – zaczęła nieśmiało, wodząc wzrokiem po kwarcowej żyłce w skale, na której siedziała, z uśmiechem, ale nie patrząc na niego (opowiadała przecież o kimś, kogo kochała) – my, tak, my spotkaliśmy się znowu i złożyliśmy sobie obietnicę, no, wiesz?”

Zauważyła, jak trzepnął swym upiornym ogonem; wiedziała, że to bolesny temat. Rozciągnęła się na całą długość na chłodnym kamieniu, opierając podbródek na dłoniach, i z płonącymi oczyma opowiedziała mu o Smokym, tajemniczo i żarliwie, co jednak nie wzbudziło w rybie entuzjazmu. Nie zauważyła tego. To z pewnością chodziło o Smoky’ego, o nikogo innego. „Czy myślisz inaczej? Czy się ze mną nie zgadzasz?”. I nieco ostrożniej: „Czy ich to zadowoli?”.

– Trudno powiedzieć – odezwał się posepnie Dziadek Pstrąg. – Kto może wiedzieć, o czym myślą?

– Ale powiedziałaś...

– Ja tylko przynoszę od nich wieści, córko. Nie oczekuj ode mnie niczego więcej.

– Cóż – odparła rozgniewana. – Nie będę czekać w nieskończoność. Kocham go. Życie jest krótkie.

– Życie – wtrącił Dziadek Pstrąg, jakby łyżę w gardle go dusiły – jest długie. Zbyt długie.

Zamachał ostrożnie płetwami i poruszając ogonem, popłynął do swej kryjówki.

– Tak czy inaczej, powiedz im, że przyszłam! – zawołała za nim, przekrzykując wodospad. – Powiedz im, że spełniłam swój obowiązek.

Ale jego już nie było.

Napisała do Smoky’ego: „Mam zamiar wyjść za mąż”, a jego serce zamarło, gdy tak stał przy skrzynce na listy, aż zorientował się, że to jego miała na myśli. „Ciotka Cloud bardzo dokładnie odczytała karty, to ma być letni dzień, a oto, co masz zrobić. Proszę, proszę, zastosuj się do tych wskazówek bardzo dokładnie, w przeciwnym razie nie wiem, co się stanie”. I dlatego Smoky szedł, a nie jechał, z garniturem ślubnym w plecaku, starym, a nie

nowym, z własnoręcznie przyrządzonym jedzeniem, nie ze sklepu; dlatego zaczął rozglądać się wokół, szukając noclegu – musiał go znaleźć, wyżebrać, ale nie wolno mu było za niego zapłacić.

Karty atutowe w Edgewood

Nie miał pojęcia, kiedy skończy się dzielnica przemysłowa, a zacznie prowincja. Było już późne popołudnie, skierował się na zachód, a droga stawała się coraz gorsza, pokryta plamami w licznych odcieniach czerni niczym stary but. Po obu stronach pola i farmy dochodziły do drogi. Maszerował pod opiekuńczymi drzewami, które rzucały na niego raz po raz wymyślne cienie. Kępy chwastów porastały pobocza, zakurzone, gęste i niechlujne, przyjacielskie wobec człowieka i ruchu kołowego. Kłaniały się z płotów i rowów przydrożnych. Coraz rzadziej dobiegał go dźwięk samochodu; warkot wzmagął się sporadycznie, kiedy samochód przedzierał się przez wzgórza, dochodził do niego z całą mocą, rykiem, przechodził zdumiony, pełen wigoru, bystry, rozdmuchując na moment chichoczące gwałtownie chwasty; po chwili ryk równie szybko przemieniał się w odległy warkot i milknął, pozostawiała jedynie orkiestra owadów i człapanie jego własnych stóp.

Przez długi czas wspinał się na wzgórze, ale teraz zbocze stało się bardziej strome. Obejrzał się na rozległą przestrzeń letniego krajobrazu. Droga, na której stał, biegła w dół, obok łąk, przez pastwiska i wokół lesistych pagórków; ginęła w dolinie, tuż obok małego miasteczka, którego strzeliste wieże górowały nad soczystą zielenią, po czym pojawiała się znowu: wąska, szara wstęga zwijająca się w błękitne góry, w których rozpadlinach słońce zachodziło pośród pulchnych obłoków.

I właśnie w tym momencie kobieta stojąca na ganku w dalekim Edgewood odwróciła atutową kartę zwaną Podróżą. Był tam Wędrowiec, z plecakiem na ramieniu, z grubym kijem w dłoni, a przed nim rozciągała się długa i kręta droga, którą musiał przebyć; i Słońce też, ale nie wiedziała, czy wschodzące czy już zachodzące. Tuż przy rozłożonych kartach tlił się na spodeczku brązowy papieros. Ujęła go w palce i położyła Podróż na jej właściwym miejscu, a następnie odwróciła kolejną kartę. Tym razem był to Gospodarz.

Kiedy Smoky dotarł do podnóża pierwszego, falistego wzgórza przy drodze, zatopił się w cieniu. Właśnie zaszło słońce.

Rodzina Juniperów

Prawdę mówiąc, wolał sam znaleźć jakieś miejsce do spania niż o nie prosić; miał ze sobą dwa koce. Pomyślał nawet o stodole, w której mógłby się przespać, jak to zazwyczaj czynią wędrowcy w powieściach (jego powieściach), ale rzeczywiste stodoły, które mijał, były nie tylko własnością prywatną, ale funkcjonowały nadal i pełno w nich było ogromnych zwierząt. Poczł się nieco samotny, zapadał zmierzch i pola zatopiły się w mroku. Kiedy dotarł do

chaty u podnóża góry, zbliżył się do drewnianego płotu, zastanawiając się, w jaki sposób sformułować swą dziwną prośbę.

Chata była biała, otulona zielonymi krzewami. Rozwinięte róże wyrastały z krtek okalających zielone, holenderskie drzwi. Ścieżkę ku drzwiom wyznaczały pomalowane na biało kamienie; z pogrążonego w ciemnościach trawnika spoglądał na niego jelonek, znieruchomiały ze zdziwienia, a na ropuchach siedziały krasnoludki ze skrzyżowanymi nogami; niektóre z nich przemykały się, trzymając w dłoniach skarby. Na bramie wisiała surowa tabliczka z wypalonym napisem: Juniperowie. Smoky nacisnął klamkę i otworzył bramę, a w ciszy zadźwięczał mały dzwoneczek. Ktoś odsunął górną część drzwi i na zewnątrz wylało się żółtawe światło lampy. Kobiety głos zapytał: „Przyjaciół czy wróg?”, a potem przemienił się w śmiech.

– Przyjaciół – odpowiedział i ruszył ku drzwiom.

Bez wątplenia w powietrzu unosił się zapach dżinu. Kobieta, oparta o dolną część drzwi, należała do tych, których wiek średni trwa wyjątkowo długo. Smoky nie był w stanie określić, ile ma lat. Jej rzadkie włosy mogły być szare albo brązowe, nosiła kocie okulary i wyszczerzała sztuczne zęby w uśmiechu; jej ramiona, wsparte niedbale na framudze, pokryte były piegami.

– Cóż, nie wiem, kim jesteś – odezwała się.

– Chciałbym zapytać – zaczął Smoky – czy jestem na właściwej drodze prowadzącej do miasteczka zwanego Edgewood.

– Trudno mi powiedzieć – odparła. – Jeff? Czy możesz pokazać temu młodzieńcowi drogę do Edgewood?

Poczekwała na odpowiedź z głębi mieszkania, której nie usłyszała, i otworzyła drzwi.

– Wejść – poprosiła. – Zobaczymy.

Domek był mały i czysty, przeładowany różnymi gratami. Stary, bardzo stary pies o wyglądzie postrzępionej miotły, skakał mu pod nogami, ziewając radośnie. Smoky wpadł na bambusowy stolik, zawadził ramieniem o ozdobną półkę, przejechał się na śliskim dywaniku i przez wąskie, sklepione przejście wpadł do saloniku pachnącego różami, rumem i zimowym ogniem. Jeff opuścił gazetę i zdjął z podnóżka nogi w bamboszach.

– Edgewood? – zapytał, przypalając fajkę.

– Edgewood. Dostałem instrukcje, w pewnym sensie.

– Podróżujesz autostopem? – Jeff otworzył wąskie usta jak ryba, by wypuścić dym, i zmierzył Smoky’ego podejrzliwym wzrokiem.

– Właściwie wędruję.

Nad kominkiem wisiała haftowana makatka. Napis na niej brzmiał:

Zamieszkać w domku przy drodze
I zostać przyjacielem człowieka.

Margaret Juniper 1927

– Idę na swój ślub.

Ach, wyczytał z ich twarzy.

– Dobrze – podniósł się Jeff. – Marge, przynieś mapę. Była to mapa okręgu lub czegoś w tym rodzaju, o wiele dokładniejsza niż mapa Smoky’ego; odnalazł konstelację miasteczek, którą już znał, wyraźnie zaznaczoną, ale Edgewood tam nie było.

– To musi być gdzieś tutaj. – Jeff znalazł kawałek ołówka i mrużąc „hmm” i „popatrzmy”, połączył kółka pięciu miasteczek w pięcioramienną gwiazdę.

Postukał kilkakrotnie ołówkiem w pięciokąt wyznaczony wierzchołkami gwiazdy i patrząc na Smoky’ego, podniósł piaskowe brwi. Stara sztuczka z odczytywaniem mapy, domyślił się Smoky. Rozpoznał cień drogi przecinającej pięciokąt, łączącej się z drogą, którą wędrował. Droga ta kończyła się tutaj, w Meadowbrook.

– Hmm – mruknął.

– To wszystko, co mogę ci powiedzieć – stwierdził Jeff, zwijając mapę.

– Zamierzasz wędrować po nocy? – zapytała Marge.

– Mam ze sobą coś do spania.

Marge zacisnęła usta na widok niewygodnych koców przytroczonych do plecaka.

– Przypuszczam, że nic nie jadłeś przez cały dzień.

– Nie, ale mam kanapki i jabłko...

Kuchnia zastawiona była koszami nieprawdopodobnie soczystych owoców: granatowych winogron, szarych renet i rozciętych brzoskwiń – dumnych dowodów udanego owocobrania. Marge wyciągnęła parujące potrawy z piecyka i stawiała je na ceratę, a kiedy wszystko już skonsumowano, Jeff nalał likieru bananowego do maleńkich, rubinowych kieliszków. Smoky nie miał już siły zaprotestować przeciw ich gościnności, Marge rozłożyła tapczan i Smoky ułożony został do snu w brązowym, indiańskim kocu.

Kiedy Juniperowie wyszli, leżał przez chwilę z otwartymi oczyma, rozglądając się po pokoju. Oświetlał go jedynie blask nocy, blask w kształcie małego, wiejskiego domku porośniętego różami. Dostrzegł klonowy fotel Jeffa, którego płaskie, pomarańczowe poręcze wyglądały niezwykle apetycznie, niczym dwa lśniące lizaki. Zauważył, że koronkowe firanki falują przy każdym podmuchu wiatru o różanym zapachu. Wsłuchał się w senne pomruki psa miotły. Natknął się na jeszcze jedną makatkę. Na tej, z kolei, choć nie był pewien, napis brzmiał:

To, co nas uszczęśliwia,
czyni nas również mądrymi.

Zasnął.

II

*Zauważyliście chyba, że nie
stawiam myślnika pomiędzy dwoma
słowami. Piszę „country house”, a nie
„country-house”. Jest to zamierzone.*

Sackville-West

Daily Alice przebudziła się, tak jak zawsze, kiedy słońce wdarło się przez jej wschodnie okna z dźwiękiem muzyki. Odrzuciła wzorzystą koldrę i przez chwilę leżała naga w długich, słonecznych pręgach, przesuwając dłonią po ciele, znajdując oczy, kolana, piersi, rudozłote włosy – wszystko na swoim miejscu, bez zmian. Wstała, przeciągnęła się, strząsnęła z twarzy resztki snu, przyklękła przy łóżku w słonecznym kwadracie i odmówiła, tak jak każdego ranka, od kiedy zaczęła mówić, modlitwę:

*O wspaniałych, ogromnych, pięknych, cudownych świecie
Otoczony cudownymi wodami
Pokryty przepiękną zielenią
O świecie, wyglądasz tak wspaniale.*

Gotycka łazienka

Odmówiwszy pacierz, ustawiła wysokie, stojące zwierciadło, które należało kiedyś do jej prababki, tak by mogła zobaczyć całą swą figurę. Zadała mu zwyczajowe pytanie i otrzymała tego ranka właściwą odpowiedź; czasami były one dwuznaczne. Owinęła się długą, brązową suknią, obróciła się na palcach, a postrzępione brzegi szaty zawirowały w powietrzu. Ostrożnie wyszła na cichy, zimny korytarz. Minęła gabinet ojca, wsłuchując się przez moment w starego remingtona, wystukującego opowieść o kolejnych przygodach myszy i królików. Otworzyła drzwi do pokoju siostry. Sophie leżała zwinięta w pościeli, z kosmykiem długich, złotych włosów w otwartych ustach, zaciskając dłonie jak niemowlę. Poranne słońce właśnie zajrzało do tego pokoju, a Sophie poruszyła się, gdy ją poraziło. Większość ludzi

wygląda dziwacznie we śnie: obco, inaczej. Śpiąca Sophie wyglądała jak Sophie; kochała sen i mogła spać w każdym miejscu, nawet na stojąco. Daily Alice przyglądała jej się przez chwilę, zastanawiając się, jakie przeżywa przygody. Cóż, usłyszy o nich później, ze wszystkimi szczegółami.

Gotycka łazienka znajdowała się na końcu spiralnego korytarza. Umieszczono w niej jedyną w tym domu wannę wystarczająco długą dla Daily Alice. Uwięzione w rogu budynku słońce nie zdążyło tu jeszcze dotrzeć; witrażowe okna kryły się w mroku, a kafelki na podłodze były tak zimne, że musiała stanąć na palcach. Kran w kształcie chimery zakaszłał suchotniczym kaszlem, a wszystkie rury w całym domu odbyły długie zebranie, zanim wypuściły z siebie gorącą wodę. Gwałtowny przypływ miał swoje skutki. Podciągnęła do bioder brązową suknię i usiadła na czymś, co przypominało dziurawy, biskupi tron. Podparła dłonią brodę i zapatrzyła się na parę unoszącą się znad grobowej wanny. Znowu poczuła się senna.

Pociągnęła za spłuczkę, a kiedy zamilkł głośny łomot spuszczonej wody, zrzuciła suknię na podłogę, zadygotała z zimna i ostrożnie weszła do wanny. Gotycka łazienka wypełniona była parą. Jej gotycki styl nie miał jednak wiele wspólnego z kościołem, raczej z lasem: sklepienie sufitu tworzyło nad głową Daily Alice łuk w postaci przeplatających się gałązek, a rzeźbiony bluszcz, liście, liany i dzikie wino wirowały w niespokojnym tańcu życia. Na powierzchni wąskich, witrażowych okien skraplała się rosa, pokrywając kropelkami jaskrawe drzewa, odległych myśliwych i zamazane pola otoczone tymi drzewami. Kiedy słońce w swej leniwej wędrówce oświetliło dwanaście z nich, ozdabiając klejnotami mgłę unoszącą się z kąpieli, Daily Alice zanurzała się w stawie pośrodku średniowiecznego lasu. Pomieszczenie to zaprojektował jej pradziadek, ale twórcą okien był ktoś inny. Nazywał się Comfort i to właśnie odczuwała Daily Alice. Zanuciła nawet piosenkę.

Na boki

Kiedy tak szorowała ciało i śpiewała, nadchodził jej narzeczony, na obolałych nogach, zaskoczony dziką reakcją mięśni na wczorajszy spacer. Gdy w długiej, narożnej kuchni kończyła śniadanie, przygotowując plany z zagonioną matką, Smoky wspinał się na gwarną, osłonecznioną górę, by następnie zejść ku dolinie. Kiedy Daily Alice i Sophie nawoływały się z dwóch przeciwległych korytarzy, a doktor wyglądał przez okno w poszukiwaniu natchnienia, Smoky stał na rozstaju, gdzie cztery stare wiązy rozmawiały ze sobą jak czterej ponurzy mężczyźni. Na umieszczonej obok tablicy widniał napis „EDGEWOOD”. Wskazywała ona na brudną drogę, która wiodła cienistym tunelem drzew. Kiedy tak wędrował, rozglądając się na boki i rozmyślając, co się jeszcze wydarzy, Daily Alice i Sophie siedziały w pokoju Daily Alice, przygotowując dla niej strój na następny dzień, a Sophie opowiadała swój sen.

Sen Sophie

„Śniłam o tym, że nauczyłam się oszczędzać czas, którego nie chciałam wykorzystać, aby potem spędzić go zgodnie z moimi potrzebami. To czas, który spędzasz w poczekalni u lekarza lub wracając z miejsca, w którym nie bawiłaś się dobrze, albo czekając na autobus – wszystkie te bezużyteczne chwile. Cóż, chodziło o to, by zebrać go i poskładać, jak pogniecione pudełka, by zajął jak najmniej miejsca. To naprawdę łatwa sztuczka, jeśli wie się, jak można jej dokonać. Nikt nie był zdziwiony, kiedy oznajmiłam, że już wiem; mama pokiwała głową z uśmiechem, wiesz, tym mówiącym, iż oczywiście, w pewnym wieku każdy się czegoś uczy. Wystarczy zagiąć czas na szwie, uważając, aby nic nie zgubić, i złożyć na płask. Tatuś podarował mi tę ogromną kopertę z marmurkowego papieru, abym go tam schowała, a kiedy mi ją dawał, przypomniałam sobie, że widziałam wiele takich kopert, zastanawiając się, do czego służą. To zabawne, że w snach możemy tworzyć wspomnienia, aby je potem wytłumaczyć”.

Mówiąc, przesuwiała zwinnymi palcami po zaszewkach, a Daily Alice nie słyszała jej zbyt wyraźnie, gdyż siostra miała szpilki w ustach. Tak czy inaczej, trudno było zrozumieć ten sen. Daily Alice natychmiast zapomniała o każdym wspomnianym wydarzeniu, jak gdyby sama o nim śniła. Podniosła, a następnie odłożyła parę satynowych trzewików i wyszła na maleńki balkonik, przylegający do jej wykuszowego okna.

– Wtedy się przestraszyłam – ciągnęła Sophie. – Trzymałam w dłoniach tę wielką, przerażającą kopertę wypełnioną nieszczęśliwym czasem i nie miałam pojęcia, w jaki sposób wyciągnąć troszeczkę w razie potrzeby bez naruszania tego ponurego oczekiwania. Zdawało mi się, że popełniłam błąd, zaczynając to wszystko. Tak czy inaczej...

Daily Alice spojrzała w dół na frontowe wejście, brązowy podjazd z delikatnym grzbietem chwastów, kołyszących się w cieniu liści. Na samym końcu podjazdu wyrastały słupy bramy, tuż za ostrym łukiem muru, każdy z nich zakończony dziobatą kulą, wyglądającą niczym szara, kamienna pomarańcza. W tym momencie przy bramie pojawił się jakiś niezdecydowany Wędrowiec.

Serce zabiło jej mocniej. Przez cały dzień była tak radośnie spokojna, że doszła do wniosku, iż nie przyjdzie. Jej serce wiedziało, iż nie przybędzie dzisiaj, a zatem nie było powodu, by pograżać się w oczekiwaniu i waliło jak młotem. A teraz serce to aż podskoczyło ze zdumienia.

– ...a potem wszystko się wymieszało. Zdawało się, iż nie było już czasu, który nie byłby składany i odkładany, a ja już niczego nie robię, że to wszystko dzieje się poza mną; pozostał jedynie okropny czas, czas spaceru po korytarzach, czas budzenia się w nocy, czas nierobienia niczego...

Daily Alice stała z walącym sercem, gdyż nic innego nie mogła uczynić. Tam, na dole, zbliżał się Smoky, wolno, jakby przestraszony. Nie wiedziała, dlaczego. Ale kiedy była już pewna, że ją widzi, rozwiązała pasek przy brązowej sukni i zrzuciła ją z ramion. Suknia

opadła, zatrzymując się na nadgarstkach, a ona poczuła cienie liści i promienie słońca muskające jej skórę niczym dotyk ciepłych i chłodnych dłoni.

Zagubiona

Poczuł wrzenie w nogach, które zaczęło się od podeszew stóp i podpłynęło aż do goleni, spowodowane długim marszem. Południe szumiało w rozpalonej głowie, a w samym środku prawego uda dawał o sobie znać ostry, nitkowaty ból. Znajdował się jednak w Edgewood, bez wątplenia. Gdy maszerował ścieżką w stronę ogromnego domu, pełnego licznymi pochyłościami, wiedział, że nie spyta o drogę staruszki na ganku; nie musiał; przybył na miejsce. Kiedy zbliżył się do budynku, ukazała mu się Daily Alice. Stał tak z utkwionym w nią wzrokiem, trzymając w dłoniach przepocony plecak. Nie śmiał uczynić jakiegokolwiek gestu – na ganku siedziała staruszka – ale nie mógł też oderwać oczu.

– Wspaniale, prawda? – odezwała się w końcu staruszka.

Zarumienił się. Siedziała przed nim wyprostowana i uśmiechała się ze swego fotela w kształcie pawia. Obok znajdował się stolik ze szklanym blatem, a ona stawiała pasjansa.

– Powiedziałam: wspaniale – powtórzyła nieco głośniejszym głosem.

– Tak!

– Tak... takie wdzięczne. Cieszę się, że jest to pierwsza rzecz, jaką tu widzisz. Wszystkie okna są nowe, ale balkon i cała robota kamieniarska nigdy nie były zmieniane. Dlaczego nie wchodzisz na ganek? Trudno jest rozmawiać na odległość.

Raz jeszcze podniósł wzrok, ale Alice zniknęła; tylko fantastyczny dach błyszczał w słońcu. Wszedł na otoczony kolumnami ganek.

– Nazywam się Smoky Barnable.

– Tak. A ja jestem Nora Cloud. Nie siadasz?

Zebrała wprawną dłonią karty i włożyła je do aksamitnego woreczka, który następnie wrzuciła do zdobionego ręcznie pudełka.

– A więc to pani – zaczął, siadając w trzeszczącym, wiklinowym fotelu – postawiła mi te warunki dotyczące stroju i wędrówki, i tego wszystkiego?

– O nie – zaprzeczyła. – Ja je tylko odkryłam.

– Taka próba.

– Być może. Nie wiem – wydała się zaskoczona taką sugestią.

Z kieszonki na piersi, do której przypięta była czysta, aczkolwiek bezużyteczna chusteczka, wyciągnęła brązowego papierosa i przypaliła go zwykłą zapalką potartą o podeszwę buta. Miała na sobie jasną sukienkę we wzory odpowiednie dla starszych pań, choć Smoky pomyślał, iż jeszcze nigdy nie widział sukni tak intensywnie niebiesko-zielonej, z liśćmi, małąkimi kwiatkami, dzikim winem, tak zawile posplatany: jakby wycięto je z całego dnia.

– Na ogół myślę profilaktycznie.

- Hm?
- Dla twojego bezpieczeństwa.
- Ach tak.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, ciotka Cloud w ciszy pełnej spokoju i uśmiechu, on w napięciu. Zastanawiał się, dlaczego nie zapraszają go do środka, nie przedstawiają. Był świadomy żaru wydobywającego się z jego rozpiętej pod szyją koszuli; zdawał sobie sprawę, że to niedziela. Odchrząknął.

- Państwo Drinkwater są w kościele?
- W pewnym sensie tak.

W dziwny sposób reagowała na wszystko, co mówił, jakby pewne rzeczy słyszała po raz pierwszy.

- Czy jesteś religijny?

Obawiał się tego pytania.

- Cóż... – zaczął.

- Nie uważasz, że to kobiety mają tendencję do większej pobożności?

– Przypuszczam, że tak. Tam, gdzie się wychowywałem, nikt nie przykładał do tego większej wagi.

– Moja matka i ja odczuwałyśmy to silniej niż ojciec czy bracia. Choć to oni cierpieli bardziej z tego powodu niż my.

Nie miał na to żadnej odpowiedzi i nie wiedział, czy przygląda mu się bacznie w oczekiwaniu na nią, czy po prostu ma słaby wzrok.

– To tak jak mój bratanek, doktor Drinkwater, oczywiście są jeszcze zwierzęta, którym poświęca wiele uwagi. Bardzo wiele uwagi. Cała reszta zdaje się przepływać obok niego.

- Taki panteista?

– O, nie. Nie jest aż tak głupi. To po prostu wydaje się – tu podniosła w powietrze papierosa – przepływać obok niego. Aha, i kogóż tu mamy?

Przy bramie pojawiła się jakaś kobieta na rowerze, w wielkim kapeluszu z szerokim rondem. Ubrana była w bluzkę we wzory, tak jak Cloud, ale bardziej osobliwą, i w szerokie dżinsy. Niezręcznie zeskoczyła z siodelka i wyjęła z koszyka drewniane wiaderko. Kiedy odsunęła z czoła kapelusz, Smoky rozpoznał panią Drinkwater. Podeszła i ciężko przysiadła na schodach.

- Cloud – odezwała się – nigdy więcej nie poproszę cię o radę w kwestii zbierania jagód.

- Pan Barnable – rzuciła wesoło Cloud – rozprawiał ze mną o religii.

– Cloud – ciągnęła ponuro pani Drinkwater, drapiąc się po pięcie, tuż nad trampkiem postrzępionym przy dużym palcu – Cloud, zgubiłam się.

- Masz pełne wiaderko.

- Zgubiłam drogę. To wiaderko, psiakrew, napełniłam w dziesięć minut.

- No, cóż. Masz ci los!

– Nie powiedziałaś, że się zgubię.

– Nie zapytałam.

Nastąpiło milczenie. Cloud paliła papierosa. Pani Drinkwater sennie drapała piętę. Smoky (nie mając pani Drinkwater za złe, że go nie powitała; prawdę mówiąc, nie zwrócił na to uwagi – to skutek dorastania w anonimowości) miał trochę czasu, by zastanowić się, dlaczego Cloud nie powiedziała: „Nie zapytałaś”.

– W sprawie religii – mruknęła pani Drinkwater – pogadaj z Auberonom.

– Aha, o to chodzi. Człowiek bez religii.

Zwróciła się do Smoky’ego:

– Mój starszy brat.

– To wszystko, o czym myśli – powiedziała pani Drinkwater.

– Tak – stwierdziła w zamyśleniu Cloud – tak. Tak to jest, sama wiesz.

– Czy jesteś religijny? – spytała Smoky’ego pani Drinkwater.

– Nie jest – wtrąciła się Cloud, – ale August oczywiście był.

– Nie miałem religijnego dzieciństwa – oświadczył Smoky, wykrzywiając twarz. – Przypuszczam, że byłem niejako politeistą.

– Co takiego? – zdziwiła się pani Drinkwater.

– Panteon. Otrzymałem klasyczne wykształcenie.

– Gdzieś trzeba zacząć – odparła, wybierając z wiaderka pełnego jagód liście i małe robaczki. – To powinna być prawie ostatnia z tych obrzydliwości. Jutro pierwszy dzień lata, na szczęście.

– Mój brat August – zabrała głos Cloud – dziadek Alice, był chyba religijny. Odszedł. Częściowo nieznan.

– Misjonarz? – zapytał Smoky.

– Hm, tak – odpowiedziała Cloud, ponownie zaskoczona takim myśleniem. – Może tak.

– Na pewno już się ubrały – stwierdziła pani Drinkwater. – Może wejdziemy?

Wymyślona sypialnia

Oslonowe drzwi były stare i potężne, ich drewniane obramowanie popękało nieco od letniego ciepła, a sama osłona była u dołu poszarpana: popychało ją bezmyślnie kilka pokoleń dzieci. Kiedy Smoky pociągnął za porcelanową rączkę, zaskrzypiała zardzewiała sprężyna. Przekroczył próg. Już był w środku.

Przedśionek, wysoki i lśniący, pachniał chłodnym powietrzem nocy, ogniem minionej zimy, woreczkami z lawendą zawieszonymi w bieliźniarkach o mosiężnych gałkach. Czym jeszcze? Osłona zamknęła się za nim z trzaskiem, a czerwcowy dzień wrzucił do wewnątrz wosk, światło słoneczne i przemieszane pory roku. Tuż przed nim wyrosły schody, skręcające półkolem na piętro. Na pierwszym podejściu, w świetle okna zwieńczonego ostrym łukiem, stała jego narzeczona, bosa, w połatanych dżinsach. Tuż za nią chowała się Sophie – już

starsza o rok, ale wciąż nie dorównująca wzrostem siostrze – w cienkiej, białej sukience; jej palce zdobiły liczne pierścionki.

– Cześć – odezwała się Daily Alice.

– Cześć – odpowiedział Smoky.

– Zabierz Smoky’ego na górę – poleciała pani Drinkwater. – Ulokujemy go w wymyślonej sypialni. Jestem pewna, że chce się odświeżyć.

Poklepała go po ramieniu, a on postawił stopę na pierwszym stopniu. Po latach często zastanawiał się, czasem leniwie, czasem w cierpieniu, czy od chwili, gdy wszedł do tego domu, kiedykolwiek naprawdę go opuścił. Teraz jednak wspinał się w jej kierunku, a ona szalała ze szczęścia – w końcu dotarł do niej po długiej i wyjątkowo niezwyklej podróży, a ona mogła powitać go czekoladowymi oczami pełnymi obietnic (prawdopodobnie był to jedyny cel tej wędrówki – jego obecne szczęście, prawdziwe, sprawiające mu dużo radości), wziąć jego plecak i poprowadzić za rękę do chłodnych, górnych pomieszczeń budynku.

– Chciałbym się umyć – powiedział, trochę zasapany.

Dziewczyna pochyliła wielką głowę do jego ucha i szepnęła:

– Wyliżę cię do czysta, jak kot.

Sophie zachichotała z tyłu.

– Hol – poinformowała Alice, przesuając dłonią po boazerii.

Lekko stukała we wszystkie napotkane po drodze szklane klamki.

– To pokój mamy i taty. Gabinet ojca, pssst. To mój pokój, widzisz?

Zajrzał do środka i zobaczył w wysokim lustrze swoje odbicie.

– Wymyślony gabinet. Stare planetarium, tymi schodami w górę. Skręć w lewo, potem znów w lewo.

Korytarz wydawał się koncentryczny i Smoky zastanawiał się, w jaki sposób te wszystkie pokoje mogły z niego wyrastać.

– Tutaj – oznajmiła Alice.

Trudno było określić kształt pokoju: w jednym rogu sufit opadał stromo ku podłodze, dzięki czemu jeden koniec pomieszczenia zdawał się niższy; okna również były mniejsze; pokój wydawał się większy niż w rzeczywistości lub był mniejszy, niż się zdawało – Smoky nie mógł się zdecydować. Alice rzuciła jego plecak na łóżko: wąskie, rozłożone na lato i przykryte cętkowaną narzutą.

– Łazienka jest na dole, w korytarzu – powiedziała. – Sophie, napełnij wodę.

– Czy jest tam prysznic? – zapytał, widząc oczyma wyobraźni zanurzenie się w zimnej wodzie.

– Nie – oświadczyła Sophie. – Mamy zamiar zmodernizować kanalizację, ale nie możemy jej znaleźć.

– Sophie.

Sophie zatrzasnęła za sobą drzwi.

W pierwszej chwili chciała posmakować pot, który lśnił na jego szyi i drobnym obojczyku; potem on postanowił odwiązać poły jej koszuli, zasupłane pod piersiami; potem, tak bardzo niecierpliw, zapomnieli, czyja przyszła kolej, i spierali się po cichu, zawzięcie, jak piraci dzielący skarb, długo poszukiwany, długo wyobrażany, długo trzymany w ukryciu.

W ogrodzie otoczonym murem

W południe jedli samotnie kanapki jabłkowe z masłem orzechowym, siedząc w ogrodzie otoczonym murem na tylnym froncie domu.

– Tylny front?

Dorodne drzewa wyglądały zza szarego, ogrodowego muru, niczym spokojni widzowie wsparci na łokciach. Kamienny stół, przy którym siedzieli, ustawiony w rogu pod rozłożystym bukiem, pokryty był spiralnymi plamami zostawionymi przez gąsienice ubiegłego lata. Radosne papierowe talerzyki, kruche i efemeryczne, kontrastowały z grubym blatem. Smoky usilnie próbował oczyścić uzębienie; zazwyczaj nie jadał masła orzechowego.

– To był kiedyś front – odezwała się Daily Alice. – Potem dobudowali ogród i mur, i tak tył stał się przodem. Tak czy inaczej, był to front. A teraz jest to tylny front.

Usiadła okrakiem na ławce, podniosła gałązkę, jednocześnie wyciągając małym palcem z ust błyszczący włos. Szybkim ruchem naszkicowała na ziemi pięcioramienną gwiazdę. Smoky spojrzał najpierw na rysunek, a następnie na obcisłe dzinsy Alice.

– Nie, to nie to – doszła do wniosku, przyglądając się gwieździe jak ptaszek. – Trochę tylko podobne. Widzisz, to dom z samymi frontami. Wybudowano go jako wzór. Mój pradziadek? Pisałam ci o nim? Wybudował ten dom jako model, aby ludzie mogli go oglądać z każdej strony, by mogli zdecydować się, jaki typ budynku najbardziej im odpowiada, to dlatego jego wnętrze jest tak zwariowane. To jak wiele domów, włożonych jeden w drugi lub ustawionych jeden na drugim, tylko ich fronty wystają na zewnątrz.

– Co takiego? – Nie słuchał jej, tylko patrzył, jak mówi; widziała to na jego twarzy i śmiała się.

– Patrz. Widzisz? – spytała.

Popatrzył tam, gdzie mu kazała, na tylny front. Była to surowa, klasyczna fasada zmiękczona dzikim bluszczem, a jej szary kamień pokryty był plamami w kształcie ciemnych łez; wysokie, łukowe okna; symetryczne szczegóły, jak zauważył, w układzie klasycznym; elementy rustykalne, kolumny, plinty. Ktoś wyglądał przez jedno z wysokich okien, pogrążony w melancholii.

– A teraz chodź.

Ugryzła wielki kęs (miała przecież duże zęby) i pociągnęła go za rękę wzdłuż frontu, a kiedy go mijali, zdawał się składać jak dekoracja teatralna: to, co było płaskie, wypinało się do przodu; to, co wystawało, składało się na płask; kolumny zmieniały się w pilastry i znikwały. Tylny przód przemieniał się, jak jeden z tych falujących obrazków, którymi bawią się

dzieci, kiedy to przesuwana twarz zmienia swój wyraz od ponurego grymasu do uśmiechu od ucha do ucha. Gdy dotarli do przeciwległego muru i obrócili się za siebie, dom nabrał radosnego charakteru, upozorowany na styl z epoki Tudorów, z głębokimi, zwiniętymi okapami i pękiem kominów przypominających cylindry komików. Jedno z szerokich okien (przez ołowiane szyby przeleciał lekki błysk) na pierwszym piętrze otworzyło się i Sophie pomachała do nich ręką.

– Smoky – zawołała – jeśli skończyłeś już lunch, przyjdź porozmawiać z tatusiem w bibliotece.

Nie ruszyła się z miejsca; ze złożonymi ramionami opierała się na parapecie, patrząc na jego uśmiech, zadowolona, że przekazała tę wiadomość.

– Och, aha – powiedział nonszalancko Smoky. Wrócił do kamiennego stołu, a dom za nim powrócił do swej romańskiej postaci. Daily Alice jadła jego kanapkę.

– Co mam mu powiedzieć?

Alice, mając pełne usta, wzruszyła ramionami.

– A jeśli zapyta: „Jakie są twoje perspektywy, młody człowieku?”

Parsknęła śmiechem, zakrywając usta, jak kiedyś w bibliotece George’a Mouse’a.

– Przecież nie mogę mu po prostu powiedzieć, że czytam książkę telefoniczną.

Ogrom tego, co go czekało, i oczywista odpowiedzialność za to doktora Drinkwata, spadły na jego ramiona jak stado ptaków. Nagle zawahał się, wątpiąc w wątpliwości. Rzucił okiem na swą wielką ukochaną. Tak czy inaczej, jakie są jego perspektywy? Czy może wytłumaczyć doktorowi, że to właśnie Alice wyleczyła go z anonimowości, jakby jednym ciosem – jednym delikatnym ciosem – i to wystarczy? Że po ceremonii ślubnej (bez względu na zobowiązania religijne, jakich od niego wymagają) zamierza po prostu żyć długo i szczęśliwie, jak inni ludzie?

Dziewczyna trzymała w dłoniach scyzoryk i obierała zielone jabłko w długą, karbowaną wstążkę. Była taka zdolna. Co on dla niej znaczy?

– Czy lubisz dzieci? – spytała, nie odrywając wzroku od jabłka.

Domy i historie

W bibliotece panował mrok, zgodnie ze starą filozofią zamykania domu w gorące, letnie dni, by utrzymać w nim chłód. Było chłodno. Doktor Drinkwater jeszcze nie przyszedł. Przez lukowe okno, zasłonięte częściowo kotarą, Smoky mógł podglądać Daily Alice i Sophie rozmawiające przy kamiennym stole w ogrodzie i poczuł się jak niegrzeczny albo chory chłopiec, który nie może wyjść na dwór. Ziewnął nerwowo i przesunął wzrokiem po najbliższych tytułach. Wyglądało na to, że od długiego czasu nikt nie ruszał książek z tych półek. Były tam tomy kazań, dzieła George’a MacDonalda, Andrew Jacksona Davisa, Swedenborga. Było tam mnóstwo historyjek dla dzieci napisanych przez doktora, ślicznych, lecz tandetnie wydanych, o powtarzających się tytułach. Pięknie oprawiona klasyka opierała

się na anonimowym popiersiu w wieńcu laurowym. Zdjął Swetoniusza, a wraz z nim broszurę wetkniętą między tomy. Była stara, z pozaginanymi rogami i rudymi plamami, zawierała perłową fotografiami, a jej tytuł brzmiał: Domy północnych stanów i ich historie. Ostrożnie przerzucał kartki, aby nie naruszyć starego kleju oprawy, oglądał ponure ogrody pełne czarnych kwiatów, zamek bez dachu wybudowany przez magnata, dom ustawiony z beczek po piwie.

Przewracając stronę, podniósł wzrok. Daily Alice i Sophie zniknęły; papierowy talerzyk zeskokczył ze stołu i ruchem baletnicy sfrunął na ziemię.

Nagle natknął się na fotografię dwojga ludzi siedzących przy kamiennym stole, popijających herbatę. Był tam młody mężczyzna, który przypominał poetę Yeatsa, w jasnym, letnim garniturze i cętkowanym krawacie, miał bujne, siwe włosy, oczu nie było widać w świetle słonecznym, odbijającym się w jego okularach, i młoda kobieta, w szerokim, białym kapeluszu, który zasłaniał jej twarz, rozmazaną, prawdopodobnie z powodu gwałtownego ruchu. Za nimi znajdował się dom, w którym przebywał Smoky. Obok nich, z wyciągniętą w stronę kobiety drobną dłonią, którą prawdopodobnie postanowiła jej dotknąć, a potem być może zmieniła zamiar (trudno było powiedzieć), stała postać, osoba, mały stworek wysoki na stopę, w stożkowym kapeluszu i spiczastych butach. Jego ostre, nieludzkie rysy zamazały się w gwałtownym ruchu, miał przejrzyste jak mgiełka skrzydła owada. Podpis pod zdjęciem głosił: „John Drinkwater i pani Drinkwater (Violet Bramble) elf. Edgewood, 1912”. Pod fotografią autor dopisał:

„Najdziwaczniejszym ze wszystkich szalonych domów z przełomu wieku jest prawdopodobnie Edgewood Johna Drinkwata, choć nie uważa się go za szaleństwo w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jego historia zaczęła się wraz z publikacją pana Drinkwata pt. *Architektura domów wiejskich* w 1880 r. To urocze i znaczące kompendium o wiktoriańskiej architekturze krajowej przyniosło temu młodemu człowiekowi sławę. Później został współnikiem w znanym zespole architektury przestrzennej »Mouse – Stone«. W 1894 r. Drinkwater zaprojektował Edgewood jako pewien rodzaj złożonej ilustracji plansz ze swej słynnej książki, tym samym tworząc kilka odrębnych domów o różnych rozmiarach i stylach, połączonych ze sobą i niemożliwych do opisanie. To, że jest w tym jakaś logika i ład, zawdzięczamy zdolnościom (już gasnącym) pana Drinkwata. W roku 1897 Drinkwater poślubił Violet Bramble, młodą Angielkę, córkę mistycznego kaznodziei Theodore’a Burne’a Bramble, i w czasie małżeństwa pozostawał pod całkowitym wpływem żony, magnetycznej spirytystki. Jej myśl natchnęła późniejsze wydania *Architektury domów wiejskich*, do których włączał coraz większe porcje filozofii teozoficznej lub idealistycznej, bez usuwania materiału pierwotnego. Szóste i ostatnie wydanie (1910) wydrukowano już prywatnie, gdyż zawodowi wydawcy nie chcieli się tego podjąć, ale nadal zawiera ono plansze z publikacji z 1880 r.

Rodzina Drinkwaterów zgromadziła wokół siebie w tych latach grupę osób o podobnych poglądach: artystów, estetyków i ludzi znużonych życiem. Od samego początku kult ten miał

nastawienie anglofilskie, gościł w swych szeregach poetę Yeatsa, J. M. Barriego, kilku znanych ilustratorów, parę osób o swoistej »poetycznej« osobowości, która kwitła w szczęśliwych czasach zmierzchu przed Wielką Wojną, zniknęła zaś w surowym świetle dnia dzisiejszego.

Interesujący jest fakt, że ludzie ci potrafili skorzystać z ogólnego wyludnienia farm w tym regionie. Pięciokąt, wyznaczony przez pięć miast wokół Edgewood, był świadkiem ucieczki zubożałych chłopów do Miasta i na Zachód, dostrzegł dobrotliwe twarze poetów, którzy unikając gospodarczej rzeczywistości, przybyli, by zająć ich domy. Nic więc dziwnego, że ci, którzy pozostali z tego maleńkiego towarzystwa, byli »odstępcami« uchylającymi się od służby wojskowej ze względów religijnych, w czasie, kiedy ojczyzna potrzebowała ich najbardziej. Do dnia dzisiejszego nie zachowały się żadne ślady ich dziwacznych i bezużytecznych misteriów.

W domu tym nadal mieszkają potomkowie rodziny Drinkwater. Zdobył reputację szalonego domu letniego, zajmującego rozległy teren, ale ani dom, ani okolice nie są dostępne dla zwiedzających”.

Elf?

Rada doktora Drinkwatera

A zatem czeka nas mała pogawędka – odezwał się doktor Drinkwater – gdzie chcesz usiąść?

Smoky wybrał klubowy fotel ze skóry. Doktor Drinkwater, siedząc na kanapie, przeciągnął dłonią po kędzierzawych włosach, zacmokał i zakaszlał znacząco. Smoky czekał na pierwsze pytanie.

– Lubisz zwierzęta? – usłyszał.

– Cóż – odpowiedział Smoky – na wielu się nie znam. Mój ojciec lubił psy.

Doktor Drinkwater skinął głową z rozczarowaniem.

– Zawsze mieszkałem w miastach lub na przedmieściach. Rankiem lubiłem słuchać śpiewu ptaków. – Tu Smoky przerwał. – Czytałem pana opowieści. Myślę, że są... wzięte z życia, tak mi się wydaje.

Uśmiechnął się, jak mu się zdawało, niezwykle przymilnym uśmiechem, ale doktor nie zwrócił na to uwagi. Westchnął tylko głęboko.

– Przypuszczam – stwierdził – że zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz.

Teraz Smoky odchrząknął znacząco.

– Sir, wiem, oczywiście, że nie jestem w stanie zapewnić Alice przepychu, do którego jest przyzwyczajona, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ja wciąż poszukuję. Otrzymałem dobre wykształcenie, nieformalne, ale staram się dociec, jak wykorzystać to, co wiem. Mógłbym uczyć.

– Uczyć?

– Filologii klasycznej.

Doktor gapił się na górne półki, obciążone ciemnymi tomami.

– Um, ten pokój kosztuje mnie dużo nerwów. Idź, porozmawiaj z chłopcem w bibliotece, to słowa mamy. Nigdy tu nie wchodzę, jeśli nie muszę. Jak powiedziałeś, czego to nauczysz?

– Cóż, jeszcze nie nauczam, ale już się szykuję.

– Czy potrafisz pisać? Mam na myśli charakter pisma. To bardzo ważne dla nauczyciela.

– O, tak. Mam bardzo wprawną rękę – przerwał na moment. – Mam trochę pieniędzy, spadek.

– Och, pieniądze. Nie trzeba się martwić. Jesteśmy bogaci – uśmiechnął się do Smoky'ego. – Bogaci jak Krezus. – Przechylił się w tył, chwytając flanelową nogawkę spodni dziwnie drobnymi dłońmi. – To przede wszystkim pieniądze po moim dziadku. Był architektem. I moje własne, za opowieści. I zawsze służyło nam dobrą radą – spojrzał na Smoky'ego w dziwny, litościwy sposób. – Na to zawsze możesz liczyć: na dobrą radę. – Potem, jakby podzieliwszy się dobrą radą, rozstawił nogi, poklepał się po kolanach i wstał. – Cóż. Czas na mnie. Zobaczymy się przy kolacji? Dobrze. Nie przemęczaj się. Jutro czeka cię długi dzień.

Te ostatnie słowa wypowiedział już za drzwiami, tak bardzo śpieszył się do wyjścia.

Architektura domów wiejskich

Zauważył je, za szklanymi drzwiczkami, za doktorem Drinkwaterem siedzącym na kanapie; przysiadł na sofie, przekręcił klucz i otworzył drzwiczki. Były tam, wszystkie sześć, zgodnie z tym, co mówił przewodnik, ustawione starannie według grubości. Wokół nich, pochylone lub wetknięte pionowo, znajdowały się inne publikacje. Wyjął najcieńszą z nich, nie grubszą niż jeden cal. Architektura domów wiejskich. Okładka z intaglio, z rustykalnym wiktoriańskim tytułem (biegnącym ukośnie), wypuszczającym gałązki i liście.

Oliwkowy kolor martwego listowia. Przerzucił ciężkie stronice. Późny gotyk, pełny lub zmodyfikowany. Willa w stylu włoskim, odpowiednia na rezydencję w otwartej przestrzeni lub na polu. Styl elżbietański i zmodyfikowany neoklasyk, czyściutko na osobnych kartkach. Chata. Dworek. Wszystko w kunsztownym otoczeniu topól lub sosen, wodotrysków lub wzgórz, z niewielką liczbą czarnych gości, a może to byli dumni właściciele, którzy przyszli upomnieć się o swą własność? Pomyślał, że gdyby te wszystkie plansze znajdowały się na szkle, mógłby jednym ruchem podnieść je w zapyłony strumień światła słonecznego, padający od okna, a wtedy Edgewood pojawiłoby się w pełnej krasie. Przeczytał kawałek tekstu, w którym dokładnie opisywano wszelkie wymiary, dowolne fantazje, pełne i zabawne wyliczenia kosztów (dziesięć dolarów na tydzień dla kamieniarza, który już od dawna nie żyje, a wraz z nim pochowano jego zdolności i tajemnice). Co dziwniejsze, określono też, jaki typ domu odpowiadał danej osobowości i profesji. Odłożył książkę.

Następna, którą wyciągnął, była prawie dwa razy grubsza. Wydanie czwarte, głosił napis, *Little, Brown*, Boston 1898. Ta miała frontyspis, smutny portret Drinkwatera wykonany miękkim ołówkiem. Smoky z trudem rozpoznał podwójne nazwisko artysty. Na wypełnionej po brzegi tytułowej stronie widniał epigraf: Powstań, i burzę od nowa. Shelley. Plansze były takie same, choć znajdował się tam zestaw kombinacji przedstawiających plany pięter, oznakowany tak, że Smoky niczego nie zrozumiał.

Szóste i ostatnie wydanie, potężne i ciężkie, oprawione było wspaniale w fioletowy róż *art nouveau*. Tytułowe litery wyciągały drżące kończyny i wijące się potomstwo, jakby chciały wyrosnąć. Całość przypominała odbicie w pomarszczonej powierzchni liliowego stawu, rozkwitającego wieczorem. Frontyspis nie przedstawiał już Drinkwatera, lecz jego żonę, fotografia niczym rysunek, zamazana jak szkic węglem. Jej niewyraźna twarz. Być może nie było to dzieło sztuki. Być może, podobnie jak on, nie zawsze była całkowicie obecna; ale biło od niej piękno. Były tam wiersze dedykacyjne i epistoły; i potężna armia Wstępów, Przedmów i Rozpraw Krytycznych, druk czerwony i czarny; a potem – jak poprzednio, maleńkie domki, wyglądające staromodnie i niezgrabnie, jak pospolite miasteczko zmiecione w nowoczesnym szaleństwie. Jakby sekretarz Violet walczył o ostatni przebłysk myśli, na tych stronicach wypełnionych abstrakcjami, wypisywanymi dużymi literami (im grubsza książka, tym drobniejszy druk). Na kolejnych kartkach pojawiały się poboczne przypisy, epigrafy, nagłówki rozdziałów i wszystkie te uzupełnienia, które nadają tekstowi kształt materialny, logiczny, wyraźny, nie nadający się jednak do czytania. Na samym końcu, do wyklejki przymocowano wykres lub mapę, kilkakrotnie złożoną, pakiet dość pokaźny. Wykonano go z cienkiego papieru i początkowo Smoky nie miał pojęcia, jak go rozwinąć. Spróbował jednego sposobu, drgnął na dźwięk zduszonego pisku, jaki wydał rozdzierany stary fałd, zaczął od nowa. Przeglądając poszczególne części, zauważył, iż był to ogromny plan, ale czego? W końcu rozwinął całość; plan leżał teraz na jego kolanach odwrócony, szeleszczący. Musiał tylko przewrócić go na drugą stronę. Zatrzymał się na moment, nie mając pewności, czy na pewno chce go zobaczyć. „Przypuszczam – powiedział doktor – że zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz”. Odwinął jeden brzeg. Plan uniosł się tak lekko jak skrzydło motyla, był stary i delikatny; przeszył go promień słońca, a Smoky spojrział na skomplikowane kształty pełne objaśnień. Ułożył plan na ziemi i wbił weń wzrok.

Właśnie wtedy

A zatem czy ona tam pójdzie, Cloud? – spytała matka, a Cloud odpowiedziała:

– Cóż, nie zanoszę się na to.

Nie dodała nic więcej, tylko tak siedziała po drugiej stronie kuchennego stołu, a dym z jej papierosa tłumiał światło słoneczne.

Matka, po łokcie umazana mąką, przygotowywała placek, czynność nie tak całkowicie bezmyślna, choć lubiła ją tak nazywać. Prawdę mówiąc odkryła, iż właśnie wtedy jej myśli są

najbardziej klarowne, uwagi najbardziej cięte. Kiedy jej ciało pozostawało zajęte, mogła robić rzeczy niemożliwe do wykonania w innym czasie, rzeczy takie jak porządkowanie zmartwień według stopnia ważności, każdy stopień pod panowaniem nadziei. Gotując, przypominała sobie wiersze, dawno zapomniane, albo przemawiała językiem swego męża lub dzieci, zmarłego ojca lub nienarodzonych wnuków (widziała je wyraźnie – trzy dziewczyny z dyplomami uniwersyteckimi i szczupły, nieszczęśliwy chłopak). Czuła pogodę w kościach i gdy wsuwała do piekarnika stare, szklane formy z plackiem (piecyk chuchnął na nią swym gorącym oddechem), wspomniła, że zanosi się na burzę. Cloud nie zareagowała, tylko westchnęła głęboko i zaciągnęła się papierosem, otarła krople potu lśniące na pomarszczonej szyi małą chusteczką, którą następnie wetknęła starannie do rękawa. Odezwiała się:

– Potem się przejaśni.

Wyszła wolno z kuchni i udała się do swojego pokoju, zastanawiając się, czy zdąży na chwilę przymknąć oczy przed kolacją. Zanim ułożyła się na szerokim, puchowym łożu, które przez kilka krótkich lat należało do niej i Henry’ego Clouda, zerknęła na wzgórza, i, tak, białe cumulusy narastały w oddali, wspinając się ku nieuchronnemu zwycięstwu, niewątpliwie Sophie miała rację. Cloud leżała pogrążona w myślach: w końcu dotarł, cały i zdrowy, i nie zaprzeczył niczemu. Nic więcej nie wiedziała.

Właśnie wtedy, tam, gdzie Stary Kamienny Mur oddziela Zieloną Łąkę od Starego Pastwiska, które pokryte kamieniami i pełne owadów opada ku brzegowi Liliowego Stawu, zatrzymał się doktor Drinkwater w księżym kapeluszu, z trudem łapiąc powietrze. Powoli krew przestawała mu pulsować w skroniach, a on sam zaczął wsłuchiwać się w niekończące się pogaduszki ptaków, półtony cykad, szelest i szmery tysiąca poruszających się dokoła istot. Ziemi tej dotknęła dłoń człowieka, choć obecnie dłoni tej już nie było widać. Za Liliowym Stawem ujrzał uspiiony dach stodoły Browna, wiedział, że stoi na opuszczonym pastwisku jego gospodarstwa, a ten mur to jego stara granica. Gospodarstwo to urozmaicało scenerię: rozległa przestrzeń upstrzona wieloma domami, małymi i dużymi, ten obszerny mur, to słoneczne pastwisko, tamten staw. Tak właśnie doktor wyobrażał sobie pojęcie „ekologia”, widział to teraz, a następnie przeinaczał w zwartych szpaltach, które sąsiadowały z kronikami tego miejsca w gazecie Miasta. Wyjątkowo ostrożnie przysiadł na ciepłym, omszałym kamieniu, a Delikatny Wietrzyk przyniósł mu wiadomość, że do wieczora wielka chmura rozsypie się na kawałki.

Właśnie wtedy, w pokoju Sophie, na szerokim, puchowym łożu, w którym przez lata sypiali John Drinkwater i Violet Bramble, leżały ich dwie prawnuczki. Długa, jasna suknia, którą miała nałożyć Daily Alice następnego dnia, aby prawdopodobnie już jej nigdy całkowicie nie zdjąć, zwisała starannie z drzwi szafy, odbijając się dokładnie w lustrze, przyciskając się mocno do niego; dokoła poniewierały się przeróżne dodatki. Sophie i jej siostra leżały nagie w południowym skwarze. Sophie przeciągnęła dłonią po wilgotnym od potu boku siostry. Daily Alice powiedziała:

– Ach, jest zbyt gorąco. – Ogarnęła ją jeszcze silniejsza fala ciepła, gdy poczuła na ramieniu łzy swej siostry. Odezwała się: – Któregoś dnia, już niebawem, to będziesz ty, ty wybierzesz lub zostaniesz wybrana, ty zostaniesz kolejną czerwcową panną młodą.

A Sophie odpowiedziała:

– Nigdy, przenigdy.

Dodała coś jeszcze, czego Alice nie usłyszała, gdyż Sophie przytuliła twarz do jej szyi i tam mruczała. To, co wyszeptała, brzmiało: – On tego nigdy nie zrozumie ani nie zobaczy, nigdy nie dadzą mu tego, co dali nam, będzie wchodził w niewłaściwe miejsca, patrzył tam, gdzie powinien odwrócić wzrok, nigdy nie ujrzy drzwi ani nie pozna skrętów; tylko poczekaj, poczekaj, a sama się przekonasz.

Właśnie wtedy ciotka Cloud zastanawiała się, o czym się przekonają, jeśli zaczekają; to samo czuła matka, ale już nie z taką prostą ciekawością; manewrowała raczej wśród armii możliwości. Podobnie czuł Smoky, pozostawiony samemu sobie w czarnej, zakurzonej bibliotece, z rozłożonym planem, z powodu, jak przypuszczał, niedzielnej sjesty, dnia odpoczynku; właśnie wtedy zadrżał, czujny i wyprostowany jak płomień.

III

*Pewna stara kobieta
Mieszkała u stóp góry
I jeśli nie odeszła
To nadal tam mieszka.*

Było to pewnego radosnego lata, pod koniec zeszłego stulecia. John Drinkwater, wędrując pieszo po Anglii pod pozorem oglądania domów, znalazł się o zmierzchu u bram plebanii w Cheshire. Zgubił nie tylko drogę, ale i przewodnik, który idiotycznie utopił w rzeczce, przy której kilka godzin wcześniej jadł lunch. Był głodny i choć wieś angielska wydawała się bezpieczna i cudowna, odczuwał niepokój.

Dziwne wnętrze

W ogrodzie wokół plebanii, ogrodzie zaniedbanym i niesfornym, ćmy migotały wśród gęstej kaskady różanych krzewów, a ptaki poruszały się i szeleściły na sękatej, władczej jabłoni. Ktoś siedział na konarze drzewa i trzymał zapaloną świecę. Świeca? Była to młoda dziewczyna, cała w bieli. Zasłaniała świecę dłońmi; świeca jaśniała i gasła, i znowu jaśniała. Dziewczyna odezwała się, ale nie do niego:

– Co się dzieje?

Płomień świecy zniknął na dobre, a on się odezwał:

– Przepraszam bardzo.

Dziewczyna szybko i zwinnie zaczęła schodzić z drzewa, a on odsunął się od bramy, by nie wyjść na wścibskiego natręta, kiedy do niego podejdzie. Ale ona nie podeszła. Skądś lub zewsząd dolatywał śpiew słowika, zamilkł, znów przeszył ciszę.

Nie tak dawno Drinkwater znalazł się na rozdrożu (nie na prawdziwym rozdrożu, choć wiele z nich napotkał podczas miesięcznej wędrowki, kiedy to musiał wybierać między drogą wzdłuż rzeki a wspinaczką po wzgórzach, ale w życiowych rozdrożach to doświadczenie okazało się całkowicie bezużyteczne). Cały obrzydliwy rok spędził na projektowaniu ogromnego Drapacza Chmur, który miał wyglądać, na ile pozwalał mu jego rozmiar i

przydatność, jak trzynastowieczna katedra. Kiedy po raz pierwszy przedstawił klientowi projekty, traktował to jak dobry żart, dziwaczny wymysł, nawet pewną odskocznją. Pewien był, iż pomysł zostanie odrzucony, ale nie, klient chciał, aby jego Drapacz Chmur był właśnie taki, żeby stał się Katedrą Handlu, a John Drinkwater był w stanie wymyślić wszystko: mosiężne skrzynki na listy w kształcie chrzcielnicy, groteskowe płaskorzeźby karłów rozmawiających przez telefon lub odczytujących kamienne taśmy telegraficzne, chimery wystające z budynku na taką wysokość, iż nikt nie mógł ich dojrzeć, chimery o wyłupiastych oczach (choć tego właśnie się wyparł) i porowatym nosie jego klienta – nie było dla niego żadnych przeszkód, a teraz musiał to wszystko wprowadzić w życie zgodnie z planem.

Kiedy realizacja projektu wlokła się w nieskończoność, o mało co nie zaskoczyła go pewna zmiana; o mało co, bo się jej oparł; było to coś poza nim, coś, co mógł prawie, ale niezupełnie, nazwać. Po raz pierwszy zauważył to jako przenikanie do jego wypełnionego, aczkolwiek uporządkowanego dnia specyficznych marzeń: abstrakcyjne słowa, które wypowiadał w nim jakiś głos. Jednym z nich było słowo „różnorodność”. Kolejny wyraz pojawił się następnego dnia (kiedy w czasie czarnego jak sadza deszczu wyglądał przez wysokie okna University Club) i brzmiał „kombinatoryjny”. Raz wypowiedziane, każde pojęcie ogarniało cały jego umysł, rozszerzając się na pracownię i dział rachunkowości, paraliżując go całkowicie, aż nie miał sił, by zrobić następny, długo przygotowywany, starannie przemyślany krok w swej karierze, określanej przez niektórych jako „błyskotliwa”.

Miał uczucie, iż zapada w długi sen albo się z niego budzi. Tak czy inaczej, nie chciał, aby się to działo. Szukając środków zaradczych, zainteresował się teologią. Czytał dzieła Swedenborga i Augustyna; najbardziej koił go Tomasz z Akwinu, rozumiał Anielskiego Doktora budującego kamień po kamieniu potężną katedrę Summy. Dowiedział się, że pod koniec życia Tomasz z Akwinu uznał wszystko, co stworzył, za „kopiec siana”.

Kopiec siana. Drinkwater siedział przy szerokiej desce kreślarskiej w długich, oszklonych pomieszczeniach spółki „Mouse, Drinkwater i Stone”, gapiąc się na ciemnobrunatne fotografie wież, parków i willi, które wybudował, i myślał: kopiec siana. Jak pierwszy, najbardziej nietrwały domek z bajki o trzech świnkach. Musiało istnieć bezpieczniejsze miejsce, miejsce, w którym mógłby się ukryć, bez względu na to, kim był ten ścigający go wilk. Miał już trzydzieści dziewięć lat.

Jego wspólnik Mouse odkrył, że Drinkwater spędził kilka miesięcy przy desce kreślarskiej, nie posuwając się z planami Katedry Handlu, bazgrząc zamiast tego maleńkie domki o dziwacznych wnętrzach; dlatego też wysłano go za granicę, na wypoczynek.

Dziwaczne wnętrza... Przy ścieżce, która wiodła od bramy do oświetlonych półkoliście drzwi plebanii, dostrzegł jakąś maszynę czy ogrodową dekorację: białą kulę na piedestale, otoczoną zardzewiałymi, żelaznymi pierścieniami. Niektóre z nich odgięły się i leżały teraz na ścieżce, porośnięte chwastami. Jednym pchnięciem otworzył bramę, a jej zawiasy zanuciły krótką pieśń. W budynku pulsowało światło, a kiedy podszedł bliżej zachwaszczoną ścieżką,

ktoś powitał go przy drzwiach.

Bo to był on

– Nie jesteś tu mile widziany – powiedział doktor Bramble (bo to był on). – To już nie jesteś ty, ani trochę. Czy to ty, Fred? Zamknę tę bramę na kłódkę, bo ludzie nie wiedzą, co to są dobre maniery.

– Ja nie jestem Fred.

Jego akcent zastanowił doktora Bramble'a. Uniósł w górę lampę.

– A zatem kim jesteś?

– Zwyczajnym wędrowcem. Obawiam się, że zgubiłem drogę. Nie ma pan telefonu?

– Oczywiście, że nie.

– Nie miałem zamiaru się narzucać.

– Uważaj na to stare planetarium. Zawaliło się, to straszna pułapka. Amerykanin?

– Tak.

– Coś takiego. Proszę, wejdź.

Dziewczyny nie było.

Dziwne, zacienione aleje

Dwa lata później John Drinkwater siedział senny w przegrzanych i wypełnionych duchem salach Miejskiego Towarzystwa Teozoficznego (nigdy nie przypuszczał, że którakolwiek z dróg doprowadzi go właśnie tu, ale tak się stało). Zbierano zapisy na cykl wykładów prowadzonych przez osoby światłe, a wśród mediów i gimnozofistów, oczekujących na decyzję Towarzystwa, Drinkwater natknął się na nazwisko doktora Theodora Burne'a Bramble'a, który miał rozprawiać o Małych Światach w obrębie Dużego. Gdy tylko przeczytał nazwisko, przed oczami stanęła mu postać dziewczyny z jabłoni, światełko niknące w jej złożonych dłoniach. O co chodzi? Ujrzał ją ponownie, jak weszła do mrocznej jadalni, nie przedstawiona przez proboszcza, który nie mógł zmusić się do przerwania długiego wywodu, by wypowiedzieć jej imię. Pokiwał tylko głową i odsunął stos spleśniałych książek oraz pakietów gazet przewiązanych niebieską taśmą, by mogła swobodnie (nie podnosząc na niego wzroku) postawić zmatowiały serwis do herbaty i pęknięty talerzyk z wędzoną rybą. Mogła być jego córką albo podopieczną, albo służącą, albo więźniem – może nawet opiekunką, gdyż idee doktora Bramble'a były dziwaczne i natrętne, choć głosił je z umiarem.

– Widzisz, Paracelsus uważa, że... – odezwał się i przerwał, by zapalić fajkę. Drinkwater zdołał wtrącić:

– Ta młoda dama to pańska córka?

Bramble spojrzał na niego, jakby Drinkwater ujrzał jakiegoś członka rodziny Bramble, o którym nie wiedział; potem przytaknął, kiwając głową, i ciągnął dalej:

– Widzisz, Paracelsus...

Dziewczyna przyniosła białe i czerwone porto, nie czekając na wezwanie, a kiedy wszystko zostało wypite, doktor Bramble poczuł nieodpartą chęć wyrażenia swych osobistych żalów, jak to zabrali mu ambone, gdy głosił prawdę, której się nauczył, jak wyśmiewali się z niego, jak przywiązywali puszki do ogona jego psa, biedne stworzenie! Dziewczyna podała whisky i brandy, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał ją o imię.

– Violet – odparła, nie patrząc na niego.

Nareszcie doktor Bramble zaprowadził go do sypialni, bo gdyby tego nie uczynił, Drinkwater przestałby słyszeć jego słowa; i tak nie rozumiał już, co mówił do niego Bramble.

– Domy zbudowane z domów w domach powstałych z czasu – powtarzał do siebie głośno, zanim nastał świt, kiedy obudził się ze snu o łagodnej twarzy doktora Bramble'a, czując straszliwe pieczenie w gardle.

Gdy podniósł stojący przy łóżku dzban, wypełził spod niego zaskoczony pająk. Drinkwater stanął przy oknie jak posąg i przycisnął do policzka chłodną porcelanę. Spojrzał na wywołane wiatrem wyspy mgieł, opadające między koronkowymi drzewami, i przyglądał się ostatnim, gasnącym świetlikom. Wtedy zobaczył ją, jak wraca ze stodoły, bosą, w jasnej sukience, z wiadrzem mleka w każdej ręce, rozlewając przy każdym kroku po kilka kropel na ziemię, choć stąpała bardzo ostrożnie. I wtedy wyobraził sobie, w momencie niezwykłego olśnienia, jak stworzy ten jedyny w swoim rodzaju dom, dom, który w rok i kilka miesięcy potem stał się domem Edgewood.

A teraz tutaj, w Nowym Jorku, miał przed sobą jej nazwisko, choć myślał, że nigdy więcej jej nie ujrzy. Podpisał subskrypcję.

Wiedział, że ona będzie towarzyszyć swemu ojcu, wiedział to, gdy tylko przeczytał to nazwisko. Wiedział, że wyglądać będzie jeszcze piękniej, że jej nigdy nieobcinane włosy dłuższe będą o dwa lata. Nie wiedział, że przyjedzie w trzecim miesiącu ciąży z Fredem Reynardem lub Oliverem Hawksquillem albo kimś innym, niezbyt mile widzianym na plebanii (nigdy nie zapytał o imię); nie pomyślał, że ona, tak jak i on, starsza będzie o dwa lata, że sama stanie na rozdrożu, by potem ruszyć dziwną, zacienioną aleją.

Nazwijmy to bramą

– Paracelsus twierdzi – przemawiał do teozofów doktor Bramble – że wszechświat przepełniony jest siłami, duchami, które nie są tak zupełnie niematerialne – i cokolwiek to znaczy, lub znaczyło, prawdopodobnie wykonany jest z materii delikatniejszej, mniej namacalnej niż zwykły świat. Wypełniają one wodę, powietrze i wszystko dokoła; otaczają nas z każdej strony, a my najmniejszym nawet ruchem – tu podniósł delikatnie dłoń o długich palcach, rozpędzając fajkowy dym – przesuwamy tysiące z nich.

Siedziała przy drzwiach, poza czerwonym światłem lampy, znudzona, zdenerwowana, albo jedno i drugie; podparła dłonią policzek, a lampa oświetlała czerń poniżej jej ramion,

nadając jej złocisty kolor. Miała głębokie i dzikie oczy; i tylko jedną brew – to znaczy, ciągnęła się ona bez przerwy tuż nad jej nosem, naturalna i gęsta. Nie patrzyła w jego stronę, a kiedy to uczyniła, nie zobaczyła go.

– Paracelsus dzieli je na nereidy, driady, sylfy i salamandry – ciągnął doktor Bramble. – My powiedzielibyśmy syreny, elfy, wróżki i chochliki. Jeden rodzaj ducha odpowiada jednemu z czterech żywiołów: syreny wodzie, elfy ziemi, wróżki powietrzu, chochliki ogniovi. W ten właśnie sposób wyprowadzamy wspólną nazwę dla wszystkich tych istot: elementale. Bardzo to trafne i prawidłowe. Paracelsus miał ścisły umysł. Jednakże nie jest to prawda, gdyż pospolity błąd tkwi w założeniu, stary, poważny błąd, tkwiący u podstaw całej historii naszej nauki, że to właśnie z tych czterech żywiołów stworzony jest świat: z ziemi, powietrza, ognia i wody. Teraz oczywiście wiemy, iż istnieje około dziewięćdziesięciu elementali, a te cztery stare do nich nie należą.

W bardziej radykalnym skrzydle różokrzyżowców zawrzało, gdyż oni nadal przywiązywali wielką wagę do czterech żywiołów, a doktor Bramble, rozpaczliwie pragnąc sukcesu, łyknął trochę wody ze stojącego z tyłu kielicha, odchrząknął i spróbował kontynuować swój wykład, przechodząc do bardziej sensacyjnych i rewelacyjnych części.

– Pytanie brzmi – zaczął – dlaczego „elementale”, jeśli nie są kilkoma rodzajami istnienia, a tylko jednym, w co głęboko wierzę, objawiają się w tak różnorodnych formach. Bo fakt, że się objawiają, panie i panowie, nie budzi już żadnych wątpliwości.

Spojrzał znacząco na swą córkę, wielu uczyniło podobnie; to w końcu jej doświadczenia nadały znaczenie stwierdzeniom doktora Bramble’a. Uśmiechnęła się niewyraźnie i prawie skurczyła pod ich wzrokiem.

– A zatem – mówił – zestawiając różne przykłady, zarówno te, o których wspominają mity i baśnie, jak i te ostatnie, potwierdzone doświadczeniem, dochodzimy do wniosku, że elementale te, choć dzielą się na dwa podstawowe charaktery, występować mogą w kilku odmiennych rozmiarach i (jak by to powiedzieć) gęstościach.

Dwa odrębne charaktery: z jednej strony charakter eteryczny, wspaniały i wzniosły, z drugiej – psotny, przyziemny, groteskowy – to w gruncie rzeczy dwie odrębne płcie. U osobników tych różnice płciowe są o wiele bardziej wyraźne niż u ludzi.

Kolejna sprawa to różnice w rozmiarach. Na czym one polegają? W swej postaci sylficznej lub chochlikowatej nie są większe od dużego owada lub kolibra; mówi się, że zamieszkują lasy, kojarzy się je z kwiatami. Wiele zabawnych opowieści wypełnionych jest ich włóczyniami z kolców szarańczy i zaprzęgami z łupin orzechów ciągniętych przez ważki. Innym razem są wysokie na stopę lub trzy, nie mają skrzydeł, a kształtem przypominają kobiety i mężczyzn. Praktykują też bardzo ludzkie zwyczaje. Istnieją wróżki zdobywające serca ludzi, kochające się z nimi, nie różniące się wzrostem od zwykłych ludzi. Są też czarodziejscy wojownicy na ogromnych rumakach, zjawy zwiastujące śmierć i olbrzymie istoty, znacznie większe od ludzi.

Jak można to wytłumaczyć?

Wytłumaczeniem jest fakt, iż świat zamieszkały przez te istoty nie jest światem, w którym żyjemy. To całkowicie odrębny świat, ale zawiera się w naszym świecie; w pewnym sensie jest on uniwersalnym, oddalającym się odbiciem lustrzanym tego świata, ze specyficzną geografią, którą mogę określić jedynie mianem lejkowatej.

Przerwał, czekając na reakcję.

– Rozumiem przez to, że ten drugi świat składa się z serii koncentrycznych pierścieni, a jeśli ktoś wchodzi w jego głąb, pierścienie te stają się coraz większe. Im dalej się w niego wchodzi, tym jest rozleglejszy. Każdy obwód tej serii koncentryczności otacza coraz większy świat, aż w punkcie centralnym staje się nieskończony. Lub przynajmniej bardzo, bardzo wielki.

Znowu popił wody. Jak zwykle, gdy zaczynał to wszystko wyjaśniać, słowa wyciekały z niego same; perfekcyjna jasność tego, co mówił, perfekcyjny paradoks, który dźwięczał w nim czasem jak dzwon – wszystko to było tak trudne, och Boże, niemożliwe do wyrażenia. Zgromadzone przed nim kamienne twarze czekały.

– Widzicie państwo, my, ludzie, zamieszkujemy to, co w rzeczywistości jest najobszerniejszym, najbardziej oddalonym od środka kręgiem odwróconego lejka, którym jest ten drugi świat. Paracelsus ma rację: istoty te towarzyszą każdemu naszemu ruchowi, ale nie możemy ich dostrzec, nie dlatego, iż są nieuchwytnie, ale dlatego, że tutaj są zbyt małe, by je zobaczyć!

Wokół wewnętrznego obwodu tego kręgu, który jest naszym codziennym światem, istnieje wiele przejść – nazwijmy je bramami – przez które możemy dostać się do następnego, mniejszego kręgu ich świata. Tutaj jego mieszkańcy są wielkości widmowych ptaków lub błędnych płomieni świec. To nasze najbardziej powszechne z nimi doświadczenie, jako że to właśnie ten pierwszy obwód przekracza najwięcej osób, jeśli w ogóle im się to udaje. Kolejny, głębszy obwód jest już mniejszy, a tym samym ma mniej bram; mało prawdopodobne, aby ktoś go przekroczył przypadkiem. Tu jego mieszkańcy przybierają postać wrózkowych dzieci lub samych wrózek, lecz obserwuje się je nieco rzadziej. I tak do środka: tam, gdzie wielkie, wewnętrzne kręgi rosną do pełnych rozmiarów, są one tak cienkie, że po prostu nad nimi przechodzimy, nieustannie, w naszym codziennym życiu, nawet o tym nie wiedząc. I nigdy tam nie wступujemy – choć być może w dawnych, bohaterskich czasach dostęp był o wiele łatwiejszy, a nam pozostały opowieści o dokonanych tam czynach. I na koniec krąg najrozleglejszy, nieskończoność, punkt centralny, Zaczarowana Kraina, panie i panowie, w której gigantyczni herosi galopują po bezkresnych przestrzeniach, żeglują po niekończących się morzach, w której wszystko jest możliwe; krąg ten jest tak maleńki, że nie prowadzi do niego żadna brama.

Usiadł wyczerpany.

– A więc – włożył zgaszoną fajkę w zęby – zanim przejdę do oczywistych dowodów,

objaśnień matematycznych i topograficznych – postukał w rozrzucony w nieładzie stos papierów i pozakładanych książek – powinni państwo wiedzieć, że są osoby, którym dane jest penetrować siłą woli te małe światy, o których mówiłem. Jeśli życzą sobie państwo dowodów z pierwszej ręki, potwierdzających postawione przeze mnie tezy, moja córka, panna Violet Bramble...

Całe towarzystwo, mrużąc (po to w końcu przyszli) spojrzało w stronę miejsca, gdzie w czerwonym świetle lampy siedziała Violet.

Miejsce było puste.

A wszystko jest możliwe

To właśnie Drinkwater znalazł ją na podeście schodów prowadzących z sal Towarzystwa do kancelarii adwokackiej na następnym piętrze. Leżała skulona i nie poruszała się, a gdy podszedł bliżej, tylko wodziła za nim oczami. Kiedy chciał zapalić nad nią lampę gazową, dotknęła jego nogi.

– Nie rób tego.

– Jesteś chora?

– Nie.

– Wystraszona? – Nie odpowiedziała. Usiadł obok i ujął jej dłoń. – Moje dziecko – odezwał się po ojcowsku, ale poczuł drżenie, jakby jej dłoń poraziła go prądem – oni nie chcą cię skrzywdzić, wiesz, nie będą cię dręczyć...

– Nie jestem – wycedziła powoli – klaunem w cyrku.

– Nie.

Ile mogła mieć lat – piętnaście, szesnaście? Zbliżył się jeszcze do niej i zauważył, że cicho płacze: wielkie łzy gromadziły się w ciemnych bezmiarach oczu, drżały na gęstych rzęsach i kropla za kroplą spływały po policzkach.

– Tak mi go szkoda. Nie chce mi tego robić, a jednak to robi. To dlatego, że jesteśmy zdesperowani.

Powiedziała to tak prosto, jakby mówiła: „To dlatego, że jesteśmy Anglikami”. Nie wypuściła jego dłoni; być może jej nawet nie dostrzegła.

– Pomogę ci.

To właśnie przyszło mu do głowy, choć czuł, iż cokolwiek wobec niej postanowi, będzie niemożliwe do zrealizowania. Dwa lata próznej walki, od chwili gdy zobaczył ją na jabłoni do teraz, zdały się wyschnąć na pył i odlecieć. Musi jej bronić; zabierze ją stąd, gdzieś w bezpieczne miejsce, gdzieś... Nie odezwała się, on nie mógł wydobyć z siebie żadnego słowa; wiedział, iż jego starannie zbudowane życie, wymurowane i umeblowane w ciągu czterdziestu ostrożnych lat, nie wytrzymało wichrów niezadowolenia; poczuł, jak się rozpada: rozsypały się fundamenty, pojawiły się głębokie szpary, cały jego gmach zapadł się z głuchym łoskotem, który dobiegł do jego uszu. Całował gorące, słone łzy na jej policzkach.

Przechadzka wokół domu

– Może – zaproponował John Drinkwater, kiedy w drzwiach ustawiono wszystkie ich pudła i kufry, by mogła się nimi zająć służba, a doktor Bramble usadowił się w wygodnym fotelu na szerokiej, marmurowej werandzie – chciałabyś się przejść wokół domu?

Po stożkowatych kolumnach werandy pięła się wisteria, a jej krystalicznie zielone liście, choć lato dopiero się zaczęło, przesłaniały już widok, który pokazał im ręką: szeroki trawnik i świeżo zasadzone rośliny, pawilon, odległy skrawek wody wycięty w łuku wykwiutnego, klasycznego mostu.

Doktor Bramble pochylił się i wyciągnął z kieszeni niewielką książkę. Violet powiedziała cicho, że się zgadza (jak bardzo musi być onieśmielona w tym wielkim miejscu; spodziewała się drewnianych chat i czerwonoskórych Indian; tak mało wiedziała). Wzięła go za ramię – silne ramię budowniczego, pomyślała – i ruszyli przez nowy trawnik, przechodząc żwirową ścieżką między kamiennymi sfinksami strzegącymi drogi. (Sfinksy wykonane zostały przez jego włoskich przyjaciół – kamieniarzy, tych samych, którzy wkrótce potem wykuwali kiście winogron i cudaczne twarze na fasadach miejskich bloków, projektowanych przez jego partnera Mouse'a; wykuwano je szybko w miękkim kamieniu, a więc czas okazał się dla nich nieubłagany, ale to dopiero miało nadejść).

– Możecie zostać tak długo, jak tylko chcecie – powiedział Drinkwater.

Powiedział to już wcześniej w restauracji Sherry, dokąd zabrał ich po zakończonym nijak wykładzie, zaprosił ich nieśmiało, ale stanowczo. Powtórzył to w nędznym i cuchnącym holu hotelowym, z którego ich odbierał, i na Grand Central Station pod wielkim, mrugającym Zodiakiem, który (doktor Bramble nie mógł tego nie zauważyć) namalowany był w niewłaściwej kolejności na niebieskim suficie. I jeszcze raz w pociągu, kiedy kiwnęła głową, drzemiąc pod jedwabnym pączkiem róży, który przytaknął także ze swego kolejowego kielicha.

Ale jak długo zechce zostać?

– To bardzo miło z twojej strony – rzekła.

– Będziesz mieszkać w wielu domach – powiedziała jej kiedyś pani Underhill. – Będziesz wędrować i mieszkać w wielu domach.

Słyszac to, zalała się łzami. Płakała też później, w pociągach i na statkach, i w poczekalniach, nie mając pojęcia, co to znaczy „wiele domów” i jak długo miała mieszkać w każdym z nich. Z pewnością był to bezmiar czasu, bo od chwili, gdy opuścili plebanię w Cheshire sześć miesięcy temu, mieszkali tylko w hotelach i wynajętych mieszkaniach i wyglądało na to, że nic się nie zmieni. Jak długo?

Jak podczas musztry przemaszerowali po porządnej, kamiennej ścieżce, skręcili w prawo, weszli na następną. Drinkwater odchrząknął na znak, że przerywa ciszę, która wokół nich zapadła.

– Tak bardzo mnie ciekawią te, no wiesz, twoje doświadczenia – odezwał się.

Uniósł w górę dłoń.

– Nie mam zamiaru się wtrącać albo cię denerwować, jeśli nie chcesz o nich mówić. Po prostu bardzo mnie to interesuje.

Nie odezwała się ani słowem. Mogła mu tylko powiedzieć, że doświadczenia te należą już do przeszłości. Przez moment zabiło jej serce, a on to chyba wyczuł, bo ścisnął jej rękę, bardzo delikatnie.

– Inne światy – rozmarzył się. – Światy w obrębie światów.

Zaprowadził ją do jednej z ławek ustawionych przy ostrzyżonym żywopłocie. Fronton domu tuż za nim, w płowożółtym kolorze, osobliwy w słońcu późnego popołudnia, wydawał jej się surowy, lecz uśmiechnięty, jak twarz Erazma na frontyspisie, którą dostrzegła przez ramię ojca.

– Cóż – stwierdziła. – Te rozważania o światach w obrębie światów i to wszystko to tylko pomysły mego ojca. Nie wiem.

– Ale ty tam byłaś?

– Tak twierdzi mój ojciec. – Skrzyżowała nogi i splecionymi palcami zakryła starą, nie dającą się usunąć, brązową plamę na muślinowej sukience. – Nigdy się tego nie spodziewałam. Powiedziałam mu tylko o... tym wszystkim, co mi się przydarzyło. Miałam nadzieję, że podniosę go na duchu. Trzeba było mu powiedzieć, że te wszystkie kłopoty są częścią Opowieści.

– Opowieści?

Nagle obudziła się w niej czujność.

– To znaczy, ja się nigdy tego nie spodziewałam. Że opuszczę dom. Że opuszczę...

Ich, tak chyba szepnęła, ale od wieczoru w Towarzystwie Teozoficznym – ostatnia kropla, która przelała czarę! – nie mówiła już o nich. Wystarczyło, że ich straciła.

– Panno Bramble – zaczął – nie miałem zamiaru być natrętem, wypytywać o tę... opowieść.

Ale to nie była prawda. Był oczarowany. Musi się dowiedzieć; musi poznać jej serce.

– Nikt ci tu nie będzie przeszkadzał. Możesz odpocząć.

Wskazał ręką na libańskie cedry, które zasadził na zadbanym trawniku. Płąsający w nich wiatr trajkotał jak dziecko: nieśmiała zapowiedź silnego, poważnego głosu, którym miały przemawiać, gdy dorosną.

– Tutaj jest bezpiecznie. Dlatego zbudowałem to miejsce.

A ona rzeczywiście poczuła, wbrew wszelkim formalnym ograniczeniom, pewien spokój. Jeśli straszliwym błędem było poinformowanie o nich ojca, jeśli to rozpałiło, a nie uspokoiło jego umysł i tylko dlatego wyruszyli oboje w drogę niczym para wędrownych kaznodziejów lub cygan z tańczącym niedźwiedziem, aby zarobić na życie, zabawiając szalonych i opętanych w posepnych salach wykładowych i salonikach (licząc potem dochody, o Boże!),

to wypoczynek i zapomnienie były najlepszym rozwiązaniem. Lepszym, niż mogli oczekiwać. Tylko...

Wstała, niespokojna, niepokodzona, i ruszyła promienistą ścieżką w stronę skrzydła łuków, które wystawało z rogu budynku.

Usłyszała jego głos:

– Zbudowałem to dla ciebie. W pewnym sensie.

Przeszła pod łukami i obesła róg domu, aż nagle z prostej, kolumnowej otoczki skrzydła rozłożył się przed nią ukwiecony list miłosny, jaskrawy klombami kwiatów, zdobiony misternymi dekoracjami z drewna. To było całkowicie odmienne miejsce; jakby poważna twarz Erazma chichotała w oddali. Wybuchnęła śmiechem, śmiała się po raz pierwszy od czasu, gdy na zawsze zamknęła furtkę do swego angielskiego ogrodu.

Podbiegł do niej natychmiast, uśmiechając się na widok jej zdumienia. Przesunął słomkowy kapelusz na tył głowy i żywo gestykułując, rozpoczął opowieść o tym domu, o sobie; różnorodne nastroje przetaczały się po jego wielkiej twarzy.

– Nie jest zwyczajny, o nie – parsknął śmiechem. – Żadna rzecz nie jest w nim zwyczajna. Na przykład tutaj: to miał być ogród warzywny, widzisz, każdy posadziłby tu warzywa, ale ja wypełniłem go kwiatami. Kucharz nie będzie bawił się ogrodnictwem, a ogrodnik świetnie radzi sobie z kwiatami, twierdząc, że nie utrzymałby przy życiu nawet pomidora...

Bambusową laseczką wskazał na śliczną pompownię.

– Taka sama – oznajmił – jaką mieli w ogrodzie moi rodzice, bardzo pożyteczna.

Teraz skierował laskę na esowate łuki werandy, po których wspinały się szerokie liście winogron.

– Malwy – poinformował i pociągnął ją w stronę kwiatów, na których urzędowały trzmiele. – Niektórzy uważają, że malwy to chwasty. Ale nie ja.

– Uwaga na głowy! – dobiegł ich z góry głos z silnym irlandzkim akcentem.

Służąca na piętrze otworzyła szeroko okno i wytrzepała w słońcu ścierkę do kurzu.

– To wspaniała dziewczyna – powiedział Drinkwater, wskazując na nią kciukiem. – Wspaniała dziewczyna...

Spojrzał na Violet, znów pogrążoną w marzeniach, a ona na niego. Drobiny kurzu opadały w słońcu niczym złoty deszcz na Danae.

– Przypuszczam... – odezwał się poważnie, wymachując bambusową laseczką za plecami.

– Przypuszczam, że uważasz mnie za starego.

– To znaczy, uważasz, że tak jest.

– Nie jestem. Nie jestem stary.

– Ale przypuszczasz, oczekujesz...

– To znaczy, myślę, że...

– Powinieneś powiedzieć: „Sądzę” – wtrąciła, tupiąc małą nóżką i podnosząc motyla z

goździka. – Amerykanie zawsze mówią „Sądzę”, prawda? – Sądzę, że czas przyprowadzić krowy z pastwiska – rzuciła wieśniackim basem. – Sądzę, że nie będzie nowych podatków bez uzgodnienia. Och, sam wiesz.

Pochyliła się, by powdychać woń kwiatów, on pochylił się również. Słońce prażyło jej gołe ramiona, a na widok takich tortur ogrodowe owady rozpoczęły symfonię bzyków i brzęczenia.

– Tak – zaczął, a ona wyczuła w jego głosie jakąś śmiałość. – Zatem sądzę. Sądzę, że cię kocham, Violet. Sądzę, że chcę, abys tu została na zawsze. Sądzę...

Uciekła od niego kamienną, ogrodową ścieżką, wiedząc, że zaraz weźmie ją w ramiona. Pobiegnęła za następny róg budynku. Pozwolił jej uciec. „Nie pozwól mi odejść” – pomyślała.

Co takiego się wydarzyło? Zwolniła kroku i znalazła się w mrocznej alejce. Była już poza cieniem domostwa. Pochyliły trawnik dochodził w dół do cichutkiego strumyka, na którego drugim brzegu wyrastało strome wzgórze, sosnowe i ostre jak kołczan pełen strzał. Zatrzymała się między cisami; pojęcia nie miała, w którą stronę skręcić. Stojący obok dom był szary jak cisy, tak samo ponury. Pękate, kamienne kolumny, przygniatające swą siłą, podierały gzymsy, całkowicie bezużyteczne i zamaskowane. Co powinna uczynić?

W tym momencie dojrzała Drinkwetera, jego biały garnitur, bladość krążącą po kamiennym krużganku; usłyszała stukot jego butów na twardych płytach. Wiatr zmienił kierunek i skierował cisowe gałęzie w jego stronę, ale ona tam nie spojrzała. Zmieszany, nie odezwał się ani słowem, ale podszedł bliżej.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy – odezwała się do ciemnego wzgórza, nie odwracając wzroku. – Nie znasz mnie, nie znasz...

– To, czego nie wiem, nie ma żadnego znaczenia – rzekł.

– Och – szepnęła – och...

Zadrżała z powodu bijącego od niego ciepła; podszedł jeszcze bliżej, objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego i jego siły. Podeszli bez pośpiechu tam, gdzie wartki strumyk, pieniać się, wpadał w gardziel jaskini na zboczu wzgórza i ginął. Czuli wilgoć groty i jej kamienny oddech. Przycisnął ją do siebie, chroniąc przed chłodem, który wywoływał u niej dreszcze. I w tych objęciach wyjawiała mu, bez łez, wszystkie swe tajemnice.

– Kochasz go? – zapytał Drinkwater, gdy skończyła. – Tego, który ci to zrobił?

To w jego oczach lśniły łzy.

– Nie, nigdy go nie kochałam. Nigdy.

Do tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Teraz zastanowiła się, co zraniłoby go bardziej: to, że kochała człowieka, który jej to zrobił, czy to, że go nie kochała (nie miała nawet całkowitej pewności, który to zrobił, ale tego nigdy, przenigdy by mu nie powiedziała). Grzech nie dawał jej spokoju. Drinkwater tulił ją jak przebaczenie.

– Biedactwo – wyszeptał. – Zagubione. Ale to się już nie powtórzy. Posłuchaj mnie. Jeśli...

Odsunął ją od siebie na długość ramion, by spojrzeć jej w twarz: przesłaniały ją gęste rzęsy i zrosnięte brwi.

– Gdybyś mnie zaakceptowała... Widzisz, żadna skaza nie jest w stanie osłabić mego uczucia. To ja nie zasługuję na ciebie. Gdybyś tylko zechciała, przysięgam, że dziecko wychowa się tutaj jako moje. – Jego twarz, surowa w swej stanowczości, zmiękła. Prawie się uśmiechnął. – Jako nasze, Violet. Jedno z wielu.

Teraz w jej oczach pojawiły się łzy, łzy zdumione jego dobrocią. Nigdy wcześniej nie uważała, że wpadła w straszliwe kłopoty, a teraz on chce ją od nich uwolnić. Co za dobroć! Ojciec niczego nie zauważył.

Zagubiona, tak; wiedziała o tym. Czy mogłaby się tu odnaleźć? Znowu wymknęła się z jego objęć i obeszła następny róg domu, pod wysuniętymi, rzeźbionymi groteskowo łukami i gęstymi blankami. Białe wstążki z kapelusza, który trzymała teraz w dłoni, ciągnęły się po wilgotnej, szmaragdowej trawie. Czowała, że idzie za nią, zachowując stosowny dystans.

– Niezwykłe – powiedziała głośno, kiedy obeszła róg budowli. – Jakie to niezwykłe.

Fasada domu zmieniła się z ponurej szarości w ceglastą wesołość o intrygujących odcieniach czerwieni i brązu, ze ślicznymi, lakierowanymi płytami i białą stolarką. Cała gotycka masywność rozprężyła się, wyciągnęła i wyostrzyła, eksplodując w poskręcane, szybujące w niebo okapy, zabawne nadstawki kominowe, grube, bezużyteczne wieżyczki i zawijasy przeróżnie ułożonych cegieł. Wydało się jej – znów zaświeciło tu słońce, uwydatniając ceglastą ścianę, mrugając do niej okiem – wydało się jej, że mroczna weranda, głuchy strumień i śpiące cisy były jedynie żartem.

– To wszystko – odezwała się Violet, kiedy John podszedł do niej ze splecionymi na plecach rękami – to wiele domów, prawda?

– Wiele domów – odpowiedział z uśmiechem. – A każdy z nich jest dla ciebie.

Przez maleńki kawałek klasztornej sklepienia dostrzegła fragment pleców ojca. Nadal krył się w wiklinowym fotelu, nadal wyglądał przez zaslonę wisterii na aleję sfinksów i libańskich cedrów. Ale z tego miejsca jego łysa głowa przypominała głowę zadumanego mnicha w klasztornej ogrodzie. Ogarnął ją śmiech. „Będziesz wędrować i zamieszkas w wielu domach”. Wiele domów! Chwyciła dłoń Johna Drinkwata; prawie ją pocałowała. Ze śmiechem spojrzała mu w twarz, pełną przyjemnych niespodzianek.

– Co za żart! – wykrzyknęła. – Wiele żartów! Czy w środku jest wiele podobnych domów?

– W pewnym sensie – odparł.

– Och, pokaż mi je!

Pociągnęła go w stronę białych, sklepionych drzwi, zawieszonych na wykwintnych, mosiężnych zawiasach w kształcie gotyckiej litery „E”. W nagłej ciemności małej, wymalowanej sieni uniosła do ust jego potężną dłoń w geście wdzięczności.

Za sieni jej oczom ukazały się liczne drzwi, długi ciąg łuków i poprzecznych belek,

przez które z niewidocznych okien sączyły się promienie słońca.

– Czy ty tu nie błądzisz? – spytała Violet, stojąc na progu.

– Prawdę mówiąc, czasami mi się to zdarza – odpowiedział. – Udowodniłem, że każdy pokój potrzebuje więcej niż dwójga drzwi, ale nigdy nie udało mi się dowieść, iż wystarczy troje.

Zaczekał, nie chcąc jej poganiać.

– Być może – zaczęła – któregoś dnia zaczniesz o tym myśleć i nie będziesz w stanie się stąd wydostać.

Z rękami na ścianie, wolno, krok za krokiem niczym ślepiec (w rzeczywistości jednak tylko przepełniona zdumieniem), Violet Bramble wkroczyła do ogromnej dyńi, którą wykonał dla niej John Drinkwater, a która wcześniej (ku jej radości) zamieniła się w złotą karecę.

Opowiedz mi Opowieść

Tuż po wschodzie księżycy Violet obudziła się w obszernej, obcej sypialni, czując dotyk zimnego światła i słysząc dźwięk własnego imienia. Przez długą chwilę leżała nieruchomo jak trup na wysokim łożu, wstrzymując oddech, czekając, aż cienki głosik odezwie się znowu; ale nic nie przerwało ciszy. Zrzuciła z siebie narzutę i z wysokiego łoża zeszła na podłogę. Kiedy otwierała okno, zdało jej się, iż znów słyszy swe imię. Violet?

Do pokoju wpadły letnie wonie i chmara cichych dźwięków, spośród których nie potrafiła wybrać tego jednego głosu; jeśli w ogóle istniał, jeśli ją w ogóle przywoływał. Z ustawionego w pokoju kufra wyciągnęła swój wielki płaszcz i w pośpiechu, cichutko, wyszła z pokoju na palcach. Jej biała perkalowa koszula zafalowała w stęchłym powietrzu unoszącym się po schodach do okna, którego nie zamknęła.

Violet?

Ale to był tylko jej ojciec, pogrążony chyba we śnie. Minęła jego sypialnię, nie odzywając się ani słowem.

Skradała się przez jakiś czas ostrożnie (gołe stopy marzły jej na zimnych schodach i korytarzach), by znaleźć drogę w dół i na zewnątrz. A kiedy w końcu znalazła drzwi, okna po ich obu stronach wychodziły w noc. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Ale czy miało to jakieś znaczenie?

Wielki, cichy ogród. Sfinksy obserwowały jej chód. Ich identyczne twarze poruszały się wolno w wodnistym świetle księżycy. Na brzegu stawu zarechotała żaba. Violet szła dalej, przez upiorny most, pod osłoną topoli przypominających rozwiane w przestrachu czupryny. Dotarła do pola przeciętego żywopłotem, a właściwie czymś przypominającym żywopłot: szpalerem krzaków, niskich, szumiących drzew i surowym murem usypanym z kamieni. Ruszyła wzdłuż niego, nie wiedząc, dokąd idzie, mając uczucie (podobnie jak po latach Smoky Barnable), że być może wcale nie opuściła Edgewood, tylko wpadła w jakiś nowy, iluzoryczny korytarz domostwa.

Zdawało jej się, że przeszła już kawał drogi. Mieszkańcy żywopłotu, króliki i gronostaje, i jeże (czy mają tu takie zwierzaki) zachowały milczenie, były nieme lub nie używały swego głosu, tego już nie wiedziała. Bose stopy zmarzły jej od rosy, potem zdrętwiały. Naciągnęła płaszcz na czubek nosa, bo choć noc była łagodna, światło księżyca przyprawiało ją o dreszcze.

W pewnej chwili, nie wiedząc już, którą stopą porusza i kiedy, poczuła, że te miejsca nie są jej obce, spojrzała na księżyc i z jego uśmiechu odczytała, że choć nigdy przedtem nie była w tym miejscu, zna je bardzo dobrze. Tuż przed nią wyrosła turzycowa, usiana kwiatami łąk-pagórek, na nim dąb złączony w stalowym uścisku z ciernistym krzewem, nierozzerwalni. Była już pewna – stopy poruszały się szybciej, waliło jej serce – że za wzgórzem wije się ścieżka prowadząca do małego domku u podnóża.

Violet?

Z okrągłego okna wydobywało się światło lampy, a mosiężna twarz na okrągłych drzwiach trzymała w zębach kołatkę. Ale drzwi otworzyły się same, gdy tylko do nich podeszła: nie musiała stukać.

– Pani Underhill – szepnęła, drżąc z radości i bólu. – Dlaczego nie powiedziała mi pani, że właśnie tak ma być?

– Wejdz moje dziecko i nie zadawaj pytań. Gdybym wiedziała więcej ponad to, co powiedziałam, nie ukrywałabym tego.

– Tak myślałam – odezwała się Violet i przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu, nie mogła powiedzieć, iż myślała, że nigdy więcej jej nie spotka, że nie zobaczy żadnego z nich, żadnej płomiennej postaci w mroku ogrodu, żadnej małej, tajemniczej twarzyczki spijającej kwiatowy nektar. Korzenie dębu i ciernistego krzewu, tworzące dom pani Underhill, migotały w blasku jej małej lampki, a kiedy Violet podniosła na nie swój wzrok i wydała z siebie długie, drżące westchnienie, by powstrzymać się od płaczu, poczuła w nozdrzach czarny odór korzeni.

– Ale w jaki sposób... – zaczęła.

Mała, zgarbiona pani Underhill, składająca się w zasadzie z głowy omotanej szalem i wielkich, obutych stóp, uniosła w geście ostrzeżenia palec tak długi jak druty, którymi coś dziergała.

– Nie pytaj mnie, jak – nakazała. – Ale tak właśnie jest.

Violet przysiadła u jej stóp; wszystkie pytania znalazły swe odpowiedzi albo nie miały już żadnego znaczenia. Tylko...

– Mogła mi pani powiedzieć – załkała, a jej oczy zaszkliły się łzami szczęścia – że wszystkie domy, w których zamieszkam, to jeden dom.

– Tak jest – stwierdziła pani Underhill.

Wywijala drutami, kołysząc się. Różnokolorowy szal w mgnieniu oka przybierał na długości.

– Czas miniony, czas przyszły – odezwała się bez pośpiechu. – W jakiś dziwny sposób Opowieść starzeje się.

– Proszę mi ją opowiedzieć – poprosiła Violet.

– Ach, gdybym tylko mogła.

– Czy jest zbyt długa?

– Dłuższa niż jakakolwiek inna. Cóż, moje dziecko, zanim skończy się ta Opowieść, będziesz już w grobie, i twoje dzieci, i dzieci twoich dzieci. – Potrząsnęła głową. – To rzecz powszechnie wiadoma.

– A czy ma – spytała Violet – szczęśliwe zakończenie?

Kiedyś już pytała o to wszystko; teraz nie były to pytania, lecz wymiana, jakby przekazywały sobie przez cały czas ten sam prezent wraz z najlepszymi życzeniami, za każdym razem wyrażając zaskoczenie i wdzięczność.

– A kto ma to wiedzieć – rzekła pani Underhill.

Szał stawał się coraz dłuższy, rządkiem za rządkiem.

– Ta Opowieść, to wszystko. Są opowieści krótkie i długie. To najdłuższa, jaką znam.

Coś, nie kot, zaczęło rozplatać gruby kłębek wełny.

– Przestań zuchwalcze! – wykrzyknęła, uderzając to coś drutem, który wyciągnęła zza ucha. Pokiwała głową w stronę Violet. – Przez wieki ani chwili spokoju.

Violet podniosła się i złożyła dłonie przy uchu pani Underhill. Kobieta przysunęła się bliżej i z uśmiechem czekała na tajemnicę.

– Czy oni słuchają? – szepnęła Violet.

Pani Underhill przyłożyła palec do ust.

– Myślę, że nie – oznajmiła.

– Proszę mi powiedzieć prawdę – nalegała Violet. – Skąd się pani tu wzięła?

Zapytana zdumiała się.

– Ja? – spytała. – O czym ty mówisz, dziecko? Jestem tu przez cały czas. To ty przenosisz się z miejsca na miejsce.

Podniosła swe stukające druty.

– Od czego masz rozum.

Przechyliła się na fotelu, coś uwięzione pod kłębkim wełny zapiszczało przeraźliwie, a pani Underhill uśmiechnęła się złośliwie.

– Przez wieki ani chwili spokoju – powiedziała.

Odpowiedziano na wszystkie pytania

Po ślubie John Drinkwater zaczął przechodzić na emeryturę lub raczej coraz bardziej wycofywać się z aktywnego życia architekta. Budynki, które miał stawiać, od razu wydawały mu się ciężkie, tępe, pozbawione życia, a jednocześnie efemeryczne. Pozostał w firmie; zwracano się do niego po porady, jego pomysły i znakomite szkice wstępne (redukowane do

pospolitych rysunków przez jego partnerów i zespoły inżynierów) wciąż odmieniały miasta na wschodzie, ale nie była to już praca jego życia.

Pochłoneńy go inne projekty. Z zadziwiającą precyzją stworzył składane łóżko – właściwie całą sypialnię pod postacią szafy, zwykłej lub ozdobnej – które w jednej chwili, przez szybki ruch mosiężnych zapadek i dźwigni, przesunięcie przeciwwagi, stawało się łóżem-sypialnią. Bawił go ten pomysł, sypialnia w sypialni, nawet opatentował swój projekt, ale jedynym nabywcą, jakiego udało mu się znaleźć, był jego wspólnik Mouse, który przez grzeczność zainstalował kilka takich sypialni w swych mieszkaniach w Mieście. Był też Kosmoptykon: nad tym projektem spędził cały szczęśliwy rok, współpracując ze swym przyjacielem, wynalazcą Henrym Cloudem, jedynym człowiekiem, który – zdaniem Johna Drinkwata – potrafił naprawdę wyczuć obrót Ziemi dookoła własnej osi i jej ruch wokół Słońca. Kosmoptykon był ogromnym, obrzydliwie kosztownym wizerunkiem, z witraży i kutego metalu, zodiakalnych niebios i ich ruchu, a także ruchu obracających się w nich planet. To rzeczywiście działało: właściciel takiego urządzenia mógł siedzieć pośrodku na zielonym, pluszowym fotelu, a gdy włączono przyciski i mechaniczny zegar, kopuła wielokolorowego szkła obracała się, a wraz z nią niebiosa, w swym pozornym tańcu. Drinkwater łudził się, że wśród bogatych znajdują się chętni na tę przedziwną zabawkę.

I, co dziwniejsze, bez względu na to, jak bardzo usuwał się z tego świata, bez względu na to, jak bardzo inwestował zyski całego życia w takie projekty, był u szczytu kariery, jego inwestycje przynosiły dochody na wielką skalę, jego fortuna wciąż rosła.

„Jesteś chroniony” – tak mawiała Violet. Pijąc herbatę przy kamiennym stole, z którego było widać cały Park, John Drinkwater spojrzał w niebo. Pragnął poczuć się chroniony. Starał się odpoczywać pod ochroną, której była tak pewna, i drwić z pogody na całym świecie. Ale w istocie nie czuł nad sobą niczyjej opieki.

Prawdę mówiąc, starzejąc się, coraz bardziej przejmował się pogodą. Zbierał almanachy, naukowe i nie tylko, sprawdzał prognozę pogody w codziennej gazecie, choć to właśnie wróżbom kapłanów nie ufał do końca. Miał tylko nadzieję, całkowicie bezzasadną, że nie mylili się, odczytując przepowiednie jako Przejaśnienia, i że byli w błędzie odczytując Słotę. Wyjątkowo uważnie obserwował letnie niebo, czuł na plecach ciężar każdej odległej chmury, która mogła przesłonić słońce lub przyciągnąć za sobą inne. Kiedy łagodne, pierzaste cumulusy deptały niebo jak owieczki, był spokojny, lecz czujny. Mogły przecież zmienić się nagle w pioruny, mogły zapędzić go do domu, by tam wysłuchiwał głuchego stukotu deszczu spadającego na dach.

(Tak jak to zdarzyło się gdzieś na zachodzie, a on nie był w stanie tego powstrzymać. Przyciągały jego wzrok, a za każdym razem, gdy na nie spoglądał, zdawały się coraz wyższe. Powietrze było gęste i namacalne. Nie było już zatem nadziei, że deszcz i burza przejdą bokiem. Nie mógł się z tym pogodzić).

Zimą często płakał. Wiosną był rozpaczliwie poirytowany, wściekły, gdy w zakamarkach

kwietnia znajdował jeszcze pozostałości zimy. Kiedy Violet opowiadała o wiosnie, miała na myśli czas kwiatów i nowo narodzonych zwierzątek – takie było jej wyobrażenie. Przypuszczał, iż myślała o jakimś pogodnym, kwietniowym albo majowym dniu. Jej pojęcie o przymiotach miesiący różniło się bowiem od jego wyobrażeń; ona знаła angielskie miesiące: luty, kiedy topniały śniegi, i kwiecień, kiedy zakwitały kwiaty, a nie miesiące tego surowego, obcego miejsca. Tam maj przypominał tutejszy czerwiec. Czasami myślał, że żadne doświadczenie z amerykańskimi miesiącami nie zmieni jej sposobu myślenia, nawet do niej nie dotrze.

Może ta chmura, tam nad horyzontem, pozostanie niezmienna, jak nieruchoma dekoracja, jak skłębione chmury w wiejskim pejzażu w książkach z jego dzieciennych lat? Ale powietrze wokół niego rozwiało ją: ciężką i błyszczącą.

Violet pomyślała (czy aby na pewno? – godzinami borykał się z jej tajemniczymi uwagami, korzystając z drobiazgowych objaśnień doktora Bramble'a, ale wciąż nie miał pewności), że tutaj zawsze panuje wiosna. Ale wiosna jest tylko zmianą. Wszystkimi porami roku, łańcuchem dni mijających tak szybko jak zmienne nastroje. Czy to miała na myśli? A może chodziło jej o wyobrażenie wiosny: świeżą trawę, młode, rozwinięte liście, o niezmienny, jeden jedyny dzień? Wiosna nie istnieje. Być może był to tylko żart. Precedens. Czasami miał uczucie, że wszystkie jej odpowiedzi na jego zapytania były żartem. Wiosna to wszystkie pory roku i żadna. Tam zawsze panuje wiosna. Żadne tam nie istnieje. Ogarnęła go wilgotna fala rozpaczy: przedburzowy nastrój, wiedział to, a jednak...

Nie znaczyło to wcale, że kochał ją mniej, w miarę jak się starzeli (lub raczej on się starzał, a ona dorastała). Utracił tylko tę pierwotną, dziką pewność, iż zaprowadzi go dokądś, pewność, którą miał, ponieważ wiedział, że ona sama tam była. Nie rozumiał tak wiele. Dotarło to do niego, gdy minął pierwszy gorzki rok. Nadeszły lepsze lata. Jego podróże były niczym w porównaniu do jej peregrynacji. Opowiadał światu o jej wędrówkach, słuchał jej nieprawdopodobnych opowiadań o cudach, których nie dane było mu ujrzeć. Dała mu do zrozumienia (tak myślał), że bez domu, który wybudował, nie można by opowiedzieć Opowieści, że był to początek i koniec, łańcuch przyczyn. Nie zrozumiał, ale był zadowolony.

I nie było ani jednego dnia (nawet po latach, nawet gdy urodziła troje dzieci), żeby jego serce nie rosło, gdy zbliżała się do niego, gdy zarzucała mu na szyję maleńkie dłonie i szeptała do ucha: „Idź do łóżka, stary satyrze”. Nazywała go tak, ponieważ był bezwstydnie nienasycony. A on wspinał się posłusznie po schodach i cierpliwie czekał.

I cóż teraz miał? Wszystko rozbiło się o formację chmur, która mogła przyprawić o zawrót głowy.

Oto jego córki, Timothea Wilhelmina i Nora Angelica wracające po kąpieli do domu. I jego syn (jej syn, jego) Auberon skradający się po trawniku z aparatem fotograficznym w poszukiwaniu jakiegoś ciekawego obiektu. I jeszcze niemowlę August w marynarskim mundurku, które nigdy nie zasmakowało morza. Nazwał je tak na cześć miesiąca, w którym

czas się zatrzymuje, a bezchmurny dzień następuje po bezchmurnym dniu. Wtedy przestawał spoglądać w niebo. Ale patrzył na nie teraz. Białe chmury otaczała wstęga ponurej szarości, jak smutne oczy starego człowieka. A jednak jego cień nadal kołysał się wśród cieni liści. Potrzęsnał gazetą i założył nogę na nogę. Ciesz się, ciesz.

Wierząc w wiele innych, przedziwniejszych jeszcze rzeczy, jego teść uważał, że człowiek nie może wyraźnie myśleć lub czuć, jeśli widzi swój cień. (Był przekonany, że spoglądanie w lustro przed zaśnięciem przywołuje złe lub co najmniej niespokojne sny). Sam zawsze przesiadywał w cieniu lub zwrócony twarzą do słońca. Teraz również okupował romantyczną, wykutą w metalu ławeczkę stojącą przy posągu, a owłosione dłonie wspierał na laseczce, którą trzymał pomiędzy kolanami. Słońce bawiło się jego złotym łańcuszkiem przywieszonym u pasa. U jego stóp siedział August, słuchając lub tylko uprzejmie udając, że słucha starego człowieka. Głos starca dolatywał do uszu Drinkwatera jak szmer, jeden spośród wielu dźwięków wypełniających letnie powietrze: cykania cykad, warkotu kosiarki zataczającej coraz szersze kręgi, muzyki fortepianowej dobiegającej z salonu, gdzie Nora ćwiczyła akordy spływające jak łzy po policzku.

Zniknęło, powiedziała

Nade wszystko uwielbiała chłód klawiszy pod palcami, sprawiała jej zadowolenie myśl, że są takie trwałe, białe i czarne.

– Z czego są zrobione? Z prawdziwej kości słoniowej.

Uderzała w sześć lub osiem jednocześnie. Właściwie nie było to ćwiczenie. Pragnęła jedynie sprawdzić, jak silny dźwięk mogą wydać, i poczuć ich gładkość. Matka nie zauważyła, że nie gra już Deliusa, że nawet nie próbuje go grać. Matka nie ma słuchu – tak uważała Nora. Widziała kształtne ucho matki, która siedziała przy okrągłym stoliku i bawiła się kartami albo po prostu na nie patrzyła. Przez moment jej długie kolczyki zamarły w bezruchu, podniosła wzrok, by wziąć kolejną kartę i wszystko zawirowało, kolczyki zafalowały, zakołysały się naszyjniki. Nora ześlizgnęła się z wypolerowanego taboretu i podeszła do matki, by przyjrzeć się jej zajęciu.

– Powinnaś wyjść na dwór – odezwała się Violet, nie podnosząc oczu. – Powinnaś pójść z Timmie Willie nad jezioro. Jest tak gorąco.

Nora nie powiedziała matce, że dopiero co stamtąd wróciła. Uczyniła to już wcześniej i jeśli jej słowa nie dotarły do Violet, to nie było sensu tego powtarzać. Spojrzała na rozłożone karty.

– Czy potrafisz zbudować domek z kart? – spytała.

– Tak.

Violet nie odrywała wzroku od kart. Nie od razu docierał do niej dosłowny sens ludzkich słów. Najpierw pojmowała ukryte sensy, co zbijało z tropu i frustrowało jej małżonka. W sybillicznych odpowiedziach Violet na proste pytania próbował doszukiwać się głębszych

prawd, był bowiem pewien, że je zna, ale nie potrafi wyrazić w zrozumiały sposób. Z pomocą teścia opisał swe zmagania w wielu tomach. Jednak dzieci Violet nie dziwił zawły styl mówienia matki. Nora przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż matka zbuduje obiecany domek, a kiedy konstrukcja nie pojawiła się, dziewczynka po prostu zapomniała o swojej prośbie. Zegar na kominku wybił godzinę.

– Och – ocknęła się Violet – z pewnością wypili już herbatę.

Potała policzki, jakby się nagle przebudziła.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Chodź, zobczymy, czy coś nam zostawili.

Wzięła Norę za rękę i ruszyły w stronę francuskich drzwi, wychodzących do ogrodu. Violet podniosła ze stołu ogromny kapelusz, ale gdy już go miała na głowie, zastygła w bezruchu, ZAPATRZONA w lekką mgiełkę.

– Co takiego wisi w powietrzu? – spytała.

– To elektryczność – odparła Nora, przechodząc przez patio. – Tak przynajmniej twierdzi Auberon.

Zmrużyła oczy.

– Teraz mogę to zobaczyć, czerwone i niebieskie zawijasy. Zwiastują burzę.

Violet pokiwała głową i ruszyła wolno przez trawnik, jakby przedzierała się przez nieznany jej żywioł, w kierunku kamiennego stołu, od którego machał jej mąż. Auberon zrobił właśnie zdjęcie dziadka i małego braciszka, a teraz kierował obiektyw na stół, próbując uchwycić w nim również swą matkę. Tak poważnie traktował swe fotografowanie, jakby był to obowiązek, a nie przyjemność. Ogarnęła ją litość. To powietrze!

Usiadła, a John nalał jej herbaty. Auberon położył przed nimi swój aparat. Ogromna chmura przesłoniła słońce, a John spojrzał w górę, urażony.

– Och! Patrzcie! – krzyknęła Nora.

– Patrzcie! – zawtórowała jej Violet.

Auberon odsunął przesłonę i zaraz ją zamknął.

– Zniknęło – powiedziała Nora.

– Zniknęło – powtórzyła Violet.

Ruchome ostrze zablokowanych mas powietrza przepłynęło niewidzialnie po trawniku, targając włosy, odwracając poły marynarek i ukazując blade spody liści. Przebiło się przez rozbitą fasadę domu, uniosło kartę z karcianego stolika, przerzuciło kartki w zeszytach z wprawkami na pięć palców. Rozkołysało frędzle szarf zawieszonych na kanapach, szarpnęło końce firanek. Jego zimny klin uniósł się na pierwsze piętro, potem na drugie, a następnie tysiące stóp w niebo, gdzie stwórca deszczu wykuł już pierwsze, tłuste krople.

– Zniknęło – odezwał się August.

IV

Padam na trawę, kwieciem usidlony².

Marvell

Przez cały letni poranek Smoky stroił się do ślubu w biały garnitur z pożółkłego płótna lub alpaki, który, jak mawiał jego ojciec, należał w przeszłości do Harryego Trumana, a na wewnętrznej kieszeni widniały inicjały HST. Dopiero gdy pomyślał o nim jak o garniturze ślubnym (starym, nie nowym), zdał sobie sprawę, iż inicjały te mogły przecież należeć do kogoś innego, że ojciec powtarzał ten żart przez całe życie, aż uwiecznił go w zaświatach, choć dowcip ten nie wywoływał uśmiechu. To uczucie nie było obce Smoky'emu. Zastanowił się, czy i jego wykształcenie nie było takim samym pośmiertnym żartem (zemstą na jego niewiernej matce?). Choć Smoky rozumiał ten dowcip, to gdy przed lustrem w łazience zapinał mankiety, poczuł się nieco zagubiony i żałował, że ojciec nie udzielił mu żadnej męskiej porady na temat ślubów i małżeństwa. Barnable nienawidził ślubów, pogrzebów i chrztów, a gdy tylko uroczystość taka wisiała w powietrzu, pakował skarpetki, książki, psa i syna i wyruszał w dalszą podróż. Smoky brał udział w przyjęciu weselnym Franza Mouse'a i tańczył z promiennoką panną młodą, która miała dla niego zaskakującą propozycję. Ale to było przecież wesele Mouse'a, a małżeństwo i tak się rozpadło. Wiedział, że potrzebny jest pierścionek, tu poklepał się po kieszeni, w której go trzymał; pomyślał, iż przydałby się družba, choć gdy napisał o tym Daily Alice, ta odpowiedziała, że nie mają zaufania do takich rzeczy. Kiedy wspomniał o próbie, odpisała: „Nie chcesz, aby była to niespodzianka?”. Jednego był tylko pewien: nie powinien widzieć swej narzeczonej, aż nie zostanie poprowadzona do ołtarza (jakiego ołtarza?) przez swego ojca. Nie zobaczy jej. Kiedy wchodził do toalety, nawet nie zerknął w stronę, gdzie jego zdaniem znajdował się pokój Alice (nie zgadł). Spod białych mankietów spodni wystawały turystyczne buty, grube i mało odświeżone.

² Fragment wiersza Andrew Marvella „Ogród”, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Garnitur Trumana

Wesele miało odbyć się „na otwartym powietrzu”, tak mu powiedziano, a ciotka Cloud, jako najstarsza ze wszystkich, miała zaprowadzić go na miejsce – do kaplicy, przypuszczał Smoky. Cloud, zdziwiona, powiedziała, że tak się to chyba nazywa. To właśnie ona czekała na Smoky’ego na szczycie schodów, kiedy w końcu nieśmiało wychylił się z łazienki. Jej obecność uspokajała go. Cloud, duża i łagodna, w sukni zdobionej na piersiach bukiecikiem jedwabnych fiołków, z laską w dłoni, budziła zaufanie. Podobnie jak i on, z pochmurną twarzą męczyła się w twardych butach.

– Bardzo, bardzo dobrze – odezwała się, jakby spełniły się jej nadzieje. Odsunęła go na długość ramion, przez moment lustrowała przez przyciemnione okulary, na koniec wzięła pod rękę.

Letni domek

– Często zastanawiam się nad cierpliwością architektów krajobrazu – powiedziała Cloud, gdy przedzierali się przez sięgającą do kolan turzycę w czymś, co nazywała parkiem. – Te wielkie drzewa, niektóre z nich, zasadził mój ojciec, wyobrażając sobie tylko, co z nich wyrosnie. Wiedział, że nie zobaczy ich za życia w pełnej krasie. Ten buk... kiedy byłam dziewczynką, mogłam otoczyć go ramionami. Wiesz, w architekturze krajobrazu też istnieje moda, bardzo niezmienna moda, bo na wzrost roślinności potrzeba wiele czasu. Rododendrony, w dzieciństwie nazywałam je rum-de-dum-dami i pomagałam Włochom przy ich sadzeniu. Moda na nie minęła. Tak trudno je przycinać. Nie ma już Włochów, którzy mogliby to dla nas zrobić, więc rosną sobie jak w dżungli i... aj!... uważaj na oczy.

Widzisz, cały plan zanika. Od miejsca, gdzie teraz znajduje się ogród otoczony murem, ciągnęły się alejki. Rosły tam przeróżne drzewa, wybrane ze względu na, ach, swą malowniczość, wyglądały jak zagraniczni dygnitarze konwersujący na przyjęciu w ambasadzie, a między nimi wypielegnowane trawniki i kwietniki, i fontanny. Wydawało się, że za chwilę rozpocznie się myśliwska biesiada, wejdą lordowie i damy z jastrzębiami siedzącymi na nadgarstkach. A teraz co! Czterdzieści lat dbano o to miejsce, jak należy. Nadal dostrzec można dawną formę, widać, jak kiedyś wyglądało, ale to przypomina czytanie listu, starego listu, który zostawiono na deszczu i wszystkie wyrazy zlały się w jedną całość. Zastanawiam się, czy on się tym martwi. Miał zamiłowanie do porządku. Widzisz? Ten posąg to Syrinx. Ile czasu potrzeba, by oplotło go dzikie wino, by podkopały go krety? Cóż. On by to zrozumiał. Są ku temu powody. Nie należy tego zakłócać, ma tak być.

– Krety i inne rzeczy.

– Ten posąg to tylko marmur.

– Moglibyście – aj! – wykarczować te cierniste drzewa.

Spojrzała na niego, jakby nieoczekiwanie zadał jej cios. Odchrząknęła, stukając się po obojczyku.

– To jest alejka Auberona – oznajmiła. – Prowadzi do letniego domku. Nie jest to najkrótsza droga, ale Auberon powinien cię poznać.

– Naprawdę?

Letni domek składał się z dwóch okrągłych wieżyczek z czerwonej cegły, przysadzistych jak wielkie palce u nóg, zwieńczonych machikułami. Czy celowo przypominał ruinę, czy rzeczywiście był zaniedbany? Nieproporcjonalne okna, wielkie i łukowate, pogodne zasłony.

– Kiedyś – zaczęła Cloud – widać było to miejsce z domu. W księżycowe noce uważano je za niezwykle romantyczne... Auberon jest synem mojej matki, choć nie jest synem mego ojca; to mój przyrodni brat. Kilka lat starszy ode mnie. Wiele lat był dyrektorem szkoły, lecz teraz nie czuje się najlepiej, prawie od roku nie opuszcza letniego domku. Taka szkoda... Auberon!

Podchodząc bliżej, zauważył ślady ludzkich działań: ukryty, wypielegnowany ogródek warzywny, szopę, z której wystawała gotowa do pracy kosiarka, osłonowe drzwi, wypaczone ze starości, prowadzące do głównego, zębatego wejścia, pochyłe, drewniane schody, pasiasty leżak ustawiony w słońcu przy wanience dla ptaków i małego, starego człowieczka, który na dźwięk swego imienia podskoczył, a przynajmniej podniósł się podniecony – zdawało się, że szelki ściągają go do przysiadu. Ruszył w stronę domku, ale czynił to bardzo wolno, a Cloud podeszła wystarczająco blisko, by go zatrzymać.

– To jest Smoky Barnable, który dziś żeni się z Daily Alice. Podejź przynajmniej i powiedz „dzień dobry”.

Kiwnęła głową na Smoky’ego, by zobaczył, że jej cierpliwość się wyczerpała, i ściskając go za łokieć, wprowadziła na podwórze.

Auberon, nie mając wyjścia, odwrócił się przy drzwiach z serdecznym uśmiechem i wyciągnął rękę.

– Cóż, witaj, witaj.

Jego roztargniony chichot był śmiechem starych, zakłopotanych ludzi, którzy bacznie obserwują swe szwankujące organy. Chwycił Smoky’ego za rękę, ale zanim zdążyli się dotknąć, osunął się z ulgą na leżak, wskazując Smoky’emu miejsce na ławce. Jak to się działo, że na tej ogrodzonej przestrzeni czuł dokuczliwość słonecznego światła? Cloud przysiadła na krzeselku przy swoim bracie, a Auberon położył owłosione ręce na jej dłoniach.

– A więc, co się stało? – spytała pobłaźliwie.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział półgłosem – nie przy...

– To członek rodziny – rzuciła Cloud. – Już od dzisiaj.

Auberon – z jego gardła wciąż wydobywał się bezgłośny chichot – spojrział na Smoky’ego. Bezbronny! Tak właśnie czuł się Smoky. Weszli na to podwórze, gubiąc coś, co mieli tam w lesie; coś porzucili.

– Łatwo sprawdzić – stwierdził Auberon, wstając i klepiąc się po kościstym kolanie.

Wrócił do domu, zacierając palce.

– Nie tak łatwo – mruknęła w powietrze Cloud, podnosząc wzrok na czyste niebo.

I ona straciła spokój umysłu. Raz jeszcze odchrząknęła i wbiła wzrok w szarą wanienkę dla ptaków, podtrzymywaną przez kilka rzeźbionych postaci, gnomów lub elfów, o ciepłych, brodatych twarzach, którzy zdawali się ją porywać w nieznanym kierunku. Cloud westchnęła. Rzuciła okiem na małe, złoty zegarek przypięty do piersi. Po obu stronach miał małe, zawinięte skrzydła. Czas płynie. Spojrzała na Smoky'ego z przepaszającym uśmiechem.

– Chwileczkę, aha, aha – wykrzyknął Auberon, przynosząc ogromny aparat fotograficzny na długich nóżkach, przykryty czarnym płótnem.

– Och, Auberonie – odezwała się Cloud, bez zniecierpliwienia, ale z przekonaniem, iż nie jest to konieczne, że nie podziela tego entuzjazmu; ale on rozkładał już szpiczaste nóżki na ziemi, obok Smoky'ego, utrzymując aparat w pozycji pionowej i kierując jego mahoniową twarz na Barnable'a.

Przez lata ta ostatnia fotografia Auberona leżała na stoliku w letnim domku, tuż obok szkła powiększającego. Przedstawiała Smoky'ego w garniturze Trumana, błyszczącym w promieniach słońca, z rozwianymi włosami, z połową twarzy oślepioną słońcem, niewyraźną. Był tam też pomarszczony łokieć Cloud i ucho z kolczykiem. Wanienka dla ptaków. Wanienka: czy to możliwe, że jednej z tych steatytowych twarzy nie było tam wcześniej, że teraz więcej ramion podtrzymywało girlandową czarę? Auberon nie dokończył swego studium, nie powziął ostatecznej decyzji. I kiedy wiele lat później syn Smoky'ego zdmuchnął kurz ze starego zdjęcia i przyjrzał mu się bliżej, okazało się nadal niewyjaśnione, niczego nie dowodziło, a srebrny papier szerniał w zapomnianym, letnim słońcu.

Lasy i jeziora

Tuż za letnim domkiem zeszli w dół wklęsłą dróżką, która w mgnieniu oka zatopiła się w lesie, poplątanym i sennym, wilgotnym od deszczu. Jakby rósł tylko po to, by przez sto lat ukrywać śpiącą królową. Nie uszli daleko, gdy z boku dobiegł ich szelest czy szmer i nagle wyrósł przed nimi jakiś człowiek, budząc w Smokym przerażenie.

– Witaj, Rudy – pozdrowiła go Cloud. – Oto pan młody, Smoky. Smoky, to jest Rudy Flood.

Kapelusz Rudy'ego wyglądał jak po ciężkiej walce, podziurawiony i stłamszony, a podwinięte rondo odsłaniało szeroką, brodatą twarz. Spod rozpiętego zielonego płaszcza wystawał gruby brzuch, napinający jego białą koszulę.

– A gdzie jest Rory? – spytała Cloud.

– Gdzieś w dole. – Uśmiechnął się szeroko do Smoky'ego, jakby opowiedział dobry żart.

Rory Flood, jego drobna żona, pojawiła się równie nieoczekiwanie jak i on, towarzyszyła jej wielka dziewczyna w wypchanych dżinsach, z wielkim niemowlakiem na ręku,

wymachującym energicznie piąstkami.

– Betsy Bird – poinformowała Cloud – i Robin. A tu, patrz, Phil Fox i moi dwaj kuzyni Stones – Irv i Walter. Cloudowie ze strony matki.

Z lewa i z prawa nadchodziło coraz więcej osób. Ścieżka była wąska, zatem goście weselni maszerowali parami, podchodząc do Smoky’ego, by go uścisnąć i pobłogosławić.

– Charles Wayne – ciągnęła Cloud. – Hannah Noon. A gdzie rodzina Lakesów? Woodsów?

Ścieżka prowadziła do szerokiej, opadającej polany nad brzegiem ciemnego jeziora, które niczym fosa nieruchomo otaczało wysepkę porośniętą starymi drzewami. Na jego powierzchni unosiły się martwe liście, a żaby wyskakiwały spod ich stóp, kiedy wkroczyli na rozlewisko.

– Bez wątplenia – powiedział Smoky, przypominając sobie przewodnik – jest to ogromna posiadłość.

– Im głębiej w nią wchodzisz, tym staje się większa – poinformowała go Hannah Noon. – Czy poznałeś już mego synka Sonny’ego?

Przez jezioro płynęła łódź, zostawiając za sobą lśniące kręgi. Jej rzeźbiony dziób wykonano na wzór łabędzia, ale teraz – szary, bezoki – bardziej przypominał czarnego łabędzia z czarnego jeziora jednej z północnych legend. Łódź uderzyła w nabrzeże z głuchym stukotem wiosł, Smoky i Cloud wepchnięci zostali na pokład. Cloud wciąż wyjaśniała, kto jest kim z radosnej czeredy weselnych gości.

– Hannah jest naszą daleką krewną – powiedziała. – Jej dziadek nosił nazwisko Bush, a siostra jej dziadka wyszła za mąż za jednego z wujków pani Drinkwater, Dale’a...

Zauważyła, że jej nie słucha, choć mechanicznie kiwał głową. Uśmiechnęła się i dotknęła jego dłoni. Wyspa na jeziorze, skryta w cieniu drzew, wydawała się zrobiona z płynnego, zielonego szkła; na jej łagodnych zboczach wyrastał mirt. Pośrodku znajdował się okrągły taras na cienkich jak ramiona filarach, zaokrąglonych i pokrytych girlandami kwiatów. Tam też, wraz z innymi, stała wysoka dziewczyna w bieli, trzymając bukiet przewiązany wstążką.

Powitało ich wiele dłoni, te same dłonie pomogły im wysiąść z przeciekającego łabędzia. Wokół wyspy siedzieli ludzie, otwierali teraz koszyki z jedzeniem, upominali wrzeszczące dzieciaki. Niewielu dostrzegło przybycie Smoky’ego.

– Zobacz, kogo tu mamy, Cloud – odezwał się chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach, przypominający Smoky’emu poetów, tak pogardzanych w przewodniku. – Oto doktor Word. Gdzie on teraz jest? Doktorze! Jeszcze trochę szampana?

Doktor Word w ciasnym, czarnym garniturze; na jego niedogolonej twarzy malował się wyraz bezmyślnego przerażenia; złocisty napój trząsał mu się w rękach, wypuszczając małe bąbelki.

– Miło pana widzieć, doktorze – powiedziała Cloud. – Chyba nie możemy obiecać żadnych cudów. Och, niechże pan się uspokoi.

Doktor Word próbował wydać z siebie jakiś głos, zakrzuszył się i prysnął śliną.

– Niech go ktoś walnie w plecy. On nie jest naszym pastorem – szepnęła w zaufaniu do Smoky’ego. – Przybywają z zewnątrz i bardzo się denerwują. To cud, że w ogóle bierzemy śluby i że ma nas kto pochować. A to Sarah Pink i mali Pinkowie. Witajcie. Jesteś gotowy?

Wzięła go pod ramię i kiedy ruszyli ścieżką w stronę tarasu, rozległy się dźwięki harmonii, niczym cichutkie łkanie, muzyka, której nie znał, ale która wypełniła go nagłą tęsknotą. Słyszając ją, goście weselni zebrali się wokół, rozmawiając po cichu. Kiedy Smoky dotarł do zniszczonych schodów prowadzących na taras, pojawił się też doktor Word, wyciągając z kieszeni jakąś książeczkę. Smoky dostrzegł matkę i doktora Drinkwatera, i Sophie chowającą się z kwiatami za Daily Alice.

Daily Alice patrzyła na niego chłodno, bez uśmiechu, jakby był dla niej kimś obcym. Postawili go obok niej; zaczął wpychać ręce do kieszeni, przerwał, splótł je na plecach, potem przed sobą. Doktor Word przerzucił stronicę swej książeczki, i powiedział coś bardzo szybko, wyrzucając z siebie słowa wraz z szampanem i dygotem, przy ciągłym akompaniamencie harmonii. Brzmiało to mniej więcej tak: „Czy ty, Barnable, bierzesz tę oto Daily Alice za swą zgubną żonę, na drobne i na złe, w chorobie i zdradzie, w biedzie i dodatku, póki śmierć się od was nie odłączy”?

Tu podniósł pytający wzrok.

– Tak – potwierdził Smoky.

– Tak – powiedziała Daily Alice.

– Na rączki – polecił doktor Word. – A teraz obwieszam was mężem na żonie.

Aaaaaach, rozległo się wśród gości weselnych, którzy zaczęli się rozchodzić, rozmawiając po cichu.

Dotyk nosa

To była taka zabawa, w którą bawiła się z Sophie w długich korytarzach Edgewood: stawały od siebie najdalej, jak to było możliwe, nie tracąc się z oczu. Potem ruszały wolno ku sobie, wolno i rozważnie, patrząc sobie w oczy. Szły w tym samym tempie, nie próbując nawet chichotać, aż ich nosy zetknęły się czubkami. Podobnie było ze Smokym, choć on rozpoczął swą wędrówkę bardzo daleko, zbyt daleko, by być widocznym: nadchodził z Miasta – nie, z jeszcze większej oddali, skądś, gdzie nigdy nie była, z daleka, wędrował właśnie do niej. Kiedy wsiadał na łabędzią łódź, z łatwością mogła go przykryć paznokciem. Potem łódź podpłynęła bliżej, Phil Flowers siedział przy wiosłach, a ona zobaczyła twarz Smoky’ego i wiedziała, że to naprawdę on. Na brzegu zniknął gdzieś na chwilę; wokół niej rozległy się szepty oczekiwania i uznania, pojawił się znowu, prowadzony przez Cloud, teraz o wiele większy, dostrzegła jego wymięte na kolanach spodnie, jego silne, żyłaste dłonie, które kochała. Większe. Z jego butonierki wystawały fiołki. Zauważyła, że podskakuje mu grdyka i w tym momencie rozbrzmiały dźwięki muzyki. Gdy dotarł do schodów pawilonu,

nie mogła przyglądać się wyłącznie jego stopom i spojrzała mu śmiało w twarz – na chwilę wszystko wokół jego twarzy pociemniało i zafalowało, obrócił głowę w jej stronę niczym błąd, uśmiechnięty księżyc. Stał obok. Nie dotknęli się nosami. Potem. Może trzeba będzie poczekać kilka lat, pomyślała; może nigdy do tego nie dojdzie – tak czy inaczej, ich małżeństwo zostało zawarte z wyrachowania, choć nigdy w przeszłości, ani w przyszłości nie miała zamiaru mu tego wytłumaczyć, bo, jak obiecały karty, wiedziała, iż wybrałyby go z tysiąca innych, bez względu na to, czy wskazały go karty, czy nie, bez względu na to, czy ci, którzy obiecali jej kogoś doń podobnego, uważali, że jest już niepotrzebny lub niewłaściwy. Przeciwwstawiła się im, by tylko go mieć. I to właśnie oni uznali za stosowne wysłać ją w świat, aby go odnalazła! Z całej mocy pragnęła odnajdywać go właśnie teraz, otoczyć go ramionami i szukać; ale głupi pastor zaczął coś mamrotać – poczuła złość do rodziców, którzy go tu sprowadzili, mówili, iż to dla dobra Smoky’ego, ale ona już знаła Smoky’ego lepiej niż ktokolwiek inny.

Próbowała słuchać pastora, myśląc, jak wspaniale byłoby wziąć ślub przez dotyk nosa; ruszyć z dalekiej odległości, jak w starych korytarzach, kiedy ściany i obrazy znikają z pola widzenia, ale twarz Sophie stawała się coraz większa, oczy coraz szersze, piegi coraz intensywniejsze, planeta, potem księżyc, potem słońce, a potem już tylko pustka z wyjątkiem pędzącej mapy wszechświata, wielkie oczy zlewające się w jedno, zanim ich nosy nie wpadły na siebie bezgłośnie.

Szczęśliwe wyspy

– Trochę nierealne – powiedział. Na jego garniturze widniały plamy od trawy. Matka spostrzegła je, gdy pakowała koszyk, i zmartwiła się.

– Nie zejda – orzekła.

Popijał szampana, a nierealność świata wydawała się możliwa do zaakceptowania, normalna, a nawet konieczna. Siedział spokojny i szczęśliwy, jakby jego głowę spowijała mgielka przedłużającego się popołudnia. Matka przykryła koszyk, po czym dojrzała talerz leżący w trawie. Kiedy powtórzyła wszystkie czynności, Smoky z uczuciem *déjà vu* wskazał na widelec, którego nie zauważyła.

Daily Alice wzięła go pod ramię. Przeszli wyspę wzdłuż i wszerz kilka razy, witając się z przyjaciółmi i krewnymi, którzy byli z nich dumni.

– Dziękuję – powiedziało kilkoro z nich, kiedy przedstawiała Smoky’ego i kiedy wręczali im prezenty. Smoky po trzecim kieliszku szampana zastanawiał się, czy to mówienie pewnych rzeczy w odwrotnej kolejności (Cloud zawsze tak postępowała) powinno być rozpatrywane przypadek po przypadku, jeśli można tak powiedzieć, czy też należało do ogólnego, ogólnego... oparła głowę na jego miękkim ramieniu i wspierając się wzajemnie, pozdrawiali gości.

– Przyjemnie – powiedział od niechcenia. – Jak to się mówi, kiedy coś odbywa się na wolnym powietrzu?

– Al fresco?

– Tak?

– Chyba tak.

– Jesteś szczęśliwa?

– Chyba tak.

– Ja jestem.

Kiedy Franz Mouse się ożenił, wybrał się z żoną (jak jej było na imię?) do fotografa. Oprócz tradycyjnych ślubnych zdjęć fotograf zrobił jeszcze kilka głupawych ujęć na własny użytek. Franz miał na nich nogi skute papierowym łańcuchem z kulą, a panna młoda, zachęcona przez fotografa, wywijiała nad głową męża wałkiem do ciasta. Smoky doszedł do wniosku, że sam wie o życiu małżeńskim nie więcej niż tamten fotograf, i roześmiał się głośno.

– O co chodzi? – zdziwiła się Daily Alice.

– Masz wałek do ciasta?

– Masz na myśli wałek do wałkowania ciasta na ciasteczka? Matka ma chyba coś takiego.

– W takim razie wszystko w porządku – zachichotał. Strumień śmiechu wypływał z jakiegoś punktu jego przepony, podobnie jak bąbelki wypływające z niewidzialnego miejsca w kieliszku. Alice zaraziła się tym chichotem. Matka, która stała nad nimi z założonymi rękoma, pokiwała głową z dezaprobatą. Rozległy się znowu dźwięki harmonii lub jakiegoś podobnego instrumentu i uciszyły ich tak, jak może uciszyć dotyk chłodnej dłoni lub głos snujący opowieść o dawno minionym smutku. Nigdy nie słyszał takiej muzyki. Zdawała się dosięgać go, albo raczej on jej, miał wrażenie, że jest szorstkim przedmiotem rzuconym na gładką powierzchnię jedwabiu. To był hymn, pomyślał, nie pamiętając, skąd zna to słowo. Ale ten hymn nie był najwyraźniej przeznaczony dla niego i jego wybranki, lecz dla gości. Matka westchnęła głęboko, zapadając natychmiast w milczenie, tak jak reszta zgromadzonych na wyspie. Wzięła z ziemi koszyk. Smoky zaczął się niechętnie podnosić, aby jej pomóc, ale dała mu znak, żeby usiadł z powrotem. Ucałowała ich oboje i odwróciła się z uśmiechem. Inni ruszyli w kierunku wody. Rozbrzmiewały śmiechy i odległe nawoływania. Zobaczył, że na brzegu ktoś pomaga ładnej Sarze Pink wsiąść do łodzi w kształcie łabędzia, że pozostali czekają na swoją kolej, trzymając w dłoniach kieliszki. Jeden z gości miał przewieszoną przez ramię gitarę. Rudy Flood wywijiał zieloną butelką. Muzyka i nastrój późnego popołudnia nasyciły ich odjazd melancholią. Odnosiło się wrażenie, że opuszczają Wyspy Szczęśliwe – by udać się do miejsca, gdzie nie będą tak szczęśliwi – i rozumieją to dopiero wtedy, gdy odbiją od brzegu.

Smoky postawił prawie opróżniony kieliszek na trawie pod kątem ostrym, czując, że całe jego ciało przenika muzyka, po czym złożył głowę na łonie Daily Alice. Dostrzegł przelotnie

ciotkę Cloud stojącą nad brzegiem jeziora i pogrążoną w rozmowie z dwojgiem ludzi. Zdawało mu się, że zna tych ludzi, ale przez chwilę nie potrafił ich rozpoznać. Mimo to był bardzo zdziwiony, że się tu znaleźli. Mężczyzna wydał usta, pykając fajeczkę, i pomógł kobiecie wsiąść do łodzi.

Marge i Jeff Juniper.

Smoky spojrzął na spokojną i nieporuszoną twarz Alice i zastanawiał się, dlaczego za każdym razem, gdy objawia się przed nim kolejna cudowna tajemnica, jest mniej skłonny ją zgłębiać.

– To, co nas uszczęśliwia, czyni nas również mądrymi – powiedział.

A ona zaśmiała się i skinęła głową, jakby chciała powiedzieć, że te stare aforyzmy kryją wiele prawdy.

Życie pod ochroną

Sophie odłączyła się od rodziców, którzy kroczyli ramię w ramię przez milknący las, rozmawiając przyciszonymi głosami o tym, co się wydarzyło, jak typowi rodzice, którzy właśnie wydali za mąż najstarszą córkę. Sophie podążyła własną ścieżką, wiodącą w przeciwną stronę, z powrotem do miejsca, które dopiero co opuściła. Zaczynał zapadać wieczór, ale zdawało się, że nie nadciąga on z nieba, lecz z ziemi, nasycając gęste poszycie z paproci granatową barwą. Sophie obserwowała niemal, jak światło dnia uchodzi z jej dłoni, które stopniowo stawały się niewidoczne, a życie i blask – z bukietu kwiatów, który wciąż z niewiadomej przyczyny trzymała w ręku. Miała wrażenie, że jej głowa znajduje się ponad zapadającą ciemnością, aż do chwili, gdy ścieżka zniknęła, a ona sama zaczęła wdychać chłodne wieczorne powietrze. W końcu została wchłonięta. Wieczór dosięgnął potem ptaków na gałęziach, uciszając kolejno ich zgiełkliwy świergot i przepełniając powietrze szeptami ciszy. Lecz niebo było jeszcze niemal tak błękitne jak w południe, choć ścieżka skryła się w ciemnościach – Sophie potykała się – a pierwsza ćma rozpoczęła już swą nocną pracę. Sophie zdjęła buty. Ugięła jedno kolano i sięgając przez plecy, ściągnęła jeden trzewik za obcas, po czym podskoczyła na jednej nodze i ściągnęła drugi. Postawiła pantofelki na kamieniu. Miała nadzieję, że rosa nie zniszczy satyny, lecz nie zaprzętała sobie tym zbyt głowę. Nie chciała się spieszyć, chociaż serce wbrew jej woli wyrywało się do przodu. Krzewy jeżyn czepiały się sukni i Sophie pomyślała, że lepiej byłoby ją zdjąć, lecz nie uczyniła tego. Las, gdy patrzyło się na niego wzdłuż drogi, którą przyszła, wyglądał jak miękki i ciemny tunel – perspektywa ciem. Jednak gdy spojrzała na boki, gdzie drzewa rosły rzadziej, dostrzegła błękit horyzontu, przechodzący w zieleń i spowity bladymi kłębamii obłoków. Zobaczyła również nieoczekiwane (to zawsze było nieoczekiwane) dach, a raczej dachy domu, bardzo odległe i wciąż malejące. Wrażenie to pogłębiało się w miarę, jak powietrze ciemniało.

Weszła wolnym krokiem do tunelu prowadzącego w noc, czując, że ścisza ją za gardło coś na kształt dziwnego śmiechu.

Kiedy zbliżyła się do wyspy, zrozumiała, że ma towarzystwo. Nie była na to całkiem nieprzygotowana, lecz mimo to poczuła, że jej policzki ogarnia fala gorąca, a po plecach przebiega dreszcz, jak gdyby miała futro, które ktoś bardzo energicznie szczotkuje.

Wyspa nie była w istocie prawdziwą wyspą. Miała kształt łzy, której wydłużona część dotykała strumienia zasilającego jezioro. Podeszła do miejsca, gdzie strumień był najwęższy i zakreślał łuk wokół ogona wyspy, wzbudzając i marszcząc wody jeziora. Z łatwością przeskakiwała po kamieniach obmywanych przez wodę. Wydawały się podobne do jedwabnych poduszek, do których chętnie przytuliłaby rozpalony policzek. Wkroczyła na wyspę poniżej altanki. Budynek zwrócony był w przeciwną stronę.

Tak, teraz było ich całe mnóstwo, otaczali ją. Nie mogła powstrzymać się od myślenia, że mają taki sam cel jak ona: po prostu wiedzieć albo zobaczyć, albo upewnić się. Ale powodowało nimi z pewnością coś innego. Nie potrafiła określić, co ją tu popychało, i być może ich powody również były trudne do nazwania, chociaż zdawało jej się, że słyszy gwar wielu głosów – bez wątpienia słyszała jedynie szum strumienia i własnej krwi – wiele głosów nie wypowiedających żadnych słów. Obeszła ostrożnie i bezgłośnie altankę, jej uszu dobiegła ludzka mowa. Była to Alice, ale Sophie nie rozróżniała słów. Rozbrzmiał śmiech i Sophie pomyślała, że wie, co Alice mówi. Dlaczego tu przyszła? Czuła, że gna ją jakieś groźne mroczne uczucie, które zagościło w jej sercu i przytłaczało je jak ogromny ciężar, ale nie zatrzymała się, póki nie doszła do miejsca wyżej położonego, osłoniętego połyskującymi krzewami i kamienną ławką. Dopiero tam padła bezgłośnie na kolana.

Zgasły już ostatnie zielonkawe przeblęski wieczoru. Altanka, czekająca jakby z utęsknieniem na tę chwilę, patrzyła, jak księżyc wznosi się ponad drzewami, rozlewa swój blask na pofalowane wody, przenika przez kolumny i oświetla spoczywającą tam parę.

Daily Alice powiesiła sukienkę na gałązkach krzewu i raz po raz rąbek bądź rękaw poruszał się od lekkiego wietrzyku, który przebudził się po zachodzie słońca. Smoky odnosił wrażenie, dostrzegał to prawie kątem oka, że ktoś jeszcze znajduje się w pobliżu altanki. Potem pojawiło się mnóstwo światełek: punkciki na ciemniejącym niebie, robaczki świętojańskie, fosforyzujące kwiaty, jaśniejące nie tyle odbitym blaskiem księżyca, ile jakimś własnym, wewnętrznym, łagodnym światłem. Ale pomimo to bardziej wyczuwał niż widział jej długi kształt spoczywający obok niego na materacu.

– Naprawdę jestem bardzo niewinny – powiedział – pod wieloma względami.

– Niewinny! – powtórzyła, udając zdumienie (udając, ponieważ właśnie z powodu tej niewinności był tu teraz z nią, a ona z nim).

– Nie zachowujesz się niewinnie. – Roześmiała się, a Smoky zawtórował. Właśnie ten śmiech słyszała Sophie. – Bezwstydny.

– Tak, bezwstydny też. To to samo, jak sądzę. Nikt nigdy mi nie powiedział, czego należy się wstydić. Czego się bać, tego nie trzeba nikogo uczyć. Ale jakoś to przetrwałem. – Z tobą, mógłby dodać. – Żyłem pod ochroną.

– Ja też.

Smoky pomyślał, że wcale nie żył pod ochroną, skoro Daily Alice mogła powiedzieć to samo o sobie.

Przecież jego życie było zupełnie inne, niechronione – tak to właśnie odczuwał.

– Nigdy nie miałem dzieciństwa... w każdym razie takiego jak ty. W pewnym sensie nigdy nie byłem dzieckiem. To znaczy byłem mały, ale nie byłem dzieckiem.

– Weź moje dzieciństwo – zaproponowała. – Jeśli chcesz...

– Dziękuję – powiedział. Bardzo tego pragnął, chciał całego jej dzieciństwa, nie wyrzekłby się ani jednej sekundy. – Dziękuję.

Księżyc wszedł wysoko i w jego nagłym blasku dostrzegł, że Alice wstaje, przeciąga się jak po dużym wysiłku i opiera o kolumnę, gładząc się z roztargnieniem i spoglądając na zmasowaną ciemność drzew i na jezioro. Jej długie uda wydawały się srebrzyste i bezcielesne (ale nie były bezcielesne, o nie, ciągle drżał lekko od ich ciężaru). Wyciągnęła rękę wzdłuż kolumny, przez co jej pierś naprężyła się. Przeniosła cały ciężar ciała na jedną nogę, a drugą ugięła nieco w kolanie. Bliźniacze krągłości jej pośladków były w ten sposób zbalansowane.

Smoky widział to wszystko bardzo wyraźnie, ale odnosił wrażenie, że jego zmysły nie są w stanie tego ogarnąć, tylko zbliżają się ku temu bez końca.

– Moje najwcześniejsze wspomnienia – powiedziała, jak gdyby chciała wpłacić pierwszą zaliczkę na poczet prezentu, który mu zaofiarowała, a może myśląc o czymś zupełnie innym (choć przyjął to tak czy owak) – moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą twarzy w oknie mojej sypialni. To było nocą, w lecie. Okna były otwarte. Żółta twarz, okrągła i jaśniejąca. Malował się na niej szeroki uśmiech, a oczy były takie przeszywające. Patrzyły na mnie z wielkim zainteresowaniem. Pamiętam, że roześmiałam się, ponieważ twarz była taka złowieszcza, a jednocześnie uśmiechała się i pobudzała mnie również do śmiechu. Potem zauważyłam dłonie na parapecie i zdawało się, że twarz, to znaczy jej właściciel chce wejść przez okno. Nadal się nie bałam. Słyszałam śmiech i sama się śmiałam. Właśnie wtedy mój ojciec wszedł do pokoju i odwróciłam się do niego, a kiedy znowu spojrzałam w okno, twarzy już nie było. Później, kiedy przypominałam o tym tacie, powiedział, że twarz to był księżyc w oknie, a ręce – firanki poruszane przez wiatr. I, że kiedy spojrzałam ponownie, to akurat chmura przesłoniła księżyc.

– Możliwe.

– To on tak to widział.

– Myślę, że może...

– Czyje dzieciństwo – powiedziała, odwracając się do niego – chcesz mieć? – Jej włosy płonęły w świetle księżyca, a twarz była matowa i błękitna, przerażająco niepodobna do twarzy Alice.

– Chcę twojego dzieciństwa. Zaraz.

– Zaraz?

– Chodź tutaj.

Roześmiała się i uklękła razem z nim na materacu, jej ciało wydawało się chłodne w blasku księżyca, a jednak było w każdym calu jej ciałem.

Tak cicho jak przyszła

Sophie widziała, jak się kochają. Odczuwała bardzo intensywnie nastroje, jakie Smoky rozpalał i gasił w jej siostrze. Wiedziała, że nigdy przedtem Alice nie doświadczała podobnych emocji. Widziała wyraźnie, jak jej brązowe oczy stają się dzięki Smoky'emu jeszcze ciemniejsze i zapatrzone w głąb siebie albo rozpalają się nagłym blaskiem – widziała to wszystko. Miała wrażenie, że Daily Alice została stworzona z ciemnego szkła, które zawsze było mętne i nieprzezroczyste, a teraz, pod wpływem jasnego płomienia miłości Smoky'ego, stało się całkowicie przejrzyste, tak że żadna cząstka Alice nie mogła ukryć się przed wzrokiem Sophie. Słyszała, że coś mówią – kilka słów jedynie: wskazówki, okrzyki triumfu – a każde słowo dźwięczało jak kryształowy dzwoneczek. Oddychała oddechem swojej siostry i z każdym jego przyspieszeniem kształt Alice stawał się jeszcze bardziej wyrazisty. Dziwny sposób, by ją posiąść. Sophie nie potrafiła określić, czy zapierająca dech gorączka, którą czuła, była spowodowana bólem, wstydem, zuchwałością czy czymś zupełnie innym. Wiedziała, że żadna siła nie zmusiłaby jej do odwrócenia wzroku i że gdyby nawet przestała patrzeć, to i tak wszystko by widziała, w dodatku nie mniej wyraźnie.

A jednak przez cały ten czas Sophie była zatopiona we śnie; w takim śnie (znała wszystkie rodzaje snów, ale żadnego nie umiała nazwać), w którym powieki stają się jakby przezroczyste i widzi się przez nie to samo, co widziało się przed zaśnięciem. Zanim zamknęła oczy, wiedziała lub czuła, że wokół niej znajdują się inni, którzy również przybyli tu po to, by szpiegować młodą parę. Teraz, w jej śnie, przybrali całkiem konkretny kształt. Wyglądali ponad jej ramieniem i ponad jej głową, pełzali zręcznie, by znaleźć się jak najbliżej altanki, unosili maleńkie dzieci, by poprzez liście mirtowych krzaczków ujrzeć dziejący się cud. Zawisli w powietrzu bez tchu, machając skrzydełkami z uniesieniem równym niemal temu, którego byli świadkami. Ich szepty nie przeszkadzały Sophie, ponieważ ich zainteresowanie, choć tak samo wielkie, w niczym nie było podobne do jej zainteresowania.

Podczas gdy ona czuła, że poważyła się na wielkie ryzyko, nie wiedząc, czy nie pochłona jej spienione fale zdumienia, namiętności, wstydu i przytłaczającej miłości, ci, którzy ją otaczali, zachęcali dwoje młodych – nie, zagrzewali ich – do jednej rzeczy tylko, a było nią Pokolenie.

Niezdarny chrząszcz zabrzączał Sophie koło ucha i dziewczyna zbudziła się.

Realne kształty wokół niej stanowiły mgliste odzwierciedlenie tego, co widziała we śnie: bzyżące komary i błyszczące robaczki świętojańskie, polujące nietoperze z rozpostartymi skrzydłami.

Daleko przed nią altanka połyskiwała bielą w świetle księżyca. Zdawało jej się, że widzi raz po raz ruchy ich kończyn. Ale nic nie słyszała. Nie widziała nic, co można by nazwać, nic, co pozwoliłoby jej snuć jakiegokolwiek domysły. Całkowicie intymny spokój.

Dlaczego sprawiało jej to większy ból niż scena, której świadkiem była we śnie?

Świadomość wykluczenia. Ale czuła się oddana im obojgu i odczuwała to tak samo silnie teraz, kiedy ich nie widziała, jak i wtedy, gdy śniło jej się, że ich widzi. I tak samo nie miała pewności, czy to przetrwa.

Zazdrość, rodząca się zazdrość. Nie, to nie to. Nigdy nie miała świadomości, że cokolwiek do niej należy, a człowiek może odczuwać zazdrość tylko wtedy, gdy odbierają mu to, co stanowi jego własność. Nie czuła się również zdradzona. Wiedziała o wszystkim od początku (teraz nawet więcej, i nigdy się nie domyśla, że wiedziała aż tyle), a można czuć się zdradzonym tylko przez oszustów, przez kłamców.

Zawiść. W stosunku do Alice, do Smoky'ego, czy do obojga? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Miała tylko wrażenie, że płonie jednocześnie z bólu i miłości, jak gdyby połknęła rozżarzone węgle, niezbędne do przeżycia. Oddaliła się tak cicho, jak przyszła, a rzesze tych, którzy ją otaczali, pospieszyły za nią, jeszcze bardziej bezgłośnie.

Przypuśćmy, że jest się rybą

Strumień, który zasilał jezioro, wypływał z dużego stawu, rzeźbionego przez wysoki wodospad i położonego w gęstych lasach. Nim dotarł do jeziora, spływał długo po kamieniach jak po stopniach schodów Pasma światła księżycowego uderzały w powierzchnię stawu, załamywały się i rozpraszały w jego głębinie. Gwiazdy, odbite w tafli wody, unosiły się i opadały w rytm jej ustawicznego falowania, które brało swój początek w spienionych nurtach wodospadu. Tak by to widział każdy, kto stanąłby na brzegu stawu. Ale ryba, wielki biały pstrąg niemal uśpiony w głębinie, postrzegala to inaczej.

Uśpiony? Tak, ryby śpią, choć nie potrafią płakać. Ich najgwałtowniejszym uczuciem jest panika, a najsmutniejszym – rodzaj gorzkiego żalu. Śpią z szeroko otwartymi oczyma, a ich chłodne sny przesuwają się na czarnej i zielonej tafli wody. Dziadkowi Pstrągowi wydawało się, że woda i jej dobrze znane zakątki skrywają się i odsłaniają na nowo, gdy sen przychodzi i odchodzi. Kiedy staw zamykał się, Dziadek Pstrąg widział wewnętrzne przestrzenie. Rybom śni się zwykle ta sama woda, którą zamieszkują na jawie, lecz sny Dziadka Pstrąga były inne. Jego sny tak bardzo różniły się od rybich snów, a jednocześnie oczy pozbawione powiek tak bezlitośnie przypominały mu, gdzie się naprawdę znajduje, iż cała jego egzystencja zaczęła się opierać na przypuszczeniach. Senne przypuszczenia wypierały się nawzajem wraz z każdym poruszeniem skrzelii.

Przypuśćmy, że jest się rybą. Nie ma lepszego mieszkania niż ten staw. Wodospad ustawicznie dostarcza świeżej wody, tak że oddychanie jest czystą przyjemnością. Przypomina to (zakładając, że jest się istotą oddychającą tlenem) wysoko położone łąki

alpejskie, po których hula świeży wiatr. Jakże to wspaniałomyślnie i miło z ich strony, że tak się o niego zatroszczyli, oczywiście, zakładając, że w ogóle obchodziło ich jego lub czyjekolwiek szczęście i wygoda. I nie grasują tu drapieżniki, i tylko kilku rywali, ponieważ (ryba nie powinna chyba nic o tym wiedzieć) strumień jest płytki i kamienisty. Żaden kształt zbliżony wielkością do pstrąga nie przypląwał do stawu po to, żeby rywalizować o robactwo, spadające tu z gęstych i bogatych lasów. Naprawdę pomyśleli o wszystkim, zakładając, że w ogóle o czymkolwiek myśleli.

Jednak (przypuśćmy, że wcale sam sobie nie wybrał życia w wodzie) jak zasłużona i okrutna była to kara, jak przykre było to wygnanie. Umocowany w płynnym szkle, niezdolny oddychać – czy miał pływać w tę i z powrotem i połykać moskity już do końca swego żywota? Przypuszczał, że dla ryby takie przeznaczenie jest przedmiotem najszcześniejszych snów. Ale jeśli nie jest się rybą? Co za pamięć, niekończące się rozmnażanie maleńkich kropeł goryczy.

Przypuśćmy z drugiej strony, że to wszystko stanowiło część Opowieści. Przypuśćmy, że chociaż mógł się wydawać szczęśliwą rybą albo przyzwyczał się już, acz niechętnie, do rybiego kształtu, to jednak pewnego razu na brzegu stawu pojawiłaby się wróżka i zaglądając do mieniającej się głębin, wyrzekłaby słowa zaklęcia, które z wielkim trudem udało jej się wydobyć od złośliwych czarowników. Wówczas wyskoczyłby z głębin, wzbudzając duszące wody i bijąc w powietrzu nogami. Stałby przed nią w przemoczonych królewskich szatach, ciężko dysząc. Zaklęcie zostałoby zdjęte, byłby przywrócony do życia, a czarownicy krzyczeliby ze złości. Na tę myśl przed oczyma przesunął mu się na wodzie obraz, kolorowy grawerunek. Przedstawiał rybę z szeroko otwartym pyszczkiem, odzianą w płaszcz z wysokim kołnierzem i dźwigającą pod pachą ogromny list. Powietrze. Pod wpływem tego sennego koszmaru poruszył gwałtownie skrzelami i natychmiast się obudził. Zasłony znowu opadły. Wszystko było tylko snem. Przez chwilę nie myślał o niczym innym jak tylko o bezpiecznej toni omiatanej blaskiem księżycy.

Oczywiście – zasłony znowu zaczęły się unosić – mógł sobie wyobrażać, że jest jednym z nich, tym, który rzuca zaklęcia, złośliwym manipulatorem, że wieczna, niezniszczalna inteligencja czarownika została z niewiadomych powodów ukryta w ciele zwykłej ryby. Niezniszczalna: przypuśćmy, że tak jest. Z pewnością jego życie trwa wiecznie albo prawie wiecznie, przetrwał przecież do dzisiejszych czasów (zakładając, że to współczesne czasy). Żył dłużej niż normalne ryby, dłużej nawet niż książęta. Wydawało mu się, że jego życie rozciąga się wstecz (a może w przód?), że nie ma początku (a może końca?) i że w tej chwili jest w stanie przypomnieć sobie, czy wielkie opowieści i wątki, które, jak mu się zdaje, zna i o których rozmyśla, kryją się w tym, co nadchodzi, czy spoczywają martwe w tym, co minęło. Ale przypuśćmy, że tak właśnie dochowuje się tajemnic, tak właśnie zapamiętuje stare jak świat historie i tak również rzuca klątwy, których nie sposób odwrócić...

Nie. Oni wiedzą. Oni nie przypuszczają.

Myśli o ich pewności, o spokojnym, pozbawionym wyrazu pięknie ich prawdomównych twarzy, o zręcznych rękach, które zawsze osięgają to, co zamierzają, rękach tak nieodpartych jak haczyk tkwiący głęboko w gardle. Jest takim ignorantem jak młody łosoś, nic nie wie, nie zależy mu na tym, żeby wiedzieć, nie zadawałby sobie trudu, żeby ich pytać – zakładając, że odpowiedzą (kolejna wewnętrzna zasłona podniosła się bezgłośnie) – czy pewnej sierpniowej nocy pewien młody człowiek, który stał na kamieniach osuszanych zabójczym powietrzem, czy ten młody człowiek, który uległ tak gwałtownej przemianie, nie został przypadkiem rażony wcześniej piorunem, przypuszczalnie za jakąś zniewagę, macie swoje powody, nie zrozumcie mnie źle, to nie ma nic wspólnego ze mną. Tylko przypuśćmy, że człowiek ten wyobraża sobie, iż ma tylko jedno ostatnie wspomnienie (wszystko inne to wyłącznie domysły): pogrąża się w duszącej toni, nie mogąc złapać oddechu, mocno bije wodę rękoma i nogami, skręca się w powietrzu (w powietrzu!) i wreszcie z wielką ulgą zanurza w zimnej, słodkiej wodzie, w której powinien się znajdować i w której musi odtąd pozostać na zawsze.

I przypuśćmy, że nie potrafi sobie teraz przypomnieć, dlaczego tak się stało. Tylko domniemywa, tylko śni mu się, że istotnie tak się stało.

Cóż takiego zrobił, że poczuliście się tak głęboko urażeni? Czy stało się tak tylko dlatego, że w opowieści muszą występować jakieś postaci pośredniczące, jakieś ogniwa, a on był pod ręką?

Dlaczego nie pamiętam, jaki grzech popełniłem?

Ale Dziadek Pstrąg jest teraz pogrążony w głębokim śnie, gdyż nie mógłby snuć takich domysłów, gdyby nie spał. Wszystkie zasłony opadły przed jego otwartymi oczami, zewsząd otacza go woda. Dziadkowi Pstrągowi śni się, że poszedł na ryby.

V

*To co najbardziej kochasz, to twoje prawdziwe dziedzictwo
To co najbardziej kochasz, nie będzie ci wydarte³*

Ezra Pound

Następnego ranka Smoky i Daily zabrali paczki większe niż plecak, z którym Smoky przybył z miasta, i wzięli sękate laski z pojemnika na laseczki spacerowe i parasole stojącego w holu. Doktor Drinkwater dał im atlasy kwiatów i ptaków, których w ogóle nie otworzyli. Zabrali też ze sobą prezent od George'a Mouse'a. Paczka nadeszła tego ranka z poranną pocztą i widniał na niej napis: „Otworzyć gdzie indziej”. Jak się potem okazało, zawierała (tak jak przypuszczał Smoky) wielką garść pokruszonego brązowego zielska o zapachu przypraw ziołowych.

Szczęśliwe dzieci

Wszyscy zgromadzili się na werandzie, żeby ich pożegnać. Doradzali, dokąd Alice i Smoky powinni się udać i kogo odwiedzić z tych, którzy nie mogli przybyć na wesele. Sophie nie odzywała się, ale kiedy mieli już wyruszać, pocałowała ich oboje mocno i uroczyście, szczególnie Smoky'ego, jakby chciała powiedzieć: więc to tak, po czym szybko uciekła.

Po ich odejściu Cloud zamierzała śledzić ich kroki z pomocą kart i zdawać relację na tyle, na ile było to możliwe, z przygód, które, jak przypuszczała, będą liczne i nic nie znaczące, ponieważ jej karty potrafiły najlepiej informować właśnie o takich wydarzeniach. Tak więc po śniadaniu przysunęła szklany stolik do wiklinowego krzesła, które stało na werandzie, i zapaliła pierwszego w tym dniu papierosa, po czym starała się zebrać myśli.

Wiedziała, że najpierw będą wspinać się na wzgórze, ale przecież sami jej o tym powiedzieli. Ujrzała oczyma duszy drogę, którą będą podążać, dobrze wydeptane ścieżki wiodące na wierzchołek. Potem staną na szczycie i obejmą wzrokiem królestwo poranka i swoje, zielone, porośnięte lasami i upstrzone farmami, rozciągające się w sercu hrabstwa.

³ Fragment „Pieśni LXXXI” Ezry Pounda w przekładzie Andrzeja Szuby.

Potem zejda na dół bardziej niedostępna stroną i pomaszerają przez poacie ładu, na które patrzyli ze szczytu.

Rozłożyła kielichy i buławy, giermków, denarów i królów mieczy. Domyślała się, że Smoky nie będzie mógł nadażyć za długonoga Alice, kiedy będą przemierzać rozświetlone słońcem pastwiska Plainfield. Łaciate krowy Rudy'ego Flooda spojrzą na nich spod długich rżę, a maleńkie robaczki będą umykać przed ich stopami.

Gdzie odpoczną? Może przy wartkim strumieniu, który wgryza się w pastwisko, podmywając kępki trawy i unosząc młodziutkie witki wierzb rosnących po obu jego stronach.

Położyła kartę zwaną Zawiniątkiem i pomyślała: czas na lunch.

Wyciągnęli się w jasnym cieniu wierzbowego lasku, pocętkowanym plamkami słońca, i zapatrzili się na strumień i wyrzeźbiony przez niego brzeg.

– Czy widzisz – powiedziała Alice, opierając policzki na dłoniach – apartamenty, domki na rzece, esplanady i co tam jeszcze? Całe zrujnowane pałace? Bale, przyjęcia, odwiedziny gości?

Wpatrywał się razem z nią w zielsko i korzenie zaplątane w mule rzeczonym, którego nie rozświetlały nawet padające promienie słońca.

– Nie teraz – dodała – ale w świetle księżycy. Czy to nie właśnie wtedy chodzą się bawić? Popatrz.

Mając oczy na poziomie brzegu, można było sobie to wyobrazić. Wpatrywał się uporczywie, marszcząc brwi. Uwierz. Uczynił wysiłek. Roześmiała się i wstała. Ponownie zarzuciła plecak na ramiona, a jej piersi naprężyły się.

– Pójdziemy w górę strumienia – powiedziała. – Znam tam miłe miejsce.

Przez całe popołudnie szli w górę strumienia i powoli opuszczali dolinę, którą gulgoczący strumień zuchwale wziął w posiadanie po dawno wyschniętej, wielkiej rzece. Zbliżali się do lasu i Smoky zastanawiał się, czy są to właśnie te lasy, na których skraju leży Edgewood.

– Nie wiem – odparła Alice. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła w końcu, zgrzana i bez tchu po długiej wspinaczce. – To tutaj kiedyś przychodziliśmy.

Miejsce to przypominało jaskinię wyciętą w ścianie lasu. Stali na wierzchołku wzgórza, którego zbocza ginęły w gęstwinie drzew. Smoky pomyślał, że nigdy nie widział lasu takiego jak ten, który w pełni zasługiwał na to miano. Ziemia była wyściełana dywanem mchu, ale jego warstwa okazała się dość cienka. Poszycie tworzyły krzaczki dzikich róż i małe osiki. Las wciągał ich do swego wnętrza, do szepczących ciemności, w których raz po raz rozbrzmiewały jęki wielkich drzew.

Gdy znaleźli się w środku, Alice usiadła z ulgą. Cień był głęboki i wydłużał się w miarę, jak mijało popołudnie. Miejsce to wydawało się tak ciche i kojące jak wnętrze kościoła, od czasu do czasu dochodziły jedynie dziwne i uroczyste odgłosy z nawy, apsydy i chóru.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy – spytała Alice – że drzewa mają swoje życie, tylko że

toczy się ono wolniej niż nasze? Że może dla nas dzień jest tym, czym dla nich całe lato, że żyją między jednym snem a drugim? Że mają bardzo długie, rozwlekłe myśli, a ich rozmowy toczą się zbyt wolno, żebyśmy mogli je usłyszeć? – Położyła laseczkę na ziemi i zaczęła zsuwać z ramion paski od plecaka. W miejscach, gdzie dotykały ciała, na koszuli widniały plamy potu. Podciągnęła duże kolana, lśniące od potu, i oparła na nich ręce. Jej brązowe nadgarstki również były wilgotne, a w złocistych włosach plątały się ziarenka pyłu i kurzu.

– Co o tym sądzisz? – zaczęła szarpać grube rzemyki przy wysokich butach. Nic nie powiedział, tylko starał się utrwalić w pamięci ten widok. Był zbyt szczęśliwy, żeby się odzywać. Odnosił wrażenie, że obserwuje Walkirię zdejmującą zbroję po bitwie.

Kiedy uklękła, żeby ściągnąć zmięte i uciskające szorty, pospieszył jej z pomocą.

Tymczasem matka zapaliła żółtą żarówkę nad głową Cloud. Marzenie nad kartami zatraciło barwę błękitnego wieczoru i przybrało ostry i nie całkiem zrozumiały kształt. Odkryła już, jak będzie przebiegała wędrówka jej kuzynów w najbliższych dniach i powiedziała: „Szczęśliwe dzieci”.

– Stracisz tu wzrok – powiedziała matka. – Ojciec nalał ci sherry.

– Nic im nie będzie – oznajmiła Cloud, składając karty i wstając nie bez pewnego wysiłku z wiklinowego krzesła.

– Powiedzieli, że zatrzymają się u Woodsów, prawda?

– O tak, na pewno się zatrzymają – przytaknęła Cloud. – Na pewno.

– Posłuchaj, jak cykady ciągle cykają – powiedziała matka. – Bez chwili wytchnienia.

Wzięła Cloud pod ramię i weszły razem do domu. Spędzili ten wieczór grając w chińczyka przy użyciu wytartej składanej planszy. Jeden pionek gdzieś się zapodział, więc zastąpili go guzikiem. Wsłuchiwali się w nieustanny stukot wielkich, głupich chrząszczy uderzających w szklane drzwi.

Ostateczny porządek

Auberon obudził się w letnim domku w środku nocy i postanowił, że wstanie i zacznie porządkować fotografie. Musi zaprowadzić jakiś ostateczny porządek.

Nigdy nie sypiał zbyt wiele i był już w tym wieku, gdy wstawanie w nocy po to, żeby wykonać jakąś pracę, nie wydaje się niewłaściwe i niemoralne. Leżał przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w bicie swego serca, i w końcu go to znudziło. Poszukał więc okularów i usiadł. Właściwie do świtu było już niedaleko. Zegarek dziadka wskazywał godzinę trzecią, powietrze za sześcioma kwadratami okien nie było już takie czarne jak smoła, lecz błękitnawe. Insekty zdawały się spać, wkrótce ptaki rozpoczną swoje trele. W tym momencie panowała jednak absolutna cisza.

Napompował lampę ciśnieniową, a z jego piersi, za każdym razem, gdy naciskał tłok, wydobywał się charkot. To była dobra lampa i wyglądała dokładnie tak jak lampa. Miała

papierowy abażur, a wokół jej podstawy rozmieszczone zostały błękitne figurki łyżwiarzy. Ale przydałaby się nowa osłona. Nie można jej już dostać. Zapalił lampę i zmniejszył jej płomień. Jej przeciągły syk działał na niego kojąco. Gdy tylko lampa rozbłysła, zaczęła wydawać takie dźwięki, jakby zaraz miała zgasnąć, ale było to mylne wrażenie. Znał je dobrze. Będzie świeciła jeszcze przez długi czas.

Problem nie polegał na tym, że fotografie w ogóle nie były poukładane. Porządkowanie ich zabrało mu już mnóstwo czasu, lecz zawsze odnosił wrażenie, że wymykał mu się ich własny porządek, który nie miał nic wspólnego ani z chronologią, ani z rozmiarami zdjęć, ani z przedstawionymi na nich ujęciami. Czasami zdawało mu się, że przypominają pojedyncze klatki wycięte z filmu albo z kilku filmów i że pomiędzy tymi klatkami, które posiadał, istnieją dłuższe bądź krótsze luki. Gdyby zostały wypełnione, wówczas całość miałaby jakiś sens. Gdyby zostały wypełnione, pojawiłyby się poszczególne sceny: długie sekwencje tworzące jakąś historię, różnorodne i wzruszające. Ale skąd miał wiedzieć, czy poukładał we właściwej kolejności choć te nieliczne klatki, które posiadał, skoro brakowało tylu innych? Zawsze wahał się przed zniszczeniem tego porządku, który stworzył i który wydawał się całkiem rozsądny, po to, by odkryć inny układ, może wcale nie istniejący.

Wyjął album opatrzony tytułem: „Kontakty 1911-1915”. Znajdowały się w nim, chociaż tytuł tego nie precyzował, jego najwcześniejsze zdjęcia. Oczywiście zrobił też sporo zdjęć nieudanych, ale te zniszczył. W tamtych czasach, co powtarzał z uporem, fotografowanie było religią. Doskonałe zdjęcie stanowiło dar łaski, ale za grzechy natychmiast karano. Przypominało to dogmaty Kalwina: nigdy nie wiadomo, kiedy ma się rację, ale trzeba być nieustannie czujnym, by nie popełnić błędu.

Oto Nora na pobielonej werandzie kuchni, ma na sobie białą, marszczoną spódnicę i bluzkę. Zdarte wysokie buty wydają się na nią za duże. Biała bawełna, białe kolumny werandy, ciemna, opalona skóra Nory, jej rozjaśnione od słońca włosy, jej oczy – zdumiewająco blade na tle jasności pozbawionej skrawka cienia, wypełniającej werandę w słoneczne dni. Miała wtedy (zerknął na datę zapisaną z tyłu fotografii) dwanaście lat. Nie, jedenaście.

Nora w wieku jedenastu lat. Czy można by zacząć od Nory (od niej rozpoczynały się jego zdjęcia, ale oczywiście wątek mógł mieć inny przebieg) i podążać jej tropem, a gdy na planie pojawią się inne postacie, pozostawić Norę i skoncentrować się na tamtych, tak jak to czyni kamera? Na przykład na Timmie Willie? O, tu jest jej zdjęcie przy bramie, która prowadzi poza park, zrobione tego samego lata, być może w tym samym dniu. Trochę zamazane, bo nigdy nie potrafiła spokojnie ustać. Pewnie coś mówiła, opowiadała, dokąd idzie, kiedy on nakazał jej stać spokojnie. W ręce trzyma ręcznik, pewnie chciała popływać. To było ładne, wyraźne ujęcie, tylko że każdy przedmiot, na który padło światło słońca, płonął. Trawy błyszczały bielą, lśnił jeden z jej buczków, płonęły pierścionki, które lubiła nosić już w tym wieku. Ladaco.

Którą z nich kochał bardziej?

Z nadgarstka Timmie Willie zwisał na tasiemce mały Kodak w skórzanym pokrowcu. Zgodził się pożyczyć im aparat. Tylko obchodźcie się z nim delikatnie, przykazał. Nie upuście go. Nie otwierajcie go, żeby zajrzeć do środka. Nie zamoczcicie.

Przejechał palcem wskazującym po złączonych brwiach Timmie Willie, które na zdjęciu wydawały się jeszcze gęstsze niż w rzeczywistości i nagle rozpaczliwie za nią zatęsknił. Jak za poruszeniem jakiejś wewnętrznej siły w jego umyśle przesunęły się późniejsze zdjęcia.

Timmie Willie w zimie przy zamrażanym oknie muzycznego pokoju. Timmie, Nora, wysoki Harvey Cloud i Alex Mouse o świcie podczas wyprawy na motyle. Skacowany Alex w okularach z grubymi szklami. Nora z psem Sparkiem. Nora jako druhna na ślubie Timmie i Alexa. Wóz sportowy Alexa i szczęśliwa Timmie stojąca w nim i machająca ręką. Drugą ręką dotyka szyby wozu, a na głowie ma najbardziej fantastyczny kapelusz ozdobiony wstążką. I wreszcie Nora i Harvey już po ślubie na zdjęciu z Timmie, która jest blada i wyczerpana – skutek życia w Mieście. A potem znikają i nie pojawiają się ponownie. Kamera podąża za innymi postaciami.

A więc montaż. Ale jak mógłby wytłumaczyć nagły brak Timmie Willie wśród tych przewijających się twarzy, jej nieobecność podczas kolejnych świąt? Zdawało się, że pierwsze zdjęcie poprowadzi go przez cały zbiór, po drodze doda tylko kolejne ujęcie i uboczne wątki. A jednak nie było sposobu, aby jedno zdjęcie mogło opowiedzieć całą historię. Konieczne były niezliczone wyjaśnienia. Myślał z rozpaczą o umieszczeniu ich wszystkich na przezroczach i ułożeniu jednego filmu na drugim, aż plamy ciemności nałożą się na siebie i nie będzie widać tu zupełnie nic, nie przeniknie ani odrobina światła. A jednak wszystkie zdjęcia by tam były. Nie, nie wszystkie.

Ponieważ istniała jeszcze jedna rozbieżność, ciemny nurt biegnący równoległe do tych znanych strumieni codziennego życia. Wrócił raz jeszcze do zdjęcia Timmie Willie przy bramie: moment rozdzielenia, miejsce albo może czas, kiedy nastąpiło rozłączenie. Czy potrafisz odszukać twarze? Zawsze uważał się za człowieka, który kieruje się zdrowym rozsądkiem i żąda dowodów. Wydawał się odmieńcem w rodzinie wierzącej do szaleństwa, ubóstwiającej wróżki i gnomy. W seminarium nauczycielskim, gdzie wpajano mu naukowe metody i logikę, otrzymał również nową Biblię, czyli *Pochodzenie człowieka* Darwina. Szczerze mówiąc, to właśnie pomiędzy stronicami tego skrupulatnego naukowego dzieła z epoki wiktoriańskiej przechowywał zdjęcia zrobione przez Timmie Willie i Norę.

Nora, na której brązowych policzkach widniały ślady nowego różu, oddała mu wieczorem aparat fotograficzny. Nie potrafiła ukryć podniecenia. Zabrał aparat do swej ciemni w suterenie, oświetlonej czerwonym światłem, wyjął film, wywołał, wysuszył i zrobił odbitki.

– Nie wolno ci patrzeć na te zdjęcia – powiedziała mu Nora. – Na niektórych jesteście golusienkie! – Obiecał jej to, myśląc o muzułmańskich odczytywaczach listów, którzy musieli zasłaniać uszy, żeby nie poznać treści pism, które czytali klientom.

Na jednym czy dwóch zdjęciach były nagie nad jeziorem, co go niezwykle zainteresowało i poruszyło do głębi (przecież to jego własne siostry!). Przez długi czas Auberon nie był w stanie oglądać tych zdjęć. Nora i Timmie Willie przestały się nimi interesować. Nora znalazła sobie nową zabawę: stare karty Violet, a Timmie poznała tego lata Alexa Mouse'a. Tak więc przeleżały pomiędzy stronicami dzieła Darwina, poznając racjonalne argumenty i oglądając ryciny czaszek. Sięgnął po te fotografie dopiero wtedy, gdy wywołał niesamowite, niewytłumaczalne zdjęcie rodziców, zrobione pewnego burzowego dnia. Obejrzał to zdjęcie bardzo dokładnie, posługując się lupą i szkłem powiększającym. Przystudiował je wnikliwiej niż obrazki z cyklu „Czy potrafisz odszukać twarze?”, zamieszczane w kolorowym magazynie.

I odszukał twarze.

Tylko kilka razy zdarzyło mu się widzieć zdjęcie równie wyraźne i jednoznaczne jak fotografia Johna i Violet, siedzących przy kamiennym stoliku. Były tam również inne postacie. To jedno zdjęcie zdawało się stanowić bodziec, obietnicę, dzięki której nie ustawał w badaniu wizerunków subtelniejszych i bardziej zagadkowych. Był jak detektyw pozbawiony uprzedzeń i nie zgodziłby się z twierdzeniem, że „pozwolono mu ten jeden raz dojrzeć coś przelotnie”, że taki był „ich zamiar”, że „miał” strawić życie na poszukiwaniu dowodów, jednoznacznej odpowiedzi na wszystkie niepojęte zagadki. A jednak to zdjęcie wywarło na niego właśnie taki wpływ. Od tamtej pory nic innego nie mogło już stać się celem jego życia.

Przecież musiało istnieć wyjaśnienie, był tego pewien. Wyjaśnienie, a nie ulotne bajki, jakie snuł dziadek – bajki o tym, że istnieją światy wewnątrz światów – ani zaszyfrowane informacje wypływające z podświadomości Violet.

Z początku myślał, że się pomylił, dał się nabrać na jakąś sztuczkę, uległ złudzeniu (nawet miał taką nadzieję, trzymając w dłoni szkło powiększające). Bo przecież jeśli pominęłoby się zdjęcie przy kamiennym stole – w kategoriach nauki była to anomalia i dlatego nie miała wartości – to czy inne nie mogły stanowić ułudy? Może widział tylko pnąca dzikiego wina zwinięte w kształt przypominający łapę? Może światło padło na chelidonię, nadając jej wygląd twarzy? Wiedział, że światło może wyczyniać różne cuda, więc czy to nie było dobre wytłumaczenie? Czyż więc nie był to jeden z tych cudów? Nie, na pewno nie. Nora i Timmie Willie uchwyciły na zdjęciu, przypadkiem czy celowo, istoty, które zdawały się podlegać przemianie z istot naturalnych w pozaziemskie. Tu i ówdzie wyłaniała się ptasia twarz, a łapa, która obejmowała gałąź, przypominała rękę osłoniętą rękawem. Po uważnym przystudiowaniu fotografii nie miał co do tego wątpliwości. A ta pajęczyna to nie była wcale pajęczyna, tylko spódnica z trenem należąca do damy, której blada twarz tkwiła pomiędzy ciemnymi liśćmi. Dlaczego nie dał im aparatu z lepszym obiektywem? Zdawało się, że na niektórych zdjęciach majaczą niezliczone ich rzesze albo też perspektywa została jakoś zniekształcona. Czy byli wielkości małego palca? Czy duzi jak

ropucha? Zrobił diapozytywy z tych zdjęć i wyświetlał je na ekranie z prześcieradła, przed którym przesiadywał godzinami.

– Nora, czy tego dnia, kiedy poszłaś do lasu – ostrożnie, nie wolno narzucać odpowiedzi – widziałaś coś szczególnego, co chciałaś uwiecznić na zdjęciach?

– Nie, nic specjalnego, tylko... nie, nic specjalnego nie widziałam.

– Może moglibyśmy pójść kiedyś znowu do lasu, zabrać dobry aparat i zobaczyć, co z tego wyniknie?

– Och, Auberonie.

Szukał odpowiedzi u Darwina i zaczął mu się wyłaniać załączek hipotezy, bardzo niewyraźny, ale przybierający z czasem coraz konkretniejszy kształt.

W dziewiczych lasach rasa ludzka po niewyobrażalnie długiej walce oddzieliła się od swoich bliskich kuzynów, owłosionych małp. Ale zanim powstał człowiek, wiele innych prób wyewoluowania istoty ludzkiej spełzło na niczym i nie pozostał po tym żaden ślad oprócz dziwacznej kości. Drogi donikąd. Tylko człowiek nauczył się mówić, krzesać ogień, wyrabiać narzędzia, tak więc był jedyną istotą myślącą zdolną do przeżycia.

Czy istotnie?

Przypuśćmy, że jedna z gałęzi naszego drzewa genealogicznego – ta, która miała obumrzeć – w rzeczywistości wcale nie uległa zagładzie, ale przeżyła, posiadłszy umiejętności całkiem inne niż krzesanie ognia czy wytwarzanie narzędzi, które to zdolności posiadli jej więksi kuzyni. Założmy, że zamiast tego nauczyli się ukrywać, zmniejszać, znikać i w jakiś sposób mieć oczy tych, którzy na nich patrzą. Założmy, że nauczyli się nie pozostawiać żadnych śladów, żadnych krzemieni, kurhanów, żadnych zębów czy kości. Tylko że z czasem człowiek posiadał nowe umiejętności, pozwalające im dorównać, odkrył oko na tyle ostre, że potrafi ich dojrzeć i udokumentować ich obecność, siatkówkę z celulozoidu i soli srebra, oko mniej zapominalskie, nieomyłne, oko, które nie potrafi zaprzeczyć temu, co widzi. Auberon pomyślał, że musiały upłynąć tysiące lat, setki tysięcy lat, żeby ludzie nauczyli się tego, co teraz wiedzą, żeby z mroku absolutnej zwierzęcej ignorancji wyłoniły się umiejętności, które teraz posiadają, żeby nauczyli się lepić garnki (zdumiewająca rzecz), których niezgrabne szczątki odkrywamy pośród ognisk wygasłych od tysięcy lat i kawałków ogryzionych kości. Ta druga rasa, zakładając, że istnieje, zakładając, że można odnaleźć jej istnienie, musiała w ciągu tych tysięcy lat również udoskonalić swoje umiejętności. Dziadek opowiadał, że ci mali ludzie byli pierwotnymi mieszkańcami Brytanii, zmuszonymi przez najeźdźców do zmniejszania swych rozmiarów i stosowania podstępnych sztuczek. Najeźdźcy posiadali żelazną broń, stąd odwieczny strach tych istot i unikanie żelaza.

Może i tak! Podczas gdy żółwie skryły się w skorupach (odwracał stronicę wyważonego i nasyconego treścią dzieła Darwina), a ciała zebra pokryły się pasami, podczas gdy człowiek, niczym niemowlę, uczył się chwytać i mówić, tamci nauczyli się ukrywać tak, by nie zostać odkrytymi, i zacierać ślady. Rasa najeźdźców, która się rozwijała, umacniała i polowała za

pomocą broni, przestała dostrzegać ich obecność pośród siebie. Jedyny wyjątek stanowiły niezliczone opowieści o gospodyniach zostawiających na parapecie naczynia z mlekiem albo o pijakach i szaleńcach, przed których wzrokiem nie potrafili bądź nie chcieli się ukrywać.

Nie potrafili też lub nie chcieli ukrywać się przed Timmie Willie i Norą Drinkwater, które uchwyciły ich podobizny aparatem Kodaka.

Tych kilka okienek

Od tamtej pory fotografowanie przestało być dla niego rozrywką, a stało się narzędziem pracy, instrumentem chirurgicznym, który miał umożliwić mu dotarcie do serca tajemnicy i bliższe jej zbadanie. Niestety, odkrył, że jemu samemu nie dane było doświadczać jakichkolwiek dowodów ich obecności. Lasy na jego zdjęciach, mimo że wybierał zjawiskowe i obiecujące zakątki, pozostawały tylko zwyczajnymi lasami. Potrzebował medium, co niezmiernie komplikowało jego zadanie. Nadal wierzył – jak mógł nie wierzyć? – że soczewki i film są beznamiętne, że aparat fotograficzny nie może sam tworzyć ani fałszować obrazów, tak samo jak para na szklance nie może imitować odcisków palców. I rzeczywiście, kiedy ktoś mu towarzyszył podczas robienia zdjęć – dziecko, istota o wrażliwej psychice – wówczas na fotografiach wyłaniały się niekiedy twarze i postacie, niezwykle subtelne, ale widoczne po uważnym przestudiowaniu zdjęć.

Ale jakie dziecko?

Dowody. Dane. Po pierwsze ważne były brwi. Był przekonany, że brwi zrosnięte nad nosem, odziedziczone przez niektórych w rodzinie po Violet, miały rozstrzygające znaczenie. August miał gęste i ciemne zrosnięte brwi, czasami wyrastały z nich kępki sterzących włosków, jak u kota. Czoło Nory nosiło ślady takich brwi, miała je także Timmie Willie, chociaż gdy stała się młodą kobietą, ciągle je goliła i wyskubywała. Większość dzieci Mouse'ów, które z wyglądu bardzo przypominały dziadka, nie została obdarzona tym szczególnie urody, podobnie John Storm i sam dziadek. Oraz Auberon. Violet mawiała, że w tej części Anglii, z której pochodziła, zrosnięte brwi znamionowały człowieka o gwałtownym usposobieniu, kryminalistę, nawet maniaka. Śmiała się z tego, jak i z pomysłów Auberona związanych z tym znakiem szczególnym, a *Architektura* nie podawała żadnych wyjaśnień na ten temat.

No i w porządku. Może te historie o brwiach były mu potrzebne tylko do tego, by znaleźć wytłumaczenie, dlaczego właśnie on został wykluczony, dlaczego nie potrafił ich dostrzec, choć posiadał tę zdolność jego aparat, posiadała ją Violet i nawet przez jakiś czas Nora. Dziadek opowiadał o małych światach i o tym, kto ma do nich wstęp, ale nie potrafił przedstawić żadnych argumentów. Ślęczał nad zdjęciami Auberona i proponował zrobienie powiększeń, mówił o specjalnych soczewkach. Nie bardzo wiedział, o czym mówi, ale Auberon przeprowadził już pewne eksperymenty, szukając na własną rękę jakiegoś sposobu. Dziadek i John nalegali, by opublikować niektóre z jego zdjęć w książeczce, „religijnej

książeczce dla dzieci”, jak to określił John. Dziadek dopisał komentarz, stanowiący wykładnię jego własnych poglądów, i tak wszystko skomplikował, że nikt nie poświęcił zdjęciom najmniejszej uwagi, a w szczególności dzieci. Auberon nigdy tego nie wybaczył dziadkowi i Johnowi. Niełatwo myśleć o tej sprawie bezstronnie i w sposób naukowy, nie dopuszczając do siebie myśli, że jest się szaleńcem albo zupełnym głupcem, skoro cały świat tak uważał. A przynajmniej tych kilku, którzy zadali sobie trud skomentowania tej sprawy.

Doszedł do wniosku, że dziadek zbagatelizował jego wysiłek – książeczka dla dzieci! – tylko po to, żeby go wykluczyć. Pozwolił mu na to, ponieważ sam miał głębokie poczucie, że został wykluczony. Stał z boku, i to pod każdym względem: nie był synem Johna, nie był w pełni bratem młodszych dzieci, nie odziedziczył łagodnego charakteru Violet, ale nie był też odważny i zagubiony jak August, natura nie obdarzyła go zrosniętymi brwiami ani wiarą. Był też zatwardziałym kawalerem, nie miał żony ani potomstwa. W zasadzie był niemal prawiczką. Niemal. Pozbawiony towarzystwa, nigdy nie posiadał nikogo, kogo naprawdę kochał.

Wszystko to dręczyło go teraz trochę. Przeżył całe życie, tęskniąc za czymś nieosiągalnym, ale takie życie pozwala w końcu osiągnąć równowagę, czy to szaleńca, czy człowieka normalnego. Nie mógł narzekać. Przecież wszyscy byli tu wygnańcami, przynajmniej ten aspekt życia z nimi dzielili. I nie zazdrościł nikomu szczęścia. Z całą pewnością nie zazdrościł Timmie Willie, która uciekła do Miasta. Nawet nie ośmieliłby się zazdrościć Augustowi. A poza tym zawsze miał do dyspozycji tych kilka okienek, szarych i czarnych, spokojnych i niezmiennych, okienek, za którymi rozpościerały się niebezpieczne łądy.

Zamknął album (w powietrze popłynął zapach starej perfumowanej skóry). Kolejna próba uporządkowania zawartych w nim fotografii i wszystkich pozostałych zdjęć (zwyczajnych i nie tylko), które robił po dzień dzisiejszy, zakończyła się fiaskiem. Zostawił to wszystko w takim stanie, poukładane rozdziałami, starannie, ale nieadekwatnie. Ta decyzja nie przerażała go. W ciągu ostatnich lat często podejmował próby stworzenia nowego ładu i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku.

Starannie zawiązał tasemki albumu ze zdjęciami z lat 1911-1915 i wstał, żeby wyjąć z tajnej skrytki ogromny album w okładce z klejonego płótna. Album bez tytułu. Nie było to potrzebne. Zawierał wiele zdjęć zrobionych w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat. A jednak stanowił integralną część zbioru jego pierwszych fotografii. Te ostatnie zdjęcia reprezentowały inny rodzaj fotografii, były jakby bocznym nurtem jego życiowego dzieła, zostały niejako zrobione lewą ręką. Prawica, zajęta badaniami naukowymi, przez długi czas nie wiedziała o poczynaniach lewicy. W końcu jednak te fotografie wykonane lewą ręką okazały się najważniejsze, prawica stała się bezużyteczna. Stał się człowiekiem leworęcznym, a być może zawsze nim był.

Znacznie łatwiej było to stwierdzić, kiedy został naukowcem, niż kiedy przestał nim być.

Nie wiedział, w którym momencie, jeśli w ogóle zaistniał taki moment, jego wadliwa natura zdradziła go, nie ujawniając tajemnicy i zmuszając go do porzucenia wielkich poszukiwań po to, żeby... No właśnie, po co? Dla sztuki? Czy jego subtelne zdjęcia w sekretnym albumie stanowiły dzieła sztuki? A jeśli nie? I czy obchodził go choć trochę fakt, że mogły nimi nie być?

Miłość. Czy ośmieliłby się nazwać to miłością?

Położył zbiór zdjęć w płóciennej księdze na czarnym albumie: wyrastał z niego jak róża z czarnego kolca. Wiedział, że w tych dwóch księgach mieści się całe jego życie, oświetlone teraz płomieniem syczącej lampy. Błada ćma zginęła, siadając na białym abażurze lampy.

Zobaczyć tyle, ile się da

Daily Alice powiedziała do Smoky'ego, gdy znajdowali się w leśnej jaskini porośniętej mchem:

– Mawiał: chodźmy do lasu zobaczyć tyle, ile się da. I pakował swój aparat fotograficzny, czasami zabierał mały, a czasami większy, taki drewniany, na mosiężnych nóżkach. I zabieraliśmy prowiant. Przychodziliśmy tu wiele razy. Robiliśmy te wyprawy tylko w gorące słoneczne dni, kiedy mogłyśmy rozebrać się do naga, Sophie i ja. Biegałyśmy po lesie i wołałyśmy: popatrz, popatrz i czasami to umykało, zanim zdążyłeś się upewnić, czy w ogóle coś widziałeś...

– Rozbierałyście się do naga? Ile miałyście lat?

– Nie pamiętam. Osiem. Aż skończyłam dwanaście lat. Chyba tak...

– Czy to było konieczne? Żeby rozglądać się po lesie?

Roześmiała się, a jej głos dobiegał z dołu, ponieważ leżała wyciągnięta na ziemi. Podmuchy wiatru muskały jej ciało, które teraz też było nagie.

– To nie było konieczne – odparła. – Ale zabawne. Czy kiedy byłeś dzieckiem, nie lubiłeś się rozbierać?

Pamiętał to uczucie szalonego uniesienia i swobody, jakby zdejmując odzież zrywało się jakieś więzy. Nie miało to nic wspólnego z seksualnymi odczuciami ludzi dorosłych, ale było tak samo intensywne.

– Nigdy w obecności dorosłych.

– Och, Auberon się nie liczył. On nie był... jednym z nich, tak mi się zdaje. Przypuszczam, że robiłyśmy to wszystko dla niego. Zupełnie zbzikował.

– Z pewnością – powiedział Smoky ponurym głosem.

Daily Alice umilkła na chwilę. Potem powiedziała:

– Nigdy nie zrobił nam krzywdy. Nigdy, nigdy nas do niczego nie zmuszał. To my proponowałyśmy, co robić. On by nie mógł. Musiałyśmy przyrzec, że dochowamy tajemnicy. I on też musiał przyrzec. Jego podniecenie ekscytowało nas. Biegałyśmy dookoła, wrzeszczałyśmy, tarzałyśmy się po ziemi. Albo po prostu stałyśmy bez ruchu i czułyśmy, że

przepelnia nas jakiś wielki szum i że za chwilę wybuchniemy. To przypominało magię.

– I nigdy nic nie powiedziałaś?

– Nie! Nie, żeby to miało znaczenie. I tak wszyscy wiedzieli, może oprócz mamy i taty, i Cloud, ale nigdy nie pisnęli słowa. Rozmawiałam później z wieloma ludźmi i mówili: Och, więc ty też? Auberon zabierał cię do lasu, żeby zobaczyć tyle, ile się da? – Znowu się roześmiała. – Przypuszczam, że zajmował się tym przez wiele lat. Ale nie znam nikogo, kto by żałował. Chyba potrafił wybierać ludzi.

– A trwałe ślady w psychice?

– Och, nie bądź niemądry.

Gładziła się po nagim ciele, perłowym w świetle księżyca, muskanym przez lekkie wiaterek.

– Czy kiedykolwiek coś zobaczył? To znaczy oprócz...

– Nie. Nigdy.

– A ty?

– Wydawało nam się, że coś widzimy. – Oczywiście była tego pewna. Pełne oczekiwania i czujne spacerowały w rozświetlone poranki, czekały, aż zostaną poprowadzone, i czuły (od razu, w tym samym momencie), gdzie muszą skręcić, żeby dotrzeć do miejsca, w którym nigdy nie były, ale które wydawało się bardzo znajome. Miejsca, które brało je za rękę i mówiło: jesteście tutaj. I wtedy odwracały wzrok i widziały ich. I słyszały, że Auberon został gdzieś w tyle, i nie były w stanie nic mu powiedzieć ani pokazać tego, co same widziały, chociaż to właśnie on przyprowadził je we właściwe miejsce, pchnął na tę drogę, one zaś popędziły dalej same, zostawiając go.

– Sophie? – wołał. – Alice?

Tak właśnie jest

Całe wnętrze letniego domku było nasycone błękitem, oprócz miejsca znajdującego się w zasięgu lampy, która paliła się jednak coraz słabiej. Auberon dreptał po niewielkim pomieszczeniu, pocierając nerwowo palcami, zaglądając do pudełek i kątów. Znalazł wreszcie to, czego szukał: dużą kopertę z marmurku, ostatnią z wielu, jakie kiedyś miał. Dawno temu przesyłano mu w nich francuski papier fotograficzny.

Ostry ból przeszył jego ciało niczym nagła tęsknota i minął szybciej, niż mija tęsknota. Wziął album w płóciennej okładce i wsunął go do marmurkowej koperty. Zdjął nakrętkę ze swego antycznego watermana (nigdy nie pozwalał uczniom używać długopisów) i napisał swym belferskim pismem – teraz nieco chwiejnym, jak gdyby oglądanym pod powierzchnią wody – „Dla Daily Alice i Sophie”. Wielkie ciśnienie zdawało się rozpychać jego serce. Dodał: „I dla nikogo więcej”. Pomyślał, że można by postawić wykrzyknik, ale nie zrobił tego, tylko starannie zakleił kopertę. Na czarnym albumie nie napisał żadnego imienia. Nie był przeznaczony – podobnie jak i cała reszta – dla nikogo z żyjących.

Wyszedł na dwór. Ptaki nie wiadomo dlaczego nie zaczęły jeszcze porannych treli. Próbował się wysuszyć na skraju trawnika, ale nie mógł, więc zrezygnował. Usiadł na płóciennym leżaku wilgotnym od rosy.

Zawsze sobie wyobrażał, nie wierząc w to oczywiście, że będzie wiedział, kiedy przyjdzie ten moment. Wyobrażał sobie, że nadejdzie to o ich zwykłej porze, o świcie lub o zmierzchu, którego nie można sfotografować. Po wielu latach rezygnacji, poczucia beznadziejności i nawet gorczy, wyobrażał sobie, że o takiej porze jedno z nich przyjdzie po niego, stąpając bezgłośnie w porannej szarości i nie depcząc przy tym uśpionych kwiatów. Będzie przypominało wyglądem dziecko, a jego błyszczący kształt będzie rzucał błyski. Srebrzyste włosy, rozświetlone blaskiem słońca, które właśnie w tym momencie wszędzie lub być może jeszcze nie zajdzie, będą się wydawały ogarnięte płomieniem. Nie przemówi do tego zjawiska, nie będzie w stanie, martwy już przypuszczalnie jak kamień, ale zjawa przemówi do niego. Powie: „Tak, poznałeś nas. Ty jeden zbliżyłeś się do odkrycia tajemnicy. Bez ciebie nikt inny nie mógłby się do nas zbliżyć. Gdybyś ty nie był ślepy, inni nie mogliby nas widzieć. Gdybyś nie był samotny, nie mogliby się kochać nawzajem ani zrodzić potomstwa. Gdybyś nie był niedowiarkiem, oni nie mogliby wierzyć. Wiem, że trudno ci pojąć, iż wszystko na świecie może się toczyć w taki dziwny sposób, ale tak właśnie jest”.

W lasach

Następnego dnia około południa chmury zagęściły się, wypełniając niebo zdecydowanie, choć bez pośpiechu. Kiedy już nie było bezchmurnego skrawka, zdawało się, że wiszą tak nisko, iż można by ich dotknąć.

Droga, którą szli, łącząca Meadowbrook i Highland, wiła się w górę i w dół pomiędzy starymi lasami. Wybijały drzewa rosły w niewielkiej odległości od siebie, ich korzenie były z pewnością całkowicie splątane, natomiast gałęzie stykały się ponad drogą i mocowały ze sobą. Odnosiło się wrażenie, iż dębom wyrosły klonowe liście, a białym orzechom – dębowe. Drzewa dusiły się w uścisku bluszczu, który oplatał je ciasno, zwłaszcza podziurawione jak sito i włókniste pnie martwych okazów. Oparte o sąsiednie drzewa, nie mogły upaść.

- Gęsty las – zauważył Smoky.
- Chroniony – powiedziała Daily Alice.
- Co masz na myśli?

Wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić, czy nie pada deszcz. Jedna kropla, potem druga uderzyła w jej dłoń.

- Nigdy nie był wycinany. W każdym razie nie w ciągu ostatnich stu lat.

Deszcz zaczynał padać powoli, tak samo niespiesznie jak gromadziły się chmury. Nie zanosilo się na przelotny opad, ale na solidną całodzienną ulewę.

– Do diabła – zakląła. – Wyciągnęła z plecaka zwinięty żółty kapelusz i włożyła go na głowę. Było oczywiste, że przemokną do suchej nitki.

– Jak daleko jeszcze?

– Do domu Woodsów? Niedaleko. Poczekał chwilę. – Przystanął, zerknął w stronę, skąd przyszli, potem popatrzyła przed siebie. Smoky’ego zaczęła swędzić głowa od kropli deszczu. – Jest jakiś skrót – stwierdziła Alice. – Ścieżka. Nie trzeba iść naokoło, drogą. Ta ścieżka powinna gdzieś tu być. Gdybym tylko ją znalazła...

Chodzili w tę i z powrotem skrajem lasu, ale nigdzie nie widać było śladu ścieżki.

– Może już jej nie używają – zastanawiała się Alice w trakcie tych poszukiwań. – Są trochę dziwni. Samotnicy. Żyją tu zupełnie sami, zdani na siebie, i nigdy nikogo nie widują... – Zatrzymała się przed ledwie widocznym otworem w poszyciu. – To tutaj – powiedziała, jak się zdawało Smoky’emu, z przekonaniem. – To tutaj.

Ruszyli ścieżką, a deszcz nieustannie bębnił w liście. Nie był to odgłos uderzeń pojedynczych kropeł, ale jeden wielki stukot, zdumiewająco głośny, pochłaniający wszelkie inne dźwięki, jakie towarzyszyły przedzieraniu się dwojga ludzi przez gęstwinę. Baldachim drzew i czarne chmury sprawiły, że ścieżka tonęła w niemal nocnym mroku. Drogi nie rozświetlało nawet lśnienie kropeł deszczu.

– Alice?

Przystanął bez ruchu, lecz słyszał tylko szum deszczu. Tak bardzo pochłonęło go torowanie sobie drogi przez las po tej domniemanej ścieżce, że stracił z oczu Alice. I z pewnością zszedł też ze ścieżki, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam była. Zawołał raz jeszcze mocnym, pewnym głosem. Nie było powodu wpadać w panikę. Nikt mu nie odpowiedział, ale właśnie w tym momencie dostrzegł pomiędzy drzewami prawdziwą ścieżkę, rysującą się wyraźną linią. Alice z pewnością znalazła ją wcześniej i podążyła szybko przed siebie, podczas gdy on brnął w coraz większym gąszczu. Dotarł do ścieżki i ruszył nią. Był już całkowicie przemoczony. W każdej chwili powinien zobaczyć przed sobą Alice, ale tak się nie stało. Ścieżka wiodła go coraz bardziej w głąb lasu, pod dachem trzeszczących drzew. Zdawała się rozwijać pod jego stopami, nie mógł dojrzeć, dokąd prowadzi, ale wciąż wyłaniał się jej dalszy ciąg. W końcu (nie potrafił określić, czy trwało to długo, czy krótko, a deszcz nie ułatwiał mu zadania) przywiodła go na skraj szerokiej, porośniętej trawą polany, otoczonej pierścieniem drzew gigantów, śliskich i czarnych od wilgoci.

Jego oczom ukazał się najdziwniejszy dom, jaki kiedykolwiek widział. Spowity oparami wilgotnej, sączącej się mgły, wydawał się nierealny. Stanowił miniaturę jednego ze zwariowanych wiejskich domków Drinkwatera. Był bardzo kolorowy: miał dach kryty czerwoną dachówką i białe ściany przeladowane zdobieniami. Każdy milimetr ścian został pokryty rzeźbami, malunkami i ozdobnymi herbami. Co dziwniejsze, dom wydawał się przy tym niezwykle nowy.

To na pewno ten dom, pomyślał, ale gdzie jest Alice? Pewnie to ona zgubiła drogę, nie on. Zaczął schodzić ze wzgórza na polanę, deptając skupiska muchomorów, które obrodziły w wilgotnej ziemi. Małe, okrągłe drzewiczki, zaopatrzone w kołatkę i wizjer, osadzone na

mosiężnych zawiasach, otworzyły się, kiedy podszedł bliżej i wyjrzała zza nich drobna, bystra twarz, na której widniał szeroki uśmiech, choć oczy błyszczały i zerkwały podejrzliwie.

– Przepraszam – zagadnął Smoky – czy to dom Woodsów?

– W rzeczy samej – odparł człowieczek i otworzył drzwi szerzej. – Czy pan Smoky Barnable?

– Ależ tak! – Skąd on to wiedział?

– Proszę wejść do środka.

Jeśli w domu będzie ktoś jeszcze oprócz nas, to zrobi się tłoczno – pomyślał Smoky. Minął w drzwiach pana Woodsa, który miał na głowie szlafmycę w paski. Pan Woods pokazywał Smoky’emu wnętrze domu, wyciągając najdłuższą, najbardziej płaską i kościstą rękę, jaką Smoky kiedykolwiek widział.

– Miło, że mnie pan wpuścił – powiedział Smoky, a na twarzy małego człowieczka wykwitł jeszcze szerszy uśmiech, co Smoky’emu wydawało się niemożliwe. Gdyby uśmiechnął się jeszcze mocniej, jego brązowa twarz rozpadłaby się na dwie połowy jak orzech.

Domek wydawał się od wewnątrz znacznie większy niż był w istocie, albo też był mniejszy niż się pierwotnie wydawało – Smoky nie mógł się zdecydować. Czuł, że z jakiegoś powodu chce mu się śmiać. W środku zmieścił się stary zegar ze ślicznym cyferblatem, kredens, na którym stał cynowy świecznik i kubki, łóżko z górą poduszek, przykryte kołdrą zeszytą z tak komicznych i różnorodnych łątek, jakich Smoky nigdy w życiu nie widział. Znajdował się tam również okrągły, wypolerowany stół na nodze, z której wystawały drzazgi, oraz szafa przytłaczająca swym ogromem cały pokój. Oprócz Smoky’ego i pana Woodsa, w środku były jeszcze trzy osoby, a wszyscy mieścili się swobodnie: ładna kobieta zajmowała się czymś przy przysadzistym piecu; w drewnianej kołysce leżało dziecko, które gaworzyło jak mechaniczna zabawka za każdym razem, kiedy kobieta pchnęła kołyskę; trzecią osobą była stara, bardzo stara dama, w której twarzy wybijał się jedynie nos, broda i okulary. Kobieta bujała się na fotelu w kącie i szybkimi ruchami dziergała na drutach długi szal w paski. Wszyscy troje zauważyli jego przybycie, ale zdawali się nie zwracać na niego uwagi.

– Proszę usiąść – powiedział pan Woods. – I opowiedzieć nam swoją historię.

Smoky’ego przepelniało radosne zdumienie. Jakiś głos w jego wnętrzu próbował się dziwić, co znaczy ta sytuacja, ale rozpękł się jak nadepnięty balonik i zamilkł.

– No – zaczął niepewnie – zdaje się, że zgubiłem drogę, to znaczy Daily Alice i ja, ale teraz was znalazłem i nie wiem, gdzie ona się podziała.

– Dobrze – powiedział pan Woods. Usadowił Smoky’ego na krześle z wysokim oparciem, które stało przy stole, i wyjął z kredensu kilka talerzy w niebieskie kwiatki. Rozłożył je na stole jak karty.

– Proszę się posilić – zachęcał.

Jak na zawołanie kobieta wyciągnęła z pieca blaszkę, na której parowała jedna słodka

bułeczka rodzynekowa z wyciętym pośrodku krzyżykiem. Pan Woods położył bułeczkę na talerzu Smoky'ego i wpatrywał się w niego wyczekująco. Krzyżyk na bułeczce przypominał trochę gwiazdkę namalowaną białym lukrem. Smoky chciał poczekać, aż innym też zostanie podane jedzenie, ale bułeczka roztaczała tak silną woń rodzynek, że wziął ją do ręki i zjadł całą prawie natychmiast. Była tak smaczna, jak zapowiadał jej zapach.

– Niedawno się ożeniłem – odezwał się Smoky, kiedy zjadł, a pan Woods pokiwał głową.
– Znacie Daily Alice Drinkwater.

– Znamy.

– Wydaje nam się, że będziemy razem szczęśliwi.

– I tak, i nie.

– Co?

– Co pani na to, pani Underhill? Będą szczęśliwi?

– I tak, i nie – odrzekła pani Underhill.

– Ale jak... – zaczął Smoky. Ogarnął go głęboki smutek.

– Wszystko jest częścią Opowieści – dodała pani Underhill. – Nie pytaj mnie, w jaki sposób.

– Proszę wyrażać się jaśniej – powiedział Smoky wyzywającym tonem.

– No dobrze – wtrącił pan Woods. – To nie tak... – Jego twarz wydłużyła się. Zamyślił się, opierając podbródek na swej niewielkiej dłoni. Palcami drugiej dłoni bębnił po stole. – A jaki prezent ci ofiarowała? Powiedz nam.

To było bardzo nieuczciwe. Ofiarowała mu wszystko. Siebie.

Dlaczego miałyby mu dawać jakikolwiek inny prezent? W chwili gdy to powiedział, przypomniał sobie, że w noc poślubną ofiarowała mu prawdziwy dar.

– Podarowała mi – oznajmił z dumą – swoje dzieciństwo, ponieważ nie miałem własnego. Powiedziała, że mogę z tego daru korzystać, kiedy tylko zechcę.

Pan Woods popatrzył na niego znacząco.

– Ale – powiedział przebiegle – czy dała ci torbę, żebyś mógł do niej schować ten podarunek?

Jego żona (jeśli nią była) pokiwała głową, słysząc tę celną uwagę. Pani Underhill zakotłosała się w fotelu. Na jej twarzy malowało się zadowolenie. Nawet niemowlę zagaworzyło, jakby pojęło, w czym rzecz.

– To nie o to chodzi – odparł Smoky. Po zjedzeniu bułeczki ogarniały go fale tak zmiennych uczuć, jak szybko zmieniające się pory roku. W jego oczach zamigotały jesienne łzy. – To i tak nie ma znaczenia. Nie mógłbym przyjąć tego daru. Bo widzicie – trudno było to wyjaśnić – kiedy Alice była mała, wierzyła we wróżki. Cała ich rodzina wierzyła. Ja nigdy nie wierzyłem. A oni chyba nadal wierzą. To zupełnie szalone. Jak mógłbym w nie uwierzyć? Bardzo chciałem, to znaczy żałowałem, że w nie nie wierzyłem i nie widziałem ich, ale jeśli tak było... jeśli coś podobnego nigdy nie przyszło mi do głowy, to jak mógłbym przyjąć jej

podarunek?

Pan Woods gwałtownie potrząsał głową.

– Nie, nie – powiedział. – To jest idealny prezent. – Wzruszył ramionami. – Ale nie masz żadnej torby, do której mógłbyś go schować i to wszystko. My też mamy ci prezenty. Prawdziwe. Nie będziemy gorsi. – Otworzył garbatą skrzynię z okuciami z czarnego żelaza. Jej wnętrze zdawało się roztaczać blask. – Popatrz! – Wyciągnął długi naszyjnik. – Złoto! – Pozostali spojrzeli na Smoky’ego, uśmiechając się z aprobatą na widok tego podarunku. Czekali, aż gość okaże zdumienie i wdzięczność.

– To... bardzo miło – powiedział Smoky, a pan Woods obwiązał jego szyję błyszczącym zwojem raz i drugi, jak gdyby chciał go udusić. Złoto nie było zimne jak metal, lecz ciepłe jak ludzkie ciało i tak ciężkie, że zdawało się przeginać jego szyję i plecy.

– Co jeszcze? – Pan Woods rozglądał się po pokoju, trzymając palec na ustach. Pani Underhill wskazała iglicą czerwone skórzane pudełko usytuowane na samej górze kredensu. – Racja! – zawołał pan Woods. – Co powiesz na to? – Przesuwał pudełko czubkami palców, aż spadło mu na rękę. Zdjął wieczko. – Kapelusz!

W środku spoczywał czerwony kapelusz, wysoki i miękki. Jego rondo otaczał pleciony pasek, za którym kiwało się białe sówie piórko. Pan Woods i pani Underhill wydali przeciągłe „aaach”. Wszyscy patrzyli z przejęciem, gdy pan Woods nakładał kapelusz, ciężki jak korona, na głowę Smoky’ego.

– Ciekaw jestem – powiedział Smoky – co się dzieje z Daily Alice.

– A to mi o czymś przypomniało – powiedział pan Woods z uśmiechem. – Jeszcze coś, najlepsze... – Wyjął spod łóżka wytartą i pogryzioną przez myszy torbę podróżną od Gladstone’a. Postawił ją delikatnie na stole przed Smokym. Smutek zdawał się ogarniać i jego. Gładził torbę wielkimi dłońmi tak, jakby to była jego ukochana. – Smoky Barnable – zaczął – to jest prezent ode mnie. Ona nie mogłaby ci go dać, nawet gdyby chciała... Torba jest stara, ale przez to pojemniejsza. Na pewno jest w niej miejsce na...

Ogarnęły go nagle wątpliwości, więc otworzył z trzaskiem torbę i zajrzał do jej wnętrza. Uśmiechnął się szeroko:

– Ach, mnóstwo miejsca. Nie tylko na jej podarunek. Są tam również kieszenie na twoją niewiarę i co tam jeszcze. Okaze się przydatna.

Pusta torba okazała się najcięższa ze wszystkiego.

– To wszystko – stwierdziła pani Underhill, a słodkie kuranty zegara wybiły pełną godzinę.

– Czas na ciebie – oznajmił pan Woods, a dziecko zagaworzyło niecierpliwie. – Co się stało z Alice? – zamyślił się pan Woods. Obszedł pokój dwa razy, wyglądając na dwór przez małe, głęboko osadzone okienka i zerkając do kątów. Otworzył drzwi. Smoky widział przez ułamek sekundy całkowite ciemności i dosłyszał długi senny szept, zanim pan Woods szybko zamknął drzwi z powrotem.

Pan Woods podniósł palec, a jego brwi uniosły się pod wpływem nagłej myśli. Podeszedł do wysokiej szafy, która stała na wygiętych nóżkach w kącie pokoju. Szybkim ruchem otworzył drzwi. Smoky ujrzał za nimi lasy ociekające deszczem, przez które wędrowali z Alice, a w oddali spostrzegł swą żonę we własnej osobie, wałęsającą się samotnie o południowej godzinie. Wskazano mu drogę do szafy.

– Bardzo dziękuję – powiedział, wchodząc do niej – za wszystkie podarunki.

– Drobiazg – odrzekł pan Woods, a jego głos zdawał się dobiegać z oddali. Drzwi szafy zamknęły się za Smokym z dziwnym przeciągłym dźwiękiem, przypominającym odległy przytłumiony odgłos dzwonka. Brodził w wilgotnym poszyciu, a gałęzie poklepywały go po plecach. Ciekło mu z nosa.

– Skąd się tu wziąłeś? – zdziwiła się Daily Alice, kiedy go ujrzała.

– Byłem u Woodsów – odparł.

– No chyba. Popatrz, jak wyglądasz.

Gęste, splecione pnącza owiły się jakimś cudem wokół jego szyi, ich ostre kolce kaleczyły mu ciało i szarpały koszulę.

– Do diaska – powiedział. Alice roześmiała się i zaczęła wyciągać liście z jego włosów.

– Przewróciłeś się? Skąd się wzięły te liście w twoich włosach? Co tam dźwigasz?

– Torbę – odrzekł. – Już wszystko w porządku. – Podniósł w górę od dawna nieużywane gniazdo szerszeni, które niósł. W kilku miejscach było zniszczone i ukazywało wewnętrzne korytarze. Z jednego z nich wypełzła biedronka, niczym kropelka krwi, i odfrunęła.

– Leć do domu – powiedziała Daily Alice. – Już wszystko w porządku. Ścieżka była cały czas na swoim miejscu, chodźmy.

Bardzo ciężył mu plecak nasiąknięty wodą, rozpaczliwie pragnął zdjąć go z pleców. Poszedł w ślad za Alice wyboistą ścieżką poprzecinaną korzeniami drzew i wkrótce znaleźli się na dużej polance, usytuowanej poniżej urwiska kruszącej się gliny. Z mgiełki, unoszącej się nad polanką, wyłoniła się brązowa chata z dachem krytym papą, uwiązana do lasu sznurem do bielizny, z którego kapłała woda. Na podwórku, na betonowych blokach, stała ciężarówka bez kół. Grasował też czarny w białe łaty kot, przemoknięty i bliski furii. Z kurnika, ogrodzonego spletanymi drutami, machała do nich kobieta w fartuchu i kaloszach.

– Dom Woodsów – oznajmiła Daily Alice.

– Tak.

Ale nawet gdy stały już przed nimi filiżanki z kawą, gdy Amy i Chris gawędzili o tym i owym, a plecak leżał na podłodze, tworząc kałużę na linoleum, Smoky nadal czuł ciężar podarunków, które otrzymał. Nie mógł go z siebie strząsnąć i stopniowo zaczął czuć się tak, jakby zawsze go dźwigał. Pomyślał, że jest w stanie go nieść.

Smoky niewiele zapamiętał z wydarzeń, które wypełniły resztę tego dnia i resztę ich podróży. Daily Alice zwykła przypominać mu potem o tym czy innym fakcie, przerywając nagle milczenie, jak gdyby ciągle odbywała w myślach tę podróż, gdy jej umysł nie był zajęty

czym innym. Mówił wtedy: „O tak” i być może istotnie przypominał sobie to, o czym mówiła, a być może nie.

Tego samego dnia Cloud, siedząc na werandzie przy szklanym stoliku i myśląc tylko o tym, żeby zakończyć swój pościg za tymi samymi wydarzeniami, odwróciła figurę zwaną Tajemnicą. Kiedy miała już umieścić ją w pustym miejscu, ogarnęło ją drżenie, a jej oczy wypełniły się łzami. Gdy matka przyszła zawołać ją na lunch, Cloud z czerwonymi oczami, ciągle zdumiona, że tego nie przewidziała ani nie podejrzewała, oznajmiła jej bez wahania, czego dowiedziała się z kart. Tak więc kiedy Smoky i Daily Alice, opaleni, podrapani i szczęśliwi, powrócili z podróży, zastali opuszczone żaluzje na frontowych oknach (Smoky nie znał tego starego zwyczaju), a doktor Drinkwater, stojący na werandzie, oznajmił im uroczystym tonem:

– Auberon nie żyje.

À propos

Gawrony (snuł domysły Smoky) fruwały do domu po niebie pokrytym smugami obłoków. Zmierzały w stronę nagich drzew, których gałęzie zwieszały się nad świeżo zaoranymi marcowymi polami (był całkowicie pewien, że to marzec). Sztachety, ustawione pod kątem ostrym i starannie zaklinowane, oddzielały pole od drogi, którą szedł Wędrowiec, wyglądający trochę jak Dante. Na głowie miał kaptur z daszkiem. Spod jego stóp wyrastał rząd białych grzybów z czerwonymi kapeluszami. Wędrowiec wydawał się zatrwożony – lub zdziwiony – ponieważ ostatni grzybek w tym rzędzie unosił swój czerwony kapelusz i z chytrym uśmieszkiem spoglądał spod niego na przechodnia.

– To oryginał – wyjaśnił doktor Drinkwater, wskazując na obrazek kieliszkiem sherry. – Moja babka Violet dostała go od artysty. Był jej wielbicielem.

Ponieważ Smoky czytywał w dzieciństwie tylko dzieła Cezara i Owidiusza, nigdy nie oglądał prac tego artysty, jego drzew, które miały twarze, i precyzji w odmalowaniu zmierzchu. Poruszyło go to w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić. Obrazki były zatytułowane „A propos”, brzmiało to jak szept prosto do ucha. Popijał sherry, gdy zadzwieczał dzwonek (co to był za hałas). Smoky zauważył, że matka przemknęła koło drzwi salonu, wycierając ręce w fartuch.

Starał się być pomocny, nie traktował tego tak emocjonalnie jak pozostali. Wspólnie z Rudym Floodem wykopali grób w miejscu, gdzie pochowano wszystkich zmarłych Drinkwaterów. Spoczywali tam: John, Violet, Harvey Cloud. Tego dnia panował straszny upał. Ponad klonami, dźwigającymi niesamowity ciężar liści, zawisły opary. Zdawało się, że drzewa delikatnie oddychają dusznym powietrzem. Rudy bezbłędnie wytyczył miejsce. Koszula przylepiła mu się do ogromnego brzucha, robaki uciekały przed ich łopatami, a może przed światłem. Chłodna, ciemna ziemia, którą wykopywali, szybko wysychała.

Następnego dnia przybyli ludzie: wszyscy, którzy byli na jego ślubie, a przynajmniej

większość z nich. Pojawili się nagle, niektórzy mieli jeszcze na sobie te same rzeczy, które nosili na weselu, ponieważ nie spodziewali się, że tak szybko odbędzie się u Drinkwaterów następna uroczystość. Auberon został pochowany bez pastora i bez modlitwy, pogrzeb uświetniło jedynie długie requiem odegrane na harmonii, której brzmienie wydawało się teraz spokojne i radosne.

– Dlaczego wszyscy myślą – powiedziała matka, wracając od drzwi i niosąc błękitne naczynie przykryte folią – że po pogrzebie umiera się z głodu? No cóż, to bardzo osobliwe.

Dobra rada

Cioteczna babka Cloud wcisnęła chusteczkę z powrotem w czarny rękaw.

– Myślę o dzieciach – powiedziała. – Wszystkie są tu dzisiaj, kolejne roczniki: Fran Bush i Cloude Berry chodzili do jego pierwszej klasy utworzonej po sprawie.

Doktor Drinkwater przygryzł fajkę z wrzośca, którą bardzo rzadko palił. Wyjął ją z ust i wpatrywał się w nią, jak gdyby zdziwiony odkryciem, że jest niejadalna.

– Po sprawie? – zapytał Smoky.

– Berry i spółka przeciwko ministerstwu oświaty – rzekł z namaszczeniem doktor.

– Chyba możemy teraz coś zjeść – powiedziała matka, wchodząc do pokoju. – Przyniescie kieliszki. Smoky, przynieś butelkę, ja mam inną.

Przy stole Sophie zalewała się łzami, ponieważ przez zapomnienie postawiła nakrycie dla Auberona, który zawsze z nimi jadał tego dnia, w sobotę.

– Jak mogłam zapomnieć – mamrotała spod serwetki, którą trzymała przy twarzy. – On nas tak bardzo kochał... – Nie odrywając serwetki od twarzy, szybko wybiegła z pokoju. Smoky widział jedynie oddalające się plecy.

– Sophie i ty byliście jego ulubienicami – stwierdziła Cloud, dotykając dłoni Alice.

– Chyba pójdę na górę i zobaczę, co z Sophie – rzekła matka, stojąc niezdecydowanie przy drzwiach.

– Usiądź, matko – powiedział łagodnie doktor. – Zostaw ją tym razem samą. – Nałożył Smoky'emu ziemniaczanej sałatki z jednej z trzech misek, które stały na pogrzebowym stole. – Tak, Berry i spółka. To było ponad trzydzieści lat temu.

– Tracisz rachubę czasu – powiedziała matka. – To było ponad pięćdziesiąt pięć lat temu.

– W każdym razie mieszkamy tu na odludziu. Zamiast zawracać władzom głowę naszymi dziećmi, postanowiliśmy założyć niewielką prywatną szkołę. Nic nadzwyczajnego. Ale okazało się, że nasza szkoła musi spełnić pewne wymagania. Wymagania państwa. Dzieci umiały czytać i pisać tak samo jak inne, uczyły się matematyki, ale program mówił, że muszą również uczyć się historii, wychowania obywatelskiego, cokolwiek to jest, a raczej było. A my uważaliśmy, że większość tych przedmiotów jest zbędna. Jeśli ktoś umie czytać, świat książek stoi przed nim otworem. Jeśli lubi czytać, to będzie czytać. Jeśli nie, to zapomni wszystko, co każe mu się czytać. Ludzie tu nie są nieukami, po prostu zdają sobie sprawę, co

jest ważne, co powinno się wiedzieć, a większości tych rzeczy nie uczy się w szkole. W każdym razie doszło do tego, że nasza szkołka została zamknięta, a wszystkie dzieci przez kilka lat dojeżdżały do szkoły.

– Powiedzieli, że nasz program nie przygotowuje uczniów do życia w prawdziwym świecie – wtrąciła matka.

– Co jest w nim takiego prawdziwego? – powiedziała Nora Cloud z rozdrażnieniem. – To, co ostatnio widziałam, wcale nie wydaje mi się takie realne.

– To było czterdzieści lat temu, Noro.

– Wcale nie stało się bardziej realne od tamtego czasu.

– Uczęszczałam przez jakiś czas do szkoły publicznej – powiedziała matka. – To nie było takie złe. Tylko że zawsze musiałeś być tam o tej samej porze, codziennie, wiosna czy lato, zima czy słońce. I nie wypuścili cię, dopóki nie wybiła określona godzina, codziennie ta sama. – Nawet po tylu latach nie potrafiła tego zrozumieć.

– A jak było z wychowaniem obywatelskim i tym wszystkim? – spytała Daily Alice, ściskając pod stołem rękę Smoky’ego, ponieważ odpowiedź miała rozstrzygające znaczenie.

– Wiesz co? – matka zwróciła się do Smoky’ego. – Nie pamiętam z tego zupełnie nic. Zupełnie nic.

I tak właśnie oceniał Smoky system szkolnictwa: większość dzieci, które znał, zapomniała wszystko, czego nauczyła się w szkole, gdy tylko opuściła te tajemnicze (w jego przekonaniu) pomieszczenia.

– Trzeba było chodzić do szkoły mojego ojca. On nigdy nie pozwoliłby niczego zapomnieć – stwierdził Smoky. Jednak z drugiej strony, kiedy pytano go o fakty z historii, okazywał się całkowitym nieukiem. Myśleli, że jest dziwny, o ile w ogóle go zauważali.

– Więc ojciec Claude’a Berry’ego miał kłopoty przez to, że nie posyłał syna do szkoły publicznej. I sprawa trafiła do sądu stanowego – opowiedziała Cloud. – Przeszła przez wszystkie stopnie, aż znalazła się w Sądzie Najwyższym.

– Oskubała nasze konta bankowe – dodał doktor.

– I w końcu została rozstrzygnięta na naszą korzyść – powiedziała matka.

– Ponieważ – ciągnęła Cloud – twierdziliśmy, że to sprawa religii, jak u amiszów, czy słyszałeś o nich? – Uśmiechnęła się chytrze. – Kwestia religijna.

– Ta decyzja była punktem zwrotnym – oświadczyła mama.

– Ale i tak nikt o tym nie słyszał – powiedział doktor, ocierając usta. – Sądzę, że sąd zadziwił tym wyrokiem sam siebie.

– I sprawa nie była nagłośniona. Nie chcieli, żeby ludzie zaczęli o tym myśleć, żeby się tym podniecali, że tak powiem. Ale od tamtej pory nie mieliśmy kłopotów.

– To była dobra rada – powiedziała Cloud, spuszczać wzrok. I wszyscy zgodzili się w milczeniu z jej opinią.

Smoky, nalewając sobie kolejny kieliszek sherry i wyciągając wnioski z własnej

ignorancji, zaczął mówić o furtkach, które można znaleźć w programie – sam w końcu był tego dowodem – i o dobrym wykształceniu, jakie mimo to odebrał. Powiedział, że nie mógłby go odebrać w inny sposób, kiedy doktor nagle uderzył pięścią w stół, jakby trzymał młotek licytatora, po czym uśmiechnął się szeroko do Smoky’ego, a jego oczy rozświectliły się pod wpływem nagłego pomysłu.

Co o tym sądzisz?

– Co o tym sądzisz? – spytała go Daily Alice, kiedy byli już w łóżku.

– O czym?

– O tym, co zaproponował tata.

Leżeli przykryci prześcieradłem, ponieważ upał nieco zelżał dopiero po północy, kiedy to zerwał się lekki wiaterek. Długie, białe wzgórza i doliny jej ciała poruszały się raz po raz, tworząc zupełnie nową krainę.

– Nie wiem – odrzekł, czując się nieco otępiały i bezmyślny, bezradny wobec ogarniającej go senności. Próbował sformułować bardziej konkretną odpowiedź, ale zamiast tego zapadł w sen. Alice poruszyła się nerwowo po raz kolejny, przerywając sen Smoky’ego.

– Co?

– Myślę o Auberonie – szepnęła, wycierając twarz w poduszkę. Objął ją. Ukryła twarz w zagłębieniu jego ramienia i pociągnęła nosem. Przesuwał delikatnie palcami po jej włosach w taki sposób, jaki najbardziej lubiła. Przypominała kotkę. Nie przestawał jej głaskać, póki nie zasnęła. A kiedy już spała, on z kolei, zdziwiony własną bezsennością, wpatrywał się w widmowy sufit. Nie słyszał o prawie, według którego jedno z małżonków może okupić sen drugiego własną bezsennością. Prawo to nie zostało zawarte w żadnej małżeńskiej umowie.

Co o tym sądził?

Został przyjęty, zaadoptowany, zdawało się, że fakt, iż mógłby kiedyś wyjechać, nie był w ogóle brany pod uwagę. Ponieważ nie powiedziano jeszcze nic na temat ich przyszłości, sam również nie zastanawiał się nad tym. Nie wiedział, co to znaczy mieć przed sobą przyszłość, gdyż nawet jego terażniejszość miała zawsze nieokreślony kształt. Ale teraz, kiedy przestał być anonimowy, musi podjąć decyzję. Ostrożnie, żeby nie zakłócić jej świeżego snu, wsunął dłonie pod głowę. Jeśli przybrał teraz określoną postać, to jakim jest człowiekiem? Kiedy pozostawał anonimowy, był wszystkim i niczym. Teraz zyskał jakieś cechy, charakter, upodobania i antypatie. Czy podoba mu się pomysł, żeby mieszkać w tym domu, uczyć w ich szkole, być – no cóż – chyba religijnym człowiekiem, tak by to chyba nazywali? Czy to leży w jego charakterze?

Spojrzał na niewyraźny łańcuch zaśnieżonych gór, który tworzyła koło niego Daily Alice. Jeśli zyskał jakiś charakter, to tylko dzięki niej. I jeśli był jakąś postacią, to z pewnością mniej ważną: uboczną postacią w historii opowiadającej o kimś innym, w tej niewiarygodnej

historii, w którą został wplątany. Będzie miał swoje wejścia od czasu do czasu, weźmie udział w niektórych dialogach. To, czy odgrywana przez niego postać będzie zrządzającym nauczycielem czy kimkolwiek innym, nie miało, jak się zdaje, większego znaczenia. Decyzja zostanie podjęta bez jego udziału. Więc niech się tak stanie.

Zastanawiał się wnikliwie, czy nie odczuwa żalu z tego powodu. Czuł pewną tęsknotę za swą dawną anonimowością, za nieskończoną liczbą możliwości, jakie z tego faktu wynikały. Ale czuł również jej oddech na swym policzku, pulsowanie domu i poddając się temu rytmowi, zasnął, nic nie postanowiwszy.

Podczas gdy księżyc przeganiał łagodnie cienie z jednej strony Edgewood na drugą, Daily Alice śniło się, że stoi na łące obsypanej kwiatami, a na wzgórzu rośnie dąb w uścisku z kolczastym krzewem. Ich gałęzie splatały się jak palce. Sophie, która spała w pokoju na drugim końcu korytarza, śniło się, że w jej łokciu znajdują się maleńkie drzwi, odrobinę uchylone, przez które wpada wiatr i dmie prosto w jej serce. Doktor Drinkwater śnił, że siedzi przy swojej maszynie i pisze następujące słowa: „Jest taki bardzo stary robak, który mieszka w dziurze w ziemi. Pewnego czerwcowego dnia wkłada swój letni kapelusz, bierze fajkę i inne rzeczy oraz lampę i podąża za dżdżownicą i korzeniem do schodów prowadzących ku drzwiom do błękitnego lata”. Wydawało się to bogate w treści, ale gdy się obudzi, nie będzie w stanie przypomnieć sobie ani słowa, pomimo ogromnych usiłowań. Matce, leżącej obok niego, śniło się, że jej mąż nie znajdował się wcale w swym gabinecie, ale razem z nią w kuchni, gdzie bez końca wyciągała z pieca cienkie blaszki. To, co na nich leżało, było brązowe i okrągłe, a kiedy spytał ją, co to jest, odparła: „Lata”.

KSIĘGA DRUGA

**TAJEMNICA
PÓŁNOCNEGO
WIATRU**

I

*Pasterz u Wergiliusza poznał w końcu,
co to jest Miłość,
i okazał się mieszkańcem skał.*

Johnson

Po śmierci Johna Drinkwatera Violet, która nie była w stanie znieść faktu, że zgodnie z obietnicą zawartą w kartach przyjdzie jej przeżyć trzydzieści lat albo i więcej bez niego, i nie mogła w to uwierzyć, przeniosła się na długi czas do pokoju na piętrze. Jej gęste, ciemne włosy przedwcześnie posiwiały, a szczupła, niemal dziecięca sylwetka, stała się jeszcze bardziej wiotka, Violet nabrała bowiem wstrętu do jedzenia. Wyglądała przez to na osobę starą i kruchą, choć wcale taka nie była. Jej skóra jeszcze przez wiele lat była pozbawiona zmarszczek, a ciemne, lśniące oczy nigdy nie zatraciły wyrazu dziecinnej, dzikiej niewinności, którą John dostrzegł w nich po raz pierwszy w ubiegłym wieku.

Odwroty i działania

To był przyjemny pokój, zwrócony jednocześnie w kilku kierunkach. W narożniku połowa kopuły (która była jednocześnie całym jej wnętrzem, chociaż strona zewnętrzna była pełna) tworzyła przeszklone ustronie, w którym stała duża sofa. W pokoju znajdowało się również łóżko z baldachimem z cienutkich firanek, przykryte puchową kołdrą z koronkami o barwie kości słoniowej. Jej matka, której nie znała, ozdobiła nimi swe smutne małżeńskie łóże. Stał tam także szeroki, mahoniowy stół, zarzucony papierami Johna, w których z początku miała zamiar zaprowadzić ład i być może opublikować niektóre z nich – John uwielbiał wydawać swoje dzieła – ale skończyło się na tym, że ułożyła je tylko na stosie pod mosiężną lampą w kształcie gęsiej szyi. W pokoju znajdował się również garbaty, trzeszczący skórzany kufer, z którego te papiery wyjęła i do którego parę lat później znowu trafią; dwa koślawe krzesła z aksamitnymi obiciami, wytarte i wygodne, ulokowane przy kominku; kilka drobiazgów: srebrne grzebienie i szczotki szylkretowe oprawione w srebro, malowana pozytywka, dziwne karty. Jej dzieci i wnuki oraz goście zapamiętają wyłącznie te drobiazgi,

uznając je za główne umeblowanie pokoju.

Dzieci Violet, oprócz Augusta, pogodziły się z ucieczką matki. Najczęściej i tak nie była w pełni obecna, a ta decyzja wydawała się tylko naturalną kontynuacją jej codziennego roztargnienia. Wszyscy, oprócz Augusta, kochali ją głęboko i bezkrytycznie. Spierali się, kto ma zanieść na górę jej skromne posiłki, które i tak pozostawały często nietknięte, kto ma rozpaść ogień w jej kominku, przeczytać pocztę i jako pierwszy przekazać najnowsze wieści.

– August wymyślił nowe zastosowanie dla swojego forda – oznajmił jej Auberon, kiedy oglądali razem jego zdjęcia. – Zdjął koło i przyczepił ośkę pasem do piły Ezry Meadowsa. Wtedy silnik napędza piłę i ścina drzewo.

– Mam nadzieję, że nie pojedą daleko – powiedziała Violet.

– Co? Och, nie – zaprzeczył, śmiejąc się z tego, co musiała sobie wyobrażać: uzbrojony w koło zębate model T, przedzierający się przez lasy i ścinający po drodze drzewa. – Nie. Samochód stoi na pniach, tak że osie tylko się obracają, a auto nigdzie nie jedzie. To służy tylko do przycinania pni, a nie do jeżdżenia.

– Och. – Dotknęła szczupłymi palcami dzbanka, żeby sprawdzić, czy herbata jest jeszcze ciepła. – Jest bardzo pomysłowy – powiedziała takim tonem, jakby miała na myśli coś innego.

Był to istotnie dobry pomysł, tylko że nie Augusta. Przeczytał o tym w ilustrowanym magazynie motoryzacyjnym i namówił Ezrę, żeby to wypróbować. Całe przedsięwzięcie wymagało nieco większego nakładu pracy, niż opisywał magazyn: trzeba było wskakiwać na miejsce kierowcy i wyskakiwać z niego, żeby zmieniać szybkość ostrza, za każdym razem uruchamiać korbą silnik samochodu tkwiącego na belkach i przekrzykiwać okropny hałas. August nie interesował się zbytnio cięciem pni, kochał jednak swojego forda i wykorzystywał go do wszystkiego, do czego można było go wykorzystać, począwszy od beztraskiego podskakiwania na torach kolejowych, a skończywszy na wirowaniu po zamrzniętym jeziorze jak czterokołowy Niżyński. Ezra, początkowo podejrzliwy, potem przestał okazywać niedbałą pogardę dla mistrzowskiego dzieła Henry’ego Forda, którą to pogardę okazywała rodzina Augusta i ludzie tacy jak Flowersowie. A poza tym działalność prowadzona na podwórku Ezry odciągała nieraz od codziennych obowiązków i wywabiała z domu jego córkę Amy. Dziewczyna pojawiała się raz po raz ze ściereczką do naczyń w dłoni i nieuważnie wycierała czarną patelnię, wpatrując się jednocześnie w urządzenie; innym razem miała ręce i fartuch uwalane mąką.

Taśma piły zerwała się i zaczęła dziko łopotać. August zgasił silnik.

– Popatrz tylko na to, Ezra. Popatrz na tę stertę. – Żółte, surowe drewno, pocięte i przypalone tu i ówdzie ostrzem piły, wydzielalo zapach tak słodki jak ciasto z rodzynekami. – Ręcznie robiłbyś to przez tydzień. Co ty na to?

– Rzeczywiście.

– A co ty sądzisz, Amy? Nieźle, co?

Dziewczyna uśmiechnęła się i wyglądała na onieśmieloną, jak gdyby to ona została pochwalona.

– W porządku – powiedział Ezra. – Już cię tu nie ma. – Te ostatnie słowa skierował do Amy, która zrobiła teraz urażoną minę, ale August uznał, że wygląda równie słodko, jak wtedy, gdy się uśmiecha. Zadarła głowę i odeszła wolnym krokiem, żeby nie sprawiać wrażenia, iż została przepędzona.

Ezra w milczeniu pomógł Augustowi zamocować z powrotem koło do forda. Niewdzięczne milczenie, pomyślał August, ale być może farmer obawiał się, że gdyby otworzył usta, to mógłby poruszyć kwestię zapłaty. Nie istniało jednak takie niebezpieczeństwo, ponieważ August, w przeciwieństwie do najmłodszych synów ze wszystkich starych baśni, wiedział, że w zamian za wykonanie nieprawdopodobnego zadania (pocięcie takiej ilości drewna w jedno popołudnie) nie może żądać ręki pięknej córki gospodarza.

Jadąc do domu po dobrze znanych drogach i podnosząc tumany kurzu, August odczuwał głęboko harmonię (którą każdy inny człowiek uważałby za sprzeczność) pomiędzy swym samochodem a przyrodą w pełnym rozkwicie. Podregulował przepustnicę, co nie było konieczne, i rzucił słomkowy kapelusz na sąsiednie siedzenie. Pomyślał, że gdyby wieczór był ładny, mógłby pojechać do kilku znanych mu miejsc połowić ryby. Był świadom rozkoszy, która często go ogarniała, a po raz pierwszy zawładnęła nim, kiedy dostał samochód, podniósł jego pokrywę, przypominającą kształtem skrzydło nietoperza, i zobaczył silnik i inne części, tak wrażliwe i potrzebne jak jego własne organy. Miał uczucie, że jego wiedza o świecie wystarcza nareszcie, żeby na nim żyć, że świat i to, co o nim wie, są jednym i tym samym. Nazwał to uczucie „dorastaniem” i rzeczywiście przypominało to rozwój, chociaż w chwilach szalonego uniesienia August zastanawiał się, czy jego rozwój nie zakończy się przypadkiem przybraniem postaci forda – albo być może Forda! Nie było drugiego urządzenia ani drugiego człowieka tak jednoznacznie celowego i tak skończonego, myślał August, tak wystarczającego światu i tak samowystarczalnemu. Takie przeznaczenie powitałby z radością.

Ale wszyscy zawzięli się, żeby to udaremnić. Kiedy powiedział tatusiowi (nazywał go tak tylko w duchu i przy Amy, ale nigdy nie zwrócił się w ten sposób bezpośrednio do Johna), że w ich okolicy przydałby się warsztat, w którym można by kupować benzynę i dokonywać napraw, a także sprzedawać fordys, i przedłożył mu literaturę, którą otrzymał z kompanii Forda, żeby zaprezentować, ile kosztowałoby założenie takiej agencji (nie zaproponował, że sam zostanie agentem, wiedział, że w wieku szesnastu lat jest na to za młody, ale byłby szczęśliwy, mogąc chociaż tankować benzynę i naprawiać samochody, byłby bardzo szczęśliwy), jego ojciec uśmiechnął się i nie rozważał tej propozycji nawet przez pięć minut. Siedział, kiwając głową, i wysłuchiwał objaśnień Augusta, ale zrobił to tylko dlatego, że kochał syna i lubił spełniać jego zachcianki. Kiedy August skończył mówić, ojciec zapytał:

„Chciałbyś mieć własny samochód?”

Ależ tak. Ale August wiedział, że ojciec potraktował go jak chłopca, chociaż przygotował się do tej rozmowy jak mężczyzna. Jego ojciec, którego zainteresowania były takie dziecinne, uśmiechnął się tylko, jak gdyby miał do czynienia z szalonym żądaniem dziecka, i kupił mu samochód, żeby je zaspokoić.

Ale nie zostało ono zaspokojone. Tatuś nie zrozumiał. Przed wojną było inaczej. Nikt nie wiedział. Można było sobie chodzić po lasach, wymyślać historyjki i widzieć różne rzeczy, jeśli tylko człowiek miał na to ochotę. Ale teraz nie było już żadnej wymówki. Teraz wiedza dotarła i tutaj, prawdziwa wiedza, wiedza o tym, jak funkcjonuje świat i co trzeba zrobić, żeby nim pokierować. Pokierować. „Kierujący modelem T fordą uzna uruchomienie zapłonu za proste i wygodne. Odbywa się to w następujący sposób...”

I August przyswoił sobie tę wiedzę, racjonalną i wystarczającą, przysłonił nią zamęt własnego dzieciństwa, tak jak przysłania się garnitur fartuchem, żeby ochronić go przed kurzem.

Kapitalny pomysł

– Potrzebujesz tylko – powiedział tego popołudnia do matki – świeżego powietrza. Pozwól, że zabiorę cię na przejażdżkę. No pozwól. – Podszedł i wziął ją za ręce, chcąc pomóc jej wstać z krzesła. Chociaż podała mu dłonie i tak oboje wiedzieli, ponieważ odgrywali tę scenę kilkanaście razy w ten sam sposób, że Violet nie wstanie i oczywiście nigdzie z nim nie pojedzie. Ale trzymała jego dłonie w swoich. – Możesz wziąć się w garść, a na takich drogach, jakie tu mamy, i tak nie można jechać szybciej niż pięćdziesiąt mil na godzinę...

– Och, Auguście.

– Nie powtarzaj mi ciągle „Och, Auguście” – powiedział i kiedy pociągnęła go delikatnie za rękę, usiadł obok niej, ale umknął przed jej pocałunkiem. – Przecież nic ci nie jest, sama o tym wiesz, to znaczy nic naprawdę złego, po prostu rozmyślasz.

Denerwowało go, że to właśnie on, jej najmłodsze dziecko, jest zmuszony przemawiać do matki tak surowo jak do osowiałego dziecka, podczas gdy jest przecież starsze rodzeństwo, które powinno się tym zająć. Violet jednak to nie przeszkadzało.

– Opowiedz mi, jak piłowałeś drzewo – poprosiła. – Czy mała Amy tam była?

– Nie jest taka mała.

– Nie, nie, nie jest mała i taka ładna.

Przypuszczał, że się zaczerwienił i że ona to zauważyła. Fakt, że matka zauważy, iż okazuje jakiegokolwiek dziewczynie coś więcej niż tylko obojętność, wprawił go w zakłopotanie, uznał to niemal za nieprzyzwoite. A prawdę mówiąc, niewiele dziewcząt było mu obojętnych i wiedziano o tym.

Nawet siostry strzepywały pyłki z klap jego marynarki, przyglądały mu włosy, gęste i niesforne jak włosy matki, i uśmiechały się porozumiewawczo, kiedy wspominał, niby to mimochodem, że wieczorem wpadnie chyba po drodze do Meadowsów albo do Flowersów.

– Posłuchaj, mamó – powiedział stanowczo – posłuchaj, co powiem. Przed śmiercią taty rozmawialiśmy, jak wiesz, o warsztacie i o agencji. Niezbyt podobał mu się ten pomysł, ale to było cztery lata temu, byłem wtedy bardzo młody. Czy możemy to jeszcze raz rozważyć? Auberon sądzi, że to kapitalny pomysł.

– Naprawdę?

Nie miał żadnych zastrzeżeń, kiedy August dyskutował z nim na ten temat, ale znajdował się wtedy za drzwiami swojej ciemni, w pustelni oświetlonej mdłym czerwonym światłem.

– No jasne. Wszyscy będą wkrótce mieli samochody. Wszyscy.

– Ojej.

– Nie można uciec przed przyszłością.

– Nie, nie, to prawda. – Popatrzyła przez okna na senne popołudnie. – To prawda. – Pojmowała znaczenie tych słów inaczej niż August.

Wyjął zegarek i sprawdził, która godzina, po czym skierował rozmowę na właściwy temat.

– Więc jak? – powiedział

– Sama nie wiem – odparła, wpatrując się w jego twarz, jednak nie w taki sposób, jakby chciała coś z niej wyczytać czy nawiązać nić porozumienia, ale jakby przeglądała się w niej jak w lustrze. Patrzyła tak otwarcie, takim rozmarzonym wzrokiem. – Nie wiem, kochanie, skoro John uważał, że to nie jest dobry pomysł...

– To było cztery lata temu, mamó.

– Naprawdę? To już cztery lata... – Zmusiła się do wysiłku i ponownie schwyciła jego dłoń. – Byłeś jego ulubieńcem, Auguście, wiedziałeś o tym? To znaczy kochał was wszystkich, ale... Nie wydaje ci się, że on wiedział najlepiej? Musiał to dogłębnie przemyśleć, zawsze wszystko dogłębnie rozważał. O nie, kochanie, jeśli był przekonany, że to nie jest dobry pomysł, to ja chyba nie potrafię podjąć lepszej decyzji, naprawdę.

August wstał gwałtownie i wcisnął dłoń w kieszenie.

– Dobrze, dobrze. Ale nie zwalaj winy na niego. Nie podoba ci się ten pomysł, boisz się takiej zwyczajnej rzeczy jak samochód i nigdy nie chciałaś, żebym cokolwiek posiadał na własność, to wszystko.

– Och, Auguście – zaczęła mówić, ale zasłoniła usta dłonią.

– Dobrze – powiedział. – Powiem ci, co zrobię. Chyba się stąd wyniosę... – Poczul nagle, że coś go ściska za gardło, chociaż oczekiwał, że słowom tym będzie towarzyszyło tylko uczucie triumfu i przekory. – Może pojedę do Miasta. Nie wiem.

– Co ty mówisz? – powiedziała cichym głosem, jak dziecko, które dopiero zaczyna rozumieć straszną rzecz. – Co ty mówisz?

– Jestem dorosły – przesywał ją słowami. – Co myślałaś? Że będę siedział w tym domu do końca życia? Otóż nie będę.

Powiedział tylko to, co mógłby powiedzieć każdy dwudziestolatek. Odczuwał jedynie zadowolenie, jakie mógł odczuwać każdy normalny człowiek, lecz widząc jej zaszokowaną twarz i bezradne przerażenie poczuł się zmieszany i sfrustrowany, a zdrowy rozsądek zawrzał w nim jak lawa. Przypadł do jej krzesła i uklęknął:

– Mamo, mamó – powiedział. – O co chodzi? O co, do diabła, chodzi? – Pocałował ją w rękę, lecz przypominało to bardziej wściekłe ukąszenie.

– Obawiam się, że to wszystko...

– Nie, nie, musisz mi powiedzieć, co w tym takiego straszego. Co jest straszego w tym, że człowiek chce się rozwijać i być normalny. Co w tym złego? – Lawa wypływała teraz z niego, nie chciał powstrzymać jej strumienia, nie mógłby nawet, choćby chciał.

– Co złego w tym, że Timmie Willie przeprowadziła się do Miasta? Tam mieszka przecież jej mąż, a ona go kocha. Czy ten dom jest taki wspaniały, że nikt nie powinien nawet myśleć o tym, żeby zamieszkać gdzie indziej? Nawet po ślubie?

– Tutaj jest tak dużo miejsca. A do Miasta tak daleko...

– A co złego było w tym, że Auberon chciał zgłosić się na ochotnika do wojska? Była wojna. Wszyscy poszli. Czy chcesz, żebyśmy przez całe życie byli twoimi małymi dziećmi?

Violet nic nie odpowiedziała, chociaż łzy wielkie jak perły, podobne do łez dziecka, zawisły na jej rzęsach. Nagle przeraźliwie zatęskniła za Johnem. Mogła na niego przelać wszystkie swoje niewypowiedziane przeczucia, wszystkie pewniki i niewiadome, które przyjmował z szacunkiem, chociaż w istocie nie był w stanie ich pojąć. I zawsze mogła liczyć na jego radę, ostrzeżenie, poznać jego zapatrywania. Potrafił podejmować mądre decyzje, czego ona nigdy nie umiała. Przesunęła dłonią po splątanych włosach Augusta, przypominających loki elfa, których żaden grzebień nie potrafił pokonać, i powiedziała:

– Ale przecież wiesz, kochanie, wiesz. Pamiętasz, prawda? Pamiętasz, prawda?

Z jękiem złożył policzek na jej dłoni, a ona nadal gładziła jego włosy.

– A samochody, Auguście, co oni by sobie pomyśleli? Ten hałas i smród. Ta... ta zuchwałość. Co oni by pomyśleli? A gdybyś ich przepędził?

– Nie, mamó, nie.

– Oni są odważni, Auguście. Pamiętasz to zdarzenie z osą, kiedy byłeś małym chłopcem, jaki odważny był ten mały? Widziałeś to. A jeśli... a jeśli to by ich rozzłościło? Czy nie wymyśliliby wtedy czegoś, och, czegoś tak straszego... Oni są do tego zdolni, wiesz, że są.

– Ale ja byłem tylko małym dzieckiem.

– Czy wy wszystko zapomnieliście? – powiedziała nie do niego, ale jakby do siebie, chcąc sprecyzować dziwne przeczucie, które ją właśnie nawiedziło. – Czy wy naprawdę wszystko zapomnieliście? Czy to o to chodzi? Czy Timmi zapomniała? I ty? – Ujęła jego twarz w dłonie, żeby zmusić go do spojrzenia. – August? – powiedziała, wpatrując się w

niego. – Czy ty zapominasz albo... Nie wolno, nie wolno ci zapomnieć. Jeśli zapomnisz...

– A gdyby nie mieli nic przeciwko temu? – spytał August pokonany. – A gdyby ich to wcale nie obchodziło? Skąd masz pewność, że ich to obchodzi? Mają dla siebie cały świat, prawda?

– Nie wiem.

– Dziadek mówił...

– Och, kochany Auguście, nie wiem.

– No dobrze. – Uwolnił się z jej objęć. – W takim razie pójdę i zapytam. Poproszę ich o zgodę. – Wstał. – Jeśli poproszę ich o zgodę i powiedzą, że wszystko w porządku, to...

– Nie wiem, czy to możliwe...

– A jeśli tak?

– Skąd możesz mieć pewność. Och, nie, Auguście, mogą kłamać. Nie, obiecaj mi, że tego nie zrobisz. Dokąd idziesz?

– Na ryby.

– August?

Kilka słów o nich

Kiedy August wyszedł, do jej oczu napłynęły łzy. Starła niecierpliwie gorące krople, które spływały po policzkach, spływały, ponieważ nie umiała sobie wytłumaczyć tego, co się stało. Nie można było wypowiedzieć nic z tego, co wiedziała. Nie istniały odpowiednie słowa. Kiedy próbowała, samo mówienie o tym sprawiało, że wszystko stawało się kłamstwem lub niedorzecznością. Są odważni, tak powiedziała Augustowi. Mogą kłamać, oznajmiła. Nic z tego nie było prawdą. Nie byli odważni i nie potrafili kłamać. Takie rzeczy brzmią prawdziwie tylko wtedy, kiedy mówi się o nich dzieciom, tak samo jak prawdą jest powiedzenie dziecku, że dziadek wyjechał, gdy w istocie umarł i nigdy już nie powróci. Dziecko pyta wtedy: „Dokąd pojechał?” I kolejna odpowiedź nie będzie już tak prawdziwa jak ta pierwsza i tak dalej. A jednak to, co mówiło się dziecku, było prawdą i ono ją rozumiało, przynajmniej w takim stopniu, w jakim pojmują ją dorośli.

Ale jej dzieci nie były już dziećmi.

Przez tyle lat próbowała z Johnem stworzyć jakiś język, którym można by wyrazić to, co wiedziała, język dorosłych. Próbowała znaleźć sieci, w które można by złapać wiatr, pojąć znaczenie tego wszystkiego, cel, rozwiązanie. Co za męka!

Zbliżył się do zrozumienia ich na tyle, na ile pozwalały inteligencja, niestrudzona pilność, systematyczność umysłu i wyczulenie na szczegóły. Ale nie było żadnego Znaczenia, Celu ani Rozwiązania. Myśląc o nich w ten sposób, człowiek był w podobnej sytuacji jak wtedy, gdy próbując wykonać jakieś zadanie, patrzyłby jedynie w lustro: pomimo całego wysiłku ręce robią coś zupełnie innego niż mają robić, oddalają się zamiast się zbliżać, przesuwają się na prawo zamiast na lewo, do przodu, a nie do tyłu. Czasami sądziła, że samo myślenie o nich

kończyło się właśnie w taki sposób: oglądaniem własnego odbicia w lustrze. Ale co to mogło oznaczać?

Nie chciała, żeby jej dzieci pozostały na zawsze dziećmi. Ten kraj wydawał się pełen ludzi, którzy rozpaczliwie pragnęli dorosnąć, i chociaż ona sama nigdy nie czuła się dorosła, to nie miała zamiaru powstrzymywać rozwoju dorosłości w innych ludziach. Tylko że się bała: gdyby jej dzieci zapomniały to, co wiedziały będąc dziećmi, znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Tego była pewna. W jakim niebezpieczeństwie? I jak miała je przed tym ostrzec?

Nie istniały żadne odpowiedzi. Wszystko to znajdowało się w mocy umysłu, a mowa mogła tylko umożliwić stawianie bardziej precyzyjnych pytań. John pytał ją: „Czy wróżki rzeczywiście istnieją?” I nie znajdowała na to odpowiedzi. Nie przestawał próbować, a pytanie stawało się coraz bardziej szczegółowe i tymczasowe, a przy tym bardziej precyzyjne i dosłowne. I nadal nie było odpowiedzi, jedynie pytanie przybierało coraz pełniejsze formy, ewoluując tak, jak ewoluowało życie – co jej kiedyś opisywał Auberon – zyskując kończyny i poszczególne organy, tworząc siatkę powiązań, przybierając kształt coraz bardziej złożony, a jednak przy tym spoisty i bardziej zindywidualizowany. Trwało to tak długo, aż po zadaniu tego pytania w bezbłędny sposób okazywało się, że nie istnieje na nie odpowiedź. I wtedy następował koniec całego procesu, ostatnie wydanie, a John umarł, nie doczekawszy się odpowiedzi.

A jednak były przecież rzeczy, o których wiedziała.

Na krwistoczerwonym, mahoniowym stole Johna stała zwalista, czarna maszyna do pisania, tak twarda i opancerzona jak stary skorupiak. Powinna przekazać im to, o czym wie dla dobra Augusta, dla dobra ich wszystkich. Podeszła do maszyny, usiadła przy niej, oparła palce na klawiszach jak pianista, zamyśliła się, po czym zaczęła wygrywać delikatny, smutny nokturn, niemal nieczytelny. I w tym momencie zdała sobie sprawę, że w maszynie nie ma papieru. Znalezienie go zajęło jej chwilę. Kartka papieru wyrwana z notesu po wkręceniu w szczękę maszyny wydawała się mała i skurczona, nie przygotowana na uderzenia klawiszy. Violet zaczęła pisać dwoma palcami co następuje:

uwagi Violet na ich temat

Pod tym tytułem umieściła słowo, które dziadek zawsze zapisywał na swoich chaotycznych dziennikach:

tacenda

I co teraz? Przesunęła papier i napisała:

oni nie zamierzają uczynić dla nas nic dobrego

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem pod tamtym zdaniem napisała:

nie zamierzają też wyrządzić nam krzywdy

Chodziło jej o to, że wcale ich to nie obchodzi, że ich sprawy nie są naszymi, a jeśli przynoszą podarunki – a robią to – jeśli aranżują małżeństwa – a robią to – jeśli obserwują i czekają – a robią to – to żadne z tych działań nie ma na celu niesienia pomocy lub wyrządzenia krzywdy śmiertelnikom. Mieli swoje powody – jeśli w ogóle mieli jakieś powody. Czasami myślała, że nie, tak jak nie mają ich kamienie i pory roku.

zostali stworzeni, a nie urodzeni

Rozważała to, opierając policzek na dłoni, i powiedziała „nie”, po czym starannie wykreśliła iksami słowo „stworzeni” i wpisała nad nim „urodzeni” oraz zakreśliła „urodzeni” i wpisała nad nim „stworzeni”. I wtedy zrozumiała, że żadne z tych twierdzeń nie jest prawdziwe. Bezcelowe! Czy była w stanie napisać o nich choć jedno zdanie, którego przeciwieństwo nie byłoby również prawdziwe? Zrobiła linijkę odstępu i napisała, wzdychając:

nie ma dwóch takich samych bram prowadzących do nich

Czy to właśnie miała na myśli? Chciała powiedzieć, że to, co jest bramą dla jednej osoby, nie musi być bramą dla drugiej, że brama, którą raz się przekroczy, przestaje być bramą i nie można nawet przez nią powrócić. Chciała powiedzieć, że nigdy dwie bramy nie prowadzą do tego samego miejsca, że w ogóle nie prowadzą do nich bramy. A jednak: znalazła gwiazdkę w najwyższym rzędzie klawiszy (nie wiedziała, że w maszynie jest taki znak) i postawiła ją przy ostatnim zdaniu:

nie ma dwóch takich samych bram prowadzących do nich

A pod spodem wystukała:

ale ten dom jest bramą

To wystarczyło, żeby wypełnić małą kartkę z jej notesu. Wykręciła ją i przeczytała to, co napisała. Stwierdziła, że ma przed sobą jedynie streszczenie kilku rozdziałów z ostatniego

wydania *Architektury*, pozbawione zaciemniających i abstrakcyjnych wyjaśnień, nagie i wątle, niestanowiące żadnej pomocy. Powoli zgmiotła kartkę w dłoniach, myśląc, że nie wie zupełnie nic oprócz jednego: jej przeznaczenie i przeznaczenie ich wszystkich ma się wypełnić tutaj (dlaczego nie potrafiła wyjaśnić, skąd o tym wie?) i dlatego muszą trzymać się tego miejsca i nie oddalać się stąd. Przypuszczała, że ona sama nigdy już go nie opuści. To była największa z bram. Znajdowała się, jakimś sposobem, przez przypadek albo celowo, na samym skraju czy granicy Innego Świata. I będzie to ostatnia brama, która tam prowadzi. Przez długi czas będzie stała otworem, potem jeszcze przez jakiś czas można będzie ją otworzyć, jeśli ktoś posiadzie klucz. Ale w końcu nadejdzie dzień, kiedy brama zamknie się na dobre i już nigdy nie będzie bramą. Nie chciała, żeby ktokolwiek z tych, których kochała, znajdował się wtedy na zewnątrz.

To, czego najbardziej pragniesz

Południowy wiatr zagarnia muchy do rybiego pyska, powiada „Wędkarz”, lecz zasada ta nie dotyczyła najwyraźniej dobrze zamocowanej i kuszącej przynęty, którą przygotował August. Ezra Meadows był pewien, że ryba bierze przed deszczem, stary MacDonald z kolei był przekonany, iż jest odwrotnie, a sam August uważał, że ani jedno, ani drugie twierdzenie nie sprawdza się. Ryby łapią komary i moskity unoszące się nad wodą niczym chmury kurzu, ściągane w dół na skutek zmiany ciśnienia (zmiana, oznajmił ambiwalentny barometr Johna), ale nie kuszą ich robaki rzucone na przynętę.

Być może nie rozmyślał dość intensywnie o łowieniu ryb. Próbował, nie starając się nawet próbować, zobaczyć lub zauważyć coś, co byłoby wskazówką albo informacją, nie zauważając w istocie ani nie widząc niczego. Próbował sobie przypomnieć – a jednocześnie zapomnieć, że w ogóle kiedykolwiek o tym zapomniał – jak zazwyczaj objawiają się tego typu wskazówki lub informacje i jak należy je interpretować. Musi również spróbować nie myśleć, że to szaleństwo, że robi to tylko dla dobra matki. Jakakolwiek myśl zepsułaby to, co miało się zdarzyć, cokolwiek to było. Nad wodą przemknął zimorodek, śmiejąc się i mieniąc w blasku słońca. Znajdował się jeszcze poza zasięgiem zmierzchu, który wziął już we władanie strumień. Nie jestem szalony, pomyślał August.

Podobieństwo między łowieniem ryb a tym drugim przedsięwzięciem polegało na tym, że bez względu na to, w którym miejscu wzdłuż strumienia się stało, to zawsze wydawało się, iż gdzieś dalej, tam gdzie wąska odnoga strumienia rozlewa się po kamieniach, albo też pod warkoczami wierzb, znajduje się idealne miejsce, miejsce, do którego zawsze chciało się trafić. Uczucie to nie przemijało nawet wówczas, gdy po namyśle człowiek dochodził do wniosku, że idealnym miejscem było właśnie to, w którym stał przed pięcioma minutami, patrząc tęsknie na miejsce, w którym jest teraz, i pragnąc znaleźć się w głębokim cieniu liści, tak jak teraz. I właśnie w chwili, gdy August zdał sobie z tego sprawę, gdy jego pragnienia były rozdarte, jeśli można tak powiedzieć, pomiędzy Tutaj i Tam, coś szarpnęło za linkę i

niemal wyrwało wędkę z jego ręki.

August, zaskoczony tak samo jak złapana ryba, poczynił sobie bardzo niezręcznie, ale po krótkiej walce zwyciężył. Złowił rybę. Cień rzucany przez liście przeobrażał się z wolna w ciemność wieczoru. Ryba spojrzała na niego z tępym zdumieniem, z jakim spoglądają wszystkie schwymane ryby. August usunął haczyk, włożył kciuk do kościstego pyska i złamał rybce kark. Kiedy wyciągnął palec, był on umazany śliską i zimną rybą krwią. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, włożył kciuk do ust i oblizał go. Zimorodek, wykonujący ze śmiechem kolejne nurkowanie, zobaczył Augusta w chwili, gdy mknął jak strzała ponad wodą, żeby usiąść na martwym drzewie. August włożył rybę do koszyka i przysiadł wyczekująco na brzegu. Zimorodek śmiał się z niego, nie z całego świata, był tego pewien.

Jego śmiech był sarkastyczny i mściwy. No cóż, może był zabawny. Ryba nie miała nawet siedmiu cali długości, ledwo wystarczy na śniadanie. No to co?

– Gdybym miał się żywić rybami, to pewnie wyrósłby mi dziób – powiedział na głos.

– Nie powinieś odzywać się niepytany – oznajmił zimorodek. – Istnieją pewne zasady dobrego wychowania.

– Przepraszam.

– Najpierw ja mam przemówić – rzekł zimorodek – a ty się zastanawiasz, kto do ciebie mówi, aż zrozumiesz, że to ja. Wtedy patrzysz na swój kciuk i na rybę w koszyku i zaczynasz pojmować, że to krew, którą zlizalesz z kciuka, pozwala ci rozumieć mowę stworzeń. Potem rozmawiamy.

– Nie chciałem...

– Przyjmijmy, że to się stało w ten sposób. – Zimorodek mówił gwałtownie i niecierpliwie, nie takiego głosu spodziewał się August po tym ptaszku z łebkiem z nastroszonymi piórkami, z grubą szyją, dzikimi, niespokojnymi ślepkami i dziobem. Głos zimorodka. Zimorodek, doprawdy!

– Teraz ty zwróć się do mnie – nakazał zimorodek. – Masz powiedzieć: „O, ptaku!” i przedstawić swoją prośbę.

– O, ptaku! – zaczął August, rozkładając błagalnie ręce. – Powiedz mi, czy wszystko będzie w porządku, jeśli założymy w Meadowbrook stację benzynową i będziemy sprzedawać fordys?

– Oczywiście.

– Co?

– Oczywiście!

August czuł się tak niezręcznie, przemawiając w ten sposób do zimorodka siedzącego na gałęzi drzewa w odległości, która nie pozwalała na prowadzenie rozmowy, że zaczął sobie wyobrażać, iż ptak siedzi koło niego na brzegu i jest podobny do człowieka, że ma większe rozmiary i siedzi ze skrzyżowanymi nogami, tak jak on sam. To odniosło pozytywny skutek. Ogarnęły go wątpliwości, czy ten zimorodek jest w ogóle zimorodkiem.

– A teraz – powiedział zimorodek, który nadal był ptakiem przynajmniej w takim stopniu, że mógł spoglądać na Augusta tylko jednym okiem na raz, a w oku tym malowała się żywość i spryt. Nie było w nim współczucia. – Czy to już wszystko?

– Chyba tak... Ja...

– Tak?

– No, sądziłem, że będą jakieś zastrzeżenia: hałas, smród.

– Nie ma żadnych.

– Och.

– Z drugiej strony – powiedział zimorodek, a śmiech krył się za tymi słowami – skoro już tu jestem i ty tu jesteś, mógłbyś przy okazji poprosić o coś jeszcze.

– O co?

– O cokolwiek. To, czego najbardziej pragniesz.

Myślał – dopóki nie przedstawił swej niedorzecznej prośby – że właśnie o to przed chwilą poprosił, lecz nagle zdał sobie sprawę, że pragnie czegoś innego i ma możliwość to dostać. Na tę myśl oblała go fala gorąca i aż zaparło mu dech. Zarumienił się gwałtownie.

– W Meadowbrook – zaczął mówić, jękając się – mieszka farmer, pewien farmer, i ma córkę...

– Tak, tak, tak – przerwał mu niecierpliwie zimorodek, jak gdyby doskonale wiedział, czego August pragnie, i nie chciał tracić czasu na wysłuchiwanie szczegółów. – Ale pomówmy najpierw o zapłacie, a potem o nagrodzie.

– O zapłacie?

Zimorodek poruszał nerwowo małą główką, która ciągle znajdowała się w innej pozycji, czasem jego oko skierowane było na Augusta, innym razem na strumień albo niebo, jak gdyby próbował znaleźć naprawdę cięte słowa, którymi mógłby wyrazić swoją irytację.

– Zapłata – powiedział. – Zapłata, zapłata. To nie ma nic wspólnego ze mną. Nazwijmy to przysługą, jeśli wolisz. Chodzi o zwrot pewnej własności – nie zrozum mnie źle – która na pewno wpadła w twoje ręce przez przypadek. Chodzi mi o... – Przez krótką chwilę i po raz pierwszy w czasie tej rozmowy zimorodek jakby zawahał się lub zadrżał – chodzi o talię kart, kart do gry. Takich starych, które należą do ciebie.

– Karty Violet?

– Właśnie.

– Poproszę ją.

– Nie, nie. Widzisz, ona myśli, że te karty należą do niej, więc nie może o niczym wiedzieć.

– To znaczy, że mam je ukraść?

Zimorodek nic nie powiedział. Przez moment jakby zniknął, ale możliwe, że stało się tak na skutek nieuwagi Augusta, który przestał wyobrażać sobie ptaka, gdyż pochłonęła go myśl o potworności tego, co miał uczynić.

Kiedy zimorodek znowu się pojawił, wydawał się nieco przygaszony.

– Czy pomyślałeś już o swojej nagrodzie? – zapytał niemal kojącym głosem.

Oczywiście, że pomyślał. Kiedy zrozumiał, że ma sposobność poprosić ich o May (choć nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak wypełnią tę prośbę), nie pożałował już jej tak bardzo jak przedtem – była to zapowiedź tego, co miało nastąpić, gdy posiadzie ją lub jakąkolwiek inną kobietę. Ale którą z nich miał wobec tego wybrać? Czy może poprosić o...

– Chcę mieć każdą – powiedział cicho.

– Każdą?

– Każdą, której zapragnę. – Gdyby nie straszliwa siła pożądania, które nim zawładnęło, wstyd nigdy nie pozwoliłby mu wypowiedzieć tych słów. – Chcę mieć nad nimi władzę.

– Masz ją. – Zimorodek odchrząknął, odwrócił łebek i musnął brodę czarną łapką, jak gdyby cieszył się, że ten brudny interes został już ubity. – W lasach nad jeziorem jest pewien staw. Jest tam skała, która wystaje ponad staw. Połóż na niej karty, w woreczku i w pudełeczku, w którym są schowane, i weź to, co tam znajdziesz. Zrób to jak najprędzej. Do widzenia.

Wieczór był ciemny, ale powietrze przezroczyste – zapowiedź burzy. Zakończył się zamęt wywołany zachodem słońca. Woda w strumieniu przybrała czarny kolor, a prąd nieprzerwanie wzburzał tu i ówdzie jej powierzchnię. Na martwym drzewie kulił się drżący czarny kłębek piór – zimorodek przygotowujący się do snu. August poczekał na brzegu, aż ptak powróci do miejsca, z którego przybył. Potem zabrał swoje przybory wędkarskie i poszedł do domu. Oczy miał szeroko otwarte, ale ślepe na piękno przedburzowego wieczoru. Czuł się niemal jak chory z powodu dziwności tego, co go spotkało, i z oczekiwania.

Coś okropnego

Aksamitny woreczek, w którym spoczywały karty Violet, miał barwę przykurzonego różu, która niegdyś była żywa. W pudełku znajdował się dawniej komplet srebrnych łyżeczek do kawy z Crystal Palace, ale zostały one sprzedane dawno temu, kiedy jeszcze Violet wędrowała z ojcem. Najdziwniejsza była zawsze chwila, kiedy wyjmowała te dziwne duże prostokąty, namalowane albo wydrukowane kilka wieków temu, z ich przytulnego pudełka, na którym widniał wizerunek starej królowej i samego pałacu, wykonany z różnorodnych kawałków drewna. Przypominało to odsuwanie kurtyny, za którą kryło się coś okropnego. Nie zawsze tak to odczuwała, chociaż zdarzały się momenty, kiedy po wyłożeniu Róży lub Chorągwi ogarniał ją strach. Czuła, że może zostać ujawniona jakaś tajemnica, której nie chciała poznać, jej własna śmierć albo coś jeszcze straszniejszego. Ale mimo że dziwaczne, groźne wizerunki figur były przeładowane ciemnymi szczegółami jak u Durera, jak na barokowych i niemieckich obrazach, ujawniane tajemnice nie okazywały się na ogół straszne, zazwyczaj nie stanowiły nawet tajemnic. Były to jedynie niejasne abstrakcje, przeciwieństwa, twierdzenia, wnioski, tak zwyczajne jak przysłowia i równie nieprecyzyjne. John i ci spośród

znajomych, którzy potrafili czytać z kart, powiedzieli jej, że właśnie tak powinno się interpretować ich układy. Ale karty, które oni znali, różniły się całkowicie od jej kart, i chociaż potrafiła je rozkładać i interpretować tylko na wzór tarota egipskiego (zanim poznała te metody, po prostu rozkładała karty i wpatrywała się w nie godzinami), często zastanawiała się, czy nie istnieją bardziej odkrywczsze, prostsze i przynoszące więcej korzyści sposoby ich układania.

– A tutaj mamy – powiedziała, odwracając starannie jedną z kart spodem do góry – piątkę buław.

– Nowe możliwości – stwierdziła Nora. – Nowe znajomości. Zaskakujące wydarzenia.

– Dobrze. – Piątka buław powędrowała na swoje miejsce w końskiej podkowie, którą układała Violet. Wybrała kartę z innego pliku – leżące przed nią karty były podzielone zgodnie z tajemnymi regułami na sześć plików – i odwróciła figurę: to był Sportowiec. Zapowiadało to trudności. Talia kart Violet składała się z dwudziestu jeden głównych figur, tak jak talia zwykłych kart. Ale osoby, miejsca, rzeczy i pojęcia w jej kartach nie były wcale kartami figuralnymi. Tak więc gdy wyłożyła Zawiniątko, Wędrowca, Wygodę albo Różnorodność, albo Sportowca, musiała wykonać skok, odgadnąć znaczenie, które nadałoby sens układowi. W ciągu wielu lat z coraz większą pewnością przypisywała znaczenia figurom, wyciągała wnioski ze sposobu, w jaki układały się pomiędzy kielichami, mieczami i buławami i rozróżniała – przynajmniej tak jej się wydawało – szkodliwe bądź korzystne wpływy. Ale nigdy nie miała niezbitą pewnością. Śmierć, Księżyc, Sąd – te karty figuralne miały rozległe znaczenie. Ale co oznaczał Sportowiec?

Był, jak wszyscy ludzie odmalowani na kartach, tak muskularny, że nadawało mu to niemal nieludzki wygląd. Stał w wyniosłej, absurdalnej pozie, palce nóg miał zwrócone na zewnątrz, a knykcie dłoni oparte na biodrach. Jego strój nie był przystosowany do tego, co miał robić: kolana zdobiły wstążki, w marynarce widniały wycięcia, a wokół kapelusza z szerokim rondem – resztki kwiatów. Ale przez ramię miał bez wątpienia przewieszoną wędkę. W ręce trzymał coś, co przypominało koszyk na ryby, był też wyposażony w inne przybory, których nie znała. Przy jego nodze leżał uśpiony pies, bardzo podobny do Sparka. To dziadek nazwał tę figurę Sportowcem. Pod obrazkiem widniał napis sporządzony dużymi łacińskimi literami: PISCATOR.

– A więc – powiedziała Violet – nowe doświadczenia i dobre czasy albo czekające kogoś przygody. To miło.

– Kto? – spytała Nora.

– Kogo.

– No to kogo?

– Tego, dla którego przeznaczony jest ten układ. Czy już podjęliśmy decyzję? Czy tylko tak sobie ćwiczymy?

– Ponieważ zapowiada takie dobre rzeczy – powiedziała Nora – to niech będzie

przeznaczony dla kogoś.

– Dla Augusta. Biedny August. Powinno go wreszcie spotkać coś dobrego.

– Dobrze. – Ale zanim Violet wzięła kolejną kartę, Nora powiedziała: – Zaczekaj. Z tym nie ma żartów. Jeśli to od początku nie było dla Augusta, to co się stanie, jeśli teraz wyjdzie coś strasznego? Nie będziemy się martwić, że to się może spełnić? – Popatrzyła na pogmatwany układ, po raz pierwszy odczuwając lęk przed mocą kart. – Czy to zawsze się sprawdza?

– Nie wiem. – Przestała je rozkładać. – Nie – odparła. – Nie w naszym przypadku. Sądzę, że jest możliwe, iż zapowiadają rzeczy, które mogą nam się przydarzyć. Ale jesteśmy pod ochroną, prawda?

Nora nic na to nie powiedziała. Wierzyła Violet i ufała, że matka doskonale zna Opowieść, ale sama nigdy nie czuła, że jest pod ochroną.

– Są takie zwykłe katastrofy – dodała Violet – w których nadejście bym nie uwierzyła, nawet gdyby karty je przepowiedziały.

– I pomyśleć, że poprawiałaś moje błędy – roześmiała się Nora. Violet, również się śmiejąc, wyłożyła kolejną kartę: czwórka kielichów.

– Znużenie, wstręt, odraza – powiedziała Nora. – Przykre doświadczenie.

Zadzwieczał dzwonek. Nora podskoczyła.

– Kto to może być? – zastanawiała się Violet, zgarniając karty.

– Och, nie wiem – odparła Nora. Podeszła pośpiesznie do lustra i szybko doprowadziła do ładu swoje ciężkie złociste włosy, po czym przyglądała bluzkę. – To może być Harvey Cloud. Powiedział, że może wpadnie, żeby oddać książkę, którą mu pożyczyłam. – Przestała się śpieszyć i westchnęła, jakby irytowało ją, że ktoś im przeszkadza. – Chyba pójdę zobaczyć.

– Tak. Idź zobaczyć. Zajmiemy się kartami innym razem.

Ale kiedy tydzień później Nora zgłosiła się na następną lekcję, a Violet podeszła do szuflady, w której trzymała karty, nie znalazła w niej znajomego pudełka. Nora twierdziła z uporem, że nie zabrała kart. Nie było ich też w żadnym innym miejscu, w którym Violet mogła je przez roztargnienie położyć. Wysunęła wszystkie szuflady, wyrzuciła na podłogę papiery i pudełka, po czym siedziała na skraju łóżka, zaintrygowana i nieco zatrwożona.

– Zniknęły – powiedziała.

Antologia miłości

– Zrobię, co zechcesz, Auguście – powiedziała Amy. – Cokolwiek zechcesz.

Pochylił głowę, oparł ją na uniesionych kolanach Amy i rzekł:

– O Jezuu, Amy, o Boże. Tak mi przykro.

– Och, nie mów tak, to straszne. – Jej twarz była przymglona i wilgotna od łez, przypominała skoszone październikowe pole kukurydzy przed nimi, na którym kosy

poszukiwały ziaren, wzbijając się w powietrze na niewidoczny sygnał i siadając z powrotem w innym miejscu. Położyła dłonie – popękane po żniwach – na jego dłoniach. Oboje drżeli z zimna i z powodu nieszczęścia, które na nich spadło.

– Czytałam w książkach, że ludzie kochają się przez jakiś czas, a potem już nie. Nigdy nie wiedziałam, dlaczego tak jest.

– Ja też nie wiem, dlaczego, Amy.

– Ja zawsze będę cię kochać.

Podniósł głowę, którą przygniatała taka melancholia i czuły żal, że zdawało mu się, iż sam zamienia się w mgłę i jesień, kochał ją przecież głęboko, ale nigdy tak czystym uczuciem jak teraz, kiedy oznajmił jej, że nie będą się już spotykać.

– Po prostu zastanawiam się, dlaczego – powiedziała.

Nie mógł jej powiedzieć, że to wszystko zostało zaplanowane, że nie miało nic wspólnego z nią, że zdecydowały o tym inne naglące zobowiązania – och, Boże, nie dawały mu spokoju.

Spotkał się z nią pod tą rozłożystą, brązową paprocią o świcie, żeby nikt nie zauważył jej nieobecności w domu. Chciał z nią zerwać. Jedynym uzasadnieniem tej decyzji, jakie potrafił wymyślić, możliwym do zaakceptowania przez obie strony, było to, że już jej nie kochał. Po długich wahaniach i wielu chłodnych pocałunkach właśnie taki powód zerwania jej podał. Ale kiedy już się na to zdobył, przyjęła to tak dzielnie i spokojnie, a łzy spływające po jej policzkach wydawały się tak słone, że zaczął odnosić wrażenie, iż powiedział jej to tylko po to, żeby zobaczyć, jaka jest dobra, oddana i łagodna, tylko po to, by jej smutek i poczucie nadciągającej straty mogły ożywić jego utraconą miłość.

– Och nie, Amy, nie, Amy. Nigdy nie miałem zamiaru... – Obejmował ją, a ona poddawała się, ale nie miała śmiałości wkroczyć na teren, na którym była niechciana. Jej nieśmiałość, jej duże oczy, szukające jego spojrzenia, pełne obawy i dzikiej nadziei, pokonały go.

– Nie powinienes, Auguście, jeśli mnie nie kochasz.

– Nie mów tak, Amy, nie mów tak.

Bliski leż, jakby naprawdę miał jej już nigdy nie zobaczyć (choć wiedział teraz, że nie jest do tego zdolny) wkroczył z nią, leżąc na szeleszczących liściach, do nowej, smutnej i słodkiej krainy miłości, w której zostały wyleczone straszne rany i cierpienia, jakie jej zadał.

Najwyraźniej obszary miłości nie miały kresu.

– W następną niedzielę? August? – zaproponowała nieśmiało, ale bez wahania.

– Nie, nie w następną niedzielę, ale... jutro. Albo dziś wieczorem. Czy możesz...

– Tak. Wymyślę coś. Och, Auguście, najdroższy.

Wycierając twarz i poprawiając włosy, ruszyła przez pole do domu. Była w niebezpieczeństwie, zrobiło się późno. Właśnie do tego doszedłem, pomyślał w głębi duszy, której ostatnia forteca stawiała jeszcze opór: nawet kres miłości stanowi jedynie impuls do

następnej miłości. Podszedł do samochodu, który czekał na niego jakby z wymówką. Nasączony wilgocią ogon wiewiórki, który przyozdabiał teraz auto, zwisał bezwładnie. Starając się nie myśleć, August zapuścił silnik.

Co, do diabła ma zrobić?

Pomyślał, że żarliwe uczucie, które zawładnęło nim, kiedy po raz pierwszy ujrzał Amy po otrzymaniu daru, było tylko pewnością, iż pożądanie zostanie w końcu zaspokojone. Ale nawet mając tę pewność, nadal robił z siebie głupca, przeciwstawiał się jej ojcu, wymyślał rozpaczliwe kłamstwa i prawie został na nich przyłapany. Wystawał godzinami przed jej domem, czekając, aż będzie wolna – dali mu władzę nad kobietami, myślał z goryczą, ale nie nad ich codziennym życiem. I chociaż Amy zgadzała się na wszystkie jego plany, na nocne spotkania, na jego intrygi i dorównywała mu gorliwością, to nawet jej bezwstydnosc nie osłabiła uczucia, że to nie on ma władzę, że sam, bardziej niż kiedykolwiek, jest gnany wszechogarniającym pożądaniem, nie wypływającym z jego wnętrza, lecz wywołanym raczej przez demona, który nim zawładnął. Uczucie to narastało w ciągu miesięcy, w czasie których objeżdżał swym fordem pentagram miast, i stawało się pewnością. Prowadził forda, ale sam był prowadzony, kierowano nim bez jego woli.

Violet nie dopytywała się, dlaczego porzucił pomysł zbudowania stacji benzynowej w Meadowbrook. Od czasu do czasu narzekał, że po to, by dostać się do stacji benzynowej, zużywa tyle samo paliwa, ile wlewa tam do baku, ale nie wydawało jej się, żeby traktował te słowa jak aluzję bądź argument. W istocie był teraz mniej skłonny do dyskusji niż przedtem. Jego wymizerowany wygląd, świadczący o tym, że pochłaniają go zupełnie inne sprawy, mógł dowodzić, iż planuje coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego, ale Violet wątpiła w to. Miała nadzieję, że wyczerpanie i poczucie winy malujące się na jego twarzy, kiedy w milczeniu wałęsał się po domu, nie oznaczają, iż planuje w tajemnicy jakiś występki. Z pewnością coś się zdarzyło. Gdyby karty nie zniknęły, może podpowiedziałyby jej, o co chodzi. Prawdopodobnie był po prostu zakochany.

To była prawda. Gdyby Violet nie wybrała pustelniczego życia w swym pokoju na piętrze, miałyby jakieś pojęcie o spustoszeniu, które jej najmłodszy syn poczynił wśród młodych dziewcząt. Zbierał nieustające żniwo w obrębie pięciu miast. Rodzice wiedzieli co nieco, same dziewczęta plotkowały o tym pomiędzy sobą. Widok forda Augusta i powiewającego wesoło ogonka wiewiórki, przyczepionego na sprężystym druciku przy szybie samochodu, siał przerażenie za dnia, oznaczał niepokój i gorączkowe rzucanie się w łóżku w nocy oraz mokrą poduszkę o poranku. One nie wiedziały – skąd mogły się domyślać? Oddały mu swe serca – że noce i dni Augusta są bardzo podobne do ich dni i nocy.

Nie tego się spodziewał. Słyszał o Casanovie, lecz nie czytał jego pamiętników. Wyobrażał sobie harem, w którym wszechmocny sułtan jednym kłaśnięciem w dłonie przywołuje pokorny obiekt swej żądzy tak szybko i bezosobowo, jak dziesięciocentówka sprowadza wodę sodową w sklepie. Był zdumiony, kiedy zakochał się w najstarszej córce

Flowersów, nie przestając przy tym nawet w najmniejszym stopniu pożądać Amy. Trawiony przez miłość i pożądanie, kiedy nie był z Amy, myślał ciągle o tej drugiej. A jeśli nie o niej, to – jak to możliwe? – o małej Marge Juniper, która nie skończyła jeszcze czternastu lat. Nauczył się z czasem tego, o czym wiedzą wielcy, udęczeni kochankowie: że właśnie miłość jest tym, co najczęściej wzbudza miłość, jest być może nie tylko ślepą siłą, ale jedynym uczuciem, które może wzbudzić miłość, pod warunkiem że kochanek szczerze wierzy (a August otrzymał ten straszny dar), iż jego miłość musi zostać odwzajemniona, jeśli jest dostatecznie silna. Miłość Augusta zawsze była odwzajemniana.

Przepełniony wstydem, drżącymi rękoma położył na skale nad stawem to, co było najcenniejszym skarbem matki (nie chciał dopuścić do siebie tej myśli) – karty – i zabrał ogonek wiewiórki, który tam dla niego pozostawiono. Prawdopodobnie nie stanowił on żadnego daru, a jedynie resztki ze śniadania sowy albo lisa – to szaleństwo. Tylko ogromna, niewzruszona nadzieja skłoniła go do tego, żeby przyczepić to znalezisko do swojego forda. Nie oczekiwał przy tym niczego. A jednak dotrzymali obietnicy, o tak. Był na dobrej drodze, by stać się chodzącą antologią miłości (pod jego siedzeniem znajdowała się para eleganckich trzewików). Kiedy jeździł od drogerii do kościoła, od farmy do farmy, a włochaty ogonek powiewał przy szybie samochodu, zaczynał pojmować, że nie dano mu wcale władzy nad kobietami: jego władza nad nimi wynikała z ich władzy nad nim.

Ciemność przed nastaniem dnia

Flowersowie przychodzili zwykle w środy, przynosząc naręczka kwiatów do pokoju Violet. Chociaż Violet czuła się zawstydzona i winna w obecności tak wielu ściętych i powoli więdnących roślin, starała się wyrazić podziw i zdumienie, że pani Flowers ma taką dobrą rękę do kwiatów. Ale ta wizyta przypadła we wtorek i Flowersowie nie przynieśli bukietu.

– Wejście, wejście – prosiła Violet. Stali, niezwykle onieśmieleni, w drzwiach jej pokoju. – Może napijecie się herbaty?

– Och nie – powiedziała pani Flowers. – Chcieliśmy tylko zamienić kilka słów.

Kiedy wreszcie usiedli, wymieniając spojrzenia (ale nie będąc w stanie spojrzeć na Violet), przez długą, niezręczną chwilę wcale się nie odzywali.

Flowersowie przybyli w te strony, żeby zająć stare miejsce MacGregorów, uciekli, jak to określiła pani Flowers, z Miasta. Pan Flowers miał tam stanowisko i pieniądze, ale nie było dokładnie wiadomo, jakie stanowisko i w jaki sposób czerpał z niego pieniądze. Nie ukrywali tych faktów, lecz uznali po prostu, że zwykle sprawy codziennego życia nie nadają się na temat rozmowy. Tak jak John należeli do Towarzystwa Teozoficznego i oboje byli zakochani w Violet. Ich życie, jak życie Johna, było cichym dramatem, pełnym niejasnych, ale wstrząsających znaków, że życie nie toczy się tak zwyczajnie, jak się powszechnie przypuszcza. Należeli do grona tych osób (Violet dziwiła się, że jest ich tak wiele i że przyciąga je Edgewood), które sądzą, że życie jest przysłonięte wielką udrapowaną kurtyną.

Byli przekonani, że w każdej chwili może się ona podnieść, ujawniając wspaniałe i zachwycające widowisko, i chociaż nigdy się całkowicie nie odsłoniła, byli cierpliwi i z podnieceniem obserwowali każde najmniejsze jej poruszenie, kiedy aktorzy zajmowali swoje miejsca, oraz wyczężali słuch, żeby usłyszeć, jak zmienia się niesamowita inscenizacja. Podobnie jak John przypuszczali, że Violet jest jednym z aktorów albo przynajmniej znajduje się po drugiej stronie kurtyny. Fakt, że sama wcale nie patrzyła na to w ten sposób, czynił ją w ich oczach istotą jeszcze bardziej tajemniczą i zachwycającą. Środowe wizyty dawały im temat do cichej wieczornej rozmowy, stanowiły bodziec do czcigodnego i uważnego życia przez cały tydzień.

Ale to nie była środa.

– Chodzi o Happiness – powiedziała pani Flowers, a Violet patrzyła na nią przez chwilę nie rozumiejącym wzrokiem. – Chodzi o Happiness⁴. – Violet zrozumiała, że to imię ich najstarszej córki.

Imiona młodszych brzmiały: Joy i Spirit⁵. Kiedy wymieniali ich imiona, następował zawsze taki sam moment konsternacji. Nasza Joy wyjechała na cały dzień. Nasza Spirit wróciła do domu cała zabłocona. Zacierając dłonie i podnosząc oczy, które, jak Violet dopiero teraz zauważyła, były zaczerwienione od płaczu, pani Flowers powiedziała:

– Happiness jest w ciąży.

– Ojej.

Pan Flowers, którego rzadka, chłopięca bródka i wielkie, myślące czoło przywodziły jej na myśl Szekspira, zaczął mówić tak łagodnie i cicho, że Violet musiała się pochylić, żeby go usłyszeć. W końcu pojęła, o co chodzi: Happiness jest w ciąży, tak im powiedziała, a ojcem dziecka jest August.

– Przeplakała całą noc – dodała pani Flowers, a jej oczy napełniły się łzami. Pan Flowers próbował wszystko wyjaśnić. Nie lękali się wstydu przed światem ani dyshonoru, ich własne małżeństwo zostało skonsumowane, nim wypowiedzieli jakiegokolwiek słowa przysięgi. Rozkwit sił witalnych jest zawsze pozytywnym zjawiskiem. Nie, problem polegał na tym, że August zdaje się zapatrywać na to inaczej niż oni albo może pojmuje to lepiej, ale jednak, szczerze mówiąc, uważają, że złamał serce córce, chociaż ona twierdzi, iż powiedział, że ją kocha. Zastanawiali się, czy Violet wie, jakie uczucia żywi August i co chłopiec zamierza z tym zrobić (wyrażenie tak obciążone zwykłym i błędnym znaczeniem padło w końcu w rozmowie z takim brzękiem jak podkowa, którą pan Flowers nosił w kieszeni).

Violet poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust.

Zebrała myśli.

– Jeśli ją kocha – powiedziała – to...

⁴ Happiness (ang.) – szczęście (przyp. tłum.).

⁵ Joy (ang.) – radość, Spirit (ang.) – duch, dusza (przyp. tłum.).

– To możliwe – odparł pan Flowers. – Ale ona mówi, że on jej powiedział, że jest ktoś jeszcze, ktoś ważniejszy, ktoś...

– Złożył przyrzeczenie innej – powiedziała pani Flowers. – Która też...

– Amy Meadows? – spytała Violet.

– Nie, nie. To nie było takie imię. Jak ona się nazywała?

Pan Flowers odkaszlnął.

– Happiness nie była pewna. Może chodzić nie tylko o jedną.

Violet powtarzała tylko: ojej, ojej, czując głęboko ich zmieszanie, ich odważny wysiłek, by nikogo nie oceniać. Zupełnie nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi powinna im udzielić. Patrzyli na nią z nadzieją, że powie coś, co pozwoli im włączyć i to wydarzenie do dramatu, który rozgrywał się za kurtyną. Ale ona rzekła tylko cichym głosem, ze smutnym uśmiechem na ustach:

– No cóż, chyba nie pierwszy raz zdarza się na świecie coś takiego.

– Nie pierwszy raz?

– Nie pierwszy raz.

Ich serca żywiej zabiły. Ona wiedziała. Znała precedens. Co to mogło być? Rozrzucanie nasienia, inkarnacja duszy, awatar, co jeszcze? Coś innego, czego nawet się nie domyślali? Tak, coś mądrzejszego i dziwniejszego, niż mogli sobie wyobrazić.

– Nie pierwszy raz – powtórzył pan Flowers, a na jego gładkim czole pojawiły się zmarszczki. – Tak.

– Czy to należy do Opowieści? – spytała pani Flowers niemal szeptem.

– Do czego? A tak – odparła Violet pogrążona w myślach. Co się stało z Amy? W co August się wplątał? Skąd czerpał siłę, by łamać dziewczęce serca? Ogarnęło ją straszne przeczucie. – Tylko ja nie wiedziałam o tym, nigdy nie podejrzewałam. Och, Auguste – powiedziała i pochyliła głowę. Czy to była ich sprawka? Jak ma się dowiedzieć? Czy powinna go zapytać? Czy odpowiedź jej pomoże?

Widząc, że Violet jest tak przytłoczona, pan Flowers pochylił się ku niej.

– Nigdy nie mieliśmy zamiaru obarczać tym pani – powiedział. – My wcale nie myśleliśmy, nie wątpiliśmy, że nie jest, że nie będzie dobrze. Happiness nie obwinia go, nie o to chodzi.

– Nie – dodała pani Flowers, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu Violet. – My niczego nie chcemy, to nie w tym rzecz. Nowy duch to zawsze radość. Będzie naszym dzieckiem.

– Może – powiedziała Violet – później się to wyjaśni.

– Na pewno – przytaknęła pani Flowers. – To jest, to jest częścią Opowieści.

Ale Violet wiedziała, że to się wcale nie wyjaśni. Opowieść: tak, to należało do Opowieści. Nagle zdała sobie sprawę – jak osoba, która siedzi samotnie w pokoju pochyłona nad pracą i pod koniec dnia podnosi oczy, ponieważ w pokoju zrobiło się ciemno i nie sposób dalej pracować – że przyszedł wieczór. I przez długi czas będzie robiło się ciemniej, zanim

znowu nastanie dzień.

– Proszę – powiedziała – poczęstujcie się herbatą. Zapalimy światło. Zostańcie chwilę.

Usłyszała – i oni również – dobiegający z podwórza warkot silnika samochodu zbliżającego się do domu. Zwolnił, kiedy dojeżdżał do alei – odgłos był wyraźny i regularny jak cykanie świerszcza – po czym zmienił biegi, jak gdyby zmienił decyzję, i popędził przed siebie.

– Jak długa jest Opowieść? – zapytała, a pani Underhill odparła:

– Ty i twoje dzieci, i dzieci twoich dzieci zostaniecie pochowani, zanim Opowieść zostanie opowiedziana do końca.

Trzymała przez chwilę sznur lampy, nie pociągając za niego. Co ona zrobiła? Czy to była jej wina, bo nie wierzyła, że Opowieść może być taka długa? Tak, na pewno jej wina. Zmieni się. Naprawi to, co da się naprawić, jeśli jeszcze zdąży. Musi zdążyć. Pociągnęła za sznur i w tym momencie za oknami nastąpiła noc, a pokój stał się pokojem.

Ostatni dzień Augusta

Ogromny księżyc lśnił na niebie. August zabrał ze sobą Marge Juniper, chcąc jej pokazać wschód księżyca, ale i tak przeoczyli ten moment. Pełny księżyc, powiedział August, i kiedy pędzili drogą, śpiewał Marge piosenkę o nim. Ale to nie był pełny księżyc, mimo że tak bursztynowy i ogromny. To był tylko ostatni dzień Augusta.

Oblewało ich światło księżyca. Teraz mogli go podziwiać. August był zbyt oszołomiony i nasycony, by robić cokolwiek innego. Nie potrafił nawet pocieszyć Marge, która pochłapywała cichutko obok niego, być może nawet ze szczęścia, któż to wie. Nie potrafił nic powiedzieć. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek otworzy usta w innym celu niż składanie propozycji dziewczętom. Może gdyby wcale nie otwierał ust... Ale wiedział, że nie jest do tego zdolny.

Marge podniosła rękę oblaną światłem księżyca i śmiejąc się przez łzy, pogłaskała wąsy Augusta, które dopiero zaczęły rosnąć.

– Jesteś taki przystojny – powiedziała. Pod dotykiem jej palców zmarszczył nos jak królik. Dlaczego zawsze głaszczą wąsy w niewłaściwą stronę, pod włos? Czy powinien je zgolić? Jej usta były czerwone, a skóra wokół nich płonęła od jego pocałunków i od płaczu. Jej skóra była taka delikatna w dotyku, jak to sobie wyobrażał, ale naznaczona różowymi piegami, których się nie spodziewał. Nie przypuszczał też, że jej szczupłe uda będą tak białe, gdy zobaczy je nagie na śliskiej skórze siedzenia samochodowego. Piersi, widoczne zza rozchylonej bluzki, okazały się niewielkie i świeże, zakończone małymi, zmieniającymi się sutkami. Wydawało się, że dopiero co wykwitły z chłopięcej klatki piersiowej. Włoski okazały się jasne, sztywne i krótkie, jak punkciki. O Boże, widział takie intymne szczegóły. Odczuwał głębokie zdumienie na widok obnażonego ciała. Te wrażliwe miejsca powinny pozostawać w ukryciu, dziwaczne organy, mięciutkie jak ciało ślimaka, wrażliwe jak jego

czułki, odsłanianie ich było czymś potwornym. Pragnął okryć najwrażliwsze części jej ciała ładną białą bielizną, która przystrajała samochód niczym festony, a jednak gdy tylko o tym pomyślał, poczuł, że znowu ogarnia go fala pożądania.

– Och – westchnęła. W gorączkowym pędzie, który pozbawił ją dziewictwa, nie zdołała zapewne pojąć, że jest nienasycony, zbyt wiele miała do przemyślenia. – Czy chcesz to znowu zrobić?

Nic nie odpowiedział, to nie miało z nim nic wspólnego. Tak samo można by zapytać pstrąga złapanego na haczyk, czy chce dalej prowadzić takie życie, czy je zakończyć. Umowa jest umową. Zastanawiał się, dlaczego za drugim razem wydaje się to trudniejsze, dlaczego przeszkadzają niezręczne łokcie i kolana, skoro zna się już kobietę lepiej, a i ona pojęła przynajmniej podstawowe zasady. Myśli te nie uchroniły go jednak przed tym, co było nieuniknione. Gdy się kochali, zapalał do niej jeszcze głębszym uczuciem.

Kobiety są takie rozmaite: inne ciała, piersi, zapachy. Nie wiedział, że tak bardzo będą się różniły, że ich charaktery okażą się tak odmienne jak twarze i głosy. Odczuwał już przesyt z powodu tej różnorodności. Wiedział zbyt dużo. Jęknął głośno (z miłości i wszechwiedzy) i przywarł do niej. Marge.

Było późno. Księżyc wędrujący po niebie zmalął i stał się chłodny i biały. Wyglądał smutno. Marge znowu roniła łzy, chociaż nie wyglądało to na zwyczajny płacz. Jej łzy wydawały się naturalną wydzieliną, spowodowaną być może wpływem księżyca. Odsuwała się od Augusta, chociaż nie mogła obronić przed nim swej nagości. Powiedziała ze spokojem:

– Cieszę się, Auguście, że byliśmy ze sobą chociaż ten jeden raz.

– Co to znaczy: ten jeden raz? – wydobył z siebie charkot bestii, niepodobny do jego głosu. – Ten jeden raz?

Wierzchem dłoni starła łzy z twarzy. Nie mogła w ciemności zapiąć podwiązek.

– Bo będę to zawsze pamiętać.

– Nie.

– Przynajmniej pamiętać. – Podrzuciła sukienkę w powietrze i umieściła zręcznie nad głową. Wykręcała się na wszystkie strony, aż sukienka opadła na nią jak kurtyna: ostatni akt.

– Nie, Auguście. – Przywarła do drzwi, zasłaniając się skrzyżowanymi rękoma. – Przecież mnie nie kochasz, i tak jest dobrze. Nie. Wiem o Sarze Stone. Wszyscy wiedzą. Nie ma sprawy.

– O kim?

– Nie ośmielisz się. – Spojrzała na niego ostrzegawczo. Nie miał zamiaru zepsuć wszystkiego kłamstwami i zaprzeczeniami. – Kochasz ją przecież. To prawda, sam dobrze wiesz.

Nic nie powiedział. To była prawda. W jego wnętrzu zaczynała się katastrofa tak wielka, że mógł tylko przyglądać się jej bezsilnie. Hałas wewnętrzny zagłuszał jej słowa:

– Nigdy nie zrobię tego z kim innym, nigdy. – Jej odwaga wyczerpywała się, wargi

zaczynały drżeć. – Odejdę i będę żyć z Jeffem i nigdy nikogo innego nie pokocham. Zawsze o tym pamiętaj. – Jeff był jej bratem, ogrodnikiem zajmującym się różami. Odwróciła twarz. – Teraz możesz odwieźć mnie do domu.

Bez słowa zawiózł ją do domu.

Wewnętrzny zgiełk przypomina wewnętrzną pustkę. Czuł się pusty, wyzuty z wszelkich uczuć, kiedy patrzył, jak Marge wysiada z samochodu, jak odchodzi i stapia się w jedno z cieniem liści nakrapianym plamkami księżycy. Nie odwróciła się ani razu, ale nawet gdyby to zrobiła, i tak by nie zauważył. Czuł się pusty, kiedy uciekał od zacienionych, drżących skrzyżowań. Pusty, kiedy jechał do domu. To nie była świadoma decyzja, to poczucie pustki sprawiło, że zjechał z szarej drogi, na której połyskiwały kamienie, i przesadził rów, po czym zanurzył nieustraszonego forda w srebrzystej trawie pastwiska i gnał przed siebie. I wtedy pustkę powoli wypełniło postanowienie, które również wydawało się czcze. Samochód krztusił się z braku paliwa. August dławił silnik, poganiał, zachęcał auto, by przejechało jeszcze kawałek, ale samochód umilkł na dobre. Gdyby w promieniu dziesięciu mil znajdowała się jakaś cholerna stacja benzynowa, przydałaby się jak diabli. Siedział przez chwilę w stygnącym samochodzie, wyobrażając sobie własne przeznaczenie, ale w istocie wcale o nim nie myśląc. Zastanawiał się (był to ostatni gasnący przebłysk zwyczajnej myśli), czy Marge pomyśli, że zrobił to dla niej. Musiałby włożyć do kieszeni kamienie, jak najcięższe, i po prostu się odprężyć. Splukać z siebie to wszystko. Huk towarzyszący tej decyzji, która nie mogła zapelnąć pustki, przypominał zimny ryk wodospadu. Zdawało mu się, że już go słyszy, i zastanawiał się, czy w wieczności będzie słyszał cokolwiek innego. Miał nadzieję, że nie.

Wysiadł z samochodu, odczepił ogon wiewiórki – powinien go oddać, może zwrócić w jakiś sposób jego zapłatę – po czym ślizgając się i potykając w swych skórzanych butach uwodziciela, skierował się do lasu.

Dziwny sposób życia

– Mamo? – powiedziała Nora ze zdumieniem, zatrzymując się na korytarzu z pustą filiżanką i spodeczkiem w ręku. – Co ty tam robisz?

Violet stała na schodach. Zeszła na dół, nie robiąc hałasu. Była ubrana. Miała na sobie rzeczy, których Nora nie widziała od lat, ale wyglądała jak lunatyczka.

– Czy nie wiadomo nic o Auguście? – zapytała, wiedząc z góry, jaką otrzyma odpowiedź.

– Nie, nic nie wiadomo.

Minęły już dwa tygodnie, odkąd sąsiad powiedział im, że widział samochód Augusta porzucony na polu, otwarty na oścież. Po długim namyśle Auberon zaproponował Violet, żeby wezwali policję. Ale Violet zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogło zdarzyć się coś, co wymagałoby interwencji policji, toteż Auberon wątpił, czy w ogóle dotarła do niej jego propozycja. Tego, co było Augustowi przeznaczone, nie mogła odmienić ani nawet

ujawnić policja.

– To moja wina – powiedziała cichym głosem. – Cokolwiek się zdarzyło. Och, Noro.

Nora wbiegła na schody, na których Violet usiadła tak gwałtownie, że wydawało się, iż upadła. Nora wzięła Violet pod ramię, żeby pomóc jej wstać, ale matka schwyciła tylko jej dłoń i uścisnęła, jak gdyby to Nora potrzebowała pocieszenia. Nora usiadła z nią na schodach.

– Tak bardzo się myliłam – powiedziała Violet. – Tak bardzo. I byłam taka głupia. I widzisz, co się przeze mnie stało.

– Nie – powiedziała Nora. – Co masz na myśli?

– Nie rozumiałam – ciągnęła Violet. – Myślałam... Posłuchaj, co powiem, Noro. Chcę pojechać do Miasta. Chcę zobaczyć Timmie i Alexa, pobyc u nich trochę i zobaczyć dziecko. Pojedziesz ze mną?

– Oczywiście – odrzekła Nora. – Ale...

– Dobrze. I jeszcze jedno. Ten twój młody człowiek.

– Jaki młody człowiek? – Nora odwróciła wzrok.

– Henry. Harvey. Zdawało ci się pewnie, że nie wiem, ale tak nie jest. Myślę... Myślę, że ty i on, że powinniście zrobić to, na co macie ochotę. Jeśli kiedykolwiek powiedziałam coś takiego, co kazało ci pomyśleć, że jestem przeciwna, to myliłaś się. Musicie postąpić dokładnie tak, jak chcecie. Wyjdź za niego i przeprowadź się...

– Ale ja nie chcę się przeprowadzać...

– Biedny Auberon. Przypuszczam, że już za późno, nie pojechał na swoją wojnę i...

– Mamo – wtrąciła Nora – o czym ty mówisz?

Violet milczała przez chwilę. Wreszcie powiedziała:

– To moja wina. Nie przypuszczałam. Ale bardzo trudno jest nie pomagać albo nie próbować się upewnić, że wszystko dobrze idzie, kiedy się trochę wie albo zgaduje, trudno jest nie mieć obaw, nie myśleć, że nawet drobna rzecz, nawet najdrobniejsza rzecz, którą zrobicie, może wszystko popsuć. Ale tak wcale nie jest, prawda?

– Nie wiem.

– Wcale tak nie jest. Widzisz – złożyła blade, szczupłe dłonie i zamknęła oczy – to jest Opowieść. Tylko że dziwniejsza i dłuższa, niż sobie wyobrażamy. Dziwniejsza i dłuższa, niż potrafimy sobie wyobrazić. Więc jedyne, co powinnam zrobić – otworzyła oczy – co obie musimy zrobić, to zapomnieć.

– Zapomnieć o czym?

– Zapomnieć, że toczy się Opowieść. W przeciwnym razie, och, czy nie rozumiesz? Gdybyśmy nie wiedzieli tyle, ile wiemy, nigdy byśmy się nie wtrącali, nigdy byśmy nic nie popsuli. Ale my wiemy, tyle że za mało. I przez to źle zgadujemy, błędnie się domyślamy i zostajemy wplątani w intrygę, i trzeba nas naprowadzać na właściwą drogę, w sposób tak dziwny, och, biedny August, najbardziej smrodliwa, najbardziej hałaśliwa stacja benzynowa byłaby lepsza, wiem, że byłaby lepsza...

– A specjalne przeznaczenie i to wszystko – powiedziała Nora, przerażona rozpaczą matki – to że jesteśmy pod ochroną i w ogóle?

– Tak – odparła Violet. – Być może. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ nie potrafimy tego zrozumieć, nie wiemy, co to znaczy. Dlatego musimy zapamiętać.

– Jak to możliwe?

– To nie jest możliwe. – Patrzyła prosto przed siebie. – Ale możemy milczeć. I możemy przechrzyć naszą wiedzę. I możemy, och, to taki dziwny sposób życia, możemy trzymać to w tajemnicy. Czy potrafimy? Czy ty potrafisz?

– Chyba tak. Nie wiem.

– Musimy się tego nauczyć. I ja też. Wszyscy musimy. Nigdy nie możesz mówić tego, co wiesz albo co myślisz, ponieważ to nie wystarczy i nikt oprócz ciebie nie uwierzy w to, nie tak jak ty. Nigdy nie miej nadziei i nie obawiaj się, i nigdy, ale to nigdy nie stawaj po ich stronie przeciwko nam. Ale mimo to musisz, nie wiem jak, ale musisz im ufać. Od tej chwili musimy tak postępować.

– Jak długo?

Zanim Violet zdążyła odpowiedzieć – jeżeli w ogóle by potrafiła – drzwi do biblioteki, które widziały przez grubą poręcz, uchyliły się i przez szparkę wyjrzała mizerna buzia, po czym cofnęła się.

– Kto to? – zapytała Violet.

– Amy Meadows – odparła Nora i zarumieniła się.

– Co ona robi w bibliotece?

– Przyszła tu, bo szuka Augusta. Mówi – Nora złożyła dłonie i zamknęła oczy – mówi, że będzie miała dziecko z Augustem, i zastanawia się, gdzie on jest.

Nasienie. Pomyślała o pani Flowers. „Czy to Opowieść”? – spytała pełna nadziei, zdumiona, zadowolona. Violet niemal roześmiała się beztrąsko.

– Tak jak i ja – stwierdziła. – Tak jak i ja. – Wychyliła się pomiędzy podpórki poręczy i powiedziała: – Chodź tutaj, kochanie. Nie bój się.

Drzwi otworzyły się na tyle, żeby Amy mogła się precyzyjnie i chociaż zamknęła je delikatnie za sobą, głośno trzasnęły.

– Och – powiedziała Amy, która w pierwszej chwili nie rozpoznała kobiety siedzącej na schodach. – Pani Drinkwater.

– Chodź tu – poprosiła Violet. Klepnęła się po udzie, tak jakby chciała zwabić kotka. Amy weszła po schodach aż do miejsca, gdzie siedziały pomiędzy dwoma podestami. Miała na sobie własnoręcznie uszytą sukienkę i grube pończochy. Była nawet ładniejsza, niż Violet pamiętała. – O co chodzi?

Amy usiadła stopień niżej. Z wielkim niezgrabnym tobołkiem na kolanach wyglądała nieszczęśliwie, jak uciekinier.

– Augusta tu nie ma – powiedziała.

– Nie. Nie wiemy dokładnie, gdzie jest. Wszystko będzie dobrze, Amy. Nie musisz się martwić.

– Wcale nie – zaprzeczyła łagodnie Amy. – Nigdy już nie będzie dobrze. – Spojrzała na Violet. – Czy on uciekł?

– Chyba tak. – Violet otoczyła Amy ramionami. – Ale być może kiedyś wróci... – Odgarnęła z twarzy Amy proste włosy, których opadające pasma nadawały jej twarzy smutny wygląd. – Musisz wrócić do domu i nie zamartwiać się. Wszystko obróci się na lepsze, zobaczysz.

Na te słowa ramiona Amy zaczęły drżeć, delikatnie i powoli.

– Nie mogę – załkała cienkim głosem. – Tatuś mnie wyrzucił.

Z wolna, jakby nie mogła się powstrzymać, położyła głowę na łonie Violet i zapłakała.

– Nie przyszłam, żeby mu robić kłopoty. Naprawdę. Był czuły i dobry, naprawdę. Nie żałuję tego, co zrobiłam, i nie zawracałabym mu głowy, tylko że zupełnie nie mam gdzie się podziać. Nie mam dokąd pójść.

– Już dobrze – pocieszała ją Violet. – Już dobrze. – Wymieniły z Norą spojrzenia, oczy córki również były pełne łez. – Oczywiście, że masz się gdzie podziać. Zostaniesz tutaj, to wszystko. Jestem pewna, że twój ojciec zmieni zdanie, stary głupiec, możesz tu zostać tak długo, jak to będzie konieczne. Nie płacz już, Amy. Proszę. – Wyjęła z rękawa chusteczkę z koronkowym obrębem i kazała dziewczynie podnieść głowę i wytrzeć nos. Patrzyła z góry w jej oczy, uspokajając Amy wzrokiem. – No, teraz już lepiej. Tak długo, jak zechcesz. Czy to ci odpowiada, Amy?

– Tak. – Amy zdołała wydobyć z siebie jedynie pisk, ale jej ramiona przestały drżeć. Uśmiechnęła się lekko, zawstydzona. Nora i Violet odwzajemniły jej uśmiech. – Och – powiedziała, pociągając nosem. – Prawie bym zapomniała. – Próbowała rozwiązać swój tobolek drżącymi palcami, raz jeszcze otarła twarz i oddała Violet wilgotną chusteczkę, która niewiele pomagała na takie potoki łez, jakie wylewała Amy. Potem znowu spróbowała rozsupłać węzełek.

– Jakiś mężczyzna dał mi coś dla pani. Kiedy tu szłam.

– Gmerała w swoich rzeczach. – Chyba był zupełnie szalony. Kazał mi powiedzieć tak: „Jeśli wy, ludzie, nie potraficie dotrzymać umowy, to nie ma sensu zawierać z wami umów”.

– Wyciągnęła z tobołka pudełko i wręczyła je Violet. Na jego wieczku widniał wizerunek królowej Wiktorii i Crystal Palace, wykonany z różnych kawałeczków drewna. – Może żartował – dodała Amy. – Śmieszny człowieczek. Mrugnął do mnie. Czy to pani?

Violet trzymała pudełko, po którego wadze poznała, że karty (lub coś podobnego) znajdują się w środku.

– Nie wiem – odparła. – Naprawdę nie wiem.

Usłyszały, że ktoś wchodzi po stopniach werandy, i zamilkły. Ktoś przeszedł przez werandę, jego buty wydawały takie piski, jakby były wilgotne. Violet schwyciła Amy za rękę,

a Nora ujęła dłoń matki. Wahadłowe drzwi otworzyły się i za przydymioną, owalną szybą ukazała się jakaś postać. Auberon wszedł do środka. Miał na sobie wysokie kalosze i stary kapelusz Johna oblepiony muchami. Idąc przez hol, podśpiewywał sobie o tym, żeby zapakować wszystkie kłopoty w starą torbę, lecz umilkł, gdy ujrzał trzy kobiety skulone na schodach, siedzące nie wiadomo dlaczego w połowie drogi między podestami.

– O co chodzi? – powiedział. – Nie było wieści od Augusta?

Nic nie odrzekły, a Auberon podniósł w górę cztery tłuste, cętkowane pstrągi.

– Kolacja! – oznajmił i przez chwilę wszyscy zastygli w bezruchu, jak na fotografii: Auberon z rybami w ręku, kobiety ze swymi myślami. Reszta tylko obserwowała i czekała.

Nie można się z nimi równać

Violet zauważyła, że karty zmieniły się podczas pobytu poza domem, ale nie potrafiła z początku określić, w jaki sposób. Znaczenie, które miały kiedyś, zdawało się zatarte, przyćmione, nieczytelne. Klucz, nawet zabawne kwadryle znaczeń, w których figury podawały sobie niegdyś dłonie, gdy układała karty, nawet przeciwieństwa i wzajemne wpływy – wszystko się zatarało.

Dopiero po dociekliwych badaniach przeprowadzonych przez Violet i Norę okazało się, że karty nie utraciły swej mocy, ale przeciwnie – zyskały jeszcze większą. Nie potrafiły już tego co dawniej, ale jeśli zinterpretowało się je prawidłowo, można było przewidzieć drobne wydarzenia w codziennym życiu rodziny Drinkwaterów: upominki i przeziębienie, zwichnięcia, poczynania nieobecnych, niegdyś kochanych, można było przewidzieć, czy podczas planowanego pikniku nie spadnie deszcz i tym podobne rzeczy. Tylko od czasu do czasu karty ujawniały coś bardziej zaskakującego. Ale stanowiły wielką pomoc. Obdarowali nas, myślała Violet, to podarunek w zamian... Przypuszczała (o wiele później), że zabrali jej karty przede wszystkim po to, żeby nadać im tę zdolność przewidywania codziennych zdarzeń, lub może nie potrafili odmówić sobie nadania im tej mocy. Nie można się było z nimi równać, nigdy.

Z biegiem czasu potomkowie Augusta osiadają wokół pięciu miast, niektórzy wraz z matkami i dziadkami, niektórzy z innymi ludźmi. Zmieniają nazwiska i rodziny, gdy będą się przemieszczać, zupełnie jak w zabawie w krzesła: i rzeczywiście, kiedy muzyka ucichła, dwoje dzieci zamieniło się miejscami w dwóch różnych rodzinach nie cieszących się szacunkiem (procesowi temu towarzyszyło tyle przemieszanych emocji: wstyd, żal, miłość, obojętność, uprzejmość, że jego uczestnicy nie byli w stanie określić później, jak do tego doszło).

Kiedy Smoky Barnable przybył do Edgewood, potomków Augusta, ukrytych pod rozmaitymi nazwiskami, były już tuziny. Pojawili się Flowersowie i Stone'owie, Woodsowie, a Charles Wayne był jego wnukiem. Ale jedno z dzieci nie uczestniczyło w tej grze i nie miało swego miejsca: dziecko Amy. Dziewczyna pozostała w Edgewood, podczas gdy w jej

brzuchu, jak mawiała, rósł chłopiec streszczający w swej ontogenezie wiele stworzeń: kijanki, ryby, salamandry, myszy, których życie opisze później z wielką pieczołowitością. Nazwali go John Storm⁶: John po dziadku, a Storm po matce i ojcu.

⁶ Storm (ang). – burza (przyp. tłum.).

II

*Godziny, dni, miesiące i lata przemijają;
przeszłość nigdy nie wraca, a to, co nadchodzi,
jest nieznanne; i dlatego cokolwiek przynoszą
nam czasy, w których żyjemy, powinniśmy
być zadowoleni.*

Cycon

Wesoły i okrągłutki pan Słoneczko podniósł swą chmurną głowę ponad purpurowymi górami i rzucał promienie na Zieloną Łąkę” – Robin Bird czytał z dumą piskliwym głosem. Znał tę książkę niemal na pamięć. – „Rodzina Polnej Myszkki obudziła się w swym maleńkim domku na trawie, który znajdował się niedaleko Kamiennego Muru oddzielającego Zieloną Łąkę od Starego Pastwiska. Składała się z matki, ojca i sześciorga różowych, ślepych dzieci”.

Lekcja Robina Birda

„Pani domu przeciągnęła się i otworzyła oczy, poruszyła wąsikami i wyszła na próg, żeby obmyć twarz w porannej rosie zgromadzonej na liściu, który spadł z drzewa. Kiedy tak przycupnęła, podziwiając Zieloną Łąkę i poranek, nadleciał Stary Zachodni Wiatr, łechcąc ją w nos i przynosząc wieści z Dzikiego Lasu, z Roześmianego Strumienia, ze Starego Pastwiska i z Wielkiego Świata, wieści tak pogmatwane i hałaśliwe, że nie mógłby im dorównać żaden «Times» czytany przy śniadaniu. Od paru dni powtarzały się te same wiadomości: Świat się zmienia! Wkrótce wszystko będzie zupełnie inne niż teraz! Przygotuj się, Polna Myszkko!

Kiedy Polna Myszkka wyciągnęła tyle informacji, ile tylko mogła, od nieśmiałych Małych Podmuchów, które podróżowały w towarzystwie Starego Zachodniego Wiatru, popędziła jedną ze swych licznych ścieżek w trawie do Kamiennego Muru. Miała tam swoją kryjówkę, z której mogła wszystko obserwować, nie będąc widzianą. Kiedy dotarła do kryjówki, przycupnęła, wzięła w zęby źdźbło trawy i żując je, rozmyślała.

– Co to za wielkie zmiany na świecie, o których od paru dni donosi Stary Zachodni Wiatr

i jego Małe Podmuchy? Co to oznacza i jak należy się do tego przygotować?

Nie było lepszego miejsca na świecie dla Polnej Myszki niż Zielona Łąka o tej porze roku! Wszystkie trawy rozsypywały swe nasiona, pożywienia było więc w bród. Wiele roślin, które dotąd uważała za paskudne, wytrząsnęło nagle z suchych strąków słodkości, które mogła przegryzać swymi mocnymi zębami.

– I to wszystko ma się zmienić? – zastanawiała się, zaintrygowana, ale nie widziała w tym najmniejszego sensu.

Widzicie dzieci, Polna Myszka urodziła się na wiosnę. Dorastała w lecie, kiedy pan Słoneczko śle do nas najcieplejsze uśmiechy i bez pośpiechu przemierza błękitne niebo. Tego jednego lata Polna Myszka osiągnęła największe rozmiary (które nie były jednak zbyt wielkie), założyła rodzinę i urodziła dzieci. Wkrótce i one będą dorosłe.

A czy wy, dzieci, wiecie, jakie to zmiany nadciągały, o których Polna Myszka nie wiedziała?”.

Wszystkie młodsze dzieci wykrzykiwały i podnosiły ręce, ponieważ w przeciwieństwie do starszych dzieci myślały, że naprawdę mają odpowiedzieć na to pytanie.

– W porządku – powiedział Smoky – wszyscy wiedzą. Dziękuję ci, Robin. Kto następny? Czy możesz czytać dalej, Billy?

Billy Bush, nie tak pewny siebie jak Robin, wstał i wziął od kolegi podniszczoną książkę.

Koniec świata

„Polna Myszka postanowiła – czytał dalej – że najlepiej będzie, jeśli spyta kogoś starszego i mądrzejszego od siebie. Najmądrzejszym stworzeniem, jakie знаła, był Czarny Kruk, który przylatywał niekiedy na Zieloną Łąkę w poszukiwaniu ziarna bądź robaków i zawsze chętnie dzielił się swymi przemyśleniami z tymi, którzy chcieli go wysłuchać. Polna Myszka zawsze słuchała tego, co Czarny Kruk miał do powiedzenia, chociaż trzymała się z dala od jego długiego, ostrego dzioba i unikała błyszczącego oka. Wprawdzie rodzina Kruków nie miała zwyczaju jadać myszy, ale z drugiej strony znana była z tego, że zjada wszystko, co wpadnie w rękę, a ściślej mówiąc w dziób.

Polna Myszka siedziała tak i rozmyślała już przez jakąś chwilę, kiedy od strony błękitnego nieba dobiegło ciężkie łopotanie skrzydeł i krakanie. Czarny Kruk przysiadł na Zielonej Łące niedaleko miejsca, gdzie siedziała Polna Myszka!

– Dzień dobry, panie Kruku – powiedziała Polna Myszka, czując się całkowicie bezpiecznie w przytulnym kąciku w murze.

– To ma być dobry dzień? – odparł Czarny Kruk. – Za parę dni już tak nie powiesz.

– Właśnie o to chciałam pana zapytać – powiedziała polna Myszka. – Zdaje się, że nadciągają wielkie zmiany na świecie. Czy pan to czuje? Czy pan wie, co to jest?

– Ach, głupoto młodości! – zakrakał Czarny Kruk. – Oczywiście, że nadciągają zmiany. To zima się zbliża. Lepiej się do niej przygotuj.

– Jak wtedy będzie? Jak mam się do niej przygotować?

Czarny Kruk, z błyskiem w oku, jak gdyby zakłopotanie Polnej Myszki sprawiało mu radość, opowiedział jej o zimie: o tym, że nad Zieloną Łąkę i Stare Pastwisko przyleci okrutny Północny Wiatr, który najpierw sprawia, że liście stają się złociste i brązowe, a potem strąca je z drzew; o tym, że trawa wyschnie, a zwierzęta, które w niej mieszkają, pomierają z głodu. Opowiedział, że na ziemię spadną ulewy, które zaleją mieszkania małych stworzonek, takich jak Polna Myszka. Opisał śnieg, który Polnej Myszcze wydał się wspaniałym zjawiskiem, dopóki nie dowiedziała się, że wraz ze śniegiem nadejdą straszliwe chłody, od których ona i jej rodzina przemarzną na kość. Opowiadał o tym, że małe ptaszki zmarzną na śmierć i będą spadać z drzew, że ryby przestaną pływać, a Roześmiany Strumień umilknie, ponieważ jego usta zatka lód.

– Ale przecież to koniec świata – wykrzyknęła Polna Myszka z rozpaczą.

– Tak się może wydawać – odpowiedział wesoło Czarny Kruk. – Ale tylko niektórym. Nie mnie. Ja przetrwam. Ale ty się lepiej przygotuj, Polna Myszeko, jeśli chcesz pozostać wśród żywych!

Powiedziawszy te słowa, Czarny Kruk zamachał ciężkimi skrzydłami i wzbił się w powietrze, pozostawiając Polną Myszkę, która była teraz jeszcze bardziej zdumiona i przerażona niż przedtem.

Ale kiedy tak siedziała w ciepłych promieniach słońca, żując źdźbło trawy, zrozumiała, skąd może się dowiedzieć, w jaki sposób przetrwać straszliwe zimno, które Północny Wiatr przyniesie światu”.

– W porządku, Billy – powiedział Smoky. – Nie musisz tak wyraźnie wymawiać zimno. Mów po prostu zimno, tak jak wtedy, kiedy rozmawiasz.

Billy Bush spojrział na Smoky’ego takim wzrokiem, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że słowa pisane i te, które wypowiada każdego dnia, są jednym i tym samym.

– Zimno – powiedział.

– Dobrze. Kto chce czytać dalej?

Tajemnica Północnego Wiatru

„Polnej Myszcze przyszło do głowy – czytał Terry Ocean (jest już za duży na takie książeczki, pomyślał Smoky) – że obejdzie Wielki Świat tak daleko, jak tylko będzie w stanie, i zapyta każde stworzenie, w jaki sposób zamierza ono przygotować się na nadejście zimy. Tak się ucieszyła, że wpadła na ten pomysł, iż wzięła zapasy ziarna, pożegnała się z rodziną i wyruszyła w drogę jeszcze tego samego dnia po południu.

Pierwszym stworzeniem, które napotkała, była puszysta gąsienica siedząca na gałązce. Chociaż gąsienice nie słyną z bystrego umysłu, Polna Myszka i tak zadała swoje pytanie:

– Co robi gąsienica, żeby przygotować się do nadciągającej zimy?

– Nic nie wiem o zimie, cokolwiek to jest – odparła cicho gąsienica. – Na pewno coś się

zmienia we mnie. Zamierzam owinać się tą uroczą, białą, jedwabistą nicią, którą właśnie nauczyłam się rozwijać, nie pytaj mnie jak. I kiedy już cała się owinę i przyczepię dobrze do tej gałązki, to zostanę tam przez bardzo długi czas, może na zawsze. Nie wiem.

Polnej Myszce nie wydawało się to najlepszym rozwiązaniem i współczując w głębi serca gąsienicy, ruszyła w dalszą drogę.

Przy Liliowym Stawie spotkała stworzenia, których nigdy wcześniej tam nie widziała: wielkie, ciemnobrązowe ptaki z długimi, wdzięcznymi szycami i czarnymi dziobami. Było ich bardzo wiele. Pływały po Liliowym Stawie, zanurzały raz po raz swe długie głowy pod wodę i zjadały to, co tam znalazły.

– Ptaki! – zawołała Polna Myszka. – Nadchodzi zima! Jak zamierzacie się do niej przygotować?

– Rzeczywiście nadchodzi zima – powiedział stary ptak uroczystym tonem. – Północny Wiatr przepędził nas z domów. Tam jest naprawdę bardzo zimno. Ściga nas teraz i popędza. Przegonimy go jednak, mimo że jest taki szybki! Polecimy daleko na południe, tam, gdzie nas nie dosięgnie, gdzie nie wolno mu wiać. Tam już nam zima niestraszna.

– Jak to daleko stąd? – spytała Polna Myszka, mając nadzieję, że i ona mogłaby prześcignąć Północny Wiatr.

– Będziemy w podróży wiele, wiele dni, chociaż postaramy się lecieć jak najszybciej – odrzekł stary ptak. – Jesteśmy już spóźnieni. – I bijąc mocno skrzydłami, wzniósł się w powietrze i poszybował ponad stawem, ukazując biały brzuch i czarne stopy. Pozostałe ptaki odfrunęły w ślad za nim i w kluczu dzikie gęsi poleciały na ciepłe południe.

Polna Myszka, przygnębiona, ruszyła przed siebie, widząc, że bez silnych, szerokich skrzydeł, jakie mają gęsi, nie potrafi prześcignąć wiatru. Była tak zatopiona w tych niewesołych myślach, że prawie potknęła się o Żółwia Błotnego wędrującego brzegiem Liliowego Stawu. Polna Myszka zapytała go, co zrobi, kiedy nadejdzie zima.

– Zasnę – odparł sennie Żółw Błotny, pomarszczony jak staruszek. – Zagrzebię się w ciepłym mule tak głęboko, że zima mnie nie dosięgnie, i zasnę. Właściwie to już jestem śpiący.

– Zaśniesz!

Sen! To nie wydawało się Polnej Myszce dobrym rozwiązaniem. Ale kiedy kontynuowała wędrówkę, usłyszała takie same odpowiedzi od wielu różnych stworzeń.

– Zasnę! – powiedział Polnej Myszce jej wróg, Polny Wąż. – Nie będziesz musiała się mnie bać, Polna Myszko.

– Zasnę! – oznajmił Brązowy Niedźwiedź. – W jaskini albo w mocnym domu z gałęzi. Zasnę na dobre.

– Zasnę – zaskrzeczał jej kuzyn Nietoperz, kiedy zapadał wieczór. – Będę wisiał do góry nogami, zaczepiony pazurami.

No tak, wyglądało na to, że połowa zwierząt zamierzała pogrążyć się we śnie, kiedy

nadejście zima. To była najdziwniejsza odpowiedź, jaką słyszała Polna Myszka, ale było też wiele innych rozwiązań.

– Nazbieram orzechów i ziaren i dobrze ukryję – powiedziała Ruda Wiewiórka. – Dzięki temu przetrwam.

– Mam nadzieję, że ludzie będą mnie dokarmiać, kiedy już nic innego mi nie pozostanie – odparła Sikorka.

– Zbuduję – powiedział Bóbr – dom, w którym ukryję się z żoną i dziećmi, w dole, pod zamrzniętym strumieniem. Czy mogę już wrócić do pracy? Jestem bardzo zajęty.

– Będę kraść – odparł Szop ze złodziejską maską na twarzy. – Jajka z kurników, śmieci z pojemników.

– Zjem ciebie – odparł Rudy Lis. – Zobaczysz! – I ścigał biedną Polną Myszkę aż do kryjówki w Kamiennym Murze.

Kiedy leżała tam, dysząc, zauważyła, że podczas jej wędrówki zmiany nazywane zimą stały się na Zielonej Łące jeszcze bardziej widoczne. Teraz łąka nie była już taka zielona. Nabrała barwy brązowej, żółtej i białej. Wiele ziaren spadło na ziemię albo unosiło się w powietrzu na maleńkich skrzydełkach. Oblicze Słoneczka przysłoniła ponura, szara chmura. A Polna Myszka wciąż nie wiedziała, jak ochronić się przed okrutnym Północnym Wiatrem.

– Co ja zrobię? – załkała głośno. – Czy powinnam udać się do moich kuzynów i zamieszkać w oborze farmera Browna, i narażać się na ryzyko złapania przez kota Toma i psa Furię albo dać się złapać w pułapkę na myszy, albo otruć? Długo bym nie przeżyła. Czy powinnam udać się na południe i mieć nadzieję, że uda mi się prześcignąć Północny Wiatr? Na pewno przyłapie mnie z dala od domu i zamrozi na śmierć swoim zimnym oddechem. Czy powinnam spokojnie żyć w norce z moją rodziną, nagromadzić trawę i zasnąć? Po krótkim czasie obudziłabym się głodna i moje dzieci również. Co ja zrobię?

Właśnie w tym momencie błyszczące oko wypatrzyło jej kryjówkę i spojrzało na nią zniecka, aż podskoczyła z piskiem. To był Czarny Kruk.

– Polna Mysko – powiedział wesoło jak zwykle – cokolwiek zrobisz żeby się ochronić przed zimą, powinnaś wiedzieć o jednej rzeczy, o której nie wiesz.

– O czym? – spytała Polna Myszka.

– To sekret Północnego Wiatru.

– Jego sekret! Co to jest? Czy znasz go? Powiesz mi?

– To jest – powiedział Czarny Kruk – jedyna dobra rzecz związana z zimą. Północny Wiatr nie chce, żeby jakiegokolwiek stworzenie o tym wiedziało. Ale ja znam ten sekret. I nie powiem ci. – Ponieważ Czarny Kruk strzeże swoich tajemnic tak pieczołowicie jak błyszczących kawałków metalu i szkła, które znajduje i przechowuje. Tak więc sknerowate ptaszysko odleciało, zanosząc się śmiechem, żeby dołączyć do swych braci i sióstr na Starym Pastwisku.

– Jedyna dobra rzecz związana z zimą! Co to może być? Na pewno nie zimno i śnieg, i

lód, i potoki deszczu.

Na pewno nie ukrywanie się i wydalanie, i sen podobny do śmierci, i umykanie przed wrogami oszalałymi z głodu.

Na pewno nie krótkie dni i długie noce oraz blade słońeczko, o czym Polna Myszka jeszcze nie wiedziała.

Co to może być?

Tej nocy, kiedy Polna Myszka leżała skulona obok swego męża i dzieci w domku w trawie, nad Zieloną Łąkę przyleciał Północny Wiatr. Och, jakie straszne były jego podmuchy! Och, jak bardzo drżał i trzął się mały domek Polnej Myszkki! Och, jak szybko wiatr przegonił ponure szare chmury z oblicza przerażonego księżycy!

– Północny Wietrze! – zawołała Polna Myszka. – Jest mi zimno i boję się! Nie powiesz mi, co dobrego jest w zimie?

– To mój sekret – odkrzyknął Północny Wiatr głębokim lodowatym głosem. I żeby zademonstrować swą siłę, wziął w objęcia wysoki klon i tak długo trzymał go w uścisku, aż wszystkie liście zrobiły się pomarańczowe i czerwone, a wtedy zdmuchnął je na ziemię. Uczyniwszy to, poszybował nad Zieloną Łąkę, pozostawiając Polną Myszkę, która gładziła łapkami swój zimny nosek i zastanawiała się, co to za sekret.

Czy wiecie, jaki był sekret Północnego Wiatru?

Oczywiście, że wiecie”.

– Och – Smoky ocknął się z zamyślenia. – Przepraszam, Terry. Nie chciałem, żebyś tak długo czytał. Bardzo ci dziękuję – stłumił ziewanie, a dzieci z zainteresowaniem obserwowały jego wysiłki.

– Uhm, wyjmijcie, proszę, pióra, papier i atrament. No już, bez jęków. To zbyt ładny dzień.

Jedyna gra

Poranki były poświęcone na czytanie i lekcje kaligrafii. Kaligrafia zabierała sporo czasu, odkąd Smoky zaczął dzieci uczyć (a tylko tego mógł je nauczyć) pisania pochyłym pismem. Jeśli pisze się starannie, to literki wyglądają niezwykle pięknie, ale jeśli choć trochę niechlujnie, to pismo staje się nieczytelne.

– Źle, popraw to – powiedział surowo, stukając palcem w papier, a winowajca zaczynał od początku. – Popraw to – powiedział do Patty Flowers, która pewnego razu w przypływie przygnębienia tak gwałtownie przycisnęła pióro, że przedziurawiło kartkę i wbiło się w ławkę jak nóż.

Czytanie było prostą sprawą. Smoky wykorzystywał bowiem książki z biblioteki Drinkwaterów: *Tajemnicę Północnego Wiatru* i inne opowieści doktora dla młodszych dzieci oraz wszystko, co uznał za stosowne i pożyteczne dla starszych. Czasami, znudzony na śmierć ich nieporadnym dukaniem, po prostu czytał im sam. Lubił to, tak jak lubił objaśniać

trudniejsze fragmenty tekstu i wyobrażać sobie na głos, dlaczego autor powiedział to, co powiedział. Większość dzieci sądziła, że komentarze stanowią część tekstu. Kilkoro z nich sięgnęło po książki zapamiętane z dzieciństwa w dorosłym wieku i uznało je za ubogie, aluzyjne i zwięzłe, jak gdyby czegoś w nich brakowało.

Po południu odbywały się lekcje matematyki, które często stanowiły przedłużenie lekcji kaligrafii, ponieważ elegancki kształt cyfr interesował Smoky'ego bardziej niż związki między nimi. W klasie było dwóch czy trzech uczniów, którzy dobrze opanowali rachunki. Smoky uważał ich za cudowne dzieci, ponieważ radzili sobie nieraz z ułamkami i innymi trudnymi zagadnieniami szybciej od niego. Stosując się do starożytnej zasady, że matematyka i muzyka są pokrewnymi dyscyplinami, Smoky poświęcał nieraz senną i bezużyteczną końcówkę szkolnego dnia na lekcje muzyki: grał wtedy na skrzypcach. Jedynymi rzeczami, jakie Billy Bush zapamiętał z arytmetyki, były właśnie słodko brzmiące pieśni, zapach pieca i zima za oknami.

Smoky miał jako nauczyciel jedną niezaprzeczalną zaletę: nie rozumiał w gruncie rzeczy dzieci, nie cieszyło go ich dziecinne pojmowanie świata, a ich nieposkromiona energia onieśmiała go i wprawiała w zakłopotanie. Traktował swoich uczniów jak dorosłych ludzi. Kiedy nie udzielali takich odpowiedzi jak dorośli, nie zwracał na to uwagi i próbował raz jeszcze. Interesowało go tylko to, czego uczył: czarna wstęga znaczeń, jaką stanowiło pismo, słowa i gramatyka, która je wiązała, wyobrażenia pisarzy i regularność liczb. I o tym właśnie mówił dzieciom. W czasie godzin lekcyjnych grał jedynie w taką grę – nawet najbystrzejsze dzieci uznały, że trudno go skłonić do czegokolwiek innego. Kiedy w końcu nikt go już nie słuchał (zdarzało się to szybciej w ładne dni oraz wtedy, gdy z nieba sypały hipnotyzujące płatki śniegu albo gdy świeciło słońce i było błoto), zwalniał dzieci wcześniej, nie będąc w stanie wymyślić nic, co mogłoby przykuć ich uwagę.

I sam ruszał wtedy do domu przez frontową bramę Edgewood (szkoła mieściła się w starej stróżówce, szarej świątyni w stylu doryckim, nad której wejściem nie wiadomo czemu umieszczono wielkie poroże jelenia), zastanawiając się, czy Sophie zbudziła się już z drzemki.

Co dobrego jest w zimie?

Czytał tego dnia krócej, żeby później móc wyczyścić mniejszy piec. Trzeba będzie jutro w nim napalić, jeśli jeszcze bardziej się ochłodzi. Kiedy zamknął drzwi, stanął tyłem do małej świątyni na drodze przysypanej liśćmi, która biegła między budynkiem a frontową bramą Edgewood. Nie była to ta sama droga, którą przybył do Edgewood, ani nie była to brama, którą wtedy wszedł. W rzeczywistości nikt już nie używał frontowej bramy, a zarośnięta aleja dojazdowa, która prowadziła przez park przez około pół mili, nie zarosła całkowicie tylko dlatego, że codziennie nią spacerował, jak gdyby był to zwyczajny szlak wielkiej, dzikiej bestii w ciężkich buciorach. Wysoka brama wejściowa, wykonana z kutego żelaza i

pomalowana na zielono, ozdobiona secesyjnymi ornamentami, stała na wieki otworem, smagana przez zielsko i rozrośnięte krzewy. Tylko zardzewiały łańcuch broniący dostępu świadczył, że jest to nadal wjazd dokądś i nikt nieproszony nie powinien tu wchodzić. Po jego prawej i lewej ręce biegła droga, wzdłuż której rosły rzędy kasztanowców ze złocistymi liśćmi. Wiatr zerwał całe ich mnóstwo z drzew i rozsiał po okolicy. Ta droga również nie była zbyt często używana, jedynie przez dzieci wracające ze szkoły piechotą albo na rowerach. Smoky nie wiedział dokładnie, dokąd wiedzie. Ale tego dnia, gdy tak stał po kostki w liściach i z jakiegoś powodu nie był w stanie przejść przez bramę, pomyślał, że jedna jej odnoga musi prowadzić do ubitej drogi z Meadowbrook, która z kolei łączy się z asfaltową szosą mijającą dom Juniperów i dociera w końcu do sieci ruchliwych autostrad wiodących prosto do Miasta.

A gdyby tak skręcił teraz w prawo (w lewo?) i zaczął iść tą drogą tyłem, z pustymi rękoma, pieszo, tak jak tu przybył, jak w filmie wyświetlanym od końca do początku (liście wskakiwałyby na drzewa), aż znalazłby się w punkcie, z którego wyruszył?

Przynajmniej pod jednym względem nie został z pustymi rękoma. I nabierał coraz większej pewności (nie dlatego, że było to rozsądne czy nawet możliwe), że wszedłszy pewnego letniego popołudnia przez wahadłowe drzwi do domu w Edgewood, nigdy już tego miejsca nie opuścił, że rozmaite drzwi, przez które potem wychodził, prowadziły tylko do kolejnych części domu, a działało się tak dzięki zmyślnie zaprojektowanym wnętrzom, które (nie wątpił, że John Drinkwater znał się na tym) przypominały lasy, jeziora, farmy i odległe wzgórza. Obrana droga mogła tylko prowadzić z powrotem na kolejną werandę w Edgewood, taką, jakiej jeszcze nie widział, werandę z szerokimi, zniszczonymi stopniami i drzwiami, przez które wchodzi się do środka.

Otrząsnął się z tych jesiennych wyobrażeń i ruszył przed siebie. Powtarzalność dróg i pór roku: był tu już kiedyś. Powodem był październik. Jednak zatrzymał się ponownie, kiedy przechodził przez biały mostek, który wyginał się łukiem nad płaską powierzchnią wody (sztukateria była pęknięta i wylaniały się spod niej cegły, trzeba by to naprawić, zima była wystarczającym pretekstem). W wodzie krążyły i płynęły z prądem opadłe liście. Te same liście krążyły i płynęły w ruchliwym oceanie powietrza, tylko że dużo wolniej albo szybciej. Ostre pomarańczowe łapki klonów, szerokie liście wiązów i orzechów i brązowe liście zdarte z dębów. Gdy szybowały w powietrzu, były zbyt szybkie, by śledzić ich bieg, ale w dole, w lustrzanej tafli strumienia, wykonywały swój taniec uroczyście i powoli.

Co ma zrobić?

Kiedy dawno temu zrozumiał, że miejsce jego utraconej anonimowości zajmie charakter, przypuszczał, że będzie to przypominało dorastanie dziecka do zbyt dużego ubrania. Przypuszczał, że z początku będzie się czuł niezręcznie, jak w źle dopasowanym odzieniu, ale że to uczucie minie, kiedy wypełni sobą wolne przestrzenie, dopasuje kształt rzeczy do siebie, aż w końcu pogniecie się ono w zagięciach i wytrze tam, gdzie ociera się o ciało. Oczekiwał, że będzie to jednorazowy proces. Nie spodziewał się, że będzie musiał przechodzić przez te

cierpienia kilka razy albo, co gorsza, że okaże się ubrany w niewłaściwy garnitur w niewłaściwym czasie, albo też w części kilku garniturów naraz, oplątany i walczący.

Wpatrywał się w niezbadany kraniec Edgewood zwrócony w jego stronę. Światła były już zapalone, ponieważ dzień umykał. Dom był jak maska kryjąca wiele twarzy albo jedna twarz ukryta pod licznymi maskami, nie wiedział, które z tych twierdzeń jest prawdziwe i nie potrafił też powiedzieć tego o sobie.

Co jest dobrego w zimie? Znał odpowiedź na to pytanie, czytał już tę książkę. Kiedy nadchodzi zima, wiosna jest tuż za nią. Ale również, pomyślał, może być daleko w tyle.

Zaawansowany wiek świata

W wielokątnym pokoju muzycznym na parterze Daily Alice, w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem, grała w warcaby z ciotką Cloud.

– Każdy dzień – mówiła Daily Alice – przypomina jeden krok, a z każdym kolejnym krokiem oddalasz się od czasów, kiedy wszystko miało więcej sensu. Kiedy wszystko było ożywione i dawało ci znaki. I nie jesteś w stanie nie zrobić kolejnego kroku, tak samo jak nie możesz nie przeżyć następnego dnia.

– Chyba cię rozumiem – powiedziała Cloud. – Ale to się tylko tak wydaje.

– To dlatego, że z tego wyrosłam. – Układała zdobyte czerwone pionki w równe stosy. – Nie mów mi nic takiego.

– To zawsze będzie łatwiejsze dla dzieci. Teraz jesteś dorosłą kobietą, sama masz dzieci.

– A Violet? Jak to wytłumaczysz?

– No tak. Violet.

– Zastanawiam się, czy to czasem świat się nie starzeje. Nie zaczyna obumierać. A może to tylko ja się starzeję?

– Każdy się zawsze nad tym zastanawia. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek mógł odczuwać, że świat się starzeje. Jego żywot trwa już zbyt długo, żeby było to możliwe. – Zbiła czarnego pionka Alice.

– Kiedy się starzejesz, dochodzisz co najwyżej do przekonania, że świat jest stary, bardzo stary. Kiedy jesteś młoda, świat też wydaje się młody. To wszystko.

Alice pomyślała, że słowa te mają sens, ale nie tłumaczą, dlaczego ogarnia ją poczucie straty, że to, co wydawało jej się jasne, pozostało za nią, że codziennie przerywają się związki między rzeczami i to z jej winy. Kiedy była młoda, odnosiła wrażenie, że coś ją pcha do przodu, każe biec dalej, przed siebie. Właśnie to wrażenie utraciła. Czowała, że już nigdy więcej nie będzie szukała, ogarnięta szczególnym zapalem, dowodu ich obecności, wiadomości przeznaczonej tylko dla niej. Nigdy nie będzie czuła, śpiąc w promieniach słońca, muśnięcia szat na policzkach, szat należących do tych, którzy ją obserwowali i uciekali, kiedy się budziła, pozostawiając po sobie tylko poruszone liście. Chodź tutaj, chodź tutaj, nucili jej w dzieciństwie. Teraz była niewrażliwa.

– Twoja kolej – powiedziała Cloud.

– Czy świadomość bierze w tym udział? – zapytała Alice, tylko częściowo zwracając się do Cloud.

– W czym? – powiedziała Cloud. – W dorastaniu? Nie. W pewnym sensie. To jest nieuniknione, nie sposób przed tym uciec. Możesz to powitać lub nie, przehandlować za wszystko, co i tak musisz utracić. Albo możesz się temu sprzeciwić, ale i tak wszystko, co masz utracić, zostanie ci odebrane i nigdy nie otrzymasz zapłaty, nawet nie dostrzeżesz, że targ jest możliwy. – Pomyślała o Auberonie.

Za oknami muzycznego pokoju Daily Alice dostrzegła sylwetkę Smoky'ego, który ciężkim krokiem zdążył do domu. Jego wizerunek załamywał się gwałtownie, kiedy Smoky przechodził od jednego żebrowanego okna do drugiego.

Tak. Jeśli to, co powiedziała Cloud, było prawdą, to otrzymała w zamian Smoky'ego – ale zapłaciła za niego utratą poczucia, że to właśnie oni postawili go na jej drodze, właśnie oni wybrali go dla niej, właśnie oni sprawili, że wymieniła ze Smokym szybkie spojrzenia, które zapoczątkowały miłość, długie zaręczyny i udane małżeństwo. I choć posiadała to, co zostało jej obiecane, utraciła poczucie, że zostało to obiecane. Wszystko, co otrzymała, a więc Smoky i jej codzienne, zwykłe szczęście, wydawało się przez to nietrwałe i przynależne jej tylko przez przypadek.

Bała się, tak, bała się. Ale skoro interes został ubity, a ona wypełniła swoją część i kosztowało ją to tak wiele, a oni zadali sobie tyle trudu, żeby to przygotować, to czy mogłaby go utracić? Czy mogliby być tak zakłamani? Czy tak niewiele rozumiała? A jednak bała się.

Usłyszała, że ktoś starannie zamyka drzwi frontowe i po chwili zobaczyła, że doktor, ubrany w koszulę w czerwoną szkocką kratę, wychodzi naprzeciw Smoky'emu, niosąc dwie strzelby i ekwipunek myśliwski. Smoky wydawał się zdziwiony, potem zamknął oczy i dotknął czoła, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Następnie z rezygnacją wziął jedną strzelbę od doktora, który wskazywał już, jaką drogę mogliby obrać. Wiatr rozwiewał pomarańczowe iskry z fajki. Smoky podążył za doktorem w stronę parku. Doktor nadal wskazywał coś ręką i mówił. Raz jeden Smoky odwrócił się i jego spojrzenie powędrowało do okien na piętrze domu.

– Twój ruch – powiedziała Cloud.

Alice spojrzała na planszę, której wzór wydawał się teraz rozmazany. W tym momencie Sophie weszła do pokoju muzycznego ubrana we flanelowy szlafrok i kardigan należący do Alice. Obie kobiety zastygły nad planszą. Nie dlatego, że Sophie przeszkodziła im, zdawała się wcale nie dostrzegać ich obecności. Spojrzała na nie, lecz niewidzącym wzrokiem. Przerwały grę dlatego, że kiedy Sophie przeszła koło nich, poczuły intensywnie cały otaczający je świat: wiatr, brązową ziemię na zewnątrz, godzinę, popołudnie, dzień i jego przemijanie. Daily Alice nie wiedziała, czy spowodowała to tylko nagła uniwersalność uczuć, wywołana obecnością Sophie, czy sama Sophie, ale właśnie w tej chwili stało się dla niej

jasne to, co przedtem było niezrozumiałe.

– Dokąd on idzie? – powiedziała Sophie do siebie, rozplaszczając dłoń na nierównej powierzchni szyby, jak gdyby dotykała prętów klatki i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest uwięziona.

– Na polowanie – odparła Daily Alice. Zdobyła damkę i powiedziała: – Twój ruch.

Niewątpliwy drapieżnik

Tylko raz do roku, jesienią, doktor Drinkwater wyjmował jedną z licznych strzelb, które jego dziadek przechowywał w szafie w bilardowym pokoju. Czyścił broń, ładował ją i szedł polować na ptaki. Pomimo miłości, jaką darzył zwierzęta – a być może właśnie z tego powodu – doktor uważał, że tak samo jak Rudy Lis czy Sowa ma prawo być istotą mięsożerną i leży to w jego naturze. Szczera radość, z jaką zjadał mięso, obgryzając kosteczki i smakowicie oblizując potłuszczone palce, przekonywała go, że to istotnie leży w jego naturze. Uważał jednakże, że jeśli faktycznie ma być stworzeniem mięsożernym, to powinien umieć zabijać to, co zjada, a nie tylko pozostawiać krwawe dzieło i rozkoszować się oporzędanymi produktami, w których nie można rozpoznać pierwotnego kształtu. Jedno lub dwa polowania na rok, kilka jasno upierzonych ptaszków zdmuchniętych bezlitośnie z nieba, przyniesionych do domu we krwi i z otwartymi dziobami – to uciszało jego skrupuły. Chociaż wykazywał pewne niezdecydowanie, kiedy bażant albo kuropatwa wypadały jak burza z zarośli, to jednak dzięki swej znajomości lasu i umiejętności przyczajania się, przynosił do domu wcale pokaźne łupy. I kiedy przez resztę roku wbijał zęby w befszytk albo cielęcinę, mógł z czystym sumieniem uważać się za istotę mięsożerną.

Kiedy przekonał Smoky'ego, jak logiczne są jego poglądy na te sprawy, często zabierał go ze sobą. Doktor był leworęczny, a Smoky nie, dzięki czemu prawdopodobieństwo, iż w czasie krwawej orgii postrzelą się nawzajem, wydawało się znikome. Smoky, chociaż nieuważny i niezbyt cierpliwy, wykazywał jednak naturalny talent do polowania.

– Nadal jesteśmy na terenie twojej posiadłości? – spytał Smoky, kiedy przechodzili przez kamienny mur.

– Na posiadłości Drinkwaterów – odparł doktor. – Czy wiesz, że ten porost tutaj, ten płaski, srebrzysty gatunek może przetrwać setki lat?

– Twojej to znaczy Drinkwaterów – poprawił się Smoky. – To miałem na myśli.

– Właściwie to ja nie jestem Drinkwaterem – oznajmił doktor, kołyszając bronią i zmieniając kierunek marszu. – Nie z nazwiska.

Słyszając to, Smoky przypomniał sobie pierwsze słowa, jakie wypowiedział do niego doktor:

– Nie jestem praktykującym doktorem – stwierdził. – Ściśle rzecz ujmując, jestem bękartem. – Naciągnął czapeczkę głębiej na czoło i bez goryczy rozważał swój przypadek. – Byłem dzieckiem z nieprawego łoża i nigdy nikt mnie formalnie nie zaadoptował.

Wychowywała mnie Violet, a także Nora i Harvey Cloud. Ale nigdy nie załatwili formalności.

– Ach tak? – Smoky starał się okazać zainteresowanie, choć znał już tę historię.

– Szkielety – powiedział doktor – w starej rodzinnej szafie. Mój ojciec miał coś w rodzaju romansu z Amy Meadows, poznałeś ją.

„Zaorał ją, a ona wydała plon”. Smoky powstrzymał się, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos.

– Tak – przytaknął – teraz nazywa się Amy Woods. Wyszła za Chrisa Woodsa wiele lat temu.

– Hm. – Jakież to wspomnienie próbowało wedrzeć się do świadomości Smoky’ego, ale w ostatniej chwili wycofało się? Sen?

– Ja jestem tego owocem. – Jego jabłko Adama poruszyło się, ale Smoky nie potrafił stwierdzić, czy był to skutek emocji, czy nie. – Czy nie mógłbyś zacząć się koło tych zarośli, o tam? Dochodzimy do całkiem dobrych miejsc.

Smoky udał się tam, gdzie mu kazano. Trzymał starą angielską strzelbę w gotowości. W przeciwieństwie do reszty rodziny Smoky nie lubił chodzić na długie, bezsensowne spacerunki, szczególnie kiedy na dworze było wilgotno. Ale gdy miał konkretny cel, tak jak dzisiaj, to potrafił znosić niewygody nie gorzej od nich. Chciałby jednak przynajmniej pociągnąć za spust, nawet jeśli niczego nie trafi.

Kiedy te myśli błąkały się po jego głowie, dwie brązowe kule armatnie wypadły ze splątanych krzaków i nabierały szybko wysokości. Smoky krzyknął zaskoczony, ale kiedy doktor zawołał „twoje”, miał już broń uniesioną do strzału i wodząc lufą niczym na sznurku za ogonem jednego ptaka, wypalił, po czym wycelował w drugiego i strzelił ponownie. Potem opuścił strzelbę i patrzył zdumiony, jak oba ptaki spadają i uderzają z płaszczyzną w brązowe zielsko.

– Cholera – zaklął.

– Dobry strzał – wykrzyknął serdecznie doktor, ale w sercu uczuł lekkie ukłucie winy i przerażenia.

Obowiązki

Zataczając szerokie koło, wracali do domu z czterema upolowanymi ptakami. Wieczór zrobił się chłodny jak w zimie. Po drodze minęli coś, co zaintrygowało Smoky’ego już wcześniej. Przywykł do widoku szczątków napoczętych budowli: cieplarni, świątyni, opuszczonych, ale jednak pasujących do tego miejsca. Tylko co robił stary, zardzewiały samochód, ledwie już podobny do samochodu, w samym środku pola? Samochód był bardzo stary, musiał tam tkwić od ponad pięćdziesięciu lat, jego koła ze szprychami, zaryte do połowy w ziemi, wydawały się tak osamotnione i staroświeckie jak złamane koła wozów osadniczych, zatopionych na preriach Środkowego Zachodu.

– Tak, to model T – powiedział doktor. – Należał do mojego ojca.

Patrząc na gruchot, przystanęli przy kamiennym murze, żeby zwyczajem myśliwych przekazywać sobie z rąk do rąk termos z rozgrzewającym napitkiem.

– Kiedy dorosłem – powiedział doktor, wycierając usta w rękaw – zacząłem się dopytywać, skąd wziętem się na świecie. Wydobyłem z nich w końcu prawdę o Amy i Auguście, ale, widzisz, Amy zawsze wolała udawać, że to wszystko się wcale nie zdarzyło, że jest po prostu dawną przyjaciółką rodziny, chociaż wszyscy znali prawdę, nawet Chris Woods, i chociaż płakała za każdym razem, kiedy ją odwiedzałem. Violet – to co innego. Zdawało się, że całkiem zapomniała o Auguście, chociaż z nią nigdy nie można było mieć pewności. Nora powiedziała tylko: uciekł. – Wziął termos od Smoky’ego. – W końcu zdobyłem się na odwagę i zapytałem Amy, jak to właściwie było. Z początku ją to onieśmieliło, wyglądała jak zawstydzona dziewczynka, tak to tylko można określić. August był jej pierwszą miłością. Niektórzy ludzie nigdy nie zapominają, prawda? Jestem z tego dumny w pewnym sensie.

– Zwykło się sądzić, że dziecko miłości jest szczególnym dzieckiem – wtrącił Smoky. – Bardzo złym albo bardzo dobrym. Pearl w *Szkarłatnej literze*, Edmund w...

– Byłem w takim wieku, kiedy chce się mieć pewność co do takich spraw – ciągnął doktor. – Chcesz wiedzieć, kim dokładnie jesteś, poznać swoją tożsamość. Wiesz, o co mi chodzi. – Ale Smoky nie wiedział. – Myślałem sobie tak: Mój ojciec uciekł, z tego, co wiedziałem, bez śladu. Czy możliwe, że ja zrobię to samo? Czy to może leżeć również w mojej naturze? I być może, gdybym go odnalazł po nie wiadomo jakich przygodach, mógłbym sprawić, żeby uznał mnie za syna. Ścisnąc dłońmi jego ramiona... – Doktor wykonał stosowny gest, ale ponieważ miał w rękach termos, nie wypadło to tak wzruszająco, jak powinno – i powiedział: „Jestem twoim synem”. – Usiadł i popijał ze smutkiem.

– I uciekłeś?

– W pewnym sensie.

– No i?

– Nie zawędrowałem daleko. I zawsze dostawałem pieniądze z domu. Zostałem lekarzem, ale nigdy za wiele nie praktykowałem. Zobaczyłem kawałek wielkiego świata. Ale wróciłem. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Przypuszczam, że wiedzieli, że wrócę. Sophie Dale wiedziała. Tak teraz mówi.

– Nigdy nie odnalazłeś ojca – stwierdził Smoky.

– I tak, i nie – odparł doktor. Wpatrywał się w pagórek na polu. Wkrótce będzie to tylko bezkształtne wzniesienie, nie porośnięte trawą, a potem zupełnie zniknie. – To chyba prawda, że nieraz wyruszasz na poszukiwanie przygód, a potem znajdujesz to, czego szukałeś, na własnym podwórku.

W murze na dole siedziała w swej kryjówce Polna Myszka i obserwowała ich. Jakie mają zamiary? Czują woń krwi, a ich usta poruszały się tak, jakby konsumowali obfite żarło, ale

przecież nie jedli. Przycupnęła na szorstkiej kępcie mchu, na której jej przodkowie siadywali od wielu, wielu lat, i rozmyślała. Marszczyła nerwowo noseć i nastawiała przezroczyste płatki uszne, żeby usłyszeć dźwięki, które wydawali.

– Nie ma sensu zgłębiać pewnych rzeczy zbyt wnikliwie – oznajmił doktor. – Pewne rzeczy są nam dane, nie można ich zmienić.

– Tak – przyznał Smoky z nieco mniejszym przekonaniem.

– My – powiedział doktor, a Smoky pomyślał, że wie, kogo obejmuje tym słowem, a kogo nie – mamy swoje obowiązki. Nie możemy tak po prostu uciec w poszukiwaniu czegoś tam i nie przejmować się pragnieniami czy potrzebami innych. Musimy o nich myśleć.

Polna Myszka zasnęła w pół myśli, ale drgnęła i obudziła się, kiedy dwa wielkie stwory wstały i zabrały dziwaczne rzeczy.

– Czasami nie wszystko pojmujemy do końca – powiedział doktor tak, jak gdyby zrozumienie tej mądrości sporo go kosztowało.

– Ale mamy swoje role do odegrania.

Smoky pociągnął łyk i zakręcił termos. Czy to możliwe, że zamierzał zrzec się swych powinności, odrzucić swoją rolę, zrobić coś tak strasznego i nie licującego z jego charakterem, i tak beznadziejnego? To, czego szukasz, znajduje się na twym własnym podwórku: ponury żart w jego przypadku. Nie potrafił na to odpowiedzieć i nie znał nikogo, kogo mógłby zapytać. Ale wiedział, że jest zmęczony walką. A poza tym pomyślał, że nie zdarza się to po raz pierwszy w historii świata.

Czas dostatku

Wieczór, kiedy wydawano kolację po polowaniu, stanowił co roku szczególne święto. Przez cały poprzedzający tydzień przybywali do Edgewood różni ludzie, konferowali na osobności z ciotką Cloud i płacili dzierżawę albo wyjaśniali, dlaczego nie mogą zapłacić. (Smoky, który nigdy nie miał poczucia, czym jest prawdziwa własność i jaka jest jej wartość, nie był zdumiony ogromem posiadłości Drinkwaterów ani dziwnymi metodami zarządzania, chociaż ta doroczna ceremonia wydawała się w istocie feudalnym przeżytkiem). Większość przybywających do Edgewood przynosiła też jakieś dary: galon jabłeczniaka, kosz lśniących jabłek, pomidory w fioletowym papierze.

Floodsowie i Hannah oraz Sonny Noon, najwięksi (pod każdym względem) z dzierżawców, zostawali na kolacji. Rudy przyniósł tego roku kaczkę własnego chowu, żeby uświetnić biesiadę. Stół przykryto obrusem roztaczającym woń lawendy. Cloud otworzyła swoje pudełko zawierające ślubny komplet sreber (była jedyną panną młodą w rodzinie Drinkwaterów, której postanowiono dać taki prezent, rodzina Cloud zwracała uwagę na te sprawy), a światło wysokich świec połyskiwało na sztuccach i na kryształowych szklankach, których liczba zmniejszyła się tego roku na skutek jednej rozdierającej serce stłuczki.

Wystawiono na stół mnóstwo wina ciemnego jak morze, które Walter Ocean robił

każdego roku i butelkował następnego – stanowiło jego daninę. Wzniesiono tym winem toast nad lśniącymi ciałami ptaków i miskami pełnymi jesiennych płodów. Rudy wstał – jego brzuch sterczał nad krawędzią stołu – i przemówił:

*Błogosławmy pana tego domu
Jak i małżonkę jego
Oraz wszystkie małe dziatki
Zgromadzone w krąg.*

Do tych ostatnich zaliczał się w tym roku jego własny wnuk Robin, bliźnięta Sonny Noon i córka Smoky’ego, Tacey. Matka powiedziała, trzymając wzniesiony kieliszek:

*Życzymy wszystkim wokół nas
Ciepłego domu w burzy czas
A kiedy śnieg otuli świat
Niech miłość serca grzeje wam.*

Smoky zaczął mówić coś po łacinie, ale Daily Alice i Sophie jęknęły, więc dał spokój i zaczął od nowa:

*Gęś, tytoń, woda kolońska:
Trzy uskrzydłone i złociste niebios prorocstwa,
Którymi hojne serca zawsze nasycisz,
Rozgłosisz dzwonami i śpiewem,
Za które odpokutujesz w gasnącym cieniu wiecznego prochu.*

- „Gasnący cień” to dobre – pochwalił doktor.
- Nie wiedziałem, że paliłeś papierosy – wtrącił Rudy.
- Ja też nie wiedziałem – powiedział Smoky, wdychając zapach Old Spice’a, którym skropił się Rudy.
- Jesteś człowiekiem szczodrego serca. – Nalał sobie wina z karafki.
- Powiem wierszyk, którego nauczyłam się w dzieciństwie – powiedziała Hannah Noon.
- Brzmi on tak:

*Ojciec, Syn i Święty Duch
Im szybciej jesz, tym większy brzuch.*

Ograniczeni przez Opowieść

Po kolacji Rudy przerzucał stertę starych płyt, ciężkich jak talerze. Krażki leżały na kredensie nieużywane i przysypane grubą warstwą kurzu. Znalazł skarby i witał starych przyjaciół okrzykami zadowolenia. Nastawili płyty i tańczyli.

Daily Alice, która po pierwszym tańcu nie była już w stanie się ruszać, oparła ręce na wielkim brzuchu i obserwowała pozostałych. Wielki Rudy obracał swoją małą żonę jak szmacianą lalkę i Alice przypuszczała, że w ciągu wielu lat współżycia nauczył się już, jak się z nią obchodzić, żeby jej nie złamać. Wyobraziła sobie, jak przygniata ją swym wielkim ciałem – nie, prawdopodobnie to ona wspina się na niego jak na górę.

Dunkin', donuts, yubba, yubba

Dunkin', donuts, yubba, yubba

Dunkin', donuts – splash! in the coffee!

Smoky'emu błyszcząły oczy, a jego kończyny poruszały się swobodnie. Alice zaśmiała się na ten widok. Rozochocony – czy tak się określa ten stan? I skąd zna słowa tych zwariowanych piosenek? Zdawałoby się, że nie zna niczego, co znają wszyscy ludzie. Tańczył z Sophie. Był wystarczająco wysoki, żeby wyglądać przy niej stosownie. Stawiał kroki z rozmachem, ale niezbyt zręcznie.

Blady księżyc wschodził ponad zielonymi szczytami gór

Słońce kryło się w błękitnych falach oceanu.

Jak słoneczko, ale to małe, które nosiła w sobie i które rozgrzewało ją od wewnątrz. Miała wrażenie, którego doznała już kiedyś, że patrzy na wszystkich z dużego dystansu albo z dużej wysokości. Przez pewien czas zdawało jej się, że jest malutka i wygodnie ulokowana w dużym domu Smoky'ego, że jest tam bezpiecznym mieszkańcem, że ma miejsce do życia i nigdy nie opuści schronienia jego objęć. Teraz coraz częściej odnosiła przeciwne wrażenie: po jakimś czasie to on stał się myszką, która zamieszkiwała jej dom. Czuła, że sama staje się ogromna. Jej wymiary powiększały się, czuła, że w końcu wypełni sobą całe Edgewood, będzie tak samo wielka, tak samo stara, tak dobrze osadzona na ziemi i rozległa. I kiedy stanie się ogromna – to ją nagle uderzyło – ci, których kocha zmniejszą się tak, jakby odeszli od niej, zostali w tyle.

– Ofiaruję ci całą swą miłość – śpiewał Smoky sennie słabym falsetem.

Tajemnice zdawały się zagęszczać wokół niej. Wstała ciężko, mówiąc „Nie, nie, Smoky, zostań”, ponieważ Smoky podszedł do niej i ruszyła ociężale na górę, jak gdyby dźwigała przed sobą wielkie, kruche jajko, które w każdej chwili może pęknąć. Pomyślała, że lepiej zasięgnie rady, nim przyjdzie zima i nie będzie to już możliwe.

Ale kiedy siedziała na skraju łóżka, słysząc muzykę, gdy zwiększało się jej natężenie

(zdawało się, że bez końca wybijany jest ten sam rytm), zrozumiała, jaką radę otrzyma. To, co już wie, stanie się tylko bardziej jasne; to, co było usuwane w cień przez życie codzienne, przez bezpodstawne nadzieje i bezużyteczne smutki. Dowie się, że jeśli to istotnie jest Opowieść, a ona się w niej znajduje, to każdy gest, który wykonuje zarówno ona, jak i pozostali, jest także częścią tej Opowieści. Kiedy wstaje lub siada, pije lub je, jest częścią Opowieści; każde pozdrowienie i przekleństwo, każda radość, tęsknota, każdy błąd należy do Opowieści. Gdyby uciekli z Opowieści lub próbowali się jej opierać, to również i to byłoby jej częścią. Wybrali Smoky'ego dla niej i dopiero wtedy ona wybrała go dla siebie albo też ona go wybrała i wówczas oni wybrali go dla niej – tak czy owak należało to do Opowieści. I gdyby w jakiś subtelny sposób przesunął się, gdyby go teraz utraciła na skutek drobnych codziennych ruchów, które zawsze uważała za pewnik, to wówczas ta strata i jej rozmiar, każdy z tysięcy gestów, spojrzeń, pochyleń głowy, nieobecności, gniewów i pragnień, które złożyły się na tę stratę, izolując go od niej tak, jak warstwy lakieru izolują malowanego ptaka na japońskiej tacy, a kolejne deszcze coraz bardziej pokrywają liść w zamrożonym zimowym stawie, to wszystko i tak należałoby do Opowieści. I jeśli miał nastąpić jeszcze jakiś zakręt, jakieś odgałęzienie alei, którą teraz wspólnie podążali, gdyby nagle wyprowadziła ich ona na rozległe, usiane kwiatami pole albo nawet tylko doprowadziła do skrzyżowania, na którym stał drogowy wskaźnik na możliwość istnienia takiego pola, to wszystko to należałoby do Opowieści. I do tych, których Daily Alice uważała za mądrych, o których sądziła, że nieprzerwanie snują tę Opowieść w tym samym tempie, w którym dzień po dniu, godzina po godzinie toczy się życie Drinkwaterów i Barnable'ów.

Nie można ich było winić za nic, co zostało opowiedziane, ponieważ w istocie oni ani nie tworzyli tej Opowieści, ani jej naprawdę nie opowiadali, ale tylko wiedzieli, jak się ona rozwinię, czego Alice nigdy nie wiedziała – i to powinno jej wystarczyć.

– Nie – powiedziała głośno – nie wierzę w to. Oni mają moc. Tylko czasami po prostu nie rozumiemy, w jaki sposób mają nas ochraniać. A jeśli ty to wiesz, to i tak mi nie powiesz.

– Właśnie – Dziadek Pstrąg odezwał się z wyraźną niechęcią. – Sprzeciwiasz się dorosłym, myślisz, że wiesz lepiej.

Położyła się na łóżku, podtrzymując brzuch splecionymi dłońmi, myśląc, że wcale nie wie lepiej, ale że ta rada nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia.

„Będę mieć nadzieję – powiedziała. – Będę szczęśliwa. Na pewno jest coś, o czym nie wiem. Na pewno ukrywają w zanadrzu jakiś dar. W swoim czasie подарują nam go. W ostatniej chwili. Tak się dzieje w opowieściach”. I nie słuchałaby sarkastycznej odpowiedzi, jakiej na pewno udzieliłaby na tę wątpliwość ryba. A jednak kiedy Smoky otworzył drzwi i wszedł do sypialni, pogwizdując i rozsiewając wokół zapach wina, które pił, oraz perfum Sophie, którymi przesiąknął, narastająca w niej fala rozlała się i Alice zaczęła płakać.

Łzy ludzi, którzy nigdy nie płaczą, spływające spokojnie i bez emocji, są przerażające. Płacz zdawał się ją rozdierać, chociaż zaciskała oczy, żeby powstrzymać łzy, i przyciskała

pięść do ust. Smoky, wystraszony i przełknięty, podszedł do niej natychmiast, tak jakby podszedł do swego dziecka, żeby je pocieszyć. Nie myślał i nie wiedział dokładnie, co robić. Kiedy próbował chwycić jej dłoń i przemawiał do niej łagodnym tonem, zaczęła drżeć jeszcze gwałtowniej, a czerwony krzyż odcisnięty na jej twarzy wyglądał jeszcze okropniej. Smoky ułożył ją na łóżku, nie zważając na opór, przykrył najlepiej, jak umiał, chcąc w ten sposób ugasić płomień, zdawał sobie niejasno sprawę, że mógł ją pokonać czułością i pokonać gniew, cokolwiek go spowodowało, zwykłą siłą. Nie miał pewności, czy sam nie stał się przyczyną tego jej stanu, nie był pewien, czy przytuli się do niego, szukając pocieszenia, czy też odtrąci go w gniewie, ale nie miał wyboru. Zbawiciel czy ofiara – nie miało to znaczenia, jeśli mogło przerwać jej cierpienia.

Poddawała się z początku niechętnie i złapała go za koszulę, jak gdyby chciała podrzeć na nim ubranie, a on powtarzał: „Powiedz mi, powiedz mi”, tak jakby mogło to w czymkolwiek pomóc. Ale nie potrafił ukoić jej cierpienia, tak samo jak nie był w stanie powstrzymać jej potu i krzyków, kiedy dziecko, które nosiła, torowało sobie drogę na świat. I w żaden sposób nie mogła powiedzieć, że tym, co wywołało jej płacz, był obraz czarnego stawu w lesie, pokrytego złocistymi liśćmi, które bezustannie spadały z drzew. Każdy z nich zawisał na moment nad powierzchnią wody, zanim spoczął na jej tafli. Wydawało się, że zatopienie było przemyślanym wyborem. I widziała też oczyma duszy wielką, przeklętą rybę zanurzoną w stawie, zbyt zziębniętą, żeby mówić lub myśleć: rybę porwaną przez Opowieść tak samo jak ona.

III

*Pozwól, niech ujrzę, jak pochłania cię sen
Myśli spokojnych, jak oko twe
Zastyga niczym woda, gdy umknie wiatr
Nie wiadomo dokąd.*

Wordsworth

To George Mouse – powiedział Smoky.

Lily, uczepona jego spodni, spojrzała na drogę, którą wskazywał ojciec. Przycisnęła piąstkę do policzka, a oczy okolone długimi rzęsami nie wydawały żadnego osądu, kiedy George wyłaniał się z mgielki, a jego buty rozpryskiwały kałużę. Miał na sobie ogromny, czarny płaszcz, a jego kapelusz Svengali nasiąknął deszczem. Pomachał im ręką, kiedy się zbliżył.

– Hej – powiedział, człapiąc po schodach. – Heeeeej. – Uścisnął Smoky’ego. Jego zęby zalśniły spod runda kapelusza, a oczy w ciemnej oprawie rzęs przypominały węgielki. – To jest... jak jej na imię... Tacey?

– Lily – poprawił Smoky. Lily schowała się za nogami ojca.

– Tacey jest już dużą dziewczynką. Ma sześć lat.

– Och, mój Boże.

– Tak.

– Czas szybko płynie.

– Wejdz do środka. Co cię sprowadza? Powinieneś być napisać.

– Zdecydowałem się rano.

– Jaki powód?

– Włosek na mojej dupie.

Czas szybko płynie

Postanowił nie mówić Smoky’emu, że zażył pięć miligramów pellucidaru, który teraz penetrował jego system nerwowy jak zimne powietrze pierwszego dnia zimy. Było to już

siódme zimowe przesilenie dnia z nocą w ciągu małżeńskiego pożycia Smoky'ego. Duża kapsułka pellucidaru wprawiła George'a w amok. Wyprowadził mercedesa, który stanowił jeden z ostatnich namacalnych dowodów dostatku Mouse'ów, i jechał na północ tak długo, aż wszystkie stacje benzynowe, które mijał, okazywały się zlikwidowane z powodu bankructwa. Zaparkował wówczas samochód w garażu opuszczonego domu i wdychając głęboko gęste, wilgotne powietrze, ruszył w dalszą drogę pieszo.

Drzwi frontowe zamknęły się za nim z głośnym szczękiem mosiężnych zawiasów i brzękiem owalnej szyby. George Mouse szerokim gestem zdjął kapelusz, na co Lily roześmiała się, a Tacey, która zbiegła do holu, żeby zobaczyć, kto przyszedł, zatrzymała się jak wryta. Za nią podążała Daily Alice w długim kardiganie. Jej dłonie wypychały kieszenie swetra. Podeszła i pocałowała George'a. Przyciskając ją, odczuł oszałamiający i zupełnie niestosowny przypływ fizycznego pożądania i roześmiał się.

Wszyscy skierowali się do salonu, gdzie zapalono już światła. Przechodząc przez hol, dostrzegli swoje odbicia w wysokim zwierciadle. George zatrzymał ich przy lustrze i uważnie wpatrywał się w odbicia: on, jego kuzynka, Smoky i Lily, która właśnie pojawiła się pomiędzy nogami matki. Czy się zmienili? Smoky znowu zapuścił brodę, którą zgolił, kiedy George go poznał. Jego twarz wydawała się bardziej koścista, bardziej – George nie znajdował innego słowa, ponieważ właśnie to słowo podsuwał mu natrętny posłaniec – uduchowiona. Uduchowiona, miej się na baczności. Alice została dwukrotnie matką, zdumiewające! Nagle przyszło mu do głowy, że patrzenie na kobietę z dzieckiem przypomina obserwowanie nagiej kobiety. To zmienia sposób widzenia jej twarzy, na której wyryta jest jakby cała historia. A on sam? Widział siwe włoski w wąsach, lekko przygarbione plecy i żadnych innych oznak. To była ta sama twarz, która zawsze spoglądała na niego, odkąd po raz pierwszy spojrzął w lustro.

– Czas szybko płynie – stwierdził.

Życiowy hazard

W salonie cała rodzina sporządzała wspólnie długą listę zakupów.

– Masło orzechowe – powiedziała matka. – Znaczki, jodyna, woda sodowa, i to dużo, płatki mydlane, rodzyнки, proszek do zębów, sos korzenny, guma do żucia, świece. George!

Uścisnęła go, a doktor Drinkwater uniósł wzrok znad listy, którą spisywał.

– Witaj, George – odezwała się Cloud z kącika przy kominku.

– Nie zapomnijcie o papierosach.

– Jednorazowe pieluszki, te tańsze – dorzuciła Daily Alice.

– Zapalki, tampaxy, oliwa.

– Owsianka – powiedziała matka. – Jak tam twoi ludzie, George?

– Tylko nie owsianka! – zaprotestowała Tacey.

– Dobrze, dobrze. Mama, jak wiesz, nie może tego pominąć.

Matka potrząsnęła głową.

– Nie widziałam Franza od roku?

George położył banknoty na stole, przy którym siedział doktor.

– Butelka dżinu – powiedział.

Doktor napisał „dżin”, ale odsunął pieniądze.

– Aspiryna – przypomniał sobie. – Olejek kamforowy, antyhistamina.

– Ktoś jest chory? – zapytał George.

– Sophie ma tę dziwną gorączkę – odparła Daily Alice. – To przychodzi i mija.

– Co jeszcze? – zastanawiał się doktor, patrząc na żonę, która gładziła podbródek i cmokała, pełna wątpliwości, a w końcu postanowiła, że ona też pojedzie na zakupy.

Doktor wyszedł do holu, żeby nałożyć czapkę (jego włosy były zupełnie białe i przypominały kłębek przybrudzonej bawełny) i okulary w różowych oprawkach, które zgodnie z tym, co stwierdzało prawo jazdy, miał obowiązek nosić. Cała rodzina zarzucała go jeszcze wymyślonymi w ostatniej chwili potrzebami. Wziął brązową kopertę, w której były dokumenty spraw do załatwienia, oznajmił, że jest gotowy, i wszyscy wyszli na werandę, żeby go odprowadzić.

– Mam nadzieję, że będzie jechał ostrożnie – powiedziała Cloud. – Jest bardzo mokro.

Z wnętrza garażu dobiegł niepewny zgrzyt. Potem zapadła nabrzmiąta cisza, a następnie rozległ się warkot silnika, po czym drewniana furgonetka wyjechała ociężale na podjazd, wyciskając dwa delikatne ślady na wilgotnych liściach. George Mouse patrzył zdumiony. Wszyscy zgromadzili się na werandzie tylko po to, żeby popatrzeć, jak starszy gość z werwą prowadzi samochód. Biegi zazgrzytały i wszyscy zastygli z wrażenia. George wiedział, oczywiście, że nie co dzień wyprowadzają samochód z garażu, że to była wyjątkowa okazja i doktor bez wątpienia poświęcił cały poranek na oczyszczenie starych drewnianych ścian samochodu z pajęczyn i przepędzenie wiewiórek, które sądziły, że mogą zamieszkać pod najwyraźniej nieużywanymi siedzeniami. Wiedział, że wsiadając do maszyny, doktor czuł się tak, jakby przywdziewał zbroję, szykując się do bitwy w wielkim świecie. Musiał to oddać swoim wiejskim kuzynom. Każdy, z kim rozmawiał w Mieście, narzekał gorzko na samochody i ich rujnowanie, ale jego kuzynowie zawsze odnosili się do swego dwudziestoletniego pojazdu z największym szacunkiem i rzadko go używali. Roześmiał się, machając wraz z innymi na pożegnanie i wyobrażając sobie, jak doktor prowadzi wóz na szosie. Z początku będzie nerwowy i zacznie uciszać żonę, zmieniać bardzo uważnie biegi. Kiedy wjedzie na autostradę, zacznie czerpać przyjemność z widoku sunących za oknem krajobrazów i z własnego panowania nad pojazdem aż do momentu, gdy jakaś potworna ciężarówka przemknie z rykiem tuż koło niego i omal nie zdmuchnie go z drogi. Życiowy hazard.

Na wzgórzu

George powiedział, że nie ma najmniejszej ochoty siedzieć w domu. Przyjechał, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i tak dalej, nawet jeśli dzień nie bardzo sprzyja spacerom. Tak więc Smoky włożył kapelusz i kalosze, wziął laseczkę i poszedł z George'em na spacer na wzgórze.

Drinkwater ucywilizował to miejsce, wytyczając ścieżkę dla pieszych i tworząc kamienne stopnie w miejscu, które najbardziej się do tego nadawało. Postawił też ławeczki w stylu rustykalnym w miejscach widokowych, a na szczycie ulokował kamienny stół, gdzie można było zjeść lunch, podziwiając jednocześnie krajobraz.

– Nie bierzemy lunchu – powiedział George. Deszcz przestał padać. Zdawało się, że pochłoneła go mgiełka i że zawisł bez ruchu w powietrzu. Ruszyli pod górę ścieżką, która wiała się pomiędzy wierzchołkami drzew rosnących w parowach poniżej. George podziwiał wzory utworzone na liściach i gałązkach przez srebrzyste krople deszczu, a Smoky wskazał dziwnego ptaka (nauczył się rozpoznawać wiele gatunków, zwłaszcza tych dziwnych).

– A teraz powiedz szczerze – zaczął George. – Jak leci?

– Jak po grudzie – odparł Smoky. – Dobrze, dobrze. – Westchnął. – Po prostu jest ciężko, kiedy nadchodzi zima.

– O tak.

– Nie, tutaj jest ciężiej. Nie wiem. Nie chciałbym, żeby było inaczej... Po prostu trudno znieść melancholię w niektóre wieczory. – George'owi zdawało się, że oczy Smoky'ego zaraz wypełnią się łzami. Wciągnął głęboko powietrze, błogosławiąc w duchu wilgoć i las.

– Tak, nie jest najlepiej – powiedział wesoło.

– Ciągle trzeba siedzieć w domu – ciągnął Smoky. – Wszyscy są razem. A mieszka tutaj tyle ludzi. Wydaje się, że ciągle się na kogoś natykasz.

– W tym domu? Przecież można tam zginąć na całe dni. Na całe dni.

Pamiętał podobne popołudnie jak to. Był wtedy dzieckiem, przyjechał tu do rodziny na Boże Narodzenie. Kiedy szukał ukrytych prezentów, które, jak wiedział, musiały gdzieś oczekiwać na wielki poranek, zabłądził na trzecim piętrze. Zszedł na dół dziwnymi, bardzo wąskimi schodkami i znalazł się w innym miejscu, wśród dziwnych pokoiów. Zdawało mu się, że pod wpływem przeciągu ściany obite tkaniną żyją swoim własnym, tajemniczym życiem, a odgłos jego stóp wydawał się odgłosem stóp innej osoby, zbliżającej się z przeciwka. Po chwili zaczął krzyżeć, bo nie mógł znaleźć schodów. Odszukał jednak inne, ale zupełnie stracił nad sobą panowanie, kiedy usłyszał dobiegający z oddali głos mamy Drinkwater, która go wołała. Biegał dookoła z krzykiem i otwierał po kolei wszystkie drzwi, aż w końcu otworzył jakieś łukowate, które wyglądały jak wejście do kościoła, i znalazł swoje dwie kuzynki siedzące w wannie.

Usiedli na jednej z ławeczek Drinkwatera wykonanej z sękatego, koślawego drewna. Poprzez ścianę bezlistnych drzew widzieli wielkie połacie łądu zatopionego w szarości. Byli nawet w stanie rozpoznać szary pas drogi międzystanowej w następnym hrabstwie, ukołysany

i spokojny. Momentami dobiegał ich uszu warkot ciężarówek niesiony w gęstym powietrzu.

Smoky wskazał na odnogę przypominającą palec lub głowę hydry. Odnoga ta biegła aż do wzgórza, po czym nagle się urywała. Tu i ówdzie na ziemi widniały żółte drobinki – uśpione gąsienice, z rodzaju tych wykonanych przez człowieka, przerzucających ziemię. Nie podpełzłyby ani trochę bliżej. Mierniczy i dostawcy, kontraktorzy i inżynierowie ugrzęźli tam na dobre na skutek braku zdecydowania, ale ta szczątkowa kończyzna nigdy nie nabierze ciała i mięśni i nie przecisnie się przez pięciokąt miast otaczających Edgewood. Smoky o tym wiedział.

– Nie pytaj mnie, skąd wiem – powiedział.

Ale George Mouse myślał o innym projekcie: wszystkie budynki, niemal opustoszałe, które należały do jego rodziny w Mieście, można by połączyć ze sobą na stałe i stworzyć w ten sposób ogromną, niedostępną ścianę – przypominającą mury obronne zamku – chroniącą centrum, w którym znajdowałyby się ogrody. Przybudówki i wszystkie budynki wewnątrz bloku można by wtedy wyburzyć, a przestrzeń ogrodów wykorzystać na jedno wielkie pastwisko albo farmę. Mogliby tam uprawiać rośliny i hodować krowy. Nie, kozy. Kozy są mniejsze i nie ma tyle kłopotów z ich wyżywieniem. Dają mleko i od czasu do czasu dobrze byłoby mieć kozłinę do zjedzenia. George nigdy w życiu nie zabił większego stworzenia niż karaluch, ale jadł kiedyś kozłę na obiad w restauracji i śliska napłynęła mu do ust. Nie słyszał, co Smoky mówił, chociaż zdawało mu się, że coś mówił. Zapytał: – Ale jaka jest historia? Jaka jest prawdziwa opowieść?

– No cóż, jesteśmy przecież chronieni – stwierdził Smoky niejasno, kopiąc dziurę w ziemi swoją laseczką. – Ale zawsze trzeba coś dać w zamian za ochronę, prawda? – Na początku nic z tego nie rozumiał. Nie przypuszczał też, aby teraz rozumiał to choć trochę lepiej. Wiedział, że należy uiścić jakąś zapłatę, ale nie był pewien, czy została już uiszczona, czy dopiero ma być uiszczona czy też została odroczone. Nie wiedział, czy nieokreślone uczucie, jakie miał w zimie, uczucie, że czegoś się od niego wymaga, że ktoś upomina się o zapłatę, wysysa go i żąda poświęcenia (nie potrafił tego dokładnie określić) oznaczało, że kredytodawcy zostali zaspokojeni czy też że chochliki, które, jak mu się zdawało, zerkały przez okna i nawoływały z kominków, kryły się pod strzechami i grasowały w nieużywanych pokojach na górze, przypominały o niezapłaconym długu, niepobranym haraczu, o jakichś strasznych odsetkach, których nawet nie potrafił obliczyć.

Ale George rozmyślał o planie, który miał przedstawiać główne pojęcia teorii czynu (o której czytał w popularnym magazynie i która zdawała się bardzo sensowna) za pomocą pokazu sztucznych ogni. Myślał o tym, że różne etapy działania, tak jak opisywała to teoria, mogą znaleźć wyraz w inicjacji, narastającym syku, kulminacyjnym wybuchu i ostatecznym wypaleniu się kolorowej bomby. Myślał, w jaki sposób w kombinacji sztucznych ogni można przedstawić wszystkie akty różnego rodzaju i wielki czyn, którym jest rytm życia i czasu. Wizja rozprysła się. Potrząsnął ramieniem Smoky'ego i spytał:

– Ale jak ci idzie? Jak ci się powodzi?

– Jezu, George – odparł Smoky, wstając. – Powiedziałem ci wszystko, co mogłem. Zimno mi. Założę się, że w nocy będzie mróz. Może spaść śnieg na święta. – Wiedział, że spadnie, zostało to obiecane. – Chodźmy się napić kakao.

Kakao i bułeczka

Było brązowe i gorące, z czekoladowymi bąbelkami na brzegu. Prawoślaz, który Cloud do niego dorzuciła, obracał się i puszczał bąbelki, jak gdyby roztapiał się z radością. Daily Alice zdradzała Tacey i Lily tajniki delikatnego dmuchania na napój, trzymania kubka za rączkę i śmiała się z brązowych wąsów, które kakao zostawiało na twarzy. Cloud pilnowała, żeby w czasie gotowania nie zrobił się kozuch, chociaż George'owi nie przeszkadzały kozuchy. Kakao przyrządzane przez jego matkę zawsze miało kozuchy, tak samo jak to, które podawali w dzbankach w podziemiach Kościoła Wszystkich Ulic, do którego zabierała jego i Franza w takie dni jak ten.

– Weź jeszcze bułeczkę – powiedziała Cloud do Alice. – Musisz jeść za dwóch. Musi jeść za dwóch – wyjaśniła George'owi.

– Chyba nie to masz na myśli – zdziwił się.

– Chyba tak – potwierdziła Alice i ugryzła bułeczkę. – Dobrze znoszę ciężę.

– Tym razem chłopiec.

– Nie – powiedziała w sekrecie. – Następna dziewczynka. Tak mówi Cloud.

– Nie ja – sprostowała Cloud. – Karty.

– Damy jej na imię Lucy – wtrąciła Tacey. – Lucy Ann i Andy Ann de Barn Barnable. George ma dwa wasy.

– Kto to zanieśie Sophie? – zapytała Cloud, stawiając kubek i bułeczkę na bardzo starej, czarnej japońskiej tacy, na której widniał wizerunek srebrnowłosego ducha pijącego colę.

– Może ja – zaproponował George. – Ciociu Cloud, może byś postawiła mi karty?

– Jasne, George. Ty chyba jesteś włączony.

– Żeby tylko znalazł jej pokój – zachichotał George. Wziął ostrożnie tacę, zauważając, że ręce zaczynają mu drżeć.

Sophie spała, kiedy wszedł do jej pokoju, popychając drzwi kolanem. Stał nieporuszony, czując parę unoszącą się z kakao i mając nadzieję, że Sophie nigdy się nie obudzi. Jak dziwnie jest odczuwać w dorosłym wieku emocje podglądacza – drzenie i słabość kolan i suchość w gardle – które teraz zostały spowodowane przez szaloną kapsułkę leku i dezabil Sophie, leżącej w zmiętoszonej pościeli. Jedna długa noga była odkryta, a jej palce skierowane ku podłodze, jak gdyby wskazywały pantofelek z pary chińskich kapci, które wystawały spod kimona leżącego przy łóżku. Piersi Sophie, miękkie od snu, wysuwały się spod pofałdowanej piżamy i unosiły się oraz opadały w rytm oddechu.

Były rozgrzane (pomyślał z czułością) od gorączki. Kiedy pożerał ją wzrokiem, wyczuła

jakby jego spojrzenie, ponieważ natychmiast poprawiła piżamę i przewróciła się na bok, tak że jej policzek opierał się na dłoni zwiniętej w pięść. Zrobiła to z takim wdziękiem, że zachciało mu się śmiać albo płakać, ale powstrzymał się i postawił tacę na nocnym stoliku, na którym walały się buteleczki z lekarstwami i pogniecione chusteczki. Żeby postawić tacę, przeniósł na łóżko wielki album czy notes i w tym momencie Sophie obudziła się.

– George – powiedziała spokojnie i bez zdziwienia, przeciągając się. Być może myślała, że nadal śpi. Położył delikatnie swą śniadą dłoń na jej czole.

– Cześć, maleńka – powiedział. Oparła się na poduszkach, zamknęła oczy i na chwilę odpłynęła z powrotem do krainy snów. Potem westchnęła „och” i przewyciężyła sen, wreszcie uklękła na łóżku i całkowicie się rozbudziła.

– George!

– Lepiej się czujesz?

– Nie wiem. Coś mi się śniło. Kakao dla mnie?

– Dla ciebie. Co ci się śniło?

– Mmm, dobre. Jak się obudzę, jestem głodna. Ty też?

Wytarła wąsy różową chusteczką, którą wyjęła z pudełka. Następna od razu zajęła zwolnione miejsce.

– Och, śniły mi się dawne lata. Chyba przez ten album. Nie, nie wolno. – Przytrzymała jego rękę, która wyciągnęła się po album. – Brudne zdjęcia. Nieprzyzwoite zdjęcia.

– Nieprzyzwoite.

– Moje zdjęcia sprzed lat. – Uśmiechnęła się, przekrzywiając głowę w sposób charakterystyczny dla Drinkwaterów, i zerknęła na niego znad brzegu kubka, a jej oczy nadal były zmrużone od snu.

– Co tutaj robisz?

– Przyjechałem się z tobą zobaczyć – powiedział George. Kiedy ją ujrzał, wiedział, że właśnie po to przyjechał. Nic nie odpowiedziała na to szarmanckie stwierdzenie. Wydawało się, że zapomniała o jego obecności albo przypomniała sobie nagle o czymś zupełnie innym. Kubek z kakao zatrzymał się w połowie drogi do ust. Odstawiła go powoli, a jej oczy zapatrzyły się na coś, czego nie mógł widzieć, co znajdowało się w jej wnętrzu. Sophie starała się jakby to przewyciężyć. Zaśmiała się krótko i przerażająco i nagle ujęła nadgarstek George’a, jak gdyby chciała wrócić do rzeczywistości.

– Jakieś sny – wyjaśniła, szukając jego twarzy. – Mam gorączkę.

Osieroczone nimfy

Najlepsze chwile życia przeżywała zawsze w snach. Nie знаła przyjemniejszej chwili niż ta, kiedy przenosiła się do innego miejsca, kiedy jej kończyny rozgrzewały się i stawały ciężkie, a roziskrzona ciemność pod powiekami układała się w pewien porządek i otwierały się drzwi. Kiedy świadoma myśl dostawała skrzydeł i pazurów sowy i oddzielała się od

umysłu. Zaczynając od najdrobniejszej przyjemności, związanej z tym stanem, zaczęła stopniowo doskonalić się we wszystkich jego nienazwanych możliwościach. Po pierwsze musiała nauczyć się słyszeć cichy głos, ten fragment świadomego ja, maszerujący jak anioł stróż ze zjawami, którymi w krainie snów zastępujemy samych siebie, głos, który szepcze „śpisz”.

Cała sztuka polegała na tym, żeby go usłyszeć, ale nie posłuchać, bo w przeciwnym razie można by było się obudzić. Nauczyła się go słyszeć. Głos mówił jej, że nie może zostać zraniona na skutek ran, które odnosi we śnie, nieważne jak strasznych. Zawsze budziła się cała i bezpieczna w ciepłym łóżku. Od tej pory nie bała się żadnych koszmarnych snów. Dante jej snów wsparł się na śniącym Wergiliuszu i przechodził przez koszmary z radością, zdobywając nowe doświadczenia.

Następnie odkryła, że należy do tych, którzy potrafią się obudzić, opuścić lukę świadomości i wrócić potem do tego samego snu, który przerwali. Potrafiła również budować wiele sennych historii. Potrafiła wyśnić, że się budzi, a potem śnić, że budzi się z tego snu, śniąc za każdym razem, że mówi: „Och, to był tylko sen”. W końcu budziła się całkowicie i było to najcudowniejsze uczucie. Wracała do domu z podróży, a na dole czekało śniadanie.

Ale z czasem zaczęła przedłużać te podróże, udawać się dalej, wracać później i z większą niechęcią. Z początku martwiła się, że jeśli spędzi połowę dnia oraz noc w krainie snów, to w końcu nie będzie miała o czym śnić, jej sny staną się uboższe, nieprzekonujące, powtarzalne. Ale skutek był odwrotny. Im dalej podróżowała, im dalej pozostawiała prawdziwy świat, tym większe i bardziej wymyślne stawały się fikcyjne lądy, a przygody były bardziej kompletne i działały się z większym rozmachem. Jak to było możliwe? Przecież tematy do swoich snów mogła czerpać tylko z życia na jawie, z książek i z obrazów, z miłości i tęsknoty, z prawdziwych dróg i skał i prawdziwych stóp, które na nich stawiała. I skąd brały się te liczne wyspy, ponure, obszerne budynki, zagmatwane miasta, okrutne rządy, nierozwiązywalne problemy, komiczne postaci uboczne o dziwnych manierach? Nie wiedziała i z czasem przestała się tym przejmować.

Wiedziała, że prawdziwi ludzie, jej bliscy w realnym życiu, martwią się o nią. Ich troska towarzyszyła jej w snach, ale przemieniona w ostre prześladowanie i tryumfalne połączenie. W ten właśnie sposób radziła sobie z ich zmartwieniem.

A teraz posiadała ostatnią umiejętność, która wzmocniła siłę jej tajemnego życia i zarazem uspokoiła bliskich na jawie. W jakiś sposób nauczyła się podnosić sobie temperaturę, kiedy tylko chciała, a wraz z nią przychodziły niesamowite, nieodparte, gorączkowe sny. Podniecona tym zwycięstwem, nie dostrzegając z początku niebezpieczeństwa podwójnej dawki, zbyt szybko odrzuciła większą część prawdziwego życia – a ono stało się później skomplikowane i pozbawione obietnic i uciekła jako chora do swego łóżka, ukrywając tajemnicę, unosząc się radością przyćmioną poczuciem winy.

Tylko po przebudzeniu zdawała sobie czasem z przerażeniem sprawę – tak jak teraz,

kiedy George Mouse był świadkiem jej zapatrzenia w głąb siebie – z uzależnienia, zdawała sobie sprawę, że jest skazana, że zabłądziła w tym królestwie, zaszła, wbrew swej woli, zbyt daleko, żeby znaleźć drogę powrotną, a jedynym powrotem jest kontynuowanie drogi, ucieczka jeszcze dalsza, jedynym sposobem udoskonalenia tego straszego uzależnienia jest całkowite poddanie się.

Schwyciła nadgarstek George'a, tak jakby dotknięcie jego prawdziwego ciała mogło ją wreszcie obudzić.

– Mam sny – wyjaśniła. – To z gorączki.

– Pewnie – powiedział George. – Sny z gorączki.

– Jestem połamana – skarżyła się, obejmując się rękoma. – Za dużo śpię. Za długo w jednej pozycji.

– Potrzebny ci masaż. – Czy głos go nie zdradził?

Kiwała się z boku na bok.

– Zrobiłbyś to?

– Jasne.

Odwróciła się do niego plecami, wskazując przez piżamę miejsce, które ją bolało.

– Nie, nie, nie, skarbie – przemawiał jak do dziecka. – Połóż się. Połóż poduszkę pod brodę, o tak. Ja sobie tu usiądę, posuń się trochę, zdejmę buty. Wygodnie? – Zaczął ją masować, czując ciepło jej rozgorączkowanego ciała przez cienki materiał piżamy. – Ten album – powiedział, nie zapomniawszy ani na chwilę.

– Och – westchnęła cicho, kiedy masował miejsce pod łopatkami. – To zdjęcia Auberona.

– Wyciągnęła rękę i oparła ją na okładce albumu. – Zostały zrobione, kiedy byliśmy dziećmi. Artystyczne zdjęcia.

– Co na nich jest? – spytał George, masując kości, z których wyrastałyby skrzydła, gdyby Sophie je miała.

Nie mogąc się powstrzymać, podniosła okładkę, ale opuściła ją ponownie.

– On nie wiedział – odparła. – Nie uważał ich za nieprzyzwoite. I wcale nie są. – Otworzyła album. – Niżej, o tak, jeszcze niżej.

– Oho – powiedział George. Znał kiedyś te nagie dzieci o perłowej skórze, przedstawione na zdjęciach, bardziej zmysłowe przez to, że jakby bezcielesne. – Zdejmij tę piżamę – polecił. – Teraz lepiej...

Przerzucała kartki albumu powoli i z roztargnieniem, tak jakby znowu chciała poczuć strukturę tamtego dnia, przeszłości, ciała.

Tu Alice i ona na kamieniach przy wodospadzie, który tryskał jak szalony za ich plecami, ale nie widać tego na zdjęciu. Wśród zamglonych liści na drugim planie obiektyw rozbił kropelki słońca na tuziny białych, bezcielesnych oczu, okrągłych ze zdumienia.

Nagie dzieci (ciemne aureole Sophie marszczyły się jak pączki kwiatów, jak drobne, zaciśnięte usta) patrzyły w dół do wnętrza czarnego, gładkiego stawu. Co tam widziały, co

sprawiło, że opuściły oczy, że uśmiechały się? Ładna dłoń trzymała pod obrazkiem tytuł: „Sierpień”. Sophie przejechała palcem po liniach zetknięcia ud Alice z miednicą. Linie te wydawały się delikatne i ładnie zarysowane, jak gdyby jej skóra była wtedy cieńsza. Srebrzyste pośladki były ściągnięte, a nogi o długich palcach stykały się ze sobą, jakby zaczynały się przeobrażać w syreni ogon.

Małe zdjęcia zostały przymocowane do kartki czarnymi narożnikami. Sophie z szeroko otwartymi oczami i ustami, z rozstawionymi nogami i rozpostartymi ramionami. Gnostyczne X mikrokosmicznego dziecka kobiety. Jej długie włosy były stargane i wydawały się białe – właściwie złote – na tle ciemnej ściany drzew. Alice rozbierająca się: zdejmuje jedną nogawkę białych bawełnianych spodni, jej pulchny wzgórek łonowy zaczyna już pokrywać ostre, jasne włoski. Dwie dziewczynki wędrujące przez czas, dojrzewające w przyspieszonym tempie, tak jak rozwijają się magiczne kwiaty na filmach przyrodniczych. George pożałował je wzrokiem, podglądając przeszłość oczyma Auberona. Zatrzymają się tu na minutę...

Zostawiła album otwarty na tej stronie, podczas gdy George kontynuował masaż, zmieniając pozycję ciała i rąk. Jej rozwierające się nogi wydały dziwny odgłos. Pokazała mu „Osierocone nimfy”. Miały kwiaty we włosach, leżały wyciągnięte na murawie. Trzymały ręce nawzajem na swoich policzkach, ich powieki były ciężkie. Już miały się pocałować z otwartymi ustami: może w akcie pocieszenia, a może po to, by stworzyć artystyczne ujęcie niewinności zarazem osieroconej jak i bajkowej. Ale one nie grały. Sophie pamiętała to. Jej ręce pozbawione czucia ześliznęły się ze stronicy, a oczy przestały widzieć zdjęcia. To nie miało znaczenia.

– Wiesz, co mam zamiar zrobić? – zapytał George, nie mogąc się powstrzymać.

– Mhm.

– Naprawdę?

– Tak. – To było tylko technienie. – Tak.

Ale wcale nie wiedziała. Znowu spadała w przepaść świadomości, uratowała się przed upadkiem, wylądowała szczęśliwie (potrafiła latać) na dalekim krańcu, w samym środku tego perłowego popołudnia, po którym nadeszła noc.

Najmniejsze Atuty

– **Jak w każdej talii – mówiła Cloud, wyciągając aksamitną torebkę z pudeleczka, a następnie karty z torebeczki – są tu pięćdziesiąt dwie karty na pięćdziesiąt dwa tygodnie roku, cztery zestawy na cztery pory roku, dwanaście kart atutowych z figurami na dwanaście miesięcy i jeśli dobrze policzysz, trzysta sześćdziesiąt cztery znaczki, po jednym na każdy dzień roku.**

– Rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni – powiedział George.

– To jest według starego kalendarza. Wtedy jeszcze miał tyle. Dorzuć drew do ognia,

dobrze? – Kiedy podsycił ogień, zaczęła wyklądać jego przyszłość. Sekret, który ukrywał w sobie – a raczej na górze pograżony we śnie – rozgrzewał go i przywoływał uśmiech na jego twarzy, ale mimo to jego kończyny pozostawały lodowato zimne. Odwinął mankiety swetra i schował w nie dłonie. Przypominały ręce szkieletu.

– Jest tu również – ciągnęła Cloud – dwadzieścia jeden kart atutowych ponumerowanych od zera do dwudziestu. Są to osoby, miejsca, rzeczy i pojęcia. – Wykladała duże karty z ładnymi rysunkami lasek, buław, kielichów i mieczy. – To jest inny zestaw figur – objaśniała Cloud. – Te, które tutaj mam, nie są tak wielkie jak tamte, tamte mają słońca, księżyce i takie generalne pojęcia. Moje nazywają się, moja matka tak je nazwała, Najmniejszymi Atutami. – Uśmiechnęła się do George’a. – To jest Osoba. Kuzyn. – Ułożyła kartę w kole i zamyśliła się na chwilę.

– Powiedz mi najgorsze – poprosił George. – Potrafię to znieść.

– Najgorsze – odezwała się Alice, która siedziała w głębokim fotelu, czytając książkę – to właśnie to, czego nie może ci powiedzieć.

– Ani tego, co najlepsze – dodała Cloud. – Jedyne odrobinę tego, co może się zdarzyć. Ale kiedy się zdarzy: czy następnego dnia, czy następnego roku czy też za godzinę – tego również nie potrafię ci powiedzieć. Teraz pozwól mi się zastanowić. – Karty tworzyły przeplatające się koła przypominające łańcuchy myśli, a Cloud mówiła George’owi o wydarzeniach, które staną się jego udziałem: mały spadek, powiedziała, od kogoś, kogo nigdy nie znał, ale nie pieniądze, i zostawiony przez przypadek. – Widzisz, tutaj jest Podarunek, a w tym miejscu Nieznany.

Obserwując ją i śmiejąc się w duchu z tego, co robiła, a równie bezradnie z tego, co zdarzyło się tego popołudnia (i co zamierzał powtórzyć, wślizgując się cicho jak mysz, kiedy wszyscy zasną), George nie zauważył, że Cloud zamilkła, wpatrując się w układ wyłaniający się przed jej oczyma. Nie zauważył, że ściągnęła usta i zawahała się, nim położyła ostatnią kartę w środku. Było to Miejsce: Perspektywa.

– No i? – zapytał.

– Nie wiem, George – odparła.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem dokładnie. – Sięgnęła po papierośnicę, potrząsnęła nią i stwierdziła, że jest pusta. Widziała tak wiele ustawień, tyle razy stawiała karty, że czasami poszczególne układy nakładały się na siebie w jej umyśle. Z uczuciem *déjà vu* zdała sobie sprawę, że nie patrzy na pojedynczy układ, ale na jeden z całej serii, tak jakby te układy, które stworzyła dawno temu, miały zostać oznaczone napisem „ciąg dalszy”. Teraz, bez ostrzeżenia, ukazała się jej oczom właśnie kontynuacja. Jednak przede wszystkim była to przyszłość George’a.

– Jeśli Kuzyn jest tobą – zaczęła. Nie, to nie wyjdzie. Był jakiś fakt, jakiś drobiazg, o którym nie wiedziała.

George oczywiście wiedział, o jaki fakt chodzi, i nagle doznał wrażenia, że się dusi,

ogarnął go strach, że tajemnica zostanie wykryta, uczucie absurdałne, ale mimo to intensywne. Czuł się jak złapany w pułapkę.

– No dobrze – odzyskał mowę. – To wystarczy. Nie jestem pewien, czy chcę poznać całą swoją przyszłość. – Zauważył, że Cloud dotyka karty Kuzyna, a następnie karty zwanej Nasieniem. O Boże, pomyślał. I właśnie w tym momencie z podjazdu dobiegł ostry dźwięk klaksonu.

– Trzeba im pomóc wypakować zakupy – powiedziała Alice, usiłując wygramolić się z wysokiego fotela. George skoczył na równe nogi.

– Nie, skarbie, nie w twoim stanie. Siedź sobie spokojnie.

Wyszedł z pokoju, trzymając zimne dłonie w rękawach swetra jak mnich.

Alice zaśmiała się i z powrotem wzięła książkę.

– Czy przestraszyłeś go, Cloud? Co tam zobaczyłeś?

Cloud zatopiła spojrzenie w kartach, które przed nią leżały. Zaczęła teraz myśleć, że myliła się co do Najmniejszych Atutów. Myliła się sądząc, że nie mówią nic o drobnych wydarzeniach w życiu bliskich jej osób. Te drobne wydarzenia były częstkami łańcucha, a łańcuchy stanowiły wielkie zdarzenia, bardzo wielkie w istocie.

Karta Perspektywa na środku ukazywała zetknięcie się korytarzy czy przejść. Na końcu każdego korytarza znajdowała się nieskończona perspektywa rozmaitych drzwi, które różniły się łukami, nadprożami, kolumnami i tak dalej, aż wyczerpała się inwencja artysty, a jego kunsztowne rzeźbienia w drewnie przestały się czymkolwiek różnić (mimo to były przepiękne). Na końcu tych przejść można było dostrzec inne drzwi, za którymi rozpościerały się drogi wiodące w różnych kierunkach. Być może każda z nich otwierała rozmaite i nieskończone perspektywy.

Połączenie, drzwi, zakręty – tylko jedna chwila, kiedy można ogarnąć wszystkie drogi naraz. To był George – to wszystko. On był tą perspektywą, chociaż o tym nie wiedział, a ona nie miała pojęcia, jak mu o tym powiedzieć. Ta perspektywa nie stanowiła jego perspektywy, to on sam był perspektywą. A ona właśnie odkryła wszystkie możliwości. I nie potrafiła ich wyrazić. Wiedziała teraz – była tego pewna – że wszystkie układy kart, jakie kiedykolwiek stworzyła, były częstkami jednego wzoru i że George zrobił lub zrobi – albo robił w tym momencie – coś, co jest istotnym elementem w tym wzorze. A w żadnym układzie elementy nie są od siebie oderwane. Powtarzają się, łączą ze sobą. Co to mogło być? Wokół niej rozbrzmiewały odgłosy rodzinnego życia, nawoływania na schodach. Ale ona patrzyła na to miejsce, na perspektywę niekończących się odgałęzień, narożników, korytarzy. Miała wrażenie, że sama znajduje się w tym miejscu, że tuż za nią są drzwi, że siedzi tu pomiędzy nimi a pierwszymi drzwiami zobrazowanymi w kartach, że jeśli odwróci głowę, zobaczy być może niekończącą się perspektywę łuków i belek za sobą.

Zupełnie sprawiedliwe

Przez całą noc, szczególnie w zimie, dom rozmawiał cichutko sam ze sobą. Być może sprawiały to setki złączy i kamienne części oparte na drewnianych elementach. Zawodził i jęczał, mruczał i skrzypiał. Coś obluzowało się na strychu i upadło, a to z kolei spowodowało, że obluzowało się coś innego i też spadło.

Wiewiórki tupotały tu i ówdzie, a myszy myszkowały w ścianach i korytarzach. Jedna z nich skradała się późną nocą na paluszkach, trzymając pod pachą butelkę dżinu i przykładając palec do ust. Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie znajduje się pokój Sophie, i niemal potknęła się na stopniu, który wyrósł nieoczekiwanie. Wszystkie stopnie w tym domu pojawiały się nieoczekiwanie.

W głowie George'a nadal panowało popołudnie. Pellucidar nie przestał jeszcze działać, ale jak zwykle zaczął wywierać zły wpływ. Dźgał ciało i świadomość w takim samym stopniu jak przedtem, tylko że teraz z okrutną złośliwością, co wcale nie było zabawne. Skóra George'a skurczyła się i wątpił, czy rozluźni się nawet dla Sophie, o ile w ogóle znajdzie właściwy pokój. Ktoś zostawił nad obrazem zapaloną lampę i w jej świetle George dojrzał klamkę, której szukał. Był pewien, że to właściwe drzwi. Chciał szybko do nich podejść, ale klamka poruszyła się, jakby dotknięta przez ducha. Smoky wyszedł na zewnątrz, jego ramiona okrywał stary szlafrok (George zauważył czarno-biały warkocz wokół kołnierzyka i przy kieszeniach), i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Stał przy nich przez chwilę i zdawało się, że wzdycha, a następnie ruszył za narożnik korytarza.

Cholera, to nie te drzwi, pomyślał George. Co by było, gdybym wszedł do ich pokoju? A może to pokój dzieci?

Odszedł zupełnie skołowany, przeszukując bezradnie korytarz na drugim piętrze. Odczuwał pokusę, żeby zejść piętro niżej. Być może w szalonym widzie trafił omyłkowo na identyczne piętro, tylko wyżej, i zapomniał, że to zrobił. Wtem znalazł się przed drzwiami, które, jak podpowiadał mu rozum, musiały być drzwiami do jej pokoju, chociaż inne jego zmysły sprzeciwiały się temu. Otworzył je z obawą i wkroczył do środka.

Tacey i Lily spały słodko pod szerokim sufitem mansardy. W świetle nocy dostrzegł widmowe zabawki, błyszczące oko misia. Dziewczynki, z których młodsza spała nadal w dzieciennym łóżeczku jak w klatce, nie poruszyły się i już miał zamknąć drzwi, kiedy wyczuł czyjąś obecność w pokoju, w pobliżu łóżka Tacey. Zerkał ostrożnie zza drzwi.

Ktoś właśnie wydobył spod swego płaszcza ciemnego jak noc torbę ciemną jak noc. George nie widział jego twarzy, ponieważ osobnik miał na głowie ciemny jak noc hiszpański kapelusz z szerokim rondem. Podeszedł do łóżeczka, w którym leżała Lily, i palcami obciążniętymi czarnymi jak noc rękawiczkami wyjął ze swej torby szczyptę czegoś, po czym delikatnie, używając kciuka i palca wskazującego, posypał tym twarz Lily. Piasek koloru matowego złota wpadł małą strużką do jej oczu. Osobnik odwrócił się potem i miał zamiar odłożyć torbę, kiedy wyczuł obecność George'a, który stał jak wryty przy drzwiach. Rzucił mu spojrzenie znad wysokiego kołnierza płaszcza, a George ujrzał spokojną twarz o

ciemnych jak noc oczach i ciężkich powiekach. Osobnik potrząsnął swą ciężką głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nic dla ciebie, synu, nie tej nocy”. I było to zupełnie sprawiedliwe. Następnie odwrócił się, kitka zakołysała się na kapeluszu, i plaskając cicho płaszczem, odszedł w inne miejsce, do tych, którzy bardziej zasługiwali na jego obecność.

Kiedy George znalazł w końcu swoje własne przytulne łóżko, leżał godzinami bezsennie, a jego szeroko otwarte oczy chciały niemal wyskoczyć z głowy. Kołysał w ramionach butelkę dżinu, czerpiąc z niej raz po raz zimne i kwaskowe pocieszenie, a noc i dzień wirowały i mieszały się w jego świadomości jak wybuchające i płonące fajerwerki. Rozumiał tylko, że pierwszy pokój, do którego chciał wejść, ten, z którego wychodził Smoky, musiał być pokojem Sophie, musiał być. Cała reszta rozmazała się, kiedy roziskrzona koła zaczęły się miłosiernie wypalać jedno po drugim.

Gdy zbliżał się świt, zauważył, że zaczął padać śnieg.

IV

*Proste niebios odzienie i piękny strój ludzi,
Rajski ptak, krew płynąca w duszy, Mleczna Droga,
Kościelne dzwony, poza gwiazdami słyszane,
Kraj wonności wszelakich; to, co zrozumiane⁷*

George Herbert

Gwiazdka – powiedział doktor Drinkwater, a jego twarz przybliżyła się łagodnie do Smoky’ego – to taki dzień jak żaden inny w ciągu całego roku. Wydaje się, że nie stanowi wcale kontynuacji dni, które przychodzą po niej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Podjechał do Smoky’ego, zataczając duże, wprawne koła i popędził dalej.

Smoky szarpał się do przodu i do tyłu z rozrzuconymi rękoma, których nie potrafił założyć na plecach tak ładnie jak doktor, i łapał powietrze. Ale myślał, że rozumie. Daily Alice, która schowała dłonie w starej mufce, przejechała gładko koło niego, rzuciła okiem na jego bezskuteczne wysiłki i żeby mu dokuczyć, wykonała figurę imitującą jego niezgrabne ruchy. Jednak była już wtedy poza zasięgiem jego wzroku, ponieważ nic mógł oderwać oczu od własnych stóp.

W zgodzie z Newtonem

– Chodzi mi o to – ciągnął doktor Drinkwater, który pojawił się znowu obok Smoky’ego – że każde święta zdają się następować natychmiast po poprzednich, wszystkie miesiące, które były między nimi nie liczą się. Gwiazdki następują jedna po drugiej, a nie po jesieniach.

– Masz rację – wtrąciła matka, zataczając statecznie koła. Tuż za sobą ciągnęła dwie wnuczki. Wyglądały jak drewniane kaczęta przywiązane do drewnianej kaczkę. – Zdaje się, że zaraz jak się skończą jedne święta, przychodzą następne.

– Mhm – powiedział doktor. – Nie całkiem to miałem na myśli. – Skręcił jak myśliwiec i wsunął ramię pod ramię Sophie.

⁷ Fragment wiersza George’a Herberta „Modlitwa (I)” w przekładzie Stanisława Barańczaka.

– Jak tam idzie? – powiedział do Sophie, a ona roześmiała się, po czym odjechali w harmonijnym duecie.

– Z każdym rokiem idzie mi lepiej – powiedział Smoky i nagle odwrócił się wbrew swej woli. Znalazł się znowu na drodze Daily Alice. Groziło im zderzenie, ale nic nie mógł poradzić. Żałował, że nie przyczepił sobie poduszki do tyłka, tak jak na humorystycznych pocztówkach. Alice rosła w oczach, ale zatrzymała się gwałtownie i zreżcznie.

– Czy uważasz, że Tacey i Lily powinny się zapisać?

– Zostawiam tobie decyzję. – Matka znowu zbliżyła się, ciągnąc dziewczynki na sankach. Ich okrągłutkie buzie błyszczały jak jagody. Po chwili już ich nie było i Alice również. Niech kobiety się naradzą, pomyślał. On musi się zająć prostszymi rzeczami: zwykłym ruchem do przodu. Gdy znikali i pojawiali się w ten sposób, czuł się zupełnie skołowany.

– Bęc – powiedział i przewróciłby się, ale Sophie pojawiła się nagle i podtrzymała go, po czym pchnęła do przodu.

– Jak się masz? – spytała od niechcienia.

Zdaje się, że pozdrawianie się podczas mijania należało do zwyczajów łyżwiarzy.

– Niewierny – powiedziała. To zimne słowo zawisło w powietrzu jak obłoczek.

Smoky'emu wykrzywiła się lewa kostka, a prawa łyżwa odjechała sobie sama. Obrócił się wokół własnej osi i upadł ciężko na lód, odbijając sobie wrażliwą i niemal pozbawioną ciała kość ogonową. Sophie krążyła wokół niego i zataczała się ze śmiechu. Posiedzę sobie chwileczkę, aż mi kość przymarznie, pomyślał Smoky. Posiedzę przypięty do lodu jak krzaczek, aż przyjdzie odwilż. Śnieg, który padał w zeszłym tygodniu, przylgnał do ziemi. Był to tylko nocny opad, a następnego ranka powrócił ulewny deszcz i George Mouse brnął w roztopionej brei, oszołomiony i z szeroko otwartymi ustami. Wszyscy myśleli, że złapał wirusa od Sophie. Deszcz padał jak nieutulony w żalu, zatapiając szeroki trawnik, na którym milczące sfinksy chyliły się ku upadkowi. Później spadła temperatura i w wigilię Bożego Narodzenia świat przybrał szarą barwę i połyskiwał od lodu. Miał taki kolor jak stalowoszare niebo, na którym słońce stanowiło tylko rozmazaną plamkę za chmurami. Trawnik pokryła taka warstwa lodu, że można było jeździć na łyżwach. Dom wyglądał jak miniaturowy model w zestawie elektrycznych kolejek, usadowiony przy stawie wykonanym z małego lusterka.

Sophie nadal krążyła wokół niego. – Co to znaczy: niewierny? – spytał.

Uśmiechnęła się tylko tajemniczo i pomogła mu wstać, po czym odwróciła się i wykonując jakiś tajemniczy ruch, który zauważył, ale nie był w stanie go naśladować, odjechała bez wysiłku.

Na pewno lepiej by sobie radził, gdyby potrafił odkryć to niezmiennie prawo, które mówi, że jeśli jedna noga ślizga się do przodu, to druga musi się ślizgać do tyłu. Zdawało się, że można się tak ślizgać w miejscu przez całe wieki i być jedynym człowiekiem na lodzie pozostającym w zgodzie z Newtonem. Aż do upadku. Nie ma ruchu ciągłego. Ale właśnie w tym momencie zaczął co nieco pojmować i jakimś cudem przejechał po lodzie aż do stopnia

werandy, na której siedziała Cloud na futrzanym kocu, pilnując butów i termosu.

– I gdzie jest ten obiecany śnieg? – zapytał, a Cloud zaprezentowała jeden ze swych zagadkowych uśmiechów. Odkręcił termos i zdjął kubeczek. Nalał sobie herbaty cytrynowej z rumem do jednego z kubeczków umieszczonych w nakrętce, nalał też Cloud. Pił, a ciepła para roztopiała lód w nozdrzach. Był w ponurym nastroju, okropnie niezadowolony. Niewierny! Czy to miał być żart? Klejnot o wielkiej wartości, który dostał dawno temu od Alice w czasie ich pierwszego zjednoczenia się, pociemniał tak, jak ciemniej nieraz perły, i zamienił się w nicość, gdy próbował go zawiesić na szyi Sophie. Nie wiedział, co czuje Sophie, ale nie mógł uwierzyć, chociaż nauczył się od Alice, że tak może być, iż Sophie również nie zdaje sobie sprawy, że jest tak samo rozdarta, stropiona, a przy tym pogrążona w półśnie jak on. Patrzył, jak się zbliża i oddala, i zastanawiał się, wyobrażał sobie, snuł przypuszczenia.

Przemierzyła trawnik z rękoma założonymi na plecach, potem wykonała przeplatankę i podjechała do werandy. Skręciła na skraju zamrożonej sadzawki, a kiedy hamowała, powierzchnia lodu pokryła się drobnymi kryształkami. Usiadła obok Smoky'ego i wzięła mu z rąk kubeczek, oddychając szybko z wysiłku. Smoky zauważył coś w jej włosach: maleńki kwiatek albo klejnot przypominający kwiatek. Przyjrzał się uważnie i stwierdził, że to płatek śniegu tak duży i doskonale wyrzeźbiony, że można by policzyć jego płatki i części. Kiedy powiedział „płatek śniegu”, spadały już kolejne.

Listy do Świętego Mikołaja

Rodziny mają różne sposoby przekazywania swoich życzeń Świętemu Mikołajowi. Wiele osób wysyła listy, adresując je na biegun północny i nadając na długo przed Gwiazdką. Listy nigdy nie docierają do adresata, a pracownicy poczty mają własne dziwaczne metody postępowania z nimi. Nikt nie zawraca sobie głowy doręczaniem. Inna metoda, którą stosowali Drinkwaterowie (choć nikt z nich nie pamiętał, kto ją wymyślił), polegała na spalaniu listów w kominku. Używano do tego celu kominka w gabinecie, obwieszzonego myśliwskimi trofeami, zbudowanego z niebieskich kafli, na których widniały postacie łyżwiarzy i wiatraki. Wydawał się najodpowiedniejszym miejscem do tego celu, a jego komin był najwyższy. Dym (dzieci zawsze upierały się, żeby biec na dwór i na niego popatrzeć) znikał na północy albo przynajmniej w atmosferze, a Święty Mikołaj miał z niego odszyfrować życzenia. Był to skomplikowany proces, lecz chyba skuteczny, i zawsze przeprowadzano go w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy życzenia mają największą moc.

Ważne było dochowanie tajemnicy, dotyczyło to w każdym razie listów dorosłych, ponieważ dzieci nigdy nie mogły powstrzymać się przed powiadomieniem wszystkich, co chcą dostać, a poza tym listy Lily i Tacey musiał napisać ktoś dorosły i trzeba było im przypominać o wielu życzeniach, które wyrażały przed świętami, a które tymczasem zagubiły się gdzieś w bogactwie dziecięcych pragnień. Czy nie chciałaś braciszka dla Teddy'ego (misia)? Czy chcesz jeszcze dostać taką strzelbę, jaką ma dziadek? Łyżwy z podwójnymi

ostrzami? Ale dorośli mogli z pewnością zdecydować w tej sprawie za nie.

W to wigilijne, skute lodem i nasycone oczekiwaniem popołudnie Daily Alice rozsiała się w wielkim fotelu, podciągnęła kolana i oparła na nich złożoną szachownicę, używając jej jako biurka. „Drogi Święty Mikołaju – pisała – przynieś mi, proszę, nowy termofor, w jakimkolwiek kolorze, tylko nie różowy, który wygląda jak gotowane mięso, pierścionek taki, jaki ma ciocia Cloud, ale żeby pasował na środkowy palec”. Zamyśliła się i patrzyła, jak śnieg zasypuje szary świat. Było nadal widno, ale zapadał już zmrok. „Suknię z łątek – pisała – taką, która będzie sięgała aż do ziemi, parę puszystych kapci. Chciałabym, aby to dziecko urodziło się łatwiej niż dwoje poprzednich. Inne rzeczy nie są takie ważne, jeśli tylko mógłbyś sprawić to jedno. Moje ulubione cukierki byłyby miłym prezentem, tylko że nigdzie już nie można ich dostać. Z góry dziękuję. Alice Barnable (starsza siostra)”. Zwyczaj dodawania uwagi w nawiasie pozostał jej z dzieciństwa. Chciała uniknąć pomyłek. Rozmyślała jeszcze, pochylając się nad małą błękitną karteczką z notesiku, na której tych kilka życzeń ledwie się mieściło. „PS – dopisała. – Gdybyś mógł zawrócić moją siostrę i mojego męża z tej drogi, po której razem kroczą, dokądkolwiek ich wiedzie, byłabym niewymownie wdzięczna. ADB”.

Złożyła karteczkę z roztargnieniem. W dziwnej ciszy, wywołanej przez padający śnieg, słychać było stukanie ojca maszyny do pisania. Cloud siedziała przy małym stoliku, opierając policzek na dłoni, i pisała koniuszkiem ołówka. Oczy miała zamglone jakby od łez, chociaż ostatnio jej wzrok często wydawał się przyćmiony. Być może z powodu starości. Alice oparła głowę na miękkim oparciu fotela, a jej spojrzenie powędrowało w górę.

Nad jej głową w gabinecie wyobraźni usadowił się Smoky, zaopatrzony w filiżankę herbaty z rumem, i pisał list. Zmarnował jedną kartkę, ponieważ chybotliwe biurko chwiała się, kiedy pisał swym starannym pismem. Podłożył pod nogę biurka spłaszczone pudełko zapalek i zaczął od nowa. „Drogi Święty Mikołaju. Pozwól, że na początek wyjaśnię ci zeszłoroczne życzenie. Nie będę się tłumaczył mówiąc, że byłem odrobinę pijany, chociaż byłem i nadal jestem (to zaczyna się stawać bożonarodzeniowym zwyczajem, tak jak wszystko, co dotyczy świąt staje się zwyczajem, ale przecież ty wiesz o tym doskonale). W każdym razie jeśli Cię zaszokowałem lub przeceniłem tą prośbą twoje możliwości, przepraszam. Chciałem tylko być bezceremonialny i potraktować wszystko na luzie. Wiem (to znaczy przypuszczam), że nie leży w twojej mocy ofiarowanie jednej osoby drugiej, ale prawda jest taka, że moje życzenie zostało spełnione. Być może tylko dlatego, że pragnąłem tego wówczas bardziej niż czegokolwiek, a jeśli się czegoś bardzo pragnie, to można to zdobyć. Zatem nie jestem pewien, czy mam ci dziękować, czy nie. Nie wiem, czy jesteś za to odpowiedzialny, i nie wiem również, czy jestem ci wdzięczny”.

Gryzł przez chwilę koniuszek ołówka, rozmyślając o bożonarodzeniowym poranku, kiedy to poszedł do pokoju Sophie, żeby ją obudzić. Było tak wcześnie (Tacey nie mogła się doczekać), że okna spowijała jeszcze ciemność. Zastanawiał się, czy powinien opisać tę

historię. Nigdy nikomu o tym nie opowiadał, ale intymny charakter tego listu, który miał zostać spalony w kominku, kusił go do zwierzeń. O nie.

Doktor miał rację, że Gwiazdka następuje raczej bezpośrednio po Gwiazdce, a nie po dniach, które ją poprzedzają. Dla Smoky'ego stało się to oczywiste w ciągu kilku ostatnich dni. Przyczyną nie był powtarzany co roku rytuał: drzewko przyniesione do domu, prześlicznie ozdobione starymi ozdobami, belki pod sufitem udekorowane zielonymi roślinami. Dopiero od poprzednich świąt wszystko to zostało nasycone głębokimi emocjami, które nie miały nic wspólnego z okresem świąt. W dzieciństwie Gwiazdka znaczyła dla niego nie więcej niż Halloween, kiedy to maszerował w masce i przebraniu (jako pirat lub klaun) przez noc pełną ognia i dymu. Jednak zrozumiał, że odtąd te uczucia będą go spowijając jak śnieg każdego roku o tej porze. To ona była przyczyną, a nie ten, do którego pisał list.

„Moje pragnienia – zaczął od nowa – są w tym roku dziwnie nieokreślone. Chciałbym mieć jeden z tych przyrządów, których używa się do ostrzenia staroświeckiej kosiarki do trawy. Chciałbym też zagubiony tom Gibbona (vol. II), który ktoś pewnie zabrał z biblioteczki, żeby go użyć jako schowka albo czegoś w tym rodzaju i zgubił”. Zastanawiał się, czy nie podać daty wydania i wydawcy, ale ogarnęło go głębokie poczucie daremności tego, co robi. „Drogi Święty Mikołaju – pisał. – Chciałbym być tylko jedną osobą, a nie całym tłumem, część z nich chce odwrócić się plecami i uciec, kiedy tylko ktoś – miał na myśli Alice, Sophie, Cloud, doktora, matkę, ale przede wszystkim Alice – na nie spojrzy. Pragnę być odważny i uczciwy i dźwigać swój ciężar. Nie chcę uciekać i pozwolić, żeby garstka figlarnych zjaw kierowała moim życiem za mnie”. Przerwał, dochodząc do wniosku, że jego słowa stają się niezrozumiałe. Zastanawiał się, jakiego zwrotu grzecznościowego użyć na zakończenie. Pomyślał o „Twój na zawsze”, ale po namyśle uznał, że mogłoby się to wydawać ironiczne lub drwiące, więc napisał tylko „Twój itd.” tak jak miał to w zwyczaju jego ojciec. Wówczas wydawało się to dwuznaczne i chłodne. Ale co tam, do diabła. Podpisał list „Evan S. Barnable”.

Zgromadzili się na dole w gabinecie, trzymając swe listy i kieliszki napełnione ajerkoniakiem. Doktor złożył swój list jak prawdziwą korespondencję, a na odwrotnej stronie widniały odbite ślady znaków interpunkcyjnych. Matka spisała życzenia na kawałku papieru oderwanym z brązowej torby. Wyglądało to jak lista zakupów. Ogień pochłoniął je wszystkie, chociaż początkowo odrzucił list Lily, która marszcząc twarz próbowała wrzucić kawałek papieru do paszczy ognia. Nie można rzucić kawałeczka papieru – nauczy się tego, kiedy dorośnie i zmądrzeje. Tacey nalegała, żeby wyszli na dwór popatrzeć. Smoky wziął ją za rękę, a Lily posadził sobie na barana. Wyszli na zewnątrz. Nadal sypał śnieg, który w blasku światła domostwa wyglądał widmowo. Patrzyli, jak dym unosi się, topiąc płatki śniegu, które znalazły się na jego drodze.

Kiedy Święty Mikołaj otrzymał te przesyłki, ściągnął z za uszu rączki okularów, po czym kciukiem i palcem wskazującym pogładził bolące miejsce między oczami. Co miał zrobić z

tymi życzeniami? Strzelba, miś, rakiety śnieżne, parę ładnych rzeczy i parę pożytecznych, no cóż... Ale co do reszty... Co też ci ludzie sobie myślą? Ale robiło się późno. Jeśli oni, czy ktokolwiek inny, będą jutro rozczarowani tym, co przyniósł, nie zdarzy się to po raz pierwszy. Zdjął z wieszaka futrzaną czapkę i nałożył rękawiczki. Wyszedł na dwór i poczuł się nieopisanie znużony, chociaż jego podróż nawet się jeszcze nie zaczęła. Znajdował się na roziskrzonym kolorami arktycznym pustkowiu, a nad nim błyszczały miliony gwiazd. Ich bliska jasność zdawała się dźwięczeć tak, jak dzwoniła uprząż jego reniferów, które podniosły włochate łby, gdy się zbliżył, tak jak dźwięczał wieczny śnieg, gdy kroczył po nim obutymi nogami.

Miejsce dla jeszcze jednego

Zaraz po świętach Sophie zaczęła czuć się tak, jakby jej ciało ktoś ustawicznie zwijał i odwijał od nowa. Sensacje te przyprawiły ją o zawrót głowy, dopóki nie zrozumiała ich przyczyny. Gdy pojęła już powód, objawy te wydały jej się interesujące, a nawet napawały lękiem. W końcu (o wiele później, kiedy cały proces został zakończony, a nowy lokator zainstalował się na dobre i czuł jak w domu) zaczęła odczuwać spokój: uczucia były nieraz tak głębokie jak nowy rodzaj słodkiego snu. A jednak przepelniało ją również oczekiwanie. Tak, oczekiwanie to najwłaściwsze słowo!

Kiedy ojciec Sophie dowiedział się o jej stanie, niewiele mógł powiedzieć, ponieważ został powołany do istnienia w taki sam sposób jak istota, którą nosiła jego córka. Jako ojciec musiał okazać powagę, która jednak nie oznaczała potępienia. Nigdy nie powstała kwestia: co z tym zrobimy. Drżał na samą myśl, co by się stało, gdyby ktokolwiek wpadł na taki pomysł, kiedy wzrastał we wnętrzu Amy Meadows.

– O mój Boże, znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby – oznajmiła matka, ocierając łzę. – W końcu nie zdarza się to po raz pierwszy na świecie. – Tak jak cała rodzina zastanawiała się, kto jest ojcem dziecka, ale Sophie nic nie mówiła na ten temat, a raczej oświadczyła najciszej, jak umiała, że nic nie powie. Tak więc z konieczności temat ojcostwa nie był podejmowany.

Ale oczywiście trzeba było poinformować Daily Alice.

To właśnie ona dowiedziała się jako pierwsza, albo prawie pierwsza, o nowinie i tajemnicy.

– Smoky – oznajmiła Sophie.

– Och, Sophie, nie.

– Tak – potwierdziła, stojąc w wyzywającej pozie w drzwiach pokoju Alice; nie miała ochoty wchodzić do środka.

– Nie mogę uwierzyć, żeby on to zrobił.

– Lepiej uwierz – powiedziała Sophie. – Lepiej się przyzwyczaj. Musisz się oswoić z tą myślą, bo nic się nie da cofnąć.

Jakiś drobny grymas w twarzy Sophie – a może tylko nieprawdopodobieństwo tego, co powiedziała – zastanowił Alice.

– Sophie – zaczęła miękko po chwili milczenia, podczas której mierzyły się nawzajem wzrokiem. – Czy ty śpisz?

– Nie – odparła oburzonym tonem. Ale był wczesny ranek i Sophie miała na sobie nocną koszulę. Smoky dopiero przed godziną opuścił wysokie łóżo, drapiąc się po głowie, i poszedł do szkoły. Sophie obudziła Alice – było to takie niezwykle, takie odmienne od codziennych zwyczajów, że przez chwilę Alice miała nadzieję... Złożyła głowę na poduszce i zamknęła oczy, ale ona również nie spała.

– Czy nigdy nie podejrzewałaś? – zapytała Sophie. – Nigdy ci nie przyszło do głowy?

– Och, chyba tak. – Przykryła oczy dłonią. – Oczywiście, że tak. – Sposób, w jaki Sophie zadała pytanie, dowodził, że czułaby się rozczarowana, gdyby Alice nie wiedziała. Usiadła, nagle rozzłoszczona. – Ale to! Wy dwoje! Jak mogliście być tacy głupi?

– Chyba nas poniosło – odparła spokojnie Sophie. – No wiesz.

Pod spojrzeniem Alice odwaga Sophie ulotniła się i dziewczyna spuściła wzrok. Alice podciągnęła się na łóżku i oparła o wezgiłowie.

– Czy musisz tam stać? – rzuciła. – Nie mam zamiaru cię uderzyć.

Sophie nadal stała w drzwiach. Wyglądała na poły niepewnie, na poły wojowniczo, jak Lily, kiedy coś rozlała i bała się, że grozi jej nie tylko sprzątanie po sobie, ale gorsza kara. Alice przywołała siostrę niecierpliwym gestem.

Bose stopy Sophie zaplaskały na podłodze, a kiedy wdrapała się na łóżko, uśmiechając się dziwnie nieśmiało, Alice wyczuła jej nagość pod flanelową koszulą. Przywiodło jej to na myśl minione lata, ich dawną bliskość. Tak nas mało, pomyślała, tak wiele miłości, a tak mało osób, które można nią obdarzyć. Nic dziwnego, że tak się to wszystko pogmatwało.

– Czy Smoky wie? – zapytała chłodno.

– Tak – odparła Sophie. – Powiedziałam mu pierwszemu.

Zabolało ją, że Smoky jej nie powiedział. Po raz pierwszy odkąd Sophie weszła do pokoju, Alice poczuła coś, co można by nazwać bólem. Pomyślała o tym, jak musiał się czuć z tym ciężarem, podczas gdy ona o niczym nie wiedziała. Te myśli przeszywały ją jak sztylet.

– I co zamierza zrobić? – zadała następne pytanie, jak w katechizmie.

– On nie... On nie...

– Może lepiej byście coś postanowili? Wspólnie.

Usta Sophie zadrżały. Zapas odwagi, z którym tu przyszła, wyczerpywał się.

– Och, Alice, nie bądź taka – błagała. – Nie sądziłam, że będziesz taka.

Ujęła dłoń Alice, ale siostra odwróciła wzrok i przycisnęła knykcie drugiej dłoni do ust.

– Wiem, że możesz nas nienawidzić za to, co zrobiliśmy – powiedziała Sophie, starając się wyczytać coś z twarzy Alice. – O tak, Alice, ale...

– Nie czuję do was nienawiści, Sophie. – Alice, jakby wbrew swej woli, zacisnęła mocno

palce na dłoni Sophie. Nadal nie patrzyła na siostrę. – Chodzi o to... – Sophie obserwowała, jak Alice stacza wewnętrzną walkę. Nie śmiała się odezwać, tylko mocniej objęła dłoń siostry, czekając, co ta powie. – Widzisz, myślałam... – Znowu umilkła i odchrząknęła, ponieważ coś ścisnęło ją za gardło. – Sama wiesz – powiedziała. – Pamiętasz przecież: Smoky został wybrany dla mnie, tak myślałam. Myślałam, że tak właśnie ma być w naszej historii.

– Tak. – Sophie spuściła oczy.

– Ale ostatnio zdaje mi się, że nie pamiętam tego zbyt dobrze. Nie mogę ich sobie przypomnieć. Tego jak było... Pamiętam, ale nie... to uczucie. Wiesz, co mam na myśli? Jak to było, z Auberonom, dawno temu.

– Och, Alice – powiedziała Sophie. – Jak mogłaś zapomnieć?

– Cloud stwierdziła: kiedy dorośniesz, zamienisz to, co miałaś jako dziecko, na to, co masz jako osoba dorosła. A jeśli nie, to i tak to utracisz, a w zamian nie dostaniesz nic. – Łzy zabłyśły w jej oczach, chociaż głos jej nie zdrzął. Łzy wydawały się bardziej częścią historii, którą opowiadała, niż częścią jej samej.

– I pomyślałam: więc zamieniłam ich na Smoky'ego. A oni to zaplanowali. I wszystko było w porządku... Mimo że już ich nie pamiętałam, miałam Smoky'ego... – Jej głos zdrzął teraz. – Chyba się myliłam.

– Nie! – zaprotestowała Sophie, tak przerażona, jakby Alice wypowiedziała bluźnierstwo.

– To chyba normalne – powiedziała Alice i westchnęła z drzeniem. – Chyba miałaś rację, kiedy braliśmy ślub, że ty i ja nigdy nie będziemy mieć tego, co kiedyś miałyśmy. Poczekaj, zobaczysz, powiedziałaś...

– Nie, Alice, nie! – Sophie schwyciła siostrę za ramię, jak gdyby chciała powstrzymać dalsze słowa. – Ta historia była prawdziwa, była, zawsze to wiedziałam. Nigdy przenigdy nie mów, że nie była. To była najprawdziwsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam, i okazała się prawdziwa, tak jak powiedzieli. Och, Alice, tak ci zazdrościłam, to było cudowne i zazdrościłam ci...

Alice zwróciła twarz w stronę siostry. Sophie przeraził jej wyraz: nie malował się na niej smutek, chociaż łzy migotały w oczach Alice, ani złość.

– Chyba nie masz już powodu do zazdrości – powiedziała Alice. – Naciągnęła koszulę nocną Sophie na jej ramię, z którego się ześlizgnęła. – I co teraz? Musimy pomyśleć, co zrobić...

– Kłamałam – oświadczyła Sophie.

– Co? – Alice patrzyła na nią, nic nie pojmując. – Kiedy kłamałaś?

– To kłamstwo, to kłamstwo! – Sophie niemal krzyczała, wyrzucając to z siebie. – To wcale nie Smoky! Skłamałam! – Nie mogąc już dłużej znieść wyrazu obcości na twarzy Alice, Sophie wtuliła głowę w jej łono i zaniosła się łzami. – Tak mi przykro... Tak ci zazdrościłam. Chciałam być częścią twojej historii, to wszystko. Och, czy nie rozumiesz, że

on by nie mógł, on cię tak bardzo kocha. I ja bym tego nie zrobiła, ale brakowało mi ciebie. Ja też chciałam mieć historię, chciałam... Och, Alice.

Alice, bezgranicznie zdumiona, gładziła tylko Sophie po głowie i pocieszała ją bezwiednie. Potem powiedziała:

– Zaraz, zaraz, Sophie, posłuchaj. – Ujęła twarz siostry w dłonie i uniosła ją. – Czy to znaczy, że nigdy...

Sophie zaczerwieniła się. Widać to było nawet poprzez łzy spływające po jej twarzy.

– No tak, raz czy dwa. – Uniosła dłoń jak do przysięgi. – Ale to była moja wina, za każdym razem. – Gorączkowym gestem odrzuciła włosy, które przylepiły się do mokrej twarzy. – On zawsze czuł się potem okropnie.

– Raz czy dwa?

– No, trzy razy.

– To znaczy, że wy...

– Trzy i pół. – Sophie powstrzymała chichot i wytarła twarz w kołdrę. Pociągnęła nosem.

– Całe wieki trwało, zanim się na to zdecydował, a w końcu był taki spięty, że właściwie nigdy nie było zbyt zabawnie.

Alice, zdziwiona, nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Sophie zawtórowała, chociaż przypominało to raczej szloch, ponieważ miała zatkaany nos.

– No cóż. – Rozłożyła ręce i opuściła je na łono. – No cóż.

– Ale zaraz... – powiedziała Alice. – Jeśli to nie Smoky, to w takim razie kto? Sophie?

Sophie zdradziła jej tajemnicę.

– Nie.

– Tak.

– Ze wszystkich ludzi. Ale skąd masz pewność? To znaczy...

Sophie wyluszczyła jej powody, wyliczając je na palcach.

– George Mouse – powiedziała Alice. – Ze wszystkich ludzi. Sophie, to prawie kazirodztwo.

– Och, daj spokój – broniła się Sophie. – To się zdarzyło tylko raz.

– Więc on...

– Nie! – zawołała Sophie i położyła dłonie na ramionach siostry. – Nie, on się nie dowie. Nigdy. Obiecuj to, Alice. Połóż dłoń na sercu. Nigdy mu nie powiesz, nigdy. Czułabym się strasznie zażenowana.

– Och, Sophie! – Co za zdumiewająca osoba, pomyślała Alice. Co za dziwna osoba! I zdała sobie nagle sprawę, że przez długi czas ona również tęskniła za Sophie. Zapomniała, jaka jest jej siostra. Zapomniała nawet, że brak jej Sophie. – W takim razie co powiemy Smoky'emu? Przecież to by znaczyło, że on...

– Tak. – Sophie drżała. Dreszcze przebiegały przez jej klatkę piersiową. Alice przesunęła się, a Sophie wśliznęła się pod kołdrę i wtuliła w ciepłe miejsce po Alice. Jej stopy w

zatknięciu z nogami Alice wydawały się lodowate, więc ocierała palce u nóg o ciało siostry, żeby się rozgrzać.

– To nie jest prawda, ale przecież nie byłoby w tym nic złego, gdybyśmy pozwoliły mu myśleć, że to prawda. Dziecko musi mieć jakiegoś ojca – powiedziała Sophie. – I niech to nie będzie George, na miłość boską. – Ukryła twarz na piersi Alice, a po chwili milczenia powiedziała cichutko: – Chciałabym, żeby to Smoky był ojcem. – A zaraz potem dodała: – Powinien być. – Po długiej chwili milczenia Sophie dorzuciła: – Tylko pomyśl. Dziecko.

Alice zdawało się, że czuje, jak Sophie się uśmiecha. Czy można czuć czyjś uśmiech, kiedy ta osoba wciska twarz w nasze ciało?

– Może i tak – powiedziała i przygarnęła siostrę do siebie. – Nie potrafię nic innego wymyślić.

W jaki dziwny sposób żyją, pomyślała. Gdyby nawet dożyła stu lat, i tak tego nie pojmie. Uśmiechnęła się oszołomiona i pokiwała głową. Poddała się. Co za rezultat! Ale od tak dawna nie widziała Sophie szczęśliwej. Jeśli czuła się szczęśliwa, a przecież na to wyglądało, to mogła tylko cieszyć się razem z nią. Sophie, rozkwitająca w nocy, zakwitła w dzień.

– On cię naprawdę kocha – powiedziała Sophie stłumionym głosem. – Zawsze będzie cię kochał. – Ziewnęła szeroko i zadrżała. – To wszystko była prawda.

Może istotnie. Ogarnęło ją przeczucie i opłotło tak, jak oplatały ją długie, znajome kończyny Sophie. Być może nie miała racji co do wymiany. Może przestali ją zmuszać, by podążała ich śladem tylko dlatego, że już dawno dotarła tam, gdzie chcieli, aby dotarła. Nie utraciła ich, ale jednak nie musiała już za nimi podążać, ponieważ znalazła się tam, gdzie miała być. Uścisnęła nagle Sophie i powiedziała: Ach!

Ale jeśli znalazła się tam, gdzie miała być, to co to właściwie było za miejsce? I gdzie znajdował się Smoky?

Podarunek, który mają ofiarować

Kiedy przyszła kolej na Smoky'ego, Alice usiadła na łóżku, żeby go powitać. Rozparła się na poduszkach jak egzotyczna królowa i paliła brązowego papierosa Cloud, jak to miała w zwyczaju, gdy czuła się wspaniale.

– No i co – powiedziała wielkodusznie – jakieś tarapaty?

Zakłopotany do granic wytrzymałości (i głęboko zmieszany – myślał, że był taki ostrożny, mówią, że to się zawsze może zdarzyć, ale jak?), Smoky kręcił się po pokoju, podnosząc małe przedmioty, przyglądając się im i odstawiając z powrotem.

– Nigdy się tego nie spodziewałem – wyrwało mu się.

– Nie. To chyba zawsze przychodzi nieoczekiwanie. – Patrzyła, jak Smoky chodzi w tę i z powrotem przy oknie, zerka poprzez zasłony na księżyc odbity na śniegu, jak gdyby był wygnańcem, wyglądającym ze swej kryjówki. – Czy mam ci powiedzieć, co się stało?

Odwrócił się od okna. Jego ramiona pochyliły się pod tym brzemieniem. Tak długo bał

się zdemaskowania, przyłapania na gorącym uczynku tłumu źle ubranych postaci, w które się wcielał. Bał się, że w końcu wyjdzie na jaw ich niedopasowanie.

– To była wszystko moja wina – powiedział. – Nie powinnaś nienawidzić Sophie.

– Tak?

– Zmusiłem ją do tego, naprawdę. Sam to ukułem. Jak, jak...

– Mhm.

W porządku, ty łapserdaku, pokaż swoje oblicze, pomyślał Smoky. To dotyczy ciebie. Ciebie. Odchrząknął, pogładził bródkę, wyznał wszystko albo prawie wszystko. Alice słuchała, bawiąc się papierosem. Pragnęła, by razem z dymem opuściło ją uczucie słodkiej wspaniałomyślności, które dławiło ją w gardle. Wiedziała, że nie wolno jej się uśmiechać, kiedy Smoky opowiada swoją historyjkę, ale czuła dla niego tyle życzliwości i bardzo chciała objąć go i ucałować tę duszę, która odbijała się w jego oczach. Był taki odważny i uczciwy. W końcu powiedziała:

– Nie musisz się tak kręcić w kółko. Usiądź tutaj.

Usiadł, wykorzystując jak najmniejszy skrawek łóżka, które zdradził.

– To się zdarzyło tylko raz albo dwa – wyznał. – Nie chcę...

– Trzy razy – poprawiła. – I pół. – Zaczerwienił się gwałtownie. Miała nadzieję, że wkrótce będzie w stanie spojrzeć na nią i zauważyć, że uśmiecha się do niego. – Prawdopodobnie nie zdarzyło się to pierwszy raz w historii świata – dodała. Nadal nie podnosił oczu. Pewnie był innego zdania. Jego zawstydzone „ja” siedziało mu na kolanach jak kukielka brzuchomówcy. Słyszał własny głos:

– Obiecałem, że zaopiekuję się dzieckiem, że będę poczuwał się do odpowiedzialności. Muszę.

– Oczywiście. To jedyne słuszne rozwiązanie.

– Wszystko już skończone. Przysięgam, Alice, skończone.

– Nie mów tak – powiedziała. – Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie!

– No dobrze. Zawsze znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

– O nie.

– Przepraszam.

– Zasłużyłem na to.

Nieśmiało, nie chcąc pomniejszać jego poczucia winy i skruchy, Alice wsunęła ramię po jego rękę i splotła palce z jego palcami. Po chwili udręki odwrócił się i spojrzał na nią. Uśmiechnęła się.

– Bałwan – powiedziała. W jej brązowych oczach widział swoje odbicie. Siebie. Co się dzieje? Pod wpływem jej spojrzenia działo się z nim coś zupełnie nieoczekiwanego: stapiały się i łączyły ze sobą cząstki, które nigdy nie mogły istnieć samodzielnie, ale razem tworzyły jego istotę. – Ty głuptasie – powiedziała i kolejna ułomna i niekompletna cząstka jego

jestestwa trafiła na swoje miejsce.

– Posłuchaj, Alice – zaczął, ale ona zakryła mu usta dłonią, jakby bała się, że to, co dzięki niej wróciło na swoje miejsce, znowu się wymknie.

– Nie chcę już niczego słyszeć.

To było zdumiewające. Zrobiła to z nim raz jeszcze. To, co zdarzyło się po raz pierwszy w bibliotece George’a Mouse’a, w której go odkryła. Tylko że tym razem nie stworzyła go z niczego, tak jak wtedy, ale z kłamstw i ułudy. Lodowaty strach ścisnął go za serce: a gdyby w swej głupocie posunął się tak daleko, że utraciłby ją? Co wtedy? Co by wtedy począł? Pośpiesznie, zanim powstrzymałaby go krótkim „nie”, zaofiarował jej różgę. Ale ona poprosiła o nią tylko po to, by móc oddać ją w nienaruszonym stanie, oddać wraz ze swym sercem.

– Smoky – powiedziała. – Smoky, wracając do tego dziecka...

– Tak.

– Wolałbyś dziewczynkę czy chłopca?

– Alice...!

Zawsze miała nadzieję i niemal w to wierzyła, że przygotowali jakiś podarunek, który ofiarują w stosownej chwili, w czasie ustalonym przez nich. Sądziła nawet, że gdy w końcu nadejdzie ten moment, będzie o tym wiedziała. I tak się stało.

Ptaka ze Starego Świata

Wiosna, zagarniająca świat zrazu powoli, a potem coraz szybciej, wypędzała wszystkich na dwór. Zdawała się rozplątywać zagmatwany motek ich istnień i wyprowadzać ich życie na właściwe ścieżki, rozrzucać ich wokół Edgewood jak ogniwa złotego naszyjnika: tym bardziej złote, im cieplej robiło się na dworze.

Po długim spacerze w pewien odwilżowy dzień doktor opowiadał o bobrach, które opuszczały zimowe legowisko: najpierw wyszły dwa, potem trzeci, wreszcie sześć. Spędziły pół roku uwięzione jak w pułapce w norze pod lodem, nie większej niż one same, wyobraźcie to sobie. Matka i pozostali członkowie rodziny jęknęli i pokiwali głowami, jak gdyby dobrze wiedzieli, jak to jest.

Pewnego dnia, kiedy Daily Alice i Sophie pracowały radośnie w ogródku, nie tylko po to, aby upiększyć kwiatowe rabaty, ale również i po to, by czuć chłód odradzającej się ziemi za paznokciami i pod palcami, wielki biały ptak zniżał powoli lot. Zrazu wyglądał jak gazeta unoszona z wiatrem albo uciekająca biała parasolka. Ptak, który niósł w długim, czerwonym dziobie kijek, usiadł na dachu, na żelaznym elemencie przypominającym koło, który stanowił fragment mechanizmu (zardzewiałego i nie działającego od wieków) starego planetarium. Ptak przedreptywał długimi czerwonymi nogami w tym miejscu. Położył tam kijek, przechylił łebek i przesunął przedmiot w inne miejsce. Potem rozejrzał się, zaklekotał i rozpostarł skrzydła jak wachlarz.

- Co to jest?
- Nie wiem.
- Czy buduje tam gniazdo?
- Zaczyna.
- Wiesz, co to przypomina?
- Bociana.

– To nie może być bocian – stwierdził doktor, kiedy mu opowiedziały. – Bociany pochodzą z Europy albo ze Starego Świata. Nigdy nie przelatują nad wielką wodą. – Pospieszył z córkami na dwór. Sophie wskazała rydłem miejsce, gdzie teraz siedziały już dwa białe ptaki i leżały kolejne gałązki na gniazdo. Ptaki klekotały i wyciągały do siebie szyje jak nowożeńcy, którzy nie są w stanie przerwać pieszczot nawet na czas prac domowych.

Doktor Drinkwater przez dłuższą chwilę przecierał oczy z niedowierzaniem i upewnił się za pomocą okularów i swych ksiąg, że się nie myli, że nie jest to gatunek czapli, ale prawdziwy europejski bocian, *Ciconia alba*. Wielce podniecony, udał się do swego gabinetu i napisał w trzech egzemplarzach sprawozdanie na temat tego przedziwnego i niemającego precedensów zjawiska. Chciał wysłać te raporty do różnych towarzystw ornitologicznych, do których w mniejszym lub większym stopniu należał. Szukał znaczków, mruczając pod nosem „zdumiewające”, ale nagle znieruchomiał i zamyślił się. Popatrzył na listy leżące na biurku, zaprzestał poszukiwania znaczków i usiadł powoli, wpatrując się w sufit, jak gdyby chciał zobaczyć białe ptaki nad sobą.

Najpierw Lucy, potem Lilac

Bocianica istotnie przebyła ogromną odległość i przyleciała z innego kraju, ale nie przypominała sobie, żeby przemierzała wielką wodę. Miejsce to bardzo jej odpowiadało. Z wysokiego dachu domu widziała rozległą okolicę, mogła patrzeć czerwonymi oczami na punkty, które wskazywał jej dziób. Jasne, ciepłe dni przynosiły powiewy, które wzburzały jej rozgrzane od słońca piórka. Zdawało jej się wtedy, że sięga wzrokiem aż do miejsca, skąd miało nadejść jej długo oczekiwane wyzwolenie z ptasiej formy, którą zamieszkiwała nie wiadomo jak długo. Pewnego razu widziała nawet przebudzenie Króla, który spał i będzie spał w górach jeszcze długo w otoczeniu swych towarzyszy. Jego ruda broda urosła w czasie snu tak bardzo, że jej pędy owijały się niczym bluszcz wokół nóg stołu biesiadnego, na którym chrapał. Widziała, jak pociągnął nosem i poruszył się. Wydawało się, że przeraził go jakiś sen, który mógł nawet spowodować przebudzenie. Widziała to i serce jej zadrżało, ponieważ była pewna, że wraz z jego przebudzeniem, które nastąpi za jakiś czas, nadejdzie też jej wyzwolenie. W przeciwieństwie do innych, których imiona знаła, będzie cierpliwa. Raz jeszcze będzie wysiadywała jaja podobne do kamyków i doczeka się wylęgu nieupierzonych piskląt. Będzie stąpała dostojnie wśród wodorostów Liliowego Stawu i wyszukiwała dla nich nowe pokolenie żab. Będzie darzyła miłością swego obecnego męża –

jest naprawdę kochany, cierpliwy i troskliwy i bardzo jej pomaga przy małych. Nie będzie tęskniła, tęsknota jest zabójcza.

Kiedy latem wszyscy wyruszyli na pokryte pyłem drogi, Alice urodziła dziecko. Swjej trzeciej córeczce dała na imię Lucy, chociaż Smoky uważał, że imię to jest zbyt podobne do imion dwóch starszych córek, Tacey i Lily, i wiedział, że przynajmniej przez następnych dwadzieścia lub trzydzieści lat będzie mylił imiona córek.

– To nic – powiedziała Alice. – To i tak ostatnie dziecko. – Ale myliła się. Miała jeszcze urodzić chłopca, o czym nawet Cloud nie wiedziała.

Jeśli pokolenie było tym, czego pragnęli, jak kiedyś przewidziała Sophie, gdy siedziała skulona i pogrążona w półśnie przy starej altance nad jeziorem, był to dla nich szczęśliwy rok. Po zrównaniu dnia z nocą, które przyniosło szron pokrywający drzewa szarym nalotem, nie pogrzało niesamowitego i niekończącego się lata, natomiast przywołało z ziemi zaniepokojone krokusy i zawezwało z kopców niespokojne dusze Indian, Sophie powiła dziecko przypisywane Smoky'emu. Potęgując jeszcze zamieszanie, dała swjej córce na imię Lilac, ponieważ przyśniło jej się, że matka weszła do pokoju z wielkim naręczem lilii, które uginały się pod brzemieniem niebieskich, pachnących kwiatów. I w tym momencie obudziła się i ujrzała matkę z nowo narodzoną dziewczynką na ręku. Tacey i Lily przyszły również. Tacey niosła ostrożnie swą trzymiesięczną siostrę Lucy, żeby i ona mogła zobaczyć niemowlę.

– Widzisz, Lucy? Widzisz dzidziusia? Taki sam jak ty.

Lily wdrapała się na łóżeczko, żeby z bliska przyjrzeć się twarzy Lilac. Dziewczynka leżała wygodnie w ramionach rozczulonej Sophie.

– Nie zostanie długo – oświadczyła po tych oględzinach.

– Lily! – powiedziała matka. – Jak możesz mówić takie straszne rzeczy!

– Nie straszne. – Popatrzyła na Tacey. – Prawda?

– Nie zostanie. – Tacey uniosła Lucy w ramionach. – Ale to nic. Wróci. – Widząc przerażenie babci, dodała: – Och, nie martwcie się. Ona nie umrze ani nic takiego. Po prostu nie zostanie z nami.

– Ale wróci – dorzuciła Lily. – Później.

– Dlaczego mówicie takie rzeczy? – zapytała Sophie, nie mając pewności, czy znajduje się już z powrotem na świecie i czy się czasem nie przesłyszała.

Obie dziewczynki jednocześnie wzruszyły ramionami. Zrobiły to dokładnie w taki sam sposób: szybko uniosły, po czym opuściły ramiona i brwi, jak gdyby to, co powiedziały, było dla nich oczywiste. Patrzyły, jak matka, kiwając głową, pomaga Sophie przystawić różowobiałą Lilac do piersi (cudowne uczucie, sprawiające leciutki ból). Kiedy Lilac ssała, Sophie znowu zasnęła, otumaniona z wyczerpania i zachwytu, i to samo zrobiła najwyraźniej Lilac, którą być może ogarnęły podobne uczucia. Chociaż została przecięta pępowina, która je łączyła, śnił im się ten sam sen.

Następnego ranka bocianica opuściła dach Edgewood i swoje hałaśliwe gniazdo. Jej dzieci odleciały bez pożegnania i przeprosin – których zresztą nie oczekiwała – i mąż również ją opuścił, wyrażając nadzieję, że spotkają się ponownie następnej wiosny. Ona sama czekała tylko na przybycie Lilac, żeby móc przekazać wieści o jej narodzinach (dotrzymywała obietnic), i teraz odlatywała w przeciwną stronę niż jej rodzina.

Wysuwając do przodu długi dziób, biła skrzydłami powietrze jesiennego świtu, a jej wyciągnięte nogi sunęły po niebie jak wstęgi.

Małe, duże

Usiłując nie wierzyć w nadejście zimy, tak jak Polna Myszka, Smoky sycił wzrok widokiem letniego nieba. Leżał w nocy na ziemi, wpatrując się w niebiosa, chociaż w nazwie miesiąca było „r”, a Cloud uważała, że to źle wpływa na nerwy, kości i tkankę. Dziwne, że zmieniające się gwiazdozbiory, tak wrażliwe na przemijanie pór roku, były tym, co chciał zapamiętać z tego lata. Obroty nieba wydawały się tak wolne i nieprawdopodobne, że to go pocieszało. Jednak wystarczyło tylko spojrzeć na zegarek, żeby stwierdzić, że gwiazdozbiory pognały na południe zupełnie jak gęsi.

Tej nocy wzeszedł gwiazdozbiór Oriona, a zaszedł Skorpion. Z powodów znanych tylko samej pogodzie noc była tak ciepła jak w sierpniu – znak, że to ostatnia noc lata. On, Sophie i Daily Alice leżeli na plecach na łące, ich głowy stykały się ze sobą i w świetle nocy wydawały się tak samo białe. Gdy jedna osoba wskazywała ręką na gwiazdę, jej ramię znajdowało się na czyjejś linii wzroku. W przeciwnym razie przez całą noc mówiliby tylko „tam, tam, gdzie wskazuję” i nie byliby w stanie znaleźć punkcika w miliardach mil przestrzeni. Smoky otworzył książkę o gwiazdach i szukał w niej porady, korzystając ze światła małej latarki, przykrytej czerwonym celofanem po to, żeby światło go nie oślepiło.

– *Camelopardalis* – powiedział, wskazując na naszyjnik zawieszony na północy, niezbyt wyraźny, ponieważ światło ciągle rozjaśniało horyzont. – To znaczy camelopard⁸.

– A cóż to takiego camelopard? – spytała Alice z pobłażaniem.

– Właściwie żyrafa – odparł Smoky. – Wielbłąd z cętkami leoparda.

– Co robi żyrafa na niebie? – zapytała Sophie. – Jak się tam dostała?

– Założę się, że nie ty pierwsza zadajesz to pytanie – odparł Smoky, śmiejąc się. – Wyobraź sobie ich zdziwienie, kiedy po raz pierwszy spojrzeli na niebo i powiedzieli „O Boże, co tam robi ta żyrafa?”

Menażeria na nieboskłonie, przewijająca się przez życie mężczyzn i kobiet, bogów i bogiń, zodiak (tej nocy widoczne były wszystkie znaki), niesamowity pył Drogi Mlecznej zwisający na kształt tęczy nad ich głowami, Orion unoszący jedną pędzącą stopę nad horyzontem i towarzyszący mu pies Syriusz. Odkryli moment wschodzenia. Jupiter płonął

⁸ Camelopard (ang.) – żyrafa (przyp. tłum.).

niewzruszonym światłem na zachodzie. Cały błyszczący parasol plażowy ze zwrotnikami na obrzeżach obracał się wokół Gwiazdy Północnej, zbyt wolno, żeby ruch ten był zauważalny, ale niewzruszenie.

Smoky, przypominając sobie lektury z dzieciństwa, opowiadał historie przeplatające się na niebie ponad ich głowami. Obrazy były tak bezkształtne i niekompletne, a opowieści, przynajmniej niektóre, tak banalne, że Smoky'emu zdawało się, iż to wszystko musi być prawdą. Herkules w najmniejszym stopniu nie przypominał siebie. Można go było znaleźć tylko wtedy, gdy wiedziało się, że tam jest i gdzie należy go szukać. Ze wszystkich ludzi tylko Kasjopeja była wspaniale ugwieżdżona, a raczej jej tron, jak gdyby przez przypadek; i czyjaś lira, czyjaś korona. Attyka bogów.

Sophie, która nie potrafiła dostrzec na nieboskłonie obrazów wyrysowanych przez gwiazdy, ale leżała zahipnotyzowana ich bliskością, dziwiła się tylko, że jedni znaleźli się na niebie w nagrodę, a dla innych była to kara. Jeszcze inni z kolei trafili tam tylko po to, by odgrywać role w dramacie, którego bohaterami były inne osoby. Wydawało się to nieuczciwe. A jednak nie potrafiła stwierdzić, czy nieuczciwe było to, że znaleźli się tam na wieki ci, którzy na to nie zasługiwali, czy też to, że ci, którzy o to nie zabiegali, zostali wybawieni, wyniesieni na tron, ocaleni przed śmiercią. Pomyślała o nich trojgu i ich opowieści. Byli tak niewzruszeni jak gwiazdozbiory i na tyle dziwni, by ich zapamiętać na zawsze.

Droga Ziemi przecinała w tym tygodniu drogę oderwanego ogona komety, która dawno przeleciała. Deszcz jej cząsteczek przedostawał się do powietrza i wypalając się, płonął białym światłem.

– Niektóre z nich nie są większe niż kamyki albo główka od szpilki – wyjaśniał Smoky. – To powietrze się zapala.

Ale to, co działo się teraz, Sophie widziała wyraźnie: spadające gwiazdy. Pomyślała, że może udałoby jej się zerwać jedną z nieba i patrzeć, jak spada. Chwilowy błysk, na którego widok wstrzymywała oddech, a jej serce przepęłniała nieskończoność. Czy ta gwiazda zwiastuje pomyślną odmianę losu? Znalazła dłoń Smoky'ego w trawie. Drugą jego dłoń trzymała już Daily Alice, która ścisnęła ją mocno za każdym razem, kiedy jasność przecinała niebo.

Daily Alice nie wiedziała, czy czuje się ogromna czy mała. Zastanawiała się, czy jej głowa jest tak wielka, że mogłaby pomieścić cały ten gwiazdny wszechświat, czy też wszechświat jest tak mały, że zawarłby się w jej ludzkiej głowie. Wahała się pomiędzy tymi uczuciami, na przemian powiększając się i zmniejszając. Gwiazdy oddalały się i przybliżały do rozległych portali jej oczu, wirowały pod pustym, obszernym królestwem jej brwi. I wtedy Smoky ujął jej dłoń i zamieniła się w pyłek, lecz nadal przechowywała gwiazdy w swym wnętrzu jak w małym pudercu.

Leżeli tak przez długi czas, nie mając ochoty na rozmowę. Każde z nich przeżywało to dziwne, fizyczne uczucie efemerycznej wieczności – był to paradoks, ale tak to właśnie

odczuwali. I gdyby gwiazdy istotnie znajdowały się tak blisko i miały tyle twarzy, jak im się zdawało, to spojrzwałyby w dół i uznały tych troje za małe gwiazdozbiór – koła ze szprychami na tle obracających się ciemnych niebios łąki.

Przesilenie jesienne

Nie było żadnego wejścia, a jedynie małe dziurka w rogu okna, przez którą wlatywał nocny wiatr, unosząc drobinki kurzu, które osiadały w niewielkiej szparce w parapecie. Ale dla nich ta dziurka była wystarczająca i weszli do środka.

Trzy postacie stały w pokoju Sophie, tuląc się do siebie. Ich głowy odziane w brązowe czapki, chyliły się ku sobie: naradzali się. Ich płaskie, blade twarze przypominały małe księżycy.

- Patrz, jak sobie śpi.
- Tak, a dziecko w jej ramionach.
- Oj, trzyma je mocno.
- Nie tak mocno.

Jak na komendę zbliżyli się jednocześnie do wysokiego łóżka. Lilac, wtulona w ramiona matki, ubrana w śpiwór z kapturem chroniącym przed chłodem, oddychała tuż przy policzku Sophie, na którym widniała kropelka wilgoci.

- No to zabieraj ją.
- Może ty to zrobisz, skoro tak ci się spieszy?
- Zróbmy to razem.

Sześć długich, białych rąk wyciągnęło się po Lilac.

- Zaraz – powiedział jeden. – Kto ma tę drugą?
- Ty miałeś ją zabrać.
- Nie ja.
- Jest tutaj, proszę. – Wyjęli tę rzecz z worka.
- Oj, nie jest zbyt podobna.
- Co mamy zrobić?
- Podmuchać na nią.

Dmuchi po kolei na przedmiot, który trzymali pomiędzy sobą. Raz po raz spoglądali na śpiącą Lilac. Dmuchi tak długo, aż przedmiot stał się drugą Lilac.

- Teraz dobrze.
- Bardzo dobrze.
- Weź teraz...
- Chwileczkę. – Jeden spojrzął uważnie na Lilac, jak najostrożniej unosząc kołderkę. –

Popatrzcie. Wplątała rączki we włosy matki.

- Mocno trzyma.
- Zabierz dziecko, my obudzimy matkę.

– No to już. – Jeden wyjął wielkie nożyce, które zabłysły w ciemnościach, i rozwarł je. – No to do dzieła.

Jeden trzymał fałszywą Lilac (nie spała, ale miała oczy bez wyrazu i nie ruszała się – noc spędzona w ramionach Sophie zaradzi temu), a drugi wyciągał ręce i był gotowy do zabrania prawdziwej Lilac, trzeci natomiast miał w ręku nożyce. Przeprowadzili wszystko sprawnie. Ani matka, ani dziecko nie obudzili się. Umieścili przedmiot, który przynieśli, przy piersi Sophie.

– Teraz zmykamy.

– Łatwo powiedzieć.

– Nie tą drogą, którą przyszedliśmy.

– Na dół po schodach i ich drzwiami.

– Skoro musimy.

Poruszając się jak jeden mąż i nie wszczynając hałasu (stary dom zdawał się raz po raz wciągać powietrze, jakby oddychał, i jęczał, kiedy przechodzili – ale były to jego normalne odgłosy), dotarli do drzwi frontowych i otworzyli je. I już byli na zewnątrz. Unosił ich sprzyjający wiatr. Lilac nie obudziła się ani nie zapłakała (ściskała nadal w piąstkach złociste loki, które rozwiewał porywisty wiatr). Sophie również spała i nic nie poczuła, tylko w długiej opowieści, która jej się śniła, nastąpił punkt zwrotny, a historia stała się nagle smutna i tak skomplikowana jak nigdy dotąd.

We wszystkich kierunkach

Smoky obudził się gwałtownie na skutek jakiegoś wewnętrznego poruszenia. Kiedy tylko otworzył szeroko oczy, zapomniał, co go wytrąciło ze snu, ale był tak rzeński jak w środku dnia. Drażnił go ten stan i zastanawiał się, czy coś mu przypadkiem nie zaszkodziło. Była czwarta nad ranem – bezużyteczna godzina. Zacisnął mocno oczy, nie dowierzając, że sen mógł go opuścić na dobre. Ale jednak opuścił. Im dłużej widział pod powiekami załamywanie się i umykanie kolorowych kółek, tym mniej chciało mu się spać, a cały wysiłek wydawał się bezcelowy i nudny. Wysunął się ostrożnie spod pościeli i macając dłonią w ciemności, odszukał swój szlafrok. Znał tylko jedno lekarstwo na bezsenność: wstać i zachowywać się jak człowiek przebudzony, aż stan ten przeminie. Ostrożnie stawiał kroki, mając nadzieję, że nie nadeptnie na buty czy inne przedmioty. Nie było powodu, żeby zarażać bezsennością Daily Alice. Dotarł do drzwi, zadowolony, że nie obudził jej i nie zakłócił nocnej ciszy. Przejdzie tylko korytarzem, zejdzie na dół i zapali światła – to powinno wystarczyć. Delikatnie zamknął drzwi i w tym momencie Daily Alice obudziła się, nie z powodu hałasu, ale dlatego, że jej spokojny sen został zakłócony na skutek nieobecności Smoky'ego.

Kiedy otworzył drzwi przy schodach, zauważył, że w kuchni pali się już światło. Ciotka Cloud drgnęła i krzyknęła cicho ze strachu, kiedy zobaczyła, że drzwi się otwierają, a potem westchnęła z ulgą, gdy wyjrzał zza nich Smoky. Na stole stała szklanka ciepłego mleka.

Włosy Cloud były rozpuszczone: długie, proste i rozsypane jak włosy Hekate. Nie ścinała ich od lat.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, chociaż oprócz myszy nie było w pobliżu nikogo, komu mogłaby przeszkadzać rozmowa. Widząc, że ona również chce się czymś zająć, żeby jakoś przetrwać do rana, Smoky pozwolił, aby podgrzała mu mleko. Dolał do niego miarkę brandy.

– Posłuchaj, jak szumi wiatr – powiedziała Cloud.

Słyszeli, jak nad nimi szumi i gulgocze toaleta.

– Co się dzieje? – zdziwiła się Cloud. – Bezsenna noc, a nie ma księżyca. – Zadrżała. – To przypomina noc katastrofy albo noc, kiedy nadchodzą groźne wieści i nikt nie śpi. Po prostu los. – Powiedziała to takim tonem, jakim kto inny powiedziałby: „Dopomóż nam, Boże”. W jej głosie pobrzmiwał taki sam ton niewiary.

Smoky, który rozgrzał się już, wstał i powiedział zrezygnowanym tonem „no tak”. Cloud zaczęła przerzucać stronicę książki kucharskiej. Miał nadzieję, że nie będzie musiała tu siedzieć aż do nadejścia bladego świtu. I że on też nie będzie musiał tu siedzieć. U szczytu schodów nie skręcił do swojej sypialni, w której na pewno nie oczekiwał go jeszcze sen. Skierował się do pokoju Sophie. Nie miał żadnych zamiarów, chciał tylko popatrzeć na nią przez chwilę. Sophie tchnęła spokojem, co jego również uspokoiło i wyciszyło, tak jak uspokaja widok kota. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał w bladym świetle księżyca postać siedzącą na skraju łóżka Sophie.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparła Daily Alice.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, przypominający woń gnijących liści albo koronek królowej Anny, albo być może ziemi pod odwróconym kamieniem.

– O co chodzi? – zapytał miękko. Podeszedł do łóżka i usiadł po drugiej stronie.

– Nie wiem – odrzekła. – O nic. Obudziłam się, kiedy zszedłeś. Zdawało mi się, że coś się stało Sophie, więc przyszedłam sprawdzić.

Nie istniało niebezpieczeństwo, że ich cicha rozmowa obudzi Sophie. Kiedy spała, gwar ludzkich głosów zdawał się tylko jej pomagać. Oddychała wtedy głęboko i regularnie.

– Wszystko w porządku – stwierdził.

– Tak.

Wiatr napierał na dom z dziką złością, okna stukały. Popatrzył na Sophie i Lilac. Dziewczynka wyglądała jak martwa, ale jako ojciec trojga dzieci Smoky wiedział, że ten niepokojący wygląd, zwłaszcza w ciemności, nie jest powodem do trwogi.

Siedzieli w milczeniu po obu stronach łóżka Sophie. Wiatr, hulający w gardzieli komina, wypowiedział nagle jedno słowo. Smoky spojrzał na Alice, która dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się szybko. Jaki uśmiech mu to przypomniało?

– Wszystko w porządku – powiedziała.

Przypomniał sobie, jak uśmiechała się do niego ciotka Cloud, kiedy siedzieli zakłopotani na trawniku przed letnim domkiem Auberona w dniu ślubu: uśmiechnęła się, żeby go podnieść na duchu, ale skutek był inny. Uśmiech na odległość, który tylko zwiększał dystans. Znak przyjaźni wysłany z nienaruszalnej obcości, ręka machająca z oddali, zza jakiejś granicy.

– Czy czujesz dziwny zapach? – zapytał.

– Tak. Nie. Czułam. Teraz już nie czuję.

Zapach ulotnił się. Pokój wypełniało tylko nocne powietrze. Ocean wiatru wpuszczał do pokoju swoje drobne prądy, które raz po raz muskały twarz Smoky’ego. Ale nie wydawało mu się, żeby omiały ich podmuchy Północnego Wiatru. Miał raczej wrażenie, że wielokątny dom znajduje się pod pełnymi żaglami i przedziera powoli przez noc, zmierzając ku przyszłości we wszystkich kierunkach.

KSIĘGA TRZECIA

STARA FARMA

I

*Ci, którzy uzyskali wstęp, weszli do prywatnych
apartamentów przez lustrzane drzwi,
wiodące do krużganka i zawsze zamknięte.
Otwierano je tylko wtedy, gdy ktoś w nie
poskrobał, i natychmiast zamykano z powrotem.*

Saint-Simon

Minęło dwadzieścia pięć lat.

Pewnej nocy, późną jesienią, George Mouse wyszedł przez okno z pokoju, który stanowił bibliotekę na trzecim piętrze jego kamienicy. Następnie przeszedł przez mały pomost, który łączył to okno z oknem pomieszczenia służącego niegdyś jako kuchnia w kamienicy stykającej się z jego budynkiem. Dawna kuchnia była ciemna i zimna. Oddech George'a falował w świetle lampy. Myszy i szczury uciekały przed nim i przed światłem. Słyszał szuranie i skrobanie łapek, ale nie widział żadnego gryzonia. Nie otwierając drzwi (od lat nie było tam drzwi), wyszedł do sieni i zaczął ostrożnie schodzić. Ostrożnie, ponieważ stopnie były spróchniałe i obluzowane, a w niektórych miejscach miały ubytki.

Nie wpuszczać ludzi do środka

Z niższego piętra dobiegały śmiechy i sączyło się światło. Ludzie pozdrawiali go, kiedy wchodzili do swych mieszkań lub wychodzili z nich, niosąc produkty potrzebne do wspólnego obiadu. Dzieci goniły się po klatce schodowej. Na pierwszym piętrze znowu panowały ciemności, służyło teraz jedynie jako magazyn. Trzymając w górze lampę, George rzucił okiem na długi, ciemny korytarz i na drzwi zewnętrzne. Stwierdził, że wielka sztaba jest na swoim miejscu, tak samo jak łańcuchy i zamki. Obszedł schody i dotarł do drzwi, które prowadziły do sutereny. Po drodze zabrał ogromny pęk kluczy. Jeden z nich, specjalnie oznakowany, otwierał staroświecki zamek na drzwiach do sutereny. Ilekroć George otwierał te drzwi, zastanawiał się z niepokojem, czy nie powinien założyć nowej, ładnej kłódki. Otwarcie tego starego zamka było teraz dziecinnie proste, każdy mógł to zrobić. Zawsze

dochodził jednak do wniosku, że nowa kłódka przyciągałaby tylko oczy, a walnąwszy ramieniem w drzwi można było zaspokoić ciekawość bez względu na to, czy na drzwiach byłaby nowa kłódka czy nie. Wszyscy stali się bardzo przezorni w kwestii niewpuszczania ludzi do środka.

Schodził na dół z jeszcze większą ostrożnością, Bóg jeden wiedział, co kryło się pomiędzy zardzewiałymi rurami, starymi bojlerami i zwałami ziemi. Nadepnął kiedyś na coś dużego, miękkiego i martwego i prawie skręcił sobie kark. Gdy zszedł na dół, powiesił lampę, podszedł do narożnika i przestawił stary kufer tak, że mógł na nim stanąć i dosięgnąć umieszczonej wysoko półki, do której nie miały dostępu nawet szczury.

Otrzymał spadek, przepowiedziany dawno temu przez ciotkę Cloud (spadek od nieznajomego i nie były to pieniądze), na długo przedtem, nim dowiedział się, jak wszedł w jego posiadanie. Otaczał całą sprawę tajemnicą w sposób charakterystyczny dla Mouse'ów – był to rezultat wychowywania się na ulicy i bycia najmłodszym we wścibskiej rodzinie. Wszyscy podziwiali wszechmocny piżmowy haszysz, którego George'owi nigdy nie brakowało, i pragnęli mieć go choć trochę. Ale George nigdy nie zapoznałby ich ze swoim dostawcą (nie było to nawet możliwe, ponieważ tamten już dawno nie żył). Wszyscy cieszyli się, dostając parę działek, a w jego mieszkaniu zawsze było towaru pod dostatkiem. I choć czasami po paru fajkach patrzył na swoich otumanionych kompanów i poczuwał się do winy z powodu swego uniesienia, a jego wielka, wspaniała, zdumiewająca tajemnica aż się prosiła, żeby ją wyjawić, to jednak George nigdy nie pisał nikomu ani słowa.

To Smoky, nie zdając sobie z tego sprawy, ujawnił George'owi źródło wielkiego dobrobytu.

– Czytałem gdzieś – powiedział (zawsze zaczynał w ten sposób rozmowę) – że jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu twoimi sąsiadami byli przybysze z Bliskiego Wschodu. Wielu Libańczyków. I że w małych sklepikach ze słodyczami i w podobnych miejscach sprzedawano haszysz, nie kryjąc się z tym. Wiesz, obok chałwy i cukierków toffi. Za pięć centów mogłeś kupić całkiem sporo. Wielkie działki. Jak tabliczki czekolady.

I rzeczywiście przypominały tabliczki czekolady. George poczuł się jak myszka uderzona nagle w głowę wielkim młotkiem. Doznał objawienia.

Kiedy schodził potem na dół, aby uszczuplić swoje zapasy, wyobrażał sobie, że jest Lewantyńczykiem z kocią bródką, haczykowatym nosem i łysiną, utajonym pederastą, który daje za darmo baklavę chłopcom o oliwkowej skórze, pętającym się po ulicy. Ustawiał starannie stary kufer, wspinał się na niego, unosząc wyimaginowane frędzelki długiej szaty, i podnosił wieko drewnianej skrzynki, na której widniały zawijasy. Niewiele zostało. Czas ponowić zamówienie.

Pod przykryciem ze srebrnego papieru spoczywało kilka warstw towaru. Warstwy były od siebie oddzielone pergaminem. Same tabliczki zostały owinięte w trzeci rodzaj papieru. Wyjął dwie, rozważał to przez chwilę, po czym niechętnie odłożył jedną z powrotem. Zapasy

nie są niewyczerpane, chociaż tak właśnie wykrzyknął, kiedy wiele lat temu odkrył skarb. Przykrył tabliczki pergaminem, a następnie srebrnym papierem. Zamknął wieko skrzynki i umieścił na swoim miejscu stare, bezkształtne gwoździe. Zdmuchnął na skrzynkę kurz, zszedł na dół i przyglądał się tabliczce przy świetle lampy, tak jak za pierwszym razem uczynił to przy świetle elektrycznym. Ostrożnie odsunął papier. Tabliczka była tak ciemna jak czekolada i miała wielkość karty do gry oraz grubość ośmiu dziesiątych cala. Widniał na niej falisty znak: handlowy, mistyczny? Nie wiedział.

Pchnął kufer, którego używał jako drabiny, na swoje miejsce w narożniku. Wziął lampę i zaczął wchodzić na górę. W kieszeni kardigana spoczywała tabliczka haszyszu licząca sobie około stu lat, a George Mouse już dawno przekonał się, że nie osłabiło to wcale jej działania. A nawet, być może, wzmocniło, tak jak dzieje się to z winem.

Więści z domu

Właśnie zamknął na klucz drzwi do piwnicy, kiedy ktoś zaczął walić w drzwi wejściowe, tak nieoczekiwanie i gwałtownie, że George aż krzyknął. Odczekał chwilę, mając nadzieję, że był to tylko kaprys jakiegoś szaleńca, który się nie powtórzy. Ale pomylił się. Podszedł do drzwi, nasłuchiwał przy nich, nie odzywając się. Osobnik za drzwiami przeklinał ze złości, a następnie, wydając ryk, uchwycił sztaby i zaczął nimi potrząsać.

– Spokojnie, spokojnie – zaczął George. Osobnik uspokoił się.

– No to otwórz drzwi!

– Co? – Kiedy George nie wiedział, co odpowiedzieć na pytanie, miał zwyczaj udawać, że go nie dosłyszał.

– Otwórz drzwi!

– Przecież wiesz, że nie mogę tak po prostu otworzyć drzwi. Wiesz, jak jest.

– No dobra. Możesz mi powiedzieć, który z tych dwóch budynków ma numer dwieście dwadzieścia dwa?

– Kto pyta?

– Dlaczego każdy w tym mieście odpowiada na pytanie pytaniem?

– He?

– Dlaczego nie otworzysz drzwi i nie pogadasz ze mną, do cholery, jak ludzka istota?

Milczenie. Głębia rozpaczy i złości zawarta w tym okrzyku poruszyła serce George'a. Nasłuchiwał przy drzwiach, czekając na dalsze przekleństwa. Czuł się bezpieczny za szczelnie zamkniętymi drzwiami.

– Czy możesz mi powiedzieć – zaczął znowu osobnik i George wyczuł, że całym wysiłkiem powstrzymuje gniew i stara się mówić uprzejmie – gdzie mogę znaleźć dom Mouse'ów albo George'a Mouse'a?

– Tak – odparł George. – To ja jestem George Mouse. – To było ryzykowne, ale z pewnością nawet najbardziej zdesperowani komornicy i doręczyciele pozwów nie kręcą się

tak późno po ulicy. – Kim jesteś?

– Nazywam się Auberon Barnable. Mój ojciec... – Jego słowa utonęły w szczęku i stuku otwieranych zamków i odsuwanych rygli.

George wysunął rękę w ciemność i wciągnął do środka osobę stojącą na progu. Wprawnymi ruchami zakluczył i zarygłował drzwi, po czym podniósł lampę, żeby przyjrzeć się kuzynowi.

– To ty jesteś tym dzieckiem – stwierdził, zauważając z przyjemnością, jak bardzo to określenie nie pasuje do wysokiego młodzieńca. Wyraz jego twarzy zmieniał się w migotliwym świetle lampy, ale nie nosiła ona śladów niestałości. Wydawała się wąska i ściągnięta. W istocie cała jego sylwetka, szczupła i schludna, przyodziana w czarne rzeczy, które dobrze na nim leżały, wydawała się sztywna i chłodna. Wypluty, pomyślał George. Zaśmiał się i poklepał Auberona po ramieniu.

– Jak się wszyscy mają? Jak tam Elsie, Lacy i Tillie, czy jak im tam na imię? Co cię tu sprowadza?

– Tata napisał – odparł Auberon, jak gdyby nie chciało mu się wszystkiego wyjaśniać, skoro zrobił to już ktoś inny.

– Ach tak? Widzisz, jak działa poczta. Wejdz, wejdz. Nie będziemy stali na klatce schodowej. To miejsce jest zimniejsze niż cycek czarownicy. Kawy?

Syn Smoky’ego wzruszył nieznacznie ramionami.

– Uważaj na schodach – przestrzegł go George i oświetlając drogę lampą, poprowadził kuzyna przez zakamarki kamienicy i mały pomost, aż w końcu stanęli na wytartym dywanie, w miejscu, gdzie poznali się rodzice Auberona. Gdzieś po drodze George zagarnął stare krzesło kuchenne, które miało trzy i pół nogi.

– Czy uciekłeś z domu? Siadaj – powiedział, popychając Auberona na wytarty fotel.

– Matka i ojciec wiedzą, że wyjechałem, jeśli o to chodzi – odrzekł Auberon odrobinę wyniośle, co, zdaniem George’a, było zrozumiałe. Chłopak skurczył się w fotelu. George chrząknął i z dzikim błyskiem w oku podniósł taboret z ułamaną nogą. Krzywiąc się z wysiłku, rozbił go o kamienne palenisko. Mebel rozpadł się na kawałki.

– Czy pochwalają to? – zapytał George, wrzucając kawałki taboretu do ognia.

– Oczywiście. – Auberon założył nogę na nogę i szarpnął dzinsy na kolanie. – Ojciec pisał. Mówiłem już. Powiedział, żeby cię odszukać.

– Ach tak. Czy przyszedłeś piechotą?

– Nie – odparł z pogardą.

– I przybyłeś do Miasta, żeby...

– Szukać szczęścia.

– Mhm. – George zawiesił czajnik nad ogniem i zdjął z półki na książki cenną puszkę przemyczonej kawy. – Czy masz już pojęcie, jaki kształt może przybrać?

– Nie, właściwie nie, tylko... – George mruzczał zachęcająco, kiedy przygotowywał kawę i

ustawiał dwie filiżanki z różnych kompletów. – Chciałem... chcę pisać, zostać pisarzem.

George uniósł brwi. Auberon wiercił się w fotelu, jak gdyby te wyznania wyrwały mu się niechcący.

– Myślałem o telewizji.

– Nie to wybrzeże.

– Co?

– Wszystko, co idzie w telewizji, piszą na słonecznym, zachodnim wybrzeżu.

Auberon podciągnął prawą nogę i usiadł na niej. Nie zadał sobie nawet trudu, aby na to odpowiedzieć. George, szukając czegoś na półkach i w szufladach i przetrząsając swoje liczne kieszenie, zastanawiał się, jakim sposobem to odwieczne pragnienie znalazło drogę do Edgewood. Dziwne, że młodzi z taką nadzieją mają się umierających dziedzin. Kiedy on sam był młody, kiedy ostatni poeci pletli niezrozumiałe głupstwa o robaczkach świętojańskich zagubionych w dolinach rosy, dwudziestoletni chłopcy chcieli być poetami...

W końcu znalazł to, czego szukał: otwieracz do listów w kształcie sztyletu, pokryty lakierem. Natrafił na niego wiele lat temu w opuszczonym mieszkaniu i dobrze naostrzył.

– Wiele ambicji trzeba do tej telewizji – powiedział – i przedsiębiorczości. I wielu się nie udaje. – Nalał wody do dzbanka do kawy.

– Skąd wiesz? – spytał szybko jego kuzyn, jak gdyby już wiele razy słyszał te mądrości dorosłych.

– Ponieważ – odparł George – ja nie posiadam tych zalet i nie poniosłem porażki na tym polu. Kawa gotowa. – Chłopak nie uśmiechnął się. George postawił dzbanek z kawą na trójnogu, na którym wyryto dowcip w holenderskim dialekcie z Pensylwanii, i wyjął małe pudełko ciastek, w większości połamanych. Wyciągnął też z kieszeni swetra brązową tabliczkę haszyszu.

– Lubisz to? – spytał wspaniałomyślnie, pokazując Auberonowi tabliczkę. – Najlepszy libański. Tak sędzę.

– Nie biorę narkotyków.

– Aha.

George odciął narożnik swoim florentyńskim nożem. Nadział na niego odcięty kawałek i zatopił nóż w filiżance. Siedział mieszając kawę i przypatrując się kuzynowi, który dmuchał na napój, oddając się temu zajęciu bez reszty, jak gdyby nic innego nie pochłaniało jego myśli. Ach, jak to dobrze być starym i siwym i wiedzieć, że nie należy pytać ani o zbyt wiele, ani o zbyt mało. Wyjął nóż z kawy i stwierdził, że haszysz prawie się rozpuścił.

– No to opowiedz swoją historię – poprosił. Auberon milczał jak zakłęty. – No dalej – siorbiąc, pociągnął łyk kawy. – Jakie wieści z domu?

Musiał zadać wiele pytań, ale kiedy zaczynało świtać, Auberon mówił już całymi zdaniem i przytaczał anegdoty. George'owi to wystarczało. Kiedy wypił ostatnią kroplę

wzmocnionej kawy, znał już całą historię życia zawartą w zdaniach Auberona, opatrzoną zabawnymi szczegółami i dziwnymi powiązaniem, a nawet patosem i magią. Wejrzał do zamkniętego serca kuzyna jak do przepołowionej muszli zwiniętego głowonoga.

Czego dowiedział się George Mouse

Opuścił Edgewood wczesnym rankiem, obudziwszy się przed świtem, tak jak zamierzał – odziedziczył tę zdolność po matce, potrafił budzić się wtedy, kiedy chciał. Zapalił lampkę. Dopiero za godzinę lub dwie Smoky zejdzie do piwnicy, żeby uruchomić generator. Auberon odczuwał napięcie i drzenie w przeponie, jak gdyby coś chciało się uwolnić i uciec stamtąd. Wiedział, że mówi się o „żołądku, który podchodzi do gardła”, ale nie należał do ludzi, którym podobne sformułowania cokolwiek mówią. Żołądek rzeczywiście podchodził mu do gardła, ale bardziej doskwierała mu trema i zdenerwowanie. Już nieraz przeżywał podobne emocje, ale zawsze sądził, że jedynie on ich doświadcza. Nigdy nie myślał, że uczucia te są tak pospolite, iż mają nawet własne określenia. Ignorancja pozwalała mu tworzyć wiersze o dziwnych uczuciach, które stały się jego udziałem. Zapisał na maszynie wiele stron. Gdy tylko ubrał się w schludne, czarne ubranie, włożył te kartki do płóciennego plecaka pomiędzy inne rzeczy: szczoteczkę do zębów i co jeszcze? Staroświecką maszynkę Gillette, cztery kostki mydła, egzemplarz książki Tajemnica Północnego Wiatru i testament dla prawników.

Wyruszając na spotkanie z przeznaczeniem, przemknął korytarzami śpiącego domu. Wyobrażał sobie, że czyni to po raz ostatni. Dom nie wydawał się pogrążony we śnie, raczej w niespokojnym półśnie: otwierał oczy ze zdumieniem, kiedy Auberon przechodził. Drżące, rozmyte światło osiadło w korytarzach. Wyimaginowane pokoje i hole wyglądały w tym blasku jak prawdziwe.

– Wyglądasz, jakbyś się nie ogolił – powiedział niepewnie Smoky, kiedy Auberon wszedł do kuchni. – Chcesz trochę płatków?

– Nie chciałem nikogo budzić, puszczając wodę. Chyba nie jestem w stanie nic przełknąć.

Smoky mimo to zaczął się krzątać przy starym piecu na drewno. Gdy Auberon był dzieckiem, zawsze się dziwił, widząc, że ojciec idzie wieczorem spać w tym domu, a potem pojawia się w szkole za biurkiem, jak gdyby został odmieniony albo jakby było ich dwóch. Wstał kiedyś na tyle wcześnie, że przyłapał ojca z potarganymi włosami i ubranego w szlafrok. Znajdował się pomiędzy snem a szkołą. Auberon czuł się wtedy tak, jakby przyłapał kuglarza. Smoky zawsze sam przyrządzał sobie śniadania. I chociaż od lat lśnięca, biała kuchenka elektryczna stała zimna i bezużyteczna w kącie kuchni, jak dumna stara gospodyni wysłana na emeryturę wbrew swej woli, a Smoky nie radził sobie zbyt dobrze z rozpaleniem ognia, podobnie jak z wieloma innymi rzeczami, to jednak nie zrezygnował z przygotowywania śniadań. Musiał tylko wstać trochę wcześniej.

Auberon, zniecierpliwiony powolnością ojca, pochylił się nad piecem i rozpałił ogień w jednej chwili. Smoky stał za nim, trzymając ręce w kieszeniach szlafroka, i przyglądał się

synowi z podziwem. A po chwili siedzieli naprzeciw siebie z miskami owsianki i kubkami kawy, która stanowiła prezent od George'a Mouse'a z Miasta. Zastygli na moment, trzymając ręce na kolanach i nie patrząc sobie w oczy. Zamiast tego wpatrywali się w brązowy brazylijski napój, połyskujący w dwóch stojących obok siebie filiżankach. Smoky, kaszląc przeprasząco, wstał i zdjął z wysokiej półki butelkę brandy.

– Długa droga przed tobą – powiedział i dołączył do kawy alkoholu.

Smoky?

Tak, George rozumiał, że w ostatnich latach mógł tłamsić w sobie uczucia, a łyk alkoholu potrafi je czasem uwolnić. To nie problem: po prostu łyk alkoholu. Potem zaczął wypytywać Auberona, czy jest pewien, że wystarczy mu pieniędzy, czy ma adres prawników dziadka i adres George'a Mouse'a i wszystkie dokumenty prawnicze dotyczące spadku i tak dalej. A Auberon odpowiadał na wszystkie pytania twierdząco.

Po śmierci doktora nadal publikowano jego opowiadania w lokalnych dziennikach. George czytywał je nawet, zanim przeczytał dowcipy. Oprócz tych pośmiertnych opowiadań, przechowywanych tak skrzętnie jak przechowywane są przez wiewiórkę orzechy w zimie, doktor zostawił całe mnóstwo spraw, splątanych jak zagon dzikich róż. Prawnicy i agenci wykonywali jego wolę i mogli to czynić latami.

Auberon był osobiście zainteresowany tymi zawiłymi sprawami, ponieważ doktor zapisał mu spadek. Było tego dość, żeby utrzymać się mniej więcej przez rok i spokojnie pisać. Doktor miał istotnie nadzieję – chociaż nie śmiał jej wyrazić – iż jego wnuk i najlepszy przyjaciel w ostatnich latach życia będzie kontynuować jego dzieło. Jednak Auberon był w niekorzystnej sytuacji: musiałby wymyślać przygody w przeciwieństwie do dziadka, który przez całe lata czerpał je z pierwszej ręki.

Umiejętność rozmawiania ze zwierzętami, jak wyobrażał sobie George, musi być nieco kłopotliwa. Nikt nie wiedział, jak długo narastało w doktorze to przekonanie, chociaż niektórzy z dorosłych przypominali sobie, jak po raz pierwszy oświadczył, że posiada tę zdolność. Powiedział to nieśmiało, delikatnie, myśleli, że to kiepski żart. Żarty doktora nie były wtedy zabawne dla nikogo oprócz milionów dzieci. Później nabrało to formy metafory lub zagadki: z tajemniczym uśmiechem przytaczał swoje rozmowy z salamandrami albo sikorkami, jak gdyby zachęcał rodzinę do zgadywania, dlaczego tak mówi. W końcu przestał to ukrywać: wszystko, co słyszał od swych korespondentów było po prostu zbyt interesujące, żeby tego nie przytaczać.

Ponieważ działo się to wtedy, gdy Auberon zaczynał świadome życie, sądził, że umiejętności dziadka wzrosły, a jego stały się bardziej czułe. Kiedy podczas jednego z długich spacerów po lesie dziadek przestał wreszcie udawać, że sam wymyślił rozmowę, którą usłyszał od zwierząt, i przyznał się, iż po prostu przekazuje to, co istotnie podслуchał, obu im ulżyło. Auberon nigdy nie lubił udawania, a doktor nie chciał opowiadać kłamstw dzieciom. Powiedział, że nie zna naukowego wyjaśnienia. Może był to rezultat jego

odwiecznego przywiązania do zwierząt. Rozumiał mowę tylko niektórych stworzeń, tych najmniejszych, które najbardziej znał. Nic nie wiedział o niedźwiedziach i łośiach, o rzadko spotykanych i wspaniałych kotach, samotnych, długoskrzydłych drapieżnikach. Te zwierzęta pogardały nim, nie potrafiły nawiązać porozumienia albo nie widziały sensu w rozmowach – nie wiedział, jaka jest tego przyczyna.

– A insekty i robaki? – zapytał Auberon.

– Niektóre tak, ale nie wszystkie – odparł doktor.

– A mrówki?

– Mrówki tak, oczywiście – powiedział doktor.

I kiedy klęczeli razem obok nowego mrowiska, wziął wnuka za rękę i z wdziękiem tłumaczył mu beztroską rozmowę mrówek krzątających się w środku.

George Mouse słucha nadal

Auberon spał teraz na rozwalającym się fotelu, zwinięty pod kocem. Nie było w tym nic dziwnego, skoro wstał dzisiaj tak wcześnie i przemierzył tyle dróg. Ale George Mouse, cmokając lekkomyślnie i wznosząc się na kolejne szczeble wyższej myśli, czuwał przy chłopcu i wsłuchiwał się w jego przygody.

Kiedy Auberon, nie tknąwszy nawet owsianki, ale wypiwszy kawę, wyszedł na zewnątrz przez wielkie frontowe drzwi, Smoky ojcowskim gestem położył dłoń na jego ramieniu, chociaż był niższy od syna. Auberon zrozumiał, że nie uda mu się uciec bez słowa. Wszystkie trzy siostry przyszły go pożegnać. Lily i Lucy spacerowały po podjeździe trzymając się pod ramię. Lily dźwigała bliźnięta w płóciennym nosidełku. Tacey właśnie jechała na rowerze i skręcała przy końcu podjazdu. Nie życzył sobie tego pożegnania, ponieważ udział jego sióstr w jakimkolwiek pożegnaniu, powrocie bądź połączeniu zawsze nadawał tym wydarzeniom ostateczny charakter. Jak, do diabła, dowiedziały się, że wyjeżdża właśnie tego ranka? Powiedział o tym tylko Smoky'emu wczoraj późnym wieczorem i zobowiązał go do dochowania tajemnicy. Narastało w nim znajome uczucie gniewu, którego nie potrafił określić tym słowem.

– Cześć, cześć – powitał siostry.

– Chciałyśmy się z tobą pożegnać – wyjaśniła Lily Lucy poprawiła dziecko siedzące na przedzie i dodała: – I dać ci coś.

– Tak? Fajnie.

Tacey zahamowała zrećchnie przy schodach werandy i zsiadła z roweru.

– Cześć, cześć – powiedział raz jeszcze Auberon. – Czy sprowadziłyście tu całe hrabstwo? – Ale oczywiście nie było tam nikogo oprócz nich. Niczyja obecność nie była już konieczna.

Ludzie z okolic Edgewood zawsze mieli trudności z odróżnieniem sióstr. Być może sprawiało to podobne brzmienie ich imion, a może fakt, że zawsze pojawiały się publicznie

we trójkę. W istocie bardzo się różniły.

Tacey i Lily były podobne do swojej matki i do jej matki: wysokie, o długich kończynach i trzpiotowatym charakterze. Lily odziedziczyła po kimś proste włosy, jasne niczym słoma zamieniona w złoto, jak w pewnej bajce, natomiast włosy Tacey były kręcone i złotorude jak włosy Alice. Lucy z kolei całkowicie wdała się w ojca: była niższa od siostr, miała ciemne loki jak Smoky i jego serdeczny, jakby nieobecny wyraz twarzy, a w jej okrągłych oczach czaiła się odrobina wrodzonej anonimowości Smoky'ego. Ale pod innymi względami to Lucy i Lily stanowiły parę. Należały do tego rodzaju sióstr, które potrafią kończyć nawzajem własne wypowiedzi i nawet na odległość wyczuwać swoje cierpienia. Przez wiele lat prowadziły zabawę polegającą na tworzeniu serii zupełnie bezcelowych dowcipów. Jedna z nich zadawała poważnym tonem głupie pytanie, a druga tak samo poważnym tonem udzielała jeszcze głupszej odpowiedzi, po czym obie (nie uśmiechając się) nadawały dowcipowi kolejny numer. Były ich setki. Tacey, może z racji swego starszeństwa, była wykluczona z tej gry. Miała naturalne dostojeństwo i oddawała się z zapałem wielu namiętnościom: do gramofonów, do hodowli królików, do szybkich rowerów. Z drugiej strony we wszystkich wspólnych intrygach, planach i uroczystościach, które miały związek z dorosłymi i ich sprawami, to Tacey odgrywała zawsze rolę kapłanki, a młodsze siostry pełniły funkcje jej nowicjuszek. Istniało pomiędzy siostrami jedno ważne podobieństwo: każda z nich miała tylko jedną brew, biegnącą nad nosem od jednego do drugiego zewnętrznego kącika oka, bez najmniejszej przerwy. Z dzieci Smoky'ego i Alice tylko Auberon był pozbawiony tej cechy.

We wspomnieniach Auberona zachowały się przede wszystkim ich zabawy w narodziny, małżeństwo i śmierć. Kiedy był bardzo mały, spełniał zawsze rolę ich dziecka. Pędzono go bez końca z kąpieli na niby do szpitala na niby. Był ich żywą lalką. Później zmusiły go do odgrywania roli pana młodego, a w końcu nieboszczyka, kiedy był już na tyle duży, że mógł spokojnie uleżeć, podczas gdy one spełniały ostatnią posługę. Nie była to tylko zabawa. Kiedy dziewczynki dorosły, nabyły umiejętności instynktownego przewidywania scen i aktów codziennego życia. Wiedziały, kiedy podnosi się i opada kurtyna w życiu otaczających je osób. Nikt nie przypominał sobie, skąd mogły wiedzieć (miały cztery, sześć i osiem lat), że najmłodsza z dziewcząt Birdów ma poślubić Jima Jaya z Plainfield. Mimo to pojawiły się w kościele ubrane w dzinsy i z naręczami polnych kwiatów, przyklekły malowniczo na schodach kościoła w chwili, gdy państwo młodzi wypowiadali słowa przysięgi. Fotograf czekający przed kościołem na pojawienie się młodej pary zrobił dziwaczne zdjęcie trzech dziewczuszek, które później zdobyło nagrodę na konkursie fotograficznym. Wyglądało na pozowane i w pewnym sensie było.

Już w młodym wieku wszystkie trzy nauczyły się ręcznych robótek. Z czasem nabrały wprawy i kiedy trochę podrosły, zajęły się trudniejszymi i bardziej ezoterycznymi gałęziami: koronczarstwem, haftem w jedwabiu, robótkami z włóczki. Tacey, która pierwsza uczyła się wszystkiego od ciotki Cloud i swojej babci, przekazywała potem tę wiedzę Lily, a ta z kolei

Lucy. I kiedy siedziały razem, wprawnie poruszając igłami (najczęściej w muzycznym pokoju, do którego słońce docierało o każdej porze roku), plotkowały o zgonach, obietnicach, rozstaniach, oczekiwanych narodzinach (obwieszczonych lub nie) – słowem, o wszystkich ważnych wydarzeniach w życiu ludzi, których znały. Tworzyły jakby kalendarz tych zdarzeń. Robiły pętelki, nawlekały nitki. Wiedziały o wszystkim. Żadna smutna czy radosna uroczystość nie odbyła się bez ich wiedzy, a tylko na kilku nie były obecne, przez co uroczystości te wydawały się nie mieć zwieńczenia. Wyjazd ich jedynego brata na spotkanie z prawnikami i nie mógł do nich należeć.

– Proszę – powiedziała Tacey, wyjmując z koszyka przy rowerze małą paczuszkę owiniętą w błękitny papier. – Weź to i otwórz, kiedy dotrzesz do Miasta. – Pocałowała go delikatnie.

– Weź to – powiedziała Lily, wręczając mu paczkę owiniętą w jasnozielony papier – i otwórz, kiedy o tym pomyślisz.

– Weź to – powtórzyła to samo Lucy. Jej paczka była zawinięta w biały papier. – Otwórz ją, kiedy będziesz chciał wrócić do domu.

Przyjął trzy podarunki, kiwając głową z zakłopotaniem, i włożył je do plecaka. Dziewczęta nic już nie dodały, tylko posiedziały przez chwilę z bratem i ojcem na werandzie, na której wały się opadłe liście i gromadziły pod wiklinowymi krzesłami (powinno się je schować do piwnicy, pomyślał Smoky, dawniej robił to Auberon). Poczłł chłód przecucia, ale pomyślał, że to tylko przez ponury listopadowy mrok. Auberon, który był młody i na tyle samotny, żeby sądzić, że uda mu się uciec z domu bez niczyjej wiedzy i że nikt nie zwraca uwagi na jego poczynania, siedział teraz zażenowany, obserwując, jak wstaje dzień. Po chwili poklepał się po kolanach, wstał, uściskał dłoń ojca, ucałował siostry, obiecał, że będzie pisać i w końcu ruszył na południe przez szumiący ocean liści. Skierował się do skrzyżowania dróg, na którym chciał złapać autobus. Nie oglądał się na cztery postacie, które śledziły go wzrokiem.

– No cóż – odezwał się Smoky, przypominając sobie własną podróż do Miasta. Był wtedy mniej więcej w wieku Auberona. – Będzie miał przygody.

– Wiele – powiedziała Tacey.

– To będzie zabawne – dodał Smoky. – Może, prawdopodobnie. Pamiętam...

– Zabawne przez jakiś czas – wtrąciła Lily.

– Niezbyt zabawne – dorzuciła Lucy. – Z początku tak, ale potem...

– Tato – powiedziała Tacey, widząc, że ojciec drży. – Nie powinieneś siedzieć tutaj w piżamie.

Wstał, owijając się szlafrokiem. Dziś po południu będzie musiał schować meble z werandy, zanim śnieg pokryje je grubą warstwą.

Przyjaciół doktora

George Mouse zmienił punkt obserwacyjny i patrzył teraz z wnęki w starym kamiennym ogrodzeniu, jak Auberon przemierza Stare Pastwisko i kieruje się na skróty do Meadowbrook. Polna Myszka, przycupnięta w tej wnęcie, gryzła źdźbło trawy, a przez jej głowę przebiegały ponure myśli. Obserwowała zbliżającą się do niej ludzką istotę, która zgniatała butami wielkie gałązki i opadłe liście. Ach, jakie mają wielkie, niezgrabne stopy! Obute stopy, nawet większe i cięższe niż łapy Brązowego Niedźwiedzia! Tylko fakt, że mieli jedynie dwie stopy i pojawiali się koło jej domu rzadko i na ogół w pojedynkę, sprawiał, że Polna Myszka mogła sobie pozwolić na przyjazne uczucia względem nich. Nie żywiła ich nawet do krowy, która niszczyła jej dom i wydawała się najgorszym potworem. Kiedy Auberon zbliżył się i przeszedł tuż koło kryjówki, w której siedziała skulona Polna Myszka, stworzenie zdumiało się. To był chłopiec – teraz już duży – który kiedyś przychodził z doktorem, doktor zaś był przyjacielem prapradziadka Polnej Myszkki. Gdy Polna Myszka była malutka, ten sam chłopiec wpatrywał się z przejęciem we wnętrze jej rodzinnego domu, opierając dłonie na podrapanych kolanach, a doktor tymczasem zapisywał wspomnienia prapradziadka, które teraz stały się słynne nie tylko wśród rodu polnych myszy, ale na całym wielkim świecie! Przypływ uczuć rodzinnych pozwolił Polnej Myszcze przezwyciężyć wrodzoną bojaźliwość. Wystawiła nos ze swej kryjówki w murze i spróbowała zagadnąć chłopca: „Mój prapradziadek znał doktora” – zawołała. Ale chłopak pomaszerował dalej. Doktor potrafił rozmawiać ze zwierzętami, ale chłopak najwyraźniej nie.

Pasterz w Bronksie

Auberon zatrzymał się na skrzyżowaniu, zatopiony po kostki w opadłych liściach. W tym samym czasie Smoky stał roztertagniony przed swoją szkolną bandą, zaskoczona, że nauczyciel zamilkł tak nagle, pomiędzy podmiotem a orzeczeniem, trzymając kredę przy tablicy, a Daily Alice leżała pod kołdrą (tak! te wizje zapały George’owi dech). Śniło jej się, że jej syn Auberon, który mieszkał teraz w Mieście, zadzwonił, żeby poinformować, jak mu się wiedzie.

– Przez jakiś czas byłem pasterzem w Bronksie – mówił bezcielesny i nadal tajemniczy głos – ale kiedy nadszedł listopad, sprzedałem stado. – Gdy o tym opowiadał, widziała Bronx: zielone, uprawne pola, zielone wzgórza nad morzem, czyste powietrze i niskie deszczowe chmury. Czowała się tak, jakby tam była, kiedy pasł stado, i szła tropem czarnych kuleczek po wyboistej drodze, prowadzącej na pastwisko. W uszach rozbrzmiewało jej beczenie owiec, w nozdrzach czuła ich zapach, przypominający zapach mokrej wełny w mglisty poranek. Jakże żywe! Widziała swojego syna: stał z kijem w ręku na wyniosłym cypelku i wpatrywał się w morze, na zachód, skąd przychodzi pogoda, i na południe, za rzekę, na ciemne lasy, które pokrywają wyspę od tej strony, i zastanawiał się...

Jesienią zamienił skórzane spodnie i kamasze na przyzwoity czarny garnitur, a pastuszy kij na laseczkę spacerową. Wybrał się z psem Sparkiem (był to dobry pies, którego Auberon mógł sprzedać razem ze stadem, ale nie potrafił się z nim rozstać) na wyprawę wzdłuż rzeki

Harlem. Szli brzegiem tak długo, aż trafili do miejsca, gdzie można się przeprowić (niedaleko Sto Trzydziestej Siódmej Ulicy). Bardzo stary przewoźnik miał piękną prawnuczkę, ciemną jak jagoda, i skrzypiącą łódź. Auberon stał na dziobie, kiedy prom sunął wzdłuż liny do przystani po drugiej stronie rzeki. Gdy dobili do brzegu, zapłacił i ze Sparkiem, podskakującym mu przy nodze, wkroczył do Dzikiego Lasu, nie oglądając się za siebie. Było późne popołudnie, słońce (widział raz po raz jego przebliski: żółty, zamglony blask za ciemnymi chmurami) wydawało się tak zimne i ponure, że niemal życzył sobie nadejścia nocy.

Kiedy znalazł się w głębi lasu, odwołał to życzenie. Skręcił w niewłaściwą drogę pomiędzy St. Nicholas Park i Cathedral Parkway i zaczął wspinać się po omszałych kamieniach. Wielkie drzewa czepiały się skalistego podłoża sękatymi paluchami, jęczały i skrzypiały, a ich pnie przypominały o zmierzchu ludzkie twarze. Dysząc z wysiłku na wysokiej skale, dostrzegł pomiędzy drzewami, że szare słońce zachodzi. Wiedział, że wciąż jest daleko od śródmieścia. Było mu zimno, a poza tym ostrzegano go wielokrotnie, jak niebezpiecznie jest przebywać w tym miejscu o zmroku. Poczł się mały. Zmniejszał się błyskawicznie. Spark zauważył to, ale nie przejął się.

Noc, jak noc, sprowadza na świat rozmaite upiory. Auberon zaczął się bezsensownie spieszyć, przez co potykał się co rusz, a stwory podchodziły bliżej, z nieprzeniknionych ciemności wyglądały tysiące oczu. Auberon wziął się w garść. Nie wolno okazać strachu. Mocniej ścisnął laseczkę. Nie rozglądając się ani w prawo, ani w lewo, z trudem posuwał się w stronę śródmieścia. Szedł przed siebie, ale nie tak jak jest przyjęte. Raz czy dwa zagapił się na ogromne drzewa, których kształty rysowały się na nocnym niebie (na pewno znacznie się zmniejszył), ale szybko opuścił wzrok. Nie chciał uchodzić za przyjezdnego albo kogoś, kto nie zna się na rzeczy. Jednak nie mógł powstrzymać się od gapienia na tych, którzy uśmiechając się, robiąc mądre miny lub po prostu zachowując obojętność, patrzyli na niego, gdy go mijali.

Gdzie jest Spark? – zastanawiał się, kiedy wygramolił się z dziwnej pułapki, w której zatonął aż po pośladki. Teraz mógłby wdrapać się na grzbiet psa i przebyć drogę o wiele szybciej. Ale Spark odczuwał pogardę dla swego pomniejszonego pana i pobiegł w stronę wzgórza Waszyngtona, żeby na własną rękę szukać szczęścia. Auberon został sam. Przypomniał sobie o trzech podarunkach, które otrzymał od sióstr. Wyjął z płóciennego plecaka podarunek od Tacey i drżącymi palcami rozdarł bladobłękitny papier. Było to połączenie długopisu i latarki. Na jednym końcu znajdowała się latarka, a drugim można było pisać. Poręczne. Miało nawet małą baterijkę. Nacisnął przycisk, latarka rozblęła. Kilka płatków śniegu dryfowało w jej świetle. Kilka twarzy oddaliło się i zobaczył teraz, że stoi przed maleńkimi drzwiami w lesie. Jego podróż dobiegła kresu. Zapukał do drzwi.

Która to już godzina!

George'em Mouse'em wstrząsnęło potężne drzenie. Wysiłek umysłowy i koniec działania narkotyku sprawiły, że czuł się trochę wymęczony. Było zabawnie, ale, dobry Boże, która to już godzina! Za parę godzin będzie musiał wstać do dojenia. Sylvie (ciemna jak jagoda, ale wciąż poza domem, chyba że przeoczył jej powrót) na pewno nie wstanie. Rozrzucone kończyny bolały go przyjemnie ze zmęczenia (długa podróż), ale pozbierał się jakoś i wstał. Jest już na to trochę za stary. Upewnił się, że jego kuzyn ma dość koców, podsycił ogień, a następnie (zapominając już, co postrzegał pod ciemnymi i kształtnymi powiekami kuzyna) wziął lampę i ruszył do swojej zagraconej sypialni, ziewając bez opamiętania.

Klub się spotyka

O tej samej porze kilka domów dalej, przed wąską kamienicą Ariel Hawksquill wychodzącą na mały park, zatrzymywały się jeden po drugim wielkie i bezszelestne samochody z następnej ery. Z każdego z nich wysiadał jeden pasażer. Następnie samochody odjeżdżały do miejsca, gdzie takie auta czekają na swych panów. Każdy z gości przyciskał dzwonek przy drzwiach Hawksquill, po czym wpuszczano go do środka. Każdy zdejmował rękawiczki, zsuwając je z kolejnych palców, tak dobrze były dopasowane. Następnie wkładał je do kapelusza, który wręczał służącej. Niektórzy z przybyszów nosili białe szaliki, które z lekkim szelestem ściągali z szyi. Wszyscy zgromadzili się na piętrze, na którym mieścił się salon. Większą jego część zajmowała biblioteka. Każdy z gości usiadł i założył nogę na nogę. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

Kiedy Hawksquill w końcu przybyła, wstali z miejsc, chociaż nakazała im gestem, by tego nie czynili. Następnie usiedli z powrotem, a każdy z nich podciągnął nogawki przy kolanie, kiedy ponownie zakładał nogę na nogę.

– Chyba możemy uznać spotkanie – zaczął jeden z nich – Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego za otwarte. W nowej sprawie.

Ariel Hawksquill czekała na ich pytania. Tego roku była prawie u szczytu swych zdolności i mocy, jej sylwetka stała się koścista, włosy stalowosiwe, ruchy energiczne i przemyślane. Cała jej postać sprawiała imponujące i niemal onieśmielające wrażenie. Wszystko w jej wyglądzie, począwszy od ciemnobrązowych butów, a skończywszy na upierścienionych palcach, dowodziło niezwykłej mocy i ludzie z Klubu nie mieli wątpliwości, że Hawksquill istotnie tę moc posiada.

– Nowa sprawa – odezwał się jeden z członków, uśmiechając się do Hawksquill – to oczywiście Russell Eigenblick. Wykładowca.

– Co o tym sądzisz? – zapytał trzeci. – Jakie są twoje odczucia?

Ariel Hawksquill zestawiała koniuszki palców jak Holmes.

– Jest i nie jest tym, za kogo chce uchodzić – oświadczyła pedantycznym głosem, tak suchym jak kartka pergaminu. – Sprytniejszy niż wynika z telewizyjnych programów, ale nie tak wysoki. Entuzjazm, który wzbudza, jest szczery, ale nie opuszcza mnie myśl, że może być

przelotny. Ma pięć planet w znaku Skorpiona, tak jak Martin Luter. Jego ulubionym kolorem jest zieleń sukna bilardowego. Ma duże, przymglone, brązowe oczy, w których maluje się wyraz fałszywego współczucia. Przypominają krowie oczy. Jego głos wzmacniają miniaturowe wzmacniacze ukryte w ubraniu, które jest kosztowne, ale nie leży na nim dobrze. Pod spodniami nosi buty sięgające kolan.

Przyjęli to do wiadomości.

– Jego charakter? – zapytał jeden z nich.

– Niegodziwy.

– Maniery?

– Dobrze.

– Jego ambicje?

Na to pytanie nie była w stanie odpowiedzieć od razu, a jednak właśnie tę odpowiedź najbardziej pragnęli usłyszeć moi bankierzy, biurokratyczni pełnomocnicy i emerytowani generałowie w stanie spoczynku, którzy spotkali się pod egidą Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego. Jako utajeni strażnicy przewrażliwionej, samowolnej, starzejącej się republiki, która cierpiała w kleszczach permanentnej społecznej i ekonomicznej depresji, byli wyczuleni na pojawienie się jakiegokolwiek człowieka przyciągającego uwagę: kaznodziei, żołnierza, poszukiwacza przygód, myśliciela czy rzezimieszka.

Hawksquill doskonale zdawała sobie sprawę, że jej przenikliwość doprowadziła do usunięcia niejednego z takich ludzi.

– Nie ma zamiaru zostać prezydentem – oznajmiła.

Jeden ze zgromadzonych wydał z siebie dźwięk oznaczający: jeśli nie, to nie musimy się przejmować innymi jego zamierzeniami, jeśli tak, to jest bezradny, ponieważ od paru lat niezakłócone następstwo nic nieznaczących prezydentów stanowiło jedyny przedmiot zainteresowań klubu, bez względu na to, co myśleli ludzie i sam prezydent. Ten krótki dźwięk dobywał się prosto z gardła.

– Trudno to precyzyjnie opisać – powiedziała Hawksquill. – Z jednej strony jego poczucie ważności własnej osoby jest wręcz nedorzeczne, a jego cele tak ogromne, że można je całkowicie zlekceważyć, tak jak boskie. Z drugiej strony... Twierdzi, na przykład, dość często i w szczególny sposób, jakoby tylko dotykał większych tajemnic, utrzymuje, że „jest w kartach”. Stary, chwytny zwrot. A jednak sędzę (nie wiem, obawiam się, że nie potrafię wyjaśnić, skąd czerpię to przekonanie), że on to pojmuje dosłownie i że istotnie jest w kartach, w jakichś kartach, tylko nie wiem, w których.

Popatrzyła po słuchaczach, którzy wolno przytakiwali, i było jej przykro, że mnoży zagadki, lecz dla niej również stanowiło to zagadkę. Przez wiele tygodni towarzyszyła Russellowi Eigenblickowi w jego podróżach, spędzała czas w hotelach, w samolotach, przebrana bez polotu za dziennikarkę (paladynowie o zaciętych twarzach, którzy otaczali Eigenblicka, z łatwością zdemaskowali to przebranie, ale nic pod nim nie znaleźli). Mimo to

nie potrafiła teraz zaproponować żadnego rozwiązania tej kwestii, tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała jego imię i roześmiała się.

Dotykając skroni koniuszkami palców, przemierzała z rozwagą doskonale uporządkowane skrzydło, które dla potrzeb śledztwa w sprawie Russella Eigenblicka dobudowała w ciągu ostatnich tygodni do gmachu swej pamięci. Wiedziała, na których zakrętach powinien pojawić się Eigenblick, u szczytu których schodów, na skrzyżowaniu których korytarzy. Nie pojawił się. Potrafiła go odmalować za pomocą zwykłej czy naturalnej pamięci. Widziała go w lokalnym pociągu na tle okna smaganego deszczem, widziała, jak rozmawiał niestrudzenie, jego ruda broda poruszała się, a skrzycone brwi podnosiły się i opadały jak brwi marionetki. Widziała, jak wygłaszał orację do tłumu słuchaczy jęczących z zachwytem. Widziała, jak w jego oczach migotały prawdziwe łzy i jak przelewał na zgromadzonych prawdziwą miłość. Widziała, jak zabawiał się błękitną filiżanką i spodeczkiem opartym na kolanie na spotkaniu klubu kobiecego po następnym niekończącym się wykładzie. Był tam wraz ze swymi nieugiętymi stronnikami, z których każdy miał własną filiżankę, spodeczek i ciasteczko. Wykładowca: to oni nalegali, żeby go tak nazywać. Przybywali pierwsi i przygotowywali wszystko na pojawienie się wykładowcy. Wykładowca stanie tutaj. Nikomu nie wolno korzystać z tego pokoju, tylko wykładowcy. Wykładowca musi mieć samochód. Ich oczy nigdy nie wypełniły się łzami, kiedy siedzieli za jego mównicą. Twarze mieli tak opanowane i pozbawione wyrazu, jak kostki okryte czarnymi skarpetkami. Wszystko to wyciągała z naturalnej pamięci i dzięki posiadanej umiejętności dobudowała z tego wspaniałe skrzydło do gmachu swojej pamięci. Właśnie tam miało to nabrać nowego i subtelnego znaczenia. Oczekiwała, że kiedy skręci za marmurowy narożnik, będzie w stanie znaleźć tam Russella Eigenblicka, dostrzeże go w perspektywie korytarza, ujawni, kim jest, to, co wiedziała przez cały czas, ale nie zdawała sobie sprawy, że wie. Tak to miało działać i zawsze tak działało w przeszłości. Ale teraz klub czekał, milczący i nieporuszony, na jego zarządzenia. A pomiędzy kolumnami na tarasach stali schludnie przyodziani stronnicy, trzymając w rękach emblematy, które im przydzieliła, żeby móc ich zidentyfikować: bilet na pociąg, kij golfowy, martwe ciało. Ale on się nie pojawił. A jednak w całym skrzydle, tak, na pewno, panowała atmosfera napiętego oczekiwania.

– A te wykłady? – zapytał jeden z członków, przerywając jej zamyślenie.

Utkwiła w nim chłodny wzrok.

– Boże – powiedziała. – Przecież macie maszynopisy wszystkich przemówień. Czy jeszcze i tym mam sobie zaprzętać głowę? Nie umiecie czytać? – przerwała, zastanawiając się, czy ta pogoda nie była tylko maską, pod którą chciała ukryć własną nieumiejętność osaczenia ofiary. – Kiedy przemawia – dodała nieco łaskawiej – słuchają go. Wiecie, co mówi. Stary zlepek pojęć wymyślony po to, żeby poruszyć serca. Nadzieja, bezgraniczna nadzieja. Zdrowy rozsądek, albo to, co za niego uchodzi. Myśl, która daje wolność. Rozum, który daje wolność. Umie doprowadzać do łez. Ale wielu to potrafi. Sądzę... – Była już tak

bliska wypowiedzenia definicji i jednocześnie tak daleka: – Sądzę, że jest kimś więcej niż człowiekiem. Sądzę, że w jakimś sensie borykamy się nie tyle z człowiekiem, co z geografią.

– Rozumiem – stwierdził jeden z gości, gładząc wąsy, perłowszare jak jego krawat.

– Nie rozumiesz – powiedziała Hawksquill – ponieważ ja nie rozumiem.

– Wykończmy go – zaproponował inny.

– Nie mamy nic przeciwko temu, co głosi – powiedział kolejny, wyciągając z miękkiej torby plik papierów. – Stabilizacja, czujność. Akceptacja. Miłość.

– Miłość – dodał następny. – Wszystkie rzeczy się dewaluują. Nic już nie ma sensu. Wszystko spełza na niczym. – W jego głosie wyczuwało się drżącą nutę rozpacz. – Nie ma na ziemi żadnej siły potężniejszej niż miłość. – Wybuchnął dziwnym łkaniem.

– Czy tam na tacy stoją karafki, Hawksquill? – zapytał ktoś ze spokojem.

– W tej kryształowej jest brandy – odparła Hawksquill – a w tej drugiej wódka żytnia.

Uspokoił swego towarzysza łykiem brandy i ogłosili zamknięcie zebrania, *sine die*, oznajmiając, że misja Hawksquill ma być kontynuowana i uznając sprawę za nierozstrzygniętą. Opuścili jej dom, odczuwając większe zakłopotanie niż wtedy, kiedy społeczność, której filary stanowili, zaczęła chorować i marnieć.

Wizerunek niebosklonu

Służąca Hawksquill odprowadziła gości do drzwi, po czym stała w holu i wpatrywała się ponuro w plamę bladego świtu rozjaśniającą stopniowo szybę w drzwiach. Użała się w duchu nad swym stanem, nad swoją uległością: powracanie do stanu świadomości tylko na krótko w nocy było czymś znacznie gorszym niż niepowracanie w ogóle. Tymczasem blade światło nabierało mocy, zdawało się padać na nieruchomą służącą i odbierać jej oczom żywy blask. Podniosła dłoń egipskim gestem pozdrowienia lub pożegnania, zasznurowała usta. Kiedy Hawksquill mijala ją, idąc na górę, był już dzień. Kamienna Pokojówka (tak Hawksquill nazwała tę starożytną rzeźbę) zamieniła się znowu w marmurowy posąg. Hawksquill wspięła się na czwarte piętro wysokiej wąskiej kamienicy (było to codzienne ćwiczenie, dzięki któremu jej serce nadal biło jak dzwon). Dotarła do małych drzwi pod samym dachem, gdzie schody zwęzły się nagle i kończyły. Słyszała hałas spowodowany działaniem wielkiego mechanizmu mieszczącego się za drzwiami: opadanie ciężkich ciężarków cal po calu, dudniący stukot mechanizmu wychwytowego. Czula, że jej umysł uspokaja się. Otworzyła drzwi. Do środka wlewało się blade i wielokolorowe światło dnia. Muzyka sfer niebieskich, podobna do delikatnych westchnień wiatru w gałęziach nagich drzew, stała się wyraźniejsza. Hawksquill zerknęła na swój stary, kwarcowy zegarek i schylając się, weszła do środka.

Jeszcze przed dokonaniem zakupu Hawksquill wiedziała, że jest to jeden z trzech domów na świecie zaopatrzonych w opatentowany Kosmoptykon albo Theatrum Mundi. W dodatku urządzenie było w nie najgorszym stanie.

Wydawało jej się zabawne, że dom będzie zwieńczony takim olbrzymim i żelaznym talizmanem. Nie była jednak przygotowana ani na jego niezwykle piękno, ani – kiedy po głębokim przemyśleniu sprawy zaczęła wykorzystywać jego ruch do swoich celów – na jego przydatność. Nie dowiedziała się zbyt wiele o wynalazcy Kosmoptykonu, więc nie była w stanie stwierdzić, do czego miał według niego służyć mechanizm – być może tylko do zabawy. Odkryła to, z czego nie zdawał sobie sprawy sam wynalazca. Kiedy teraz schylała się, wchodząc przez małe drzwiczki, wkraczała nie tylko w kosmos z malowanego szkła i kutego żelaza, wykonany z dbałością o subtelne detale i poruszający się z pierwszorzędą precyzją, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ale wchodziła też do przestrzeni, która prezentowała aktualny moment wieku świata, mijający dokładnie w chwili, gdy przekraczała próg.

Chociaż Hawksquill wprowadziła drobne poprawki do Kosmoptykonu, tak aby precyzyjnie odzwierciedlał stan prawdziwych niebios, to nadal nie był on całkiem dokładny. Nawet jeśli twórca miał tę świadomość, nie było sposobu, żeby wbudować w tak wielką maszynę złożoną z kół zębatach i trybów, powolny, zamaszysty ruch ciał niebieskich w zodiaku, tak zwaną precesję zrównań dnia z nocą – tę niewyobrażalnie powolną, wielką turę, która zabiera jakieś dwadzieścia tysięcy lat więcej, aż znowu wiosenne przesilenie nie zbiegnie się przypadkiem z pierwszymi stopniami Barana. Jak twierdzi dla ułatwienia konwencjonalna astrologia, to zawsze następuje w tym momencie i Hawksquill odkryła, że wykorzystano tę zasadę w Kosmoptykonie, gdy tylko zobaczyła tę rzecz. Nie: jedynym prawdziwym obrazem czasu były zmieniające się niebiosy, a ich doskonałe odbicie mieściło się w obrębie wszechmocnej świadomości Hawksquill, która wiedziała, jaki jest moment. Ten mechanizm był w efekcie niedopracowanym zniekształceniem, chociaż dość ładnym. Naprawdę bardzo ładnym, pomyślała, zajmując miejsce w zielonym pluszowym fotelu.

Odprężyła się, siedząc w ciepłym strumieniu zimowego słońca (nim nadejdzie południe, w tym szklanym jajku będzie gorąco jak w piekle, kolejna rzecz, której projektant najwyraźniej nie wziął pod uwagę) i zadarła głowę. Błękitna Wenus z krwistopomarańczowym Jowiszem, szklana kula każdej planety zawieszona pomiędzy zwrotnikami na osobnej taśmie. Lustrzana powierzchnia Księżyca obniżająca się właśnie nad horyzontem, Saturn z niewielkim pierścieniem, Mleczna Droga pojawiająca się właśnie na nieboskłonie. Saturn we wschodzącym domu, najwłaściwszy dla tego rodzaju medytacji, w jakich miała zamiar się pograć. Klik: zodiak przesunął się o stopień. Waga (wyglądająca trochę jak Bernhardt w draperiach pokrytych cienką warstwą ołowiu i ważąca coś na szalkach, coś, co zdaniem Hawksquill przypominało grono soczystych winogron) unosiła palce z południowych wód. Prawdziwe słońce prześwietlało ją na wylot, tak że jej kształt był niewidoczny. Tak jak jest niewidoczny na jasnobłękitnym niebie w ciągu dnia, całkowicie rozświetlony i niewidzialny, a nadal oczywiście gdzieś za tą jasnością, oczywiście, oczywiście... Czowała, że jej myśli zaczynają już biec uporządkowanym torem, tak jak kolory i

wyznaczone stopnie Kosmoptykonu zaprowadzają porządek na jednobarwnym niebie. Czuła, że Theatrum Mundi w jej wnętrzu otwiera podwoje, a reżyser uderza trzykrotnie w scenę, dając sygnał do podniesienia kurtyny. Olbrzymi silnik jej sztucznej pamięci zaczął przekładać raz jeszcze elementy problemu, jaki stanowił Russell Eigenblick. I poczuła, od razu gotowa do pracy, że spośród wszystkich dziwnych zadań, którym poświęcała swe umiejętności, żadne nie było tak dziwne jak to, ani tak ważne dla niej samej, żadne nie wymagało, aby posunęła się tak daleko, zatopiła tak głęboko, widziała tak rozległe i myślała tak intensywnie.

W kartach. No dobrze. Zobaczymy.

II

*... la que, en volto comenzando humano,
acaba en mortal fiera, esfinge bachillera,
que hace hoy a Narciso ecos solicitar,
desdeñar fuentes...*

Soledades, Góngora

Najpierw obudziło Auberona zawodzenie kota.

– Opuszczone dziecko – pomyślał i zasnął ponownie. Potem wyrwało go ze snu beczenie kóz i stłumione „kukuryku” koguta.

– Przeklęte zwierzaki – powiedział na głos i miał zamiar spać dalej, ale przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Czy rzeczywiście słyszał kozy i kury? Nie, to sen albo jakieś hałasy zniekształcone we śnie. Ale w tym momencie znowu dobiegło jego uszu „kukuryku”. Owijając się kocem (w bibliotece było przeraźliwie zimno, ogień dawno zgasł), podszedł do okna i wyjrzał na podwórko. George Mouse wracał właśnie od dojenia, miał na sobie wysokie, czarne gumki i niósł kankę parującego mleka. Chudy kogut, siedzący na dachu szopy, podniósł swe mizerne skrzydła i zapiał raz jeszcze. Auberon spoglądał na Starą Farmę.

Stara Farma

Ze wszystkich fantastycznych pomysłów George’a Stara Farma miała choć tę zaletę, że przynosiła pożytek. Jeśli w tych mrocznych czasach potrzebowało się świeżych jaj, mleka czy masła po niewygórowanych cenach, to nie pozostawało nic innego, jak samemu dostarczyć sobie te wiktuały. Mieszkania od podwórza i tak nie nadawały się do zasiedlenia, tak więc zewnętrzne okna zostały zaślepione blachą i dyktą pomalowaną na czarno, drzwi zablokowane kupami żużlu. Budynek tworzył w ten sposób mur obronny wokół farmy. W zdegradowanych wnętrzach siedziały teraz na grzędach kury, w ogrodach zawodziły i beczwały kozy wyjadające paszę z wanienek. Goły, brązowy warzywnik, na który Auberon spoglądał z okien biblioteki i który zajmował większą część starego podwórka wewnątrz bloku, był tego ranka pokryty szronem. Spomiędzy resztek kukurydzy i kapusty wyglądały pomarańczowe

dynie. Jakaś nieduża, ciemnoskóra kobieta przechodziła ostrożnie w górę i na dół po schodach przeciwpożarowych i prześlizgiwała się przez okna pozbawione ram. Kury skrzeczały. Kobieta miała na sobie wieczorową suknię z cekinami i drżała, gdy zbierała jajka i wkładała je do eleganckiej srebrnej torebki. Nie wyglądała na zadowoloną, a kiedy krzyknęła coś do George'a, ten naciągnął tylko kapelusz z szerokim rondem jeszcze głębiej i poczłapał dalej. Zeszła na dziedziniec, stąpając po błocie i ogrodowej ziemi w pantoflach na cienkich, wysokich obcasach. Zawołała coś do umykającego George'a, wyrzucając w górę jedno ramię, po czym ze złością owinęła się szalem z frędzelkami. Torebka z lamy, przewieszona przez ramię, przechyliła się i jajka jedno po drugim zaczęły spadać na ziemię. Z początku nie zauważyła tego, po chwili krzyknęła „ojej, ojej” i próbowała złapać pozostałe jajka. Wykręciła nogę w kostce, kiedy przekrzywił jej się obcas, i wybuchnęła śmiechem. Śmiała się ciągle, gdy jajka wyślizgiwały się spomiędzy jej palców i spadały na ziemię. Pośliznęła się w powstałej z jajek mazi i niemal upadła. I śmiała się jeszcze głośniej. Wreszcie delikatnie zasłoniła sobie usta, ale Auberon nadal słyszał jej perlisty i niepohamowany śmiech. Roześmiał się również.

Patrząc, jak jajka spadają na ziemię, pomyślał, że musi poszukać miejsca, gdzie można zjeść śniadanie. Przyglądził pogniecione ubranie, nadając mu z grubsza pierwotny kształt. Przetarł oczy palcami i przejechał dłonią po wspaniałych włosach – irlandzka czupryna, tak je zawsze nazywał Rudy Flood. Potem musiał odszukać drzwi czy też okno, przez które się tu dostał. Przypomniawszy sobie, że idąc do biblioteki, mijał pomieszczenie, w którym przygotowywano posiłek, wziął więc swój plecak – nie chciał, żeby ktoś w nim grzebał albo go ukradł – i prześlizgnął się na chybotały mostek, kiwając głową, gdy musiał niezgrabnie przykucnąć. Mostek jęczał pod jego ciężarem, a przez szczeliny przeciskało się bezbarwne światło. Niczym droga ze snu – niemożliwa do pokonania. A jeśli mostek się załamie, a on sam zleci do szybu wentylacyjnego? A poza tym okno po drugiej stronie może być zamknięte. To głupie. Co za głupi pomysł przemieszczania się z jednego miejsca do drugiego. Rozdarł sobie marynarkę, zahaczając o wystający gwóźdź, i na czworakach wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Urażony i z zabrudzonymi rękoma wyszedł przez drzwi biblioteki i zszedł po kręconych schodach. W niszy na zakręcie stał milczący lokaj o wynędzniałej twarzy. Na głowie miał sztywny kapelusz, a w dłoni zardzewiałą popielniczkę. U dołu schodów widniała dziura w ścianie najeżona ceglami – przejście do następnego budynku, prawdopodobnie tego, do którego wpuścił go George. A może się myli? Przeszedł przez dziurę i znalazł się w innym budynku. Nie nosił śladów dawnej świetności, ale znamiona odwiecznej nędzy. Podłogi pokrywało kilka warstw linoleum – sprawiało to wrażenie archeologicznego wykopaliska. W korytarzu jarzyła się jedna żarówka. Znajdowały się tam drzwi, których liczne zamki były teraz otwarte, a ze środka dobiegały dźwięki muzyki, śmiechy i zapachy gotowanej stawy. Auberon zbliżył się do drzwi, ale ogarnęło go onieśmienie. Jak się zachować wobec ludzi

zamieszkujących to miejsce? Będzie musiał się tego nauczyć. On, który z rzadka widywał wokół siebie nieznajome twarze, był teraz otoczony przez samych obcych ludzi, tłum nieznajomych. Czuł, że nie jest teraz w stanie przekroczyć progu. Zły na siebie, lecz niezdolny do zmiany decyzji, wałęsał się po korytarzu. Światło dnia przenikało przez matową szybę wzmocnioną drutami, która znajdowała się w drzwiach na końcu korytarza. Auberon odblokował zasuwę i otworzył drzwi. Jego oczom ukazało się wewnętrzne podwórko. W otaczających je budynkach znajdował się tuzin drzwi, a każde były inne. Dostępu do nich broniły rozmaite zabezpieczenia: zardzewiałe bramy, łańcuchy, druty, sztaby, zamki albo wszystkie te akcesoria naraz. Mimo to drzwi wydawały się kruche i łatwe do sforsowania. Co kryło się za nimi? Niektóre stały teraz otworem i Auberon dostrzegł przelotnie kozy. W tym momencie z jednego z pomieszczeń wyszedł bardzo mały człowieczek. Miał krzywe nogi i nieprawdopodobnie szerokie bary. Niósł na plecach wielki worek z juty. Mimo że miał krótkie nóżki (nie był wyższy niż dziecko), przemierzał podwórko bardzo szybkim krokiem. Auberon zawołał: „Przepraszam”. Nie zatrzymał się. Głuchy? Auberon ruszył za nim. Czy jest nagi? Czy też ma na sobie kombinezon w cielistym kolorze? „Hej” – zawołał Auberon i wtedy człowiek przystanął. Odwrócił do Auberona swą dużą, ciemną, płaską głowę i uśmiechnął się szeroko. Jego oczy nad szerokim nosem tworzyły zaledwie wąskie szpareczki. Rany, ludzie wyglądają tu, jakby zostali żywcem przeniesieni ze średniowiecza, pomyślał Auberon. Może to skutek nędzy? Już miał zadać pytanie, chociaż był przekonany, że mężczyzna jest upośledzony i go nie zrozumie, kiedy człowiek ten wskazał długim, czarnym palcem, zakończonym ostrym paznokciem, na kogoś za plecami Auberona.

Odwrócił się. George Mouse właśnie otwierał drzwi i wypuszczał na dwór trzy koty. Zamknął drzwi z powrotem, nim Auberon zdążył go zawołać. Ruszył szybko ku niemu, potykając się na koleinach w ogrodzie, i odwrócił się, żeby pomachać małemu mężczyźnie, ale tamten już zniknął.

Auberon przystanął na końcu korytarza, do którego doprowadziły go drzwi. Wdychał zapach jedzenia i nasłuchiwał. Ze środka dobiegały odgłosy sprzeczki, brzęk garnków i talerzy i płacz dziecka. Popchnął drzwi i wszedł.

Macie tu swoje paskudztwo

Dziewczyna, która upuściła jajka na podwórku, stała teraz przy piecu. Wciąż jeszcze miała na sobie wieczorową suknię. Dziecko, niemal nieziemsko piękne, siedziało koło niej na podłodze, a jego buzię znaczyły brudne ślady po łzach. George Mouse zajmował honorowe miejsce przy dużym okrągłym stole, pod którym większość przestrzeni zajmowały jego zabłocone buty.

– Hej – powitał Auberona. – Kasza, chłopie. Dobrze spałeś? – Poklepał zewnętrzną stroną dłoni sąsiednie krzesło. Dziecko, które tylko na chwilę zainteresowało się nowo przybyłym, przygotowywało się do kolejnego wybuchu płaczu, wypuszczając z anielskich ust małe

bąbelki śliny. Chłopczyk pociągnął dziewczynę za suknię.

– *Ay, cono* – powiedziała łagodnie. – Nie denerwuj się – przemawiała jak do dorosłej osoby. Wymienili spojrzenia i zdawało się, że doszli do porozumienia. Chłopczyk nie zapłakał już. Dziewczyna energicznie mieszała w garnku długą, drewnianą chochlą. Oddawała się tej czynności całym ciałem, a jej pośladki, obciążone złotym materiałem, podskakiwały rytmicznie. Auberon przyglądał się temu uważnie.

– To jest Sylvie, chłopie – odezwał się znowu George. – Sylvie, przywitaj się z Auberonem Barnable'em, który przybył do Miasta szukać szczęścia.

Na jej twarz wypłynął w jednej chwili szeroki uśmiech, jakby słońce wyjrzało zza chmur. Auberon uklonił się sztywno, świadom, że ma kaprawe oczy i ślady zarostu na policzkach.

– Chcesz śniadanie? – zapytała.

– Jasne, że chce. Siadaj, kuzynie.

Dziewczyna odwróciła się do pieca i wyjęła z małego, ceramicznego samochodziku jedną z dwóch postaci w kapeluszach. Widniały na nich napisy: pan Sól i pan Pieprz. Energicznie potrząsnęła figurką nad garnkiem, Auberon usiadł i założył ręce na piersi. Kwadratowe okna kuchni wychodziły na podwórkę, na którym teraz ktoś – ale nie ten dziwny człowiek spotkany przed chwilą – prowadził kozy pomiędzy zmarniałymi uprawami i popędzał je kijem.

Auberon zapytał kuzyna:

– Czy masz tutaj dużo lokatorów?

– To właściwie nie są lokatorzy – odparł George.

– Pozwala im tu mieszkać – wyjaśniła Sylvie, spoglądając z sympatią na George'a. – Nie mają dokąd pójść. Ludzie tacy jak ja. Bo on ma dobre serce. – Roześmiała się, mieszając potrawę. – Wiele zagubionych wiewiórek i tak dalej.

– Spotkałem kogoś – powiedział Auberon. – Jakiegoś czarnego faceta na podwórku... – Zauważył, że Sylvie przestała mieszać i odwróciła się do niego.

– Był bardzo niski – dodał Auberon, zdumiony milczeniem, które zapadło po jego słowach.

– Brownie – wyjaśniła Sylvie. – To był Brownie. Widziałeś Browniego?

– Chyba... – odparł Auberon. – Kto...

– Taaa, stary Brownie – powiedział George. – Chodzi własnymi ścieżkami. Jest trochę tajemniczy. Jak pustelnik. Dużo tu robi. – Spojrzał na Auberona z zaciekawieniem. – Mam nadzieję, że nie...

– Chyba mnie nie rozumiał. Poszedł sobie.

– Ach – westchnęła Sylvie. – Brownie.

– Czy jemu też pozwoliłeś tu zostać? – zapytał Auberon kuzyna.

– Hę? Komu? Browniemu? – spytał zamyślony George. – Nie, stary Brownie zawsze tu był. Chyba. Kto to, u diabła, wie. Posłuchaj – zmienił nagle temat. – Co masz zamiar dziś

robić?

Auberon wyjął z wewnętrznej kieszeni wizytówkę. Widniał na niej napis: „Petty, Smilodon i Ruth, prawnicy” oraz adres i numer telefonu.

– To prawnicy dziadka. Muszę się z nimi spotkać w sprawie spadku. Możesz mi wyjaśnić, jak tam trafić?

George dumał nad wizytówką, czytał adres głośno i powoli, jak gdyby był niezrozumiały. Sylvie, poprawiając niecierpliwie szal na ramionach, przyniosła wreszcie do stołu powyginany, parujący garnek.

– Macie tu swoje paskudztwo – powiedziała i z hukiem postawiła garnek. George z przyjemnością wdychał zapach jedzenia.

– Ona nie je płatków – powiedział do Auberonu i mrugnął. Sylvie odwróciła się, okazując wstręt całym ciałem, po czym (zmieniając się w jednej chwili), podniosła z łatwością dziecko, które właśnie miało zamiar połknąć długopis.

– *Oue jodiendo!* Patrzcie na to pysio. Zobaczcie te tłuste policzki, takie słodkie, nie macie ochoty ich ugryźć? Mmmmm.

Zaciskając oczy, przyssała się chciwie do puciołowatych, brązowych policzków chłopczyka, podczas gdy ten próbował się wyrwać. Posadziła go na chwiejnym, wysokim krzeselku, na którym ozdoby w postaci niedźwiadków i króliczków zupełnie się starły, i postawiła przed nim jedzenie. Karmiła go, otwierając usta razem z nim i zamykając je, kiedy łyżka trafiała do buzi chłopca. Za każdym razem wycierała resztki z jego twarzy. Auberon przyłapał się na tym, że patrząc na nią, sam otwiera usta. Zamknął je szybko.

– Hej, mała – powiedział George do Sylvie, kiedy nakarmiła dziecko. – Będziesz jeść?

– Jeść? – powtórzyła takim tonem, jakby złożył jej nieprzyzwoitą propozycję. – Idę do łóżka, chcę spać.

Przeciągnęła się, ziewnęła, cała oddała się w objęcia Morfeusza. Podrapała się leniwie po brzuchu długimi, polakierowanymi paznokciami. W miejscu, gdzie znajdował się pępek, na złotej sukni tworzyło się małe wgłębienie. Auberon miał wrażenie, że jej brązowe ciało, chociaż doskonałe, było zbyt małe, żeby ją pomieścić. Raz po raz wyskakiwały z niej iskierki inteligencji i uczuć. I chociaż była teraz uosobieniem wyczerpania i niemocy, bił od niej blask.

Skrzydlaty Posłaniec

Jadąc do miasta hałaśliwym metrem linii B, Auberon – który nie miał zupełnie doświadczenia w tych sprawach – usiłował odgadnąć, co może łączyć Sylvie z George'em. Kuzyn był tak stary, że mógłby być jej ojcem, a Auberon na tyle młody, że ewentualność połączenia mają z grudniem wydawała mu się nieprawdopodobna i odrażająca. Tak, przygotowywała mu śniadania. Do jakiego łóżka się położyła, kiedy poszła spać? Chciał... właściwie nie wiedział dokładnie, czego chce. W tym momencie pojawiło się

niebezpieczeństwo, które zepchnęło podobne myśli na dalszy plan. Skład pociągu zaczął gwałtownie drgać, wydał ryk jak na torturach, najwyraźniej miał zamiar rozpaść się na kawałki. Auberon skoczył na równe nogi. Głośny, metaliczny stukot wtargnął do jego duszy, światła zamigotały i zgasły. Trzymając kurczowo zimny drążek, Auberon czekał na nieuniknioną katastrofę czy też wykolejenie się pociągu. Wtem zauważył, że żaden z pasażerów nie wydaje się w najmniejszym stopniu zaniepokojony. Zachowując kamienne twarze, czytali różnorodny gazety, kołysali dziecięce wózki albo gmerali w torbach z zakupami i spokojnie żuli gumę. Mój Boże, ten, który zasnął, nawet się nie poruszył. Dziwnym zjawiskiem wydały im się jedynie gwałtowne ruchy Auberona, toteż spoglądali na niego ukradkiem. Ale przecież groziła im katastrofa!

Za oknami, niemal komicznie zalepionymi brudem, pojawił się pociąg pędzący po równoległym torze. Zbliżał się do nich z gwizdem i drzeniem żelaza i lada moment mogło nastąpić zderzenie. Żółte okna (wszystko to było widoczne) drugiego pociągu przybliżyły się do nich jak osłupiałe oczy. W ostatniej chwili oba pociągi oddaliły się odrobinę i podjęły na nowo zwariowany wyścig, ocierając się niemal bokami i pędząc jak szalone. Auberon dostrzegł nawet spokojnych i odzianych w płaszcze podróżnych w drugim pociągu. Czytali gazety i szperali w torbach na zakupy. Usiadł.

Stary, czarny mężczyzna w niemodnych rzeczach, który przez cały czas trzymał się lekko słupka na środku wagonu, przemówił, gdy zmniejszył się hałas:

– Nie zrozumcie mnie źle, nie zrozumcie mnie źle. – Wyciągnął drugą rękę z poszarzałą pięścią do wszystkich pasażerów, którzy rozmyślnie go ignorowali i ciągnął: – Nie zrozumcie mnie źle. Fajnie popatrzeć na dobrze ubraną babkę, no wiecie. To radocha, taka ślicznotka. Chodzi o kobiety, które noszą futra. Nie zrozumcie mnie źle... – Pokiwał głową, żeby uprzedzić krytykę. – Ale wiecie, babka, która nosi futro, przejmuje skłonności tego zwierzęcia. No wiecie, skłonności tego stwora, z którego ma futro. Tak jest. – Przybrał pozę gawędziarza i popatrzył po swoich słuchaczach z życzliwością. Kiedy odsunął poły niesamowitego płaszcza i oparł dłonie na biodrach, Auberon dostrzegł butelkę kiwającą się ciężko w kieszeni. – Byłem na Piątej Ulicy któregoś dnia – mówił – i widzę babkę w płaszczu z soboli. – Potrząsnął głową na myśl o tym. – Ze wszystkich zwierzątek, moi mili, stworzonych przez Boga, soból jest najgorszy. Zjada swoje dzieci. Słyszycie mnie? Taaa. Soból to najbrudniejszy, najgorszy, najpodlejszy stwór, gorszy nawet od norki, ludzie, od norki, i pewnie wiecie, do czego są norki. Taaa! I te miłe panusie, co nie skrzywdziłyby nawet muchy, wkładają te płaszcze z soboli, tak, tak, fajnie. – Zaśmiał się lekko, nie będąc już w stanie powstrzymać rozbawienia. – Taaa, skłonności zwierząt, bez dwóch zdań... – Jego żółte oczy spoczęły na Auberonie, jedynym człowieku, który z uwagą śledził tok jego przemowy, zastanawiając się, czy to prawda. – Mmm, mm, mm – powiedział, już nieobecny. Jego dyskurs był skończony. Półuśmiech błąkał się na jego twarzy, a oczy – mądre, pełne humoru i jednocześnie przebiegłe – zdawały się znajdować w Auberonie coś zabawnego.

Pociąg skręcił w tym momencie, a szarpnięcie zepchnęło człowieka na drugą stronę wagonu. Zatańczył, ale nie upadł, chociaż z trudem utrzymywał równowagę. Kieszeń, obciążona butelką, stuknęła odbijając się od słupków. Auberon słyszał, jak mężczyzna mówi: Wachlarze i wyfutrzony suknie wszystko skrywają.

Kiedy pociąg hamował, dojeżdżając do stacji, mężczyzna znowu przemknął tanecznym krokiem w inne miejsce wagonu. Drzwi rozsunęły się i ostateczny wstrząs przy hamowaniu wyrzucił go na zewnątrz. Auberon zauważył w ostatniej chwili, że to przystanek, na którym powinien wysiąść i wyskoczyć z pociągu.

Zgiełk i gryzący dym, szybko wypowiedane komunikaty, których treść ginęła w metalicznym huku pociągów oraz oddalające się i powracające echo. Auberon, całkowicie zdezorientowany, ruszył za tłumem korytarzami i ruchomymi schodami, ale ciągle znajdował się pod ziemią. Na zakręcie dostrzegł przelotnie płaszcz czarnego mężczyzny. Na następnym – za którym droga chyba znowu biegła w dół – znalazł się obok niego. Wydawał się teraz zaabsorbowany czymś, szedł bez celu, a gadatliwość, którą okazywał w pociągu, zniknęła bez śladu. Wyglądał jak aktor poza sceną, obarczony własnymi problemami.

– Przepraszam – powiedział Auberon, zagłębiając dłoń w kieszeni. Człowiek bez zdziwienia wyciągnął rękę, żeby odebrać to, co wręczał mu Auberon, i również bez zdziwienia cofnął ją, kiedy okazało się, że to tylko wizytówka „Petty, Smilodon i Ruth”.

– Czy może mi pan pomóc odszukać ten adres? – Mężczyzna przeczytał wizytówkę i wydawał się zastanawiać.

– To sztuczka – powiedział. – Niby znaczy jedno, ale naprawdę znaczy co innego. Och, sztuczka. Zabierze trochę czasu.

Odszedł pochylony i pogrążony w myślach, ale ręka opuszczona wzdłuż ciała wykonała szybki ruch nakazujący Auberonowi pójść za nim.

– Pójdę z tobą i będę przewodnikiem – wymamrotał – w największej potrzebie twoim pomocnikiem.

– Dzięki – powiedział Auberon, chociaż nie miał pewności, czy te słowa były przeznaczone dla niego. Ogarnęły go jeszcze większe wątpliwości, kiedy mężczyzna (który szedł szybciej, niż można się było spodziewać, i nie uprzedzał, kiedy skręci) poprowadził go przez ciemne przejścia cuchnące uryną, gdzie woda kapłała jak w jaskini, i poprzez pasaży, w których rozlegało się echo. Wreszcie wkroczyli do obszernej kopuły (dawnego dworca) i pomaszrowali na górę błyszczącymi schodami aż do marmurowych korytarzy. Kiedy znaleźli się w czystych publicznych miejscach, mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej zaniedbany i śmierdzący.

– Daj no tę kartkę – polecił, kiedy stanęli przed rzędkiem szybko obracających się drzwi ze szkła i stali, przez które wpływał nieustanny strumień ludzi. Auberon i jego przewodnik stali dokładnie na ich drodze, ale czarny mężczyzna w ogóle nie dostrzegał tłumu, zajęty studiowaniem wizytówki. Ludzie omijali go, rzucając wściekle spojrzenia, nie wiadomo, czy

z powodu tej przeszkody, czy też z powodu własnych problemów. Auberon nie potrafił tego rozstrzygnąć.

– Może powinienem spytać kogoś jeszcze – zaproponował Auberon.

– Nie – odparł mężczyzna bez urazy. – Masz właściwego. Widzisz, jestem gońcem. – Popatrzył na Auberona, a w jego gadzich oczach krył się niemożliwy do odczytania sens. – Gońcem. Nazywam się Fred Savage, ze „Skrzydlatego Posłańca”. Tylko uciekłem. – Szybko i zręcznie wsunął się pomiędzy skrzydła obrotowych drzwi. Auberon zawahał się i prawie go zgubił. Rzucił się do pustego segmentu i został gwałtownie wyrzucony na siąpiący, zimny deszcz. Nareszcie był na dworze i spieszył się, żeby dogonić Freda.

– Mój księżę spotkał księcia koło północy – mówił – w alejce za dziedzińcem kościelnym, miał nogę mężczyzny przewieszoną przez ramię. Mówię, hej, księżę, mój chłopie. Powiedział, że jest wilkiem, jedyna różnica, że wilk jest włochaty na zewnątrz, a on był włochaty od środka. Powiedziałem, że mogę obrać go ze skóry i sprawdzić.

Auberon przemykał się za Fredem przez napierający tłum, teraz jeszcze bardziej się obawiał, że go zgubi, ponieważ Fred Savage nie oddał mu wizytówki prawników. Mimo to nadal był roztargniony: zadzierając głowę, spoglądał na wysokie budynki. Dachy niektórych z nich ginęły w deszczowych chmurach. Ich szczyty wydawały się czyste i szlachetne, natomiast ich podstawy wypełniały sklepy i napisy. Były nimi pokryte jak olbrzymie dęby, na których kolejne pokolenia żłobią serca i wydrapują paznokciami podkowy. Poczul, że ktoś go ciągnie za rękaw.

– Nie gap się w górę – powiedział Fred Savage rozbawiony. – Bo ci obrobią kieszenie. Poza tym – uśmiechnął się szeroko, ukazując uzębienie, które albo było nadzwyczaj doskonałe, albo złożone z najtańszych protez – one nie są do tego, żeby się na nie gapić, wiesz, nie, są po to, żeby ta wiara w środku mogła przez nie wyglądać. Nauczysz się tego, ha, ha.

Pociągnął Auberona za narożnik i dalej ulicą, na której walczyły między sobą o pierwszeństwo ciężarówki, taksówki i ludzie.

– Patrz uważnie – powiedział Fred Savage. – Ten adres ma niby być na tej ulicy, ale to oszukaństwo. Jest na tamtej ulicy, ale oni nie chcą, żebyś się tego domyślił.

Z góry dobiegły krzyki i ostrzegawcze nawoływania. Z okna na drugim piętrze wyciągano olbrzymie lustro w oprawie z połączanego brązu. Lustro zawisło, przymocowane do lin i wyciągu. Na ulicy znajdowały się już biurka, krzesła, szafki – biuro na ulicy. Ludzie musieli wchodzić do ohydnych rynsztoka, żeby ominąć ten galimatias. Ciężarówki zatarasowały ulicę. Słychać było coraz głośniejsze krzyki: Patrz za siebie! Patrz za siebie! I nikt nie mógł się ruszyć. Lustro, zaczarowane i osłupiałe, huštało się swobodnie w powietrzu i choć przez chwilę w jego tafli odbijały się jedynie spokojne wnętrza, teraz – rozhuśtane Miasto. Lustro zjeżdżało powoli w dół, wirując, odbijając to budynki, to znaki drogowe wspak. Ludzie stali zagapieni, czekając, aż ujrzą samych siebie w płaszcach i z parasolami.

– Chodź – powiedział Fred i mocno ścisnął Auberona za rękę. Prześlizgnął się między meblami, ciągnąc za sobą Auberona. Ci, którzy spuszczały lustro, zaczęli krzyczeć z przestraszu i złości. Coś było nie w porządku: liny nagle puściły, lustro przechyliło się jak szalone i zawisło parę stóp nad ziemią, gapię wydalili jęk. Wreszcie lustro wyprostowało się, Fred przesunął się pod nim, a jego kapelusz musnął złocenie. Przez krótką chwilę Auberon miał złudzenie, że chociaż patrzy na ulicę znajdującą się za nim, to w istocie jest to ulica przed nim, z której zniknął Fred. Potem przykucnął i przecisnął się pod lustrem.

Po drugiej stronie nadal ścigały ich przekleństwa mężczyzn spuszczających lustro. Rozległ się też odgłos przypominający odległy grzmot. Fred zaprowadził Auberona do dużego, łukowatego wejścia do budynku.

– Bądź zawsze gotowy – to moja dewiza – powiedział, zadowolony z siebie. – Upewnij się, że masz rację i ruszaj. – Wskazał na numer budynku, który był w istocie numerem ulicy, i oddał wizytówkę. Poklepał Auberona po plecach, zachęcając go do wejścia.

– Dzięki – powiedział Auberon i tknięty nagłą myślą, zagłębił dłoń w kieszeni i wyciągnął pogniecionego dolara.

– Usługa darmowa – oznajmił Fred, ale i tak wziął ostrożnie dolara między palec wskazujący i kciuk. Na jego dłoni wypisana była długa bogata historia. – No to ruszaj. Upewnij się, że masz rację, i ruszaj.

Pchnął Auberona w stronę szklanych drzwi, obramowanych mosiądzem. Kiedy Auberon wszedł do środka, usłyszał grzmot albo odczuł wybuch bomby, czy też cokolwiek to było. Uchylił głowę, słysząc długi, rozdzierający łomot, jak gdyby świat był przecinany na pół. Kiedy grzmot się przetoczył, z wielu gardeł jednocześnie wydobyło się westchnienie przechodzące w jęk, w którym wybijały się drżące, piskliwe damskie tony. Auberon zamarł, czekając na nieomylny odgłos rozbijania olbrzymiego, szklanego przedmiotu – nieomylny, pomimo że nigdy przedtem nie słyszał huku, jaki towarzyszy rozbiciu się przedmiotu tej wielkości.

Ile lat nieszczęścia wróży to komuś? – pomyślał, zastanawiając się, czy właśnie udało mu się przed czymś umknąć.

Składana sypialnia

– Umieszczę cię w składanej sypialni – powiedział George, gdy oświetlając drogę lampą, prowadził Auberona przez opustoszały w większości ciąg budynków otaczających Starą Farmę. – Jest tam przynajmniej kominek. Uważaj na to. Idziemy na górę.

Auberon szedł za kuzynem, dygocąc. Niósł swoją torbę i butelkę rumu Doña Mariposa. Kiedy wracał do domu, złapał go deszcz ze śniegiem, który przenikając powoli przez płaszcz i przez kościste ciało, oziębiał również jego serce. Skrył się na chwilę przed deszczem w małym sklepiku monopolowym, którego czerwony neon „Alkohol” zapalał się i gasł w kałużach na chodniku. Czując, że sprzedawca niecierpliwi się, iż ktoś przebywa w jego

sklepiku, a nie daje mu zarobić, Auberon zaczął przyglądać się rozmaitym butelkom i kupił w końcu rum, ponieważ dziewczyna na etykietce, ubrana w zieloną bluzkę i dźwigająca naręcze trzciny cukrowej, przypominała mu Sylvie. A raczej wydawało mu się, że tak wyglądałaby Sylvie, gdyby była wyimaginowana.

George wyjął pęk kluczy i zaczął przebierać wśród nich z roztargnieniem. Odkąd Auberon wrócił, George wydawał się posepny, roztargniony i niezbyt uprzejmy. Rozprowiał chaotycznie o trudach życia. Auberon miał do niego parę pytań, ale czuł, że w tym stanie ducha kuzyn nie udzieli mu odpowiedzi, więc podążał za nim w milczeniu.

Drzwi do składanej sypialni były zaopatrzone w podwójny zamek i otwarcie go zajęło George'owi trochę czasu. W środku znajdowało się elektryczne światło, lampa, na której cylindrycznym abażurze widniała wiejska sceneria, przez którą pędził pociąg. Lokomotywa niemal pożerała pierwszy wagon, jak wąż. George rozglądał się po pokoju, przykładając palec do ust, tak jakby dawno temu coś zgubił.

– Chodzi o to – powiedział i urwał. Zagapił się na półki pełne tanich książek. Lokomotywa na abażurze lampy zaczęła powoli przedzierać się przez wiejski krajobraz, sprowokowana do tego ciepłem żarówki.

– Widzisz, wszyscy trzymamy się tu razem – wyjaśniał George. – Każdy ma swoją działkę. Możesz się włączyć. Nigdy nie brak pracy. Tak. Chyba ci to nie przeszkadza. Tam jest ustęp. Piec i reszta nie działa, ale możesz jeść z nami, każdy coś dorzuci. Okay. Słuchaj. – Przeliczył ponownie klucze i Auberon odniósł wrażenie, że za chwilę zostanie zamknięty w pokoju. Ale George zdjął z kółka trzy klucze i wręczył je kuzynowi. – Tylko ich nie zgub, na miłość boską. – Usiłował się uśmiechnąć. – Witaj w wielkim mieście i nie bierz żadnych drewnianych pięciocentówek.

Drewniane pięciocentówki? Kiedy Auberon zamknął drzwi, pomyślał że język kuzyna jest tak pełen starych śmieci i wyświechtanych ozdobników, jak jego farma. Może nazwałby siebie jegomościem. Kiedy rozejrzał się po pokoju, uderzyła go dziwność tego miejsca. Nie było tu łóżka. W pokoju stało aksamitne krzesło buduarowe w kolorze czerwonego wina i jedno skrzypiące z wikliny, na którym umieszczono stos poduszek. Na podłodze leżał wytarty dywan, a przy ścianie stała olbrzymia szafa na wysoki połysk. Na jej froncie mieściło się lustro, a na dole – szuflady z mosiężnymi gałkami. Nie wiedział, jak ją otworzyć. Ale nigdzie nie było łóżka. Wyjął drewno i papier ze skrzynki po morelach (Złote Sny) i drżącymi palcami rozpałił ogień, rozmyślając o spędzeniu nocy na krzesłach. Nie miał zamiaru przedzierać się z powrotem przez Starą Farmę po to, żeby narzekać.

Kiedy ogień buzował w kominku i w pokoju zrobiło się cieplej, przestał uważać się nad sobą. Jego rzeczy wyschły i odczuł niemal uniesienie. Uprzejmy pan Petty z kancelarii „Petty, Smilodon i Ruth” udzielał dziwnie pokrętnych wyjaśnień, gdy mowa była o spadku, ale z ochotą wypłacił mu zaliczkę. Auberon miał więc gotówkę w kieszeni. Przyjechał do Miasta i nie zginął ani nie został pobity. Miał pieniądze i widoki na większą kwotę. Zaczynało się

prawdziwe życie. Dwuznaczność Edgewood, dusząca atmosfera tajemniczości i pojawianie się ciągle nowych sekretów, które nigdy nie były ujawniane, niekończące się oczekiwanie na to, by cele zostały jasno przedstawione, a kierunki określone – wszystko to miał już za sobą. Wziął życie w swoje ręce. Jest wolnym strzelcem, zarobi grube pieniądze, zdobędzie miłość i nigdy więcej nie będzie wracał do domu, gdy pora spać. Poszedł do małej kuchenki, ulokowanej przy składanej sypialni. Zepsuty piec i masywna lodówka, z pewnością też niesprawna, dzieliły przestrzeń ze zlewem i wanną. Wygrzebał biały, zupełnie popękany kubek do kawy, wymiół z niego zasuszonego robaka i wyciągnął swoją butelkę rumu Doña Mariposa. Trzymał kubek z rumem na kolanach i z uśmiechem na twarzy wpatrywał się w ogień, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Sylvie i przeznaczenie

Minęło kilka chwil, nim pojął, że ciemnoskóra, nieśmiała dziewczyna stojąca na progu, to ta sama, która rano, ubrana w złotą suknię, potłukła jajka. Teraz miała na sobie wypłowiałe, miękkie dżinsy i tak energicznie poklepywała się dla rozgrzewki, że jej fantastyczne kolczyki podskakiwały. Wydawała się teraz mniejsza, ponieważ nie rozpięła jej energia, dzięki której zdawało się, że jest duża i nie mieści się w swoim ciele.

– Sylvie – powiedział.

– Taaak. – Popatrzyła na ciemny korytarz, a potem znowu na niego, jak gdyby się spieszyła albo czymś niepokoiła. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Myślałam, że pokój jest pusty.

Jego obecność w pokoju była tak oczywista, że nie znalazł na to żadnej odpowiedzi.

– Okay – powiedziała. Wyciągnęła jedną zimną dłoń spod pachy. Przyciskając palcem wargę, przygryzała ją. Znowu popatrzyła na korytarz, jak gdyby Auberon zmuszał ją, żeby tu została, a ona niecierpliwie czekała, żeby odejść.

– Czy coś tu zostawiłaś? – Nie odpowiedziała. – Jak się miewa twój syn? – Na te słowa dłoń, która przyciskała wargę, zasłoniła usta. Wydawało się, że dziewczyna płacze albo się śmieje, albo robi obie te rzeczy naraz. Ciągle spoglądała przy tym na korytarz, chociaż wydawało się oczywiste, że nie ma dokąd pójść. W końcu to pojął.

– Wejdz – powiedział, odsuwając się na bok, żeby mogła przejść, i wykonując zapraszający ruch głową.

– Czasem tu przychodzę – wyjaśniła, kiedy weszła do pokoju. – Kiedy chcę być sama.

Rozejrzała się wokół siebie, a w jej wzroku malowało się, jak przypuszczał Auberon, usprawiedliwienie albo żal. Był intruzem. Zastanawiał się, czy powinien jej to powiedzieć i pójść spać na ulicę. Jednak zamiast tego zaproponował:

– Napijesz się rumu?

Nie dosłyszała jego słów.

– Więc posłuchaj – zaczęła i urwała.

Auberon nie wiedział jeszcze, że te słowa były w miejskim języku jedynie wtrętem i wcale nie miały na celu przykuć jego uwagi, chociaż tak się mogło wydawać. Czekał, co dziewczyna powie. Usiadła na aksamitnym krześle i powiedziała wreszcie jakby do siebie:

– Przytulnie tu.

– Mmm.

– Przyjemny ogień. Co pijesz?

– Rum. Chcesz trochę?

– Pewnie.

Okazało się, że w kuchni jest tylko jedna filiżanka, więc musieli podawać ją sobie z rąk do rąk.

– On nie jest moim synem – wyjaśniła Sylvie.

– Przykro mi, jeśli...

– To dzieciak mojego brata. Mam stukniętego brata. Bruno mu na imię. Tak jak dziecku.

– Zamyśliła się, wpatrzona w ogień. – Co za dziecko. Takie słodkie. I bystre. I złe? – Uśmiechnęła się. – Takie jak jego papo. – Objęła się mocniej, podciągając kolana niemal do piersi. Zauważył, że wzbiera w niej szloch i tylko obejmując się mocno, jest w stanie go powstrzymać.

– Wygląda na to, że dobrze wam ze sobą – zauważył Auberon i zdał sobie sprawę, że kiwa głową w idiotycznie uroczysty sposób. – Myślałem, że jesteś jego matką.

– Och, jego matka, stary – powiedziała, a na jej twarzy odmalowała się pogarda przemieszana z odrobiną współczucia. – Jest żałosna. Jest smutnym przypadkiem. Godna pożałowania. – Zamyśliła się. – Jak oni go traktują. Będzie dokładnie taki jak jego ojciec.

Najwyraźniej nie była to dobra perspektywa. Auberon żałował, że nie potrafi wymyślić pytania, które pozwoliłoby jej wyrzucić z siebie tę historię.

– No cóż, synowie wdają się w ojców – stwierdził, zastanawiając się, czy jest to prawdą w jego wypadku. – W końcu, dużo z nimi przebywają.

Prychnęła ze wstrętem.

– Cholera, Bruno nie widział tego dzieciaka od roku. Teraz zjawia się i mówi: „Hej, synku” i tak dalej. Tylko dlatego, że ma religię.

– Hm.

– Nie religię, tylko tego faceta, dla którego pracuje. Albo popiera. Russell jakiś tam, nie pamiętam, wyleciało mi. W każdym razie mówi „miłość, rodzina” bla, bla, bla. I zjawia się w progu.

– Hm.

– Zabiją dzieciaka. – Łzy napłynęły jej do oczu, ale żadna nie spłynęła. – Cholerny George Mouse. Jak mógł być taki tępy?

– A co on zrobił?

– Mówi, że był pijany. Miał nóż.

– Och. – Ponieważ Sylvie przestała używać imion, Auberon szybko się pogubił i nie miał pojęcia, kto miał nóż i kto powiedział, że kto był pijany. Musiał wysłuchać tej historii jeszcze dwukrotnie w ciągu następnych dni, żeby wreszcie zrozumieć, że brat Bruno przyszedł pijany do Starej Farmy i pod wpływem swej nowej wiary czy filozofii zażądał od George'a wydania syna Bruna. Ponieważ Sylvie była nieobecna, George po przedłużającej się dyskusji i pod groźbą użycia siły wydał mu dziecko. I teraz bratanek Bruno znajdował się w rękach kochających i głupich krewniaczek, które będą nim poniewierać (brat Bruno na pewno z nim nie został), które wychowają go tak, jak został wychowany jej brat po odejściu ojca. Stanie się próżny, dziki, krnąbrny i słodki i żadna kobieta nie będzie mogła mu się oprzeć. I tylko niewielu mężczyzn, nawiasem mówiąc. Nawet jeśli mały Bruno uniknie domu dziecka, plan Sylvie, żeby ocalić małego, i tak się nie powiodł. George zakazał jej krewnym wstępu na farmę, ma dosyć kłopotów.

– I dlatego nie mogę już z nim żyć – powiedziała, tym razem bez wątplenia mając na myśli George'a. Auberona przepełniła dziwna nadzieja. – To nie jego wina. Nie jego wina, naprawdę. Po prostu nie mogłabym. Zawsze bym o tym myślała, a poza tym... – Ścisnęła skronie, jak gdyby chciała tam coś wcisnąć. – Cholera, gdybym miała odwagę, nagadałabym im wszystkim. Wszystkim. – Jej żal i udręka osiągnęły punkt kulminacyjny. – Nigdy więcej nie chcę ich widzieć. Nigdy, nigdy, nigdy. – Niemal się roześmiała. – I to jest zupełnie głupie, bo jeśli stąd odejdę, to nie będę miała dokąd pójść. Zupełnie.

Nie miała zamiaru płakać, ten nastrój już minął. Kiedy wpatrywała się w ogień, skrywając policzki w dłoniach, w jej oczach malowała się bezdenne rozpacz.

Auberon złożył ręce na plecach i starając się nadać swemu głosowi dobrosąsiedzki ton, powiedział od niechcenia:

– No, jeśli chcesz tu zostać, to proszę bardzo. – Zdał sobie sprawę, że proponuje jej pobyt w miejscu, które należało bardziej do niej niż do niego, i zaczerwienił się. – To znaczy, możesz tu oczywiście zostać, jeśli nie przeszkadza ci, że ja też tu będę.

Popatrzyła na niego z namysłem, który był całkowicie zrozumiały, zważywszy na nagłą przemianę w jego uczuciach, którą próbował ukryć.

– Naprawdę? – upewniła się. Uśmiechała się teraz. – Nie zajmę dużo miejsca.

– Prawdę mówiąc, nie ma tu zbyt wiele miejsca. – Zamieniając się w gospodarza, rozejrzał się z namysłem po pokoju. – Nie wiem, jak to zorganizujemy, ale jest krzesło i mój płaszcz już prawie wysechł, mogłabyś go użyć jako koca...

Zdawał sobie sprawę, że on sam, zwinięty w kącie, prawdopodobnie wcale nie zmruży oka. Kiedy tak gościnnie organizował jej nocleg, twarz Sylvie dziwnie spochmurniała. Nie wiedział, co jeszcze może jej zaproponować.

– Czy nie mogłabym po prostu skimnąć się na skrawku łóżka? – zapytała. – Na przykład w nogach. Jak się zwinę, to jestem naprawdę mała.

– Łóżka?

– Łóżka! – powtórzyła niecierpliwie.

– Jakiego łóżka?

Nagle zrozumiała, w czym rzecz, i roześmiała się.

– No nie – powiedziała – no nie, nie miałeś chyba zamiaru spać na podłodze? Nie do wiary! – Podeszła do masywnej szafy, która stała pod ścianą, wyciągnęła do góry rękę i przekręciła klamkę albo pociągnęła za dźwignię w ukrytej ścianie. Nie potrafiąc ukryć rozbawienia, opuściła na podłogę całą przednią ścianę (szuflady atrapy skrywały ołowiane ciężarki), która swobodnie opadła. W lustrze mignęła podłoga. W obu górnych narożnikach pojawiły się mosiężne gałki i kiedy ściana opadała, wysuwały się i zmieniały w nóżki, lokując się na miejscu dzięki mechanizmowi pracującemu na zasadzie siły ciężkości. (Będzie się później zachwycał jego genialnością). Łóżko miało ozdobny zagłówek. W górnej części szafy mieściły się teraz nogi łóżka. Był w nim materac, prześcieradła i dwie puchate poduszki. Śmiał się razem z Sylvie. Rozłożone łóżko zajmowało większą część pokoju. Składana sypialnia.

– Czy to nie jest świetne? – zapytała.

– O tak.

– Starczy miejsca dla dwóch osób, prawda?

– Pewnie. Właściwie... – Miał zamiar zaproponować jej całe łóżko. To było jedyne dobre rozwiązanie i zrobiłby to natychmiast, gdyby wiedział, że szafa skrywa łóżko. Ale zrozumiał, że ona sądzi, iż nie jest na tyle dżentelmeński, żeby przypuszczać, że będzie wdzięczna chociaż za pół łóżka, i przypuszcza, że on przypuszcza, że ona... Nagły przypływ sprytu zamknął mu usta...

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? – zapytała.

– Nie.

– Nigdy nie sypiałam sama. Spałam z babcią przez wiele lat, także z moją siostrą. – Usiadła na łóżku. Było takie wysokie, że musiała się podciągnąć na rękach, a jej stopy nie sięgały do ziemi. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. – No i... – powiedziała.

Przemiana pokoju była przemianą reszty jego życia, przemianą wszystkiego, co nie zmieniło się na skutek wyjazdu, podróży autobusem, Miasta, prawników i deszczu. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią błędnym wzrokiem i że ona opuściła oczy.

– Napijesz się jeszcze? – zapytał, trzymając w górze filiżankę.

– Okay. – Kiedy nalewał rum, powiedziała: – Dlaczego przyjechałeś do Miasta?

– Żeby szukać szczęścia.

– Hę?

– Chcę zostać pisarzem. – Rum i intymny nastrój sprawiły, że powiedzenie tego przyszło mu z łatwością. – Mam zamiar rozejrzeć się za pracą. Związaną z pisaniem. Może dla

telewizji.

– Hej, świetnie. Wielka forsa.

– Mmm.

– Mógłbyś pisać coś takiego jak *Inny świat*.

– Co to jest?

– Serial.

Nie wiedział o tym. Zdał sobie sprawę z absurdalności swoich ambicji, kiedy rozmawiał o nich z Sylvie. Wracały do niego, odbite od niej, zamiast tak jak dotąd wybiegać nieskończenie w przyszłość.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie mieliśmy telewizora – wyznał.

– Naprawdę? Ja będę mieć. – Sączyła rum, który jej dał. – Nie było was stać? George mi mówił, że jesteście bogaczami.

– Cóż, bogaczami. Nic mi o tym nie wiadomo. – Tak! Przecież to był ton, jaki przybierał Smoky, ale Auberon po raz pierwszy usłyszał to we własnym głosie: stawianie w myśli cudzysłówów. Czyżby się starzał? – Pewnie, że moglibyśmy kupić telewizor... Jaki jest ten serial?

– *Inny świat*. To taka mydlana opera.

– Aha.

– Bez końca. Przebrnie się przez jeden problem i zaczyna się następny. W większości głupie. Ale można się wciągnąć. – Znowu zaczęła drzeć. Podciągnęła nogi na łóżko, odsunęła koldrę i owinęła nią stopy. Auberon podsycił ogień.

– Jest tam taka dziewczyna, która przypomina mnie samą – powiedziała, śmiejąc się z dezaprobatą. – Ale ona ma problemy. Ma być Włoszką, ale gra ją aktorka z P.R.⁹ I jest piękna. – Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła, że aktorka ma jedną nogę i w tym ją właśnie przypomina. – I ma swoje przeznaczenie i czasem pokazują, jak po prostu patrzy zamglonymi oczami, a w tle śpiewają jakieś głosy „aaaaaaaach” i wiadomo, że myśli o swoim przeznaczeniu.

– Hm. – Całe drewno w skrzyni pochodziło z rozbiórki, były to przeważnie kawałki mebli, także ze zdobieniami. Lakier na wyżłobionym drewnie skwierczał i pokrywał się pęcherzami. Auberon odczuwał radość: stanowił część społeczności obcych, spalał, nieznany im, ich meble i inne przedmioty, tak samo jak oni, nie znając go, pobierali od niego pieniądze na straganach i robili mu miejsce w autobusach. – Przeznaczenie, ha.

– Taaak. – Wypatrywała się w lokomotywę na abażurze lampy, przemierzając swój skrawek krajobrazu. – Ja mam przeznaczenie – oznajmiła.

– Ty?

– Tak. – Wypowiedziała tę sylabę w taki sposób, z takim wyrazem twarzy i drgnieniem ramion, jakby chciała powiedzieć: tak, to prawda, to długa historia i dlatego ma mi

⁹ P.R. – Puerto Rico (przyp. tłum.).

przynosić zaszczyt coś, z czym nie mam nic wspólnego i co jest nawet trochę kłopotliwe, jak aureola. Wpatrywała się w srebrny pierścionek, który nosiła na palcu.

– Skąd wiadomo – odezwał się Auberon – że ktoś ma przeznaczenie?

Łóżko było takie wysokie, że siedząc na małym aksamitnym krześle u jego stóp, znajdował się absurdalnie nisko. Nienaturalnie ożywiony, wdrapał się na łóżko obok niej. Zrobiła mu miejsce. Zajmowali przeciwległe narożniki, opierając się na oparciach, które wystawały z zagłówka.

– *Espiritista* przeczytała moje – powiedziała Sylvie. – Wiele lat temu.

– Kto?

– *Espiritista*. Taka pani, która ma zdolności. No wiesz. Stawia karty i robi różne dziwne rzeczy, nadprzyrodzone.

– Och.

– Ta kobieta była kimś w rodzaju mojej ciotki, niezupełnie mojej, nie pamiętam, czyją była ciotką. Nazywaliśmy ją Titi, ale wszyscy mówili na nią La Negra. Miała ze mnie przepędzić nieczyste duchy. W jej mieszkaniu zawsze paliły się świece na takich małych ołtarzykach, zasłony były zaciągnięte i unosiły się takie dziwne zapachy, a na zewnątrz, na schodach przeciwpożarowych, trzymała dwa kurczaki. Nie wiem, co z nimi robiła i nie chcę wiedzieć. Była duża, nie gruba, ale miała takie silne, małpie ramiona i małą głowę i była czarna. Jakby błękitnoczarna, wiesz? Nie mogła naprawdę należeć do mojej rodziny. Więc kiedy byłam małym dzieckiem, byłam naprawdę strasznie niedożywiona. Nie chciałam jeść. Mama nie potrafiła mnie zmusić, byłam taka chuda, o taka. – Podniosła w górę mały palec z paznokciem pomalowanym na czerwono. – Doktor powiedział, że mam jeść wątróbkę. Wątróbkę! Rozumiesz? W każdym razie babunia doszła do wniosku, że może ktoś rzucił na mnie zły urok. *Brujeria*. Z daleka. – Poruszyła palcami jak hipnotyzer. – Z zemsty czy coś. Mama żyła wtedy z cudzym mężem. Więc może jego żona wynajęła *espiritistę*, żeby się na niej zemścić w ten sposób. – Dotknęła lekko jego ramienia, ponieważ odwrócił wzrok. Dotykała jego ramienia za każdym razem, kiedy odwracał spojrzenie i zaczynało go to trochę niepokoić, nie mógł już bardziej skupić uwagi. Pomyślał, że to pewnie jakiś jej dziwny nawyk, dopiero później stwierdził, że mężczyźni, którzy grali na ulicach w domino i kobiety, które pilnowały dzieci i plotkowały na rogu, również miały taki zwyczaj. Był to więc nawyk związany z rasą, sposób podtrzymywania kontaktu.

– No więc babunia zabrała mnie do La Negry, żeby to wypędzić czy coś. Nigdy w życiu się tak nie bałam. Zaczęła mnie cisnąć i macać tymi wielkimi, czarnymi rękoma i jakby jęczała i śpiewała i mówiła te wszystkie rzeczy, a oczy jej gdzieś uciekły i powieki drżały... Okropność. A potem ruszyła do tego małego palnika i rzuciła coś w niego, jakiś proszek czy coś takiego, i czuć było naprawdę silny zapach, i odsunęła się, jakby tańcząc, i znowu mnie dotykała. Robiła też jakieś inne rzeczy, ale już nie pamiętam co. Nagle przerwała to wszystko i zachowywała się tak normalnie jak po pracy, robota skończona, jak u dentysty. I

powiedziała babuni, że nikt nie rzucił na mnie uroku, po prostu jestem chuda i muszę więcej jeść. Babuni bardzo ulżyło. Tak... – Znowu dotknęła jego nadgarstka, bo przez chwilę zagapił się we wnętrze kubka. – Więc siedzą sobie i popijają kawę i babunia płaci, a La Negra cały czas się na mnie gapi. Po prostu patrzy. Umierałam ze strachu. Na co ona się tak gapi? Potrafiła przeszyć cię spojrzeniem na wylot, zobaczyć twoje serce. Serce twojego serca. Potem robi tak – Sylvia wykonała ręką gest nakazujący dziecku zbliżyć się – i zaczyna do mnie mówić, bardzo powoli, pyta, jakie mam sny i o inne rzeczy, których już nie pamiętam. I wygląda, jakby bardzo głęboko myślała. Potem wyjmuje tę talię kart, bardzo starych i zniszczonych. I kładzie na nich moją dłoń, i przykrywa ją swoją dłonią. Jej oczy znowu uciekają, wygląda jak w transie. Och – wróciła do rzeczywistości – już nic nie ma.

– Jest jeszcze dużo. – Wstał i poszedł po rum.

– No więc posłuchaj, posłuchaj. Stawia te karty, dzięki. – Pociągnęła łyk z kubka, uniosła oczy i przez moment wyglądała jak dziecko, o którym opowiadała. – I zaczyna czytać moją przyszłość z kart. Właśnie wtedy zobaczyła moje przeznaczenie.

– I co to było? – Znowu usiadł koło niej na łóżku. – Coś wielkiego?

– Największego – odparła, przybierając poufny ton, jakby przekazywała najświeższe wieści. – Naj-, największego. – Roześmiała się. – Nie mogła w to uwierzyć. Takie chude, niedożywione dziecko w sukience uszytej w domu. I takie wielkie przeznaczenie. Gapiła się i gapiła. Wpatrywała się we mnie, wpatrywała się w karty. Moje oczy zrobiły się okrągłe jak spodki i pomyślałam, że zaraz się rozplacę, a babunia się modliła, a La Negra wydawała jakieś dźwięki. Chciałam uciec...

– Ale jakie dokładnie – spytał Auberon – było to przeznaczenie?

– Ona nie wiedziała dokładnie. – Sylvia roześmiała się, cała historia wydała się głupia. – W tym cały kłopot. Powiedziała o przeznaczeniu, i to wielkim, ale nie powiedziała, co to ma być. Gwiazda filmowa. Królowa. Królowa świata. Cokolwiek. – Zatopiła się nagle w myślach. – Oczywiście, to się jeszcze nie spełniło – wyjaśniła. – Ale czasem sobie to wyobrażam. W przyszłości. Wyobrażam sobie, jak się spełnia. Widzę ten obraz. Stół w lesie? Długi stół biesiadny, nakryty białym obrusem. A na nim pełno wszystkiego. Od końca do końca zavalony smakołykami. Ale w lesie. Dookoła drzewa i tak dalej. I jest tam puste miejsce pośrodku.

– I?

– To wszystko. Po prostu to widziałam. Myślałam o tym. – Spojrzała na niego. – Założę się, że nigdy wcześniej nie spotkałeś nikogo, kto miałby jakieś wielkie przeznaczenie – powiedziała, uśmiechając się szeroko.

Nie chciał jej mówić, że właściwie nie znał nikogo, kto nie miałby przeznaczenia. Przeznaczenie stanowiło wstydliwą tajemnicę, którą dzielili wszyscy w Edgewood, ale do czego nikt by się nie przyznał, chyba że w najbardziej zawołowany sposób i tylko z konieczności. Uciekł od tego. Był pewien, że prześcignął to, tak jak gęsi prześcigają Północny

Wiatr dzięki swym silnym skrzydłom. Nie mogło go to dosięgnąć. Jeśli pragnąłby teraz mieć przeznaczenie, to sam by je wybrał. Chciałby, na przykład, to takie proste, chciałby mieć Sylvie, chciałby należeć do Sylvie.

– Czy zabawnie jest mieć przeznaczenie? – zapytał.

– Niezbyt – odparła. Znowu zaczęła obejmować się ramionami, chociaż w pokoju było ciepło od ognia w kominku.

– Kiedy byłam dzieckiem, wszyscy się ze mnie nabijali. Oprócz babuni. Ale nie mogła się powstrzymać i rozpowiadała wszystkim o moim przeznaczeniu. La Negra też mówiła. A ja byłam ciągle wychudzonym dzieciakiem, który nic nadzwyczajnego nie zrobił. – Poruszyła się pod pościelą, zakłopotana, i obracała srebrny pierścionek na palcu. – Wielkie przeznaczenie Sylvie. Żartowali sobie. Kiedyś – odwróciła wzrok – kiedyś stary Cygan zjawił się w okolicy. Mama nie chciała go wpuścić, ale powiedział, że przybył z Brooklynu, żeby mnie zobaczyć. Więc wpuściła go. Był przygarbiony, spocony i strasznie gruby. I mówił tak śmiesznie po hiszpańsku. I wyciągnęli mnie, i pokazali mu. Jadłam skrzydełko kurczaka. I wpatrywał się we mnie przez chwilę tymi wielkimi wybałuszonymi oczami i otworzył usta. I wtedy – och, to było takie dziwne – padł na kolana. Zabrało mu to sporo czasu, wiesz? I mówi: „Pamiętaj o mnie, kiedy udasz się do swojego królestwa”. I dał mi to. – Podniosła dłoń, żeby pokazać mu srebrny pierścionek. – Potem wszyscy musieli pomagać mu wstać.

– I co potem?

– Wrócił do Brooklynu. – Przerwała. – Nie podobał mi się. – Roześmiała się. – Kiedy wychodził, wsadziłam mu do kieszeni skrzydełko kurczaka. Nie zauważył. Do kieszeni. W zamian za pierścionek.

– Skrzydełko za pierścionek.

– Tak. – Roześmiała się, ale szybko umilkła. Wyglądała na wyczerpaną i stropioną. Była zmienna: wydawało się, że jej nastroje zmieniają się szybciej niż nastroje większości ludzi. – Wielkie rzeczy – powiedziała. – Zapomnij o tym.

Piła szybko wielkimi łykami, a potem gwałtownie chwytła powietrze i machała dłonią przed otwartymi ustami, żeby ostudzić palące działanie rumu. Oddała mu kubek i zakopała się głębiej w pościeli.

– Dlaczego zawsze akurat ją? Nie potrafię nawet zatroszczyć się o siebie. Gorzej niż inni.

Jej głos stawał się ledwo słyszalny. Kręciła się, jakby próbowała zniknąć, potem przewróciła się na bok i szeroko ziewnęła. Widział wewnątrz jej ust: język wygięty w łuk, nawet migdałki. Nie miało blad różowego koloru jak u białych ludzi, lecz intensywniejszą barwę: koralową. Zastanawiał się...

– To dziecko było pewnie szczęśliwe – powiedziała, kiedy przestała ziewać. – Że uciekło ode mnie.

– Nie wierzę – wtrącił. – Tak dobrze się zgadzaliście.

Nic nie odrzekła, tylko przyglądała się swoim myślom.

– Chciałabym – zaczęła, ale nic nie dodała. Żałował, że nie może jej nic zaoferować. Oprócz wszystkiego.

– No cóż – powiedział – możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz. Tak długo, jak chcesz.

Odrzuciła nagle kołdrę i wygramoliła się z łóżka, a Auberon miał dziką ochotę schwycić ją i powstrzymać.

– Pipi – powiedziała. Przetoczyła się po jego nogach i zeszła na podłogę. Otworzyła drzwi do toalety (otwierały się tylko na tyle, żeby można było prześlizgnąć się do środka, potem zatrzymywały się o skraj łóżka) i zapaliła światło.

Słyszał, jak rozpina zamek błyskawiczny.

– Ojej! Ale ta kłapa zimna! – Nastąpiła cisza, a potem głośny odgłos siusiania. Kiedy skończyła, powiedziała: – Miły z ciebie facet, wiesz?

I jakkolwiek odpowiedź, której mógłby udzielić (gdyby potrafił coś wymyślić), utonąłaby w szumie wody.

Kraina snów

Przygotowaniu wspólnego łóża towarzyszyło mnóstwo śmiechu (Auberon żartował, że powinni położyć między sobą nagi miecz, a ona uważała, że to bardzo zabawne, nigdy o tym nie słyszała), ale kiedy wszystko ucichło i otoczyły ich ciemności, usłyszał jej płacz. Leżała na swojej połowie łóżka i płakała cicho, tłumiąc szloch.

Przypuszczał, że żadne z nich nie będzie spało, ale Sylvie, która długo się wierciła i wykrzyknęła kilka razy „ach”, jak gdyby przestraszona własnymi myślami, znalazła wreszcie ścieżkę do krainy snów. Łzy na jej czarnych rzęsach obeschły. Zasnęła. Podczas bezsennej walki okręciła wokół siebie pościel, a on nie śmiał przeciągać kołdry na swoją stronę (nie wiedząc, że gdy Sylvie już raz znajdzie się po drugiej stronie, to przez wiele godzin jest jak martwa). Ubrała się do snu w bawełnianą koszulkę, stanowiącą upominek dla dzieci zwiedzających Miasto. Widniały na niej jaskrawe i niezbyt wierne rysunki czterech czy pięciu wielkich atrakcji Miasta. Miała na sobie tylko to i majtki: paski cienkiego jedwabiu podtrzymywane elastycznym materiałem, nie większe niż opaska na oczy. Przez długi czas leżał koło niej rozbudzony, podczas gdy ona oddychała regularnie. Zasnął na krótko i śniło mu się, że jej dziecinna koszulka, wielki smutek, pościel owinięta wokół jej brązowych nóg i jej seksowna, prawie nieistniejąca bielizna, stanowią rebus. Roześmiał się, zrozumiał, że w śnie proste kalambury skryte w tych przedmiotach i zadziwiająca, ale oczywista odpowiedź. Ten śmiech obudził go.

Ukradkowo, jak jeden z kotów Daily Alice próbujący ukryć się w ciepłe, nie budząc śpiących ludzi, przesunął ręką pod przykryciem i objął Sylvie. Leżał tak przez długi czas, nieporuszony i czujny. Znowu zapadł w półsen, teraz śniło mu się, że jego ramię, pod wpływem kontaktu z jej ciałem, zamienia się powoli w złoto. Obudził się i stwierdził, że ręka jest ciężka i martwa. Wyciągnął ją, mrowiła, jakby ktoś wbijał szpileczki. Rozmasował ją,

zapominając dlaczego właśnie ta ręka wydawała mu się we śnie tak cenna. Zasnął ponownie. Obudził się znowu. Sylvie obok niego stała się bardzo ciężka, zdawała się obciążać swoją połowę łóżka jak skarb, tym cenniejszy, że zupełnie nieświadomy własnej wartości.

Kiedy wreszcie zasnął na dobre, nie śniło mu się nic, co miało związek ze Starą Farmą, lecz najwcześniejsze dzieciństwo, Edgewood i Lilac.

III

*Jedna myśl, jeden wdzięk, jeden cud
Których słowami wyrazić nie sposób.*

Christopher Marlowe, *Tamerlan Wielki*

Dom, w którym Auberon dorastał, nie był tym samym domem, w którym spędziła dzieciństwo Alice, jego matka. Kiedy Smoky i Daily Alice wzięli go w posiadanie, a naturalnymi zarządcami gospodarstwa stały się ich dzieci i rodzice Alice, dawne zwyczaje zostały rozluźnione. Daily Alice lubiła koty, a jej matka nie, i kiedy Auberon dorastał, liczba kotów w domu rosła w porządku geometrycznym. Leżały całymi stadami przed kominkiem, ich meszek pokrywał meble i dywany jak wysuszony, wieczny szron, ich pyski małych diablików ukazywały się Auberonowi w najdziwniejszych miejscach. Był wśród nich kot, którego pasiasta tygrysia sierść tworzyła nad ślepiami fałszywe krzaczaste brwi, dwa czarne koty, a może trzy, biały w czarne łaty, które zlewały się ze sobą jak na szachownicy z wymieszanymi kwadratami. W zimne noce Auberon budził się nagle z niepokojem, ponieważ coś kotłowało się w jego pościeli, i wyrzucał trzy albo cztery zbite cielska z miejsca, gdzie spoczywały w błogości.

Lilac i robaczki świętojańskie

Oprócz kotów w domu przebywał także pies Spark. Był potomkiem długiej linii psów, z których wszystkie (jak mawiał Smoky) wyglądały jak naturalni synowie Bustera Keatona: nad ślepiami Sparka widniały jasne plamy, które nadawały jego twarzy ten sam wyraz lekkiego wyrzutu i ogromnej trwogi. Kiedy Spark był już niesamowicie stary, pokrył kuzynkę składającą wizytę i został ojcem trzech psów bezimiennych i następnego Sparka. Gdy ciągłość rodu była już tym sposobem zapewniona, zwinął się w kłębek na ulubionym krześle doktora przed kominkiem i spędził tam resztę życia.

Nie tylko zwierzęta oddaliły mamę i doktora od siebie (opinia doktora była dostatecznie jasna, choć nigdy wprost nie powiedział, że nie lubi domowych zwierzaków). Zdawało się, że chociaż nie utracili nic ze swego dostojęstwa i pozycji, pożęglowali w przeszłość na

szybkich i wzbierających falach zabawek, ciasteczek, ptasich gniazd, pieluszek, pierwszej pomocy i nosidełek. Kiedy Alice również została matką, przechrzczono mamę na mamę Drinkwater, potem na Mamę D, a wreszcie na Mamade i choć nic nie mogła na to poradzić, czuła się tak, jakby odsunięto ją na boczny tor, ją – osobę, która zawsze dobrze i ciężko pracowała dla wszystkich. W ciągu wielu lat zegary, których zawsze było w domu bez liku, zaczęły wybijać godziny o innych porach, chociaż doktor, zwykle z jednym lub dwójkiem dzieci kręcących się koło jego kolan, nastawiał je, konserwował i często zaglądał do ich mechanizmów.

Sam dom się postarzał i choć czynił to z wdziękiem, a jego serce nadal mocno biło, to obwisł i przekrzywił się tu i ówdzie, jego utrzymanie było ogromną i niewdzięczną pracą. Trzeba było zamknąć pokoje na obrzeżach, wieżę i szklaną oranżerię, której bursztynowe szybki leżały porozrzucane pomiędzy rabatami kwiatów – kwadraty wycięte diamentem, wyrwane z żelaznych ramek, w których umieścił je John Drinkwater. Spośród wielu ogrodów i klombów otaczających dom, najwolniej przebiegał upadek ogrodu przy kuchni, a jego dekadencja trwała najdłużej. Chociaż wapno odchodziło płatami ze ścian zgrabnej werandy i liście winorośli wspinały się po ozdobnych łukach, chociaż schody obwisły, a ścieżka z płyt chodnikowych zniknęła wśród szczawiu i mleczy, wciskających się na siłę przez każdą szczelinę, ciotka Cloud, póki jej sił starczało, dbała o przepiękne rabaty kwiatowe. Trzy dzikie jabłonie, które wyrosły na skraju ogrodu, zrzucały na ziemię twarde owoce, a gdy te gniły, upajały się nimi osy. Mamade przerabiała część jabłek na galaretkę. Później, kiedy Auberon zaczął kolekcjonować słowa, przymiotnik „cierpki” przywodził mu na myśl te pomarszczone jabłka, obumierające w swej beużytecznej cierpkości pomiędzy zielskiem.

Nadeszła w końcu wiosna, kiedy Cloud doszła do wniosku, że lepiej pozwolić, by wszystko zarosło, niż forsować schorowane nogi i plecy. Właśnie wtedy Auberon polubił ogród, a rabaty kwiatowe nie były już zakazanymi miejscami. I kiedy nikt nie dbał już o ogród, roślinność i budynki nabrały uroku ruin: narzędzia w zaroślach pachnących ziemią były zakurzone i obce, a pająki rozpięły pajęczyny na otworach polewaczek, nadając im znamię baśniowej starożytności – wyglądały niczym hełmy wśród ukrytego skarbu. Pompownia z malutkimi, zupełnie zbędnymi okienkami, ze spadzistym dachem, miniaturowymi okapami i gzymsami zawsze wydawała mu się barbarzyńskim miejscem. Była to pogańska świątynia, a żelazna pompa uosabiała bożka z długim grzebieniem i wielkim językiem. Stawał na palcach, żeby dosięgnąć do rączki pompy, podnosił ją i opuszczał z całej siły, a bożek krztusił się ochryple, aż w końcu coś chwyciło go za gardło, gdy dźwignia napotykała tajemniczy opór. I Auberon musiał niemal oderwać stopy od ziemi, żeby ściągnąć ją w dół. W końcu z nagłą magiczną łatwością i ulgą woda spływała po szerokim języku pompy i rozpryskiwała się nieprzerwanymi strugami na zniszczonych kamieniach.

Ogród wydawał mu się wtedy ogromny. Oglądany z rozległego, nieco falistego pokładu werandy, rozpościerał się na olbrzymiej przestrzeni jak ocean, dosięgając jabłoni, a potem

rozbijał się wysokimi falami przerośniętych kwiatów i nieposkromionego zielska o kamienny mur i bramę zamkniętą na wieki, prowadzącą do parku. To było morze i dżungla. Tylko on jeden wiedział, co stało się z kamienną ścieżką, ponieważ mógł chodzić na czworakach pod zwieszającymi się liśćmi do tajemniczych miejsc. Kamienie na dróżce były tak chłodne, szare i śliskie jak woda.

Wieczorem pojawiały się robaczki świętojańskie. Ich widok zawsze go zaskakiwał. Wydawało się, że wcale ich nie widać, a w chwilę potem, kiedy zapadał błękitny zmrok, a Auberon przerywał jakieś pasjonujące zajęcie i unosił głowę, błyskały już w aksamitnych ciemnościach. Pewnego wieczoru postanowił siedzieć na werandzie, kiedy dzień będzie zamieniał się w noc, siedzieć i patrzeć, i nic więcej nie robić, i dostrzec pierwsze światełko, następne i wszystkie kolejne po to, by osiągnąć spełnienie, za którym zawsze tęsknił – za którym zawsze będzie tęsknił.

Schodki werandy były tego lata jego tronem. Tak więc siedział, opierając solidnie stopy w tenisówkach, ale jego uwaga nie była aż tak napięta, by nie mógł spojrzeć na księżyc, wijący sobie gniazdko w krokwiach werandy czy na srebrny pas niewidocznego odrzutowca. Podśpiewywał, ale nie była to określona melodia, raczej pozbawiona znaczenia onomatopeja na cześć zapadającego zmierzchu. Przez cały czas nie przerywał obserwacji. A jednak to Lilac dojrzała pierwszego robaczka świętojańskiego.

– Tam – powiedziała swoim cichym szorstkim głosem. I rzeczywiście, w dżungli paproci błyskało światełko, jak gdyby wykreowane w momencie, gdy wskazała palcem w tamtym kierunku. Kiedy zaświeciło się następne, Lilac wskazała je palcem od nogi. Lilac nawet w zimie nie nosiła butów. Miała na sobie tylko bladoniebieską sukienkę bez rękawów i pasek, który opadał wzdłuż jej satynowych ud. Kiedy powiedział o tym matce, zapytała, czy Lilac nigdy nie jest zimno, i nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. Widocznie nie, skoro nie dygotała. Wydawało się, że ta niebieska sukienka jest wystarczającym ubraniem, Lilac nie potrzebowała niczego więcej.

Jej sukienka, w przeciwieństwie do flanelowych koszul Auberona, nie stanowiła tylko przykrycia czy przebrania, lecz część jej samej.

Cała gromada robaczek świętojańskich budziła się do życia. Gdy tylko Lilac wskazała palcem i powiedziała „tam”, kolejne robaczki zapalały swoje blade świece: bladozielone jak fosforyzujący koniuszek sznurka, za który matka pociąga, zapalając światło w szafie. Kiedy już wszystkie unosiły się w powietrzu, tworząc jedyną jasność w ogrodzie, niewyraźną i bezkształtną, Lilac zakreśliła palcem kółko w powietrzu i robaczki świętojańskie zaczęły się zbierać powoli i skokami, jak gdyby niechętnie, w miejscu, które Lilac zakreśliła w powietrzu. I kiedy się zgromadziły, zaczęły krążyć w ślad za palcem Lilac, tworząc koło, uroczystą pawanę. Zdawało mu się nawet, że słyszy muzykę.

– Lilac nakazała robaczkom tańczyć – powiedział matce, kiedy w końcu przyszedł do domu. Obracał palcem w powietrzu tak jak Lilac i nucił jakąś melodię.

– Tańczyć? – zdziwiła się matka. – Nie sądzisz, że już czas spać?

– Lilac nie chodzi spać – powiedział, nie mając zamiaru porównywać się do niej – ona nie przestrzegała żadnych reguł – ale tylko kojarząc siebie z nią. Chociaż musiał chodzić spać, gdy błękitne światło oblewało jeszcze niebo i nie wszystkie ptaki spały, to jednak znał osobę, która nie musiała tego robić, która przesiadywała w ogrodzie do późnej nocy, kiedy on już dawno był pogrążony we śnie, albo spacerowała po parku i obserwowała nietoperze i wcale nie musiała spać, jeśli tak jej się podobało.

– Poproś Sophie, żeby przygotowała ci kąpiel – poleciła matka. – Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Stał przez chwilę, patrząc na matkę, i zastanawiał się, czy ma zaprotestować. Kąpiel to była kolejna rzecz, której Lilac nigdy nie musiała robić, ale często siadywała na brzegu wanny, wpatrując się w niego, daleka i bez skazy. Ojciec zaszeleścił gazetą i chrząknął, a Auberon wyszedł z kuchni – posłuszny, mały żołnierz.

Smoky odłożył gazetę. Daily Alice zamilkła przy zlewie ze ściereczką do naczyń w dłoni. Jej oczy błękitnyły.

– Wiele dzieci ma wymyślonych przyjaciół – powiedział Smoky – Albo braci czy siostry.

– Lilac – powiedziała Alice. Westchnęła i wzięła filiżankę. Popatrzyła na fusy od herbaty, jak gdyby chciała z nich powróżyc.

To tajemnica

Sophie pozwoliła mu wziąć do kąpieli kaczkę. Często łatwiej było uzyskać od niej zgodę na takie przyjemności, ale nie dlatego, że była bardziej życzliwa niż matka. Nie była po prostu tak czujna i nieraz wydawało mu się, że nie poświęca mu zbyt wiele uwagi. Kiedy siedział zanurzony po szyję w gotyckiej wannie (tak dużej, że mógłby w niej prawie pływać), odwinęła kaczkę z papieru. Zauważył, że w pudełku zostało jeszcze pięć sztuk.

Kaczki zostały wykonane z twardego mydła, tak pomyślała Cloud, która kupiła je dla niego, i dlatego pływały. To mydło, powiedziała, jest bardzo czyste i nie szczypie w oczy. Kaczki zostały starannie wyrzeźbione z jasnocytrynowego mydła, które istotnie wydawało mu się bardzo czyste i tak delikatne, że budziło to w nim nienazwane uczucia: przemieszanie czuci i głębokiej, zmysłowej przyjemności.

– Czas zacząć mycie – powiedziała Sophie.

Puścił kaczkę na wodę, rozmyślając o niemożliwym do zrealizowania marzeniu: chciałby spuścić wszystkie kaczki naraz na wodę, obserwować flotyllę boskiej, gładkiej, wyrzeźbionej czystości.

– Lilac nakazała robaczkom świętojańskim tańczyć – powiedział.

– Tak? Umyj się za uszami.

Dlaczego, dziwił się, a właściwie nie całkiem się dziwił, zawsze kazano mu robić to czy tamto, kiedy wspominał o Lilac? Kiedyś matka powiedziała mu, że byłoby lepiej nie

rozmawiać za wiele o Lilac z Sophie, ponieważ może jej to sprawić przykrość. Ale on uważał, że wystarczy, jeśli się postara odróżnić jedną Lilac od drugiej.

- Nie twoja Lilac.
- Wiem.
- Twoja Lilac odeszła.
- Tak.
- Zanim się urodziłem.
- Właśnie.

Lilac, która siedziała na okazałym sedesie, patrzyła tylko to na niego, to na Sophie, zupełnie nieporuszona, jak gdyby to jej wcale nie interesowało. Auberonowi cisnęło się na usta mnóstwo pytań dotyczących obu Lilac – a może były trzy? – i za każdym razem, kiedy pomyślał o Lilac Sophie, nowe pytanie wykwitowało na rozłożystym krzewie. Ale wiedział, że są tajemnice, których nigdy nie pozna. Tylko że kiedy dorósł, miał z tego powodu żal.

- Betsy Bird wychodzi za mąż – powiedział. – Znowu.
- Skąd o tym wiesz?

– Tacey tak mówiła. Lily powiedziała, że wychodzi za Jerry’ego Thorne’a, a Lucy powiedziała, że będzie miała dziecko. Już.

Naśladował zaintrygowany, nieznacznie oceniający ton, jakim mówiły jego siostry.

- Pierwsze słyszę. No, wychodź – powiedziała Sophie.

Niechętnie odłożył kaczkę. Jej ostre rysy zaczęły się już rozmazywać. W następnej kąpieli straci oczy, potem całkowicie zatraci rysy. Jej szeroki dziób zmniejszy się do rozmiaru dzióbka wróbelka, potem rozplynie się zupełnie. Następnie kaczka straci głowę (będzie się starał nie złamać jej coraz cieńszej szyi, nie chcąc uczestniczyć w roztopianiu się kaczki). Na końcu zamieni się w bezkształtną masę, nie będzie już przypominała kaczki, a jedynie serce kaczki, nadal czyste, nadal unoszące się na wodzie.

Wycierała go energicznie, ziewając. Jej pora snu następowała często wcześniej niż jego. W przeciwieństwie do jego matki zostawiała zwykle wilgotne miejsca na łopatkach i na kostkach.

– Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? – zapytał. To by rozwiązało jeden z problemów dotyczących jednej z Lilac.

- Nikt mi się nigdy nie oświadczył.

To nie była prawda.

- Rudy Flood ci się oświadczył. Kiedy umarła mu żona.
- Nie byłam w nim zakochana. Ale skąd o tym wiesz?
- Tacey mi powiedziała. Byłaś kiedyś zakochana?
- Raz.
- W kim?
- To tajemnica.

Książki i bitwa

Lilac opuściła Auberona dopiero, gdy skończył siedem lat, chociaż na długo przedtem przestał komukolwiek wspominać o jej istnieniu. Kiedy był dorosły, zastanawiał się czasami, czy nie jest tak, że większość dzieci, które mają wymyślonych przyjaciół, przestaje się do tego przyznawać; czy nie jest tak, że nawet gdy dziecko przestaje nalegać, by przygotowywano nakrycie dla jego przyjaciela, by ludzie nie siadali na krzesłach, na których siedzi jego przyjaciel, nie oznacza to, że nadal ma z nim jakiś związek? Zastanawiał się, czy wymyślony przyjaciel po prostu odchodzi powoli, nabierając kształtu zjawy, gdy rzeczywisty świat staje się bardziej realny, czy też zwykle pewnego szczególnego dnia znika, by już nigdy więcej się nie pojawić – tak jak uczyniła to Lilac? Ludzie, których o to pytał, mówili, że nie pamiętają. Ale Auberon sądził, że mogli nadal ukrywać w sobie stare duszki i być może napawało ich to wstydem. Czemu wobec tego on sam pamięta wszystko tak dokładnie? Ten wyjątkowy dzień w czerwcu, gdy powietrze było przezroczyste jak woda, dzień w pełni lata, wymarzony na piknik: dzień, w którym Auberon przestał być dzieckiem.

Poranek spędził w bibliotece, wyciągnięty na chesterfieldzie, którego skóra ziębiła mu nogi. Czytał, a w każdym razie trzymał na piersi ciężką księgę i przypatrywał się kolejnym, gęsto zadrukowanym linijkom. Auberon zawsze uwielbiał czytać, ta pasja zrodziła się w nim na długo przedtem, nim faktycznie posiadał tę umiejętność. Zrodziła się wtedy, gdy siadywał z ojcem i Tacey przy kominku i odwracał niezrozumiałe strony wielkiej książki z obrazkami, gdy oni je odwracali. Czuł się wtedy niezwykle wyciszony i spokojny. Gdy nauczył się odczytywać słowa, pogłębiło to przyjemność trzymania okładek, przewracania stron, odmierzania kciukiem drogi, która pozostała jeszcze do końca tej podróży i ślęczenia nad frontyspisami. Książki! Otwierane z trzaskiem starego kleju, uwalniające zapach perfum, zamykane z mocnym hukiem. Lubił te największe. Najbardziej te, które liczyły wiele tomów, jak trzynastotomowe, złocistobrazowe, niezrozumiałe dzieło Gregoroviusa *Średniowieczny Rzym*, stojące na niskiej półce.

Te grube i stare książki były wprost stworzone do przechowywania tajemnic. Chociaż czytał paragrafy i rozdziały skrupulatnie i wnikliwie (nie należał do osób, które czytają po łebkach), nie mógł w pełni zgłębić tych sekretów. I książka okazywała się dla niego (w istocie większość książek taka właśnie jest) głupia, nudna i przestarzała. Nie ujawniała swej magiczności. Półki uginały się zawsze pod ich ciężarem. Okultystyczne tomy, zbierane przez Johna Drinkwatera, były dla jego praprawnuka tak samo nieodparte jak liczne tomy, które kupował na metry, żeby zapełnić półki. W tej chwili Auberon czytał ostatnie wydanie *Architektury domów wiejskich* Johna Drinkwatera. Lilac, znudzona, przemykała z kąta w kąt biblioteki, przybierając różne pozy.

– Hej – powiedział Smoky do podwójnych drzwi, które stały otworem. – Czemu się tu dusisz? – zapytał słowami Cloud. – Byłeś na dworze? Co za dzień! – Nie uzyskał odpowiedzi.

Auberon wolno przewrócił kartkę. Z miejsca, w którym stał, Smoky widział tylko tył wyskubanej głowy syna (jego własne strzyżenie) z dwoma wyraźnie zaznaczonymi ścięgami i wrażliwym zagłębieniem pomiędzy nimi oraz czubek książki i dwie skrzyżowane stopy w wielkich tenisówkach. Nie musiał patrzeć, żeby stwierdzić, że Auberon ma na sobie flanelową koszulę zapiętą na przegubach dłoni. Nigdy nie nosił innych koszul ani nie rozpinął mankietów, bez względu na to, jak ciepły był dzień. Smoky'ego przepełniło zniecierpliwienie przemieszczane ze współczuciem. – Hej – zagadnął ponownie.

– Tato – odezwał się chłopiec – czy w tej książce napisali prawdę?

– Co to za książka?

Auberon podniósł księgę, pokazując ojcu okładkę. Smoky'ego ogarnęło nagle znajome intensywne uczucie: właśnie w takim dniu jak ten – być może był to nawet ten sam dzień roku – dawno temu otworzył tę książkę. Od tamtej pory do niej nie zaglądał, ale teraz znał jej zawartość o wiele lepiej.

– Cóż, „prawda” – odparł – „prawda”, nie wiem dokładnie, co rozumiesz przez „prawdę”.

– Za każdym razem, gdy wymawiał to słowo, wyraźniej ujmował je w niewidoczne cudzysłowy. – Twój prapradziadek to napisał, wiesz? – powiedział, podchodząc do sofy, żeby na niej usiąść. – Pomogła mu trochę praprababcia i twój praprapradziadek.

– Mhm. – Auberona to nie zainteresowało. Zaczął czytać: – „Tam, to królestwo dokładnie tak duże jak to, którego obszar nie może zostać – zawahał się – zredukowany na skutek ekspansji ani powiększony na skutek zagarnięcia Tutaj. A jednak w ostatnim czasie z pewnością musiano dokonać najazdu na to królestwo. Siły zwane przez nas Postępem, rozwojem Handlu, poszerzeniem możliwości Rozumu spowodowały, że ludzie ci skrywali się jeszcze głębiej w granicach swego królestwa. Tak więc (choć mają – z natury rzeczy muszą mieć – nieograniczoną przestrzeń do ucieczki) ich dawny zakres posiadania został w znacznym stopniu zredukowany. Czy są źli z tego powodu? Nie potrafimy odpowiedzieć. Czy planują zemstę? Czy też są, tak jak amerykańscy Indianie, jak ludy afrykańskie, tak pozbawieni siły i ducha, tak osłabieni liczebnie, że w końcu zostaną – następne trudne słowo – wytrzebieni całkowicie nie dlatego, że nie mają już dokąd uciec, ale dlatego, że straty terytorialne i ograniczenie władzy, jakie sprowadziła na nich nasza zachłanność, napawają ich żalnością nie do zniesienia. Nie potrafimy tego stwierdzić, jeszcze nie...”

– Co za zdanie – powiedział Smoky. Troje mistyków, przemawiając jednocześnie, odebrało prozie lekkość.

Auberon odsunął książkę od oczu.

– Czy to prawda? – spytał.

– Cóż – powiedział Smoky, zmieszany jak rodzic złapany w pułapkę przez dziecko żądające wyjaśnień na temat seksu albo śmierci.

– Nie wiem. Nie wiem, czy to właściwie rozumiem. To nie mnie powinienes o to pytać...

– Ale czy to jest wymyślone? – nalegał Auberon. Takie proste pytanie.

– Nie – odparł Smoky. – Nie, ale są na świecie rzeczy, które nie zostały wymyślone, ale które nie są również prawdą w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie są tak prawdziwe jak fakt, że niebo jest na górze, a ziemia na dole, że dwa i dwa to cztery, to nie są tego typu rzeczy... – Auberon utkwił w nim spojrzenie, w którym nie malowało się pocieszenie płynące z tej kazuistyki. Smoky to widział. – Posłuchaj, może byś zapytał mamę albo ciotkę Cloud? One wiedzą o tych rzeczach o wiele więcej ode mnie. – Schwycił Auberona za kostkę. – A wiesz, że dzisiaj szykuje się wielki piknik?

– Co to jest? – zapytał Auberon, odkrywszy mapę narysowaną na papierze cienkim jak skórka cebuli, przymocowaną do pleców książki. Zaczął ją rozwijać – z początku niewłaściwie, tak że rozdarł kawałek – i przez chwilę Smoky potrafił przeniknąć myśli swego syna: zrozumiał jego oczekiwanie na rewelacje, które obiecuje każda mapa czy diagram, a ta nawet bardziej niż inne; dostrzegł żądzę zrozumienia i wiedzy; dostrzegł obawę przed nieznanym, przed tym, co było dotąd ukryte, a za chwilę miało zostać ujawnione.

Auberon zszedł w końcu z kanapy i położył książkę na podłodze, żeby całkowicie rozłożyć mapę, która trzeszczała jak polana w ogniu. Czas wyżłobił małe dziurki w miejscach, gdzie krzyżowały się załamania. Smoky’emu mapa wydawała się o wiele starsza i delikatniejsza niż piętnaście czy szesnaście lat temu, kiedy oglądał ją po raz pierwszy. Pokrywały ją figury i linie, których nie pamiętał, skomplikowane tak jak i wtedy. Ale to była (musiała być) dokładnie ta sama mapa. Kiedy uklęknął obok syna (który studiował już uważnie mapę, pożerając ją rozpalonym wzrokiem i wodząc palcem po liniach), stwierdził, że wcale nie rozumie jej teraz lepiej, chociaż przez wszystkie te lata nauczył się (czy nauczył się czegoś prócz tego? och, wielu rzeczy), jak najlepiej sobie radzić, nie rozumiejąc jej.

– Chyba wiem, co to jest – oznajmił Auberon.

– Ach tak?

– To bitwa.

– Hm.

Auberon studiował mapy w starych książkach historycznych: podłużne bloki oznakowane małymi flagami, rozrzucone na terenie pokrytym pasami utworzonymi z linii topograficznych; szare bloki naprzeciw symetrycznych czarnych bloków (to ci źli faceci); na następnej stronie ten sam teren kilka godzin później: niektóre bloki odsunięte na bok, spenetrowane przez przeciwległe bloki, nakłute szerokimi grotami strzałek oznaczających postępy wroga, inne odwrócone całkowicie i podążające za szerokimi strzałkami oznaczającymi odwrot, wyłaniające się po jednej stronie.

Wielka, wyblakła mapa spoczywająca na podłodze biblioteki była trudniejsza do rozszyfrowania niż tamte mapy. Wyglądało to tak, jakby cały przebieg ogromnej bitwy (pozycje o świcie, pozycje o 14.30, pozycje o zachodzie słońca) został wyrysowany na jednej mapie, odwroty nakładały się na zdobycze, a uporządkowane szeregi na przełamane linie. Linie topograficzne nie wiły się i nie oddawały wyniosłości i pochyłości pola bitwy, ale

biegły regularnie i krzyżowały się, przeplatały się w sposób geometryczny i zmieniały subtelnie swój bieg, tak że cała mapa migotała jak jedwab, a oko gubiło się w tym labiryncie i wydawało fałszywą ocenę. Czy ta linia jest prosta? Czy ta jest zakrzywiona? Czy to są koła, jedno w drugim, czy też nieprzerwana spirala?

– Tu jest legenda – powiedział Smoky ze znużeniem. Istotnie była. Znajdowały się tam też – co dostrzegł Auberon – maleńkie bloki usytuowane tu i ówdzie (zagubione regimenty sojuszników), róża wiatrów, ale nie wskazująca kierunków oraz skala, chociaż nie w milach. Z legendy wynikało, że grubsze linie oznaczają Tutaj, a cieńsze Tam. Ale nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, które linie na mapie są rzeczywiście grube, a które cienkie. Pod legendą widniała nota napisana kursywą i podkreślona dla uwypuklenia ważności: „Obwód = nigdzie, centralny punkt = wszędzie”.

Nie mogąc sprostać piętrzącym się trudnościom i odczuwając nagłe zagrożenie, Auberon spojrzał na ojca. Zdawało mu się, że dostrzega w jego twarzy i spustoszałych oczach (właśnie taką twarz Smoky’ego będzie po latach widywał we snach) smutną rezygnację i rozczarowanie, jak gdyby ojciec chciał wyjaśnić: „Próbowałem ci powiedzieć, próbowałem, nie chciałem, żebyś posunął się tak daleko, próbowałem cię ostrzec, ale jesteś wolny, a ja nie mam nic przeciwko temu, tylko że teraz sam już wiesz, już rozumiesz, teraz już stało się i jest to częściowo moja wina, ale w większym stopniu twoja”.

– Co... – zaczął Auberon, czując, że coś go ściska za gardło. – Co... co jest... – Musiał przełknąć ślinę i wtedy stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia. Mapa zdawała się wzniecać hałas, który zagłuszał jego własne myśli. Smoky ścisnął ramię syna i wstał.

– Posłuchaj – powiedział. Może Auberon niewłaściwie odczytał wyraz jego twarzy. Kiedy strzepywał ze spodni nitki z dywanu, wydawał się jedynie znudzony. Być może, prawdopodobnie.

– Nie wydaje mi się, naprawdę nie sędzę, żeby to był dobry dzień na to, wiesz? Lepiej daj spokój. Jedziemy na piknik. – Wcisnął ręce do kieszeni, pochylił się nieznacznie nad synem i przybierając inny ton, dodał: – Może nie jesteś w tej chwili zachwycony tym pomysłem, ale myślę, sędzę, że mama ucieszyłaby się, gdybyś jej trochę pomógł w przygotowaniach. Czy chcesz jechać samochodem czy rowerem?

– Samochodem – odparł Auberon, nadal wbijając wzrok w podłogę. Nie wiedział, czy był zadowolony, czy nie, że przez chwilę, przez krótką chwilę ojciec i on odpłynęli razem do dziwnych łądów. Teraz zapanował między nimi dawny dystans. Czekał, aż ojciec odwróci wzrok (czuł jego spojrzenie na plecach) i chciał jak najszybciej usłyszeć odgłos jego oddalających się kroków. Dopiero potem podniósł głowę znad mapy, która nie była już teraz tak nieodparta, choć nie mniej zagadkowa, jak nierozwikłana łamigłówka. Złożył mapę, zamknął książkę i zamiast odstawić ją z powrotem do oszklonej biblioteczki, gdzie stała w towarzystwie swoich kuzynów, schował ją pod przykryciem fotela, skąd później będzie mógł ją zabrać.

Ale jeśli to bitwa, zastanawiał się, to pomiędzy kim a kim?

– Jeśli to bitwa – powiedziała Lilac siedząca w fotelu.

Stara geografia

Tacey pierwsza dotarła do miejsca, które zostało jakiś czas temu wybrane na tegoroczny piknik. Gnała starymi drogami i nowymi ścieżkami na swoim dobrze utrzymanym rowerze, a w ślad za nią podążał Tony Buck, którego zaproszenie na piknik wyblągała. Lily i Lucy miały przyjechać z innej strony, z porannej wizyty o dużej randze. Tacey sama je tam wysłała. Tak więc w starej drewnianej furgonetce za kierownicą siedziała Alice, a pasażerami byli: cioteczna babka Cloud, siedząca obok kierowcy, Smoky przy drzwiach, doktor i Mamade z tyłu, Sophie obok nich, zaś na samym końcu Auberon i pies Spark, który miał dziwny zwyczaj chodzenia w tę i z powrotem podczas jazdy samochodem (być może nie był w stanie zaakceptować przesuwających się za oknem krajobrazów, gdy jego nogi pozostawały w bezruchu). Nie zabrakło również miejsca dla Lilac, chociaż ona wcale nie potrzebowała przestrzeni.

– Szkarłatna tanagra – powiedział Auberon do doktora.

– Nie, pleszka – poprawił go doktor.

– Czarna, z czerwonymi...

– Nie – przerwał doktor i podniósł palec. – Tanagra jest cała czerwona, ale ma czarne skrzydła. Pleszka jest prawie całkiem czarna, ma tylko czerwone plamki. – Poklepał się po kieszeniach na piersiach.

Furgonetka podskoczyła, a każde jej złącze jęczało w proteście, gdy trzęsła się na wyboistej drodze prowadzącej do wybranego miejsca. Daily Alice utrzymywała, że tylko ustawiczne dreptanie Sparka sprawia, że ten stary gruchot w ogóle jeszcze jedzie (wierzył w to także sam Spark). Z pewnością w ostatnich latach służyła im tak dobrze, że każdy inny tak wyeksploatowany wehikuł już dawno popadłby w bezruch i milczenie. Drewniane ściany były tak szare jak drewno wyrzucone przez morskie fale, a skórzane siedzenia tak pomarszczone jak twarz Cloud, ale serce auta biło nadal jak dzwon. Ojciec nauczył Alice rozpoznawać przyzwyczajenia wozu. Sam znał jego zwyczaje tak dobrze (wbrew temu co sądził George Mouse) jak zwyczaje pleszek i rudych wiewiórek. Musiała się tego nauczyć, żeby zaopatrywać w niezbędne wiktuały swą powiększającą się rodzinę. Zaginał już obyczaj sporządzania listy zakupów raz na pół miesiąca; minęły dni sześciu kurczaków, pudełek tego i tuzinów tamtego, olbrzymich, dziesięciofuntowych pudeł proszku do prania, kanistrów oliwy, wielkich butli mleka. Furgonetka dźwigała to wszystko wiele razy i zносиła to niemal tak cierpliwie jak Alice.

– Czy nie uważasz, kochanie – powiedziała Mamade – że nie powinnaś się już dalej zapuszczać? Czy będziesz mogła stąd wyjechać?

– Myślę, że możemy jeszcze kawałek podjechać – odparła Daily Alice.

To głównie z powodu artretyzmu Mamade i starych nóg Cloud zabierali samochód. Dawniej... Przejechali przez koleinę i wszyscy, oprócz Sparka, podskoczyli na siedzeniach. Zanurzyli się w oceanie cienia. Alice zwolniła, czując delikatne muskanie liści o dach samochodu. Zapomniała o dawnych dniach, pogrążona w słodkiej fali letniego szczęścia. Pierwsza cykada zaczęła nucić swą melodię. Alice pozwoliła, żeby samochód zatrzymał się. Spark przestał przedreptywać.

– Czy dojdziecie stąd? – zapytała.

– No jasne.

– Cloud?

Nie było odpowiedzi. Wszyscy zamilkli ukojeni ciszą i zielenią.

– Co? A tak – odpowiedziała Cloud. – Auberon mi pomoże. Będę zamykać pochód. – Auberon zarechotał, a Cloud mu zawtórowała.

– Czy to nie jest... – odezwał się Smoky, kiedy ruszyli w grupkach po dwie, trzy osoby zakurzoną drogą. – Czy to nie jest droga... – Poprawił uchwyt rączki wiklinowego koszyka, który niósł razem z Alice. – Czy nie szliśmy tą drogą, kiedy...

– Tak – odparła Alice. Popatrzyła na niego z ukosa i uśmiechnęła się. – Tak, to ta droga. – Ścisnęła rączkę koszyka, tak jakby to była jego dłoń.

– Tak mi się zdawało.

Drzewa, stojące na wzniesieniu ponad przydrożnym rowem, niezwykle urosły, wydawały się teraz nawet bardziej nobliwe i promieniujące mądrością drzew. Ich gałęzie znacznie zgrubiały i dławiły się w zwojach rozrośniętego bluszczu. Drogę, od dawna nieużywaną, porosło ich potomstwo.

– Gdzieś tutaj – powiedział Smoky – był skrót do Woodsów.

– Tak. Skręciliśmy tam.

Torba od Gladstone'a, którą niósł razem z Alice, ześlizgnęła się z jego ramienia i utrudniała marsz.

– Tego skrót pewnie już nie ma – powiedział. Torba od Gladstone'a? Przecież to wiklinowy koszyk, ten sam, w który Mamade zapakowała ich ślubne śniadanie.

– Nie ma jej kto utrzymywać – stwierdziła Alice, oglądając się na ojca, który skierował wzrok na te same chaszczce. – Nie ma potrzeby. – Tego lata minęło dziesięć lat od śmierci Amy Woods i jej męża Chrisa.

– Zawsze mnie dziwi – powiedział Smoky – że tak niewiele z tej geografii jestem w stanie zapamiętać.

– Hm – mruknęła Alice.

Cloud, opierając się jedną ręką na ramieniu Auberona, a drugą na ciężkiej lasce, omijała ostrożnie kamienie na drodze. Nabrała zwyczaju poruszania ustami tak, jakby stale żuła gumę.

I gdyby sądziła, że inni to zauważają, czułaby się niezmiernie zakłopotana, przekonywała

więc samą siebie, że nikt tego nie dostrzega (ponieważ nic na to nie mogła poradzić), chociaż w istocie wszyscy to widzieli.

– To miło z twojej strony, że tak się siłujesz ze starą ciotką – powiedziała.

– Ciociu Cloud – odezwał się Auberon – ta książka, którą napisał twój ojciec i twoja matka, czy to naprawdę oni napisali?

– O jakiej książce mówisz, kochanie?

– Tej o architekturze, tylko że ona jest właściwie o czym innym.

– Myślałam – powiedziała Cloud – że te książki są w szafce zamykanej na mały klucz.

– Czy to wszystko, co tam piszą, to prawda? – spytał Auberon, nie zwracając uwagi na jej słowa.

– Wszystko, to znaczy co?

Niemożliwością było to streścić.

– Na końcu jest taki plan. Czy to plan bitwy?

– Cóż! Nigdy tak nie pomyślałam. Plan bitwy! Tak uważasz?

Jej zdziwienie odebrało mu pewność siebie.

– A co to właściwie jest?

– Nie mogę powiedzieć.

Oczekiwał, że usłyszy przynajmniej jej opinię, jakąś sugestię, ale ona już nic więcej nie powiedziała, tylko poruszała ustami i kuśtykała z wysiłkiem. Pozostało mu domyślać się, co chciała powiedzieć. Doszedł do wniosku, że jej uwaga oznacza, iż jest w stanie odpowiedzieć, ale nie wolno jej tego uczynić.

– Czy to tajemnica?

– Tajemnica! Hm. – Znowu zdziwienie, jak gdyby wcześniej nie poświęcała tym sprawom najmniejszej uwagi. – Tajemnica. Tak myślisz? No, no, może właśnie tak to jest... Ojej, wysforowali się do przodu, prawda?

Auberon zrezygnował z dalszych pytań. Czuł ciężar dłoni Cloud na swoim ramieniu. Przed nimi, tam, gdzie droga wznosiła się i znowu opadała, ukazał się srebrzystozielony pejzaż w obramowaniu wyniosłych drzew, które zdawały się pochylać i zapraszającym gestem wyciągać liściaste ręce, oferując spacerowiczom ten zakątek. Auberon i Cloud patrzyli, jak pozostali docierają do szczytu wzniesienia, przechodzą pod portalami drzew i roztapiają się w słonecznym blasku, po czym rozglądają wokół siebie i schodząc w dół, znikają.

Hillowie i Dale'owie

– Kiedy byłam małą dziewczynką – powiedziała Mamade – zwykliśmy spacerować troszkę w tę i z powrotem. – Obrus w czarno-białą kratkę, wokół którego się rozsiedli, został rozłożony w pełnym słońcu, teraz jednak tonął w cieniu wielkiego samotnego klonu. Widoczne spustoszenia dotknęły szynki, pieczonych kurczaków i czekoladowego ciasta.

Dwie butelki leżały przewrócone, a trzecia, niemal opróżniona, przechylała się. Szwadron czarnych mrówek zdobył właśnie pierwsze przyczółki na brzegu obrusa i przekazywał wieści pozostałym: ogromnie nam się poszczęściło.

– Rodziny Hillów i Dale’ów – ciągnęła Mamade – zawsze miały powiązania z Miastem. Hill to nazwisko mojej matki – wyjaśniła Smoky’emu, który o tym wiedział. – Och, w latach trzydziestych było tak zabawnie: podróże pociągiem, lunch, wizyty u kuzynów. Hillowie nie zawsze mieszkali w Mieście...

– Czy to ci Hillowie, którzy nadal mieszkają w górach? – zapytała Sophie spod słomkowego kapelusza, który spuściła na twarz, żeby osłonić się przed hojnym słońcem.

– To jest odgałęzienie – odparła Mamade. – Moi Hillowie nigdy nie mieli wiele wspólnego z Highland Hills. Historia jest...

– Historia jest długa – wtrącił doktor. Wzniósł kieliszek pod słońce (zawsze nalegał, żeby zabierać na pikniki prawdziwe szkło i srebrną zastawę – te luksusy sprawiały, że piknik zamieniał się w ucztę) i patrzył, jak łapie jego promienie.

– Nie tak bardzo – powiedziała Mamade. – Skąd wiesz, jaką historię mam na myśli?

– Szepnęła mi mała ptaszyna – zachichotał doktor. Oparł się plecami o klon, nasuwając na oczy panamę (prawie tak starą jak on sam) i miał zamiar uciąć sobie drzemkę. W ostatnich latach wspomnienia Mamade wydłużały się, plątały i były wielokrotnie powtarzane, a jej słuch się pogarszał. Ale nigdy się nie gniewała, kiedy jej to wypominano.

– Hillowie w Mieście – ciągnęła swą opowieść – byli dobrze sytuowani. Oczywiście, w tamtych czasach posiadanie dwóch czy trzech służących nie było niczym dziwnym, ale oni mieli cały tłum. Miłe irlandzkie dziewczęta. Wszystkie miały na imię Mary albo Bridget, albo Kathleen. Hillowie z Miasta właściwie w większości wymarli. Niektórzy przenieśli się na zachód, w Góry Skaliste. Oprócz jednej dziewczyny mniej więcej w wieku Nory, która poślubiła niejakiego pana Townesa, oni zostali. To był wspaniały ślub. Pierwszy, na którym płakałam. Ona nie była piękna i nie była żadną młodką, miała już córkę po pierwszym mężu, jak mu było na imię, który zmarł, tak więc ten Townes (jak mu było na imię?) to była niezła partia, och, dzisiaj już się tak nie mówi, prawda, i te wszystkie panny służące ubrane w wykrochmalone stroje, gratulacje... Jej rodzina była taka szczęśliwa...

– Wszyscy Hillowie – powiedział Smoky – tańczyli z radości.

– I to właśnie ich córka, a raczej jej córka Phyllis nieco później, mniej więcej wtedy, kiedy wyszłam za mąż, poznała Stanleya Mouse’a i tak właśnie tamta rodzina i moja rodzina w taki określony sposób spokrewniły się. Phyllis. Była Hill ze strony matki. Matka George’a i Franza.

– *Paturient montes* – zażartował bez powodzenia Smoky – *et nascetur ridiculus mus*.

Mamade pokiwała głową z zadumą.

– Irlandia była w tamtych czasach bardzo biednym krajem, oczywiście...

– Irlandia – powiedział doktor, wznosząc oczy. – W jaki sposób doszliśmy do Irlandii?

– Jedna z tych dziewcząt, chyba Bridget – kontynuowała Mamade, zwracając się do męża – Bridget albo Mary? Poślubiła później Jacka Hilla, kiedy jego żona zmarła. Z kolei jego żona...

Smoky odsunął się, żeby nie słyszeć dalszego ciągu jej wywodu. Ani doktor, ani Cloud nie słuchali jej również zbyt uważnie, ale ponieważ przybierali pozy świadczące o zainteresowaniu, Mamade nie zauważyła jego dezercji.

Auberon siedział z dala od nich ze skrzyżowanymi nogami i wydawał się czymś pochłonięty. Smoky zastanawiał się, czy widział go kiedykolwiek zajętego w inny sposób. W tej chwili turlał jabłko po ręce. Spojrzał ostro na ojca, a Smoky pomyślał, że może zechce cisnąć w niego jabłkiem. Uśmiechnął się, pomyślał o zrobieniu kawału, ale ponieważ wyraz twarzy Auberona nie zmienił się, zrezygnował z tego pomysłu i znowu się przesiadł. (W rzeczywistości Auberon wcale na niego nie patrzył. Lilac siedziała pomiędzy nim a ojcem, zasłaniając mu Smoky'ego i to w jej twarz się wpatrywał. Nosila szczególny wyraz: nazwałby to smutkiem, ponieważ nie znał lepszego słowa, i zastanawiał się, co to może znaczyć).

Smoky usiadł obok Alice. Leżała na trawie, opierając głowę na naturalnym wzniesieniu, a dłonie spłotła na pełnym brzuchu. Smoky wyrwał źdźbło trawy i przygryzał je.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – odezwał się.

– Co? – Lekko potarła zaspane oczy.

– Kiedy braliśmy ślub... – powiedział. – Pamiętasz ten dzień?

– Mhm. – Uśmiechnęła się.

– Chodziliśmy wśród gości, dawali nam prezenty.

– Mhm.

– I wielu z nich mówiło wtedy dziękuję. – Zielone źdźbło kiwało się w rytm jego słów. Widział to. – Zastanawiałem się, dlaczego to oni dziękowali nam, a nie odwrotnie.

– My też dziękowaliśmy.

– Ale dlaczego oni dziękowali? O to mi chodzi.

– No cóż – powiedziała i zamyśliła się. Przez wszystkie te lata zadawał tak niewiele pytań, że kiedy już o coś spytał, zastanawiała się głęboko nad właściwą odpowiedzią, po której nie musiałby niczego dociekać. Nie żeby chciał dociekać. Często dziwiła się, że tego nie robi. – Ponieważ – odparła – małżeństwo zostało jakby obiecane.

– Tak? I co?

– Cieszyli się, że przyszedłeś. I że obietnica się spełniła.

– Och.

– Że wszystko pójdzie tak, jak ma pójść. Przecież nie musiałeś. – Położyła dłoń na jego dłoni. – Nie musiałeś.

– Nie patrzyłem na to w ten sposób – powiedział Smoky i zamyślił się. – Dlaczego tak bardzo przejmowali się tym, co zostało obiecane? Jeśli zostało obiecane tobie.

– No wiesz. Wielu z nich to krewni. Częśćka rodziny. Chociaż lepiej o tym nie

wspominać. To znaczy są przyrodnimi braćmi lub siostrami tatusia albo ich dziećmi, albo dziećmi ich dzieci.

– No tak.

– August.

– O tak.

– Więc ich to interesuje.

– Mhm. – To nie była dokładnie taka odpowiedź, jakiej oczekiwał, ale Daily Alice powiedziała to tak, jakby to właśnie było wyjaśnienie.

– To jest bardzo skomplikowane – powiedziała.

– Krew nie woda – powiedział Smoky, chociaż to przysłowie wydawało mu się zawsze jednym z głupszych przysłów. – Oczywiście, że krew to nie woda, i co z tego? Czy ktoś był kiedykolwiek spokrewniony przez tę wodę, a nie przez krew?

– To zagmatwane – powtórzyła Alice, a oczy jej się zamykały. – Na przykład Lilac. – Za dużo wina i słońca, pomyślał Smoky, inaczej nie wymknęłoby jej się to imię. – Podwójne pokrewieństwo, podwójna kuzynka w pewnym sensie. Sama była swoją kuzynką.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, kuzynowie kuzynów.

– Nie rozumiem. – Smoky pogubił się. – Przez małżeństwo?

– Co? – Alice otworzyła oczy. – Och nie! Oczywiście, że nie. Masz rację. – Jej oczy znowu się zamknęły. – Zapomnij o tym.

Spojrzał na nią. Pomyślał: ścigasz jednego zająca, a tymczasem pojawia się następny i kiedy patrzysz, jak ten pierwszy znika ci z oczu, ten drugi też ucieka. Zapomnij o tym. Czemu nie? Wyciągnął się koło niej, opierając głowę na jej ramieniu. Wyglądali w tej pozie jak kochankowie: głowa przy głowie, on spoglądał na nią, a ona pławiła się w promieniach jego spojrzenia. Pobrali się w młodym wieku, nadal byli młodzi... Tylko zaawansowani w miłości. Rozległa się melodia, podniósł oczy. Na kamieniu niedaleko nich siedziała Tacey i słuchała magnetofonu. Zatrzymywała raz po raz taśmę, żeby zapamiętać melodię, i odgarniała z twarzy długi lok jasnych włosów. U jej stóp przycupnął Tony Buck, który był tak odmieniony, jak osobnik nawrócony na jakąś nową, dopiero co objawioną religię. Nie zdawał sobie sprawy, że Lily i Lucy, znajdujące się w pewnym oddaleniu, szepczą o nim. Dostrzegwał tylko Tacey. Czy dziewczęta tak chude jak Tacey, zastanawiał się Smoky, mające tak długie nogi, powinny nosić krótkie i obcisłe szorty? Jej nagie opalone stopy wybijały rytm. A otaczające ich wzgórza tańczyły.

Wygląd uciekiniera

Doktor tymczasem oddalił się od swej żony i jej przemowy, pozostawiając w roli słuchaczy tylko Sophie (która spała) i ciotkę Cloud (która również spała, choć Mamade o tym nie wiedziała). Poszedł z Auberonom śladem karawany mrówek dźwigających towary do

mrowiska. Ich wzgórze było teraz nowe i duże, odkąd znalazły takie doskonałe źródło.

– Magazyny, dostawy, inwentarz – tłumaczył doktor z wyrazem spokojnego przejścia na twarzy i uchem nastawionym na dźwięki dobiegające z małego miasteczka. – Uważaj, jak chodzisz, patrz za siebie. Szlaki, komendy, łańcuch rozkazów, płotki, upuść to, zapomnij o tym, w dwuszeregu, podaj robaka, marsz, niech George to zrobi, do szeregu, stare kopalnie soli, do roboty, zagubiony, odnaleziony, do środka, na zewnątrz. Polecenia, plany, sprawdzanie, majsterkowanie. Prawie to samo. – Zachichotał. – Prawie to samo.

Auberon, opierając dłonie na kolanach, obserwował, jak miniaturowe pojazdy opancerzone (kierowca i pojazd w jednej postaci i jeszcze antena radiowa) wtaczają się do środka i wytaczają na zewnątrz. Wyobrazić sobie wnętrze: nieustanna krzątanina w ciemnościach. Potem dostrzegł coś dziwnego, ale niewyraźnego, tak jakby fragment jego wizji tonął w ciemności lub w jasności. Wreszcie stało się to tak duże, że mógł to dostrzec wyraźnie. Rozejrzał się wokół siebie. Nie tyle coś widział, ile dostrzegł, że czegoś brakuje. Nie było Lilac.

– Teraz do góry albo na dół, u Królowej, to coś nowego – powiedział doktor.

– Tak, rozumiem – odezwał się Auberon, rozglądając się dookoła. Gdzie? Gdzie ona jest? Choć zdarzało się już, że przez długi czas jej nie widywał, to jednak był zawsze świadom jej obecności, zawsze czuł, że jest przy nim. Ale teraz odeszła.

– To bardzo ciekawe – powiedział doktor.

Auberon zauważył ją u stop wzgórza. Okrążała właśnie grupkę drzew stanowiących przedśionek lasów. Obejrzała się (widząc, że ją zauważył), popędziła przed siebie.

– Tak – powiedział Auberon, zostawiając doktora i ruszając za nią.

– W górę, u Królowej – powtórzył doktor. – Co to może być?

– Tak – raz jeszcze rzekł Auberon i pobiegł do miejsca, gdzie zniknęła Lilac. W jego sercu zagościł lęk. Nie widział jej, kiedy wszedł pomiędzy tamte drzewa. Nie miał pojęcia, którą drogą powinien dalej podążać i ogarnęła go panika: spojrzenie, które mu rzuciła, skręcając do lasu, było spojrzeniem uciekiniera. Słyszał głos nawołującego go dziadka. Ostrożnie stawiał kroki. Bukowy las, w którym się znalazł, miał gładką wyściółkę i kształt tak regularny, jak sala kolumnowa. Otwierał przed nim tuzin dróg, którymi mogła pobiec...

Zobaczył ją. Wyłoniła się zza drzewa. Szła bardzo spokojnie, trzymała nawet w dłoni coś, co wyglądało jak bukiet fiołków, i rozglądała się, szukając jakby następnych kwiatków. Nie odwróciła się i nie spojrzała na niego, więc stał zakłopotany, wiedząc w głębi serca, że od niego uciekła, chociaż teraz nie zachowywała się jak uciekinier. Po chwili znowu zniknęła, zmyliła go tym bukietem. Stał w miejscu za długo o ułamek sekundy. Pognał do miejsca, gdzie zniknęła, wiedząc teraz, że odeszła na dobre, ale wołając: „Lilac, nie odchodź!” Lasy, w których zniknęła, odznaczały się bogactwem roślinności, były gęste i ciemne jak wnętrza kościoła. Nie ukazywały żadnych dróg. Błąkał się po nich na oślep, potykając się i kalecząc. Bardzo szybko znalazł się w tak głębokim lesie, jak nigdy dotąd, jak gdyby przeszedł przez

drzwi, nie zauważając, że znajdują się za nimi schody wiodące do piwnicy, po czym spadł z tych schodów na złamanie karku.

– Nie – wołał zagubiony. – Nie odchodź! – wołał rozkazującym tonem, jakiego nigdy przedtem nie używał w stosunku do niej, jakiego nie musiał używać, tonem, jakiego nie mogłaby zlekceważyć. Ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

– Nie odchodź – powtórzył łagodniej. Zagubiony w ciemnym lesie, odczuwał strach. Jego młodą duszę ogarnęło poczucie tak gwałtownego osierocenia, jakiego nawet nie uznałby za możliwe. – Nie odchodź, Lilac, proszę. Nie odchodź. Jesteś jedynym sekretem, jaki mam!

Starcy, olbrzymi, chłodni i nieporuszeni, bez niepokoju, ale z pewnym zainteresowaniem pochylali się jak drzewa nad małym człowieczkiem, który tak nagle i gwałtownie wbiegł pomiędzy nich. Opierając ręce na ogromnych kolanach, przyglądali się mu, o ile w ogóle mogli przyglądać się komuś lub czemuś tak przemijającemu. Jeden z nich przyłożył palec do ust. Patrzyli w milczeniu, jak potyka się o ich palec. Przystawiali wielkie dłonie do uszu i z chytrymi uśmieszkami podsłuchiwały upajali się żalem i płaczem, którego Lilac nie była w stanie usłyszeć.

Dwie piękne siostry

„Kochani rodzice – Auberon pisał te słowa w składanej sypialni, wystukując je z wysiłkiem na starej maszynie, którą tam znalazł – zima w Mieście to dopiero doświadczenie! Cieszę się, że nie będzie trwała wiecznie. Chociaż dzisiaj temperatura wynosi minus dwadzieścia pięć stopni, a wczoraj znowu padał śnieg. U was jest pewno gorzej (ha, ha!)”. – Przerwał na chwilę, wystukawszy starannie ten wykrzyknik z pojedynczego cudzysłowu i kropki. – „Byłem już dwa razy u pana Petty, to prawnik dziadka, jak wiecie, i był tak uprzejmy, że dał mi jeszcze jedną zaliczkę na poczet spadku. Nie jest tego dużo i nie potrafię powiedzieć, kiedy ta zakichana sprawa zostanie wreszcie wyjaśniona. Ale jestem pewny, że wszystko pójdzie dobrze”. – Nie był pewny, był wściekły. Krzyczał na bezduszną sekretarkę pana Petty i o mały włos zgniółby czek i cisnął w nią tym papierem. Ale osoba wystukująca ten list, przygryzająca język i szukająca liter napiętymi palcami, nie czyniła takich wyznań. Wszystko było w porządku w Edgewood i tutaj też wszystko było w porządku. Zaczął od nowego akapitu. – „Zniszczyłem już prawie buty, w których tu przyjechałem. Te miejskie ulice! Jak wiecie, wszystko jest tutaj bardzo drogie i kiepskiej jakości. Czy moglibyście przysłać mi moje sznurowane buty, te, które stoją w mojej szafie? Nie są zbyt eleganckie, ale większość czasu będę przecież pracował tutaj na farmie. Teraz w zimie jest dużo pracy, trzeba sprzątać, karmić zwierzęta i tak dalej. George wygląda śmiesznie w swoich kaloszach. Ale był dla mnie bardzo dobry i doceniam to, nawet jeśli wychodzą mi pęcherze. I mieszkają tu także inni mili ludzie”. – Przerwał, jak gdyby stanął na skraju przepaści, jego palec zawisł nad literą „S”. Taśma maszyny była brązowa i stara, blade literki, jakby pijane, nie potrafiły trzymać się linii. Ale Auberon nie chciał, żeby Smoky widział jego charakter pisma. Jego

szkolna kaligrafia popsuła się, ostatnio pisywał długopisami i podobnymi przyborami. Co napisać o Sylvie? – „Są wśród nich” – Przebiegł w myślach wszystkich lokatorów Old Law Farm. Żałował, że w ogóle poruszył ten temat. – „dwie siostry z Puerto Rico, bardzo piękne”. – Po co to, do diabła, zrobił? Stare nawyki tajnego agenta. Lepiej nic nie pisać. Oparł się, nie mając ochoty pisać dalej. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi składanej sypialni. Wyciągnął kartkę z maszyny, skończy później (nigdy tego nie zrobi), i podszedł do drzwi – jego długim nogom wystarczyły dwa kroki – żeby wpuścić do środka dwie piękne siostry z Puerto Rico, stopione w jedną, która cała należała do niego.

Ale na progu stał George Mouse (Auberon nauczy się wkrótce nie mylić Sylvie z nikim innym, ponieważ zamiast pukać, zawsze skrobała w drzwi paznokciami jak małe zwierzątko). George zarzucił na ramiona stare futro, a na głowie miał staromodny damski kapelusz. Dźwigał dwie torby na zakupy.

– Nie ma Sylvie? – spytał.

– Nie, wyszła.

Wykorzystując wszystkie umiejętności, które leżały w jego skrytej naturze, Auberon zdołał uniknąć spotkania z George'em w jego własnym domu przez cały tydzień, wchodząc i wychodząc z przezornością i szybkością myszy. Ale w końcu kuzyn zjawił się tutaj. Auberon nigdy nie czuł się tak zmieszany i nie doświadczył strasznego uczucia człowieka, którego przyłapano na gorącym uczynku. Nigdy nie odniósł też okropnego wrażenia, że cokolwiek powie, nie zmniejszy to ciężaru krzywdy i czyjegoś poczucia odtrącenia; i że obojętnie, czy przybierze poważny, czy lekki ton, i tak nie uśmierzy bólu.

Jego gospodarz! Jego kuzyn! Tak stary, że mógłby być jego ojcem. I chociaż zazwyczaj Auberon nie potrafi sobie wyobrazić, co czują inni ludzie, teraz uświadomił sobie, co musi odczuwać jego kuzyn, i to z taką ostrością, jakby znalazł się w jego skórze.

– Wyszła. Nie wiem dokąd.

– Ach tak? To jej rzeczy. – Postawił na podłodze plastikowe torby i zsunął z głowy kapelusz. Jego siwe włosy były nastroszone.

– Zostało tego jeszcze trochę. Może sobie odebrać. No to mam to z głowy. – Rzucił futro na krzesło obite aksamitem. – Nie przejmuj się. To nie ma nic wspólnego ze mną.

Auberon uświadomił sobie, że stoi sztywno w rogu pokoju, twarz ma napiętą i nie jest w stanie wyobrazić sobie, jaka mina pasuje do tej sytuacji. Chciał tylko powiedzieć George'owi, że jest mu przykro, ale miał dość pomysłu, żeby pojąć, iż nic nie byłoby bardziej obraźliwe. A poza tym wcale nie było mu przykro.

– Niezła z niej dziewczyna – powiedział George, rozglądając się (majtki Sylvie wisiały na kuchennym krześle, jej mazidła i szczoteczka do zębów stały na zlewie). – Niezła dziewczyna. Mam nadzieję, że wam dobrze. – Ścisnął ramię Auberona i uszczypnął go mocno w policzek. – Ty sukinsynu! – Uśmiechał się, ale w jego oczach pojawił się błysk szaleństwa.

– Uważa, że jesteś wspaniała – powiedział Auberon.

– To fakt.

– Powiedziała, że nie wie, co by zrobiła bez ciebie. Gdybyś jej nie pozwolił tu zostać.

– Tak. Też mi to mówiła.

– Myśli o tobie jak o ojcu. Tylko że lepiej.

– Jak o ojcu, he? – George przeszywał go na wskroś czarnymi oczami i nie odwracając spojrzenia, znowu zaczął się śmiać. – Jak o ojcu. – Śmiał się coraz głośniej, wybuchając niepoohamowanymi salwami.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Auberon, nie wiedząc, czy ma się przyłączyć, czy też to on jest obiektem wesołości George'a.

– Z czego? – George śmiał się coraz głośniej. – Z czego? A co, do diabła, mam robić? Płakać? – Odrzucił głowę, ukazując białe zęby, i ryknął śmiechem. Auberon nie mógł się powstrzymać i ostrożnie przyłączył się do kuzyna, ale wtedy śmiech George'a umilkł. Przeszedł w chichot i gasł małymi falami. – Jak o ojcu, ha. To świetne. Dobre sobie. – Podszedł do okna i wyjrzał na stalowy dzień. Ostatni chichot zamilkł. Złożył dłonie na plecach i westchnął. – To kapitalna dziewczyna. Za wiele dla takiego starego pierdziela jak ja. – Spojrzał przez ramię na Auberona. – Wiesz, że ma przeznaczenie?

– Tak mówi.

– Tak. – Zamykał i otwierał dłonie na plecach. – Wygląda na to, że mnie w nim nie ma. I dobrze, bo jest w nim brat z nożem i babcia, i stuknięta matka... I jakieś dzieci. – Milczał przez chwilę. Auberon miał ochotę zapłakać nad nim. – Stary George – powiedział George. – Zawsze zostaje z dziećmi. Proszę, George, zrób coś z tym. Wysadź to, wyrzuć. – Znowu się roześmiał. – I czy ktoś to docenia? Jak cholera. Ty sukinsynu, wysadziłeś moje dziecko.

O czym on mówił? Czy ze smutku popadł w obłąd? Czy utrata Sylvie może być taka straszna? Jeszcze tydzień temu taka myśl nie przyszlaby mu do głowy. Przejął go nagły chłód, gdy przypomniał sobie, że kiedy ciotka Cloud stawiała mu ostatnim razem karty, wywróżyła, iż na jego drodze stanie ciemnoskóra dziewczyna, która pokocha go nie dla jego zalet i porzuci, ale nie z jego winy. Wówczas to zlekceważył, ponieważ lekceważył wszystko, co miało związek z Edgewood, z jego wróżbami i tajemnicami. Teraz ze strachem odsunął od siebie tę myśl.

– No cóż, wiedz, jak jest – powiedział George. Wyciągnął z kieszeni mały kołonoatnik i zajrzał do niego. – W tym tygodniu na ciebie wypada dojenie. W porządku?

– W porządku.

– Dobra – odłożył notes. – Słuchaj, udzielić ci rady?

Auberon nie chciał słuchać rad, tak samo jak wróżb. Stał i czekał. George popatrzył na niego uważnie, a potem rozejrzał się po pokoju.

– Urządź to miejsce – powiedział i mrugnął do Auberona. – Lubi, jak jest ładnie, wiesz? Ładnie. – Znowu zaczął wzbierać w nim śmiech, który gulgotał w głębi gardła, kiedy wręczał Auberonowi garść biżuterii wyjętej z jednej kieszeni i garść drobnych z drugiej. – I dbaj o

czystość – dodał. – Ona uważa, że my, biali, jesteśmy na ogół niechlujni. – Skierował się do drzwi. – Dość mądrym po słowie – powiedział i wyszedł chichocząc. Auberon stał, trzymając biżuterię w jednej dłoni, a drobne w drugiej, i słyszał, jak w korytarzu Sylvie, idąc na górę, mija George'a. Słyszał, jak wymieniają żarciki i pocałunki.

IV

*Często w danym momencie nie można sobie czegoś przypomnieć,
Lecz można tego dotknąć, gdy się go szuka –
Wtedy rzeczywiście się je odnajduje (...)
Dla tej przyczyny niekiedy odzyskują (ludzie) wspomnienia.
Gdy zaczynają od tzw. „miejsc wspólnych”;
W takim bowiem wypadku szybko przechodzą z jednej rzeczy do drugiej,
Np. z mleka do białości, z białości do powietrza, z powietrza do wilgoci;
Ta ostatnia rzecz przywiedzie im na pamięć jesień,
Jeśli tej pory roku szukali.¹⁰*

Arystoteles, *O pamięci i przypominaniu sobie*

Ariel Hawksquill, największy mag swoich czasów (i równy, jak bez skromności myślała, wielu sławom z tak zwanej przeszłości, z którymi od czasu do czasu prowadziła dyskusję), nie posiadała kryształowej kuli, wiedziała, że tradycyjna astrologia to oszustwo, chociaż potrafiła zrobić użytek ze starego planetarium; pogardzała zaklęciami i wszelkimi rodzajami wróżb, które stosowała tylko w ostateczności; pozostawiała w spokoju śpiących snem wiecznym i ich sekrety. Jej jedna wielka sztuka – wszystko co było jej potrzebne – była największą sztuką ze wszystkich i nie wymagała stosowania prymitywnych narzędzi, ksiąg, różdżek, zaklęć. Można było ją praktykować przed kominkiem (tak jak czyniła to pewnego deszczowego popołudnia, kiedy to Auberon przybył na Starą Farmę), mając nogi oparte na podnóżku, a pod ręką tosty i filiżankę herbaty Sztuka ta nie wymagała niczego prócz wnętrza jej czaszki oraz koncentracji umysłu i zaakceptowania niemożliwego, co święci uznaliby za godne podziwu, a mistrzowie szachowi za trudne.

Sztuka pamięci

Sztuka pamięci, jak piszą starożytni autorzy, jest to metoda pozwalająca znacznie

¹⁰ Fragment krótkiej rozprawy Arystotelesa *O pamięci i przypominaniu sobie* w przekładzie Pawła Siwka.

udoskonalić naturalną pamięć, z którą przychodzimy na świat. Starożytni są zgodni co do tego, że najłatwiej jest zapamiętać żywe obrazy pojawiające się w ściśle określonym porządku. Dlatego też po to, żeby skonstruować sztuczną pamięć o wielkich możliwościach, należy po pierwsze (Kwintyliani i inni autorzy zgadzają się w tym punkcie, chociaż różnią się w poglądach na inne sprawy) wybrać miejsce: na przykład świątynię albo ulicę miasta ze sklepami i bramami, albo wewnątrz domu – jakiegokolwiek miejsce, którego elementy odznaczają się regularnym porządkiem. To miejsce osoba zapamiętująca powinna tak dokładnie utrwalić w pamięci, żeby mogła na zawołanie przemieszczać się w jego obrębie w dowolny sposób. Następnym krokiem jest stworzenie symboli lub obrazów oznaczających rzeczy, które chce się zapamiętać – im bardziej szokujące i przerysowane, tym lepiej, zdaniem znawców: zgwałcona zakonnica, na przykład, ma symbolizować pojęcie świętokradztwa, a postać w płaszczu trzymająca bombę – rewolucję. Symbole te należy następnie rozlokować w różnych częściach zapamiętanego miejsca, w jego drzwiach, niszach, oknach, szafach i innych elementach. A potem wystarczy, że osoba zapamiętująca przejdzie się po miejscu pamięci w taki sposób, w jaki tylko chce, i z każdego miejsca zabierze rzecz symbolizującą pojęcie, które pragnie zapamiętać. Oczywiście, im więcej chce zapamiętać, tym większy musi stworzyć dom pamięci. Zwykle przestaje to być prawdziwym miejscem, ponieważ realne miejsca są zbyt pospolite i ciasne. Staje się natomiast miejscem wyobraźni, tak obszernym i zróżnicowanym, jak tylko pozwalają na to zdolności osoby zapamiętującej. Można dodać do tego gmachu skrzydła zgodnie z własną wolą (i doświadczeniem). Style architektoniczne mogą być różnorodne w zależności od tego, jaki przedmiot mają zawrzeć. Istniały nawet próby udoskonalenia systemu, polegające na tym, że nie tylko pojęcia, ale również słowa i poszczególne litery miały być symbolizowane i zapamiętywane dzięki skomplikowanym emblematom. Na przykład zestawienie sierpa, kamienia milowego i piły do metalu miało natychmiast przywozić na myśl słowo „Bóg”, wyciągnięte z odpowiedniego zakątka umysłu. Cały ten proces był niesłychanie skomplikowany i nudny i okazał się w większości przestarzały, kiedy wynaleziono sekretarzyk.

Ale najwięksi praktycy starej sztuki odkrywali pewne dziwne rzeczy w swych domach pamięci, im dłużej je zamieszkiwali, a współcześni praktycy (albo w istocie jedna Hawksquill, ponieważ tylko ona posiadała te umiejętności i trzymała to w tajemnicy) jeszcze bardziej udoskonalili i skomplikowali system dla własnych celów.

Okazało się, na przykład, że wyraziste symboliczne postacie, raz zainstalowane na swoim miejscu, są przedmiotem subtelnych zmian, gdy tak stoją, czekając na przywołanie. Kiedy mija się po raz kolejny zgwałconą zakonnice, symbolizującą świętokradztwo, okazuje się, że na jej twarzy widoczne są oznaki zdeprawowania, których przedtem na pewno tam nie było, a dezabil nadaje jej wygląd rozwiązły, przez co nasuwa się skojarzenie, iż wszystko było zamierzone, iż do niczego jej nie zmuszano. Świętokradztwo przeistacza się w hipokryzję, albo przynajmniej zapożycza niektóre jej aspekty, i tym sposobem wspomnienie, które ma

symbolizować zakonnica, zmienia być może swój sens. Również gdy dom pamięci zaczyna się powiększać, tworzą się połączenia i perspektywy, o których nie śniło się jego budowniczemu. Kiedy tworzy się nowe skrzydło, musi się ono w jakiś sposób stykać z głównym miejscem. Tak więc drzwi, które w starym domu otwierały się na zachwaszczony ogród, mogą teraz zostać uchylone od przeciągu i ukazać zdumionemu właścicielowi wielką, nową galerię pełną dopiero co zainstalowanych wspomnień zapasowych, jeśli można się tak wyrazić, zwróconych w niewłaściwą stronę – ale również mających swe znaczenia. I ta nowa galeria może się okazać skrótem do zamrażalni, gdzie została ulokowana odległa zima, o której potem zapomniano.

Tak: zapomniano, ponieważ charakterystyczną cechą domu pamięci jest to, iż jego budowniczy i mieszkaniec może gubić rzeczy, tak jak gubi się je w każdym domu – na przykład kłębek sznurka, który na pewno schowaliśmy razem ze znaczkami i taśmą w szufladzie biurka albo w szafie w korytarzu razem z młotkiem i drutem, nie znajduje się w żadnym z tych miejsc, gdy zaczynamy go szukać. W zwykłej lub naturalnej pamięci takie rzeczy po prostu znikają, nie pamięta się nawet, że się o nich zapomniało. Korzyść, wynikająca z posiadania domu pamięci, polega na tym, że wiadomo, iż dana rzecz musi się gdzieś znajdować.

Ariel Hawksquill krążyła właśnie po jednej z najstarszych części swego domu pamięci, szukając czegoś, o czym zapomniała, ale co, jak wiedziała, musi się tam znajdować. Czytała po raz kolejny *ars memorativa* Giordana Bruna zatytułowane *De umbris idearum* – obszerną rozprawę o symbolach i znakach, których można używać, gdy posiadzie się wyższy stopień wtajemniczenia. Na egzemplarzu pierwszego wydania, który posiadała, widniały notatki na marginesach, sporządzone starannym pochyłym pismem. Często były one pouczające, ale jeszcze częściej zagadkowe. Na stronie, na której Bruno pisze o różnym uporządkowaniu symboli, z jakiego użytkownik może korzystać stosownie do różnorodnych potrzeb, komentator zanotował: „Jak w y^e kartach o y^e powrocie R.C. są iiii Osoby, Miejsca, Rzeczy etc, których elementy służą po to, by zapamiętać, przepowiadać i odkrywać małe światy”. Ten skrót R.C. mógł oznaczać Kościół Rzymski¹¹ albo – co równie prawdopodobne – różokrzyżowców. Ale to osoby, miejsca i rzeczy pobrzmiewały jak odległy dzwoneczek, dzwoneczek, pomyślała, w którego dźwięku przechowywała minione dzieciństwo.

Poruszała się ostrożnie, ale z narastającym zniecierpliwieniem pośród tej zbieraniny: jej pies Spark, wycieczka do Rockaway, pierwszy pocałunek. Zaintrygowała ją zawartość kufrów i powędrowała beużytecznymi korytarzami wspomnień. W jednym miejscu położyła powyginany dzwoneczek, z początku nie miała pojęcia dlaczego. Potem potrząsnęła nim delikatnie. To był dzwoneczek, który słyszała, i natychmiast przypomniała sobie dziadka (do którego – oczywiście! – należał, miał przecież reprezentować jego życie od czasu, gdy był parobkiem na farmie w Anglii, aż do czasu, gdy wyemigrował do wielkiego miasta, w którym

¹¹ Kościół Rzymski – (ang.) Roman Church (przyp. tłum.).

nie było krów). Widziała go teraz wyraźnie, był tam, gdzie go ulokowała. Siedział w fotelu przy kominku, na którym stały kubeczki. One też miały go przypominać. Obracał w dłoniach dzwoneczek, tak jak zwykle obracał fajkę.

– Czy opowiadałeś mi kiedyś o kartach z osobami i miejscami, i rzeczami? – zadała mu pytanie.

– Być może.

– W związku z czym?

Milczenie.

– Chyba małymi światami.

Na strychu, oświetlonym minionym słońcem, zrobiło się jaśniej. Siedziała u stóp dziadka w starym mieszkaniu.

– To była jedyna wartościowa rzecz, jaką posiadałem

– powiedział – i oddałem je głupiej dziewczynie. Dostałbym za nie dwadzieścia kawałków u każdego kupca, tyle ci powiem, takie były stare i ładne. Znalazłem je w wiejskiej chatce, którą dziedzic chciał rozebrać. A ta dziewczyna mówiła, że widzi wróżki i chochliki, i takie tam, a jej ojciec był taki sam jak ona. Miała na imię Violet. I powiedziałem: „To przepowiedz mi przyszłość, skoro potrafisz”. I przerzucała je, były na nich obrazki ludzi, miejsc i rzeczy, i roześmiała się, i powiedziała, że umrę w samotności na czwartym piętrze. I nie oddała mi tych kart, które znalazłem.

Więc tak to było. Odłożyła dzwoneczek na swoje miejsce w porządku jej dzieciństwa (postawiła go obok zniszczonej talii kart Kamiennej Pokojówki, pochodzących z tego samego roku, po prostu, żeby związek był wyraźny) i zamknęła ten pokój.

Małe światy, pomyślała, wyglądając przez zachlapane deszczem okno salonu. Po to, by odkryć małe światy. Nigdy nie słyszała o tych kartach w powiązaniu z czymkolwiek innym. Osoby, miejsca i rzeczy przypominały sztukę pamięci, w której wzniesione jest miejsce, wyobrażona żywa osoba, trzymająca symboliczne przedmioty. I „powrót R.C.”: jeśli oznacza to różokrzyżowców, to należałoby umiejscowić karty w czasach pierwszej fali entuzjazmu różokrzyżowców. Mogłoby to nadać jakiś sens małym światom. Odstawiła tacę z herbatą i tostem i wytarła palce. Wiedza tajemna z tamtych lat wspominała o wielu.

Podstawowa myśl alchemików, na przykład, jako filozoficzne, wewnątrz którego miała się odbywać przemiana metali nieszlachetnych w złoto – czy to nie był mikrokosmos, mały świat? Gdy w księgach czarnej magii wspomniano, że dzieło należy rozpocząć w znaku Wodnika, a zakończyć je w znaku Skorpiona, to nie chodziło o znaki zodiaku pojawiające się na niebie, ale pojawiające się we wszechświecie samego jajka, mającego kształt świata, zawierającego świat. Dzieło nie było niczym innym jak Genesis; Czerwony Człowiek i Biała Dama, kiedy się pojawili, mikroskopijni w jajku, stanowili duszę samego filozofa jako przedmiot jego myśli, będący sam w sobie wytworem jego duszy, i tak dalej, *regressus ad infinitum*. I sztuka pamięci: czy nie wprowadzała wszechmocnych kręgów niebios w obręb

skończonego wnętrza jej, Hawksquill, czaszki? I czy ten kosmiczny silnik, mieszczący się w jej wnętrzu, nie mógł porządkować pamięci, a także jej postrzegania rzeczy ziemskich, niebiańskich i nieskończonych? Czy serdeczny śmiech Bruna, gdy zrozumiał, że Kopernik odwrócił zasady rządzące wszechświatem, nie był wyrazem radości z potwierdzenia własnej wiedzy, że umysł, znajdujący się w centrum wszystkiego, zawiera wszystko, czego centrum stanowi? Jeśli Ziemia, dawne centrum, miała się teraz obracać gdzieś w połowie drogi między centrum a resztą wszechświata, a Słońce, które poprzednio krążyło wokół niej, było teraz centrum, to wtedy pół obrotu, jak to we wstędze Möbiusa, zostało rzucone na pasmo gwiazd. Co się wówczas stało ze starym obwodem? Było to wprost niewyobrażalne: wszechświat rozrósł się w nieskończoność, w koło, którego umysł, centrum, znajdowało się wszędzie, a obwodu nie było wcale. Oszukańcze lustro nieskończoności zostało rozbite w drobny mak, śmiał się Bruno, gwiazdowe królestwa stały się bransoletką na ręce, wykładaną klejnotami.

Ale to wszystko stara historia. Każdy uczeń (w tych szkołach, w których kształciła się Hawksquill) wiedział, że małe światy są wielkie. Gdyby te karty znalazły się w jej ręku, to bez wątplenia szybko by się dowiedziała, jakie światy miały one ujawnić. Nie miała natomiast całkowitej pewności, czy ona sama po nich podróżowała. Ale czy te karty były tymi samymi kartami, które jej dziadek odnalazł, a potem utracił? I czy były to również te karty, w których miał się znajdować Russell Eigenblick, zgodnie z jego własnymi słowami? Zbieg okoliczności o tej wadze nie wydawał się Hawksquill całkowicie nieprawdopodobny, jednak w jej wszechświecie nie było miejsca na przypadki. Ale nie miała pojęcia, jak szukać kart, jak się dowiedzieć. Ta aleja wydawała jej się w tej chwili ślepa i postanowiła nie podążać nią dalej. Eigenblick nie był wyznania rzymskokatolickiego, a różokrzyżowcy, jak wszyscy wiedzieli, byli tajnym stowarzyszeniem – a kimkolwiek jest Russell Eigenblick, z pewnością ujawnia swoje istnienie.

– Do diabła z tym – zamruczała pod nosem, kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Spojrzała na zegarek. Kamienna Pokojówka jeszcze spała, chociaż dzień był już prawie tak ciemny jak noc. Hawksquill wyszła do holu, wzięła ze stojaka ciężką laskę i otworzyła drzwi. Przestraszyła się w pierwszej chwili, widząc ciemną postać na progu, odzianą w płaszcz i kapelusz z szerokim rondem.

– „Skrzydlaty Posłaniec” do usług – powiedział osobnik. – Dzień dobry pani.

– Dzień dobry, Fred – odparła. – Przestraszyłeś mnie. Po raz pierwszy zrozumiała znaczenie wyrazu „zjawa”. – Wejdz, wejdz.

Wszedł tylko do holu, ponieważ ociekał wodą. Stał tak i czekał, aż Hawksquill przyniesie mu pełny kieliszek whisky.

– Ponure dni – odezwał się, biorąc kieliszek.

– Dni świętej Łucji – powiedziała Hawksquill. – Najciemniejsze ze wszystkich.

Zachichotał, wiedząc doskonale, że zdaje sobie sprawę, iż ma na myśli coś więcej niż tylko pogodę. Jednym haustem opróżnił kieliszek i z torby okrytej folią wyjął zaadresowaną

do niej kopertę. Nie było nazwiska nadawcy. Złożyła podpis w księdze Freda.

– Niedobry dzień na pracę – stwierdziła. – Nie zostaniesz na chwilę? W kominku jest napalone.

– Gdybym został na chwilę – odparł Fred Savage, przechylając się w jedną stronę – zostałbym na godzinę – przechylił się w drugą stronę, a deszcz skapywał mu z kapelusza. – Tak by to było. – Wyprostował się i pożegnał ukłonem.

Nie było człowieka bardziej sumiennego niż Fred, kiedy pracował, co nie zdarzało się często. Hawksquill zamknęła za nim drzwi (myśląc o tym, jak jego ciemna postać przedziera się przez Miasto skąpane w deszczu), po czym wróciła do salonu.

Gruba koperta zawierała plik nowych banknotów o wysokich nominałach i krótką notatkę napisaną na papierze firmowym Klubu Strzeleckiego: „Uzgodniona zapłata za sprawę R.E. Czy doszłaś do jakichś wniosków?”. Nie było żadnego podpisu.

Rzuciła karteczkę na otwarty tom Bruna, który studiowała, i podeszła do kominka, przeliczając swoją wysoką, aczkolwiek jeszcze niezasłużoną wypłatę, kiedy w jej świadomości pojawiła się mętna konkluzja. Podeszła do stołu, zapaliła jasne światło i spojrzała uważnie na notatkę na marginesie, która spowodowała długi tok myśli, przerwany przez wiadomość od klubu. Pochyłe pismo słynie ze swej czytelności, ale tu i ówdzie mogą pojawić się litery, które, jeśli są napisane pośpiesznie, budzą niejasności. A jednak kiedy przyjrzała się uważnie pismu, nie miała wątpliwości, że to, co wzięła początkowo za „powrót R.C.” brzmiało w istocie: „powrót R.E.” Gdzie, u diabła, znajdują się te karty?

Geografia

Kiedy Nora Cloud postarzała się, ci, którzy ją otaczali, odnosili wrażenie, że stała się duża i masywna. Jej samej również zdawało się, że robi się coraz większa, chociaż nie przybierała na wadze. Kiedy jej wiek zbliżał się do trzech cyferek i poruszała się powoli po Edgewood, wspierając swoje wiekowe ciało na dwóch laskach, to zdawało się, iż przygarbienie sylwetki nie wynika ze starości, ale z potrzeby dopasowania się do wąskich korytarzy domu.

Zeszła z ostrożnością czworonoga ze swego pokoju do pokoju muzycznego, gdzie pod mosiężną lampą z zielonym, szklanym abażurem czekały na nią karty spoczywające w woreczku i pudełku i gdzie również czekała na nią Sophie – jej uczennica od dobrych kilkunastu lat.

Cloud opadła na krzesło, jej laski i kości w kolanach trzaskały głośno. Zapaliła brązowego papierosa i ulokowała go w popielniczce. Dym z papierosa unosił się jak wstęga i wił jak myśl.

– Jakie pytanie? – spytała.

– Tak jak wczoraj – odparła Sophie. – Po prostu kontynuujemy.

– Nie ma pytania – powiedziała Cloud. – W porządku.

Obie zamilkły – moment cichej modlitwy. Cloud była uradowana i zdziwiona, dowiedziawszy się, że Smoky tak to nazwał. Moment na rozważenie pytania, albo i nie, tak jak dzisiaj. Sophie, zakrywszy oczy smukłą, delikatną dłonią, nie myślała o żadnej konkretnej sprawie. Rozmyślała o kartach, spoczywających w woreczku i pudełku. Nie myślała o nich jednostkowo, jako o odrębnych kawałkach papieru, nie potrafiłaby już tak o nich myśleć, nawet gdyby chciała. Nie myślała też o nich jak o ideach, osobach, miejscach, rzeczach. Dla niej karty stanowiły jedną całość, jak opowiadanie albo wnętrze, coś utworzonego z przestrzeni i czasu, długie i obszerne, albo zwarte, powiązane, wymiarowe, zawsze przynoszące coś nowego.

– No dobrze – Cloud zakończyła łagodnie moment ciszy. Jej dłoń, pokryta starczymi plamami, zawisła nad pudełkiem. – Czy mam ułożyć różę?

– A czy ja mogę? – zapytała Sophie. Cloud cofnęła dłoń znad pudełka, nie dotknąwszy go, bo mogłoby to osłabić kontrolę Sophie. Naśladując oszczędne ruchy Cloud i jej spokojną uwagę, Sophie układała różę.

Szóstka kielichów i czwórka buław, Zawiniątko, Sportowiec, as kielichów, Kuzyn, czwórka denarów i królowa denarów. Róża rozkwitała na stoliku z żelazną konsekwencją. Jeśli nie miały żadnego pytania tak jak dzisiaj, pozostawało zawsze pytanie, na co róża stanowi odpowiedź. Sophie położyła środkową kartę.

– Znowu Głupiec – powiedziała Cloud.

– Sprzeczką z Kuzynem – dodała Sophie.

– Tak – zgodziła się Cloud. – Ale z czym kuzynem? Jego własnym czy naszym?

Karta w centrum róży, Głupiec, przedstawiała mężczyznę z długą brodą, odzianego w zbroję i przepływającego się przez strumień. Jego głowa była odchyłona, a nogi wyprostowane i lada moment miał spaść ze swego silnego konia jak Biały Rycerz. Na jego twarzy malowała się łagodność, nie patrzył na strumień, do którego spadał, ale na obserwatora, jakby to, co robił, było umyślne, stanowiło sztuczkę albo ilustrację czegoś: może grawitacji? W jednej ręce trzymał muszlę, a w drugiej sznur kiełbasek.

Cloud uczyła Sophie, że zanim zaczniesz się dokonywać interpretacji jakiegokolwiek układu, trzeba zdecydować, jak należy w danym momencie rozumieć karty.

– Możesz je traktować jak opowiadanie i wtedy musisz odszukać początek, rozwinięcie i zakończenie. Możesz je traktować jak zdanie i wtedy musisz zrobić rozbiór gramatyczny. Albo jak utwór muzyczny – wówczas musisz ustalić klucz i tonację. Możesz je traktować jak cokolwiek, co składa się z części i ma sens.

– Możliwe – powiedziała, spoglądając na różę z Głupcem w centrum – że mamy tutaj nie tyle historię albo wnętrze, ile geografie.

Sophie zapytała ją, co przez to rozumie, a Cloud odrzekła, że nie jest pewna. Oparła policzek na dłoni. To nie mapa ani krajobraz, ale geografia. Sophie również opierała policzek na dłoni i przez długi czas wpatrywała się w różę, którą ułożyła. Pomyślała: geografia i

zastanawiała się, czy może być tak, że tutaj, że to, że... – ale potem zamknęła oczy i przerwała tok myśli, nie, dzisiaj nie ma pytania, proszę, zwłaszcza tego pytania.

Przebudzenie

Życie – w każdym razie jej życie, jak zwykła myśleć Sophie, kiedy już miała swoje lata – przypominało jeden z tych wielopiętrowych domów ze snów, które kiedyś potrafiła budować, domów, w których śniący w nagłym lub powolnym przypiływie zrozumienia, przypominającym obmycie chłodną wodą, wie, że zasnął, że przedsięwziął bezcelowe zadanie, ponury hotel, schody. Wszystko odpływa, rozmazane i nierealne. Śniący budzi się z uczuciem ulgi we własnym łóżku (choć łóżko to, z powodu, którego nie może sobie przypomnieć, znajduje się na ruchliwej ulicy bądź dryfuje po spokojnym morzu) i wstaje, ziewając, i ma dziwne przygody, które trwają dopóty, dopóki się nie obudzi, on tylko tu zasnął w tym opuszczonym miejscu (och, tak, pamiętam) albo (tak, rozumiem) w tym holu pałacowym i już czas wstawać i zająć się codzienną krzątaniem. I tak dalej. Jej życie było właśnie takie.

Miała taki sen o Lilac, w którym Lilac była realna, była znowu jej dzieckiem. Wtedy budziła się i Lilac przestawała być jej Lilac. Sophie zaczynała rozumieć, że zdarzyło się coś strasznego, ale nie potrafiła sobie przypomnieć ani wyobrazić żadnej przyczyny tego, iż Lilac nie była już sobą ani jej dzieckiem, ale czymś zupełnie innym. Ten sen – jeden z tych okropnych snów, w których zdarza się coś okropnego i nieodwracalnego, coś, co przytłacza duszę dziwnym, nieutulonym żalem – śnił jej się prawie dwa lata i nie zakończył się tak naprawdę tej nocy (na myśl o niej nadal ogarniało ją drzenie i wydawała niekontrolowane jęki, nawet po dwudziestu latach), kiedy była w rozpacz i nic nikomu nie mówiąc, zaniosiła George'owi tę fałszywą rzecz, potem kominek, eksplozje, kolorowe błyski i deszcz, gwiazdy i syreny.

Ale, przebudzona czy nie, nie miała już żadnej Lilac. Wtedy jej sen zmienił się w niekończące się poszukiwanie, w którym cele ciągle się oddalają albo zmieniają, kiedy człowiek się do nich zbliża, wciąż trzeba do nich dążyć, wciąż pochłaniają naszą uwagę, nigdy nie można ich osiągnąć. To właśnie wtedy zaczęła szukać odpowiedzi u Cloud, w jej kartach, chciała wiedzieć nie tylko „dlaczego”, ale również „jak”. Przypuszczała, że wie, „kto”, nie wiedziała „gdzie”. Ale najważniejsze było jedno pytanie: czy kiedykolwiek zobaczy, czy będzie trzymać w objęciach swoją prawdziwą córkę i kiedy? Cloud, choć bardzo się starała, nie potrafiła udzielić jasnych odpowiedzi na te pytania. Ale utrzymywała, że odpowiedź musi być zawarta w tej talii kart i ich układach. Tak więc Sophie zaczęła sama studiować poszczególne układy, czując, że siła jej pragnień pozwoli jej odkryć to, czego nie potrafiła odkryć Cloud. Ale ona również nie uzyskała żadnej odpowiedzi i wkrótce dała za wygraną i wróciła do łóżka.

Ale w życiu zdarzają się nieoczekiwane i zdumiewające przebudzenia. Pewnego

popołudnia w listopadzie, dwanaście lat temu, obudziła się z drzemki (dlaczego w tym dniu, dlaczego z tej drzemki?) i sen ją opuścił: Sophie, wiecznie śpiąca i wtulona w poduszki, obudziła się lub została obudzona na dobre. Opuściły ją umiejętności zasypiania i ucieczki do małych snów w obrębie dużego, tak jakby ktoś je skradł. Sophie, zaskoczona i zagubiona, musiała od tej pory śnić, że nie śpi i że otacza ją świat, i musiała pomyśleć, co ma począć w tej sytuacji. To właśnie wtedy zajęła się kartami (nie miała zamiaru stawiać żadnych trudnych pytań, zupełnie żadnych pytań), podchodząc do nich z pokorą. Zrobiła to dlatego, że musiała czymś zająć swój przebudzony umysł.

A jednak chociaż się budzimy, chociaż nie ma końca przebudzeniu i mówieniu „och, rozumiem” (Sophie o tym wiedziała i była cierpliwa), to nadal we śnie, w którym jesteśmy pogrążeni, zagnieżdżony jest każdy kolejny sen, każdy, z którego się budziliśmy. Trudne pytanie Sophie skierowane do kart nie pozostało całkowicie bez odpowiedzi, podlegało przemianie w pytanie o pytanie. Rozrosło się i rozgałęziło jak drzewo, nowe pytania wykwitwały na nim jak pączki i w pewnym momencie wszystkie te pytania zlały się w jedno: jakie to drzewo? I kiedy jej studia postępowały, kiedy tasowała i układała w geometryczne figury przetłuszczone, pozaginane, mówiące karty – pytanie zaintrygowało ją, wciągnęło i wreszcie zaabsorbowało całkowicie. Jakie to drzewo? I zawsze u jego podstawy, pomiędzy korzeniami, pod gałęziami, leżało uśpione zaginione dziecko, nadal nieodnalezione, niemożliwe do odszukania.

Nie ma odwrotu

Szóstka kielichów i czwórka buław, Zawiniątko, Sportowiec, królowa denarów odwrócona. Kuzyn: sprzeczka z Głupcem w środku talii. Geografia: nie mapa ani widok, ale właśnie geografia. Sophie wpatrywała się w zagadkę, usiłując ją przeniknąć myślą, z uwagą, ale w istocie nieuważnie, wsłuchując się we własne myśli i uwalniając je, gdy z talii kart wypływały i z powrotem się kryły bełkotliwe aluzje.

Wreszcie:

– Och – powiedziała Sophie. – Och – jak gdyby nagle otrzymała złą wiadomość. Cloud spojrzała na nią pytająco i zauważyła, że Sophie jest blada i wystraszona i spogląda szeroko otwartymi oczyma, w których kryje się zdziwienie i współczucie dla niej, Cloud. Cloud spojrzała na geografię i w jednej chwili wszystko przybrało konkretny kształt, tak jak pod wpływem optycznej iluzji kielich staje się nagle dwiema twarzami widzianymi z profilu. Cloud była przyzwyczajona do tych wybryków, ale Sophie najwyraźniej nie.

– Tak – powiedziała miękko i uśmiechnęła się do Sophie, chcąc jej dodać otuchy. Miała nadzieję, że to poskutkowało. – Nie widziałas tego jeszcze?

– Nie – odrzekła Sophie, potwierdzając, a jednocześnie zaprzeczając temu, co ujrzała w kartach. – Nie.

– Ja to już widziałam. – Dotknęła dłoni Sophie. – Ale wydaje mi się, że nie musimy o tym

nikomu mówić, prawda? Jeszcze nie.

Sophie cichutko płakała, ale Cloud postanowiła nie zwracać na to uwagi.

– To trudna rzecz, bardzo trudna, ta tajemnica – powiedziała, jak gdyby odrobinę zaniepokojona tym faktem. Ale w istocie zamierzała przekazać Sophie w jedyny sposób, jaki знаła, ostatnią najważniejszą lekcję na temat czytania kart.

– Och, ciociu Cloud.

– Czy będziemy studiować naszą geografie? – zapytała Cloud i podniosła do ust papierosa. Zaciągnęła się dymem z wdzięcznością i rozkoszą, po czym wypuściła go.

Powolne upływanie czasu

Cloud poruszała się rakiem pomiędzy meblami, pokonała trzy ciągi schodów (odgłos uderzeń jej lasek zmieniał się, kiedy z drewnianej podłogi wchodziła na kamienną), przeszła przez labirynt salonu wyobraźni, w którym obicia na ścianach falowały od przeciągu jak nawiedzone przez duchy, a następnie ruszyła schodami na górę.

W Edgewood było trzysta sześćdziesiąt pięć stopni, tak utrzymywał jej ojciec. Lewa laska, prawa stopa, prawa laska, lewa laska, lewa stopa. Było tu również siedem kominów, pięćdziesiąt dwie pary drzwi, cztery piętra i dwanaście – dwanaście czego? Musi być czegoś dwanaście, nie mogła tego przeoczyć. Prawa laska, lewa stopa, a potem podest, gdzie znajdowało się ostrołukowe okno, przez które wlewało się perłowe zimowe światło i osiadało na ciemnym drewnie. Smoky widział w magazynie reklamę czegoś, co przypominało połączenie krzesła z windą. Urządzenie służyło do transportowania starszych ludzi na górę i na dół. Przechylało się nawet, żeby złożyć wiekowe ciało na wybranym piętrze. Smoky pokazał to Cloud, ale nic nie powiedziała. Urządzenie pozostawało poza kręgiem jej zainteresowań. Dlaczego pokazał to akurat jej? Właśnie tak należało interpretować jej milczenie.

I znowu na górę. Podstopnie – dokładnie dziewięć cali – stawały się coraz bardziej strome bez względu na to, jak duża była, bez względu na to, że poręcze napierały na jej ramiona, a kasetonowy sufit opierał się na zgiętej szyi. Źle zrobiła, myślała, wspierając się mozolnie, że nie ostrzegła Sophie przed tym, co pobrzmiwało jak powtarzające się *obligato*, ilekroć stawiała ostatnio karty. To *memento mori* mogło się pojawić w jakimkolwiek układzie, tworzonym obojętnie dla kogo. Ale ostatnio zdarzało się to tak często, że Cloud naprawdę przestała zwracać na to uwagę. Była w tak zaawansowanym wieku, że karty nie musiały przypominać jej o tym, co każdemu wydawało się oczywiste, a szczególnie jej samej. To nie żadna tajemnica. Była spakowana i gotowa.

Na tych skarbach, których jeszcze nikomu nie podarowała, przyczepiła karteczki z nazwiskami tych, dla których były przeznaczone: biżuteria, rzeczy Violet, przedmioty, których nigdy tak naprawdę nie uważała za swoją własność. Karty przypadną oczywiście w udziale Sophie. Co za ulga. Scedowała dom, grunty i dzierżawy na Smoky'ego, który tego nie

chciał. Będzie gospodarzem, dobry, sumienny człowiek. Co nie znaczyło, że dom nie potrafi sam się o siebie zatroszczyć.

Nie mógł rozpaść się na kawałki dopóty, dopóki toczy się Opowieść, jeśli w ogóle kiedykolwiek miało to nastąpić. Nie znajdowała jednak wymówki, która uzasadniałaby niepodjęcie prawnych kroków, niespisanie testamentu i niedokonanie napraw.

Tylko ona jedna ze wszystkich, stara ciotka Cloud, pamiętała polecenie Violet: zapomnij. Tak sumiennie wykonywała to polecenie, że przypuszczalnie jej siostrzenice i siostrzeńcy oraz ich potomkowie istotnie zapomnieli albo nigdy nie wiedzieli, o czym mieli zapomnieć. Być może, tak jak Daily Alice, myśleli, że to wszystko znalazło się w jakiś sposób poza ich zasięgiem, że w miarę jak wolno, ale nieubłaganie płynący czas zmienia pola w popiół, a popiół w zimne węgielki, każde pokolenie traciło część tego, co posiadali jego poprzednicy: ścisły kontakt, łatwy dostęp, łatwość rozumienia. Czasy, kiedy Auberonowi udawało się ich fotografować, a Violet potrafiła błądzić po ich królestwie i wracać z wiadomościami, należały do bajecznej przeszłości. A mimo to (Cloud wiedziała, że tak jest) każde pokolenie zbliżało się do tego, ale przestało poszukiwać czy w ogóle zajmować się tym, ponieważ widzieli coraz mniejszy związek pomiędzy nimi a samymi sobą. Ponieważ i tak się tam znajdują.

Opowieść skończy się na nich: na Tacey, Lily i Lucy i na Lilac, gdziekolwiek jest, oraz na Auberonie. W ostateczności na ich dzieciach. To przekonanie narastało w niej wraz z wiekiem, nic nie mogło go osłabić. I to właśnie była wskazówka, której mogła zaufać. A jednak odczuwała wstyd, ogromny wstyd, że przeżyła prawie sto lat (był to wielki wysiłek i to nie tylko z jej strony), a jednak nie doczeka końca. Ostatni stopień. Postawiła na nim laskę, jedną stopę i drugą stopę. Stała bez ruchu, podczas gdy utrudzenie opuszczało jej ciało. Głupiec i Kuzyn. Geografia i śmierć. Miała rację, że każdy układ jest powiązany z innym. Jeśli czytała przeszłość George'owi Mouse'owi i widziała perspektywę korytarzy albo wróżyła Auberonowi i widziała ciemnoskórą dziewczynę, którą pokocha i utraci, to nie różniło się to niczym od poszukiwania zaginionej Lilac lub wyłapywania niewyraźnych rysów Opowieści bądź przepowiadania przyszłości Wielkiego Świata. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, dlaczego w każdej ujawnionej tajemnicy kryje się następna zaszyfrowana tajemnica lub wszystkie kolejne tajemnice, dlaczego w układzie, który ukazał wielką Geografię – cesarstwa, granice, ostateczną bitwę – pojawiła się śmierć jednej starej kobiety. Prawdopodobnie nie było na to odpowiedzi. Jej przerażenie zostało złagodzone dzięki postanowieniu, obietnicy danej Violet: że nie powie, nawet gdyby mogła.

Spojrzała na dół, na ciąg schodów, które z wielkim mozołem pokonała. I osłabiona smutnym zrozumieniem, bardziej niż artretyzmem, skierowała się do swojego pokoju. Była pewna, że już nigdy nie zejdzie na dół.

Następnego dnia zjawiała się Tacey, spakowana jak do długiej wizyty, przyniosła też robótkę na drutach, która miała zająć jej czas. Lily z bliźniętami już tam była, Lucy przyszła wieczorem i nie zdziwiła się na widok sióstr. Rozgościła się tak jak i one z robótką w ręce po

to, żeby pomagać, patrzeć i czekać.

Księżniczka

Zanim ktokolwiek był w stanie dostrzec nadchodzący poranek w posepnym powietrzu, które spowijało Starą Farmę, zapiał kogut i obudził Sylvie. Auberon, leżący obok niej, poruszył się. Była przytulona do jego długiego uśpionego ciepła i fakt, że budzi się obok niego, uważała za cud. Rozkoszowała się tym, penetrując delikatnie ciepłe miejsce, myśląc, że dziwnie jest zdawać sobie sprawę, iż jest przebudzona, podczas gdy on nadal śpi i nie wie o niczym. I rozmyślając tak, zasnęła ponownie. Ale kogut zapiał jej imię.

Przewróciła się ostrożnie na drugi bok, żeby nie dotknąć zimniejszej strony łóżka, i wystawiła głowę. Powinna go obudzić. Jego kolej na dojenie, ostatni dzień. Ale nie mogła się do tego zmusić. A gdyby zrobiła to za niego, w prezencie? Wyobraziła sobie, jaki byłby wdzięczny i rozważała, czy to wystarczy, żeby zejść na dół i wyjść na zimny świat, pomaszzerować do obory i wziąć się do pracy. Jego wdzięczność zdawała się przechylać szalę, czuła to intensywnie, wydawało jej się niemal, że to ona jest mu wdzięczna.

– Auuu – ziewnęła, zadowolona z własnej dobroci, i wyslizgnęła się z łóżka.

Przeklinając straszliwie, ale po cichu, usiadła na sedesie w ubikacji, starając się, żeby jej ciało nie dotknęło lodowatej klapy. Następnie, krzątając się szybciotko i szczękając zębami, wyłowiła swoje rzeczy i ubrała się. Ręce drżały jej z zimna i z pośpiechu, kiedy zapinała guziki.

Twarde życie, myślała z przyjemnością, schodząc zejściem przeciwpożarowym, wdychając mgliste powietrze i nakładając ogrodowe rękawice, twarde życie, życie parobka. Zeszła na dół. Za drzwiami sieni, sąsiadującej z kuchnią George'a, znajdował się worek z przebranymi odpadkami dla kóz, należało tylko zmieszać je z paszą. Zrzuciła worek na ramię i poczłapała przez podwórko do siedziby kóz. Słyszała ich poruszenie.

– Cześć, zwierzaki – powiedziała. Kozy: Punchita i Nuni, Blanca i Negrita, Guapo i La Grani oraz wszystkie bezimienne (George nigdy nie nadawał im imion, a pomysłowość Sylvie nie objęła jeszcze dwóch czy trzech, oczywiście wszystkie muszą mieć imiona, ale odpowiednie) podniosły łby, zatupotały na linoleum i zabeczały. Zapach ich mieszkania był bardzo intensywny. Sylvie zastanawiała się, czy nie zapamiętała tego zapachu z dzieciństwa, bo wcale jej nie drażnił.

Zabrała się do karmienia kóz. Nasypała na oko trochę ziarna i odpadków do koryta i wymieszała je starannie, jak gdyby przygotowywała kleik dla dziecka. Przemawiała przy tym do kóz, na równi krytykując wady i chwając zalety, ale specjalne uczucia rezerwowała dla czarnego maleństwa i najstarszej ze stada: La Grani, która istotnie była babunią: pozostały z niej jedynie skóra i kości. Sylvie oparła się następnie o futrynę drzwi do łazienki, założyła ręce i patrzyła, jak zwierzęta przeżuwają, poruszając na boki szczękami, podnoszą głowy, żeby na nią spojrzeć, i znowu pochylają je nad śniadaniem.

Światło poranka zaczęło wnikać do mieszkania. Ożywiły się kwiaty na papierowych tapetach i nawet te na linoleum – zanedbane klomby, które z roku na rok stawały się coraz bledsze, skryte pod brudem pomimo wysiłków Browniego, który nocami zamiatał i zmywał podłogę.

Ziewnęła szeroko.

– Dlaczego te zwierzaki tak wcześnie wstają? Wstają i jedzą, ha – stwierdziła. – Tępota.

Kiedy przygotowywała się do dojenia, pomyślała: „Do czego też skłania mnie miłość” i zamyśliła się na chwilę. Stała bez ruchu, czując, jak nagle ciepło wypełnia jej serce i żyły. Nigdy przedtem nie nazwała tym słowem swoich uczuć do Auberona. Miłość, powtórzyła do siebie, tak, znowu to czuje, to słowo działa jak łyk rumu. Do George’a – kumpla na całe życie bez względu, co się stanie, człowieka, który przygarnął ją, kiedy nie miała dokąd pójść – żywiła głęboką wdzięczność i wiele innych poplątanych uczuć, w większości dobrych. Ale nigdy nie ogarniało jej takie ciepło, płomień, w którego sercu ukryty był klejnot: słowo „miłość”. Roześmiała się. Miłość. Przyjemnie być zakochanym. Miłość skłoniła ją do włożenia płaszcza i brązowych rękawic, miłość przywiodła ją do kóz i rozgrzała jej dłonie wciśnięte pod pachy, żeby mogły dotknąć kozich wymion.

– Okay, okay, spokojnie – przemawiała łagodnie do zwierząt i do miłości ukrytej w pracy. – Spokojnie, już idę. – Poglądziła wymiona Punchity. – Hej, ale nabrzmiałe cycki.

Pracowała, myśląc o Auberonie śpiącym w łóżku i George’u, również pogrążonym we śnie. Tylko ona była na nogach, nikomu nieznana. Znalaziona pod krzakiem: podrzutek. Ocalona przed Miastem, ukryta w tych murach i zmuszona do pracy. W książkach podrzutek zawsze okazuje się jakąś dobrze urodzoną osobą, którą uznano za zmarłą lub coś w tym rodzaju, księżniczką, której nikt nie znał. Księżniczka: George zawsze tak ją nazywał. Cześć, księżniczko. Zaginiona księżniczka, na którą rzucono urok i odebrano jej pamięć o tym, że jest księżniczką, dziewczyna do kóz, ale gdyby ktoś zdarł z niej ten roboczy ubiór, to ukazałby się znak, klejnot, znamię, srebrny pierścionek, wszyscy byliby zdumieni, śmialiby się. Strumienie mleka uderzały o kankę i z sykiem roztopiały się w pianie: lewa, prawa, lewa, prawa. To ją uspokajało i wprawiało w stan zamroczenia. I potem przybywa do swojego królestwa, po przepracowaniu tylu lat: wdzięczna za skromne schronienie i sama skromna, ponieważ znalazła tam prawdziwą miłość, więc wszyscy mężczyźni będą wolni i dostaną złoto. I rękę księżniczki. Oparła głowę o miękki i ciepły bok Punchity. Jej myśli zamieniały się w mleko, w wilgotne liście, małe zwierzątka, skorupy ślimaków, stopy faunów.

– To ci księżniczka – powiedziała Punchita. – Dużo pracy.

– Co powiedziałaś? – spytała Sylvie, podnosząc głowę, ale Punchita tylko zwróciła na nią swą podłużną twarz i dalej żuła wieczną gumę.

Dom Browniego

Sophie wyszła na podwórko z kanką świeżego mleka i dopiero co zniesionym brązowym

jajkiem, wyjętym spod kury, która rozsiadła się na rozwalonej sofie stojącej w mieszkaniu kóz. Przecięła poletko warzywne, kierując się do budynku po drugiej stronie domu porośniętego dzikim winem. Miał on wysokie, zaślepione okna, z których wyzierał smutek, i schody, które nie prowadziły do żadnych drzwi. Pod schodami znajdowało się małe wilgotne przejście wiodące do piwnicy. Do drzwi wejściowych i okien przybito gwoździami niejednolite płyty i szare listewki. Można było zerknąć do środka, lecz i tak wszystko spowijały ciemności. Kiedy Sylvie zbliżyła się, z piwnicy wyroiło się kilkanaście miauczących kotów – część kocich oddziałów na farmie. Georgie mawiał czasami, że na farmie uprawia się tylko cegły i hoduje koty. Wielki, jednooki zbir o płaskiej głowie był tu królem. Nie raczył się pojawić, ale wychynęła łaciata, delikatna kotka, która ostatnim razem była w zaawansowanej ciąży. Teraz jednak nie: chuda, zmizerowana, miała sflaczały brzuch i wielkie, różowe sutki.

– Masz kociaki, co? – powiedziała Sylvie z przyganą. – I nikt nie wie, co? Ty! – Poglaskała ją i naląła im mleka, po czym przykucając, zerknęła do środka między listewkami. – Szkoda, że nic nie widać – powiedziała. – Kociaki.

Koty kręciły się koło niej przez jakiś czas, kiedy zaglądała do środka, ale widziała jedynie parę wielkich, żółtych oczu: może kociego króla? Może Browniego?

– Cześć, Brownie – odezwała się, ponieważ wiedziała, że jest to również dom Browniego, chociaż nikt go tu nigdy nie widział.

– Zostaw go w spokoju – powtarzał George. – Nic mu nie jest.

Ale Sylvie zawsze się z nim witała. Zamknęła kankę z mlekiem, do połowy opróżnioną i razem z jajkiem postawiła ją na półce w piwnicy.

– W porządku, Brownie, już sobie idę – powiedziała. – Dzięki.

Był to w pewnym sensie podstęp, ponieważ nadal czekała, mając nadzieję, że uda jej się coś zobaczyć. Pojawił się następny kot. Wówczas wstała i przeciągając się, ruszyła z powrotem do składanej sypialni. Na farmę zawitał mglisty i wilgotny poranek, ale nie było już tak zimno. Zatrzymała się na chwilę na środku miejskiego ogrodu, otoczonego wysokim murem. Ogarnęło ją słodkie uczucie szczęścia. Księżniczka. Akurat. Pod brudnym przyodziewkiem dziewczyny od kóz miała tylko wczorajszą bieliznę. Będzie musiała się rozejrzeć za jakąś pracą, coś zaplanować, zrobić ze swoim życiem. Ale w tej chwili była zakochana i szczęśliwa, wykonała to, co do niej należało, i miała wrażenie, że wcale nie musi nigdzie iść ani nic robić, a jej historia i tak będzie się szczęśliwie toczyć dalej. I tak bez końca. Wiedziała teraz, że jest to niekończąca się opowieść, w większym stopniu niż jakakolwiek bajka dla dzieci, bardziej nieskończona niż *Inny świat* z wszystkimi komplikacjami fabuły. Nieskończona. Jakimś sposobem. Sylvie kroczyła po farmie poklepując się, wdychając powietrze, w którym unosiły się wzywy zwierząt i roślin, i uśmiechając się. Brownie, ukryty w głębi swego domu, patrzył na Sylvie i również się uśmiechał. Długimi rękoma zdjął bezgłośnie kankę mleka i jajko z półki, na której zostawiła

je Sylvie. Zabrał pożywienie do domu, wypił mleko, wyszał jajko, z całego serca błogosławił swoją królową.

Bankiet

Rozebrała się tak szybko, jak przedtem ubrała. Nie zdjęła tylko majteczek. Auberon, przebudzony, obserwował ją z łóżka. Następnie, wydając ciche okrzyki, szybko wspięła się na łóżko i zagrzebała w ciepłe, na które zasługiwała jak nikt inny, w ciepłe, którego nigdy nie powinna opuszczać. Auberon ze śmiechem odsuwał się od jej zimnych rąk i stóp, które szukały jego ciała, miękkiego od snu i bezbronnego. Wreszcie poddał się. Weisnęła zimny nos w zagłębienie na jego szyi i gruchała jak gołębicą, kiedy jego dłonie objęły elastyczne majteczki.

W Edgewood Sophie położyła jedną kartę na drugiej: rycerz buław i królowa denarów.

Sylvie spytała później:

– Czy o czymś myślisz?

– Hm? – mruknął. Okrył swą nagość płaszczem i usiłował rozpalić ogień.

– Czy myślisz o czymś? – powtórzyła Sylvie. – Wtedy. To znaczy, gdy to robisz. Ja mam bardzo dużo myśli, to prawie cała historia.

Zrozumiał, o czym mówi Sylvie, i roześmiał się.

– Ach, myśli – powiedział. – Wtedy. Pewnie. Zwariowane myśli.

Chcąc szybko rozpalić ogień, wrzucił do kominka większość drewna, które pozostało w skrzynce. Chciał, żeby w składanej sypialni było gorąco, na tyle gorąco, żeby Sylvie wyszła spod kołder, w których się zagrzebała. Chciał ją zobaczyć.

– Na przykład tym razem wędrowałam – powiedziała.

– Tak. – On również wędrował.

– Dzieci – mówiła dalej. – Dzieci albo małe zwierzęta, tuziny, różnych kolorów i wielkości.

– Tak. – On także je widział. – Lilac – dodał.

– Kto?

Auberon zaczerwienił się i dźgnął ogień kijem golfowym, który służył właśnie do tego celu.

– Przyjaciółka. Mała dziewczynka. Wymyślona przyjaciółka.

Sylvie nic nie powiedziała, tylko nadal błędziła myślami, nie wróciła jeszcze do składanej sypialni.

– Więc kto to taki? – zapytała ponownie. Auberon wszystko jej wyjaśnił.

W Edgewood Sophie położyła następną kartę: Zawiniątko. Szukała – chociaż wcale nie miała takiego zamiaru – zaginionego dziecka, które los zesłał jej i George'owi Mouse'owi. Ale nie mogła go znaleźć. Zamiast niego odnalazła – im dłużej patrzyła, tym lepiej ją widziała – inną dziewczynkę, która nie zaginęła, ale sama czegoś poszukiwała. Obok niej maszerowali

królowie i królowe, szereg za szeregiem, a każdy wypowiadał swoje przesłanie: jestem Nadzieją, jestem Żalem, jestem Lenistwem, jestem Nieposzukiwaniem Miłości, uzbrojeni i na koniach, uroczyści i groźni, kroczyli przez ciemny las kart atutowych, ale oprócz nich, niewidziana przez nich, dostrzeżona tylko w ułamku sekundy przez Sophie, wśród groźnych niebezpieczeństw maszerowała odważnie księżniczka, której nikt nie znał. Ale gdzie jest Lilac? Sophie położyła następną kartę: to był Bankiet.

– Więc co się z nią stało? – zapytała Sylvie. Ogień buzował coraz mocniej, a w pokoju robiło się ciepło.

– Tak jak ci powiedziałem – odparł Auberon, odsuwając poły płaszcza, żeby ogrzać sobie pośladki. – Nigdy już jej nie zobaczyłem po tym dniu na pikniku...

– Nie myślę o niej – powiedziała Sylvie. – Nie o tej wymyślonej. Chodzi mi o prawdziwą. O dziecko.

– Och. – Wydawało mu się, że minęło kilka wieków, odkąd przybył do Miasta. Przypomnienie sobie Edgewood wymagało teraz wielkiego wysiłku, a odgrzebywanie dzieciństwa przypominało odkopywanie Troi. – Wiesz, że właściwie nie wiem. To znaczy chyba nigdy nikt mi nie opowiedział całej historii.

– No, ale co się zdarzyło? – Poruszyła się rozkosznie pod kołdrą, rozgrzana. – Czy umarła?

– Chyba nie – odparł Auberon, zaszokowany tym pomysłem.

Przez chwilę widział całą tę historię oczyma Sylvie i wydała mu się groteskowa. Jak jego rodzina mogła zgubić dziecko? A jeśli nie zginęło? Jeśli istniało jakieś proste wyjaśnienie (adopcja, nawet śmierć), to dlaczego o tym nie wiedział? W historii rodziny Sylvie plątało się kilkoro zaginionych dzieci. Były w sierocińcach albo zostały adoptowane. O każdym z nich przypomniano sobie od czasu do czasu, wszystkie zostały odwołane. Gdyby był w stanie odczuwać cokolwiek oprócz uczuć do Sylvie, związanych z planami, jakie miał na kilka następnych minut, odczuwałby gniew z powodu własnej niewiedzy. Ale to nie miało znaczenia.

– To nieważne – powiedział, zadowolony, że istotnie tak jest. – Kładę na tym krechę. Ziewnęła szeroko, próbując powiedzieć coś w tym samym momencie, i roześmiała się.

– Więc nie wracasz?

– Nie.

– Nawet jak znajdziesz szczęście?

Nie powiedział: „już je znalazłem”, chociaż była to prawda.

Wiedział o tym, odkąd zostali kochankami. Zostali kochankami: to przypominało czary, żaby zamienione w księżniczki.

– Nie chcesz, żebym wrócił? – zapytał, zdejmując płaszcz i wchodząc do łóżka.

– Poszłabym za tobą – odparła. – Naprawdę.

– Ciepło? – spytał, odsuwając kołdrę, pod którą leżała.

– Hej! – zawołała. – *Ay, que grande.*

– Ciepło – powiedział i zaczął całować jej szyję i ramiona, które wyłoniły się spod przykrycia. Cmokał i mlaskał jak kanibal. Ciało. Żywe, takie żywe.

– Roztopię się – powiedziała. Oplatał ją sobą, jak gdyby jego smukłe ciało chciało ją wchłonąć; nieskończony kęs. Pochylił się nad jej nagością – ucza.

– Gotuję się – powiedziała i była to prawda. Rozgrzewała się coraz bardziej doskonałym ciepłem rozżarzonego klejnotu, który skrywała w swym wnętrzu. Utkwiła przez moment spojrzenie w Auberonie, zdumiona i wdzięczna. Patrzyła, jak bez końca zapełnia nią swe puste serce. Potem zaczęła wędrować i on również: oboje znaleźli się w tym samym królestwie (potem porozmawiają o tym, porównują miejsca, w których byli, i stwierdzą, że były takie same), w królestwie, do którego prowadziła ich, jak sądził Auberon, Lilac. Gdy kochali się, nadal wędrując, prowadzono ich ścieżkami wytyczonymi przez zielsko po bezkresnej krainie, pośród zawłości i zakrętów bardzo długiej historii, pośród niekończących się „a wtedy”. Wreszcie znaleźli się w miejscu przypominającym to, które Sophie dostrzegła w Edgewood na ciemnej karcie zwanej Bankietem: długi stół przykryty dopiero co rozwiniętym obrusem, jego nogi tonęły w kwiatach rosnących pod sękatymi drzewami; wysoka kompotiera; symetryczne świeczniki; wielki stół, przy którym było wiele miejsc, ale nikt przy nim nie siedział.

KSIĘGA CZWARTA

DZIKI LAS

I

*Nie pracuję ani nie płaczę,
w kształcie jest ich przyczyna.*

Virginia Woolf

Lata, które nadeszły po porwaniu małej Lilac z ramion jej śpiącej matki, były najpracowitsze w długim (w istocie jakby wiecznym) życiu pani Underhill. Należało zająć się nie tylko wykształceniem Lilac i dopilnować pozostałą gromadkę, ale również brać udział we wszystkich zgromadzeniach, spotkaniach, konsultacjach i uroczystościach, a przybywało ich, gdy wypadki, którym pomogli zaistnieć, zaczęły mknąć coraz szybciej. W dodatku stanowiło to tylko uzupełnienie jej zwykłych zadań, z których każde składało się z niezliczonych drobiazgów, a żadnego z nich nie można było zlekceważyć ani sfuszerować.

Czas i podróż

Ale proszę, jak jej się powiodło! Pewnego listopadowego dnia, w rok po tym, jak chłopiec Auberon udał się za zmyśloną Lilac do ciemnych lasów i stracił jej ślad, pani Underhill, w zupełnie innym miejscu, oceniała wprawnym okiem nieprzeciętny wzrost prawdziwej Lilac. Dziewczynka, która skończyła niedawno jedenaście lat, była już tak wysoka jak przygarbiona pani Underhill. Jej oczy, jasnoniebieskie jak kwiaty cykorii i przejrzyste niczym woda w strumieniu, znajdowały się na tym samym poziomie co oczy obserwującej ją kobiety.

– Bardzo dobrze – powiedziała ta ostatnia. – Świetnie.

Otoczyła palcami szczupłe nadgarstki Lilac, uniosła jej podbródek i trzymała pod nim jaskier. Zmierzyła kciukiem i palcem wskazującym odległość między obu końcami aureoli, a Lilac zaśmiała się, połaskotana. Pani Underhill również się zaśmiała, zadowolona z siebie i z niej. Jasnobrązowa skóra dziewczynki nie miała ani odrobiny zielonkawego odcienia, a jej oczy nie były ani trochę nieobecne. Pani Underhill widziała wiele razy, jak sprawy przybierały niepomyślny obrót, jak odmienicy nienależnie tracili kościec. W wieku Lilac składali się zaledwie z fragmentów nieokreślonej tęsknoty i nie nadawali się już do niczego. Była

zadowolona, że sama zajęła się wychowaniem dziewczynki. To nic, że wyczerpało ją to doszczętnie. Udało się, a na wypoczynek będzie miała już wkrótce całe wieki.

Odpoczynek! Poderwała się. Trzeba mieć siły na koniec.

– Dziecko – powiedziała – czego nauczyłaś się od niedźwiedzi?

– Spania – odparła Lilac z niepewną miną.

– Oczywiście, że spania – przyznała pani Underhill. – A więc...

– Ja nie chcę spać – zaprotestowała Lilac. – Proszę.

– Skąd wiesz, skoro jeszcze nie próbowałaś? Niedźwiedziom było całkiem dobrze.

Lilac, nadszana, odwróciła na grzbiet ciemnego robaka, który akurat spacerował po wierzchu jej stopy, a potem przywróciła mu normalną pozycję. Przypomniała sobie niedźwiedzie, leżące w ciepłej jaskini, nieświadome jak śnieg. Pani Underhill (która znała imiona wielu stworzeń) przedstawiła jej zwierzęta: Joe, Pat, Martha, John, Kathy, Josie i Nora, ale one pozostały głuche i tylko rytmicznie wciągały powietrze, wypuszczały je i znowu wciągały. Lilac, która od tej nocy, kiedy się obudziła w ciemnym domu pani Underhill, zamykała oczy tylko wtedy, gdy mrugała lub bawiła się w chowanego, czuła przepełniającą ją nudę i wstręt do siedmiu śpiochów przypominających w swej obojętności siedem masywnych kanap. Ale jednak nauczyła się czegoś od nich i kiedy pani Underhill przybyła po nią na wiosnę, dziewczynka znała już dobrze swoją lekcję. W nagrodę pani Underhill pokazała jej lwy morskie, kołyszące się we śnie na północnych wodach i albatrosy na południu, szybujące w przestworzach podczas snu. Dziewczynka jeszcze nigdy nie spała, ale przynajmniej wiedziała już, na czym to polega.

W końcu przyszedł czas i na nią.

– Proszę – marudziła Lilac. – Zrobię to, jeśli muszę, tylko...

– Żadnych „jeśli”, „tylko” i „ale” – powiedziała pani Underhill. – Czas mija i czas nadchodzi. Twój czas właśnie nadszedł.

– Dobrze – odrzekła Lilac z rozpaczą. – Mogę pocałować wszystkich na dobranoc?

– To by trwało latami.

– A co z bajką? – zapytała, podnosząc głos. – Chcę posłuchać bajki.

– Wszystkie bajki, jakie znam, zawierają się w tej jednej, a w niej nadszedł właśnie czas, żebyś zasnęła.

Dziecko, stojące przed nią, powoli założyło ręce, ciągle się namyślając. Cień przebiegł przez twarz Lilac – znak, że dziewczynka będzie walczyć do końca. I jak wszystkie babunie, które napotykają na nieprzejednany opór dziecka, pani Underhill zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby ustąpić z godnością, żeby nie psuć dziewczynki.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Nie mam czasu się z tobą sprzeczać. Miałam odbyć pewną podróż i jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna i potem się zdrzemniesz, to zabiorę cię ze sobą. To może być pouczające...

– O tak!

– A w końcu nauka jest naszym celem...

– Właśnie!

– Zatem postanowione.

Widząc podniecenie dziewczynki, pani Underhill po raz pierwszy odczuła coś w rodzaju współczucia na myśl, że przez długi czas dziecko będzie związane pętami snu, spokojne jak umarli. Wstała.

– Słuchaj uważnie! Trzymaj się mnie mocno, chociaż urosłaś taka duża, i nic nie jedz ani niczego nie dotykaj.

Lilac podskoczyła z radości, jej gołe ciało było blade i błyszczące jak woskowa świeca.

– Masz – powiedziała pani Underhill, wyjmując spomiędzy swoich rzeczy drobny, trójpalczasty liść. Polizała go i przykleiła do czoła Lilac. – Będziesz widzieć to, co powiem, że widzisz. Myślę... – Z zewnątrz dochodziły ciężkie uderzenia skrzydeł, a długi, nieregularny cień przesunął się za oknami. – Myślę, że możemy ruszać. Nie muszę ci mówić – dodała, podnosząc ostrzegawczo palec – że pod żadnym pozorem nie wolno ci się do nikogo odzywać. Do nikogo.

Lilac z powagą skinęła głową.

Cud deszczowego dnia

Bocianica, której dosiadały, leciała wysoko i z dużą prędkością, dołem przesuwały się brązowe i szare listopadowe krajobrazy. Mimo to jakimś sposobem znajdowały się chyba wewnątrz innych granic, bo Lilac, choć miała gołe plecy, nie czuła ani ciepła, ani zimna. Trzymała się mocno fałd grubego płaszcza pani Underhill i obejmowała poruszające się rytmicznie boki ptaka. Gładkie, natłuszczone pióra pod jej udami były delikatne i śliskie. Pani Underhill uderzeniami laski prowadziła bocianicę w górę, w dół, na prawo i na lewo.

– Dokąd polecimy najpierw? – spytała Lilac.

– Na zewnątrz – powiedziała pani Underhill, a bocianica zanurkowała i skręciła. Pod nimi, w oddali, ujrzały duży, wieloczęściowy dom, który coraz bardziej się zbliżał.

Od wczesnego dzieciństwa Lilac wiele razy widziała ten dom w snach. Nigdy nie zastanawiała się, jak to możliwe, że śniła, chociaż nie spała; wiele było rzeczy, o których Lilac, wychowywana w taki a nie inny sposób, nigdy nie myślała, nie znając innych zasad, na jakich mogłoby się opierać istnienie świata i jej samej; podobnie Auberon nigdy nie zastanawiał się, dlaczego trzy razy dziennie siada przy stole i wkłada jedzenie do ust. Nie wiedziała jednak, że kiedy w snach spacerowała długimi korytarzami tego domu, dotykając wytapetowanych ścian przyozdobionych obrazami, i myślała „Co to może być?”, w tym samym czasie jej matka, babka i kuzynki śniły – nie, nie o niej – o kimś podobnym do niej, gdzie indziej. Zaśmiała się, kiedy z grzbietu ptaka ujrzała teraz cały dom, i natychmiast rozpoznała to miejsce, tak jakby podczas gry w ciuciubabkę zdjęto jej z oczu opaskę, a tajemnicza twarz, której dotykała, oraz nie wiadomo czyje rzeczy okazały się należeć do

kogoś dobrze znanego, patrzącego na nią z uśmiechem.

Dom zmniejszył się, gdy się do niego zbliżyły, skurczył się, jak gdyby uciekł. Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślała Lilac, to gdy podlecimy na tyle blisko, żeby zajrzeć przez okna, będę mogła patrzeć tylko jednym okiem. Czy ludzie w środku nie będą zdziwieni, jeśli przelecimy obok, zaciemniając okna jak chmura burzowa?

– No tak – powiedziała pani Underhill. – Gdyby to było jedno i to samo, chociaż nie jest, to oni zobaczą tylko, albo raczej nie zobaczą (tak mi się zdaje), bociana, kobietę i dziecko wielkości muszki albo mniejszych, i w ogóle się takim głupstwem nie przejmą.

– Nie potrafię tego pojąć – wtrąciła bocianica.

– Ani ja – dodała Lilac, śmiejąc się.

– Nieważne – odparła pani Underhill. – Patrzcie tak, jak ja patrzę, wyjdzie na to samo.

Kiedy to mówiła, oczy Lilac jakby zezowały, potem znów patrzyły prosto; budynek pędził z ogromną prędkością w ich stronę, przybrał rozmiary domu, podczas gdy one miały wielkość bociana (choć ona i pani Underhill były mniejsze – kolejna rzecz, o którą nie przyszło jej do głowy zapytać). Poszybowały do Edgewood, a okrągłe i kwadratowe wieże posiadłości wyrosły znieca jak grzyby po deszczu, chyląc się zgrabnie przed nimi, gdy przelatywały górą. Ściany, zachwaszczone (aleje, bramy wjazdowe i skrzydła kryte gontami zmieniały się łagodnie, zachowując właściwe proporcje, zgodnie ze swoim kształtem.

Pod uderzeniem laski pani Underhill bocianica przechyliła skrzydła i wzięła kurs na prawo jak myśliwiec. Dom zmieniał wygląd, gdy leciały w dół: raz był to styl królowej Anny, raz gotyk francuski, raz amerykański, ale Lilac tego nie zauważyła. Brakowało jej tchu, zobaczyła tylko, jak drzewa i kąty domu przechyliły się i wyprostowały, kiedy bocianica wyrównywała lot, potem dostrzegła pędzące w górę strzechy i zamknęła oczy, mocniej ściskając boki ptaka. Kiedy manewr został zakończony, ptak znowu leciał spokojnie, a Lilac otworzyła oczy. Znajdowały się w cieniu domu. Krążąc, wylądowały na kamiennym tarasie po tej stronie domu, która wyglądała najbardziej listopadowo.

– Patrzcie, Sophie śpi – powiedziała pani Underhill, kiedy ptak zwiesił skrzydła. Laską, jak kościstym palcem, wskazywała na wąskie ostrołuki, uchylone dwuskrzydłowe okna i kącik dla kotka, obok którego wylądowały.

Lilac widziała włosy matki, bardzo podobne do jej włosów, rozrzucone na poduszce, i nos wystający spod kołdry. Śpi... Wychowanie, jakie odebrała, nauczyło ją odczuwać przyjemności (i przystosowało do określonych zamierzeń, chociaż o tym nie wiedziała), a nie miłość i przywiązanie. Deszczowe dni wywoływały łyzy w jej przezroczystych oczach, ale zdumienie – nie miłość – najbardziej wstrząsało jej młodą duszą. Gdy patrzyła przez długi czas na nieruchomą postać matki, obudziły się w niej uczucia, których nie potrafiła nazwać. Cud deszczowego dnia. Często opowiadano jej ze śmiechem, że tak mocno trzymała matkę za włosy, aż trzeba je było obciąć, aby ją oswobodzić. Ona też się śmiała. Zastanawiała się teraz, jakby to było cudownie leżeć obok tej osoby, w tej pościeli, z policzkiem na policzku Sophie,

trzymając ręce w jej włosach, i spać.

– Możemy podejść bliżej? – spytała.

– No, nie wiem – zawahała się pani Underhill.

– Jeśli jesteśmy takie małe, jak mówisz – wtrąciła bocianica – to dlaczego nie?

– Dlaczego nie? – powtórzyła pani Underhill. – Spróbujemy.

Odleciały z tarasu; bocianica, uginając się pod ciężarem, napięła szyję i uniosła nogi. Okna zogromniały, jak gdyby się do nich zbliżyły. W końcu pani Underhill powiedziała „jazda” i popędziła ptaka łaską. Poszybowały ostrym łukiem przez otwarte okno do sypialni Sophie. Kiedy leciały między sufitem a podłogą, obserwator (gdyby takowy istniał) stwierdziłby, że są wielkości ptaszka, którego można zrobić z dwóch skrzyżowanych i machających dłoni.

– Jak to się udało? – spytała Lilac.

– Nie pytaj mnie jak – powiedziała pani Underhill. – Gdzie indziej by się nie udało – dodała z zadumą, gdy okrążyły łóżko Sophie. – I w tym cała rzecz, jeśli idzie o ten dom, prawda?

Zarumieniony policzek Sophie przypominał wzgórze, a jej rozchylone usta jaskinię. Głowę pokrywała gęstwina złocistych loków. Jej oddech był tak powolny i bezszelestny jak leciutki podmuch wiatru. Bocianica zwolniła, gdy znalazły się w głowie łóżka, i skrzyła, żeby poszybować nad kołdrą zszytą z łątek, podobną do zaoranych pól.

– A gdyby się obudziła? – spytała Lilac.

– Ani mi się waż! – wrzasnęła pani Underhill, ale było za późno.

Lilac puściła płaszcz starej kobiety i pod wpływem gwałtownej ochoty do splątania figła schwyciła w locie pukiel złotych włosów, gruby jak lina, i pociągnęła. Szarpnięcie niemal je wyróciło. Pani Underhill waliła łaską jak cepem, bocianica zaskrzeczała i straciła szybkość. Ponownie okrążyły głowę Sophie, a Lilac cały czas trzymała zwój.

– Obudź się! – krzyknęła.

– Niegrzeczne dziecko! Paskudne! – wrzasnęła pani Underhill.

– Kle, kle – zaskrzeczała bocianica.

– Obudź się – zawołała Lilac, zwijając dłoń w trąbkę wokół ust.

– Jazda stąd! – krzyknęła pani Underhill i ptak, bijąc mocno skrzydłami, pofrunął w stronę okna. Lilac musiała puścić włosy matki, żeby nie spaść z grzbietu. Jeden gruby włos, długi jak lina holownicza, został w jej dłoni. Śmiejąc się i piszcząc ze strachu, drżąc od stóp do głów, dostrzegła jeszcze, zanim dotarły do okna, falowanie pościeli. Na zewnątrz, z szelestem, z jakim przewraca się gwałtownie kartkę papieru, stały się znowu poprzedniej wielkości i zaczęły wznosić się szybko ku kominom. Włos, który został w dłoni Lilac, teraz o długości trzech cali i taki cieniutki, że nie mogła go utrzymać, wysliznął się spomiędzy jej palców i poszybował w przestrzeń, migocąc w oddali.

Sophie wyszeptała „co?” i usiadła wyprostowana. Potem powoli opadła na poduszki, ale

nie zamknęła oczu. Czy zostawiła otwarte okno? Koniec firanki wściekle łopotał na zewnątrz. Co jej się śniło? Prababcia, która zmarła, gdy Sophie miała cztery lata? Sypialnia, w której pełno było przepięknych przedmiotów: szczotki w srebrnej oprawie, szylkretowe grzebienie, pozytywka, lśniaca figurka z porcelany, ptak dźwigający na grzbiecie nagie dziecko i starą kobietę, duża, błękitna szklana kula, tak krucha jak bańka mydlana.

„Nie dotykaj tego, dziecko”, głos tak przytłumiony, że ledwo słyszalny, dochodzący spod koronkowej kremowej kołdry. „Ojej, uważaj”. I cały pokój, całe życie odbite w kuli, zniekształcone i błękitne. Dziwne, przepiękne i ujednoczone w tym kulistym odbiciu. „Oj, dziecko, uważaj”, płaczliwy głos. I kula wyslizgująca się z dłoni, spadająca na podłogę powoli jak bańka mydlana.

Potała policzki. Rozmyślając, wysunęła stopę w stronę nocnych pantofli. (Rozbiła się na podłodze bezdźwięcznie i tylko prababcia powtarzała „Oj, oj, dziecko, co za strata”). Przesunęła dłonią po splątanych włosach, „loki elfa”, tak mówiła na nie Mamade. Błękitna szklana kula rozbita, ale co było przedtem? Wyleciało jej z głowy. „No tak”, powiedziała, ziewnęła i wstała.

Sophie się przebudziła.

To wszystko

Ptak oddalał się od Edgewood, a pani Underhill dochodziła do siebie.

– Bądź twarda, bądź twarda – powtarzała uspokajająco. – Wyrządzono szkodę.

Lilac milczała za jej plecami.

– Nie chcę, żeby wina za to spadła na mnie – powiedziała bocianica, przerywając wściekle machanie skrzydłami.

– Nie ma mowy o winie – odparła pani Underhill.

– Jeśli trzeba wymierzyć karę... – dodała bocianica.

– Żadnej kary. Nie zaprzataj sobie tym swego długiego czerwonego dzioba.

Bocianica zamilkła. Lilac pomyślała, że powinna z własnej woli wziąć na siebie winę, jakakolwiek ona będzie, i uspokoić stworzenie, ale nie zrobiła tego. Przycisnęła policzek do szorstkiego płaszcza pani Underhill, ponownie zdumiona cudem deszczowego dnia.

– Chcę tylko przeżyć w tej postaci następnych sto lat – zamruczała bocianica.

– Dosyć – powiedziała pani Underhill. – Wszystko może nam wyjść na dobre. Czy mogłoby być inaczej? No już – klepnęła ptaka laską – mamy jeszcze sporo do zobaczenia, a czas ucieka. – Ptak przechylił się, skręcając z powrotem w stronę dachów domostwa. – Jeszcze jedno okrążenie wokół domu i posiadłości – zarządziła pani Underhill – a potem wracamy.

Gdy wznosiły się ponad dachami, powyginanymi na wszystkie strony i nierównymi jak góry i doliny, otworzyło się okrągłe okienko w dziwacznej kopule i wyjrzała przez nie mała, okrągła buzia, która popatrzyła w dół i w górę. Lilac rozpoznała Auberona (choć nigdy

przedtem nie widziała naprawdę jego twarzy), ale chłopiec jej nie zauważył.

– Auberon – powiedziała, ale nie miała zamiaru go wołać (tym razem była grzeczna), chciała tylko wymówić jego imię.

– Wścibinos – zauważyła bocianica. Właśnie z tego okna była obserwowana przez doktora, gdy zbudowała tu gniazdo, w którym mieszkała ze swoją rodziną. Na szczęście z tym już koniec! Okrągłe okienko zamknęło się.

Gdy zbliżyły się do domu, pani Underhill wskazała na długonogą Tacey. Żwir rozpryskiwał się spod wąskich opon roweru, kiedy Tacey skręciła za róg domu, kierując się ku schludnej niegdyś, małej normandzkiej zagrodzie, która służyła dawniej za stajnię, a obecnie za garaż – stara drewniana bagażówka przysypiała w ciemnościach – a poza tym mieli tam swoje klatki Bumbum i Jane Doe oraz ich liczne potomstwo. Tacey zostawiła rower przy tylnym wejściu. (Lilac, lecąc nad jej głową, miała wrażenie, że jedna pędząca postać rozpadła się na dwie części). Bocianica, bijąc skrzydłami, poszybowała nad parkiem. Lily i Lucy spacerowały po ścieżce, ramię w ramię, i śpiewały. Dźwięki ledwo docierały do Lilac. Ścieżka, którą szły, przecinała inną ścieżkę, biegnącą wzdłuż pozbawionego listowia żywopłotu, splątanego jak włosy szaleńca, oblepionego opadłymi liśćmi i gniazdami małych ptaków. Wałęsała się tam Daily Alice z grabiami w ręku i obserwowała żywopłot. Być może dostrzegła ruch ptaka lub zwierzątka. Kiedy wzniosły się wyżej, Lilac zauważyła na drugim końcu tej samej ścieżki Smoky’ego. Szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, a pod pachą niósł książki.

– Czy to...- zaczęła Lilac.

– Tak – odparła pani Underhill.

– Mój ojciec – dokończyła.

– No, w każdym razie jeden z nich – zauważyła pani Underhill i nakazała bocianicy poszybować w tę stronę. – Teraz uważaj i bez sztuczek.

Jak dziwnie ludzie wyglądali z góry: pośrodku głowa jak jajko, lewa stopa wyłaniała się jakby z tyłu głowy, prawa z przodu, a potem na odwrót. Smoky i Alice zobaczyli się w końcu i Alice pomachała ręką, która również zdawała się wyrastać z jej głowy, jak ucho. Kiedy się spotkali, ptak zniżył lot i ci na dole przybrali bardziej ludzkie kształty.

– Jak tam Tricks? – spytała Alice, trzymając grabie pod pachą jak strzelbę i wpychając ręce do kieszeni drelichowej kurtki.

– Tricksowi nic nie jest – powiedział Smoky. – Grant Stone znowu wymiotował.

– Na dworze?

– Na szczęście tak. Zdumiewające, jak spokojnie się robi po czymś takim. Na minutę. Lekcja pogładowa.

– Na temat?

– Wpychania komuś do ust tuzina cukierków prawoślazowych w drodze do szkoły? Nie wiem. Nieszczęść, za które pokutuje ciało. Śmiertelności. Robię poważną minę i mówię:

„Chyba teraz możemy kontynuować lekcję”.

Alice zaśmiała się, po czym gwałtownie spojrzała w lewo, gdzie kącikiem oka dostrzegła jakiś ruch, być może ptaka w oddali albo muchę. Nic nie zobaczyła. Nie słyszała pani Underhill, która patrzyła na nią z czułością i mówiła: „Bądź pozdrowiona, kochanie, i uważaj na czas”. Jednakże przez całą drogę do domu Alice nie odezwała się już i niewiele do niej docierało z tego, co Smoky opowiadał o szkole. Zawładnęło ją uczucie, którego zaznała już kiedyś, że ziemia, niewyobrażalnie masywna, obraca się pod jej stopami tylko dlatego, że po niej kroczy – zupełnie jak w kieracie. Dziwne. Kiedy podchodzili do domu, zauważyła, że Auberon wybiegł stamtąd, jakby go ktoś gonił. Rzucił okiem na rodziców, ale nawet nie skinął głową, po czym skręcił za róg domu i zniknął. Z okna na piętrze ktoś ją wołał po imieniu. „Tak?” – krzyknęła Alice, ale Sophie nic nie powiedziała, tylko patrzyła w zdumieniu na nich oboje, tak jakby od ostatniego spotkania minęły lata całe, a nie godziny.

Bocianica poszybowała nad ogrodem otoczonym murem, po czym zwiesiwszy skrzydła, musnęła ziemię w alei sfinksów, która w tej chwili niczym się nie wyróżniała. Panował w niej większy spokój niż kiedykolwiek. Przed nimi, tą samą drogą, biegł Auberon. Miał na sobie dwie flanelowe koszule (jedną zamiast kurtki), jakby za małe dla chłopca, który bardzo urósł, ale mimo to z zapiętymi mankietami. Jego długa głowa kiwała się na chudej szyi, a stopy wydawały się odrobinę szpotawe. Przebiegł kilka kroków, zwolnił i znowu ruszył biegiem, cały czas mamrocząc coś pod nosem.

– Księżę jakiś – powiedziała cicho pani Underhill, gdy zrównały się z chłopcem. – Czeka nas wiele pracy nad nim. – Pokiwała głową.

Auberon zrobił nagły unik, słysząc uderzenia skrzydeł nad uchem, gdy bocianica przeleciała tuż obok niego. Nie zatrzymując się, odwrócił głowę, żeby spojrzeć na ptaka, którego nie mógł zobaczyć.

– To wszystko – powiedziała pani Underhill. – Odlatujemy!

Lilac spoglądała w dół, kiedy się wznosiły. Auberon robił się coraz mniejszy.

Dorastając, Lilac spędzała samotnie długie noce i dni, nie przywiązując wagi do faktu, że pani Underhill surowo tego zabroniła. Stara kobieta miała ogromnie dużo zadań do wypełnienia, a opiekunowie Lilac zajmowali się nią tylko wtedy, kiedy nie poświęcali czasu grom i rozrywkom, których to grube, cielesne i głupie ludzkie dziecko nie mogło ani pojąć, ani się do nich włączyć. Zrozumieli to, gdy znaleziono Lilac błąkającą się po laskach, w których jeszcze nie powinna była przebywać (ponieważ rzucając kamień, przestraszyła kiedyś swego pradziadka i zakłóciła jego melancholijną samotność). Pani Underhill nic nie mogąc poradzić na to, że „wszystko jest częścią edukacji”, wyruszała do innych sfer i przestrzeni wymagających jej uwagi.

Ale Lilac miała jednego towarzysza zabaw, który zawsze z nią był, jeśli tego chciała, i bez chwili wahania wypełniał jej polecenia. Nigdy nie czuł się zmęczony ani zły (inni bywali czasami nie tylko źli, ale i okrutni) i zawsze widział świat tak jak ona. To, że był wymyślony

(„Z kim to dziecko ciągle rozmawia? – pytał pan Woods, krzyżując swoje długie ręce. – I dlaczego nie wolno mi siedzieć na moim własnym krześle?”) nie wyróżniało go w sposób istotny od wielu innych rzeczy w dziwacznym dzieciństwie Lilac. Nie dziwiło jej specjalnie, że poszedł sobie któregoś dnia, korzystając z jakiejś wymówki. Tylko że teraz, kiedy obserwowała, jak Auberon pędzi susami do zwieńczonego blankami letniego domku z jakąś pilną misją, zastanawiała się, co ten prawdziwy chłopiec – nie bardzo podobny do jej Auberona, ale bez wątplenia ten sam – robił wtedy, gdy ona była mała. Kiedy otwierał drzwi, wydawał się malutki. Zerknął za siebie, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nikt za nim nie szedł. Wtedy pani Underhill krzyknęła „Jazda!” i letni domek zaczął uciekać przed nimi (ukazując połatany dach podobny do głowy z wygoloną tonsurą). Po chwili były już wysoko i wciąż się rozpędzały.

Tajny agent

Będąc już w środku, Auberon zdjął nakrętkę z wiecznego pióra, jeszcze nim usiadł przy stole (jednak przedtem dobrze zamknął drzwi na haczyk). Wyjął z szuflady wyposażony w maleńki zamek dziennik z imitacji skóry, przeznaczony na pięć lat, ale pochodzący z jakichś innych pięciu lat, i otworzył go kluczykiem, który wyjął z kieszeni. Przewertował dziennik, odnalazł stronicę z dawno minionego marca, na której nic nie zanotowano, i napisał: „A jednak to działa”.

Miał na myśli stare planetarium pod dachem domu, przez którego okrągłe okienko wyglądał, gdy przelatywał bocian z Lilac i panią Underhill na grzbiecie. Wszyscy mówili, że mechanizm poruszający planety w tym antycznym urządzeniu jest pokryty grubą warstwą kurzu i nie działa od lat. Auberon sam wypróbował kółka zębate i dźwignie i rzeczywiście nie mógł ich poruszyć. A jednak działały. Jego niejasne odczucie, że planety, słońce i księżyc podczas jednej z wizyt znajdowały się w innym miejscu niż w czasie poprzedniej, zostało potwierdzone dzięki dokładnym badaniom, które przeprowadził. To działa, był tego pewien. Albo prawie pewien.

Nie obchodziło go w tej chwili, dlaczego wszyscy go okłamywali. Chciał tylko znaleźć coś na nich: dowód, że planetarium działa. Pragnął też dowieść (było to o wiele trudniejsze, ale ciągle gromadził materiał dowodowy), że wszyscy doskonale wiedzieli, iż ono działa, i nie chcieli, żeby się o tym dowiedział.

Zerknął na zdanie, które napisał, żałując, że nie ma nic więcej do dodania, powoli zamknął dziennik na klucz i schował go do szuflady w stole.

Jakie by tu wymyślić pytanie, co powiedzieć, na pozór od niechcienia, przy obiedzie, żeby sprowokować kogoś z nich – może cioteczną babkę, nie, zbyt dobrze opanowała sztukę przemilczania, wyspecjalizowała się w robieniu zdziwionej i zakłopotanej miny, lepiej matkę albo ojca, chociaż wiele razy Auberon zastanawiał się, czy jego ojciec nie jest przypadkiem tak samo z tego wyłączony jak on – do nieumyślnego przyznania się. Gdy miska z

ziemniakami będzie krążyć wokół stołu, może powiedzieć: „Powoli, ale pewnie, jak planety w starym planetarium” i obserwować ich twarze... Nie, to zbyt bezczelne, zbyt bezpośrednie. W każdym razie ciekawe, co będzie na kolację.

Letni domek, w którym przebywał, nie zmienił się wiele od czasu, gdy mieszkał tu i umarł jego imiennik. Nikt nie miał pojęcia, co zrobić z pudłami i teczkami pełnymi zdjęć, ani też nie był w stanie naruszać starannego porządku, w jakim zostały poukładane. Tak więc załatano tylko dziury w dachu i uszczelniono okna. I tak już zostało. Obraz domu pojawiał się niekiedy w ich umysłach, szczególnie doktora i Cloud. Rozmyślali o zamkniętej tam przeszłości, ale nikt nie znalazł czasu, żeby odpieczętować dom, i kiedy Auberon przejął go na własność, nikt się nie sprzeciwił.

Była to teraz jego kwatery główna. Przechowywał tu wszystkie rzeczy niezbędne do prowadzenia śledztwa: szkło powiększające (w istocie własność starego Auberon), całówkę i zwijaną miarę, ostatnie wydanie *Architektury domów wiejskich* i dziennik z własnymi zapiskami. Znajdowały się tam również wszystkie zdjęcia zrobione przez starego Auberon, których Auberon młodszy nie zaczął jeszcze przeglądać; zdjęcia, które spowodują, że zakończy poszukiwania, tak jak jego poprzednicy, gdyż dostarczą w nadmiarze niejasnych dowodów.

Już i tak zastanawiał się, czy jego badania planetarium nie są jednak głupie i czy próba ze sznurkiem i znaczkami, które porobił ołówkiem, nie może prowadzić do innych wniosków. Ślepa uliczka z ustawionymi wzdłuż niej milczącymi sfinksami, tak jak wzdłuż innych uliczek, którymi podążał. Przestał się huścić na starym krześle i gryźć energicznie końcówkę pióra. Zapadał wieczór. Żaden wieczór w tym miesiącu nie wydawał się tak przytłaczający jak ten, chociaż w wieku dziewięciu lat Auberon nie wiązał jeszcze swojego przygnębienia z konkretnym dniem czy godziną ani nie określał go tym słowem. Odczuwał tylko, jak trudno być tajnym agentem, udawać kogoś innego przed własną rodziną i tak się maskować, żeby bez wypytywania (to by go od razu zdradziło) wyjawili prawdę w jego obecności, nie mając powodu wątpić, że jest już wtajemniczony.

Wrony, kracząc, odleciały do lasu. Głos, który dziwnie się roznosił z wiatrem po całym parku, wołał go na kolację. Słyszając długie, melancholijne samogłoski swojego imienia, natychmiast poczuł smutek i głód.

Cierpliwość się wyczerpała

Lilac, w innym miejscu, ujrzała zachód słońca.

– Zachwycające! – powiedziała pani Underhill. – I przerażające. Czy twoje serce nie bije żywiej na ten widok?

– Ale to wszystko jest zrobione z chmur – zauważyła Lilac.

– Cicho! Sza, kochanie! – przestrzegła ją pani Underhill. – Możesz zranić czyjeś uczucia.

Należałoby raczej powiedzieć „zrobione z zachodu słońca”: tysiąc prążkowanych

namiotów wojennych, spowitych dymami z pomarańczowych ognisk i tak samo prążkowanych, falujących proporców w kolorach zachodzącego słońca; ciemna linia bojowa piechoty lub konnicy, a może obu, którą podkreślał srebrzysty błysk broni; jasne płaszcze kapitanów i ciemnoszare strzelców, ustawionych w szeregu pod ich rozkazami naprzeciw czerwieniejących barykad. A może była to ogromna flotylla galeonów, uzbrojonych i gotowych do żeglugi?

– Tysiąc lat – powiedziała ponuro pani Underhill. – Klęski, odwroty, działania na tyłach. Ale nadszedł już kres. Wkrótce... – Trzymała guzowatą laskę pod pachą jak dowódca buławę, wysoko zadarła podbródek. – Widzisz? – zapytała. – Tam! Czy nie jest odważny?

Postać, dźwigająca na swych barkach broń i obciążona olbrzymią odpowiedzialnością, spacerowała po rufie statku albo dokonywała obchodu posterunków. Wiatr rozwiewał białe bokobrody mężczyzny, długie niemal do stóp. Generalissimus w całej okazałości. W jednej dłoni dzierżył buławę i właśnie w tym momencie światło zachodzącego słońca padło pod innym kątem, a koniec buławy zapłonął. Dowódca wskazał buławą w kierunku miejsca, gdzie powinny znajdować się zapłony w armatach, jeżeli były to armaty, ale po chwili zmienił zdanie. Opuścił buławę, jej blask zgasł. Zza szerokiego paska wyjął mapę, rozłożył ją i przez jakiś czas studiował z bliska jak krótkowidz, następnie złożył z powrotem, schował na miejsce i ciężkim krokiem ponownie ruszył na obchód.

– Kości zostały rzucone – stwierdziła pani Underhill. – Nie ma odwrotu. Cierpliwość się wyczerpała.

– Przepraszam, że przerwę – wtrąciła bocianica głosem zdyszonym z wysiłku – ale to dla mnie za duża wysokość.

– Przepraszam – powiedziała pani Underhill. – Zadanie wykonane.

– Bociany – zauważył zasapany ptak – mają zwyczaj przysiąść co jedną milę, mniej więcej.

– Tylko nie siadaj – ostrzegła Lilac. – Od razu w tym zatoniesz.

– Zatem na dół – rozkazała pani Underhill.

Ptak przestał bić powietrze krótkimi skrzydłami i z westchnieniem ulgi rozpoczął opadanie. Generalissimus, trzymając ręce na burcie statku lub na zwieńczonym hurdykami murze fortecy, sokolim okiem wpatrywał się w dal, ale nie dostrzegł pani Underhill, która zaszalutowała mu elegancko, gdy mijały go w locie.

– No cóż – powiedziała stara kobieta – jest tak odważny jak tamci. To był wspaniały pokaz.

– To oszustwo – zauważyła Lilac.

Gdy zniżały lot, obraz przyjmował już bardziej niewinne kształty.

Do diabła z tym dzieckiem, pomyślała pani Underhill ze złością. To było przekonujące, wystarczająco przekonujące... Cóż, może nie powinni byli powierzać wszystkiego temu księciu, po prostu był już za stary. Ale tak to jest, pomyślała, wszyscy jesteśmy za starzy, za

starzy. Czy to możliwe, że zbyt długo czekali, zbyt długo byli cierpliwi, że wycofali się o jeden decydujący raz za dużo? Mogła tylko żywić nadzieję, że gdy wreszcie nadejdzie czas, strzelby starych głupców wypalą, podtrzymają chociaż na duchu jej przyjaciół i przestraszą tych, w których zostaną wymierzone.

Za starzy, za starzy. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że wynik tego wszystkiego, choć nie mógł być podawany w wątpliwość, po prostu nie mógł, jednak był wątpliwy. Wkrótce wszystko się skończyło. Czyż ten dzień, nawet ten wieczór, nie wyznaczył początku ostatniego długiego czuwania, ostatniej służby, zanim siły się ostatecznie połączą?

– To była podróż, którą ci obiecałam – powiedziała ponad ramieniem do Lilac. – A teraz...

– Aaaaach – jęknęła Lilac.

– Nie marudź...

– Aaaaaach...

– Zdrzemniemy się.

Przeciągłe, jęklive marudzenie dziewczynki zmieniło się niespodziewanie w coś innego, coś co kazało jej szeroko otworzyć usta i zawładnęło nią jak duch. Otwierała usta coraz szerzej – nigdy nie sądziła, że można je tak szeroko otworzyć – zamknęła zwilgotniałe oczy i wessała długi strumień powietrza do płuc, które same poszerzyły swą objętość, aby zrobić mu miejsce. Potem, równie nagle, duch ją opuścił, uwalniając szczęki i pozwalając jej wypuścić powietrze.

Zamrugła, cmoknęła, zastanawiając się, co to było.

– Jesteś śpiąca – powiedziała pani Underhill.

Bo Lilac właśnie po raz pierwszy w życiu ziewnęła. Zaraz potem ziewnęła po raz drugi. Przyłożyła policzek do szorstkiego płaszcza pani Underhill i jakoś nie mając już chęci dłużej się opierać, zamknęła oczy.

Ujawnienie skrywanego

Kiedy Auberon był bardzo mały, zbierał znaczki pocztowe. Gdy pojechał z doktorem na pocztę do Meadowbrook, zaczął z braku lepszego zajęcia przeglądać zawartość koszy na śmieci i natychmiast wyłowić skarby: koperty z miejsc, które wydawały mu się fantastycznie odległe. Koperty wyglądały na tak cieniutkie, że aż trudno było uwierzyć, iż przebyły taką długą drogę.

Wkrótce stało się to jego małą pasją, jak ptasie gniazda dla Lily. Chciał towarzyszyć każdemu, kto przejeżdżał koło poczty. Rozporządzał korespondencją przyjaciół. Zachwycał się odległymi miastami, dalekimi stanami o nazwach zaczynających się na literę „I” oraz, choć zdarzało się to najrzadziej, nazwami zamorskich krajów.

Aż pewnego dnia Joy Flowers, której wnuczka od roku mieszkała za granicą, dała mu opasłą brązową torbę wypełnioną kopertami nadchodzącymi do niej ze wszystkich stron

świata. Nie było niemal miejsca na mapie, którego nazwa nie widniałaby na jednym z tych kawałków niebieskiej bibułki. Niektóre nadesłano z miejsc tak egzotycznych, że ich nazwy były napisane w nieznanym mu alfabecie. Za jednym zamachem jego kolekcja została skompletowana i Auberon już nie znajdował w zbieraniu kopert żadnej przyjemności. Nic, co odkryłby na poczcie w Meadowbrook, nie mogłoby uzupełnić jego zbioru. Nigdy więcej się nim nie interesował.

Taki sam los spotkał zdjęcia starego Auberona, gdy w końcu Auberon młodszy odkrył, że są czymś więcej niż tylko zapisem długich dziejów dużej rodziny. Zaczynając od ostatniego zdjęcia, na którym Smoky – bez brody, w białym garniturze – stał przy baseniku dla ptaków, podpartym przez krasnoludki (nadal znajduje się on przy wejściu do letniego domku), Auberon przejrzał zbiór najpierw pobieżnie, a potem z zaciekawieniem. Na końcu zaś gorączkowo przerzucał tysiące fotografii, małych i dużych, przejęty zdumieniem i grozą (w tym oto był cały sekret, to, co skrywane, zostało ujawnione, każde zdjęcie warte tysięcy słów) i przez tydzień prawie nie był zdolny rozmawiać z rodziną z obawy, że zdradzi, czego się dowiedział – albo raczej czego miał się lada moment dowiedzieć.

Bo na końcu zdjęcia nie wyjaśniały już niczego, ponieważ nic ich nie wyjaśniało.

„Uwaga na kciuk” – napisał stary Auberon na odwrocie fotografii przedstawiającej ciemnoszare zarośla. I rzeczywiście, wśród splątanego powoju widniało coś, co bardzo przypominało kciuk. Dobrze. Dowód. Następne zdjęcie podważyło jednak całkowicie jego doniosłość (na odwrocie znajdowały się same wykrzykniki), ponieważ była na nim postać; zjawia małej panienki wśród liści, ubranej w długą koszulę z błyszczącą jak rosa pajęczyny. Dziewczynka jak z obrazka. A na pierwszym planie, z boku kadru, stało podniecone ludzkie dziecko o blond włosach, patrzyło w obiektyw aparatu i wskazywało palcem na maleńką postać. Kto mógł w to uwierzyć? A jeśli to była prawda (nie mogła być, Auberon nie miał pojęcia, w jaki sposób dokonano fałszerstwa, ale wydawało się to tak realne, że musiało być sfalszowane), to jaki pożytek z niby-kciuka w zaroślach i z tysiąca innych, równie niejasnych dowodów? Kiedy uporządkował tuzin pudełek, tak że zostało kilka ze zdjęciami nieprawdopodobnymi i wiele z niezrozumiałymi, i zobaczył, że pozostały jeszcze do przejrzania następne tuziny pudełek i teczek, schował wszystkie zdjęcia (z ulgą, ale i z poczuciem straty) i potem rzadko kiedy o nich myślał.

Nigdy więcej nie otworzył też dziennika, w którym zapisał swoje spostrzeżenia. Odstawił ostatnie wydanie *Architektury domów wiejskich* na półkę w bibliotece. Jego własne skromne odkrycia lub też to, co uważał za odkrycia – planetarium, kilka interesujących przejęzyczeń babci i ciotecznej babki – chociaż z początku wydawały się zdumiewające, okazały się niczym w powodzi dręczących zdjęć i jeszcze gorszych uwag, które jego imiennik poczynił na odwrocie każdej fotografii. Auberon wyrzucił to wszystko z pamięci. Jego misja tajnego agenta była zakończona.

Niestety w czasie jej trwania Auberon tak skutecznie udawał członka swojej rodziny, że

stopniowo rzeczywiście nim został. Często tak bywa z tajnymi agentami. Tajemnica, której nie wyjaśniały zdjęcia, kryła się, jeśli gdziekolwiek się kryła, w sercach jego krewnych, a Auberon tak długo udawał, że wie to, co oni wiedzieli (po to, by zdradzili się przed nim przypadkiem), że w końcu zaczął przypuszczać, iż rzeczywiście to wie. I tak jak w wypadku dowodów, mniej więcej w tym samym czasie, zapomniał o całej sprawie. Od tej pory – nawet jeśli istotnie wiedzieli coś, czego on nie wiedział, to też o tym zapomnieli albo sprawiali wrażenie, że zapomnieli – wszyscy byli sobie równi, a on stał się jednym z nich.

Czuł nawet, nie w pełni świadomie, że na równi z wszystkimi bierze udział w zмовie, z której tylko jego ojciec jest wyłączony. Smoky nie wiedział; nie wiedział też, że oni wiedzą, że on nie wie. Dziwnym trafem to ich wcale nie odsunęło od Smoky'ego, ale jeszcze bardziej do niego zbliżyło, jak gdyby trzymali w tajemnicy fakt, że przygotowują przyjęcie niespodziankę na jego cześć. I tym sposobem przez krótki czas stosunki Auberona z ojcem nieco się poprawiły.

Ale mimo że Auberon przestał badawczo śledzić motywy i postępowanie innych, pozostał mu nawyk otaczania tajemnicą własnych poczynań. Często, zupełnie bez powodu, maskował swoje działania. Oczywiście nie po to, żeby kogokolwiek oszukiwać; nawet jako tajny agent nie chciał nikogo oszukiwać, zadanie tajnego agenta jest dokładnie odwrotne. Jeśli w ogóle miał jakiś powód, to było nim pragnienie, żeby przedstawić się w łagodniejszym, jaśniejszym świetle niż to, w którym by go w przeciwnym razie widziano, łagodniejszym i jaśniejszym niż ciemne światło lamp, w jakim sam siebie postrzegał.

– Dokąd cię tak gna? – spytała Daily Alice, kiedy siedząc po lekcjach przy kuchennym stole, pochłaniał łąpczywie ciasteczka i mleko. Tej jesieni był ostatnim z rodziny Barnable'ów, który chodził jeszcze do szkoły Smoky'ego. Lucy przestała tam uczęszczać w zeszłym roku.

– Idę grać w baseball – odpowiedział z pełnymi ustami. – Z Johnem Wolfem i innymi chłopakami.

– Aha. – Doląła mleka do wypełnionej w połowie szklanki, którą wyciągnął w jej stronę. – To powiedz Johnowi, żeby powtórzył swojej matce, że wpadnę do niej jutro z zupą i innymi drobiazgami i zobaczę, czy czegoś nie potrzebuje. Auberon wpatrywał się w ciasteczka.

– Nie wiesz czasem, czy nie czuje się lepiej? – zapytała. Wzruszył ramionami.

– Tacey mówi...

Nie należało się spodziewać, aby Auberon poszedł powiedzieć Johnowi Wolfowi, że Tacey powiedziała, iż jego matka jest umierająca. Prawdopodobnie nie przekaże jej nawet prostej wiadomości. Ale nie była tego pewna.

– Kim jesteś w grze?

– Łapaczem – powiedział szybko. – Zazwyczaj.

– Ja byłem łapaczem – stwierdziła Alice. – Zazwyczaj.

Auberon powoli odstawił szklanę, zamyślony.

– Jak myślisz – zapytał – czy ludzie są szczęśliwsi, kiedy są sami, czy kiedy są z innymi ludźmi?

Odniosła jego szklankę i talerz do zlewozmywaka.

– Nie wiem – odparła. – Chyba... A jak ty uważasz?

– Nie wiem – odpowiedział. – Zastanawiałem się, czy... – Rozważał, czy dla każdego dorosłego jest to oczywiste, że człowiek jest szczęśliwszy, kiedy jest sam, albo odwrotnie – zależy, co było prawdą. – Chyba jestem szczęśliwszy z innymi ludźmi – powiedział.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się. Nie widział jej, ponieważ stała przodem do zlewozmywaka. – To dobrze. Ekstrawertyk.

– Chyba tak.

– No cóż – powiedziała miękko Alice. – Mam tylko nadzieję, że nie zamkniesz się znowu w swojej skorupce.

Już zmierzał do drzwi, wpychając jeszcze ciasteczka do kieszeni, kiedy nagle otworzyło się w nim jakieś okienko. Skorupka? Czy on był zamknięty w skorupce? I – co dziwniejsze – czy inni ludzie tak uważają, czy tak go powszechnie oceniano? Popatrzył przez to okienko i przez chwilę, po raz pierwszy w życiu, zobaczył siebie takim, jakim widzieli go inni. Tymczasem nogi poniosły go już na dwór przez szerokie wahadłowe drzwi kuchni, które zakołysały się z piskiem, przez pachnącą rodzynekami spiżarnię i przez cichą długą jadalnię. Spieszył się, by zagrać w zmyślony baseball.

Alice, stojąc przy zlewie, podniosła wzrok i zauważyła jesienny liść przyklejony do szyby. Zawołała za Auberonem. Słyszała jego oddalające się kroki (stopy chłopca rosły nawet szybciej niż reszta ciała), podniosła kurtkę syna z krzesła i podążyła za nim.

Nim doszła do frontowych drzwi, zdążył już odjechać na rowerze i nawet nie było go widać. Schodząc z werandy, zawołała ponownie. Dopiero wtedy zauważyła, że po raz pierwszy w tym dniu wyszła na dwór. Powietrze było czyste, pachnące i wszechogarniające, a ona nie wiedziała, czym się zająć. Spojrzała wokół siebie. Dostrzegła rozciągający się za narożnikiem domu skrawek ogrodu otoczonego murem.

Na kamiennej ozdobie w rogu domu siedziała wrona. Ptak spojrzał na nią – nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała wronę tak blisko domu; nie bały się, ale były ostrożne – zerwał się i odleciał do parku, machając ciężkimi skrzydłami. *Cras, cras* – Smoky powiedział, że tak kraczą wrony po łacinie. *Cras, cras* – „jutro, jutro”.

Ruszyła wzdłuż muru. Małe, łukowate drzwi były otwarte i zapraszały ją, ale nie weszła do środka. Podążyła w stronę zabawnej ścieżki, wzdłuż której rosły hortensje. Ozdobne kiedyś krzewy, wysokie i zadbane, w ciągu lat przekształciły się w zwykłe kwiaty. Rozrosły się na ścieżkę, którą miały wytyczać, i zakryły widok, który miały odsłaniać: dwie kolumny doryckie u wylotu ścieżki prowadzącej na wzgórze. Nadal bez celu, Alice podążyła tą drogą (strząsając z ostatnich kwiatów hortensji cieniutkie płatki, które posypały się jak wyblakłe konfetti) i zaczęła wspinać się na wzgórze.

Chwała

Auberon zatoczył koło, jadąc wzdłuż kamiennego muru, który stał na straży Edgewood, i w pewnym momencie zsiadł z roweru. Wdrapał się na mur (powalone drzewo z jednej strony i porośnięte chwastami wzniesienie z drugiej stwarzały dogodne przejście), przeciągnął rower i prowadząc go przez szeleszczący złocisty las bukowy, dotarł do ścieżki. Ponownie wskoczył na siodełko i oglądając się za siebie, pojechał do letniego domku. Tam ukrył rower w szopie zbudowanej przez starego Auberon.

Letni domek, ogrzany promieniami wrześniego słońca wpadającymi przez duże okna, był cichy i przysypany kurzem. Na stole, na którym spoczywał kiedyś pamiętnik i ekwipunek szpiega, a potem walały się zdjęcia starego Auberon, leżało teraz mnóstwo zagryzmołonych kartek papieru, szósty tom *Średniowiecznego Rzymu* Gregoroviusa, kilka innych opasłych książek i mapa Europy.

Auberon czytał uważnie ostatnią stronę, którą napisał poprzedniego dnia:

„Scena w namiocie cesarza, poza granicami Iconium. Cesarz siedzi samotnie na krześle, przypominającym kształtem literę x. Miecz spoczywa na jego kolanach. Ma na sobie niekompletną zbroję. To, co zdjął, poleruje służący, który czasami przygląda się cesarzowi, ale ten patrzy prosto przed siebie i nie widzi go. Wygląda na zmęczonego”.

Rozważył to i przekreślił ostatnie zdanie. Nie to miał na myśli. Każdy może wyglądać na zmęczonego. Cesarz Fryderyk Barbarossa w wieczór poprzedzający ostatnią bitwę wyglądał... no jak? Auberon zdjął nakrętkę z pióra, pomyślał i z powrotem je zakręcił.

W jego sztuce albo scenariuszu (dzieło mogło być jednym albo drugim, a nawet przemienić się magicznie w powieść) o cesarzu Fryderyku Barbarossie występowały Saraceni i papieskie armie, sycylijscy partyzanci, jak również wszechwładni paladynowie i księżniczki. Było w niej nagromadzenie romantycznych miejsc, gdzie staczały bitwy istne tłumy romantycznych postaci. Ale to nie romantyzm pociągał Auberoną najbardziej. W rzeczywistości pragnął tylko napisać dzieło o tej samotnej postaci w fotelu: postaci widzianej w chwili odpoczynku pomiędzy dwoma zaciekłymi bitwami, wyczerpanej po klęsce bądź zwycięstwie, w zbroi noszącej ślady walki. Najważniejsze w tym wszystkim było spojrzenie cesarza: spokojne, oceniające, pozbawione złudzeń; spojrzenie człowieka, który w końcu przekonał się, że przeważające siły przeciwnika są niepokonane, ale bitwa musi zostać stoczona. Nie zwracał uwagi na pogodę i, według opisu Auberon, taki właśnie był: zubożniały, szorstki, zimny. Przed jego oczyma rozciągał się pusty krajobraz, ożywiała go jedynie odległa wieża, wyniosła jak sam cesarz, i majacząca w oddali postać jeźdźca przynoszącego wieści.

Auberon wiedział, jak to zatytułować: chwała. Nie obchodziło go, że słowo „chwała”

może oznaczać coś innego. Akcja go w gruncie rzeczy niezbyt interesowała, bo czyż można być mistrzem? Poza tym nigdy nie potrafił zrozumieć istoty sporu między papieżem i Barbarosą. Gdyby ktoś zadał mu pytanie, co go pociąga w tym właśnie cesarzu (ale nikt by tego nie zrobił, bo zaczął pisać w tajemnicy i kilka lat później spalił swe dzieło również w tajemnicy), nie umiałby odpowiedzieć. Ostre brzmienie imienia. Może obraz starego cesarza na koniu, w pełnym rynsztunku, wyruszającego na ostatnią bezowocną krucjatę (dla młodego Auberona wszystkie krucjaty były bezowocne). A może jego przypadkowa śmierć w wodach nieznaney z nazwy armeńskiej rzeki, gdy rumak cesarza spłoszył się w czasie przeprawy. Chwała.

„Cesarz nie wygląda na zmęczonego, tylko...”

To zdanie również przekreślił ze złością i znowu zakręcił pióro. Jego wielka ambicja pisarska stała się nagle nie do zniesienia. Fakt, że musi cierpieć samotnie, doprowadzał go niemal do płaczu.

„Mam tylko nadzieję, że nie zamkniesz się z powrotem w swojej skorupce”.

A przecież tyle się napracował, żeby ta skorupka wyglądała dokładnie tak jak on sam. Myślał, że udało mu się wszystkim nabrać, a jednak tak się nie stało.

Kurz, pokrywający grubymi warstwami parapety, tańczył w promieniach słońca, ale w letnim domku robiło się chłodno. Auberon odłożył pióro. Za jego plecami, na półkach, spoczywały pudełka i teczki starego Auberona. Czy zawsze tak będzie? Zawsze jak w skorupce, zawsze coś do ukrycia? Jego własne sekrety zdawały się oddalać go od rodziny bardziej niż jakiegokolwiek ich tajemnice. Pragnął tylko być taki jak jego Barbarossa: pozbawiony złudzeń, śmiały, bez wstydliwych sekretów, czasami srogi, może zgorzkniały, ale od stóp do głów wyciosany z jednego kawałka.

Zadrzał. Gdzie się właściwie podziała jego kurtka?

Jeszcze nie

Matka przewiesiła ją przez ramię, gdy wdrapywała się na wzgórze, myśląc: Kto gra w baseball w taką pogodę? Młode klony wzdłuż ścieżki, szybko poddające się jesieni, płonęły już złościście w sąsiedztwie swych zielonych jeszcze braci i sióstr. Czy taka pogoda nie nadaje się raczej do gry w piłkę nożną? Ekstrawertyk, pomyślała, uśmiechnęła się i pokręciła głową: serdeczność i swobodny uśmiech. Mój Boże...

Odkąd dzieci Alice rosły wolniej, pory roku zdawały się zmieniać szybciej. Kiedyś jej dzieci były innymi ludźmi latem, a innymi jesienią. Tak wiele się uczyły, tyle odczuwały, tak często się śmiały i płakały podczas niemal wiecznego lata. Prawie nie zauważyła nadejścia tej jesieni. Może dlatego, że w tym roku musiała wyszykować do szkoły tylko jedno dziecko. I Smoky'ego. W jesienne poranki była praktycznie bezczynna: przygotowywała tylko jeden lunch, popędzała od mycia do śniadania tylko jednego śpiocha, szukała tylko jednej pary butów i jednego tornistra.

A jednak, wspinając się na wzgórze, czuła, że wzywają ją olbrzymie obowiązki.

Dotarła, nieco zziębnięta, do kamiennego stolika na szczycie i usiadła przy nim na kamiennej ławce. Pod stołem, wśród żalosnego jesiennego bałaganu, dostrzegła ładny słomkowy kapelusz, który Lucy zgubiła w czerwcu i opłakiwała przez całe lato. Patrząc na niego, poczuła z całą ostrością, jak bardzo jej dzieci są kruche, zagrożone i bezradne w obliczu straty, bólu czy obojętności. W myśli wymieniła po kolei ich imiona: Tacey, Lily, Lucy, Auberon. Brzmiały jak dzwoneczki w różnych tonacjach, jedno prawdziwiej niż inne, ale wszystkie miłe dla jej ucha. Cała czwórka miała się świetnie, naprawdę, zawsze tak mówiła pani Wolf, Marge Juniper, czy komukolwiek, kto o nich pytał: „mają się świetnie”. Nie, obowiązki, które ją wzywały (a teraz, gdy siedziała w słońcu i miała przed oczami rozległy krajobraz, odczuwała to jeszcze silniej), nie miały nic wspólnego z dziećmi, ani nawet ze Smokym. Związane były w jakiś dziwny sposób ze ścieżką wijącą się pod górę i ze szczytem wzgórza, i z tym niebem, po którym szybko biegły szarobiałe chmury podobne do gołębich piór, i z tą wczesną jesienią przynoszącą (jak każda jesień) nadzieje i oczekiwania.

Uczucie było bardzo intensywne, jak gdyby coś ją wciągało lub porywało. Siedziała bez ruchu w tym uścisku, zdumiona i trochę przestraszona, czekając, aż to wrażenie minie, tak jak po chwili mija déjà vu.

– Co to jest? – spytała dzień.

Dzień, niemy, nie mógł odpowiedzieć, ale usiłował wykonać jakiś gest, ciągnął ją poufale, jak gdyby brał ją za kogoś innego. Wydawało jej się, i wrażenie to nie mijało, że lada moment, usłyszawszy jej głos, odwróci się do niej – tak jakby cały czas widziała go od tyłu (i wszystko, zawsze), a za chwilę miała ujrzeć go wyraźnie, prawdziwie. I on ją również. Jednak nadal nie potrafił przemówić.

– Co to – powiedziała Daily Alice, nie zdając sobie sprawy, że mówi. Czuła, że roztapia się bezradnie w tym, co widzi, i w tej samej chwili staje się tak potężna, że mogłaby nad tym panować, tak lekka, że mogłaby latać, a jednocześnie tak ciężka, jakby wstrzymywała ją nie tylko kamienna ławka, ale całe kamienne wzgórze. Czuła przestach, ale wcale nie była zdumiona, gdy w końcu zrozumiała, o co ją poproszono, do czego ją wezwano.

– Nie – odpowiedziała. – Nie – powtórzyła miękko, jakby zwracała się do dziecka, które chwyciło ją za rękę lub za spódnicę, biorąc ją przez pomyłkę za swoją matkę, i zwróciło w jej stronę zdziwioną buzię. – Nie.

– Odwróć się tyłem – powiedziała i dzień jej posłuchał. – Jeszcze nie – dodała i powtórzyła imiona dzieci, jakby uderzała w dzwoneczki: Tacey, Lily, Lucy, Auberon. Smoky. Zbyt wiele, zbyt wiele ma jeszcze do zrobienia. A jednak nadejdzie czas, kiedy nie będzie już mogła odmówić, bez względu na to, jak wiele pozostanie do zrobienia, obojętnie, czy przybędzie, czy ubędzie jej obowiązków. Nie była niechętna ani nie bała się, chociaż sądziła, że gdy nadejdzie czas, ogarnie ją strach, a mimo to nie będzie mogła odmówić... Zdumiewające, zdumiewające, że nigdy nie przestaje się rosnać. Kilka lat temu myślała, że

urośła już tak wielka, iż nie mogłaby być większa, a przecież nawet nie zaczęła rosnąć.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – powiedziała, gdy dzień się odwrócił – jeszcze nie, mam jeszcze tyle do zrobienia, proszę, jeszcze nie.

Czarny kruk (lub ktoś podobny do niego) gdzieś w oddali, niewidoczny za odwracającymi się drzewami, zakrakał po swojemu i poleciał do domu.

Cras, cras.

II

Dzika ponad władzę lub sztukę, ogromna rozkosz.

Milton

Jedna rzecz, związana z dorastaniem córek, podobała się Smoky'emu. Chociaż odsuwały się od niego, to nie wynikało to ze wstrętu czy nudy (tak przypuszczał), ale po prostu z potrzeby przystosowania własnego życia do tej dorosłości. Kiedy były małe, ich codzienność i zainteresowania: króliki i muzyka Tacey, ptasie gniazda i chłopcy Lily, kolejne pasje Lucy – mieściły się w jego życiu, które było wówczas pełne. A kiedy dorosły, nie mógł ich już wpasować we własne plany, potrzebowały przestrzeni, przybyło zainteresowań, trzeba było znaleźć miejsce dla ich kochanków i dzieci. Nie mieściłyby się w jego życiu, gdyby nie dokonał zmian. Ale zrobił to i jego własne życie rozrosło się tak, jak życie jego córek. Odnosił wrażenie, że nie odeszły od niego ani trochę, i podobało mu się to.

Nie lubił jednej rzeczy związanej z dorastaniem córek: tego, że musiał dorosnąć razem z nimi i zmienić się. Czasami czuł, że wykracza to poza granicę znośną dla jego charakteru, który ukształtował się w ciągu długich lat.

Udręka bezsenności

Kiedy miał już swoje dzieci, zrozumiał, jaka korzyść wynika z faktu, że dorastając, był pozbawiony osobowości. Jego pocięchy mogły przypisywać mu takie cechy, jakie chciały, mogły uważać, że jest łagodny albo surowy, wykrętny lub szczery, wesoły albo ponury, w zależności od tego, co dyktował im własny nastrój. Rola Uniwersalnego Ojca była wspaniała, niczego przed nim nie ukrywały, szedł o zakład, że zdradziły mu więcej swoich tajemnic, smutnych, wstydliwych czy radosnych, niż większości mężczyzn (choć w żaden sposób nie mógł tego udowodnić). Ale nawet elastyczność miała swoje granice. Gdy się postarzał, nie potrafił już akceptować zmian tak jak dawniej. Jego charakter z biegiem lat skostniał i stał się niezmienny, a kiedy nie mógł zrozumieć lub nie pochwalał postępowania młodych, to nie umiał już przejść nad tym do porządku dziennego. Jego charakter sprzeciwiał się temu.

Być może głównie to oddaliło go od najmłodszego dziecka, Auberona. Rozmyślając o

chłopcu, Smoky czuł najczęściej złość przemieszana z zakłopotaniem oraz smutek z powodu tajemniczej przepaści, jaka ich dzieliła. Za każdym razem, gdy podejmował wysiłek dotarcia do syna, Auberon odgradzał się umiejętnie murem nieprzeniknionej tajemniczości, przed którym Smoky stawał bezradny i zniechęcony, jeszcze zanim zrobił pierwszy krok. Z kolei kiedy syn przychodził do niego, Smoky nie był w stanie zrezygnować z przywdziewania maski szczerego, powierzchownego i typowego ojca, w efekcie czego Auberon pośpiesznie się wycofywał. Z biegiem czasu sytuacja uległa pogorszeniu, zamiast zmienić się na lepsze. W końcu Smoky, okazując niechęć i dezaprobatę, ale odczuwając ulgę, pożegnał się z synem, gdy ten wyruszył do Miasta, aby prowadzić swoje dziwne poszukiwania.

Może powinni byli częściej przebywać razem. Po prostu wychodzić w letnie popołudnie, syn i tato, i podzucać sfatygowaną piłkę. Auberon zawsze lubił grać w piłkę, Smoky o tym wiedział, ale sam nie był w tym nigdy dość dobry ani nie sprawiało mu to przyjemności.

Zaśmiał się, zdając sobie sprawę z niewystarczalności takiej metody. Tylko tyle potrafił zaproponować, stojąc w obliczu niewyjaśnionej zagadki, jaką stanowiły jego dzieci. A może przyszło mu to do głowy dlatego, że czuł, iż prosty kontakt, jakiś zwykły gest pomógłby zmniejszyć dystans między nim a synem. Nie zauważył, aby tak wielka przepaść stała między nim a córkami, ale oczywiście nie mógł tego wykluczyć. Może jej nie dostrzegali, a była nią po prostu odczuwana codziennie dziwność dorastania u boku ojca, który sam dorósł wczoraj, albo nawet przedwczoraj.

Żadna z jego córek nie wyszła za mąż i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić, chociaż doczekał się już wnucząt – bliźniąt Lily, a Tacey nie miałyby nic przeciwko temu, żeby urodzić dziecko Tony'ego Bucka.

Smoky nie był gorliwym zwolennikiem małżeństwa, choć nie potrafił wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jego życie bez Alice, jakkolwiek osobliwy okazał się ich związek. A co do wierności, nie miał w ogóle prawa zabierać głosu na ten temat. Jednak ze smutkiem myślał o tym, że jego wnuki będą w mniejszym lub większym stopniu pozbawione nazwiska i jeśli nic się nie zmieni, to któregoś dnia będzie można mówić o nich tylko tak, jak o koniach wyścigowych: z takiego a takiego i takiej a takiej. Nic na to nie mógł poradzić, ale wydawało mu się, że jest coś nazbyt oczywistego i żenującego w fakcie, że jego córki odbywają stosunki ze swoimi kochankami, jakaś bezwstydnosc, którą małżeństwo by przyzwoicie ukryło. Albo raczej jego charakter tak uważał. Sam Smoky na ogół pochwalał zuchwałość i odwagę córek i nie wstydził się podziwiać ich aktywności seksualnej, tak jak zawsze podziwiał ich urodę. Ostatecznie były już dorosłe. Ale jednak... No cóż, miał nadzieję, że nie zwracały uwagi na to, że jego charakter nakazywał mu oceniać ich postępowanie i nie pozwalał, na przykład, odwiedzać Tacey i tego jak mu tam, z którym zamieszkała w jaskini. W jaskini! Najwyraźniej jego dzieci uparły się odtworzyć w swym życiu całą historię ludzkiego gatunku. Lucy zbierała zioła lecznicze, a Lily czytała z gwiazd i zawieszała na szyjach swych dzieci korale, aby odpędzić złe moce. Auberon zabrał plecak i wyruszył na poszukiwanie szczęścia. A Tacey, w

jaskini, wynalazła ogień. Akurat w momencie, gdy zapasy energii elektrycznej na świecie miały się wyczerpać na dobre. Pomyślawszy o tym, usłyszał, jak zegar wybija kwadrans i zastanawiał się, czy nie zejść na dół i nie wyłączyć generatora.

Ziewnął. Siedział w bibliotece, w jasnym kręgu światła lampki, i nie miał ochoty ruszać się z miejsca. Przy jego krześle piętrzył się stos książek. Smoky wybierał z nich czytanki do szkoły. Książki, z których dotąd korzystał, były już tak zniszczone po latach używania, że ze wstrętem na nie patrzył i z niechęcią ich dotykał, a poza tym zrobiły się niewypowiedzianie nudne. Inny zegar wybił pierwszą w nocy, ale Smoky nie dowierzał jego punktualności. W korytarzu, ze świecą w dłoni, przesunęła się znajoma postać: Sophie jeszcze nie spała.

Oddalała się – Smoky obserwował grę światłocieni na ścianach i meblach – ale po chwili wróciła.

– Jeszcze nie śpisz? – zadali sobie równocześnie to samo pytanie.

– To okropne – powiedziała, wchodząc do biblioteki. Miała na sobie długą nocną koszulę, w której wyglądała jak nocna zjawa. – Kręcenie się i przewracanie z boku na bok, znasz to uczucie? Tak, jakby twój umysł spał, ale ciało było przebudzone. I nie chciało się poddać. I kręci się i przewraca z boku na bok.

– Ale ty za każdym razem się trochę budzisz...

– Tak, więc twoja głowa nie może się pogryźć, coś w tym rodzaju, i naprawdę zasnąć, ale nie chce się też przebudzić i wciąż powraca ten sam sen albo początek snu bez dalszego ciągu...

– W kółko powtarza się ten sam stek bzdur, aż musisz dać za wygraną i wstać...

– No właśnie! I czujesz się tak, jakbyś leżał w łóżku wiele godzin, zmagając się i wcale nie śpiąc. Czy to nie okropne?

– Straszne.

Miał przekonanie, ale nigdy by się do niego nie przyznał, że Sophie, mistrzyni w spaniu, w ostatnich latach zaczęła się borykać z najprawdziwszą bezsennością i wiedziała teraz lepiej od Smoky'ego, który w najlepszych czasach nie miał kłopotów z zasypianiem, co to znaczy ścigać uciekające zapomnienie.

– Kakao – powiedział. – Ciepłe mleko z odrobiną brandy. I odmów swoje modlitwy. – Już kiedyś doradzał jej to samo.

Uklękła przy jego krześle, przykrywając bosc stopy nocną koszulą, i oparła głowę na jego udzie.

– Pomyślałam – powiedziała – kiedy już otrząsnęłam się z tego, no wiesz, przestałam się tak kręcić i przekręcać, pomyślałam: na pewno jest jej zimno.

– Jej? – powtórzył i dodał: – Och.

– Czy to nie głupie? Jeśli żyje, to nie jest jej zimno, prawdopodobnie, a jeśli... umarła...

– Hmm.

Oczywiście mówiła o Lilac. Z takim samozadowoleniem rozmyślał o tym, jak dobrze zna

swoje córki, jak bardzo one go lubią, i jedynie Auberon był mu solą w oku. A przecież miał jeszcze jedno dziecko. Jego życie było dziwniejsze niż przypuszczał. Lilac nadawała mu wymiar tajemnicy i smutku, o którym czasem zapominał. Sophie nigdy nie zapominała.

– Wiesz, to zabawne – powiedziała. – Wiele lat temu myślałam czasem, że ona rośnie. Wiedziałam, że musi być starsza. Czułam to. Wiedziałam dokładnie, jak wygląda, jak wyglądałaby, mając więcej lat. Ale w którymś momencie to się kończyło. Musiała mieć chyba jakieś... dziewięć albo dziesięć lat i od tej chwili nie mogłam już sobie wyobrazić, że będzie jeszcze starsza.

Smoky nic nie odpowiedział, tylko delikatnie głaskał Sophie po głowie.

– Teraz miałyby dwadzieścia dwa lata. Pomyśl o tym.

On o tym myślał. Dwadzieścia dwa lata temu przysiągł żonie, że dziecko jej siostry jest jego i że ponosi za to całą odpowiedzialność. Zniknięcie córki tego nie zmieniło, ale pozbawiło go obowiązków. Kiedy powiedziano mu w końcu, że prawdziwa Lilac zaginęła, zupełnie nie wiedział, jak ją odszukać, a Sophie ukryła przed nim i przed resztą rodziny swoje straszne doświadczenia z fałszywą Lilac. Do dziś nie wiedział, jak się to wszystko skończyło: Sophie wyszła gdzieś na cały dzień, a kiedy wróciła, nie było już Lilac – ani prawdziwej, ani fałszywej. Wtedy położyła się do łóżka, obłok odpłynął znad domu, za to zawitał w nim smutek. To wszystko. Miał nie zadawać pytań.

O wiele spraw nie mógł pytać. To była wielka sztuka. Nauczył się stosować ją z taką zręcznością, z jaką wykonuje swoje rzemiosło chirurg albo poeta. Słuchać, przytakiwać, zachowywać się tak, jakby rozumiał wszystko, co mówią; nie krytykować i nie udzielać rad, chyba że najłagodniej jak można i tylko po to, żeby okazać zainteresowanie albo niepokój; rozwiązywać zagadki; gładzić Sophie po włosach i nie starać się rozwiewać jej smutku; zastanawiać się, jak mogła dalej żyć z taką rozpaczą w sercu; nigdy o nic nie pytać.

Cóż, jeśli o to chodzi, jego trzy córki stanowiły dla niego doprawdy równie wielką tajemnicę jak czwarta, ale nie skłaniało go to do smutnych rozważań. Królowe powietrza i ciemności – jakim cudem przyczynił się do ich narodzin? A jego żona. Tak dawno przestał ją wypytywać (od miodowego miesiąca, od dnia ślubu), że teraz nie była już ani większą, ani mniejszą tajemnicą niż obłoki, kamienie i róże. Jediną osobą, którą mógłby zrozumieć (i krytykować, i zgłębiać, i wtrącać się w jej sprawy), był jego syn.

– Dlaczego tak się dzieje? – spytała Sophie.

– Dlaczego co się dzieje?

– Że nie mogę jej sobie wyobrazić ani trochę starszej.

– Hm – powiedział Smoky. – Właściwie nie wiem.

Westchnęła, a Smoky pogłaskał ją po głowie, przeczesał jej loki, każdy z osobna. Nigdy nie będą siwe. Choć nie błyszcząły już, nadal wyglądały jak złote. Sophie nie należała do tych ciotek, starych panien, których niewykorzystana piękność przypomina zasuszony kwiat – przynajmniej pod jednym względem nie była panną. Wydawało się, że jej

młodość nie mogła przeminąć, że Sophie nigdy nie stała się i nie stanie dojrzałą osobą. Daily Alice wyglądała tak, jak powinna wyglądać kobieta pięćdziesięcioletnia (pięćdziesięcioletnia, mój Boże!), jak gdyby zrzuciła kolejno skórę dziecka i młodej kobiety i przybrała w całości obecną postać. Sophie przypominała szesnastoletnią dziewczynę, tylko że ciążyło jej mnóstwo niepotrzebnych lat. Było to niemal nieuczciwością. Smoky zastanawiał się, która z nich w ciągu minionego czasu wydawała mu się piękniejsza.

– Może powinnaś znaleźć sobie nowe zajęcie – powiedział.

– Nie potrzebuję żadnego zajęcia – odparła. – Potrzebuję snu.

Kiedy Sophie odkryła ze zdumieniem i z obrzydzeniem, jak długi jest dzień, jeśli się go w połowie nie prześpi, Smoky zauważył, że większość ludzi wypełnia ten czas różnymi zajęciami, i zaproponował jej, żeby też znalazła sobie jakieś zajęcie. Zrozpaczona, zastosowała się do jego rady. Na pierwszym miejscu były, oczywiście, karty, oddawała się też pracy w ogrodzie, składała wizyty, robiła zaprawy, pochłaniała ogromną liczbę książek, wykonywała drobne naprawy w domu, cały czas narzekając, że zmusza ją do tego utrata (dlaczego utrata?) słodkiego snu.

Niespokojnie poruszyła głową wspartą na udzie Smoky'ego, jak gdyby leżała na swojej wymęczonej poduszce. Potem spojrzała na niego.

– Będziesz ze mną spał? – spytała. – Mam na myśli spanie.

– Zróbmy kakao – powiedział.

– To takie niesprawiedliwe. – Wstając, rzuciła spojrzenie na sufit. – Na górze wszyscy smacznie śpią, a ja snuję się jak duch.

Ale w rzeczywistości było inaczej. Oprócz Smoky'ego, który oświetlał świecą drogę do kuchni, nie spali też inni. Mamade właśnie się obudziła z powodu bólów artretycznych i zastanawiała się, czy lepiej wstać i wziąć aspirynę, czy leżeć spokojnie nie zwracając uwagi na ból. A Tacey i Lucy wcale się jeszcze nie położyły. Siedziały przy świecach, pogrążone w cichej rozmowie o swoich kochankach, przyjaciółach i rodzinie, zastanawiały się nad losem brata i komentowały wady i zalety nieobecnej siostry Lily, której bliźnięta też się obudziły – chłopczyk dlatego, że się zmoczył, a dziewczynka, ponieważ w łóżeczku zrobiło się mokro, i lada moment miały obudzić również Lily. W całym domu spała jedynie Daily Alice, leżąc na brzuchu z głową wciśniętą głęboko w puchowe poduszki i śniąc o wzgórzu, na którym stał dąb opleciony kolczastym krzewem.

La Negra

Pewnego zimowego dnia Sylvie odwiedziła miejsce, w którym mieszkała, zanim matka powróciła na wyspę, oddając ją na wychowanie do ciotek. Właśnie na tej ulicy Sylvie dorastała, zajmując wraz z matką, przyrodnim bratem, babcią i dziwnym lokatorem jeden umeblowany pokój. I w jakiś sposób dojrzewało też przeznaczenie, które przywiodło ją z powrotem na te zaćmione ulice.

Chociaż ze Starej Farmy jechało się tylko kilka przystanków metrem, wydawało się, że trzeba przebyć dużą odległość, przejechać przez granicę do zupełnie innego kraju. Miasto było tak gęsto zaludnione, że mieściły się w nim, jeden przy drugim, liczne obce kraje. Wielu z nich Sylvie jeszcze nigdy nie odwiedziła, ich holenderskie czy też wiejskie nazwy brzmiały w jej uszach dwuznacznie i obco. Ale te bloki знаła. Z rękami w kieszeniach starego, czarnego futra i w dwóch parach skarpetek na nogach szła ulicami, którymi często spacerowała w snach. Nie bardzo różniły się od tego, co widziała we śnie, jak gdyby jej pamięć przechowała ich wygląd. Znaki orientacyjne, zapamiętane z dzieciństwa, pozostały w większości niezmienione: sklep ze słodyczami, kościół ewangelicki, gdzie kobiety z wąsikami i upudrowanymi twarzami śpiewały psalmy, sklep spożywczy, w którym kupowało się na kredyt, ciemne i przerażające biuro notarialne. Kierując się tymi drogowskazami, odnalazła budynek, w którym mieszkała kobieta nazywana La Negra. I chociaż dom wydawał się Sylvie mniejszy i bardziej zaniedbany, a klatka schodowa ciemniejsza i jeszcze bardziej cuchnąca uryną, to nie było mowy o pomyłce. Serce jej waliło, gdy próbowała sobie przypomnieć, gdzie znajdowało się mieszkanie La Negry. Kiedy weszła na piętro, dobiegły ją odgłosy kłótni rodzinnej i muzyki *jibaro*. Przemieszane głosy męża, żony, płaczących dzieci i teściowej. Mężczyzna był pijany i wychodził, żeby upić się jeszcze bardziej, żona pomstowała na niego, teściowa złorzeczyła synowej, a w radiu ktoś śpiewał o miłości. Sylvie zapytała, gdzie mieszka La Negra. Wszyscy ucichli, tylko radio grało, i wskazali na górę, przypatrując się Sylvie.

– Dzięki – powiedziała i ruszyła na górę. Sekstet za jej plecami (wprawiony po wielu próbach) podjął przerwane dzieło.

La Negra wypytywała Sylvie zza drzwi zaopatrzonych w liczne zamki i najwyraźniej nie była w stanie, pomimo swych niezwykłych zdolności, skojarzyć, z kim ma do czynienia. Sylvie przypomniała sobie, że La Negra znała tylko jej zdrobniałe imię i przedstawiła się w ten sposób. Nastąpił moment ciszy (Sylvie niemal wyczuwała wielkie zdziwienie La Negry) i w końcu drzwi się otworzyły.

– Myślałam, że wyjechałaś – powiedziała czarna kobieta, otwierając szeroko oczy i opuszczając kąciki ust w zdumieniu przemieszonym z lękiem.

– Owszem – odparła Sylvie – wiele lat temu.

– Myślałam, że daleko – powiedziała La Negra. – Daleko, daleko.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Nie tak daleko.

Sylvie przeżyła szok, ujrawszy La Negrę. Gdy była mała, kobieta wydawała jej się dużo większa i bardziej przerażająca. Jej włosy posiwiały i przypominały stalową watę. Ale mieszkanie, gdy La Negra usunęła się w końcu na bok i wpuściła Sylvie do środka, okazało się niezmienione. Wdychając jego zapach lub raczej wiele przemieszanych zapachów, poczuła znowu takie samo zdumienie i strach jak dawniej.

– Titi – powiedziała Sylvie, dotykając ręki starej kobiety. La Negra ciągle wpatrywała się

w nią ze zdziwieniem i nic nie mówiła.

– Titi, potrzebuję twojej pomocy.

– Tak – odparła La Negra. – Co zechcesz.

Ale rozglądając się po małym mieszkaniu, Sylvie nie była już tak pewna jak przed godziną, o jaką właściwie pomoc się zwraca.

– Wszystko jak dawniej – zauważyła.

W pokoju stała komoda, zamieniona w domowy ołtarz, a na niej wystrugane z drewna figurki czarnej świętej Barbary i czarnego Martina de Porres. Palily się przed nimi czerwone świece, a na ołtarzu leżał plastikowy obrus, imitacja koronki. Na jednej ścianie wisiał obraz Najświętszej Panny, której błogosławieństwa przemieniały się w róże i spadały do morza o barwie gazowego płomienia. Na drugiej ścianie znajdował się wizerunek Anioła Stróża, który widziała też, dziwnym trafem, w kuchni u George'a Mouse'a. Przez niebezpieczny most przechodziła dwójka dzieci, a wszechmocny anioł czuwał nad ich bezpieczeństwem.

– Kto to jest? – spytała Sylvie.

Pomiędzy figurkami świętych, obok dłoni służącej za talizman, ustawiono obraz przykryty czarnym jedwabiem; również przed nim paliła się słabym płomieniem świeca.

– Siadaj, siadaj – powiedziała szybko La Negra. – Ona nie została ukarana, nawet jeśli tak to wygląda. Nigdy mi o to nie chodziło.

Sylvie postanowiła nie zadawać pytań.

– Ach, coś przyniosłam – podała torbę, trochę owoców, słodyczy oraz kawę, którą wyprosiła od George'a (zawsze miał zapas), bo pamiętała, że ciotka z przyjemnością ją popijała: gorącą, białą i słodką.

La Negra nie szczędziła podziękowań i stała się bardziej przystępna. Wzięła z komody szklanę z wodą, służącą do łapania złych duchów, wylała zawartość do ustępu, po czym nalała świeżej wody i postawiła szklanę na swoim miejscu. Kiedy dopilnowała tych środków ostrożności, zaparzyły kawę i zaczęły rozmawiać o dawnych czasach, Sylvie nieco schrypniętym ze zdenerwowania głosem.

– Miałam wiadomości od twojej matki – powiedziała La Negra. – Dzwoniła z daleka. Nie do mnie, ale słyszałam. I od twojego ojca.

– On nie jest moim ojcem – sprostowała szybko Sylvie.

– No...

– Po prostu człowiekiem, którego poślubiła moja matka – uśmiechnęła się do ciotki. – Nie mam ojca.

– *Ay, bendita.*

– Niepokalane poczęcie – powiedziała Sylvie. – Zapytaj matkę.

Zakryła usta dłonią na to bluźnierstwo, ale nadał się śmiała.

Wypiły kawę i zjadły *dulces*, a potem Sylvie wyjaśniła ciotce cel swojej wizyty. La Negra musi uwolnić ją od przeznaczenia, które dawno temu wyczytała w kartach i w dłoni dziecka;

musi usunąć je jak ząb.

– Spotkałam pewnego mężczyznę – powiedziała, spuszczać wzrok. Zrobiło jej się nagle ciepło na sercu i poczuła się onieśmielona. – I kocham go, i...

– Czy jest bogaty? – zapytała La Negra.

– Nie wiem, chyba jego rodzina jest bogata, dosyć.

– Więc może – zauważyła ciotka – to on jest przeznaczeniem.

– *Ay*, Titi – odparła Sylvie. – Nie jest aż taki bogaty.

– Cóż...

– Ale ja go kocham – wyznała Sylvie. – I nie chcę, żeby jakieś wielkie przeznaczenie oderwało mnie od niego.

– *Ay*, nie – powiedziała La Negra – tylko dokąd ma pójść, kiedy cię opuści?

– Nie wiem – odrzekła Sylvie. – Czy nie możemy go po prostu odrzucić?

La Negra powoli pokręciła głową, a jej oczy zrobiły się okrągłe. Sylvie poczuła nagle przerażenie i zdała sobie sprawę z własnej głupoty. Czy nie byłoby łatwiej po prostu przestać wierzyć, że coś jest jej przeznaczone? Albo uwierzyć, że miłość jest tak wzniosłym uczuciem, że każdy właśnie tego pragnie i że jej przeznaczenie już się wypełniło? Jeśli gmatwanie wszystkiego własnymi czarami i zaklęciami nie odwróci tego, co ma się wydarzyć, tylko jeszcze skomplikuje? I jeśli zapłaci za to miłością?

– Nie wiem, nie wiem – powiedziała. – Wiem tylko, że go kocham i to mi wystarcza. Chcę z nim być, chcę być dla niego dobra, gotować mu fasolkę z ryżem, urodzić jego dzieci... i po prostu żyć i żyć...

– Zrobię to, o co prosisz – powiedziała La Negra cichym, jakby nie swoim głosem. – Cokolwiek to jest.

Sylvie spojrzała na nią i dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Stara, czarna kobieta siedziała w fotelu, jakby pozbawiona sił, jej oczy wpatrywały się w dziewczynę, ale jej nie widziały.

– Tak jak wtedy – odezwała się Sylvie – kiedy przyszedł do naszego domu, złapałaś wszystkie złe duchy do orzecha kokosowego i wytoczyłaś go za drzwi? I poturlał się przez klatkę schodową aż do śmietnika? – Opowiadała Auberonowi tę historię i razem się serdecznie uśmieiali, ale teraz nie było to już tak zabawne. – Titi? – powiedziała.

Ale jej ciotka, chociaż nadal siedziała w fotelu obitym sztucznym tworzywem, była już nieobecna.

Nie, przeznaczenia nie można złapać w kokosowy orzech, jest zbyt ciężkie. Nie można go zetrzeć olejkami ani zmyć w ziołowej kąpieli, sięga zbyt głęboko. Gdyby La Negra zrobiła to, o co prosiła ją Sylvie, i gdyby jej stare serce przetrzymało tę operację, musiałaby przyjąć na siebie przeznaczenie, od którego uwolni dziewczynę. Ale gdzie kryło się jej przeznaczenie? La Negra docierała ostrożnie, krok po kroku, do serca Sylvie. Znała większość furtek: miłość, pieniądze, zdrowie, dzieci. Ale tych uchylonych drzwi nie знаła. *Bueno, bueno*, pomyślała, bojąc się straszliwie, że jeśli przeznaczenie, które opuści Sylvie, rzuci się na nią, zabije ją to

albo odmieni tak bardzo, że równie dobrze mogłaby być martwa. Zwróciła się do swych duchów przewodników, ale uciekły przerażone. A jednak musi zrobić to, co nakazała Sylvie. Położyła dłoń na drzwiach i zaczęła je otwierać, dostrzegając złociste światło za nimi, czując podmuch wiatru i słysząc pomruk wielu głosów.

– Nie – krzyknęła Sylvie. – Nie, nie, nie, nie miałam racji, nie rób tego!

Drzwi zatrzasnęły się. La Negra, czując ucisk w sercu i zawroty głowy, padła na fotel w swoim małym mieszkaniu. Sylvie potrząsała nią.

– Wezmę je z powrotem, wezmę je z powrotem! – krzyczała. Ale przeznaczenie jeszcze jej nie opuściło.

La Negra wracała do siebie, położyła dłoń na swych falujących piersiach.

– Nigdy więcej tego nie rób, dziecko – przykazała, czując ulgę, że tym razem Sylvie to zrobiła. – To może zabić.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała Sylvie – ale popełniłam wielki błąd...

– Spokojnie, spokojnie – powtarzała La Negra, nadal siedząc nieruchomo w fotelu i patrząc, jak Sylvie szarpie się z płaszczem.

– Spokojnie.

Ale dziewczyna pragnęła tylko wydostać się z tego pokoju, w którym silne prądy *brujeria* zdawały się skakać wokół niej jak błyskawice. Strasznie żałowała, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy, i mimo wszystko miała rozpaczliwą nadzieję, że nie obraziła przez własną głupotę swego przeznaczenia, nie sprowokowała go, żeby zwróciło się przeciwko niej, że w ogóle go nie rozbudziła. Dlaczego nie pozwoliła mu po prostu spoczywać tam, gdzie spokojnie spoczywało i nie sprawiało nikomu kłopotu? Poczując się w głębi skołatanego serca do winy, wyjęła drżącymi palcami portmonetkę i poszukała pliku banknotów, które przygotowała jako zapłatę za tę szaloną operację.

La Negra odsunęła się od pieniędzy, które Sylvie chciała jej wręczyć, jakby gryzły. Nie wzdragałaby się przed przyjęciem złotych monet, leczniczych ziół, magicznego medalionu czy książki tajemnic. Przeszła próbę pomyślnie, więc zasługiwała na zapłatę, ale nie w brudnych pieniądzach, za które kupuje się jedzenie, nie w pieniądzach dotykanych przez tysiące rąk.

Gdy Sylvie znalazła się na ulicy, odchodziła stamtąd pospiesznie, myśląc: Nic mi nie jest, nic mi nie jest, i miała nadzieję, że to prawda. Jasne, że można uwolnić się od przeznaczenia, można też obciąć sobie nos. Nie, przeznaczenie było jej przypisane na dobre, nadal dźwigała jego ciężar i jeśli nawet nie było to przyjemne, to mimo wszystko cieszyła się, że jej nie opuściło. Choć ciągle mało o nim wiedziała, zrozumiała jedną rzecz, gdy La Negra próbowała dotrzeć do jej serca. I dlatego tak się spieszyła, żeby złapać metro jadące do śródmieścia. Zrozumiała, że jakiegokolwiek jest jej przeznaczenie, nie zabraknie w nim Auberona. Gdyby było inaczej, na pewno z ochotą uwolniłaby się od swego przeznaczenia.

La Negra wstała ciężko z fotela, wciąż nie mogąc przyjść do siebie. Czy to była ona? To

nie mogła być ona, nie w cielesnym kształcie. Chyba że całkowicie pomyliła się w swoich rachubach. A jednak na stole leżały owoce, które przyniosła, i niedojedzone *dulces*.

Ale jeśli to właśnie ona była tu przed chwilą, to kto w takim razie pomagał La Negrze przez te wszystkie lata w modłach i czarach? Jeśli nadal tu była, nadal w tym samym mieście, to kogo wobec tego przywoływała La Negra, żeby leczył, głosił prawdy i łączył kochanków?

Podeszła do komody i zerwała kawałek czarnego jedwabiu przykrywający zdjęcie na środku ołtarzyka. Oczekiwała, nie całkiem świadomie, że zdjęcie zniknęło, ale nie, było na swoim miejscu. Stara fotografia za pękniętą szybką przedstawiała mieszkanie podobne do mieszkania La Negry. Odbywało się tam przyjęcie urodzinowe; ciemnowłosa, chuda dziewczynka z mysim ogonkiem siedziała na krześle (bez wątpienia na grubej książce telefonicznej), przed nią stał tort, jej duże oczy spoglądały zniewalająco i wydawały się nieziemsko mądre.

Czy jest już taka stara, zastanawiała się La Negra, że nie potrafi odróżnić ducha od istoty cielesnej, zwykłych gości od zjaw? Jeśli tak, to co się stanie z jej praktyką?

Zapaliła nową świecę i wstawiła ją do czerwonej szklanki przed zdjęciem.

Bar Siódmego Świętego

Wiele lat temu George Mouse pokazał Miasto Smoky'emu i zrobił z niego miejskiego człowieka, teraz zaś Sylvie była przewodnikiem Auberona. Ale Miasto zmieniło się od tamtego czasu. Trudności, które pojawiały się wszędzie i niweczyły nawet najlepsze ludzkie plany; niewytłumaczalne, ale jakimś sposobem nieuniknione niepowodzenia, wpisane w różnorakie poczynania ludzi, odczuwało się w Mieście dotkliwiej, powodowały tu większy ból i gniew niż gdzie indziej. Smoky nie dostrzegał jeszcze tego niewzruszonego gniewu, ale Auberon widział go na twarzy niemal każdego mieszkańca Miasta.

Miasto, w większym stopniu niż państwo, żyło dzięki zmianom: szybkim, bezwzględny, zawsze korzystnym. Zmiany były tym, co mobilizowało żywotne siły Miasta, a w jego mieszkańcach rozbudzało marzenia. Sprawiały, że krew szybciej krążyła w żyłach ludzi Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego. Stanowiły iskrę zapłonową, przyczynę ich codziennej bieżaniny, źródło bogactwa i zadowolenia. Jednak Miasto, które poznał Auberon, żyło już na wolniejszych obrotach. Szybkie wiry zmian spowolniały; ogromne fale przedsiębiorczości stały się spokojną laguną. Gdy największe Miasto powoli wytracało pęd i pogrążało się w niezwykłym jak na nie ospałym lenistwie, gdy śmiertelne znużenie zaczęło z wolna zataczać coraz szersze kręgi i paraliżować republikę, rozpoczął się permanentny kryzys, któremu ludzie z Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego nie byli w stanie zapobiec. Choć istniały jeszcze drobne przejawy zmian (uporczywe i chybione), pęd Miasta został zahamowany. Od czasów Smoky'ego miasto zmieniło się ogromnie dlatego, że przestało się zmieniać.

Sylvie ocaliła ze starego gmachu miasto, które Auberon mógł oglądać w wyobraźni, ale

ono także nie było zbyt podobne do tego, które George wznosił dla Smoky'ego. George Mouse, dziwny kamienicznik i nawet członek założyciel (ze strony dziadka) wielkiej rodziny reformatorów, zdawał sobie sprawę, że jego ukochane Jabłko marnieje. Oburzało go to i przygnębiało. Ale Sylvie była ulepiona z innej gliny, pochodziła z rejonów, które w czasach Smoky'ego uważano za mroczną stronę czarownego snu, a obecnie za enklawę najmniej dotkniętą kryzysem (choć i tam czaiła się rozpacz i furia). Na ostatnich ulicach miasta opanowanych jeszcze pogodną wesołością mieszkali ludzie, którzy zawsze byli zdani na łaskę reformatorów. Podczas gdy wszyscy inni mieli poczucie, że pogrążają się w niemocy i nieodwracalnym chaosie, tamci żyli tak jak zawsze: bez perspektywy, z dnia na dzień, przy akompaniamencie muzyki, tyle że mieli teraz za sobą dłuższą historię i bogatszą tradycję takiego życia.

Sylvie poszła z Auberonom do czystych, przeludnionych mieszkań swoich krewnych, gdzie siedział na prymitywnych kanapach obitych sztucznym tworzywem, popijał wodę sodową bez lodu ze szklanek stojących na spodeczkach i słuchał, jak go chwala po hiszpańsku: dobry mąż dla Sylvie. Choć sprzeciwiała się stosowaniu tego zaszczytnego miana, nadal mówili tak z poczucia przyzwoitości. Czuł się nieco zakłopotany, gdy używali pomiędzy sobą zdrobniałych imion, brzmiących w jego uszach podobnie. Sylvie (z przyczyn, które pamiętała, ale które jemu nie wydawały się jasne) była przez niektórych członków rodziny nazywana Tati. Mówiła tak na nią ciemnoskóra ciotka nie-ciotka o imieniu La Negra, która odczytała jej przeznaczenie. W ustach niektórych dzieci Tati zmieniło się na Tita i to imię również przyłgnęło do Sylvie, a w którymś momencie przekształciło się w Tytanie. Auberon nie zdawał sobie często sprawy, że wesołe dowcipy, opowiadane po hiszpańskiemu, to jego ulubione kawały, tylko inaczej nazwane.

– Uważają, że jesteś wspaniały – powiedziała do niego Sylvie, gdy znaleźli się na ulicy. Wsunęła dłoń do kieszeni jego płaszcza, a Auberon objął ją dla rozgrzewki.

– Oni też są bardzo mili...

– Ale *papo*, tak mi było wstyd, kiedy położyłeś nogę na tym *esta*, tym stoliku do kawy.

– Tak?

– To było niegrzeczne. Wszyscy zauważyli.

– Dlaczego mi nie zwróciłaś uwagi? – spytał zakłopotany. – W moim domu kładło się nogi na meblach, a to były... – Niemal powiedział „to były prawdziwe meble”, ale ona i tak to usłyszała.

– Próbowałam ci dać do zrozumienia. Wpatrywałam się w ciebie. Nie mogłam przecież powiedzieć: „Hej, zabierz stamtąd tę nogę”, bo pomyśleliby, że traktuję cię tak jak Titi Juana swojego Enrico. (Enrico był pantoflarzem i pośmiewiskiem rodziny). Nie wiesz, jak się muszą napracować, żeby zdobyć te brzydkie rzeczy – powiedziała. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale to dużo kosztuje, takie *muebles*. – Milczeli przez chwilę, zmagając się z ostrymi podmuchami wiatru. *Muebles*, pomyślał, meble, dla takich ludzi to dziwny, sztywny język. –

Oni są wszyscy zwariowani. To znaczy niektórzy są okropnie zwariowani, ale trochę zwariowani są wszyscy.

Wiedział, że pomimo wielkiego przywiązania do swojej licznej rodziny, Sylvie rozpaczliwie próbowała wyplątać się z długiej, niemal jakobińskiej tragikomedii ich pospolitego życia, okupionego szaleństwem, śmiesznością, spalającą miłością, nawet morderstwem. Często kręciła się w nocy i krzyczała udręczona, wyobrażając sobie nieszczęścia, jakie mogą się zdarzyć lub może już się przytrafiły komuś, tak łatwo ulegającemu wypadkom. I często jej wyobrażenia nie odbiegały od prawdy, chociaż Auberon lekceważył je i traktował jak nocne strachy (ponieważ w życiu jego rodziny nie zdarzyło się nic – nic, o czym by wiedział – co można by uznać za straszne). Nie znosiła tego przeświadczenia, że są w niebezpieczeństwie, nie znosiła uczucia przywiązania do nich. Wśród beznadziejnego chaosu, w jakim żyli, jej przeznaczenie jaśniało jak płomień świecy, która lada moment mogła zgasnąć lub zostać zdmuchnięta, ale póki co – płonęła.

– Muszę się napić kawy – powiedział. – Czegoś gorącego.

– A ja czegoś mocnego – stwierdziła.

Jak wszyscy kochankowie, wybrali szybko miejsca, w których na przemian, jak na obrotowej scenie, rozgrywały się akty ich sztuki: mały ukraiński wagon restauracyjny o wiecznie zaparowanych oknach, gdzie podawano czarną herbatę i czarny chleb; składaną sypialnię, oczywiście; obszerne ponure kino, do którego wstęp był tani, filmy się często zmieniały i wyświetlano je do samego rana; rynek Nite Owl; Bar i Grill Siódmego Świętego.

Wielką zaletą Baru Siódmego Świętego, oprócz niskich cen napojów i niewielkiej odległości od Starej Farmy (jeden przystanek metrem), były szerokie frontowe okna, prawie od sufitu do podłogi, w których jak na kinowym ekranie odbijało się życie ulicy. Bar musiał pamiętać lepsze czasy, szklana ściana bowiem miała soczystą brązową barwę, co było kosztownym pomysłem. Dzięki temu świat za oknami wydawał się nierealny, zaś wewnątrz było przyciemnione, jakby oglądane przez słoneczne okulary. Zupełnie jak w jaskini Platona, o której Auberon opowiadał Sylvie. Słuchała jego wykładu albo raczej patrzyła na niego, zafascynowana jego odmiennością, i nie przejawiała nadmiernego zainteresowania słowami. Uwielbiała się uczyć, ale jej umysł teraz błdził.

– Łyzeczki? – zapytał, podnosząc jedną.

– Dziewczyny – powiedziała.

– A filiżanki i spodki to chłopcy – powiedział w przypiływie zrozumienia.

– Nie, filiżanki to też dziewczyny.

Na ich stoliku stała kawa. Ludzie na zewnątrz, w szalikach i czapkach, pędzili z pracy do domu, zgięci w pół w podmuchach niewidzialnego wiatru, jakby oddawali pokłon bożkowi lub wybitnej osobistości. Sylvie była obecnie bez pracy (przyziemny dylemat dla osoby o tak wzniosłym przeznaczeniu), a Auberon utrzymywał się z zaliczek. Byli biedni, ale mieli dużo wolnego czasu.

– Stół? – zapytał. Nie umiał zgadnąć.

– Chłopiec.

Nic dziwnego, pomyślał, że jest tak bardzo sexy, skoro cały świat zapełniają chłopcy i dziewczyny. W jej ojczystym języku nie istniał rodzaj nijaki. W łacinie, której Auberon próbował się nauczyć od Smoky'ego, rodzaj rzeczowników był abstrakcją, której w żaden sposób nie potrafił pojąć. Ale dla Sylvie cały świat stanowił zbiorowisko mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt. Świat, *el mundo*, był mężczyzną, ale *la terra*, ziemia, była kobietą. Wydawało się to Auberonowi zrozumiałe: świat spraw i idei, nazwa gazety, Wielki Świat, ale matka ziemia, żyzna gleba, natura. Takie trafne podziały nie sięgały jednak zbyt daleko; jego miotełka o gładkim włosiu była dziewczyną, tak samo jak zwałista maszyna do pisania.

Przez chwilę zabawiali się w ten sposób, a potem zaczęli komentować wygląd przechodniów. Odcień szyby sprawiał, że przechodnie nie widzieli wnętrza jaskini, lecz tylko własne odbicie, i nie wiedząc, że są obserwowani ze środka, przystawali czasami, by poprawić ubiór lub podziwiać siebie samych. Sylvie ostrzej niż on krytykowała pospolitość ludzi, lubowała się we wszelkich przejawach ekscentryczności i dziwności, miała surowe normy fizycznego piękna i wyostrome poczucie ludzkiej śmieszności.

– *Papo*, zobacz tego, no zobacz tego... Wygląda jak jajko na miękko, rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiał, a ona wybuchała słodkim, schrypniętym śmiechem. Nie zdając sobie z tego sprawy, przejął jej ideał piękna, odnosił nawet wrażenie, że i jego pociągają szczupli mężczyźni o brązowej skórze, miękkim spojrzeniu i silnych nadgarstkach, tacy, którzy podobali się Sylvie, tacy jak Leon, obsługujący ich kelner o karnacji koloru kawy z mlekiem. Odczuł ulgę, kiedy Sylvie (po długim namyśle) doszła do wniosku, że ich dzieci będą piękne.

W barze przygotowywano się do pory obiadowej. Pomocnicy kelnerów zerkali na ich nie uprzątnięty stół.

– Możemy iść? – zapytał Auberon.

– Tak – powiedziała. – Spływajmy z tej budy. – Stare powiedzonko George'a przypominało dowcip, ale nie było zbyt zabawne. Wstali z miejsc.

– Jedziemy czy idziemy? – zapytał. – Jedziemy.

– No pewnie – odparła.

Królestwo szeptów

Chcąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym pomieszczeniu, wskoczyli przez pomyłkę do ekspresu (pełnego pasażerów jadących do Bronksu, bezwolnych i pachnących jak stado owiec), który zatrzymał się dopiero na starej stacji Terminus, gdzie stał się jednym z dwudziestu pociągów zdążających w różnych kierunkach.

– Zaczekaj no – powiedziała, kiedy przesiadali się na inny pociąg. – Chcę ci coś pokazać. O tak! Musisz to zobaczyć. Chodź!

Szli w górę i w dół korytarzami i rampami przez ten sam kompleks, przez który kiedyś przeprowadził go Fred Savage, ale Auberon nie miał pojęcia, czy idą w tym samym kierunku.

– O co chodzi? – zapytał.

– Spodoba ci się to – odparła i przystanąła na zakręcie. – Żeby tylko tam trafiła... O, to tam!

Wskazała palcem na pustą przestrzeń: sklepione przecięcie, gdzie tworząc krzyż, spotykały się cztery korytarze.

– Co? – spytał.

– Chodź! – Chwyliła go za ramiona i poprowadziła do narożnika, w którym żebrowe sklepienie obniżało się ku podłodze, tworząc coś, co przypominało szczelinę lub wąski otwór, a stanowiło jedynie połączenie cegieł. – Stój tutaj – poleciła i odeszła. Czekał posłusznie, zwrócony twarzą do ściany.

Wtem, całkowicie zaskoczony, usłyszał jej głos, wyraźny, ale głuchy, dochodzący z miejsca, na które patrzył:

– Cześć.

– Co to? – powiedział. – Gdzie...

– Ciii – nakazał głos. – Nie odwracaj się. Mów szeptem.

– Co to jest? – wyszeptał.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Ale kiedy stoję w tym rogu i mówię szeptem, to słyszysz mnie w swoim rogu. Nie pytaj, jak to możliwe.

Niesamowite! Jakby Sylvie przemawiała z jakiegoś królestwa wewnątrz muru, przez szparkę w bardzo wąskich drzwiach. Królestwo szeptów, czy w *Architekturze domów wiejskich* nie wysuwano czasem jakichś hipotez na ten temat? Bardzo możliwe. Nie było prawie spraw, na temat których nie spekulowano by w tej książce.

– Powiedz mi jakiś sekret – poprosiła.

Zastanowił się chwilę. To miejsce stwarzało intymny nastrój, bezcielesny szept kusił do zwierzeń. Czuł się tak, jak gdyby ktoś go obnażał lub próbował obnażyć, chociaż niczego nie widział: przeciwieństwo podglądania.

– Kocham cię – wyznał.

– Och – westchnęła wzruszona. – Ale to nie jest sekret.

Kiedy jej słowa dotarły do niego, poczuł, jak ogarnia go gwałtowna fala gorąca.

– Okay – zgodził się i zwierzył z ukrywanego pragnienia, którego nigdy przedtem nie śmiał wyrazić słowami.

– Ojej, ale z ciebie diabeł – zauważyła.

Powtórzył to samo, dorzucając kilka szczegółów. Czuł się tak, jakby szeptał jej prosto do ucha w najciemniejszej intymności łóżka, ale wrażenie było jeszcze bardziej abstrakcyjne, a intymny nastrój doskonalszy: szept skierowany prosto do jej umysłu. Ktoś przeszedł pomiędzy nimi, Auberon słyszał kroki, ale przechodzień nie mógł słyszeć jego słów. Zadrzał

z radości. Powiedział coś jeszcze.

– Mmmm – zamruczała tak, jak mruczy się z zadowolenia albo z rozkoszy. I nie mógł się powstrzymać, żeby w odpowiedzi nie zamruczeć tak samo. – Hej, co ty tam wyrabiasz – zaszeptała znacząco. – Niegrzeczny chłopczyk.

– Sylvie – poprosił szeptem. – Jedźmy do domu.

– Dobrze.

Odwrócili się do siebie przodem (opuściwszy ciemne królestwo, wydawali się sobie nawzajem bardzo mali, promienni i odlegli) i ruszyli, żeby spotkać się w środku. Śmiejąc się i przytulając do siebie tak mocno, jak pozwalały grube płaszcze, roztopiając się w uśmiechach i spojrzeniach (Boże, pomyślał Auberon, jej oczy są tak promienne, błyszczące, głębokie i pełne obietnic jak oczy opisywane w książkach, ale niespotykane w życiu, i należy do niego), złapali odpowiedni pociąg i pojechali do domu. Zmieszali się z tłumem nieznanym zajętych wyłącznie sobą, którzy nie zauważyli ich dwojga, a gdyby nawet zauważyli, pomyślał Auberon, to nie wiedzieli tego, co on.

Właściwa strona zjawiska

Odkrył, że seks jest naprawdę wspaniałą. W każdym razie sposób, w jaki Sylvie sobie z nim radziła. On sam był zawsze rozdarty między zakorzenionym w nim głębokim pożądaniem a chłodną rozważą, wymaganą, jak sądził, w świecie dorosłych, do którego ostatecznie trafił. Czasem czuł, że przez przypadek. Silne pożądanie wydawało mu się dziecinne. Dzieciństwo (przynajmniej jego własne, jak tylko sięgnął pamięcią, a i o dzieciństwie innych mógłby co nieco opowiedzieć) było mroczne, przytłoczone ponurymi namiętnościami. Dorośli mieli to wszystko za sobą, poznali uczucie miłości, korzystali ze spokojniejszych uciech życia towarzyskiego, odnaleźli dziecięcą niewinność. Wiedział, że te poglądy są niesamowicie zacofane, ale tak to właśnie odczuwał.

Fakt, że w świecie dorosłych istnieje pożądanie ogromne i nieodwołalnie ostateczne, trzymano przed nim w tajemnicy, jak wiele innych spraw, i wcale się temu nie dziwił. Nie dręczyło go nawet przeświadczenie, że został oszukany, i nie złościł się, że tak długo go nabierano, ponieważ z Sylvie wszystko poznał, przełamał szyfr, dotarł do istoty rzeczy, zobaczył właściwą stronę zjawiska i rozpalił się.

Kiedy ją poznał, nie był prawiczką w ścisłym rozumieniu tego słowa, ale równie dobrze można go było za takiego uznać. Z nikim innym nie dzielił tej potężnej, niepowstrzymanej dziecięcej zachłanności, nikt nigdy nie obdarzył go tak jak ona, ani nie pochłaniał go z takim uczuciem błogości i zwyczajnej przyjemności. Zachłanność nie miała końca i zawsze była zaspokajana. Kiedy chciał więcej (a odkrył w sobie zdumiewające, latami odkładane zasoby pożądania), dostawał więcej. Obdarzał ją tym, czego pragnął, z żarliwością, a ona z taką samą żarliwością to przyjmowała. Wszystko było takie proste! Nie żeby nie istniały żadne reguły, o nie, były, ale podobne do reguł spontanicznej dziecięcej gry, surowo

przestrzegane, lecz wymyślane na poczekaniu, z nagłego pragnienia zmiany gry i dogodzenia sobie samym. Pamiętał Cherry Lake, władczą dziewczynkę o ciemnych brwiach, z którą często się bawił. W przeciwieństwie do innych dzieci nie mówiła nigdy „będziemy udawać”, ale „musimy”. Musimy być źli. Muszę zostać porwana i przywiązana do tego drzewa, a ty musisz mnie oswobodzić. Muszę być teraz królową, a ty musisz być moim sługą. Musisz! Tak...

Sylvie zawsze wiedziała, nigdy nie była nieświadoma. Opowiadała mu, że w dzieciństwie była wstydliva i miała pewne zahamowania – on nie miał wtedy żadnych – ponieważ rozumiała, iż te rzeczy: całowanie, rozbieranie się przy chłopcach, nagły przypływ podniecenia są tak naprawdę dla dorosłych i przeżyje je w pełni dopiero, gdy będzie starsza, urosną jej piersi, zacznie nosić buty na obcasach i malować się. Nie odczuwała tego rozdzwiewku co on. Kiedy opowiadano mu, że tata i mama tak bardzo się kochali, iż oddawali się tym dziecinnyim namiętnościom po to, żeby mieć potomstwo, to nie potrafił dostrzec związku pomiędzy tym, co robili rodzice (i nie całkiem wierzył w te opowieści) a całym mnóstwem doznań, które budziła w nim Cherry Lake, pewne fotografie i zwariowane zabawy na golasa. A tymczasem Sylvie przez cały czas znała prawdę. Jakkolwiek życie stawiało przed nią wiele innych strasznych problemów, to przynajmniej ten jeden Sylvie już rozwiązała, a raczej nigdy nie uważała go za problem. Nicość była realna, tak realna jak ciało; miłość i seks nie stanowiły nawet wątku i osnowy tej samej materii, ale były czymś nierozzerwalnym, jednolitym jak brązowa, pachnąca i gładka skóra Sylvie.

Tylko jego z nich dwojga – chociaż w liczbach całkowitych nie była bardziej doświadczona – zadziwiło, że to zachłanne, dziecinne zaspokajanie pragnień okazało się domeną dorosłych, że dorosłość jest właśnie tym: wzniosłą rozkoszą płynącą z posiadania siły i zdolności, jak również szaloną dziecięcą rozkoszą niekończącego się samozadowolenia. Męskość, kobiecość była poświadczana ciągle od nowa najtrwalszą pieczęcią. W chwilach rozkoszy, w nocy, mówiła na niego *Papi. Ay Papi yo vengo. Papi!* Nie *papo*, którym był w ciągu dnia, ale silny tata, *duży jak platano*, ojciec przyjemności. Myśląc o tym, niemal drżał z radości. Przytuliła się mocniej, opierając głowę na jego ramieniu, lecz Auberon szedł nadal długim, spokojnym krokiem dorosłego człowieka. Czy naprawdę mężczyźni wyczuwali jego moc, gdy kroczył z Sylvie u boku, i ustępowali mu z szacunkiem; czy naprawdę kobiety rzucały mu ukradkowe spojrzenia pełne podziwu? Dlaczego nie pozdrawiał ich każdy mijany przechodzień, dlaczego nie pozdrawiały ich nawet cegły i czyste, białe niebo?

A jednak stało się tak. W chwili gdy skręcali w ulicę prowadzącą do Starej Farmy, w pół kroku, coś zaszło. Z początku miał wrażenie, że dzieje się to w nim, jak atak serca, ale natychmiast obydwójce odczuli to również na zewnątrz, wszędzie dookoła. Wstrząsnęło nimi coś, co przypominało potężny dźwięk, ale nim nie było, podobne raczej do odgłosu burzenia (tylko że w takim razie po całym bloku z brudnych cegieł z wnętrzami oklejonymi papierową tapetą pozostałby jedynie pył) lub nagłego uderzenia piorunu (który przełamałby niebo

przynajmniej na dwie części, a tymczasem było nadal zimowo czyste).

Przystanąli, przywierając do siebie kurczowo.

– Co to było, u diabła? – spytała Sylvie.

– Nie wiem – powiedział.

Odczekali chwilę, lecz nad budynkiem nie wznosiły się wijące dymy, syreny nie wyły jak w czasie katastrofy, a sklepikarze, włóczędzy i przestępcy spieszyli gdzieś w swoich sprawach, nie zaalarmowani, nieporuszeni. Na ich twarzach malowały się tylko ich własne troski i grzechy.

Sylvie i Auberon, przytuleni do siebie, powlekli się ciężkim krokiem do Starej Farmy. Oboje odnieśli wrażenie, że ten nagły wybuch miał ich rozdzielić (dlaczego? jak?) i prawie mu się to udało. Mógł powrócić w każdej chwili.

Co za plątanina

– Jutro – powiedziała Tacey, obracając ramę do haftowania – albo pojutrze, albo popojutrze.

– Och – powiedziała Lily. Ona i Lucy pochylały się nad zwariowaną kołdrą uszytą z niesymetrycznych kawałków i pokrywały jej powierzchnię ściegami, kwiatami, krzyżkami, supelkami i esami-floresami. – W sobotę albo w niedzielę – dodała Lily.

W tym momencie przyłożono zapalną do armatniego zapłonu (prawdopodobnie przez przypadek, potem wynikną z tego pewne kłopoty) i wybuch, który Sylvie i Auberon słyszeli czy odczuli w Mieście, wstrząsnął Edgewood. Zadrżały szyby w oknach, zabrzęczały ozdobne drobiazgi na etażerkach, roztrzaskała się porcelanowa figurynka w starej sypialni Violet, a siostry schyliły głowy i podniosły ręce, żeby się osłonić.

– Co u diabła – powiedziała Tacey. Popatrzyły jedna na drugą.

– Grzmot – zauważyła Lily – piorun w środku zimy albo coś innego.

– Odrzutowiec – stwierdziła Tacey – przekroczył barierę dźwięku. Albo coś innego.

– Dynamit – orzekła Lucy. – Gdzieś na granicy stanów. Albo coś innego.

Zamilkły na chwilę i pochylały się ponownie nad robótką.

– Zastanawiam się – powiedziała Tacey, częściowo zwrócona do nich plecami, podnosząc wzrok znad robótki. – No cóż – dodała i wzięła inną nitkę.

– O nie – powiedziała Lucy. – Śmiesznie to wygląda – oceniła krytycznie ścieg, który Lily zaczęła wyszywać.

– To zwariowana kołdra – zauważyła Lily.

Lucy przyglądała się siostrze i drapała po głowie bez przekonania.

– To nie znaczy, że musi być śmieszna – stwierdziła.

– Zwariowana i śmieszna – Lily nie przerywała pracy. – To duży zygzak.

– Cherry Lake... – powiedziała Tacey, trzymając igłę pod światło ledwo przenikające przez okna, które już nie drżały – myślała, że dwóch chłopaków się w niej kochało. Parę dni

temu...

– Czy to ten Wolf? – spytała Lily.

– Parę dni temu – ciągnęła Tacey, przeciągając zieloną jedwabną nitkę przez ucho igielne za pierwszym razem – ten Wolf pobił się okropnie z...

– Rywalem.

– Z trzecim chłopakiem. Cherry nawet o tym nie wiedziała. To było w lesie. Ona jest...

– Trzej – zaśpiewała Lucy i gdy powtórzyła „trzej” po raz trzeci, dołączyła do niej Lily, śpiewając o oktawę niżej: – Trzej, trzej rywale, dwaj, dwaj chłopcy malowani, na zielono ubrani.

– Ona jest – powiedziała Tacey – naszą kuzynką, w pewnym sensie.

– Jeden to jeden – śpiewały jej siostry.

– Nie będzie miała żadnego – dodała Tacey.

– ...sam jak palec, i już na zawsze tak pozostanie.

– Lepiej weź nożyczki – zauważyła Tacey, patrząc, jak Lucy pochyla głowę nad robótką, żeby przegryźć nitkę.

– Pilnuj swojego...

– Interesu – dokończyła Lily.

– Nosa – powiedziała Lucy.

Znowu zaczęły śpiewać: czterej ewangeliści.

– Zwiali – powiedziała Tacey. – Cała trójka.

– Nigdy nie wrócą.

– W każdym razie nie tak szybko. To prawie tak jak nigdy.

– Auberon...

– Pradziadek August...

– Lilac.

– Lilac.

Igły błyszczwały, gdy nitki były naprężone. Po każdym przeciągnięciu przez materiał nitki stawały się coraz krótsze, aż wreszcie pozostawały całe we wzorach na tkaninie i trzeba było je uciąć, po czym przeciągnąć następne przez ucho igielne. Siostry rozmawiały tak przyciszonymi głosami, że słuchacz nie wiedziałby, która co powiedziała, nie wiedziałby nawet, czy w ogóle rozmawiały, czy tylko wydawały pomruki bez znaczenia.

– Będzie zabawnie – powiedziała Lily – znowu ich zobaczyć.

– Wszyscy przyjadą do domu.

– Na zielono ubrani.

– Będziemy tam? Czy wszyscy tam będziemy? Gdzie to będzie? Kiedy? W której części lasu? O jakiej porze roku?

– Będziemy.

– Prawie wszyscy.

– Tak, niedługo, w każdej części lasu, w środku lata.

– Co za plątanina – powiedziała Tacey, trzymając w górze kłębek nici wyjętych z pudełka, w którym dziecko albo kot narobiło bałaganu. Jedwabna nitka, czerwona jak krew, splątana była z czarną bawełną do cerowania i motkiem owczej wełny, jedną czy dwiema szpilkami i kawałkiem materiału nabijanego cekinami, który dyndał na końcu nitki jak opuszczający się pajak.

III

*Ustyszala melodię w lesie Elmonda
i zapragnęła się tam znaleźć.*

Hynde Etin, *Buchan*

Hawksquill nie potrafiła z początku dokładnie określić, czy na skutek działania swej sztuki znalazła się we wnętrzu Ziemi, w powietrzu, w sercu ognia czy też strąciła się na dno morza. Russell Eigenblick powie jej później, że podczas swego długiego snu przeżywał takie same rozterki. Możliwe, że był ukryty we wszystkich czterech żywiołach. Podług starych legend miejscem jego spoczynku miały być góry, ale Godfrey de Yiterbo zaprzeczył temu, twierdząc, że jego kryjówką jest morze. Z kolei Sycylijczycy umiejscowili go w czeluściach Etny, a Dante w raju, chociaż równie dobrze mógł być strącić go (gdyby był mściwy) do piekła, tak jak uczynił to z jego wnukiem.

U szczytu schodów

Odkąd Hawksquill podjęła się tego zadania, poczyniła duże postępy, ale nie były one tak znaczące. Niewiele z jej podejrzeń dotyczących osoby Russella Eigenblicka można było przedstawić w sposób zrozumiały dla Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego. Nachodzili ją teraz niemal codziennie i molestowali w sprawie Wykładowcy. Jego władza i siła oddziaływania ogromnie wzrosły. Wkrótce nie będą już mogli pozbyć się Eigenblicka bezboleśnie, jeśli w ogóle muszą się go pozbywać. Dalsza zwłoka może to zupełnie uniemożliwić.

Podnieśli Hawksquill wynagrodzenie i stwierdzili, nie owijając w bawełnę, że prawdopodobnie będą zmuszeni zwrócić się o radę do kogoś innego. Hawksquill nie przejmowała się tym wszystkim. Pracowała uczciwie. Spędzała niemal cały dzień i wiele nocnych godzin, ścigając coś lub kogoś, za kogo podawał się Russell Eigenblick. Nawiedzała obszary własnej pamięci jak niespokojny duch i gonila umykające skrawki dowodów najdalej, jak tylko mogła, zatrzymując się jedynie w obliczu sił, których nie miała zamiaru przebudzić, i docierając do miejsc, z których istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy.

I właśnie teraz znajdowała się u szczytu schodów.

Nie będzie potem w stanie rozstrzygnąć, czy wchodziła, czy też schodziła tymi schodami, ale z pewnością były one długie. Na samej górze mieścił się pokój. Szerokie drzwi były wyważone. Sądząc po śladach na zakurzonej podłodze, nie tak dawno odsunięto wielki kamień, który je zagraadzał. Dostrzegła w półmroku długi stół biesiadny, poprzewracane filiżanki i krzesła pokryte grubą warstwą kurzu. Z pokoju dochodził taki zapach jak z niesprzątej i długo niewietrzzonej sypialni. Ale w środku nie było nikogo.

Zamierzała wejść do pokoju i zbadać sprawę dokładniej, lecz zauważyła postać w bieli siedzącą na kamieniu. Była to mała, ładna osóbką ze złotą przepaską na głowie. Postać obcinała paznokcie małymi cążkami. Nie wiedząc, w jakim języku przemówić, Hawksquill uniosła brwi i wskazała palcem na pokój.

– Tu go nie ma – usłyszała. – Wstał.

Hawksquill chciała jeszcze zadać parę pytań, ale zrozumiała, że ta osoba na nie nie odpowie, że była tu tylko po to, aby wypowiedzieć kwestię: „Tu go nie ma. Wstał”. Odwróciła się (schody, drzwi, wiadomość i posłaniec umykali błyskawicznie jej uwadze, jak kształt widziany przez moment w zmieniającej się konfiguracji chmur) i ruszyła dalej. Wiedziała już, dokąd musi się udać, żeby uzyskać odpowiedzi na wiele nowych pytań, albo sformułować pytania, które pasowałyby do wielu nowych odpowiedzi, jakie szybko zgromadziła.

Córka Czasu

„Różnica – jak napisała dawno temu Hawksquill w jednej z marmurowych ksiąg zapelnionych jej leworęcznym pismem, które stały bądź leżały na długim, oświetlonym stole w gabinecie – między starożytną a nowożytną koncepcją natury polega na tym, że w koncepcji starożytnej szkieletem świata był czas, w nowej zaś jest nim przestrzeń.

Jeśli spojrzy się na koncepcję starożytną poprzez pryzmat nowej koncepcji, dostrzeże się absurdy: morza, których nigdy nie było; światy, które rzekomo rozpadły się na kawałki i zostały stworzone od nowa; całe mnóstwo niemożliwych do zlokalizowania drzew, wysp, gór i wirów. Ale starożytni nie byli głupcami ze słabym zmysłem kierunku, tylko że to, na co patrzyli, to nie była *Orbis Terrae*. Kiedy mówili o czterech elementach świata, nie mieli na myśli czterech konkretnych miejsc. Chodziło im o cztery powtarzające się sytuacje, równo oddalone w czasie, mieli na myśli zrównanie dnia z nocą i przesilenie dnia z nocą. Kiedy mówili siedmiu sferach niebieskich, nie mieli na myśli (dopóki Ptolemeusz niemądrze nie spróbował ich narysować) siedmiu konkretnych ciał niebieskich w kosmosie, lecz koła zakreślone w czasie poprzez ruchy gwiazd. Czas – obszerna siedmiopiętrowa góra, gdzie grzesznicy Dantego czekają na wieczność. Kiedy Platon mówi o rzece opasującej Ziemię, rzece, która znajduje się gdzieś w przestrzeni (zatem nowa koncepcja zachowa i to) i również gdzieś we wnętrzu ziemi, to chodzi mu o tę samą rzekę, do której, według Heraklita, nie

można wejść dwa razy. Jak światło lampy, falujące w ciemności, stwarza w powietrzu niewyraźną świetlistą figurę, której istnienie trwa dopóty, dopóki światło dokładnie powtarza swój ruch, tak i wszechświat zachowuje swój kształt dzięki powtórzeniom: wszechświat jest cielesnym odbiciem czasu. I w jaki sposób będziemy postrzegać ten cielesny kształt czasu, w jaki sposób działać w jego obrębie? Nie w taki, w jaki postrzegamy odległość, stosunek, kolor i kształt – cechy przestrzeni. Nie poprzez pomiary i badania, ale w taki sposób, w jaki postrzegamy trwanie, powtarzanie i zmienność: dzięki Pamięci”.

Wiedząc, że tak jest, Hawksquill nie przywiązywała wagi do faktu, że w czasie podróży jej głowa z siwym koczkiem i kończyny prawdopodobnie nie zmieniają miejsca pobytu i nadal tkwią w pluszowym fotelu w środku Kosmoptykonu, pod dachem domu stojącego w biedniejszej dzielnicy Miasta. Pegaz, na którym odbywała podróż, nie był w istocie Pegazem, ale wielkim kwadratem gwiazd, znajdującym się ponad nią, a miejsce, do którego ją unosił, nie było tak naprawdę miejscem. Jednak największą sztuką (a może jedyną sztuką prawdziwego maga) jest rozumienie tych rozróżnień bez dokonywania ich i bezbłędne przekładanie parametrów czasu na parametry przestrzeni. To wszystko jest, jak powiedzieli dawni alchemicy, nie mijając się wiele z prawdą, takie proste.

„Wio!” – rozkazał głos jej pamięci, gdy ręka pamięci trzymała znowu wodze. I Pegaz poszybował poprzez czas, bijąc wielkimi skrzydłami. Gdy Hawksquill rozmyślała, zdążyli przemierzyć oceany czasu. Wtem, na jej rozkaz, rumak zanurkował bez chwili wahania i znalazł się albo na południowym niebie, albo w ciemnych, południowych, przezroczystych wodach. W jednym i drugim przypadku zdążając do krainy, gdzie spoczywały wszystkie minione wieki, do Ogygii.

Rumak dotknął srebrnymi kopytami wybrzeża i pochylił łeb. Opuścił z szelestem silne skrzydła, falujące jak draperie, i wlokąc je za sobą, skubał dla pokrzepienia wieczną trawę. Hawksquill zsiadła z grzbietu Pegaza, poklepała go po olbrzymim karku, wyszeptała, że niebawem wróci, i podążyła po śladach stóp, odcisniętych na tym brzegu pod koniec Złotego Wieku i zachowanych od tamtej pory w nienaruszonym stanie. Każdy z tych śladów był większy niż ona sama. Pogoda była bezwietrzna, jednak gigantyczny las, do którego weszła, falował od własnego oddechu, a może od jego oddechu, z taką częstotliwością jak w czasie odwiecznego snu.

Podeszła tylko do wylotu doliny, którą całkowicie sobą wypełniał.

– Ojczy – powiedziała, a jej głos przeciął ciszę. Wiekowe orły wzbiły się ciężko w powietrze i usiadły ponownie, senne. – Ojczy – powtórzyła, a dolina poruszyła się.

Jego kolana tworzyły szare pagórki, włosy przypominały długi, wyschnięty bluszcz, a palce – masywne korzenie czepiające się przepaści. Oko, które otworzył, żeby na nią spojrzeć, było jak mlecznoszary, zmatowiały kamień, niczym Saturn w jej Kosmoptykonie. Ziewnął. Gdy wciągał powietrze, jego oddech poruszył liście na drzewach i potargał Hawksquill włosy jak gwałtowny poryw wiatru. Gdy wydmuchiwał powietrze, robiło się

zimno jak w bezdennej jaskini.

– Córko – rzekł głosem głębokim jak głos dochodzący z wnętrza ziemi.

– Przepraszam, że zakłóciłam twój sen, ojciec – powiedziała – ale mam pytanie, na które tylko ty możesz odpowiedzieć.

– Pytaj więc.

– Czy teraz zaczyna się nowy świat? Nie widzę powodu, dlaczego miałyby tak być, ale jednak chyba się zaczyna.

Wiadomo powszechnie, że kiedy synowie obalili swego wiekowego ojca i wtrącili go tutaj, niekończący się Złoty Wiek dobiegł jednak kresu. Powstał czas i wszystkie trudy z nim związane. Mniej znany natomiast jest fakt, że młodzi, nieposłuszni bogowie, przerażeni lub zawstydzeni swoim uczynkiem, oddali władzę nad tym tworem swemu ojcu. Był wówczas pogrążony we śnie na Ogygii i obojętny na wszystko, więc od tamtej pory właśnie na tej wyspie, gdzie pięć rzek ma wspólne źródło, wszystkie minione lata gromadzą się jak opadłe liście. Kiedy Najstarożytniejszy, dręczony snem o własnym upadku lub zmianach, podnosi kończyny i cmoka, drapiąc się po zadku twardym jak skała, ma początek nowy wiek, zmienia się melodia, w której rytmie tańczy wszechświat, i rodzi się słońce w nowym systemie.

Tak to beztroscy, podstępni bogowie wymyślili, że można winą za całe nieszczęście obarczyć starego ojca. Z czasem Kronos, władca szczęśliwej epoki, w której nie istniał czas, przemienił się w starego wścibskiego Chronosa z sierpem i klepsydrą – ojca kronik i chronometrów. Tylko jego prawdziwe dzieci i niektóre z adoptowanych, a między nimi Ariel Hawksquill, wiedzą, jak było naprawdę.

– Czy zaczyna się Nowy Wiek? – spytała raz jeszcze. – Jeśli tak, to przed terminem.

– Nowy Wiek – powiedział Ojciec Czas głosem, którego siła starczyłaby na stworzenie nowej ery. – Nie. Jeszcze wiele, wiele lat. – Strząsnął kilka uschniętych lat, których całe sterty leżały na jego ramionach.

– Więc kim jest – zapytała Hawksquill – Russell Eigenblick, jeśli nie królem Nowego Wieku?

– Russell Eigenblick?

– Człowiek z rudą brodą. Wykładowca. Geograf.

Położył się z powrotem, skaliste posłanie jęknęło pod jego ciężarem.

– Nie ma żadnego króla Nowego Wieku – powiedział. – To parweniusz, najeźdźca.

– Najeźdźca?

– Jest ich mistrzem. Dlatego go obudzili. – Jego mlecznoszare oko zamykało się. – Spał przez tysiąc lat, szczęściarz. Obudzili go z powodu konfliktu.

– Jakiego konfliktu? Jaki mistrz?

– Córko – powiedział. – Czy nie wiesz, że trwa wojna?

Wojna... Przez cały czas szukała jednego słowa, słowa klucza, wyjaśniającego wszystkie nieuporządkowane fakty, wszystkie dziwne zjawiska związane z Russellem Eigenblickiem,

wszystkie nieprzewidziane niepokoje, które zdawał się wywoływać na świecie. Teraz już znała to słowo, przemknęło przez jej świadomość jak wichur, przewracając budowle i płosząc ptaki, porywając liście z drzew i pranie ze sznurka, ale przynajmniej nareszcie był to wichur wiejący tylko z jednego kierunku. Wojna: wszechświatowa, tysiącletnia, bezwarunkowa wojna. Nieprawdopodobne, pomyślała, przecież sam to wszystko powiedział na ostatnich wykładach. Zawsze sądziła, że to jedynie metafory. Jedynie!

– Nie wiedziałam, ojcze – powiedziała – aż do tej chwili.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – powiedział Najstarszy, a słowa przytłumiło ziewanie. – Zwrócili się raz do mnie z prośbą o jego sen. Spełniłem ich prośbę. Tysiąc lat temu, plus minus jeden wiek... Są w końcu dziećmi moich dzieci, spokrewnionymi przez małżeństwa. Wyświadczam im usługi raz po raz. Nie ma w tym nic złego. Tu i tak nie mam co robić.

– Kim oni są, ojcze?

– Mmm... – Jego olbrzymie oko zamknęło się.

– Kim są ci, którzy uważają go za swojego mistrza?

Niestety, ogromna głowa opadła z powrotem na poduszkę z pagórka, a z wielkiego gardła wydobyło się chrapanie. Sędziwe orły, które podskoczyły, skrzecząc, gdy się obudził, teraz siadły spokojnie na swoich turniach. Bezwietrzny las oddychał. Hawksquill niechętnie skierowała kroki na wybrzeże. Jej rumak (nawet on był senny) podniósł łeb, gdy się zbliżyła. Nie ma na to rady. Myśl musi to pokonać. Myśl potrafi!

– Nie ma odpoczynku dla znużonych – powiedziała i wskoczyła na szeroki grzbiet Pegaza. – Wio! I to szybko! Nie wiesz, że trwa wojna?

Kiedy wznosili się, a może opadali, zastanawiała się, kto spał przez tysiąc lat. Które dzieci Czasu wypowiedziały wojnę ludziom, jaki będzie jej koniec, jakie są widoki na zwycięstwo?

I kim było złotowłose dziecko, które spało zwinięte w kłębek na łonie Ojca Czasu?

Dziecko się odwróciło

Dziecko odwróciło się we śnie na drugi bok: śniło o tym, co wyniknęło z rzeczy, których było świadkiem ostatniego dnia; śniło na jawie i przetwarzało wszystkie zdarzenia we śnie, nawet wtedy, gdy one już dawno przeminęły.

Wyrywało z gobelinu, utkanego podczas snu, złote i srebrne nitki i wyszywało go od nowa tymi samymi nitkami, ale w taki sposób, jaki mu najbardziej odpowiadał. Śniło o tym, jak jego matka obudziła się i powiedziała: „co?”, śniło o jednym ze swoich ojców, którego widziało na ścieżce w Edgewood, śniło o Auberonie, zakochanym w Lilac z własnych marzeń, o armiach stworzonych z chmur, dowodzonych przez rudobrodego człowieka, który tak dziecko przestraszył, że prawie by się obudziło. Lilac śniła, odwracając się na drugi bok, z rozchyłonymi wargami i wolno bijącym sercem, że u kresu podróży spłynęła z przestworzy i

pomknęła z zawrotną szybkością ponad stalowoszarą, oleistą rzeką.

Upiorna, czerwona kula słońca niknęła w oparach wijących się dymów i białych smug po odrzutowcach. Tak właśnie powstawały fałszywe armie na zachodzie. Lilac mogła tylko milczeć: widząc dzikie esplanady i słysząc dobiegającą z dołu wrzawę, zupełnie ucichła. Bocianica zamknęła się w sobie i zamyśliła. Pani Underhill niezbyt pewnie prowadziła ptaka przez labirynt geometrycznych dolin. Poleciały najpierw na wschód, potem na zachód. Tysiąc ludzkich głów widzianych z góry sprawiało inne wrażenie niż jedna czy dwie: przewalające się morze włosów i kapeluszy, wijący się, dziwny strumień szalików. Wielkie otwory w ulicy wyrzucały kłęby dymu, a ludzie ginęli w tych obłokach i nie pojawiali się ponownie (przynajmniej tak myślała Lilac), lecz zastępowały ich niezliczone rzesze innych.

– Zapamiętaj te znaki, dziecko – zawołała pani Underhill do Lilac, usiłując przekrzyczeć zawodzenie syren i zgiełk miasta. – Spalony kościół. Te szyny jak strzały. Ten ładny dom. Przebędziesz tę drogę jeszcze raz, sama.

Postać w czapce oderwała się nagle od zwartego tłumu i weszła do „ładnego domu”, który Lilac wcale nie wydawał się ładny. Na polecenie pani Underhill bocianica poszybowała na dach budynku i opuściwszy skrzydła, zaczęła wytracać szybkość, po czym z westchnieniem ulgi dotknęła czerwonymi stopami zniszczonego dachu, który był słabo widoczny przy tej pogodzie. Wszystkie trzy spojrzały na podwórko, gdzie właśnie z tylnych drzwi wyłoniła się postać w czapce.

– Zapamiętaj go, kochanie – powiedziała pani Underhill. – Jak sądzisz, kim on jest?

Mężczyzna miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, ręce oparł na biodrach, ale dla Lilac był tylko ciemną bryłą. Wtem zdjął kapelusz i odrzucił do tyłu długie, czarne włosy. Przeszedł się w kółko zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pokiwał głową, po czym spojrzął po dachach, szczerząc w uśmiechu białe zęby, które odcinały się od ciemnej twarzy.

– Następny kuzyn – powiedziała Lilac.

– A może kto inny?

Mężczyzna przyłożył palec wskazujący do ust i musnął ziemię w zaniedbanym ogrodzie.

– Poddaję się – powiedziała Lilac.

– To twój ojciec.

– Och.

– Ten, który cię spłodził. Będzie potrzebował twojej pomocy tak samo jak inni.

– Och.

– Zastanawia się w tej chwili, co by tu ulepszyć – stwierdziła pani Underhill z zadowoleniem.

George przemierzał ogród w tę i z powrotem. Oparł brodę na płocie z desek, który oddzielał jego podwórze od następnego budynku, i popatrzył ponad płotem na ogród po drugiej stronie. Był jeszcze bardziej zaniedbany. Mężczyzna powiedział głośno: „Cholera! Nie jest tak źle!” po czym odsunął się od płotu i zatarł ręce.

Lilac zaśmiała się, kiedy bocianica podeszła do krawędzi dachu, żeby odfrunąć. Czarna peleryna George'a zafalowała na wietrze jak wzniesione skrzydła ptaka, po czym jeszcze mocniej przylgnęła do jego ciała. George również się roześmiał. Lilac pomyślała, że to jest właśnie człowiek, którego sama wybrałaby na ojca spośród tych dwóch ojców, których miała. Zachwycało ją w postaci mężczyzny coś, czego nawet nie potrafiła nazwać. Dokonała swego wyboru z niezachwianą pewnością samotnego dziecka, które zawsze ma świadomość tego, kto jest po jego stronie, a kto nie.

– To nie jest kwestia wyboru – przestrzegła pani Underhill, kiedy wzbijały się w powietrze. – Masz obowiązek do spełnienia.

– Prezent dla niego! – krzyknęła Lilac do ucha pani Underhill. – Prezent!

Pani Underhill nic nie powiedziała, już i tak za bardzo pobożyla temu dziecku. Kiedy leciały ponad nędzną ulicą, z chodnika wyskakiwały przed nimi mizerne i pozbawione liści młode drzewka, rosnące w równych odstępach. Ta ulica należy do nas, pomyślała pani Underhill, albo prawie należy. A czym jest farma bez przydrożnych drzew stojących na straży?

– Do drzwi! – rozkazała, a zimne miasto umykało, gdy pędziły do centrum. – Już dawno powinnaś spać. Tam!

Wskazała na stary budynek, który wyłonił się przed nimi. Kiedyś musiał być wysoki, przewyższał z pewnością okoliczne domy, ale czas jego świetności już przeminął. Budynek został zbudowany z białego kamienia, który dawno utracił swoją biel, a jego fronton zdobiły miriady wyrzeźbionych w kamieniu twarzy, kariatyd, ptaków i różnych stworów, teraz czarnych i ociekających brudem. Środkowa część budynku była cofnięta, natomiast skrzydła po obu stronach tworzyły rodzaj ciemnego, wilgotnego dziedzińca, na którym znikwały taksówki i ludzie. Wysoko w górze, pod dachem, skrzydła łączyły się, zakreślając kamienny łuk, pod którym zmieściłby się olbrzym. Przeleciały pod łukiem. Bocianica przestała bić skrzydłami i trzymała je wzdłuż grzbietu, leciutko poruszając końcami. Trafiła prosto jak strzała w ciemność dziedzińca. Pani Underhill krzyknęła: „Schylić głowy!” Lilac poczuła powiew stęchłego powietrza i schyliła głowę. Zamknęła oczy. Słyszała, jak pani Underhill mówi: „Prawie skończone, staruszko, prawie skończone. Wiesz, gdzie jest brama”, po czym przez jej przymknięte powieki przeniknęło światło. Znowu były gdzie indziej.

Właśnie to jej się śniło, tak to właśnie było. Młode drzewka urosły niczym ulicznicy o brudnych twarzach, twarde, zaniedbane i spiczaste. Ich pnie zgrubiały, a korzenie czepiały się chodnika. W ich konary, niczym w gęste włosy, wplątały się zepsute latawce, papierki od słodczy, pęknięte baloniki i gniazda wróbli. Drzewka nie zważały na to. Rozpychały się gałęziami, walcząc o najmniejszy promyk słońca. Każdej zimy strząsały na przechodniów brudny, okopcony śnieg. Urosły, pocięte nożami, nawożone przez psy, nieprzycinane. Były nie do pokonania. Pewnej ciepłej, marcowej nocy Sylvie, wracając o świcie na Starą Farmę, zadarła głowę i spojrzała na ich gałęzie odcinające się od pochmurnego, bladego nieba.

Zauważyła, że każda gałązka dźwiga ciężki pęczek.

Pożegnała się uprzejmie z tym, który odprowadzał ją do domu, chociaż zachowywał się nachalnie, następnie poszukała pęku kluczy do bramy i do składanej sypialni. Nigdy nie uwierzy w tę zwariowaną historię, nigdy nie uwierzy, że łańcuch niesamowitych, ale całkiem niewinnych wydarzeń tak bardzo opóźnił jej powrót do domu. Nie będzie jej wypytywał, będzie tylko zadowolony, że nic jej się nie stało. Miała nadzieję, że się nie martwił. Trochę ją poniosło, to wszystko. Nic złego się przecież nie stało.

To było duże miasto, a zabawy przeciągały się do późnej nocy, zwłaszcza podczas marcowej pełni księżyca. Jedna rzecz pociągała za sobą następną... Sylvie otworzyła drzwi i przedzierała się na górę przez uspiony dom. W korytarzu, który prowadził do składanej sypialni, zdjęła z roztańczonych stóp pantofle na wysokich obcasach i na paluszkach podeszła do drzwi. Otworzyła je po cichu jak złodziej i wśliznęła się do środka. Auberon leżał na łóżku jak kłoda, ledwo widoczny w mdłym świetle brzasku. Udawał (była tego pewna), że spokojnie śpi.

Gabinet wyobraźni

Składana sypialnia wraz z kuchnią była tak mała, że Auberon musiał stworzyć sobie gabinet wyobraźni, żeby mieć ciche, odizolowane miejsce pracy.

– Co takiego? – spytała Sylvie.

– Gabinet wyobraźni – powiedział. – No dobra. Widzisz to krzesło? – Gdzieś w zakamarkach Starej Farmy znalazł szkolne krzesło z opuszczanym blatem, którego można było używać jako biurka. Pod siedzeniem znajdowało się specjalne miejsce na książki i notatki. – Popatrz – powiedział i starannie ustawił krzesło. – Załóżmy, że mam w tej sypialni gabinet. Stoi w nim to krzesło. Tak naprawdę mamy tylko to krzesło, ale...

– Co ty pleciesz?

– Czy możesz spokojnie wysłuchać? – wybuchnął Auberon. – To bardzo proste. W Edgewood, gdzie spędziłem dzieciństwo, było wiele wymyślonych pokojów.

– Niewątpliwie. – Stała z rękami na biodrach, trzymając w jednej dłoni drewnianą chochlę. Spod zawadiackiej chusteczki, którą włożyła na głowę, wysuwało się kilka kruczoczarnych loków, między nimi zaś kołysały się kolczyki.

– Chodzi o to – kontynuował Auberon – że kiedy powiem: „Idę do mojego gabinetu, skarbie” i usiądę na tym krześle, to będzie tak, jakbym poszedł do drugiego pokoju. Zamykam za sobą drzwi. I jestem sam. Nie widzisz mnie ani nie słyszysz, bo drzwi są zamknięte. A ja nie widzę ani nie słyszę ciebie. Kapujesz?

– No tak. Ale dlaczego?

– Bo drzwi wyobraźni są zamknięte i...

– Nie o to mi chodzi. Pytam, do czego ci potrzebny taki gabinet? Czemu po prostu nie usiądziesz sobie na tym krześle?

– Bo chcę być sam. Musimy się umówić, że cokolwiek będę robił w tym gabinecie wyobraźni, ty tego nie będziesz widzieć. Nie możesz komentować ani rozwódzić się nad tym, ani...

– O rany! A co takiego chcesz tam robić? – Uśmiechnęła się i wykonała wulgarny gest chochłą. – No wiesz.

Ale on chciał tylko oddawać się mniej intymnym i przyjemnym zajęciom: snom na jawie, chociaż nie określiłby tego w ten sposób. Pragnął tylko długo i nieprzytomnie błądzić myślami i przeanalizować w tym czasie stan swojej duszy: dodać dwa do dwóch i być może zanotować wynik, przygotował nawet ołówki i czyste kartki papieru. Zdawał sobie jednak sprawę, że przeważnie będzie siedział, okręcał włosy wokół palca, zaciskał zęby, drapał się, próbował złapać uciekające urywki swoich wizji, mamrotał w kółko tę samą niedokończoną linijkę wiersza i zachowywał się, delikatnie mówiąc, jak niegroźny dziwak. Może również czytać gazety.

– Będziesz myśleć i czytać, i pisać, ha – stwierdziła Sylvie z emfazą.

– No wiesz, czasem muszę być sam...

Gładziła go po policzku.

– Żeby myśleć, czytać i pisać. W porządku, kotku. – Cofnęła się, obserwując go z zainteresowaniem.

– Idę teraz do swojego gabinetu – powiedział Auberon, czując się jak skończony głupiec.

– Okay, cześć.

– Zamykam drzwi.

Pomachała mu chochłą. Zaczęła coś mówić, ale on wznosił tylko oczy do góry, więc wróciła do kuchni.

Auberon oparł policzek na dłoni i wpatrywał się w nierówną powierzchnię blatu. Ktoś wyskrobał na nim brzydki wyraz, a ktoś inny, zgorszony, pedantycznie zamienił to słowo na DOBA, pisane dużymi literami.

Prawdopodobnie zrobił to ostrzem cyrkla. Cyrklem i kątomierzem. Kiedy Auberon zaczynał naukę w małej szkółce swojego ojca, dziadek dał mu stary piórnik ze skóry z zamkiem na zatrzaski. W skórze były powycinane dziwne wzory, między innymi naga kobieta. Można było przesunąć palcem po jej stylizowanych piersiach i dotknąć skórzanych guziczków – jej sutków. W piórniku znalazł ołówki w niegustownych różowych kapeluszach służących jako gumki do mazania. Gdy się ściągnęło kapelusze, widoczny był nagi koniec ołówka. Była tam też romboidalna gumka złożona z dwóch połówek: jedna – do wymazywania ołówka, a druga – atramentu, który ścierała razem z papierem; czarne pióro z korkową końcówką, podobne do papierosa ciotki Cloud, i blaszane pudełko ze stalówkami. Był tam też cyrkiel i kątomierz. Podzielił kąt na dwie równe części. Ale nigdy na trzy. Poruszał palcami tak, jakby wykreślał coś nieistniejącym cyrkle. Kiedy mały, żółty ołówek wypisał się, cyrkiel był bezużyteczny. Auberon mógłby napisać opowiadanie o tych długich,

majowych popołudniach spędzanych w szkole, gdy na zewnątrz rosły już malwy, a dzika winorośl wpełzała przez otwarte okna: zapach dworu. Pudełko na ołówki. Matka Zachodnia Wichura i Małe Podmuchy. Popołudnia z kątomierzem... Mógłby zatytułować to opowiadanie *Kątomierz*.

– Kątomierz – powiedział na głos i rzucił okiem na Sylvie, żeby sprawdzić, czy to usłyszała.

Zerkała na niego ukradkiem. Przyłapał ją na tym. Szybko odwróciła wzrok i zajęła się swoją robotą, udając obojętność.

Kątomierz, kątomierz... Stukał palcami o blat. Co ona tam właściwie robi? Parzy kawę? Zagotowała duży kociołek wody i wrzucała teraz do niego niefrasobliwie kolejne garści kawy, prosto z torebki. Na koniec dorzuciła też fusy, które zostały od rana. Intensywny zapach kawy wypełniał pokój.

– Wiesz, co powinieneś zrobić? – powiedziała, mieszając w kociołku. – Powinieneś postarać się o pracę scenarzysty w serialu *Inny świat*. Schodzi na psy.

– Ja... – zaczął mówić, ale potem odwrócił się ostentacyjnie.

– Ha, ha – tłumiała śmiech.

George twierdził, że te scenariusze powstają na Zachodnim Wybrzeżu. Ale skąd to właściwie wiedział? Prawdziwa trudność polegała na tym, że na podstawie opowieści Sylvie, która streszczała mu kolejne odcinki, Auberon doszedł do wniosku, iż nie potrafiłby wymyślić tak absurdalnych, w jego przekonaniu, wydarzeń. Jednak istniał na pewno jakiś związek między strasznymi nieszczęściami, wielkimi cierpieniami, wypadkami i nagłymi szczęśliwymi odmianami losu, o których opowiadał serial, a prawdziwym życiem. Cóż on wiedział o życiu, o ludziach? Może większość z nich była właśnie taka, jak pokazywano w serialu: uparta, chorobliwie ambitna, mściwa, chciwa, folgująca własnym żądzom i namiętnościom? Opisywanie życia i ludzi nie jest jego mocną stroną jako pisarza. Jego mocną stroną jest...

– Puk, puk – powiedziała Sylvie, stając przed nim.

– Tak?

– Mogę wejść?

– Tak.

– Nie wiesz, gdzie jest mój biały kostium?

– Może w szafce?

Otworzyła drzwi do toalety. Przymocowali na drzwiach tego małego pomieszczenia wieszak na odzież, na którym wisiała większość ich garderoby.

– Zajrzyj pod mój płaszcz – radził.

Wisiał tam biały bawełniany kostium, składający się z żakietu i spódnicy, który w rzeczywistości był starym uniformem pielęgniarki z naszywką identyfikacyjną na rękawie. Sylvie przerobiła go pomysłowo na kostium, który prezentował się wprawdzie szykownie, ale

był niestarannie wykończony. Miała dobry gust, lecz brakowało jej umiejętności. Żałował nie po raz pierwszy, że nie może dać jej tysięcy, które przepuściłaby na siebie – z radością by to obserwował.

Obrzuciła kostium krytycznym spojrzeniem.

– Kawa ci się wygotuje – zauważył.

– Co? – Odpruwała numer identyfikacyjny za pomocą małych nożyczek, przypominających kształtem długi dziób. – O rany! – Popędziła do kuchni zgasić gaz. Potem wróciła do przerwanej zajęcia. Auberon zamknął się znowu w swoim gabinecie. Jego mocną stroną jako pisarza jest...

– Szkoda, że nie umiem pisać – powiedziała Sylvie.

– Może umiesz – zauważył Auberon. – Założę się, że dobrze by ci to szło. No naprawdę.

Prychnęła z pogardą, słysząc tę opinię.

– Na pewno byś umiała. – Wiedział z niezbitą pewnością, jaką daje miłość, że nie było prawie rzeczy, których Sylvie nie potrafiłaby robić i które nie byłyby warte tego, by się nimi zajęła. – Co byś napisała?

– Na pewno umiałabym wymyślić coś lepszego niż to, co pokazują w *Innym świecie*. – Przeniosła parujący kociołek kawy bliżej wanny (jak we wszystkich starych kamienicach pękata wanna stała bez żenady na środku kuchni) i zaczęła precedzać ciec przez materiał do jeszcze większego kotła ustawionego w wannie. – To nie jest wzruszające, wiesz? Nie trafia do serca. – Zaczęła się rozbierać.

– Czy możesz mi łaskawie wyjaśnić – powiedział Auberon, opuszczając gabinet wyobraźni, który i tak na nic się nie zdał – co, u licha, robisz?

– Farbuję – odparła ze spokojem. Była bez koszuli, a jej krągłe, pełne piersi kołysały się delikatnym wahadłowym ruchem w rytm jej poruszeń. Wzięła obie części kostiumu, przyjrzała im się po raz ostatni i wrzuciła do kotła z kawą. Auberon pojął wreszcie, co robi, i roześmiał się.

– Ma być beżowe – powiedziała Sylvie, źle wymawiając słowo „beżowe”.

Wzięła z suszarki nad zlewem mały płócienny odcedzacz (*el colador* – chłopiec), przypominający kształtem skarpetkę, którego używała do parzenia mocnej hiszpańskiej kawy, i pokazała mu, o jaki kolor jej chodzi. Odcedzacz nabrał soczystej brązowej barwy, która zawsze podobała się Auberonowi. Sylvie zaczęła mieszać w kotle chochlą na długim uchwycie.

– Chcę, żeby wyszło trochę jaśniejsze niż ja. O dwa tony – powiedziała. – Jak kawa z mlekiem.

– Ładny kolor – zauważył.

Kawa przysnęła na jej brązową skórę. Wytarła ją i oblizwała palce. Trzymając łyżkę w obu dłoniach, wyciągnęła kostium z kotła. Jej piersi naprężyły się w tym momencie. Obejrzała swoje dzieło. Kostium miał głęboki brązowy kolor, ciemniejszy niż jej skóra, ale po

wyschnięciu zrobi się jaśniejszy (Auberon niemal widział, o czym dziewczyna myśli). Znowu zanurzyła go w kawie, jednym palcem wsuwając pod chusteczkę lok, który się wysunął, i zamieszała. Auberon nigdy nie wiedział, czy kocha ją bardziej, kiedy poświęca mu całą uwagę, czy też wtedy, gdy skupia się bez reszty na jakimś zajęciu, tak jak teraz. Nie mógł napisać opowiadania o niej, ponieważ składałoby się tylko z wyliczenia jej czynności, minuta po minucie. Ale z drugiej strony nie pragnął w gruncie rzeczy pisać o niczym innym. Stał w drzwiach małej kuchni.

– Mam pomysł – powiedział. – Zawsze potrzebni są scenarzyści tych mydlanych oper – stwierdził z przekonaniem. – Moglibyśmy wspólnie pracować.

– Co?

– Wymyślisz jakieś zdarzenia, które będą pasowały do serialu, dalszy ciąg tego, co się teraz dzieje, tylko lepiej niż oni, a ja to napiszę.

– Mówisz serio? – zapytała z powątpiewaniem, ale i z zainteresowaniem.

– Ja napiszę słowa, a ty wymyślisz jakąś historię. – Podeszedł bliżej. Dziwne, ale miał chęć uwieść ją za pomocą tej propozycji. Zastanawiał się, jak długo kochankowie muszą być kochankami, żeby mogli zaprzestać wymyślania podstępnych sposobów uwiedzenia partnera. Czy nigdy to się nie kończy? Może nigdy. Być może pokusa maleje, czar pryska. A może właśnie na odwrót. Skąd miał to wiedzieć?

– Zgoda – powiedziała, podejmując szybko decyzję. – Ale – dodała z tajemniczym uśmiechem – mogę nie mieć za wiele czasu, bo idę na rozmowę w sprawie pracy.

– To wspaniale.

– Właśnie dlatego farbuję ten kostium.

– To świetnie. Jaka to praca?

– Nie chciałam ci nic mówić, bo jeszcze na pewno nie wiem. Teraz idę tylko na rozmowę. To praca w filmie – roześmiała się, zdając sobie sprawę z absurdalności własnych słów.

– Będziesz gwiazdą?

– Nie od razu. Nie od pierwszego dnia. Może później. – Przesunęła mokrą brązową masę w jeden koniec wanny. Wylała zimną kawę.

– Spotkałam producenta, kogoś w tym rodzaju. Producenta czy reżysera... Szuka asystentki. Ale nie sekretarki.

– Ach tak? – Gdzie ona spotyka producentów i reżyserów, w dodatku nie mówiąc mu o tym ani słowa?

– To praca sekretarki planu czy asystentki, coś w tym rodzaju.

– Aha. – Na pewno Sylvie, bardziej wyczulona na te sprawy niż on, zorientowała się, czy to była rzetelna propozycja czy tylko próba upolowania ofiary. Cała sprawa wydawała mu się mocno niepewna, ale nic nie powiedział.

– Więc – dodała, puszczając silny strumień zimnej wody na brązowy kostium – muszę ładnie wyglądać, kiedy pójdę się z nim spotkać, jak najlepiej...

– Zawsze ładnie wyglądasz.
– No nie wiem.
– Uważam, że wyglądasz teraz bardzo ładnie.
Posłała mu najszybszy i najbardziej promienny ze swoich uśmiechów.
– Więc oboje będziemy sławni.
– Jasne – powiedział, podchodząc bliżej. – I bogaci. A ty będziesz wiedziała wszystko o kinie. I stworzymy zespół. – Okrążył ją. – Czy możemy się zespolic?
– Och. Muszę to skończyć.
– Okay.
– To chwilkę potrwa.
– Poczekam. Popatrzę sobie.
– Och, *papo*, wprawiasz mnie w zakłopotanie.
– Mmm. Lubię to. – Pocałował ją w szyję, wdychając słodki zapach jej potu. Pozwoliła mu na to, wyciągając mokre ręce ponad wanną.
– Przygotuję łóżko – powiedział cicho, głosem obiecującym rozkosz.
– Dobrze. – Patrzyła, jak ścieli łóżko. Trzymała ręce w wodzie, ale nie mogła już się skupić na swojej pracy. Łóżko wtargnęło nagle do pokoju niczym dziób frachtowca, który przedarł się przez ścianę, wpłynął do portu i zacumował, czekając na pasażerów.

A jednak wiosna

Sylvie nie poszła w końcu na spotkanie w sprawie pracy w filmie. Być może dlatego, że nie miała pewności, czy jej producent był naprawdę producentem, a może także przez to, że po tygodniu fałszywa wiosna zmieniła się znowu w zimny marzec, który wychynął z powrotem jak groźny stwór, mroząc krew w żyłach. A może powodem było to, że przefarbowany kostium niezbyt jej się podobał. Przyłgął do niego zapach stęchłej kawy, który nie dawał się usunąć pomimo wielokrotnego płukania.

Auberon zachęcał ją, kupił nawet książkę o filmie, ale Sylvie ogarnęło jeszcze większe przygnębienie. Świetlane wizje przygasły, a ona pogrzyżyła się w apatii. Wylegiwała się do późnych godzin w łóżku pod wieloma warstwami zmietoszonej pościeli. Na samym wierzchu kładła jeszcze zimowy płaszcz Auberon. A kiedy wreszcie wstawiała, kręciła się bezmyślnie po małym mieszkaniu w luźnym swetrze zarzuconym na nocną koszulę i w grubych skarpetkach. Otwierała lodówkę i gapiła się ze złością na opakowanie spleśniałego jogurtu, na nieokreślone resztki jedzenia zawinięte w folię i na wodę sodową bez bąbelków.

– *Cono*.
– Taak? Co ty powiesz? – odparł z ironią z gabinetu wyobraźni. – Chyba jest zepsuta. – Wstał i sięgnął po płaszcz. – Co ci kupić? – zapytał. – Idę do sklepu.
– Nie, *papo*...
– Ja też muszę coś jeść, no nie? A skoro w lodówce nic nie ma...

– Zgoda. Kup coś dobrego.

– Ale co? Mogę przynieść płatki...

Skrzywiła się.

– Coś dobrego – powiedziała, wykonując rękami gest, który miał zapewne wyrazić jej pragnienia, ale nie pomógł mu ani trochę.

Wyszedł na sypiący ciągle śnieg.

Gdy tylko zamknęła za nim drzwi, ogarnęła ją kolejna fala przygnębienia. Była zdumiona tym, że chociaż wychowywał się jako najmłodszy syn w domu pełnym kobiet, był tak bezgranicznie oddany, przejmował na siebie większą część codziennych obowiązków i nigdy nie marudził. W rodzinach jej krewnych i sąsiadów głównym zajęciem domowym męża było jedzenie, picie i gra w domino. Auberon był taki dobry. Taki wyrozumiały. I inteligentny: nie przerażał go oficjalny język i urzędowe sformułowania niekończących się pism z opieki społecznej.

I nie był zazdrosny. Gdy napaliła się kiedyś na słodkiego, czekoladowego Leona, który czekał w Barze Siódmego Świętego, i trochę sobie pofolgowała, a potem leżała co noc obok Auberona, dręczona wyrzutami sumienia i strachem, aż nie wydusił z niej całej prawdy, powiedział tylko, że nie obchodzi go, co robi z innymi, dopóki jest z nim szczęśliwa. Ilu jest facetów, skierowała pytanie do swojego odbicia w zmętniałym lustrze nad zlewem, którzy by tak postąpili?

Taki dobry. Taki życzliwy i miły. I jak mu za to odpłacała? Spójrz na siebie, zażądała. Wory pod oczami. Każdego dnia tracisz na wadze, już niedługo – podniosła ostrzegawczo mały palec – będziesz taka. *Flacca*. I gówno do domu przynosisz, na nic się nie przydajesz, *un'boba*.

Będzie pracować. Będzie ciężko pracować i wynagrodzi mu wszystko, odwdzięczy się za to, co dla niej zrobił, za całą nieprzebraną dobroć. Rzuci mu to prosto w twarz. Masz.

– Będę myła te pieprzone naczynia – powiedziała na głos, odwracając się tyłem do brudnego, przeładowanego zlewu. – Zmienię nawyki...

Czy właśnie to było jej przeznaczeniem? Ze skwaszoną miną, rozcierając ramiona pokryte gęsią skórką, chodziła od łóżka do pieca, jak w więzieniu. To, co miało przynieść jej oswobodzenie, spętało ją, była zmuszona czekać na to w nędzy, borykać się z codziennym życiem bez perspektyw, z dnia na dzień. Nie była to tak beznadziejna nędza jak w dzieciństwie, ale jednak nędza. Obrzydło mi to, obrzydło, obrzydło! Z żalu nad samą sobą łzy napłynęły jej do oczu. Do diabła z przeznaczeniem, dlaczego nie mogła go przehandlować za odrobinę przyzwoitego życia, odrobinę wolności i rozrywki? Jeśli nie była w stanie odrzucić przeznaczenia, to dlaczego nie dostała przynajmniej czegoś w zamian?

Poddając się tym czarnym myślom, wlaźła z powrotem do łóżka i naciągnęła kołdrę. Wpatrywała się oskarżycielskim wzrokiem w przestrzeń. Jej ciemne, uśpione, dalekie przeznaczenie było nieodwołalne, tyle już wiedziała. Ale miała dość tego czekania. Nie

potrafiła nawet w przybliżeniu określić, co przyniesie jej los. Wiedziała tylko, że na pewno należy do niego Auberon (ale nie ta nędza i nawet nie ten Auberon). Wkrótce to odkryje. Wkrótce.

– *Bueno* – powiedziała. – W porządku. – I zakładając ręce pod kołdrą, powzięła mocne postanowienie. Dowie się, co jest jej przeznaczeniem, i albo zacznie je wypełniać, albo umrze. Zmobilizuje całą siłę i przyspieszy jego spełnienie, wywlecze je z przyszłości, gdzie spokojnie spoczywa.

Tymczasem Auberon przedzierał się przez śnieg na rynek Nite Owl (zdziwiło go, że jest niedziela i wszystkie inne sklepy są zamknięte, po co biedakom weekendy?). Jego stopy jako pierwsze naruszyły świeży i dziewiczy śnieg, zapoczątkowując długi proces pohańbienia, trwający dopóty, dopóki biały śnieg nie zmieni się w brudną, czarną breję.

Był zły. A właściwie wściekły. Chociaż wychodząc, pocałował delikatnie Sylvie i pocałuje ją znowu za dziesięć minut, gdy wróci. I robi to równie delikatnie. Dlaczego nigdy nie wyraziła uznania, że jest taki zrównoważony, że ma tyle pogody ducha? Czy myśli, że łatwo jest udawać taki nastrój, łatwo ukrywać święte oburzenie i uprzejmie odpowiadać? Czasem miał ochotę ją uderzyć. Walnąć ją solidnie pięścią, utemperować trochę, pokazać, na jaką próbę wystawia jego cierpliwość. O Boże, jak może tak myśleć?

Szczęście, a w każdym razie jego szczęście, było zmienne jak pory roku, a Sylvie przypominała kapryśną pogodę. W jego wnętrzu toczyły się długie rozmowy na ten temat, ale nie mógł nic poradzić, można było tylko czekać, aż zmieni się aura. Porą jego szczęścia była wiosna, długa, kapryśna, zmienna wiosna, cofająca się, powracająca, ale jednak wiosna. Co do tego nie miał wątpliwości. Kopnął mokry śnieg.

Kręcił się po rynku Nite Owl, nie wiedząc, co wybrać z nielicznych i drogich towarów. Rynek, jak wiele podobnych miejsc, egzystował tylko dzięki temu, że był otwarty w niedziele i do późnej nocy. Kiedy Auberon wreszcie się zdecydował (na dwa rodzaje egzotycznych soków, które lubiła Sylvie, żeby wynagrodzić jej własne złe myśli) i wyciągnął portfel, nic w nim nie znalazł. Powinien z niego wylecieć ospały mól, jak w starym kawale. Gmerał w kieszeniach na oczach sprzedawcy (jego osąd był druzgocący) i w końcu wyskrobał pewną sumkę w srebrnych, przykurzonych centach, ale musiał zrezygnować z soku.

– A to co znowu – powiedział, kiedy w kapeluszu i płaszczu obsypanym śniegiem wszedł do pokoju i zastał Sylvie znowu w łóżku. – Mała drzemka?

– Odczep się – powiedziała. – Myślę.

– Myślisz, aha. – Zaniósł do kuchni przemoczoną papierową torbę i krzątał się przez chwilę, przygotowując zupę i krakersy, ale Sylvie i tak nie chciała niczego tknąć. Przez resztę dnia nie zdołał wycisnąć z niej ani słowa i zaczął się niepokoić, rozmyślając o ich rodzinnej skłonności do szaleństwa. Przemawiał do niej słodkim, uprzejmym głosem, a jej łaknąca samotności dusza uciekała przed tymi słowami jak przed ciosami noża.

Siedział więc tylko (ponieważ łóżko było przez cały czas rozstawione i zajęte, musiał

przenieść swój gabinet wyobraźni do kuchni) i zastanawiał się, jak mógłby ją rozpieszczać, myślał też o jej niewdzięczności. Sylvie zaś kręciła się w łóżku, czasem spała.

Zima wróciła na dobre. Czarne chmury zebrały się nad ich głowami, błyskawica za błyskawicą przecinała niebo, wiał północny wiatr i padał zimny deszcz.

Niech idzie za głosem serca

– Nie dawaj się – powiedziała pani Underhill. – Nie dawaj się. Gdzieś tutaj popełniono błąd, coś zostało przeoczone. Nie odnosicie takiego wrażenia?

– Tak – odpowiedzieli zgromadzeni.

– Nadeszła zima – stwierdziła pani Underhill. – Tak miało być i wtedy...

– Wiosna! – krzyknęli wszyscy.

– Za szybko, za szybko. – Stukała knykciami w skroń. Można złapać spuszczone oczko, jeśli się je znajdzie. Rozwikłanie tego leży w jej mocy. Tylko gdzie, w którym miejscu tej długiej drogi, nastąpiła pomyłka? Co się zdarzyło? Rzuciła okiem na niezmierną długość Opowieści, która rozwijała się do momentu tego, co ma przyjść, jak drogocenny i zmierzający do wytkniętego celu wąż. A może miało się dopiero zdarzyć?

– Pomóżcie mi, dzieci – poprosiła.

– Pomożemy – odparł chór złożony z wielu głosów.

Problem polegał na tym, że gdyby to, co chcieli odszukać, kryło się w tym, co miało nadejść, to znaleźliby to bez kłopotu. Natomiast trudno im było zapamiętać wszystko, co już się zdarzyło. Tak to właśnie jest z istotami nieśmiertelnymi albo prawie nieśmiertelnymi. Znają przyszłość, ale przeszłość jest dla nich okryta głębokim cieniem. Za obecnym rokiem otwierają się drzwi do wszystkich minionych wieków: ponura przestrzeń oświetlona nikłymi światełkami. Tak jak Sophie z pomocą kart próbowała przeniknąć nieznaną przyszłość, naciskając cieniutką błonkę, jaka ją od niej oddzielała, sondując tu i tam, aby wyczuć kształt nadchodzących zdarzeń, tak pani Underhill błędziła po omacku wśród rzeczy, które już się stały, próbując odkryć, gdzie popełniono błąd.

– Był jedynym synem – powiedziała.

– Jedynym synem – powtórzyli jak echo, głęboko myśląc.

– I przybył do Miasta.

– I przybył do Miasta – zawtórowali.

– I siedzi tam – wtrącił pan Woods.

– W tym rzecz, prawda – zauważyła pani Underhill. – Siedzi tam.

– Nie ruszy się stamtąd, nie wypełni swoich obowiązków, woli umrzeć z miłości. – Pan Woods splótł drugie ręce na kościstym kolanie. – Może być tak, że ta zima będzie trwać i trwać, i nigdy się nie skończy.

– Nigdy się nie skończy – powtórzyła pani Underhill ze łąką w oku. – Tak, tak, tak to właśnie wygląda.

– Nie, nie – powiedzieli wszyscy, widząc to w ten sam sposób.

Lodowaty deszcz stukał w głęboko osadzone okienka, zawodząc żałobnie, gałęzie drzew smagał nieprzejednany wiatr. Polna Myszka drżała w pysku zrozpaczonego Rudego Lisa.

– Pomyśl, pomyśl – powiedzieli.

Znowu postukała się w skroń, ale nie uzyskała odpowiedzi. Wstała, wszyscy uciekli.

– Muszę się udać po radę. To wszystko – stwierdziła.

Ciemne wody górskiego stawu nie były zamrożone, chociaż postrzępione kawałki lodu, jak pokruszone kamienie, zgromadziły się przy brzegu. Na jednym z takich kawałków lodu stała pani Underhill, przesyłając w głąb wody swe wezwanie.

Dziadek Pstrąg, zaspany, otępiały i zbyt przemarznięty, żeby się złościć, wypłynął z ciemnej głębin.

– Daj mi spokój – powiedział.

– Odpowiedz – rzekła ostro pani Underhill – albo będzie z tobą źle.

– O co chodzi? – zapytał.

– To dziecko w Mieście – zaczęła. – Twój prawnuk. Nie ruszy się, nie wypełni swoich obowiązków, woli umrzeć z miłości.

– Miłość – zauważył dziadek Pstrąg. – Nie ma na ziemi większej potęgi niż miłość.

– Nie pójdzie za innymi.

– Więc niech idzie za głosem serca.

– Hm – powiedziała pani Underhill i powtórzyła: – Hm. – Przyłożyła kciuk do brody, a palec wskazujący do policzka i oparła łokieć na wewnętrznej stronie drugiej dłoni. – Może powinien mieć małżonkę – rzekła.

– Tak – zgodził się Dziadek Pstrąg.

– Żeby niepokoiła go i podtrzymywała jego zainteresowanie.

– Tak.

– Człowiek nie powinien być samotny.

– Nie – powiedział Dziadek Pstrąg, ale trudno byłoby orzec, czy wyrażał w ten sposób aprobatę czy sprzeciw, jako że słowa płynęły z rybich ust. – Pozwól mi spać.

– Tak! – zawołała. – Tak, oczywiście, małżonka! Czemu mi to nie przyszło do głowy? Oczywiście! – Z każdym słowem coraz bardziej podnosiła głos. Dziadek Pstrąg, zatrwożony, zanurzył się szybko. Nawet postrzępiony lód topił się centymetr po centymetrze pod stopami pani Underhill, gdy krzyczała z siłą grzmotu: – Tak!

– Miłość – powiedziała do pozostałych. – Nie w tym, co było, nie w tym, co będzie, ale w tym, co jest!

– Miłość! – krzyknęli wszyscy. Pani Underhill otworzyła gwałtownie garbaty kufer z okuciami z ciemnego żelaza i zaczęła w nim szperać. Znalazła to, czego szukała, zgrabnie zawinęła w biały papier, przewiązała czerwono-białym sznurkiem, starannie zawoskowała jego końce, żeby się nie rozplatał, wzięła do ręki pióro i atrament i wykorzystując zgarbione

plecy pana Woodsa jako pulpit, napisała adres na karteczce. Wszystko to stało się, nim zdążyła pomyśleć, co robi.

– Niech idzie za głosem miłości – powiedziała, kiedy paczuszka była gotowa. – Przyjdzie – postawiła kropkę nad „i”, chcąc nie chcąc.

– Aaach – westchnęli wszyscy i zaczęli się oddalać, rozmawiając przyciszonymi głosami.

– Nie uwierzysz, co się stało – powiedziała Sylvie do Auberona, wpadając jak burza do pokoju. – Mam pracę.

Nie było jej w domu cały dzień. Policzki miała zarumienione od marcowego wiatru, oczy jej błyszczały.

– Hej – zaśmiał się zdziwiony, ale zadowolony. – Twoje przeznaczenie?

– Do diabła z przeznaczeniem – powiedziała. Zerwała z wieszaka kostium pofarbowany kawą i wrzuciła go do kubła na śmieci. – Żadnych wykrętów więcej – dodała, zzuła buty robocze, rzuciła je na podłogę, zdjęła luźny sweter i szalik. – Muszę się ciepło ubrać. Jutro zaczynam. Żadnych wykrętów więcej.

– To dobry dzień – zauważył Auberon. – Prima aprilis.

– Idealny – zgodziła się. – Mój szczęśliwy dzień.

Roześmiał się, podnosząc ją z podłogi. Nadszedł kwiecień. Będąc w jego ramionach, odczuwała ulgę, że uniknęła niebezpieczeństwa, a jednocześnie strach, bo wciąż dręczyło ją przeczucie, że zdarzy się coś złego. Łzy napłynęły jej do oczu. Tak bezpiecznie czuła się w jego ramionach, ale zdawała sobie sprawę z nietrwałości tego schronienia.

– *Papo* – powiedziała. – Jesteś najwspanialszy, wiesz? Naprawdę, naprawdę.

– Ale powiedz mi – poprosił – co to za praca?

Uśmiechnęła się szeroko i przytuliła do niego.

– Nigdy w to nie uwierzysz – odparła.

IV

*Zdaje mi się, że dla prawdziwej wiary
nie dość nieprawdopodobieństw w religii.*

Sir Thomas Browne

W niewielkim biurze „Skrzydlatego Posłańca” znajdowała się lada, za którą siedział dyspozytor żujący bez przerwy niezapalone cygaro. Włączał i wyłączał najstarszy PBX na świecie i wydierał się do mikrofonu. W biurze był też rząd szarych, metalowych, składanych krzeseł. Siadywali na nich gońcy, którzy nie mieli akurat żadnych zleceń. Niektórzy z nich wydawali się spokojni i bez życia, jak wyłączone z prądu urządzenia, inni byli zajęci rozmową (jak Fred Savage i Sylvie). Stał tam również duży, staroświecki telewizor, na stałe przymocowany łańcuchem do platformy (gdy Sylvie nie biegła załatwić zlecenia, oglądała kolejne odcinki *Innego świata*). Obrazu biura dopełniały popielnice pełne niedopałków, ozdobnie karbowany, brązowy zegar, kantorek na tyłach, w którym siedział szef, jego sekretarka oraz sprzedawca pracujący w dziwnych godzinach – życzliwy, ale o niezdrowym wyglądzie. Wejścia broniły metalowe drzwi ze sztabą. Nie było ani jednego okna.

Więcej by się działo

Sylvie niezbyt lubiła to miejsce. W swym nagim, kłującym w oczy, pozbawionym retuszu ubóstwie przypominało jej wiele miejsc, które poznała w dzieciństwie: poczekalnie państwowych szpitali i przytułków, biura opieki społecznej, posterunki policji. Wszędzie tam przewijały się tłumy nędznie odzianych postaci. Ludzie przychodzili i wychodzili, ciągle zastępowały ich rzesze innych. Na szczęście nie musiała spędzać w biurze wiele czasu. W „Skrzydlatym Posłańcu” zawsze było mnóstwo pracy. Na zewnątrz, na zimnych, wiosennych ulicach, ubrana w gruby sweter z kapturem i ciężkie buty (powiedziała Auberonowi, że wygląda w tym stroju jak młodociana lesbijka) z radością mieszała się z tłumem. Wpadała na pocztę i do sekretarek (wyniosłych, szorstkich, zmanierowanych, zaniedbanych, ale uprzejmych), którym przekazywała przesyłki i od których odbierała zlecenia. „Skrzydlaty Posłaniec” – krzyczała z daleka, nie mając ani chwili do stracenia. – Proszę tu podpisać. I

ruszała w dalszą drogę. Wsiadała do windy, w której jechali dobrze ubrani mężczyźni spieszący się na lunch albo też rozgadani, poklepujący się faceci wracający z posiłku. Chociaż nigdy nie poznała śródmieścia tak dobrze jak Fred Savage (znał każde przejście podziemne, każdy pasaż, każdy budynek, który wychodził frontem na jedną ulicę, a tyłem na drugą, dzięki czemu można było oszczędzić szmat drogi), orientowała się z grubsza i szybko odkryła skróty. Krążyła po mieście, dumna, że tak bezbłędnie skręca w lewo, w prawo i nie myli kierunków.

Pewnego dnia na początku maja, który zaczął się deszczowo (Fred Savage włożył wtedy kapelusz filcowy z wielkim rondem, owinięty w folię) siedziała niecierpliwie na brzeżku krzesła, zakładając raz lewą nogę na prawą, raz odwrotnie. Oglądała *Inny świat* i czekała, aż dyspozytor wywoła jej imię.

– Ten facet – wyjaśniała Fredowi – to ten, co uważał, że jest ojcem dziecka, którego prawdziwym ojcem był inny facet, który rozwiódł się z żoną, bo zakochał się w dziewczynie, która przejechała dziecko, które zostało sparaliżowane, to, które mieszkało w domu, który ten facet zbudował.

– Mhm – mruknął Fred. Sylvie nie odrywała oczu od ekranu, uważnie śledząc akcję, a Fred wpatrywał się wyłącznie w nią.

– To ten – powiedziała, kiedy na ekranie pojawił się gładko przyczesany mężczyzna, który sącząc kawę, przez długą chwilę przyglądał się w milczeniu listowi zaadresowanemu do innej osoby. Najwyraźniej nie mógł się zdecydować, czy ma ten list otworzyć, czy nie. Sylvie powiedziała Fredowi, że zмага się z tą pokusą już od końca kwietnia.

– Gdybym ja to pisała – oznajmiła – więcej by się działo.

– Jasne, że tak – zgodził się Fred.

– Sylvie – zawołał nagle dyspozytor.

Skoczyła na równe nogi, chociaż nie spuszczała oczu z ekranu. Wzięła od dyspozytora świstek papieru i zaczęła zbierać się do drogi.

– Czołem – powiedziała do Freda i do milczącego osobnika w kapeluszu i płaszczu, który siedział na samym końcu rzędu krzeseł.

– Więcej by się działo, mhm – powiedział Fred, który nadal patrzył tylko na Sylvie. – Założę się, że tak.

Przesyłka

Wezwanie nadeszło z apartamentu mieszczącego się w wysokim hotelu ze szkła i stali, który sprawiał wrażenie zimnego, wręcz ponurego. Ożywiały go nienaturalnie kolorowe, tropikalne rośliny w holu, angielska jadłodajnia i bezustanna krzątanka. Sylvie jechała na górę windą, która była wyłożona grubym dywanem. Przygrywała bliżej nieokreślona muzyczka. Na trzynastym piętrze drzwi windy rozsunęły się i Sylvie powiedziała „Aaa!” ze zdumieniem, ponieważ z powiększonego zdjęcia wpatrywała się w nią wielka twarz Russella

Eigenblicka: krzaczaste brwi nad jasnymi oczami, ruda broda pokrywająca niemal całe policzki aż do oczu, mina człowieka wszystkowiedzącego, surowego i uprzejmego. W apartamencie głośno grało radio.

Spojrzała w głąb długiego korytarza wyłożonego pluszowym dywanem. Zamiast sekretarki w apartamencie znajdowało się czterech czy pięciu młodych facetów, czarnych z Puerto Rico, którzy tanecznym krokiem okrążali palisandrowe biurko i popijali coca-colę. Ci, którzy nie mieli na sobie wojskowych mundurów, nosili luźne, jasne koszule i kolorowe marynarki – insygnia oddziałów Eigenblicka.

– Cześć – powiedziała Sylvie już bez skrępowania. – Jestem ze „Skrzydłatego Posłańca”.

– Sprawdź posłańca.

– No wiesz...

Jeden z tancerzy podszedł do niej dumnym krokiem, pozostali roześmiali się. Sylvie zrobiła parę tanecznych kroków razem z nim. Inny mężczyzna podszedł z ważną miną do interkomu:

– Przyszedł goniec. Mamy coś do wysłania?

– Słuchaj no – powiedziała Sylvie. – Co to za facet? – wskazała kciukiem na ogromny portret. – Po co tu wisi?

Niektórzy roześmiali się, jeden patrzył z niezachwianą powagą; tancerz stanął jak wryty, zdumiony jej ignorancją.

– O rany – powiedział. – O rany...

Przyłożył prawy palec wskazujący do lewej dłoni i właśnie miał jej to wyjaśnić (słodki – oceniła go Sylvie – muskularny, swojak), gdy podwójne drzwi za ich plecami otworzyły się. Sylvie dostrzegła przelotnie wielkie pokoje umeblowane z przepychem. Wszedł z nich biały mężczyzna z krótko przyciętymi blond włosami. Oszczędnym gestem nakazał ściszyć radio. Młodzi mężczyźni zbili się w gromadkę, przybierając postawę obronną. Robili wrażenie nieustępliwych, ale ostrożnych. Blondyn uniósł podbródek i brwi i wpatrywał się pytającym wzrokiem w Sylvie, zbyt ważny, żeby się odezwać.

– Jestem ze „Skrzydłatego Posłańca”.

Przypatrywał się jej z namysłem przez długą chwilę, niemal bezczelnie. Był wyższy od pozostałych o dobrych pięć cali, a od Sylvie nawet o więcej. Założyła więc ręce, zawiadaczko rozstawiła obute nogi i gapiała się na niego, jakby pytała: „No i co?”. On zaś wrócił do apartamentu, z którego przyszedł.

– O co mu chodzi? – zapytała pozostałych facetów, ale wyglądali na przestraszonych. Blondyn wrócił po chwili z paczką o dziwnym kształcie, przewiązaną staroświeckim, białoczerwonym sznurkiem, jakiego Sylvie nie widziała od lat. Karteczkę zaadresowano drobnym i staroświeckim pismem, prawie nie do odczytania. Była to najdziwniejsza paczka, jaką kazano jej doręczyć.

– Tylko się nie spóźnij – powiedział mężczyzna, a Sylvie zdawało się, że ma nieco

dziwny akcent.

– Nie mam zamiaru. – Nadęty bufon. – Proszę tu podpisać.

Blondyn odsunął się od jej książki, jakby przedmiot ten napawał go odrazą. Przywołał gestem jednego z chłopców i wycofał się do swoich pokojów, zamykając drzwi.

– Rety – powiedziała, gdy przystojniak składał w jej książce podpis z zakreślasem i kropką na końcu. – Pracujecie dla niego?

Zamachali rękami, wyrażając w ten sposób oburzenie, przekorę i rezygnację. Jeden spróbował odegrać małą parodię, a pozostali wybuchnęli przesadnym, ale cichym śmiechem.

– Okay – powiedziała Sylvie, wiedząc, że miejsce, do którego ma jechać, znajduje się na dalekim przedmieściu, spory kawał drogi od biura. – Cześć.

Tancerz odprowadził ją do windy, nawiązując szybki flirt: słuchaj, mógłbym przekazać wiadomość, jeśli coś masz, żadnej wiadomości dla mnie, hej, słuchaj, chcę cię zapytać, nie, mówię poważnie. Pożartowali chwilę (chętnie zostałyby dłużej, ale doręczenie paczki wydawało się pilną sprawą), po czym wsiadła do windy, a on przybrał komiczną pozę, gdy drzwi windy oddzieliły go od niej. Postąpiła parę kroków w windzie, słysząc inną muzykę niż ta, która przygrywała w apartamencie. Już dawno nie tańczyła.

Wujek-tatuś

Jechała na przedmieście, trzymając ręce w kieszeniach swetra, a paczkę pod pachą.

Mogła spytać tych facetów, czy nie znają Bruna. Od jakiegoś czasu nie miała żadnych wieści o swoim bracie. Nie mieszkał z żoną ani matką, tyle wiedziała. Pewnie gdzieś kogoś kantuje... Ale ci faceci nie byli z jednej paczki. Po prostu mieli coś do roboty, zamiast wałęsać się koło domu. Pomyślała o małym Brunie: *pobricito*. Przysięgała sobie przynajmniej raz na tydzień, że wyruszy w długą podróż na Jamajkę i odwiedzi go, zabierze od nich na cały dzień. Nie robiła tego ostatnio tak często, jak zamierzała, w zeszłym miesiącu ani razu, była zbyt zajęta. Odnowiła teraz swoje przyrzeczenie. Wiedziała aż za dobrze, czym kończą się takie zaniedbania i jakie szkody mogą z nich wyniknąć. Sama tego doświadczyła, a przedtem jej matka i Bruno, i jej siostrzeńcy, i siostrzenice. Obsypani miłością i pozostawieni samym sobie, pływasz albo toniesz – co za system! Dzieciaki. I dlaczego sądziła, że potrafi to zrobić inaczej? A jednak uważała, że potrafi. Mogłaby mieć potomstwo z Auberonom. Czasem jej nienarodzone dzieci błagały, żeby sprowadziła je na świat, niemal je widziała, słyszała i nie mogła się bez końca opierać ich prośbom. Dzieci Auberona. Nie mogła lepiej trafić, taki kochany, o dobrym sercu, a przy tym bez wątpienia gorący numer... A jednak... Zbyt często traktował ją samą jak dziecko. No bo czasem tak się zachowywała. Ale dziecko matką... Wujek-tatuś – tak go nazywała, kiedy był w tym ojcowskim nastroju. Ocierał jej łzy. Wytarłby jej tyłek, gdyby go o to poprosiła... Co za podłe myśli!

A gdyby się razem zestarzelili? Jak by to było? Dwoje starych ludzi, pyzaty, ze zmarszczkami wokół oczu i z siwymi włosami, mieliby wspólne doświadczenia i uczucia.

Miła. Chciałaby zobaczyć ten duży dom, poznać każdy jego zakamarek. Ale jego rodzina... Jego matka ma ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, *coñûâ*. Wyobraziła sobie, jak te olbrzymy pochylają się nad nią i patrzą z góry, George mówił, że miła z nich gromadka. Wiele razy zabłądził w tym domu. George był ojcem Lilac, ale Auberon o tym nie wiedział. George wymógł na niej dochowanie sekretu. O co tu chodziło? George wiedział więcej, ale nie chciał nic powiedzieć. A co by się stało, gdyby Auberonowi zginęło jedno z jej dzieci? Biali ludzie. Musiałaby na nich uważać. Sięgałaby im do kolan i musiałaby trzymać się własnych dzieci.

Ale jeśli to wszystko nie było jej przeznaczeniem albo jeśli rzeczywiście wymknęła się swemu losowi, nie przyjęła go, odrzuciła... Jeśli naprawdę tak się stało, to, o dziwo, czekała ją nawet lepsza przyszłość. Wszystko mogłoby się zdarzyć, gdyby uwolniła się od swego przeznaczenia. Nie Auberon, nie Edgewood, nie to miasto. Fantastyczni, nierealni ludzie i zajęcia, fantastyczne miejsca, fantastyczne istoty stłoczone na obrzeżach jej świadomości, uspięnej jednostajnym rytmem pociągu. Wszystko... I długi stół w lesie nakryty białym obrusem, przygotowany do biesiady, i czekający goście, i puste miejsce pośrodku.

Głowa opadła jej nagle na piersi, zakolysała się i Sylvie gwałtownie się ocknęła.

Przeznaczenie, przeznaczenie. Ziewnęła, zasłaniając usta, i spojrzała na swoją dłoń i na srebrny pierścionek. Nosila go od wielu, wielu lat. Czy zejdzie? Obróciła go, pociągnęła. Włożyła palec do ust, żeby go zwilżyć. Pociągnęła mocniej. Nic z tego: ani drgnął. Ale może trzeba delikatnie, tak, jeśli przycisnie go delikatnie od spodu... Srebrne kółko prześlizgnęło się nad dużym knykciem i zeszło z palca. Dziwna światłość pojawiła się na jej palcu i powoli ogarnęła całą jej istotę. Świat, pociąg, wszystko zbladło, stało się nieistotne.

Paczka, która leżała koło niej na siedzeniu, zniknęła.

Sylvie przerażona, zerwała się z miejsca, wsuwając pierścionek z powrotem na palec.

– Hej, hej ty – zawołała głośno, żeby spłoszyć złodzieja, jeśli nadal był w pobliżu. Rzuciła się na środek wagonu, omiatając wzrokiem pozostałych pasażerów. Odpowiedziały jej niewinne i zaciekawione spojrzenia. Zerknęła znowu na swoje miejsce.

Paczka leżała tam, gdzie przedtem.

Usiadła powoli, zdumiona. Położyła rękę z pierścionkiem na gładkim, białym papierze, chcąc upewnić się, że to rzeczywiście ta sama paczka. Tak, chociaż Sylvie miała dziwne, niewytłumaczalne wrażenie, że jest ona teraz nieco większa niż przed chwilą.

Z pewnością była większa. Kiedy Sylvie znalazła się na ulicy, podmuchy wiatru przegoniły już deszczowe chmury. Nastął prawdziwie wiosenny dzień, pierwszy z niewielu wiosennych dni, jakie zdarzały się w mieście.

Ruszyła pod adres wskazany na paczce, która najwyraźniej zwiększyła swoją objętość. „Co się dzieje z tą paczką?” – powiedziała na głos, idąc żwawym krokiem przez dzielnicę, w której nieczęsto miała okazję bywać. Była to dzielnica wielkich, ciemnych gmachów hotelowych i domów z brązowego piaskowca. Próbowwała nieść paczkę na różne sposoby,

jeszcze nigdy nie dostarczała tak nieporęcznej przesyłki. Ale wiosna działała pobudzająco. Nie mogła wymarzyć sobie lepszego dnia do takiej pracy, czuła się uskrzydłona. I wkrótce nadejdzie lato, bardzo gorące, już nie mogła się doczekać. Rozpięła sweter, najpierw odrobinę, a potem, ośmielona, całkowicie. Podmuchy wiatru głąskały jej szyję i piersi. Uznała, że jest to przyjemne uczucie. W dali wylaniał się już budynek, do którego ją wysłano.

Na pewno zabłądziłam

Budynek był wysoki, jego powierzchnię pokrywały przeróżne płaskorzeźby, przybrudzone teraz sadzą. Dwa skrzydła domu wysuwały się do przodu, ogradzając wilgotny, ciemny dziedziniec i łączyły się wysoko w górze, tworząc absurdalnie wielki łuk, mogący zmieścić olbrzyma.

Sylvie wpatrywała się w to dzieło potwornej fantazji, ale szybko odwróciła wzrok. Wysokie budynki przyprawiły ją o drzenie serca, nie lubiła zbyt długo zadzierać głowy. Weszła na dziedziniec, gdzie na kałużach po ostatnim deszczu lśniły sine plamy benzyny, ale niestety nie miała pojęcia, jak odszukać mieszkanie 001. Stara portiernia przy wejściu wyglądała tak, jakby przez całe lata była zamknięta, a żaluzji nikt nie odsłaniał pewnie od bardzo dawna. Ale mimo to Sylvie weszła tam i nacisnęła zardzewiały dzwonek. Jeśli to działa, to niech...

Nie zdążyła dokończyć tej myśli, bo gdy tylko nacisnęła czarny przycisk dzwonka, odsunęła się żaluzja w małym okienku portierni i ukazała się górna połowa głowy z długim nosem, małymi oczkami i łysą czaszką.

– Cześć, czy może mi pan powiedzieć... – zaczęła, ale zanim dokończyła pytanie, oczy zmarszczyły się w uśmiechu, a może od grymasu, i Sylvie ujrzała rękę z długim palcem, który wskazał najpierw w lewo, potem w dół. Po chwili żaluzja zamknęła się z hukiem.

Roześmiała się. Za co mu, do diabła, płacą? Za co? Zastosowała się do jego wskazówek i weszła do środka, ale nie głównym wejściem ze schodami i oszklonymi drzwiami, tylko przez kratę czy bramę z kutego żelaza, za którą zaczynały się schody. Zeszła nimi na dół do łącznika między budynkami. Słońce nie docierało do tego wąskiego przejścia przypominającego przesmyk pomiędzy wieżami. Schodziła coraz niżej, aż stanęła na samym dole, gdzie dźwięk odbijał się echem, a zapach nasuwał na myśl wnętrze jaskini. W ścianie znajdowały się małe drzwi. Były to bardzo małe drzwi, ale nie zauważyła innego wejścia.

– To nie może być tutaj – powiedziała, poprawiając nieporęczną paczkę (która zdawała się zmieniać kształt i była coraz cięższa). – Na pewno zabłądziłam. – Pchnęła drzwi.

Ukazał się za nimi wąski korytarz o niskim suficie. Na odległym końcu ktoś stał przed drzwiami i coś robił. Malował drzwi? Miał w dłoni pędzel i wiaderko z farbą. Ciec albo jego pomocnik. Sylvie pomyślała, że zapyta go o dalsze wskazówki, ale kiedy zawołała „cześć”, odwrócił się i spojrzał na nią strwożony, po czym zniknął za drzwiami, które malował. Mimo to ruszyła w tamtą stronę i znalazła się przy drzwiach zaskakująco szybko. Albo korytarz był

krótszy, niż się zdawało, albo wydawał się dłuższy, niż w istocie był... Drzwi na końcu były nawet mniejsze od tych, przez które weszła. Jeśli tak dalej pójdzie, przez następne będą musiała się przeczołgać, pomyślała. Na drzwiach widniał numer 001, świeżo namalowany białą farbą. Cyferki wyglądały nieco staroświecko.

Uśmiechnięta, z lekkim niepokojem, nie wiedząc, czy ktoś przypadkiem nie robi jej jakiegoś wymyślnego kawału, Sylvie zapukała do małych drzwi.

– „Skrzydlaty Posłaniec” – zawołała.

Drzwi uchyliły się. Przez szparkę wpłynęło na korytarz dziwne, złociste światło letniego dnia. Bardzo długa, koścista ręka wysunęła się zza drzwi i otworzyła je szerzej. Po chwili wyjrzała twarz, na której malował się bardzo szeroki uśmiech.

– „Skrzydlaty Posłaniec” – powiedziała niepewnie Sylvie.

– Tak? O co chodzi? W czym możemy pani pomóc? – Był to mężczyzna, który malował numer na drzwiach. Albo ktoś bardzo podobny do niego. A może to ten, który skierował ją tutaj. Albo ktoś bardzo podobny.

– Paczka dla pana – powiedziała.

– Aha – stwierdził mały człowieczek. Serdeczny uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Otworzył szerzej drzwi, żeby Sylvie, schyliwszy głowę, mogła wejść do środka. – Proszę – zachęcił.

– Jest pan pewien – powiedziała, zaglądając ostrożnie do pokoju – że dobrze trafiłam?

– Z całą pewnością.

– Ojej, strasznie to małe.

– Istotnie. Zechce pani wejść do środka.

Dziki las

Tego samego majowego dnia wieczorem Auberon bez pośpiechu wracał na Starą Farmę, wdychając zapach wiosny i rozmyślając o sławie, bogactwie i miłości. Wracał z biura wytwórni filmowej, która wymyśliła serial Inny świat i produkowała ten film, jak i kilka innych, które nie cieszyły się już takim powodzeniem. Auberon złożył scenariusze dwóch odcinków słynnej mydlanej opery na ręce człowieka mniej więcej w jego wieku, który wydawał się niezwykle przyjaźnie nastawiony, ale trochę roztargniony. Zmuszono go do wypicia kawy, a ów młody człowiek (który najwyraźniej nie miał za wiele do roboty) opowiadał, przeskakując z tematu na temat, o telewizji, o pisaniu i produkcji. Napomknął o wielkich pieniądzach, musnął sekrety biznesu.

Auberon zaś starał się usilnie nie okazywać zdumienia przy tym pierwszym temacie i przytakiwać mądrze, gdy mowa była o drugim, chociaż niewiele z tego wszystkiego rozumiał. A potem sekretarka, o niemal idealnej urodzie, odprowadziła go do drzwi, zapraszając do ponownych odwiedzin, kiedy tylko będzie miał na to ochotę.

Zdumiewające i cudowne. Idąc zatłoczonymi ulicami, Auberon czuł, że otwierają się

przed nim rozległe perspektywy. Scenariusze, wspólne dzieło jego i Sylvie, nad którym pracowali w długie, wesołe i podniecające wieczory, były zgrabnie skonstruowane i wzruszające – tak mu się zdawało – ale niezbyt starannie przepisane na zdezelowanej maszynie George'a. Nieważne, w przyszłości będzie miał biuro z kosztownym sprzętem, nieocenione sekretarki, długie przerwy na lunch. I będzie otrzymywał za pracę wielkie wynagrodzenie. Wyrwie smokowi ukrytemu w sercu lasu cenny i pilnie strzeżony skarb.

Dziki las, tak. Były takie czasy, kiedy Fryderyk Barbarossa rządził jako cesarz całym światem zachodnim; czasy, gdy las zaczynał się tuż za drewnianymi murami małych miast, wyrastał na obrzeżu uprawnej ziemi. Las zamieszkiwany przez wilki i niedźwiedzie, przez czarownice skryte w znikających wiejskich chatkach, przez smoki i olbrzymów. W mieście wszystko było zwyczajne i normalne: żyło się bezpiecznie wśród kompanów, nie brakło ognia, jedzenia i wygód. Może było to nudne życie, rozsądne i praktyczne, pozbawione dreszczyku emocji, ale na pewno bezpieczne. To właśnie poza miastem, w dzikim lesie, wszystko mogło się wydarzyć, przygody czekały na każdym kroku; w mieście człowiek był panem swojego życia.

Ale teraz jest inaczej: świat na opak. W Edgewood nic nie niosło grozy, tamtejsze lasy były spokojne, przyjazne i ujarzmione. Nie wiedział, czy zamykano jeszcze liczne zamki w drzwiach domu, nigdy nie zauważył, żeby ktoś to robił. W gorące dni sypiał często na dworze, na otwartych werandach, a nawet w lesie, wsłuchując się w odgłosy nocy i w ciszę. Nie, to na ulicach miasta grasowały teraz wilki, prawdziwe i urojone, to tutaj trzeba było ryglować drzwi, by nie przeniknął do środka napawający lękiem zewnętrzny świat. Dawniej czynili tak tylko ludzie lasu mieszkający w drewnianych chatkach. Opowiadano przerażające historie o tym, co mogło się zdarzyć w mieście po zachodzie słońca. Tutaj przeżywało się przygody, wygrywało los na loterii, tutaj się ginęło i znikało bez śladu, człowiek uczył się żyć z gardłem ściśniętym ze strachu i próbował porwać się na ukryty skarb. Tutaj był teraz dziki las, a Auberon został jego mieszkańcem.

Narastała w nim śmiała żądza przechwycenia skarbu. Zbrojny w odwagę, która dodawała mu siły, kroczył w tłumie jak błędny rycerz. Niech słabi zostaną pożarci, on do nich nie należy. Pomyślał o Sylvie, sprytnej jak lisica. Znała gąszcz miasta na wylot, chociaż spędziła dzieciństwo w błogim bezpieczeństwie dżungli. Znała to miejsce, jej zachłanność dorównywała jego żądom, była nawet większa, a chytrość nie pozostawała w tyle. Ale z nich para! I pomyśleć, że parę tygodni temu znajdowali się oboje jakby w pułapce, zginęli w nieprzebytej gęstwinie, prawie się poddali i nieomal zostali rozłączeni. Rozłączeni, Boże, jak ona ryzykowała! Jak kiepskie mieli szanse!

Ale w tym momencie, tego wieczoru, był w stanie uwierzyć, że zestarzeją się razem. Radość, jaką w sobie znajdowali, zapomniana w czasie zimnego, nieprzychylnego marca, rozkwitła na nowo pełnym blaskiem i była mocna jak korzenie drzew. Dzisiejszego ranka spóźniła się do pracy z nowego powodu, spóźniła się, ponieważ musieli doprowadzić do

pomyślnego końca pewien drobiazgowy proces. Jakże ogromnego wysiłku żądali od siebie i jak długo trwał potem odpoczynek. Można by spędzić życie, zajmując się jednym bądź drugim. Czuł, że tego ranka wypalił się niemal do cna. A jednak jego życie było nieskończone. Czuł, że może tak być, i nie widział żadnego powodu, dla którego miałoby być inaczej. Z uśmiechem na ustach dotarł do świateł na skrzyżowaniu, gdy kolejne momenty poranka ożywały w jego pamięci, serce biło mu zwariowanym rytmem. Zatrąbiła na niego ciężarówka, kierowca nie chciał zrezygnować z prawa do przejazdu, miał przecież zielone światło. Ale Auberon zlekceważył to i uskoczył w ostatniej chwili, za co kierowca obrzucił go dosadnymi, ale niezbyt zrozumiałymi wyzwiskami. Człowiek oślepiiony miłością został przejechany przez ciężarówkę, pomyślał Auberon, śmiejąc się, gdy już stał bezpiecznie na chodniku. W ten sposób umrę: przejechany przez ciężarówkę w momencie, gdy będę ogarnięty pożądaniem i miłością i zupełnie zapomnę, gdzie jestem.

Wszedł w strumień ludzi, nadal się uśmiechając, ale próbował już zachować ostrożność. Miej się na baczności. Znowu zaczął rozmyślać, ale nagle coś spadło z łomotem na ulicę, popłynęło przecznicami, runęło z nieba niczym zmasowany wybuch śmiechu. Salwa za salwą, ale nie był to żaden dźwięk. Przypominało bombę, która spadła kiedyś na niego i Sylvie, ale o podwójnej sile. Przetoczyło się tuż obok jak ciężarówka, pod którą o mało co nie wpadł, ale jednocześnie zdawało się eksplodować w jego wnętrzu i promieniować z jego ciała, wygłuszając przy tym hałas ulicy i stwarzając wokół próżnię. Wraz z tym zjawiskiem pojawił się pęd powietrza, który szarpał jego ubraniem i zwichrzył mu włosy. Auberon nadal szedł normalnym krokiem – nie mogło mu to wyrządzić fizycznej szkody – ale uśmiech zupełnie zniknął z jego twarzy.

Traktują to serio, pomyślał. Ale nie wiedział, dlaczego przyszło mu to do głowy ani jaką sprawę traktują serio. Nie wiedział też, kogo konkretnie miał na myśli.

To jest wojna

W tej samej chwili na dalekim zachodzie, w stanie, którego nazwa zaczyna się na „I”, Russell Eigenblick, wykładowca, wstawał właśnie ze składanego krzesła, żeby przemówić do tłumnie zgromadzonych ludzi. W dłoni trzymał plik karteczek z notatkami. Nie czuł się specjalnie usposobiony: odbijało mu się pieprzem (kurczak po królewsku, jak zwykle), męczył go rwący ból w lewej nodze, tuż pod pośladkiem. Spędził ten ranek w stadninie majątnego gospodarza, gdzie dosiadał konia i kłusował spokojnie dookoła małego wybiegu. Pozował też do zdjęć, na których wyglądał na człowieka pewnego siebie (jak zawsze), ale zbyt niskiego (to nic dziwnego w tych czasach, dawno temu uchodził za wysokiego mężczyznę). Potem dał się skusić do galopu po polach i łąkach, które były lepiej wystrzyżone i zadbane niż jakiegokolwiek tereny znane mu z dawnych lat. Błąd. Nie wyjaśnił, że minęły całe wieki, odkąd po raz ostatni dosiadał konia. Chyba nie potrafił się oprzeć takim wyzwaniom. Zastanawiał się, czy jego niezdarne utykanie nie zepsuje momentu wejścia na podium.

Jak długo, jak długo? Nie unikał pracy i nie oburzało go, że jest ciągle wystawiany na próby. To było częścią jego zadania. Paladynowie dokładali wszelkich starań, żeby mu to ułatwić, i był im wdzięczny, chociaż w gruncie rzeczy nie przejmował się zbytnio plugawymi obyczajami panującymi w tej epoce: poklepywaniem po plecach i ściskaniem rąk. Nigdy nie robił ceregieli. Był praktycznym człowiekiem (albo przynajmniej za takiego się uważał) i jeśli tego właśnie pragnął jego lud – a myślał już o nich w ten sposób – to chciał mu to zapewnić. Człowiek, który bez słowa skargi sypiał wśród wilków w Turynii i skorpionów w Palestynie, mógł również znosić noclegi w niewygodnych motelach, obsługę podstarzałych hostess i drzemki w samolotach. Ale bywało (tak jak teraz), że czuł się znudzony tą dziwną, długą podróżą, niemożliwą do ogarnięcia rozumem, i zaczynał go pociągać wielowiekowy sen. Przywykł do tego stanu. Ogarniała go wówczas tęsknota, pragnął raz jeszcze złożyć ciężką głowę na ramionach towarzyszy i zamknąć oczy.

Na samą myśl o tym opadły mu powieki.

Właśnie wtedy nadeszło to dziwne zjawisko, tocząc się we wszystkich kierunkach od miejsca startu. Poczuli to samo, co Auberon słyszał czy też odczuwał w mieście. To samo, co zamieniło na moment świat w mieniący się jedwab. Bomba, tak myślał Auberon. Ale Russell Eigenblick wiedział, że to nie była bomba, lecz bombardowanie. Pokrzepiło go to jak silny środek wzmacniający. Jego znużenie zniknęło. Usłyszał zakończenie mowy pochwalnej na własną cześć, po czym zerwał się z krzesła z błyszczącymi oczyma i groźną miną. Kiedy wchodził na mównicę, dramatycznym gestem wypuścił z rąk plik kartek z przygotowanym przemówieniem. Przez tłum przebiegło westchnienie, rozległy się wiwaty. Eigenblick schwytał obiema rękoma mównicę, pochylił się do przodu i wrzasnął do mikrofonów, które tylko czekały na jego słowa: „Musicie zmienić swoje życie!”. Tłumem zawładnęło zdumienie. Wzmocniony głos Eigenblicka przetoczył się ponad nim jak fala, odbił się od przeciwległego muru i powrócił jak echo do mówcy: „Musicie zmienić. Swoje. Życie!”. Fala znowu ich pochłonęła: niczym tsunami. Eigenblick triumfował. Omiatał wzrokiem zgromadzonych i miał wrażenie, że zagląda głęboko w każde oczy, w każde serce. Im również tak się zdawało. Słowa formowały się w umyśle Eigenblicka, ustawiały w zdania, plutony, regimenty, przeciwko którym wszelki opór był beznadziejny. Spuścił je z uwięzi.

– Przygotowania są zakończone, głosy oddane, kości zostały rzucone, bomba poszła w górę. Wszystko, czego najbardziej się obawialiście, już się wydarzyło. Wszystko, co napawało was największym przerażeniem, już jest faktem. Wasi odwieczni wrogowie mają teraz przewagę. Do kogo się zwrócicie? Wasza forteca legła w gruzach, wasza broń jest z papieru, śmiech zamiera wam w gardle i brzmi jak oskarżenie. Nic nie potoczyło się tak, jak przypuszczaliście. Zostaliście wystrychnięci na dudka. Zrobiono z was skończonych głupców. Patrzyliście w lustro, przypuszczając, że widzicie dalszy ciąg starej drogi, ale ta droga się skończyła, zamieniła się w ślepą uliczkę, nie ma przejazdu. Musicie zmienić swoje życie.

Wyprostował się. Poprzez czas wiały takie wichry, że z ledwością słyszał własny głos.

Wichry te unosiły uzbrojonych bohaterów ruszających wreszcie do boju; sylfy w mundurach, całe powietrzne armie. Eigenblick, przemawiając do tłumu ludzi stojących z otwartymi ustami, czuł się tak, jakby rozrywał więzy, które go krępowały, i wreszcie wychodził z ukrycia. Stary, znoszony pancerz stał się w jednej chwili za ciasny, nareszcie pękł i uwolnił Eigenblicka ze swego stalowego uścisku. Ogarnęło go w tym momencie zachwycające uczucie ulgi. Przerwał na chwilę przemowę, aż poczuł, że cała skorupa się rozpekła. Tłum wstrzymał oddech. Nowy głos Eigenblicka: mocny, niski, ujmujący, przyprawiał słuchaczy o drżenie.

– No tak. Nie wiedzieliście. O nie. Skąd mieliście wiedzieć? Nigdy nie pomyśleliście. Zapomnieliście. Nie słyszeliście. – Pochylił się do przodu, patrząc na nich z góry jak groźny ojciec. Mówił tak gwałtownie, jakby wypowiadał przekleństwa. – Tym razem nie będzie przebaczenia. To o jeden raz za dużo. Z pewnością zdajecie sobie z tego sprawę, z pewnością wiedzieliście przez cały czas. Może w skrytości ducha, jeśli w ogóle dopuściliście do siebie podejrzenie, że to się zdarzy, a na pewno dopuściliście, może w skrytości ducha mieliście nadzieję, że jeszcze raz, jeszcze raz okaże się wam miłosierdzie, chociaż wcale na nie nie zasługujecie; że dostaniecie jeszcze jedną szansę, chociaż nie wykorzystaliście żadnej z poprzednich szans, że na samym końcu nie zwróci się na was uwagi, że zostaniecie pominięci, przeoczeni, niepoliczeni, że właśnie wy pozostaniecie bez winy w huku katastrofy, która pochłonie innych. Nie! Nie tym razem!

– Nie! Nie! – wrzasnął przestraszony tłum.

Eigenblick był poruszony. Ich niepokój i bezradność przepełniły go głęboką miłością i współczuciem, co jeszcze dodało mu mocy.

– Nie – powiedział miękko, gruchającym tonem, kołysząc ich w ramionach swego bezdenne go gniewu i litości. – Nie, nie, Artur śpi w Avalon, nie macie przywódcy, nie macie żadnej nadziei, nie pozostaje wam nic innego jak tylko poddać się, czy nie rozumiecie tego? Trzeba się poddać, to wasza jedyna szansa, trzeba odrzucić miecz, bezużyteczny jak zabawka, przyznać się, że jesteście bezradni, że nie ponosicie odpowiedzialności ani za przyczyny ani za skutki, że jesteście starzy, zagubieni, słabi jak niemowlęta. Bezradni i godni litości. – Bardzo powoli, gestem pełnym współczucia, wyciągnął do nich ramiona. Mógł ich wszystkich objąć i utulić. – Jesteście przepełnieni miłością, pragniecie się przypodobać. Jak wielkie dzieci prosicie tylko ze łzami w oczach o litość i pokój. A jednak. A jednak. – Opuścił ramiona, ponownie schwycił wielkimi dłońmi mównicę, jakby trzymał w ręku broń. W piersi Russella Eigenblicka rozgorzał olbrzymi ogień, przepełniła go ogromna wdzięczność, że w końcu dano mu możliwość pochylenia się do mikrofonów i oznajmienia:

– A jednak nie wzbudzicie ich litości, bo oni nie znają litości; nie odwrócicie ich strasznej broni, ponieważ już z niej wypalono; nie zmienicie zupełnie nic, ponieważ trwa wojna. – Pochylił się jeszcze niżej, zbliżając swe usta satyra do osłupiałych mikrofonów, i powiedział dudniącym szeptem: – Panie i panowie, to wojna. TO WOJNA.

Nieoczekiwana przeszkoda

Ariel Hawksquill, w mieście, również to odczuła: nagłe uderzenie krwi do głowy jak w czasie klimakterium. Tyle że nie przytrafiło się to jej samej, ale całemu światu. A więc nadciągają zmiany. Nie zmiany, lecz Zmiany. Zmiany, przetaczające się przez czas i przestrzeń, dały się przelotnie odczuć, jak gdyby świat wstrzymał na mgnienie oka swój bieg, napotkawszy na nieoczekiwaną przeszkodę.

– Czuleś to?

– Co, moja droga? – spytał Fred Savage, chichocząc ciągle nad groźnie brzmiącymi nagłówkami we wczorajszych gazetach.

– Nieważne – odparła miękko Hawksquill, pogrążona w myślach. – Pomówmy lepiej o kartach. Wiesz coś na temat kart? Zastanów się.

– As pik odwrócony – powiedział Fred Savage. – Królowa pik w oknie twojej sypialni, zawzięta jak każda suka. Walet karo znowu w drodze. Król kier to ja, mała. – Zaczął mruzczyć jakąś melodię przez zaciśnięte zęby. Jego pośladki poruszały się żwawo na długiej ławce poczekalni, wypolerowanej przez wielu użytkowników.

Hawksquill przyszła na wielki Terminus, żeby wypytać swoją starą wyrocznię. Wiedziała, że może tu zastać Freda niemal każdego wieczora po pracy. Obwieszczał przechodniom dziwne prawdy. Brązowym, kościstym paluchem, który był pokryty odwiecznym brudem, wskazywał ludziom pewne artykuły we wczorajszej gazecie. Zwracał im uwagę na sprawy, które mogli przeoczyć, albo dowodził, że kobieta nosząca futro przejmuje pewne cechy zwierzęcia. Hawksquill pomyślała o cichych dziewczynach z przedmieść, farbujących futra z królika, by upodobnić je do rysich, i roześmiała się. Czasami przynosiła Fredowi kanapki, które zjadała wspólnie z nim. Zwykle odchodziła mądrzejsza, niż przyszła.

– Karty – powiedziała. – Karty i Russell Eigenblick.

– Ten facio – stwierdził. Zamyślił się na chwilę. Strzepnął gazetę, jakby chciał z niej wytrząsnąć jakieś kłopotliwe myśli. Nie udało mu się.

– Co to jest? – spytała.

– Niech to licho, jeśli to nie były zmiany – powiedział, patrząc w górę. – Sumpm... Co to miało być? Jak powiedziałaś?

– Nie powiedziałam.

– Powiedziałaś nazwisko.

– Russell Eigenblick. W kartach.

– W kartach – powtórzył i starannie złożył gazetę. – Dość. Dość tego.

– Powiedz mi, co o tym myślisz – poprosiła.

Ale naciskała już za bardzo. To było niebezpieczne. Jeśli poprosi się wielkiego wirtuoza o jeszcze jeden bis, to stanie się rozdrażniony i zgryźliwy. Fred wstał – jeżeli w ogóle można to

było nazwać wstawaniem, ponieważ nadal był zgięty w pałąk – i gmerał w kieszeni, żeby znaleźć coś, czego i tak tam nie było.

– Muszę wdepnąć do wuja – powiedział. – Nie masz przypadkiem dolca na autobus? Dolca albo trochę drobnych?

Ze wschodu na zachód

Szła wolnym krokiem przez obszerny, łukowato sklepiony hol Terminusa. Tym razem nie tylko nie była ani trochę mądrzejsza niż przed przyjściem tu, ale jeszcze bardziej niespokojna. Ludzie, którzy tłumnie przelewali się przez dworzec, wirując wokół zegara w centralnym punkcie budynku i dobijając kolejnymi falami do kas biletowych, wydawali się roztargnieni, zgnębieni i niepewni swego losu. Ale nie miała pewności, czy dzisiaj było to bardziej widoczne niż każdego innego dnia. Zadarła głowę: zodiak, namalowany złotą farbą, wyblakły już od starości, maszerował w poprzek granatowego nocnego nieba. Naszpikowany był drobnymi światełkami, ale niektóre z nich wydawały się przyćmione. Zwolniła kroku, otworzyła usta ze zdumienia. Wpatrywała się w sufit i nie była w stanie uwierzyć w to, co widzi.

Zodiak przemierzał sklepienie we właściwą stronę: ze wschodu na zachód.

Nieprawdopodobne. Przecież to był jej ulubiony dowcip o tym szalonym Mieście. Zawsze mawiała, że śródmieścia strzeże zodiak, przemierzający niebo w odwrotnym kierunku. Był to błąd popełniony przez malarza, który nie miał pojęcia o gwiazdach, albo chytry kawał jakiegoś dowcipnisa. Zastanawiała się nieraz, w jaki sposób zmieniłby się obraz zodiaku, gdyby odpowiednio przygotowany człowiek szedł przez Terminus tyłem do przodu, wpatrując się w ten odwrócony kosmos. Jednak zabrakło jej odwagi, by to sprawdzić osobiście.

Ale teraz zdarzyła się przedziwna rzecz. Baran był na właściwym miejscu, tak samo jak pozbawiony zadu Byk, tak samo jak Bliźnięta, Rak, Lew, Panna oraz Waga o dwóch szalkach. Za nimi kroczył Skorpion z gwiazdą Antares, Strzelec z łukiem, Koziorożec o rybim ogonie, człowiek z dzbanem na wodę i dwie ryby złączone ogonami. Strumień ludzi przepływał koło Hawksquill, gdy stała z zadartą głową, przelewał się nieustannie i omijał ją jak każdy nieruchomy przedmiot na drodze. Jej zapatrzenie było zaraźliwe, inni ludzie również zadzierali głowy, ale nie będąc w stanie dojrzeć tej nieprawdopodobnej rzeczy, którą ona widziała, spieszyli w swoją stronę.

Baran, Byk, Bliźnięta... Zmagala się z własną pamięcią, próbując odtworzyć dawny wygląd gwiazdozbiorów, ich poprzedni porządek. Malunki wydawały się tak stare i niezmiennie jak same gwiazdy, na których podobieństwo powstały. Ogarnął ją strach. Zmiany. Jakie jeszcze zmiany odkryje na ulicach? Co jeszcze przyniesie przyszłość, co jeszcze zostanie ujawnione? Co Russell Eigenblick wyprawia ze światem i dlaczego, na Boga, była przekonana, że to właśnie on ponosi za to winę? Zadzwęczał słodki, niski kurant zegara na

Terminusie. Mijał kwadrans. Dźwięk odbił się echem, niezbyt głośny, ale wyraźny i spokojny, jak gdyby posiadał już tajemnicę. A ona stała wciąż z zadartą głową.

Sylvie?

Tę samą godzinę wybił zegar na piramidalnej wieży budynku, który zbudował w centrum Aleksander Mouse. Była to jedyna w Mieście wieża z zegarem wybijającym godziny ku powszechnemu oświeceniu. Jeden z czterech tonów nie działał, a pozostałe spływały w uliczki w nieregularnych odstępach, przygłuszane przez wiatr i miejski hałas. Zegar więc na nic się nie przydawał. Jednak Auberona, który zdejmował właśnie rygle z drzwi do Starej Farmy, nie obchodziło, która jest godzina. Rozejrzał się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy nie idą za nim złodzieje. Został już raz okradziony przez dwóch smarkaczy, a ponieważ nie miał przy sobie pieniędzy, zabrali mu butelkę dzinu, po czym cisnęli na ziemię jego kapelusz i deptali po nim trampkami. Wsunął się do środka i zaryglował drzwi.

Przemierzył hol, przecisnął się przez szczelinę, którą George wybił w ścianie, żeby umożliwić przejście do następnego budynku, ponownie ruszył przez hol, wszedł po schodach, trzymając się poręczy pokrytej grubo kolejnymi warstwami farby. Wyszedł przez okno w holu do przejścia pożarowego, pomachał pracującym w dole szczęśliwym farmerom, którzy pochylali się nad grządkami. Potem wszedł do następnego budynku, do innego korytarza, który był niesamowicie wąski, ale znajomy i przyjazny pomimo panującego tam mroku, ponieważ prowadził do domu. Rzucił okiem na swoje odbicie w ładnym lustrze, które Sylvie powiesiła na ścianie na końcu korytarza. Umieściła też pod nim maleńki stolik oraz wazon z suszonymi kwiatami. *Bien, ładnie.*

Przekręcił gałkę, ale drzwi nie ustąpiły. „Sylvie”. Nie ma jej w domu. Nie wróciła jeszcze z pracy albo jest w ogródku, albo po prostu wyszła, bo odrodzone słońce wzburzyło jej wyspiarską krew, nawykłą do ciepła. Wyłuskał z kieszeni klucze i starał się je odróżnić po ciemku, z coraz większą niecierpliwością. Ten jajowaty do górnego zamka, ostro zakończony – do środkowego, o do diabła! Upuścił jeden klucz i musiał szukać go na kolanach, wściekły, macając rękami odwieczny brud całego Miasta, który nagromadził się w szczelinach. Jest: duży, okrągło zakończony klucz do zamka policyjnego.

– Sylvie?

Pokój wydawał się dziwnie obszerny i ponury, chociaż słońce wpadało wszystkimi oknami. Co się dzieje? Miejsce wyglądało na wymiecione, ale nie schludne; uprzątnięte, ale nie czyste. Po chwili zauważył, że brakuje wielu rzeczy. Czyżby zostali obrabowani? Ostrożnie wszedł do kuchni.

Zniknęły niezliczone mazidla, które należały do Sylvie i stały zawsze nad zlewem. Zniknęły jej szczotki i szampony. Wszystko zniknęło. Wszystko oprócz jego starej maszynki Gillette.

Tak samo wyglądało w sypialni. Zniknęły maskotki Sylvie i jej drobiazgi. Zniknęła

señorita z porcelany z trupio bladą twarzą i czarnymi ostrymi lokami, której górna część tułowia była oddzielona od jaskrawej spódnicy służącej w istocie jako szkatułka na biżuterię. Zniknęły jej kapelusze wiszące na drzwiach. Zniknęła jej zwariowana koperta z ważnymi dokumentami i zdjęciami, które miały dla niej specjalne znaczenie.

Otworzył na oścież drzwi do łazienki. Zakołysały się puste wieszaki, a jego płaszcz zawieszony na drzwiach wysunął zdumione rękawy. Jednak nie było tu żadnych rzeczy Sylvie.

Zupełnie nic.

Rozejrzał się raz i drugi. A potem stał bez ruchu na środku pustego pokoju.

– Odeszła – powiedział.

KSIĘGA PIĄTA

SZTUKA PAMIĘCI

I

*Na polach mojej pamięci,
w pieczarach jej niezliczonych i przepaściach
– bezmierne, nie do policzenia mnóstwo rzeczy najróżniejszych.
Wszystkie te rzeczy przebiegam i przelatuję, jak zechcę,
A nieraz się w nie zagłębiam, dokąd zdołam,
Lecz nigdzie nie znajduję dna.¹²*

św. Augustyn, *Wyznania*

Północ już dawno minęła, gdy Kamienna Pokojówka zapukała ciężką dłonią do małych drzwi Kosmoptykonu, który znajdował się na ostatnim piętrze kamienicy Ariel Hawksquill.

- Towarzystwo Hałaśliwego Mostu i Klub Strzelecki.
- Każ im poczekać w salonie.

Jedynie księżyc za odbitym w lustrze księżycem Kosmoptykonu i przyćmione światła Miasta rozjaśniały szklane niebiosa, toteż ciemny zodiak i gwiazdozbiory były nie do odróżnienia. Dziwne, pomyślała, że w przeciwieństwie do naturalnego porządku Kosmoptykon jest czytelny i jasny w dzień, a niewidoczny w nocy, podczas gdy prawdziwe sklepienie właśnie wtedy ukazuje się w całej pełni... Wstała i wyszła, a żelazna Ziemia, na której powierzchni namalowano rzeki oraz góry, zadźwięczała pod jej stopami.

Bohater się przebudził

Minął rok od czasu, gdy zadarła głowę i ujrzała, że zodiak namalowany na nocnym niebie Terminusa zmienił swą nieprawidłową kolejność i przemierzał sklepienie zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy. W ciągu tego roku zintensyfikowała swoje badania dotyczące natury i pochodzenia Russella Eigenblicka, chociaż Klub Strzelecki zachowywał w tej sprawie osobliwe milczenie. Ostatnio nie przysyłali już tajnych, ponaglących telegramów i choć Fred Savage jak zwykle pojawiał się u niej z kolejnymi ratami wynagrodzenia, to jednak

¹² Fragment *Wyznań* św. Augustyna w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

pieniądom nie towarzyszyły już zwykłe słowa zachęty i wymówki. Czyżby stracili zainteresowanie?

Jeśli tak, to musi je tej nocy pobudzić na nowo.

Parę miesięcy temu rozgryzła wreszcie tę sprawę. Znalazła odpowiedź, w czym pomogły jej nie tyle nadprzyrodzone metody poszukiwań, ile zupełnie ziemskie i doczesne źródła, takie jak jej stara encyklopedia (dziesięciotomowa Britannica), szósty tom *Średniowiecznego Rzymu* Gregoroviusa oraz *Przepowiednie* Abbota Joachima da Fiore (zawarte w wielkich księgach zamykanych na skobelek). Osiągnęła tę pewność dzięki zaangażowaniu wszystkich swych umiejętności, dzięki olbrzymiemu nakładowi pracy i czasu. Ale teraz nie miała już wątpliwości. Wiedziała kto. Nie wiedziała natomiast jak i dlaczego. Nadal nie miała pojęcia, kim są dzieci Czasu i czyim mistrzem może być Russell Eigenblick. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się owe karty, w których jest zapisany los i jak dalece jest w nich zapisany. Ale wiedziała, kim jest Russell Eigenblick, i zawezwała Towarzystwo Hałaśliwego Mostu i Klub Strzelecki, żeby im to obwieścić.

Goście porozsiadali się na kanapach i krzesłach w jej skąpo oświetlonym i zagraconym salonie, czy raczej pracowni, na parterze kamienicy.

– Panowie – powiedziała, kładąc dłonie na oparciu wysokiego, skórzanego fotela tak, jak gdyby stała przy mównicy. – Ponad dwa lata temu zlecieliście mi zbadanie pochodzenia i intencji Russella Eigenblicka. Na rezultat musieliście czekać nieprawdopodobnie długo, ale wydaje mi się, że mogę wam już przynajmniej powiedzieć, kim jest ten człowiek. Zdecydowanie, co należy uczynić z tą sprawą, będzie o wiele trudniejsze, jeżeli w ogóle możliwe. A jeśli nie potrafię wyciągnąć żadnych wniosków, wówczas nie będziecie pewnie w stanie nic zdziałać w tej sprawie, tak, nawet wy.

Na te słowa wymienili spojrzenia, jeszcze bardziej nieuchwytnie niż widuje się na scenie, wyrażające zdziwienie i niepokój. Już kiedyś przyszło Hawksquill do głowy, że mężczyźni, z którymi miała do czynienia, nie byli wcale ludźmi z Klubu Strzeleckiego, lecz aktorami wynajętymi w ich zastępstwie. Oddaliła od siebie to wrażenie.

– Wszyscy znamy – mówiła dalej – opowieści powtarzające się w wielu mitologiach, o bohaterze, który choć został zabity na polu bitwy czy w inny sposób dokonał żywota, to jednak wcale nie umarł.

Powiada się, że został przeniesiony w inne miejsce: na wyspę, do jaskini albo na obłok, i tam śpi. I stamtąd właśnie powróci, gdy jego lud znajdzie się w największej potrzebie, powróci wraz ze swymi wodzami, by wspomóc go i sprawować rządy przez następny Złoty Wiek. *Rex Quondam et Futurus*. Krążą takie opowieści o Arturze z Avalon, o Sikanderze z dalekiej Persji, o Cuchulainie śpiącym w bagniskach czy górskich dolinach Irlandii, wreszcie o samym Jezusie Chrystusie.

Wszystkie te historie, jakkolwiek poruszające, nie są prawdziwe. Artur nie obudził się, pomimo iż jego lud nieraz bywał poddawany ciężkim próbom; Cuchulain śpi sobie, niepomny

na to, że jego ziomkowie od wieków wycinają się wzajemnie w pień; powtórne przyjście Chrystusa, zapowiadane bez przerwy, było tyle razy odkładane, aż nastąpił upadek Kościoła, który pokładał w nim tak wielkie nadzieje. Nie, cokolwiek przyniesie następna era w dziejach świata (a niewątpliwie jej nadejście się zbliża), nie przywróci do życia bohatera, którego imię znamy, ale... – przerwała, ogarnięta nagłym zwątpieniem. Gdy mówiło się głośno o tej sprawie, wydawała się ona jeszcze bardziej absurdalna. Hawksquill zarumieniła się nawet, zawstydzona, gdy ciągnęła: – Ale tak się składa, że jedna z tych opowieści jest pomimo wszystko prawdziwa. I to akurat ta, o której nigdy byśmy tak nie pomyśleli, nawet jeśli ją znamy i opowiadamy. I w przeważającej części nie jest prawdziwa, a jej bohaterowie zostali zapomniani. Ale wiemy, że przynajmniej w pewnym sensie jej prawdziwość została dowiedziona, ponieważ właśnie nastąpił jej punkt kulminacyjny: bohater się przebudził. Jest nim Russell Eigenblick.

Słuchacze przyjęli te rewelacje o wiele spokojniej, niż oczekiwała. Czują, że są pełni rezerwy. Widziała, a raczej domyślała się, że szyje im zeszytniały, a podbródki opadły z powątpiewaniem na kosztowne krawaty. Jedyne, co mogła zrobić, to kontynuować swoje wywody.

– Pewnie się zastanawiacie – powiedziała – tak jak ja się zastanawiałam, jakim ludziom ma pomóc przebudzony Russell Eigenblick. Jesteśmy zbyt młodym narodem, żeby przekazywać z pokolenia na pokolenie takie historie jak ta o Arturze i chyba zbyt zadowoleni z siebie, żeby w ogóle odczuwać taką potrzebę. Z pewnością nie opowiada się żadnych legend o tak zwanych ojcach naszego kraju. Pomysł, że jeden z tych panów nie umarł, lecz śpi, powiedzmy, gdzieś w Górach Skalistych, wydaje nam się zabawny. Nie mamy takich legend. Tylko pogardzani czerwonoskórzy, odprawiający tańce duchów, mają na tyle długą historię i tradycję, że mogłoby się w niej znaleźć miejsce dla takiego bohatera. Ale Indian Russell Eigenblick obchodzi niewiele więcej niż nasi prezydenci i oni jego również nie obchodzą. W takim razie jacy ludzie go interesują? Odpowiedź brzmi: żaden. Nie interesują go żaden ludzie, tylko cesarstwo. Cesarstwo, które z łatwością objęłoby swym zasięgiem wszystkich ludzi czy ludy, a jego życie, granice i stolice byłyby niezwykle zmienne. Pamiętacie badania Woltera: nie było ani święte, ani rzymskie, ani nie było cesarstwem. A jednak w pewnym sensie istniało aż do czasów (tak myśleliśmy), gdy jego ostatni cesarz, Franciszek II, zrezygnował z tytułu w 1806 roku. Twierdzą, panowie, że Święte Cesarstwo Rzymskie nie zakończyło wtedy swego żywota. Istniało nadal. Nie przestawało, jak ameba, przemieszczać się, rozpełzać, rozprzestrzeniać i... kurczyć. Podczas gdy Russell Eigenblick zapadał w wieczny sen (o ile pamiętam, dokładnie na osiemset lat), podczas gdy w efekcie wszyscy spaliśmy, cesarstwo pełzło, sunęło, przemieszczając się i dryfując jak kontynenty, aż w końcu ulokowało się tu, gdzie jesteśmy teraz. Jak dokładnie wyglądają jego granice? Nie mam pojęcia, ale podejrzewam, że mogą się pokrywać z granicami tego państwa. Jakkolwiek jest, znajdujemy się w jego obrębie. To miasto mogłoby być jego stolicą, ale prawdopodobnie jest tylko

Głównym Miastem.

Odwróciła od nich wzrok.

– A Russell Eigenblick? – skierowała pytanie nie wiadomo do kogo. – Kiedyś był jego cesarzem. Nie pierwszym: tym był oczywiście Karol Wielki (o którym przez jakiś czas krążyły takie same legendy), ale i nie ostatnim, nawet nie największym. Był energiczny, owszem, uzdolniony, miał zmienny temperament, słabo sobie radził ze sprawami wewnętrznymi. Był wytrwałym, dobrym żołnierzem, ale nie odnosił sukcesów militarnych. A propos, to właśnie on dodał do nazwy cesarstwa przymiotnik „święte”. Około 1190 roku, gdy w cesarstwie panował pokój, a papież dawał mu chwilę wytchnienia, postanowił wyruszyć na wyprawę krzyżową. Niewiernym nie dał się specjalnie we znaki, wygrał bitwę czy dwie, a potem, przepływając się przez rzekę w Armenii, spadł z konia, ponieważ był obciążony zbroją, nie mógł się utrzymać na wodzie. Zatonął. Taką wersję wydarzeń podaje nie tylko Gregorovius, ale i inne źródła.

Ponieważ później podważano ten fakt, Niemcy przestali w to wierzyć. Cesarz nie zginął, powiadali, tylko śpi, być może pod szczytem Kyffhauser w górach Hertz (miejsce to nadal odwiedzają turyści), albo w Domdaniel, w morzu, albo gdziekolwiek, ale wróci pewnego dnia, wróci, żeby wspomóc swych ukochanych Niemców i poprowadzić niemieckie armie do zwycięstwa, a cesarstwo niemieckie do chwały. Ohydna historia Niemiec w poprzednim stuleciu jest jakby próbą zrealizowania tego płonnego marzenia. Ale w rzeczywistości, pomimo miejsca urodzenia, cesarz nie był wcale Niemcem. Był władcą całego świata, przynajmniej chrześcijańskiego, dziedzicem Karola Wielkiego i rzymskiego cezara. A teraz przemieścił się tak jak granice cesarstwa i czyniąc to, nie zmienił poddanych, lecz tylko swe imię. Panowie, Russell Eigenblick jest władcą Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Fryderykiem Barbarosą, tak, *die alte Barbarossa*, przebudzonym po to, żeby objąć władzę w cesarstwie w tym dziwnym schyłkowym wieku.

Gdy wypowiedziała ostatnie zdanie, musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć narastający pomruk protestów. Niektórzy słuchacze zerwali się z miejsc.

– Absurd! – powiedział jeden.

– Niedorzeczność! – zawołał ostro inny.

– Więc twierdzisz, Hawksquill – powiedział trzeci z większą rozwagą – że Russell Eigenblick uważa się za zmartwychwstałego cesarza i że...

– Nie mam pojęcia, za kogo się uważa – odparła Hawksquill. – Mówię wam tylko, kim naprawdę jest.

– Wobec tego odpowiedz mi na jedno pytanie – powiedział jeden z uczestników spotkania, podnosząc dłoń, żeby uciszyć wrzawę, jaką wywołało oświadczenie Hawksquill. – Dlaczego powrócił właśnie teraz? Powiedziałaś przecież, że ci bohaterowie budzą się wtedy, gdy ich poddani najbardziej potrzebują wsparcia i tak dalej.

– Tak powiadają tradycyjne przekazy.

– Więc dlaczego akurat teraz? Jeśli to domniemane cesarstwo tak długo było przyczajone...

Hawksquill spuściła głowę.

– Powiedziałam, że trudno mi będzie wyciągnąć wnioski. Obawiam się, że niektóre fragmenty tej układanki nadal nie są mi znane.

– Na przykład?

– Na przykład – powiedziała – karty, o których on mówi. Nie mogę w tej chwili podać powodów, ale wiem, że muszę je zobaczyć i ułożyć...

Słuchacze niecierpliwie zakładali nogę na nogę. Ktoś zapytał, dlaczego jej na tym zależy.

– Przypuszczam – wyjaśniła – że będziecie sami musieli przekonać się o jego sile. Zbadać szansę. Stwierdzić, jaki czas uważa za sprzyjający. Chodzi o to, panowie, że jeśli chcecie go powstrzymać, to musicie się dowiedzieć, czy Czas jest po naszej stronie, czy po jego, i czy wasz opór przeciwko temu, co nieznane, nie jest daremny.

– I ty możesz nam to wszystko powiedzieć.

– Niestety nie. Jeszcze nie.

– Nieważne – powiedział najstarszy spośród zgromadzonych, wstając z miejsca. – Obawiam się, Hawksquill, że podjęliśmy już sami decyzję w tej sprawie. Twoje śledztwo za bardzo się przeciągało. Przyszliśmy tu teraz głównie po to, by zwolnić cię z dalszych zobowiązań.

– Hm – mruknęła Hawksquill.

Najstarszy z uczestników zachichotał mimowolnie.

– I nie wydaje mi się – dodał – żeby twoje rewelacje mogły cokolwiek zmienić w tej sprawie. O ile znam historię, Święte Cesarstwo Rzymskie nie miało wiele wspólnego z życiem ludów, które przypuszczalnie je zamieszkiwały. Zgadza się? Prawdziwi władcy lubili sprawować władzę cesarską i mieć wszystko pod kontrolą, ale i bez tego robili to, co im się podobało.

– Często tak się działo.

– A zatem kierunek, który obraliśmy, jest prawidłowy. Jeśli Russell Eigenblick okaże się w pewnym sensie cesarzem lub przekona o tym sporo ludzi (należy przy okazji zauważyć, że ciągle odkłada moment ogłoszenia, kim naprawdę jest, ukrywa to), to może nam się raczej przydać niż zaszkodzić.

– Czy wolno spytać, jaki kierunek postanowiliście obrać? – powiedziała Hawksquill, skinąwszy na Kamienną Pokojówkę, która stała bez słowa w drzwiach, trzymając tacę z kieliszkami i karafką.

Ludzie z Towarzystwa i Klubu Strzeleckiego usiedli na powrót, uśmiechając się.

– Kooptację – odpowiedział jeden z nich, ten, który najgwałtowniej protestował przeciwko twierdzeniom Hawksquill. – Nie powinno się lekceważyć potęgi pewnych szarlatanów – dodał. – Nauczyły nas tego pochody i zamieszki, które miały miejsce latem,

rozmowy Kościoła Wszystkich Ulic i tak dalej. Oczywiście, taka władza jest krótkotrwała, to nie jest prawdziwa władza. Jest przelotna jak szybko przemijająca burza. Oni też zdają sobie z tego sprawę...

– Ale – wtrącił inny uczestnik – jeśli taka potęga zostanie dopuszczona do prawdziwej władzy, jeśli obieca się jej udział we władzy, uwzględni jej zapatrywania, pochlebi próżności...

– Wówczas można ją sobie zjednać. Można ją wykorzystać, szczerze mówiąc.

– Widzisz – powiedział najstarszy uczestnik, dziękując gestem za oferowane drinki – na szerszą skalę Russell Eigenblick nie ma prawdziwej władzy, nie ma potężnych popleczników. Kilku pajaców w kolorowych koszulach, kilku oddanych ludzi. Jego przemówienia poruszają tłumy, ale kto je pamięta następnego dnia? Gdyby rozbudził wielką nienawiść, przywołał dawne urazy... ale on tego nie robi. Jego słowa są mgliste. Tak więc wskażemy mu prawdziwych sojuszników. A że nie ma żadnych, zaakceptuje propozycję. Mamy swoje przynęty. Będzie nasz. I może się również okazać cholernie przydatny.

– Hm – mruknęła Hawksquill. Jako osoba wszechstronnie wykształcona, przebywająca w kręgu czystej nauki, zawsze uważała, że oszustwa i wybiegi są trudną sztuką. Prawdą było, że Russell Eigenblick nie ma sprzymierzeńców, że stanowi tylko parawan dla potężniejszych, nieznanych sił, działających bardziej podstępnie, niż ludzie z Klubu byli sobie w stanie wyobrazić. Powinna ich o tym poinformować, chociaż sama nie potrafiła jeszcze dokładnie określić, co to za siły. Ale odebrali jej tę sprawę. Prawdopodobnie nawet nie zechcą jej wysłuchać, wyczytała to z ich zadowolonych twarzy. Nie mogła jednak pohamować rumieńca na myśl, że coś przed nimi ukryła, i powiedziała: – Chyba wypiję kropelkę. Czy ktoś jeszcze ma ochotę?

– Oczywiście nie musisz zwracać wynagrodzenia – zauważył jeden z uczestników, obserwując ją bacznie, gdy nalewała mu wina.

Skinęła głową.

– Kiedy dokładnie zamierzacie wprowadzić wasz plan w życie?

– Dokładnie za tydzień – powiedział najstarszy z nich – spotkamy się w jego hotelu. – Wstał, rozglądając się wokół siebie, gotowy do wyjścia. Ci, którzy przyjęli poczęstunek, pospiesznie dopijali wino. – Przykro mi – dodał – że pomimo ogromu twojej pracy poszliśmy w końcu swoją drogą.

– Na pewno jest ona równie dobra – zauważyła Hawksquill.

Wszyscy już powstawali z miejsc i popatrzyli po sobie bez przekonania, wyrażając wzrokiem pełne namysłu zwątpienie bądź pełne wątpliwości zamyślenie, po czym w milczeniu opuścili pokój. Gdy wyszli, jeden z nich wyraził głośno nadzieję, że Hawksquill nie poczuła się obrażona. Inni, wsiadając do samochodów, rozważali taką możliwość i zastanawiali się, co by to mogło dla nich oznaczać.

Hawksquill zastanawiała się nad tym samym.

Zwolniona ze zobowiązań, była teraz wolnym agentem. Jeśli stare cesarstwo odradza się na świecie, to mogła tylko stwierdzić, iż da jej to nowe i szersze pole działania. Hawksquill nie była odporna na pokusy władzy, ale czy którykolwiek z magów jest na nie odporny?

A jednak Nowy Wiek był tuż tuż. Siły, które stoją za Russellem Eigenblickiem, jakkolwiek potężne, mogą się ostatecznie okazać słabsze niż siły, które skieruje przeciwko nim Klub.

Po której stronie powinna zatem stanąć, zakładając, że potrafi w ogóle rozstrzygnąć, z jakimi siłami ma do czynienia?

Patrzyła na brandy w kieliszku. Za tydzień... Zadzwoiła na pokojówkę, poprosiła o kawę i przygotowała się do długich godzin nocnej pracy. Pozostało już tak niewiele nocy, że szkoda było przeznaczyć którąkolwiek z nich na sen.

Skrywany smutek

Wyczerpana bezowocną pracą, wyszła z nastaniem świtu na ulice rozbrzmiewające śpiewem ptaków.

Naprzeciwko jej strzelistego domu znajdował się mały park, kiedyś dostępny dla wszystkich, ale obecnie zamykany na klucz. Tylko mieszkańcy okolicznych domów i członkowie prywatnych klubów, usytuowanych na wprost parku, spoglądali na to miejsce ze spokojem posiadaczy, jako że mieli klucze do bram z kutego żelaza. Hawksquill należała do grona tych szczęśliwców. Pobyt w parku, przeladowanym fontannami, posągami, basenikami dla ptaków i podobnymi fanaberiami, rzadko przynosił jej ukojenie. Wiele razy wykorzystywała bowiem to miejsce jako rodzaj notatnika, w którym szybko szkicowała dzieje chińskiej dynastii bądź znaki hermetyczne. Oczywiście nie była w stanie o tym teraz zapomnieć.

Ale w świetle zamglonego świtu, pierwszego dnia maja, park wydawał się ledwo widoczny, jego zarysy były zamazane. Składał się głównie z powietrza, niemal tak czystego jak na wsi, a przy tym słodkiego i wypełnionego oddechem nowo rozkwitłych liści. A niewidoczność i nieokreśloność były akurat tymi cechami, które najbardziej jej w tej chwili odpowiadały.

Kiedy podeszła do bramy wejściowej, zauważyła, że ktoś przy niej stoi, trzymając się kurczowo prętów i zaglądając do środka z rozpaczą, osobnik ten stanowił zupełne przeciwieństwo człowieka uwięzionego. Zawahała się. O tej godzinie spotykało się dwa rodzaje przechodniów: nudnych robotników, którzy wcześniej wstają, oraz nieprzewidywalnych i zagubionych ludzi, którzy nie kładli się całą noc. Spod długiego płaszcza mężczyzny wystawały nogawki piżamy, ale Hawksquill mimo to nie zaliczyła go do kategorii rannych ptaszków. Uznała, że w takiej sytuacji najlepiej zachować maniery wielkiej damy i wyjmując klucz, poprosiła mężczyznę, żeby się odsunął, bo chciała otworzyć bramę.

– W samą porę – zauważył.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. Przesunął się nieznacznie na bok, pełen oczekiwania, i spostrzegła, że zamierza wejść za nią do środka.

– To prywatny park. Niestety nie może pan wejść. Wstęp mają tylko mieszkańcy okolicznych domów. Tylko oni mają klucze.

Widziała teraz wyraźnie jego twarz z kilkudniowym zarostem i zmarszczkami wypełnionymi brudem. A jednak był młody. Ponad gorejącymi, nieobecnymi oczyma biegły zrosnięte brwi.

– To cholernie niesprawiedliwe – zauważył. – Wszyscy oni mają domy, to po co im jeszcze, do diabła, park? – Wpatrywał się w nią z wściekłością i rozpaczą. Ona natomiast zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że nie ma nic niesprawiedliwego w fakcie, że nie może wejść do parku, tak samo jak nie może wejść do okolicznych domów. Patrzył na nią w taki sposób, jakby oczekiwał jakiegoś uzasadnienia. Być może jednak niesprawiedliwość, na którą się skarżał, była uniwersalna i nie istniało żadne wyjaśnienie. Być może stanowiła jeden z problemów, o których lubił rozprawiać Fred Savage, problemów niewymagających żadnych nieprawdziwych, wymyślonych na poczekaniu wyjaśnień.

– No cóż – powiedziała tylko, tak jak często mawiała do Freda.

– I pomyśleć, że mój własny pradziadek zaprojektował to cholerne miejsce. – Wzniósł oczy z namysłem. – Prapradziadek. – Tknięty nagłą myślą, wyjął z kieszeni rękawiczkę, założył ją (miała obcięte palce) i zaczął odgarniać świeży bluszcz oraz niewidoczny kurz z tabliczki. Przykręcono ją do słupka z czerwonego kamienia, wykonanego w stylu rustykalnym. – Widzi pani? Cholera.

Na tabliczce widniał napis: „Mouse Drinkwater Stone 1900”. Odszyfrowanie go zabrało jej chwilkę. Zdziwiła się, że nigdy dotąd nie zauważyła tej tabliczki. Ta rzymska tabliczka przybita gwoździami, których łebki miały kształt kwiatów, stanowiła jeden z okazów sztuki użytkowej Beaux-Art.

Mężczyzna nie był szalony. Wszyscy mieszkańcy Miasta, a Hawksquill w szczególności, potrafią przy okazji takich spotkań zauważyć subtelną, ale istotną różnicę między nieprawdopodobnymi wyobrazeniami szaleńców a również nieprawdopodobnymi, ale całkiem prawdziwymi opowieściami zagubionych potępieńców.

– Z której rodziny pan pochodzi? – spytała. – Mouse, Drinkwater czy Stone?

– Chyba nie zdaje sobie pani sprawy – powiedział – jak trudno znaleźć w tym mieście trochę ciszy i spokoju?

– No cóż – mruknęła.

– Nie można usiąść na przekłętej ławce w parku, żeby zaraz nie przyplątało się dziesięciu pijaków i krzykaczy, zupełnie jakby się nagle rozmnożyli. Każdy chce opowiedzieć historię swojego życia. Podają sobie butelczynę z rąk do rąk. Kumple. Wie pani, ilu jest ekscentryków wśród włóczęgów? Całe mnóstwo. To zdumiewające.

Powiedział, że to zdumiewające, ale w rzeczywistości wydawało mu się to całkiem

normalne i wcale nie był przez to mniej wściekły.

– Spokój i cisza – odezwał się ponownie z najprawdziwszą tęsknotą w głosie, z tak wielką tęsknotą za pokrytymi rosą grządkami tulipanów i ocienionymi alejkami w małym parku, że Hawksquill zmieniła zdanie.

– Przypuszczam, że można zrobić wyjątek. Dla potomka budowniczego – powiedziała, po czym przekreśliła klucz w zamku i otworzyła bramę.

Przez chwilę stał zdumiony, jakby znalazł się u wrót raju. W końcu wszedł do środka.

Kiedy był już w parku, jego gniew osłabł. Hawksquill podążyła za nim, choć nie miała takiego zamiaru. Szli dziwnie krętymi ścieżkami, które zdawały się kierować ich w głąb parku, a w rzeczywistości prowadziły z powrotem na jego obrzeża. Znała tajemnicę tego zjawiska: idąc ścieżkami prowadzącymi na zewnątrz, dochodziło się do serca parku. W ledwie zauważalny sposób wiodła go tą drogą. Chociaż ścieżki zdawały się biec na zewnątrz, doprowadziły ich do miejsca w centralnej części, gdzie stał budynek przypominający pawilon czy świątynię. Przypuszczała, że jest to zwykła szopa na narzędzia. Miniaturowy budynek był skryty wśród zwieszających się gałęzi drzew i wiekowych krzewów. Patrząc pod pewnym kątem, odnosiło się wrażenie, że jest to fragment werandy lub narożnik o wiele większego domu. Chociaż sam park był mały, tutaj, do jego wnętrza, w ogóle nie docierał miejski hałas. Działo się tak dzięki przemyślnie zaplanowanej roślinności. Poczyła jakąś uwagę na ten temat.

– Tak – potwierdził. – Im dalej się zapuszczamy, tym park sprawia wrażenie większego. Chce się pani napić?

– Za wcześnie – odparła.

Patrzyła zafascynowana, jak odkręca butelkę i pociąga niezły haust. Jego gardło było na pewno tak zdarte i przepalone, że nawet nie drażnił go alkohol. Zdziwiło ją jednak, że wzdrygnął się odruchowo i skrzywił twarz ze wstrętem, tak samo jak skrzywiłaby ją ona po takim łyku. Początkujący, pomyślała. Jeszcze dziecko właściwie. Przypuszczała, że dręczy go jakiś skrywany smutek, i była zadowolona, że może się temu przyglądać. Właśnie takiej odmiany potrzebowała, by móc oderwać myśli od sił, z którymi zmagala się codziennie.

Siedzieli razem na ławce. Młody mężczyzna wytarł rękawem szyjkę butelki, po czym zakręcił ją starannie. Bez pośpiechu wsunął butelczynę do kieszeni brązowego płaszcza. Dziwne, pomyślała, że ostry przezroczysty trunek może przynieść taką pociechę i że można tak czule obchodzić się z butelką.

– Co to ma być, do licha? – zapytał.

Siedzieli naprzeciw kwadratowego budynku z kamienia, który, jak przypuszczała Hawksquill, służył jako szopa na narzędzia lub w innym praktycznym celu, ale miał przypominać wyglądem pawilon czy też miniaturową świątynię.

– Właściwie nie wiem – odparła – ale płaskorzeźby na jego ścianach symbolizują cztery pory roku. Tak mi się zdaje. Po każdej stronie jedna pora roku.

Na ścianie przed ich oczyma była wiosna. Młoda Greczynka sadziła roślinki, trzymając w jednej ręce starożytne narzędzie podobne do rydła, a w drugiej – delikatne sadzonki. Obok niej leżało skulone jagniątko, tak jak ona młode, pełne nadziei i oczekiwania. Płaskorzeźba została wykonana zupełnie przyzwoicie. Za pomocą cięć o różnej głębokości artysta przedstawił odległe, świeżo zaorane pola i powracające ptaki: codzienne życie w starożytnym świecie. Nie przywodziło to na myśl żadnej z wiosen w mieście, ale na pewno właśnie tę porę roku ukazywało. Hawksquill wiele razy wykorzystywała ten obraz wiosny. Przez jakiś czas zastanawiała się, dlaczego budynek nie został usytuowany centralnie na swoim kawałku ziemi, dlaczego jego ściany nie były równoległe do ulic wokół parku. Po namyśle stwierdziła, że takie usytuowanie odpowiada stronom świata, jak w kompasie: ściana zimowa skierowana na północ, a letnia na południe, wiosenna na wschód, a jesienna na zachód. W mieście łatwo było zapomnieć, gdzie w przybliżeniu znajduje się północ, ale Hawksquill się to nie zdarzało, a projektant domku najwyraźniej uważał dobrą orientację w kierunkach świata za ważną rzecz. Lubiała go za to. Uśmiechnęła się nawet do młodego człowieka, który siedział koło niej, prawdopodobnie potomka, chociaż wyglądał na okropnego mieszcza, nie odróżniającego przesilenia dnia z nocą od zrównania dnia z nocą.

– Jaki z tego pożytek? – spytał cicho, ale zaczepnie.

– Pomaga zapamiętywać różne rzeczy – powiedziała Hawksquill.

– Co?

– Przypuśćmy – wyjaśniała – że chcesz zapamiętać konkretny rok i kolejność zdarzeń, jakie wtedy następowały. Możesz utrwalić w pamięci te cztery płaszczyzny i wykorzystać przedstawione na nich elementy jako symbole wydarzeń, które chcesz zapamiętać. Jeśli chcesz zapamiętać, że pewna osoba została pochowana na wiosnę, to masz tam rydel.

– Rydel?

– To narzędzie do kopania.

Patrzył na nią pytająco.

– Czy to nie jest trochę zwariowane?

– To był tylko przykład.

Przyglądał się kobiecie podejrzliwie, tak jakby to właśnie ona miała mu za chwilę przypomnieć o czymś nieprzyjemnym.

– Ta sadzonka – odezwał się w końcu – może symbolizować coś, co się zaczęło na wiosnę. Pracę. Jakaś nadzieję.

– To jest myśl – powiedziała.

– Potem usycha.

– Albo rodzi owoce.

Zamyślił się na długą chwilę. Wyciągnął butelkę i powtórzył z nią dokładnie cały rytuał, ale już się tak nie krzywił.

– Dlaczego ludzie – zapytał słabym głosem, rozmytym przez dżin – chcą wszystko

pamiętać? Życie jest tu i teraz. Przeszłość jest martwa.

Nic na to nie odpowiedziała.

– Pamięć. Systemy. Wszyscy ślęczą nad starymi albumami albo nad talią kart. Jeśli nie wspominają, to przepowiadają przyszłość. Jaki z tego pożytek?

Jakiś dzwoneczek zadzwonił w pamięci Hawksquill.

– Karty? – zapytała.

– Rozmyślają o przeszłości – powiedział, patrząc na wiosnę.

– Czy to ją przywróci?

– Tylko uporządkuje.

Wiedziała, że ludzie tacy jak on, którzy mieszkają na ulicach, mają zupełnie inną konstrukcję psychiczną niż ci, którzy zamieszkują domy, nawet jeśli wydają się równie rozsądni. Mają powód, by znajdować się tam, gdzie się znajdują, w szczególny sposób postrzegają rzeczy, tracą zainteresowanie zwykłym światem i jego funkcjonowaniem, a często jest to niezależne od ich woli. Wiedziała, że nie może naciskać i dręczyć go pytaniami ani powracać do tematu kart, ponieważ tylko ją to oddali od celu, jak ścieżki w tym parku. Jednak bardzo pragnęła nie przerwać zawiązującej się nici porozumienia.

– Pamięć może być sztuką – powiedziała tonem nauczycielki. – Jak architektura. Sądzę, że twój przodek by to zrozumiał.

Uniósł brwi i wrzucił ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Któż to wie, kogo to obchodzi?”.

– Architektura – dodała – jest w istocie zamrożoną pamięcią. Powiedział to wielki człowiek.

– Hm.

– Wielu dawnych myślicieli – nie wiedziała, skąd jej się wziął ten belferski ton, ale nie chciała z niego zrezygnować, bo zdawało się to przykuwać uwagę słuchacza – twierdziło, że pamięć jest jak dom, w którym przechowuje się wspomnienia, i że najłatwiejszym sposobem na zapamiętanie rzeczy jest wyobrażenie sobie budowli, a potem symboliczne przypisanie tego, co chce się zapamiętać, różnym elementom architektonicznym. – Na pewno się w tym pogubił, pomyślała, ale młody człowiek odezwał się po namyśle:

– Jak ten pochowany człowiek i rydel.

– Właśnie.

– To głupie.

– Mogę panu przedstawić inny przykład.

Opisała mu bardzo obrazowy przykład z Kwintyliana dotyczący sprawy sądowej, swobodnie zastępując starożytne symbole współczesnymi i odwołując się do różnych elementów parku. Odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, gdy przypisywała rozmaite pojęcia różnym przedmiotom. Hawksquill wcale już nie musiała patrzeć.

– Po trzecie, wybieramy zepsuty samochodek, aby przypominał nam o tym, że wygasa

ważność prawa jazdy. Po czwarte, ten jakby łuk za tobą po lewej oznacza, że powiesiliśmy człowieka, powiedzmy Murzyna, ubranego na biało, jego spiczaste buty zwisają w dół, a nad głową widnieje napis: INRI.

– O do licha.

– To żywe. Konkretne. Sędzia powiedział: jeśli nie macie konkretnego dowodu, przegracie sprawę. Murzyn w bieli oznacza, że trzeba to mieć na papierze.

– Czarno na białym.

– Tak. Fakt, że został powieszony, oznacza, iż zdobyliśmy ten dowód czarno na białym, a napis, że właśnie to nas ocali.

– Dobry Boże.

– To się wydaje bardzo skomplikowane. Wiem. Ale przypuszczam, że nie różni się wiele od zwykłego notesu.

– To po co te wszystkie głupoty? Nie chwytam.

– Ponieważ – powiedziała z rozwagą, wyczuwając, że pomimo okazywania agresji rozumie ją – jeśli ćwiczysz tę sztukę, może się zdarzyć, że symbole, które umieszczasz jeden po drugim, ulegną przekształceniu bez twojego udziału i kiedy przywołasz je następnym razem, powiedzą ci coś nowego i rewelacyjnego, coś, o czym nie wiedziałeś albo przynajmniej nie sądziłeś, że to wiesz... Dzięki prawidłowemu uporządkowaniu tego, co wiesz, to, czego nie wiesz, może pojawić się spontanicznie. Taka jest korzyść ze stosowania systemu. Pamięć jest płynna i nieokreślona. Systemy są precyzyjne i wyraźne. Rozum pojmuje to lepiej. Bez wątplenia na tym właśnie polega przypadek z kartami, o których pan wspomniał.

– Z kartami?

Za wcześnie?

– Mówił pan coś o rozmyślaniu nad talią kart.

– Moja ciotka. Właściwie nie tyle moja ciotka – jakby wypierał się jej – ile ciotka mojego dziadka. To ona miała te karty. Stawiała pasjansę, dumiała nad nimi. Rozmyślała o przeszłości, przepowiadała przyszłość.

– Tarot?

– Hm?

– Czy to były karty do tarota? Wisielec, papież kobieta, wieża...

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nikt mi niczego nie wyjaśniał. – Zamyślił się. – Nie pamiętam tych obrazków.

– Skąd pochodziły te karty?

– Nie wiem. Z Anglii chyba. Bo należały do Violet. Drgnęła, ale był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył tego.

– I były wśród nich te karty z obrazkami? Oprócz normalnych figur?

– O tak. Całe mnóstwo. Ludzie, miejsca, rzeczy, wyobrażenia.

Odchyliła się do tyłu, splatając powoli palce. Zdarzyło jej się już kiedyś, że miejsce, które służyło do rozmaitych ćwiczeń pamięci, okazywało się nawiedzane przez urojenia, zachęcające lub co najwyżej dziwaczne, przywołane do istnienia na skutek nałożenia się na siebie starych symboli. Czasem podsuwało jej to sensory, których w przeciwnym razie by nie dostrzegła. Gdyby nie kwaśny zapach jego płaszcza i wystająca spod niego piżama w paski, niezaprzeczalnie z tego świata, pomyślałaby, że jest jednym z nich. To było bez znaczenia. Nikłe szanse.

– Proszę mi powiedzieć – zaczęła. – Te karty...

– A gdyby się chciało zapomnieć jakiś rok? – zapytał. – Nie zapamiętywać go, ale zapomnieć? Nie ma na to rady, prawda? Żaden system tu nie pomoże, o nie.

– Przypuszczam, że są jakieś sposoby – odparła, myśląc o jego butelce dżinu.

Wydawał się zatopiony w gorzkich myślach, jego oczy były szkliste, długa szyja pochylona ze smutkiem, a ręce złożone na łonie. Szukała słów, żeby sformułować kolejne pytanie o karty, kiedy powiedział:

– Kiedy ostatnim razem przepowiadała mi przyszłość, stwierdziła, że spotkam ciemnoskórą piękną dziewczynę, ale prostytutkę.

– I spotkał pan?

– Powiedziała, że zdobędę miłość tej dziewczyny, ale nie dzięki swoim zaletom, i utracę ją, ale nie z własnej winy.

Zamilkł, a ona (choć nie była już pewna, czy dociera do niego cokolwiek z jej słów) powiedziała miękko:

– Często tak jest z miłością. – Po czym, gdy nie odpowiadał, dodała: – Mam pytanie, na które mogłaby udzielić odpowiedzi pewna talia kart. Czy pana ciotka jeszcze...

– Nie żyje.

– Och.

– Ale moja ciotka żyje. To znaczy tamta nie była moją ciotką, ale moja ciotka, Sophie, żyje. – Wykonał gest, który miał znaczyć: „To jest skomplikowane i nudne, ale na pewno wiesz, co chcę powiedzieć”.

– Karty są nadal w pańskiej rodzinie – domyśliła się.

– O tak. Oni nigdy nic nie wyrzucają.

– Gdzie dokładnie...

Podniósł dłoń, żeby jej przerwać, nagle stał się ostrożny:

– Nie chcę rozmawiać o sprawach rodzinnych.

Odczekała chwilę, po czym powiedziała:

– Wspomniał pan o swoim prapradziadku, który zaprojektował ten park. – Dlaczego nagle poraziła ją wizja zamku Śpiącej Królowny, zamku otoczonego kolczastym i niemożliwym do sforsowania żywopłotem?

– John Drinkwater – przytaknął.

Drinkwater. Architekt... Coś się odblokowało w jej umyśle. Żywopłot nie był jednak kolczasty.

– Czy poślubił kobietę, która nazywała się Violet Bramble?

Przytaknął.

– Mistyczkę, jasnovidza?

– Kto, u diabła, wie, kim była?

Potrzeba chwili podsunęła jej pewien pomysł. Może działała zbyt pochopnie, ale nie miała czasu do stracenia. Wyjęła z kieszeni klucz do parku i huśtała go na łańcuszku przed jego oczyma, tak jak robili to dawniej hipnotyzerzy.

– Wydaje mi się – powiedziała, widząc, że zwrócił na nią uwagę – że zasługujesz na to, żeby mieć wolny wstęp do parku. – Wyciągnął dłoń, ale ona cofnęła klucz. – Chcę w zamian poznać kobietę, która jest czy też nie jest twoją ciotką. I dasz mi jasne wskazówki, w jaki sposób ją odnaleźć. Zgoda?

Auberon wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w błyszczący kawałek mosiądzu, jakby rzeczywiście został zahipnotyzowany, i powiedział jej to, co chciała wiedzieć. Położyła klucz na jego brudnej rękawiczce.

– Umowa stoi – rzekła.

Auberon zacisnął dłoń na kluczu. Była to teraz jedyna rzecz stanowiąca jego własność, chociaż Hawksquill o tym nie wiedziała. Ponieważ czar prysł, odwrócił wzrok. Nie był pewien, czy czegoś nie zdradził, ale nie chciał czuć się winny.

Hawksquill wstała.

– To było bardzo pouczające – stwierdziła. – Korzystaj z parku. Jak powiedziałam, może być przydatny.

Rok, który trzeba umiejscowić

Pociągnąwszy kolejny solidny łyk ostrego trunku, Auberon zaczął, przymykając jedno oko, ogarniać wzrokiem rozmiary swej nowej posiadłości. Zdumiał go fakt, że park ma regularny kształt, ponieważ sprawiał raczej wrażenie dzikiego i nieuporządkowanego.

A jednak ławki, bramy, pomniki, karmniki i skrzyżowania ścieżek odznaczały się symetrią dostrzegalną łatwo z miejsca, w którym siedział. Centralnym punktem był Pawilon Czterech Pór Roku. Od niego rozbiegały się wszystkie ścieżki.

To, o czym mu opowiadała spotkana kobieta, to oczywiście beznadziejne głupoty. Miał wyrzuty sumienia, że skierował taką wariatkę do swojego domu, ale rodzina pewnie i tak nic nie zauważy, bo sami są do niej podobni. A propozycja była nie do odrzucenia. Dziwne, że człowiek o takim litościwym sercu jak on, napotyka ciągle na swej drodze szaleńców i wariatów.

Poza terenem parku stał mały budynek sądu, osłonięty jaworami, zbudowany w stylu klasycznym (z tego, co wiedział, również projektu Drinkwatera). Wokół niego rozmieszczono

w równych odstępach posągi prawodawców: Mojżesza, Salomona itd. Tutaj wносиło się sprawę, oczywiście. Tutaj rozgrywała się jego walka z kancelarią „Petty, Smilodon i Ruth”, walka doprowadzająca go do wściekłości.

Te skrzynkowe miedziane drzwi, jeszcze zamknięte przed interesantami, drzwi do jego dziedzictwa, te architektoniczne ozdóbki powtarzające się w nieskończoność, jak korowód nadziei i zawodów, zawodów i nadziei.

Głupie. Odwrócił wzrok. O co mu chodziło? Nieważne, że budynek przyjął z wdzięcznością jego skomplikowaną sprawę (a kiedy przyglądał mu się z boku, wiedział, że istotnie tak było) i tak okazał się bezużyteczny. Jak mógł o tym wszystkim zapomnieć? Ta jałmużna, którą dawali, akurat tyle, żeby nie umarł z głodu, akurat tyle, żeby był w stanie podpisywać (z coraz większą wściekłością) dokumenty, zrzeczenia się, uzasadnienia i pełnomocnictwa, które mu przedkładali tak, jak te nieśmiertelne posągi o kamiennym spojrzeniu prezentowały tablice, księgi i kodeksy. Za ostatnie grosze kupił tę butelkę dżinu i będzie musiał wypić więcej niż to, co w niej zostało, żeby zapomnieć, jakie przeżył upokorzenia, płaszcząc się przed nimi, żeby zapomnieć o tej niesprawiedliwości. Dioklecjan liczył pogniecione banknoty w podręcznej kasie.

Do diabła z tym! Sąd został na zewnątrz. Tutaj nie ma żadnego prawa. Rok, który trzeba umiejscowić. Powiedziała, że zaletą jej systemu jest to, iż dzięki odpowiedniemu uporządkowaniu zdarzeń i spraw, o których się wie, spontanicznie wyłaniają się te, o których się nie wie.

Była pewna rzecz, której nie wiedział.

Gdyby tylko mógł uwierzyć w to, co powiedziała stara kobieta, gdyby tylko mógł, to czyż nie zabrałby się zaraz do pracy, czy nie powierzyłby pamięci każdej grządki tulipanów, każdego słupka w ogrodzeniu, każdego kamyka wymytego przez deszcz, każdego młodego listka, tak aby mógł im przypisać każdy najmniejszy fragment utraconej Sylvie? Czy nie biegałby wściekle po krętych ścieżkach z nosem przy ziemi jak ten kundel, który właśnie wszedł do parku ze swoim panem, czy nie szukałby bez końca, chodząc w tę i z powrotem, czy nie szukałby tak długo, aż znalazłby jedną prostą odpowiedź, zdumiewającą, utraconą prawdę? Mógłby położyć dłoń na czole i wykrzyknąć: rozumiem.

Nie, nie zrobi tego.

Utracił ją. Odeszła, i to na dobre. Jedyne ten fakt uzasadniał i tłumaczył jego obecną degradację, a nawet czynił ją znośną i stosowną. Gdyby dowiedział się nagle, w jakich miejscach przebywała, to chociaż przez cały rok próbował bezskutecznie zgłębić tę tajemnicę, unikałby ich teraz najbardziej ze wszystkich miejsc.

A jednak. Nie pragnął jej odnaleźć, już nie, ale chciałby się dowiedzieć dlaczego. Chciałby się dowiedzieć, dlaczego postanowiła odejść i nigdy nie wrócić, bez słowa, bez jednego spojrzenia za siebie. Chciałby się dowiedzieć, co się z nią teraz dzieje, czy wszystko jest w porządku, czy w ogóle o nim myśli i w jaki sposób: życzliwie czy też z wrogością...

Zestawił prosto obie nogi i stukał jednym butem o ziemię. Nie, dobrze się stało, naprawdę, że uznał zwariowany i potworny system starej kobiety za bezużyteczny. Ta wiosna na płaskorzeźbie nigdy nie mogłaby symbolizować wiosny, którą przyniosła mu Sylvie, ani ten pęd ich miłości, ani ten rydel narzędzia, dzięki któremu jego zbuntowane i nieszczęśliwe serce wypełniło się radością.

Po pierwsze

Z początku jej nieobecność nie zatrwożyła go. Już wcześniej znikła na kilka nocy albo na weekend i nigdy nie kazał jej tłumaczyć, gdzie była i dlaczego nie wróciła na noc. Był opanowanym facetem, nie wtrącał się w jej sprawy. Nigdy przedtem nie zabierała ze sobą całej garderoby i wszystkich pamiątkowych drobiazgów, ale uważał, że byłaby do tego zdolna, mogła przynieść je z powrotem w ciągu godziny, w każdej chwili. Mogła wrócić, bo uciekł jej autobus albo samolot, albo pociąg, albo nie była w stanie znieść dłużej krewnych czy przyjaciela bądź kochanka, u którego nocowała. Błąd. Jej ogromne pragnienia i tęsknota za tym, żeby wszystko w życiu jej się udało, nawet w tych nieznośnych warunkach, w jakich żyła, sprawiały, że popełniała takie błędy. Przecwiczył już zachowania i przygotował przemowy w stylu ojca lub dobrego wujaszka, którymi powitałby ją po powrocie, nie okazując urazy, wściekłości ani niepokoju.

Szukał jakiejś wiadomości. W ich małym pokoju panował taki bałagan, że z łatwością mógł przeoczyć karteczkę. Może sfrunęła za piec albo wpadła za łóżko, albo Sylvie zostawiła świstek papieru na parapecie, a wiatr zwiął go na podwórko. Byłaby to wiadomość napisana jej zamasztytem, niestarannym, okrągłym pismem. Zaczynałaby się od „cześć!”, a zamiast podpisu znalazłby trzy krzyżyki oznaczające pocałunki. Na pewno zostawiła wiadomość na odwrocie jakiegoś mało ważnego świstka, który wyrzucił, kiedy przeszukiwał niepotrzebne papiery. Opróżnił kosz na śmieci, ale kiedy stał po kostki w jego zawartości, zaprzestał poszukiwań i znieruchomiał, bo wyobraził sobie nagle wiadomość napisaną w zupełnie innym stylu, nie zaczynającą się od „cześć” i niekończącą się pocałunkami. Swym poważnym, zbyt wypracowanym stylem przypominałaby list miłosny, ale wcale by nim nie była.

Mógł podzwonić do różnych ludzi. Kiedy wreszcie (po długich staraniach) założono im telefon – ku zdumieniu George’a Mouse’a – spędzała zwykle dużo czasu, rozmawiając ze swoimi przyszywanymi krewnymi. Mówiła bardzo szybko zabawną (w jego uszach) mieszanką hiszpańskiego i angielskiego, wybuchając czasami śmiechem, a niekiedy po prostu krzycząc. Nie znał żadnych numerów, pod które dzwoniła. Sylvie natomiast gubiła często świstki papieru i stare koperty, na których zapisywała te numery. Powtarzała potem na głos różne kombinacje cyfr, z oczami utkwionymi w suficie i próbowała tak długo, aż natrafiła na właściwy numer.

W książce telefonicznej, do której w końcu zajrzał (tak na próbę, bo właściwie nie było takiej potrzeby) ciągnęły się kolumny, wręcz całe armie, ludzi o nazwiskach Rodriguez,

Garcia, Fuentes. Nosili pompatyczne chrześcijańskie imiona: Monserrate, Alejandro. Nigdy nie słyszał, żeby nazywała kogoś takim imieniem. A skoro już mowa o pompatycznych imionach, to ostatni facet w książce telefonicznej nazywał się Archimedes Zzzyandottie.

Poszedł do łóżka o śmiesznej porze, chcąc przyspieszyć w ten sposób nieznana godzinę jej powrotu. Leżał, wsłuchując się w stuki, szумы, jęki i zawodzenie nocy, i próbował wyłowić z tych dźwięków pierwszy odgłos jej kroków na schodach i w korytarzu. Jego serce szybciej zabiło, a sen uciekł, gdy odniósł wrażenie, że słyszy skrobnięcie jej czerwonych paznokci o drzwi. Wzdrygnął się rano po przebudzeniu, nie mogąc sobie uświadomić, czemu Sylvie nie leży obok niego. I wtedy przypomniało mu się, że nie wie, dlaczego.

Na pewno ktoś na farmie coś słyszał, ale Auberon zachowywał daleko posuniętą ostrożność. Ograniczał się do pytań, z których nie wynikało, że jest zmartwiony i zaborczy, że węszy i robi zamieszanie. Ubezpieczał się na wypadek, gdyby Sylvie się o tym dowiedziała. Ale z odpowiedzi, jakie uzyskał od farmerów rozrzucających gnój i sadzących pomidory, wynikało mniej niż z jego pytań.

– Widziałeś Sylvie?

– Sylvie?

Powtarzali jak echo. Nie poszedł do George'a, bo uznał, że to nie na miejscu. Możliwe, że to właśnie do niego uciekła, a nie chciał dowiedzieć się o tym od niego. Nigdy nie widział w kuchni rywala i nie był o niego zazdrosny, ale cóż, nie mógł sobie wyobrazić rozmowy z George'em na temat odejścia Sylvie. Narastał w nim dziwny strach. Widział kuzyna raz czy dwa, pchającego taczki do zagrody dla kóz, i obserwował go potajemnie. Wydawał się taki sam jak zawsze.

Wieczorem Auberon wpadł we wściekłość i wyobrażał sobie, że Sylvie, niezadowolona z faktu, że zostawiła mu mieszkanie, zorganizowała zмовę milczenia, żeby zatrzeć za sobą ślady. Zmowa milczenia i zacierania śladów, powtórzył na głos wiele razy w ciągu długiej nocy, zwracając się do mebli, które bądź co bądź nie należały do niej.

(Jej przedmioty przyzywano właśnie kolejnymi zaklęciami i jeden po drugim wyjmowano z worków trzech złodziei: tępych mężczyzn w brązowych czapkach, którzy je ukradli. Przeliczono je cichymi głosami, a potem ukryto w garbatej skrzyni z żelaznymi okuciami, aby tam czekały, aż zgłosi się po nie właścicielka).

Po drugie

Barman z Baru Siódmego Świętego, „ich” barman, nie zjawił się w pracy ani tej nocy, ani przez dwie kolejne, chociaż Auberon przychodził każdego wieczora, żeby zadać mu parę pytań. Nowy facet nie wiedział, co stało się z jego poprzednikiem. Może wyjechał na wybrzeże. W każdym razie gdzieś wyjechał. Auberon zamówił następną kolejkę, ponieważ nie znał lepszego miejsca, z którego mógłby prowadzić obserwacje, kiedy nie był już w stanie znosić samotnego siedzenia w mieszkaniu. Ostatnio wśród klientów nastąpił przewrót, który

co jakiś czas zdarzał się w barowym życiu. Gdy Auberon posiedział tam dłużej, rozpoznał kilka prawidłowości. Dawni klienci zostali zmiecieni przez nowy tłum przypominający zewnętrznie ten, który znał z czasów, gdy przychodził tu z Sylvie. Byli to właściwie pod każdym względem ci sami ludzie, tyle że wydawali się inni. Jedynie twarz Leona pozostała znajoma. Po kilku kieliszkach dżinu i po stoczeniu wewnętrznej walki Auberon zdobył się na pytanie:

– Widziałeś Sylvie?

– Sylvie?

Oczywiście Leon mógł ukrywać ją w jakimś mieszkaniu na przedmieściu. Mogła też wyjechać na Zachodnie Wybrzeże z barmanem Victorem. Wymyślił to, siedząc noc w noc na stołku naprzeciw szerokiego brązowego okna i obserwując przepływające tłumy. Przyszło mu też do głowy kilka innych wytłumaczeń zniknięcia Sylvie, niektóre wydawały się przekonujące, inne napawały go smutkiem. Szukał w przeszłości przyczyn każdej wymyślonej sytuacji i analizował swoje i jej zachowania oraz wspólne rozmowy. Jedne pomysły zużywały się, wyrzucał je z myśli i zastępował nowymi, tak jak podupadający piekarz usuwa ze skrzynek niesprzedane bochenki chleba i zastępuje je świeżymi, choć tamte są nadal ładne.

Przyszedł do baru w piątek po jej zniknięciu, panował tłok. Przewalał się tłum ludzi spragnionych przyjemności. Wyglądali wytworniej niż klienci przychodzący za dnia (choć nie miał pewności, czy nie są to jedni i ci sami ludzie). Siedział na swym stołku jak na samotnej skale pomiędzy spienionymi falami ludzi spieszących w tę i z powrotem. Słodki zapach alkoholu mieszał się z wonią rozmaitych perfum, a gwar wielu głosów przypominał do złudzenia szum morza. Później, gdy został scenarzystą telewizyjnym, nauczył się określać ten dźwięk słowem „walla”. Kelnerzy lawirowali pomiędzy stolikami, wyciągali korki z butelek i rozkładali sztucce. Starszy mężczyzna o siwych skroniach (siwych raczej z wyboru niż z powodu wieku), ubrany z niedbałą starannością, nalewał wino ciemnoskórej, roześmianej kobiecie w kapeluszu z szerokim rondem.

Tą kobietą była Sylvie.

Przychodziło mu do głowy jedno prawdopodobne wytłumaczenie jej zniknięcia: wstręt do własnej nędzy. Mawiała często, kiedy przerzucała swoje stroje z tanich sklepów i tandetną biżuterię, próbując coś z tego wybrać, że potrzebuje bogatego, starego faceta, którego mogłaby naciągać, gdyby tylko miała odwagę.

– No bo popatrz na te ciuchy!

Przyjrzał się teraz jej rzeczom, nie widział ich wcześniej. Jej twarz ocieniał aksamitny kapelusz, a suknia wyglądała bardzo sztywnie. Światło padało, jakby z rozmysłem, na jej dekolt i oświetlało bursztynową krągłość piersi. Widział to ze swego miejsca. Małe krągłości.

Czy powinien wyjść? Jakżeby mógł? Podniecenie niemal go oślepiło. Przestali się śmiać i wznosili teraz swoje kieliszki, wypełnione po brzegi jasnym winem, a ich oczy spotkały się w

akcie zmysłowego pozdrowienia. Dobry Boże, co za odwaga, przyprowadzić tutaj tego faceta. Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki podłużne pudełko i otworzył je. Mogło zawierać zimne klejnoty: białe i niebieskie. Nie, to była papierośnica. Kobieta wyjęła papierosa, a mężczyzna podał jej ogień. Bardzo rzadko sięgała po papierosa, ale jej sposób palenia był tak samo charakterystyczny jak jej śmiech czy chód, więc czekał z udręką na ten błysk rozpoznania. Przeszkodził mu tłum, który nagle zgęstniał. Kiedy się ponownie rozstał, Auberon zobaczył, że kobieta bierze z krzesła torebkę (również nową) i wstaje. Żeby pójść do kibelka. Odwrócił głowę. Będzie musiała przejść obok niego. Uciec? Nie, na pewno jest jakiś sposób, żeby się z nią przywitać, musi być jakiś sposób, ale miał tylko kilka sekund na wymyślenie czegoś. Cześć. Witaj. Witaj? Witaj, co za spotkanie... Jego serce szalało. Wyliczył dokładnie, w którym momencie będzie koło niego przechodziła, i odwrócił się, mając nadzieję, że wygląda na całkowicie opanowanego, a walenia serca i tak nie słychać.

Gdzie się podziała? Myślał, że kobieta w czarnym kapeluszu, która go właśnie minęła, to ona, ale mylił się. Zniknęła. Przeszła koło niego wcześniej? Ukryła się przed nim? Wracając, będzie musiała znowu go minąć. Teraz będzie miał ją na oku. Może opuści to miejsce, okryta wstydem, wymknie się chyłkiem nachalnemu panu Bogaczowi, który jest w stanie obsypywać ją pieniędzmi, ale nie uczuciami. Kobieta, którą przed chwilą wziął za Sylvie, torowała sobie drogę do stolika, przepychając się przez wytworny tłum – w rzeczywistości w niczym nie przypominała Sylvie, gdy szła zgrabnym krokiem i z zakłopotaniem mówiła „przepraszam”. Wreszcie na powrót zajęła miejsce przy boku pana Bogacza.

Jak mógł choć przez chwilę pomyśleć...? Jego serce zamieniło się w wygasły węgielek, w zimny kamień. Radosny gwar baru przestał docierać do uszu Auberona. Ogarnęło go nagle straszne przecucie, miał wrażenie, że w jego umyśle otworzyło się jakieś okienko, przez które dojrzał (co może znaczyć ta wizja i co teraz nastąpi), co musi się z nim stać. Przywołał drżącą ręką barmana, a drugą w pośpiechu położył na kontuarze banknoty.

Po trzecie

Wstał z ławki w parku. Wraz z nastaniem dnia wzrastał się uliczny hałas, miasto wpadało bez opamiętania w ramiona nowego poranka. Bez oporów, ale z silną nadzieją w sercu, obszedł mały pawilon ze wschodu na zachód i usiadł ponownie naprzeciw lata.

Bachus i jego kumple, sflaczały bukłak na wino i cień pokratkowany jak plansza do warcabów. Za Bachusem sunęli faun i nimfa. Tak, tak było, jest i będzie. Poniżej tej płaskorzeźby, z której emanował nastrój znużenia, znajdowała się fontanna. Przypominała zwykłe fontanny, w których woda tryska z paszczy lwa albo delfina, tylko że tutaj tryskała z twarzy mężczyzny, przypominającej żalostną, tragiczną maskę. Jego włosy wiły się jak żmije. Woda nie wypływała z ust tego smutnego klauna, lecz z jego oczu, i spływała dwoma nieprzerwanymi strumieniami po policzkach i brodzie, po czym wpadała do spienionej, przyjemnie szemrzającej wody w baseniku.

Tymczasem Hawksquill udała się do podziemnego garażu i wsiadła na przednie siedzenie swego samochodu, obite tak delikatną skórą jak ta, z której uszyto jej rękawiczki. Położywszy dłonie w rękawiczkach na drewnianej kierownicy, dostosowanej do ich kształtu i wypolerowanej od dotyku, wycofała długi samochód, zgrabnie nawróciła i skierowała go przodem do wyjazdu. Drzwi garażu otworzyły się z brzękiem, a warkot silnika wypełnił majowe powietrze.

Violet Bramble. John Drinkwater. Nazwiska przywodziły na myśl pokój, w którym w ciężkich, purpurowych i brązowych wazonach stała trawa pampasowa, na ścianach w drobne lilie wisiały rysunki, a zasłony były opuszczone, tak jakby za chwilę miał zacząć się seans. W drewnianych biblioteczkach stały książki Gurdijewa i innych oszustów. Jak mogła się tam narodzić lub umrzeć epoka?

Jadąc na przedmieście nierównymi zrywami, do czego zmuszał ją uliczny ruch, niecierpliwie rozpryskując kołami błoto, rozmyślała: „A jednak to możliwe, całkiem możliwe, że przez te wszystkie lata dochowali tajemnicy, i to ogromnej tajemnicy, i możliwe, że ona, Hawksquill, była o krok od popełnienia bardzo wielkiego błędu. Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy...”.

Ruch trochę zmalął, gdy wyjechała na szeroką szosę prowadzącą na północ. Jej samochód sunął po niej jak igła po starym materiale, nabierając stopniowo szybkości. Wskazówki młodzieńca były dość dziwaczne i niezbyt precyzyjne, ale dobrze je zapamiętała i naniosiła wszystkie na starą składaną planszę do gry w Monopol, którą przechowywała w pamięci na takie okazje.

II

*Gdy z duszy rodzi się pragnienie,
Boskiego trunku trzeba:
Lecz ja po twoich ust nektarze
Wzgardzę nektarem z nieba.¹³*

Ben Jonson

Ziemia toczyła swą kulę i coraz bardziej zwracała oblicze małego parku, w którym Auberon siedział dzień, dwa lub trzy, w stronę nieruchomego Słońca. Ciepłe dni zdarzały się częściej i choć ocieplenie nigdy nie odpowiadało dokładnie regularnym obrotom Ziemi, stało się już bardziej trwałe i mniej kapryśne, a wkrótce miało zapanować niepodzielnie. Auberon, który ciężko pracował w parku, nie zauważył tych zmian i nadal nosił swój płaszcz. Przestał wierzyć w wiosnę, a ta odrobina ciepła nie mogła go przekonać.

Nie ustawaj, nie ustawaj.

Zapamiętam nie ją, ale ten park

Zmagał się jak zawsze z przeszłością, usiłując właściwie ocenić to, co się zdarzyło, dojść do wniosków, które uwzględniłyby wszystkie aspekty sytuacji. Chciał spojrzeć na wszystko dojrzałe i obiektywnie. Istniały prawdopodobnie niezliczone powody odejścia i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jego błędy były tak liczne jak kamienie na ścieżkach, tak ostre i rozgałęzione jak kwitnący głóg.

W fakcie, że miłość się kończy, nie ma żadnej tajemnicy, żadnej oprócz tajemnicy samej miłości. Uczucie było niezmierzone, ale realne jak ta trawa, tak naturalne i niewytłumaczalne jak kwitnienie i wypuszczanie nowych pączków.

Nie, jej odejście było smutne i zagadkowe. To właśnie ono wydawało się czymś nienormalnym i doprowadzało go do szału. Jak mogło go to nie doprowadzić do ruiny? Myślał, że została porwana, zamordowana; myślał o tym, jak planowała swoje własne

¹³ Fragment wiersza „Do Celi” Bena Jonsona w przekładzie Stanisława Barańczaka.

zniknięcie jedynie po to, żeby doprowadzić go do szaleństwa. Tylko dlaczego miałyby jej na tym zależeć? Oczywiście, wściekł się, oszalały, na George'a Mouse'a, nie mogąc już dłużej znieść tej sytuacji. „Powiedz mi, ty sukinsynu, gdzie ona jest, co z nią zrobiłeś”. I widział najprawdziwszy strach George'a, który powtarzał: „Zaraz, zaraz, zaraz” i szukał na chybił trafił kija baseballowego. Nie, poszukując Sylvie, nie był w pełni władz umysłowych, ale czego, do diabła, należało się po nim spodziewać?

Czego, do diabła, należało się spodziewać, skoro po wypiciu czterech dżinów w Barze Siódmego Świętego widywał ją za oknem w tłumie na ulicy, a po pięciu siedziała już na sąsiednim stołku?

Wystarczyła jedna przejażdżka do hiszpańskiego Harlemu, gdzie widział jej niezliczone repliki na wszystkich rogach ulicy, z dziecinnymi wózkami bądź żujące gumę na zatłoczonych przystankach – wszystkie śniade, piękne jak róże – by zaniechał poszukiwań. Żadna nie była nią. Zapomniał całkowicie, jeśli kiedykolwiek pamiętał, do których domów go zabierała, żeby poznać jej krewnych. Wszystkie ulice wydawały się takie same, a jednocześnie zupełnie inne. Mogła znajdować się w każdym z tych monotonnych pokoi, mogła patrzeć zza plastikowych firanek, gdy przechodził ulicą, mogła być w każdym z tych pokoi oświetlonych odblaskiem telewizora i czerwonymi punkcikami świec wotywnych. Jeszcze gorsze okazały się poszukiwania w więzieniach, szpitalach, domach wariatów, w których rządy przejęli najwyraźniej sami pensjonariusze, wszędzie go spławiano. Rozmawiał przez telefon ze zbirami, wariatami i paralytykami, a w końcu przerywano połączenie, przez przypadek bądź celowo. Może nie wysławiał się dość jasno. Jeśli trafiła do jednego z tych publicznych lochów... Nie. Jeżeli szaleństwem było wierzyć, że tak się nie stało, to wołał być szalony.

A na ulicy ktoś często wołał jego imię: cicho, z zawstydzeniem, ze szczęściem i z ulgą, rozkazująco. I przystawał wtedy, patrząc w górę i w dół ulicy, szukając wzrokiem. Stał jak kłoda, nie będąc w stanie jej zobaczyć, ale bojąc się poruszyć, żeby nie straciła go z oczu. Czasem słyszał wołanie ponownie, bardziej natarczywe, ale nadal nic nie widział. I po długim czasie ruszał z miejsca, wiele razy przystając i oglądając się za siebie. W końcu musiał przekonywać się na głos, że to nie była ona i że nie jego imię wołano. „Po prostu zapomnij o tym”. A zaciekawieni przechodnie rzucali mu ukradkowe spojrzenia, widząc, jak dyskutuje sam ze sobą.

Musiał wydawać się szalony, ale kto, do jasnej cholery, ponosił za to winę? On tylko usiłował być rozsądny, starał się nie zwariować, nie poddać całkowicie obsesjom wyobraźni. Walczył zawzięcie, ale w końcu uległ. Chryste, to musi być jakieś dziedziczne obciążenie, przekazywane z pokolenia na pokolenie jak daltonizm...

To już skończone. Nie obchodziło go, czy dzięki parkowi i sztuce pamięci ujawniony zostanie sekret: jej miejsce pobytu. To nie tym zajmował się w parku. Kiedy powierzył tajemnicę swej trwającej rok agonii jedynie rzeźbom, roślinności i ścieżkom, nabrał nadziei i

uwierzył, że pewnego dnia nie będzie już pamiętał swych poszukiwań, ale tylko te przecinające się ścieżki, które prowadząc do wnętrza, wiodły zawsze na zewnątrz. Obiecywała to łatwość, z jaką cały park zaakceptował jego historię.

Nie będzie pamiętał hiszpańskiego Harlemu, ale ten druczany kosz na śmieci za płotem, kosz, w którym leżał zgnieciony egzemplarz „El Diario”, puszka i kawałek owocu mango.

Nie będzie pamiętał Starej Farmy, ale zniszczony karmnik na słupku i jego hałaśliwych mieszkańców, przychodzących, wychodzących, budujących gniazda. Nie będzie pamiętał Baru Siódmego Świętego, ale płaskorzeźbę Bachusa czy Syreniusza, czy ktokolwiek to był, podtrzymywanego przez satyrów o kozich stopach, pijanych niemal tak jak ich bóg.

Nie dziwną, prześladowaną go obsesję poszukiwań, dziedziczną i nieuniknioną, tylko tę tabliczkę umieszczoną na bramie, przez którą wszedł, „Mouse Drinkwater Stone”.

Nie fałszywą Sylvie, która go prześladowała, kiedy był pijany i bezbronny, ale małe dziewczynki skaczące przez skakankę i grające w klasy. Szeptaly do siebie, zerkając na niego podejrzliwie, i zawsze wyglądały tak samo, a jednak trochę inaczej. Może były po prostu inaczej ubrane.

Nie prawdziwą porę roku, ale pory roku na tym pawilonie.

Nie ją, ale ten park.

Nie ustawaj, nie ustawaj.

Nigdy, nigdy, nigdy

Zimne współczucie barmanów przypominało, o czym się przekonał, współczucie księży: było uniwersalne, a nie osobiste, skierowane do wszystkich i nie wykluczające nikogo. Barmani, mocno osadzeni między sakramentem a komunikantem, z uśmiechem wykonywali rytualne i krzepiące ruchy kieliszkiem i serwetką. Raczej nakazywali miłość i zaufanie, niż je zdobywali. Najlepiej było ich sobie zjednać. Wystarczyło serdeczne „cześć” i odpowiednio wysokie napiwki, dawane z taktem.

– Proszę o dzin, Victor, chciałem powiedzieć, Siegfried.

O Boże, ten rozpuszczalnik! Letnie popołudnia rozpuszczały się w dzinie tak, jak kiedyś w szkole błękitnozielony metal rozpuścił się w zlewce z kwasem, kiedy ojciec w przyływie entuzjazmu do nauki przeprowadził doświadczenie. W końcu kawałeczek metalu zniknął zupełnie, a w rozpuszczalniku nie pozostał nawet najmniejszy osad. Co się z tym stało? Co się stało z tym lipcem?

Bar Siódmego Świętego był chłodną jaskinią, chłodną i ciemną jak każda nora. Jasność upalnego dnia, przenikająca przez okna, wydawała się przez to jeszcze bardziej oślepiająca i zadawała gwałt oczom przywykłym do ciemności. Przyglądał się pochodowi wymęczonych twarzy o zmrużonych oczach i ciał obnażonych tak bardzo, jak pozwalało poczucie przyzwoitości i pomysłowość. Skóra Murzynów robiła się szara i tłusta, a białych – czerwona. Tylko Latynosi rozkwitali, ale nawet oni wyglądali niekiedy na nieco osłabionych i

zmęczonych. Upał stanowił zniewagę, tak samo jak zimowy mróz, wszystkie pory roku były tutaj nie na miejscu, tylko dwa dni na wiosnę i tydzień jesienią obiecywał wielkie możliwości, wielki przepych i słodycz.

– Dosić gorąco jak dla ciebie? – powiedział Siegfried.

To on właśnie zastąpił za kontuarem najważniejszego przyjaciela Auberona – Victora. Nawiązywanie kontaktów z tym tłustym, głupim barmanem Siegfriedem nigdy nie sprawiało Auberonowi przyjemności. Wyczuwał w nim okrucieństwo, niemal rozkoszowanie się ludzkimi słabościami, *Schadenfreude* okrywała jego posługę ponurym cieniem.

– Tak – powiedział Auberon. – Tak. – Gdzieś z oddali dobiegły wystrzały. Auberon doszedł do wniosku, że aby nie ulec obawom, należy uznać je za fajerwerki. Nigdy nie widywało się trupów na ulicach, a jeśli już, to tak rzadko jak martwe króliki albo ptaki w lasach. Ciała szybko usuwano. – Ale tutaj jest chłodno – dodał z uśmiechem.

Syreny zawodziły, samochody pędziły w inne miejsce.

– Jakież kłopoty – zauważył Siegfried. – To manifestacja. Ten pochód.

– Pochód?

– Russell Eigenblick. Wielki pokaz. Nie wiedziałeś?

Auberon zamachał rękoma.

– Jezu, gdzie ty byłeś? Słyszałeś o aresztowaniach?

– Nie.

– Jacyś faceci mieli broń i bomby, i bibułę. Znaleźli ich w podziemiach jakiegoś kościoła. To była grupka kościelna. Planowali jakiś zamach czy coś w tym rodzaju.

– Chcieli zamordować Russella Eigenblicka?

– Kto to wie, do jasnej cholery? Może to byli jego ludzie. Nie pamiętam dokładnie. Ale on się ukrywa, tylko dzisiaj jest ten wielki pochód.

– Dla poparcia go czy przeciwko niemu?

– Kto to wie? – Siegfried odszedł. Jeśli Auberon chce się dowiedzieć szczegółów, niech sobie poczyta gazetę. Barman po prostu próbował nawiązać rozmowę, ma ciekawsze rzeczy do roboty niż odpowiadanie na jego pytania. Auberon pił, zmieszany. Ludzie na zewnątrz spieszyli dokądś w grupkach po dwie lub trzy osoby, oglądając się za siebie. Niektórzy krzyczeli, inni się śmiali.

Auberon odwrócił się od okna. Przeliczył ukradkiem swoje pieniądze, rozmyślając o wieczorze i nocy. Wkrótce będzie musiał zejść na niższy poziom, według skali pijaków, będzie musiał opuścić to przyjemne miejsce – nawet więcej niż przyjemne: przebywanie tu było dla niego koniecznością, imperatywem – i przenieść się do gorszego lokalu, jasno oświetlonego, gołego, z kontuarami lepiącymi się od brudu. Siedzą tam rzędem klienci o woskowych twarzach, którzy mają oczy utkwione w cenniku z absurdalnie niskimi cenami. Sklepy monopolowe, tak jak stare książki, są tanie. A potem? Może oczywiście pić w samotności i hurtem, jeśli można tak powiedzieć, ale nie na Starej Farmie i nie w swoim

pokoju.

– Nalej mi jeszcze jednego – powiedział łagodnie – przy okazji.

Postanowił tego ranka, nie po raz pierwszy, że jego poszukiwania są zakończone. Nie będzie ścigał własnych urojeń. Jeśli Sylvie nie chce, żeby ją odnaleźć, to nie można jej odnaleźć. Jego serce zapłakało. A jeśli chce, żeby ją odnaleźć? A może tylko zabłądziła i szuka go w tym samym momencie, gdy on szuka jej? Może nie dalej jak wczoraj rozminęli się w domu, może siedzi gdzieś w pobliżu na ławce w parku albo na stołku w barze i nie wie, jak do niego wrócić, może nawet myśli sobie w tej chwili: „On nigdy nie uwierzy w tę historię (jakakolwiek ona jest), gdyby tylko mogła go odnaleźć, gdyby tylko go odnalazła” i lzy samotności spływają po jej brązowych policzkach... To wszystko było dziwne. To był zupełnie zwariowany, książkowy pomysł i Auberon dobrze o tym wiedział. Kiedyś miał takie świetlane nadzieje, ale po jakimś czasie nadzieja zamieniła się w zgryzotę, w wymówkę i nie miał już nawet bodźca do poszukiwań (o nie, już nie!). I dlatego wszelki zapal ostygł.

Odrzucił nadzieję bezlitośnie i przyszedł do Baru Siódmego Świętego. Wziął wolny dzień.

Musiał jeszcze podjąć tylko jedną decyzję i zrobi to dzisiaj (z pomocą kolejnych kieliszków dzinu). Ona przecież wcale nie istniała! Była urojeniem. Z początku trudno będzie mu przekonać samego siebie, że to najrozsądniejsze rozwiązanie problemu, ale z czasem stanie się to łatwiejsze.

– Nigdy nie istniała – wymamrotał. – Nigdy, nigdy, nigdy.

– Co? – spytał Siegfried, do którego nie docierały zazwyczaj najprostsze prośby o dolewkę.

– Burza – powiedział Auberon, bo właśnie w tym momencie rozległ się huk, który jeśli nie był wystrzałem armatnim, to z pewnością grzmotem.

– Trochę ich ostudzi – stwierdził Siegfried. Co go to obchodziło, i tak siedzi zaszyty w tej jaskini.

Gdy przetoczył się grzmot, dobiegły ich bardziej rytmiczne odgłosy uderzeń w ogromne bębny, gdzieś daleko w śródmieściu. Na ulicach pojawiło się więcej ludzi. Gnali do przodu, jakby obwieszczali nadejście czegoś wielkiego. Wozy policyjne pędziły na skrzyżowania ulic i alei, błyskając błękitnymi światłami, które obracały się na dachach. Pośród ludzi idących ulicą – szli samym środkiem i widok ten rozweselił Auberona – znajdowało się kilka osób w różnokolorowych koszulach, jakie nosili stronnicy Russella Eigenblicka, oraz wielu mężczyzn w ciemnych okularach i przyciasnych garniturach, którzy mieli wetknięte w uszy przyrządy podobne do aparatów słuchowych, ale z pewnością było to coś innego. Omawiali jakieś sprawy ze spoconymi policjantami, wykonywali jakieś gesty rękoma. Uliczny zespół conga, stanowiący kontrpunkt dla odległych uderzeń bębnow, kierował się na północ, otoczony przez uśmiechniętych ludzi o brązowej i czarnej skórze i przez fotografów. Rytmiczna muzyka zmuszała negocjujących z policją do pośpiechu. Mężczyźni w garniturach zdawali się

wydawać polecenia policjantom, którzy mieli na głowach hełmy i byli uzbrojeni, ale najwyraźniej bezsilni. Znowu przetoczył się grzmot, tym razem głośniejszy.

Po przyjeździe do Miasta, a przynajmniej po długim okresie obserwowania tłumów, Auberon odkrył, że mieszkańcy Miasta dzielą się na kilka różnych typów. Nie były to typy wyodrębnione na podstawie kryteriów fizycznych, społecznych czy rasowych, chociaż czynniki, które określa się jako fizyczne, społeczne czy rasowe pomagają klasyfikować ludzi. Nie potrafił powiedzieć, ile dokładnie można było wyróżnić tych typów, ani nie umiał ich precyzyjnie zdefiniować czy nawet zapamiętać, gdy nie miał przed oczyma konkretnego przykładu. Ale przyłapał się na tym, że bez przerwy powtarza sam do siebie: „Aha, to jeden z tego rodzaju ludzi”. Nie okazało się to, oczywiście, pomocne w poszukiwaniach Sylvie, jakkolwiek bowiem była niepowtarzalna i całkowicie zindywidualizowana, to jej repliki, należące do tego samego nieokreślonego typu co ona, prześladowały go na każdym kroku. Wiele z tych kobiet nawet jej specjalnie nie przypominało. Ale mimo to były jej siostrami i ich widok dręczył go o wiele bardziej niż widok kobiet, które zewnętrznie były do niej podobne, jak na przykład te dziewczyny wsparte na smukłych, muskularnych ramionach swoich chłopców czy mężów. Szły one w ślad za zespołem conga, tańcząc na ulicach. Za nimi wylaniała się większa i ważniejsza rangą grupa.

Kroczyły w niej ramię w ramię skromnie ubrane matrony i mężczyźni: czarne kobiety o szerokiej piersi, z perłami na szyi i w okularach oraz mężczyźni w nędznych filcowych kapeluszach, wielu z nich było chudych i zgarbionych. Auberon często się zastanawiał, jak to możliwe, że masywne i tłuste czarne kobiety mają na starość twarze jakby wyrzeźbione z granitu, twarde jak garbowana skóra, skoro te cechy są zwykle przynależne ludziom szczupłym. Grupa ta niosła transparent rozciągający się przez całą szerokość ulicy. Wycięto w nim dziury w kształcie półksiężyca, aby nie wydymał się jak żagiel i nie porwał ich za sobą. Litery ułożone z cekinów tworzyły napis: Kościół Wszystkich Ulic.

– To ten kościół – powiedział Siegfried, który przysunął się do okna i tam wycierał kieliszki, żeby niczego nie uronić. – Gdzie znaleźli tych facetów.

– Z bombami?

– Mają mocne nerwy.

Ponieważ Auberon nadal nie wiedział, czy zamachowcy schwytani w Kościele Wszystkich Ulic byli za czy przeciw człowiekowi, dla poparcia którego lub przeciwko któremu odbywała się manifestacja, przypuszczał, że barman ma rację.

Grupa Kościoła Wszystkich Ulic złożona była głównie z przyzwoitej biedoty, ale towarzyszyło jej również dwóch ludzi Eigenblicka w kolorowych koszulach i jeden człowiek z aparatem słuchowym. Grupę eskortowali rekruci, pieszo i w ciężarówkach, uzbrojona konnica oraz gapie.

Dwaj czy trzej mężczyźni z tego tłumy zostali zepchnięci do baru, zupełnie jakby uniosła ich fala przyływu, i wnieśli do środka gorący oddech upalnego dnia i zapach potu

maszerujących. Ponarzekali głośno na upał, ale raczej za pomocą piskliwych gwizdów i jęków niż słów, po czym zamówili piwo:

– Proszę, weź to – powiedział jeden z nich, wyciągając do Auberona żółtą dłoń. Wręczył mu pasek papieru jak w chińskim ciasteczku z niespodzianką. Wydrukowano na nim jakąś sentencję, ale mężczyzna zamazał spoconą dłonią część zdania i Auberon odczytał tylko słowo „posłanie”. Pozostali dwaj porównywali podobne paski papieru, śmiejąc się i obcierając z ust pianę od piwa.

– Co to znaczy?

– To ty sam masz się tego domyślić – powiedział wesoło mężczyzna. Siegfried postawił przed Auberonem kieliszek. – Może jak ci się uda, wygrasz nagrodę na loterii, ha? Rozdają to w całym mieście.

I rzeczywiście, Auberon dostrzegł na zewnątrz rząderek mimów czy klaunów o białych twarzach, towarzyszących grupie Kościoła Wszystkich Ulic. Odańczyli jakiś murzyński taniec, wykonywali proste akrobacje, podrzucali sponiewierane kapelusze, strzelali z kapiszonów i rozdawali wśród tłumu, który ich szczelnie otaczał, małe pasczki papieru. Dorośli wyciągali po nie ręce, dzieci dopraszały się o więcej, wszyscy je czytali i porównywali. Jeśli nikt ich nie odbierał, klauni puszczały je z wiatrem. Jeden z nich pokręcił rączką syreny, którą zawiesił na swojej szyi. Doleciało ich słabe, ale straszne zawodzenie.

– Co u diabła – zdumiał się Auberon.

– Kto to wie? – odparł Siegfried.

Maszerująca orkiestra zaczęła wygrywać jakąś melodię. Rozległ się trzask mosiężnych instrumentów i nagle cała ulica wypełniła się jasnymi, jedwabnymi flagami w paski i w gwiazdki. Sztandary łopotały i zwijały się na gwałtownym wietrze. W górę wzbily się okrzyki. Na niektórych transparentach widniały podwójne orły o dwóch sercach płonących w piersi, w dziobach niektórych z nich zatknięte były róże, zaś w szponach – gałązki mirtu, miecze, strzały i pioruny. Orły zwieńczone krzyżami, półksiężycami lub obydwoma symbolami, krwawiące, promienne lub płonące. Zdawały się płynąć i unosić na strasznej fali marszowych melodii wykonywanych przez zespół, który nie był umundurowany. Jego członkowie mieli na głowach kapelusze, z tyłu zaś doczepione ogony oraz papierowe skrzydła nietoperza. Przed nimi niesiono chorągiew w kolorze królewskiego błękitu, ozdobioną złotymi frędzlami, ale zanim Auberon zdążył odczytać napis, przeszli dalej.

Stali bywalcy baru stłoczyli się przy oknach. – Co się dzieje? Co się dzieje? – Mimowie i klauni szli na obrzeżach pochodu, rozdając paski papieru, zwinnie umykając przed wyciągającymi się dłońmi. Fikali koziołki lub nosili się nawzajem na barana. Auberon, niezłe już wstawiony, był w radosnym nastroju, tak jak wszyscy, a nawet bardziej, ponieważ nie miał pojęcia, w jakim celu wydatkowano na te wariactwa tyle energii, po co ten cały marsz, to powiewanie flagami. Do baru wtargnęli następni uciekinierzy. Przez chwilę wyraźniej rozbrzmiewała muzyka: orkiestra nie należała do najlepszych, prawdę mówiąc, była to

kakofonia, ale głośna perkusja wybijała równy rytm.

– Dobry Boże – powiedział zmizerowany człowiek w pogniecionym ubraniu i słomkowym kapeluszu, niemal pozbawionym randa. – Dobry Boże, tamci ludzie.

– Sprawdź to – powiedział czarnoskóry mężczyzna.

Wtargnęli następni: czarni, biali i inni. Siegfried, stojący we wnęce, wydawał się zaskoczony. Miał nadzieję, że popołudnie minie spokojnie. Nagle głosy klientów pochłonął ryczący huk. Na zewnątrz, prosto w wąwóz ulicy, z głośnym jękiem opuszczał się helikopter. Zawisł w powietrzu, po czym wzniósł się ponownie, wywołując podmuch wiatru na ulicach. Ludzie kurczowo trzymali kapelusze i uciekali zakosami jak ptactwo domowe przed jastrzębiem. Z helikoptera wydawano rozkazy, które docierały na dół jak niewyraźny krzyk, powtarzano je raz po raz, bardziej ponaglać, ale tak samo niewyraźnie. Ludzie na ulicy odkrzykiwali coś z przekorą. Helikopter wzbił się w powietrze, ostrożnie zawracając. Za odlatującym smokiem poleciały gwizdy i krzyki.

– Co mówili, co mówili? – pytali się nawzajem klienci w barze.

– Może – powiedział Auberon w przestrzeń – ostrzegali ich, że zbiera się na deszcz.

Rzeczywiście mogło lunąć. Ale ludzie o to nie dbali. Koło baru przechodzili właśnie następni muzycy conga, tłum śpiewający w rytm tej muzyki niemal zmiotł ich z ulicy: „Niech leje, niech pada, niech leje, niech pada”. Wybuchły bójki, a raczej przepychanki, dziewczęta piszczały, a gapie rozdzielali walczących. Wyglądało na to, że pochód zamienia się w rojowisko, że dojdzie do rozruchów. Ale powietrze przeszły niecierpliwe dźwięki klaksonów i tłum się rozstał, żeby umożliwić przejazd kilku czarnym limuzynom, na których błotnikach łopotały proporce. Za samochodami pędzili mężczyźni w garniturach i ciemnych okularach, patrząc wszędzie i nigdzie. Twarze mieli wykrzywione: dla nich nie była to zabawa. Nagle na scenie zrobiło się ciemno, jakby nadciągało coś złowieszczonego. Przymglone, jaskrawopomarańczowe światło późnego popołudnia zgasło w jednej chwili jak reflektor. Czarne chmury musiały zasłonić słońce. Wiatr potargał nawet krótko przycięte włosy panów w garniturach. Orkiestra przestała grać, tylko perkusja nadal wybijała rytm, ale brzmienie instrumentu było teraz żałobne i uroczyste. Tłumy ścieśniły się wokół samochodów z zaciekawieniem, nawet ze złością. Zostały odsunięte. Girlandy kwiatów ozdobiły niektóre limuzyny. Pogrzeb? Nie sposób było cokolwiek zobaczyć przez przydymione szyby.

Bywalcy baru przycichli z szacunkiem i z żalem.

– Ostatnia nadzieja – powiedział mężczyzna w słomkowym kapeluszu. – Cholernie ostatnia cholerna nadzieja.

– Wszystko skończone – powiedział inny i pociągnął spory łyk. – Wszystko skończone, można tylko krzyczeć.

Samochody zniknęły im z oczu. Tłum ponownie zalał ulicę i ruszył w ślad za pojazdami. Uderzenia perkusji przypominały bicie umierającego serca. Wtem, gdy orkiestra znowu zaczęła grać, rozległ się straszliwy grzmot i wszyscy w barze schylili głowy jak jeden mąż, po

czym popatrzyli po sobie i roześmiali się, zmieszani, że tak się dali zaskoczyć.

Auberon jednym haustem dopił piąty kieliszek dżinu i zadowolony z siebie, chyba tylko z tego powodu, powiedział:

– Niech leje, niech pada. – Wyciągnął do Siegfrieda pusty kieliszek bardziej rozkazującym gestem niż zwykle: – Następny.

Deszcz lunął w jednej chwili. Wielkie krople rozpryskiwały się głośno na wysokich oknach, a po chwili na miasto spadła wielka masa wody. Deszcz syczał wściekle, jak gdyby miasto było rozgrzane do czerwoności. Spływał, wijąc się strugami po ciemnym szkłe, do reszty przysłaniając pochód.

A wyglądał on teraz tak, jakby szeregi ludzi, w kapturach z dziurami wyciętymi na oczy albo w papierowych maskach podobnych do masek spawaczy, dźwigały kije golfowe albo batuty i kroczyły za limuzynami, napotyając jakiś niewidoczny opór. Trudno było stwierdzić, czy stanowili tylko kolejną grupę w pochodzie, czy też opozycję. Bar wypełnił się nagle rozwrzeszczanymi ludźmi uciekającymi przed ulewą. Jeden z mimów czy klaunów, z którego twarzy spływała biała farba, wpadł do środka, kłaniając się, ale nieliczne okrzyki powitania nie były dość przyjazne, więc skłonił się ponownie.

Waliły pioruny, lał deszcz, burzowe ciemności pochłonęły zachód słońca, tłumy płynęły zalanymi ulicami w blasku ulicznych latarni. Słychać było tłuczenie szkła, krzyki, tumult, syreny – odgłosy wojny. Ludzie wybiegli na zewnątrz, chcąc to zobaczyć lub dołączyć się, ale zastąpili ich inni, uciekający z ulicy, którzy zobaczyli już dość. Auberon nie ruszał się ze swojego stołka, spokojny, szczęśliwy, i podnosił kolejny kieliszek do ust, odchylając mały palec. Uśmiechnął się uszczęśliwiony do zatroskanego człowieczka w słomkowym kapeluszu, który stanął obok niego.

– Pijany jak bela – powiedział tamten. – Dosłownie. Belany jak pija, to znaczy kiedy bela jest pijana. Jeśli pójdziesz za mną. – Mężczyzna westchnął i odwrócił się.

– Nie, nie – krzyknął Siegfried, zasłaniając się rękoma. Do środka wtargnęła właśnie grupa stronników Eigenblicka, ich mokre kolorowe koszule lepiły się do ciał. Jeden z nich był ranny, na jego twarzy widniała krwawa pajęczyna, pozostali podtrzymywali go. Nie zwrócili uwagi na Siegfrieda. Tłum, mruczając, zrobił im przejście. Mężczyzna obok Auberona patrzył na nich otwarcie i zaczepnie, prowadząc z nimi w myślach rozmowę, której treści nie sposób było zgadnąć. Ktoś zwolnił stolik, przewracając kieliszek, i ranny człowiek opadł na krzesło.

Zostawili go tam, żeby odzyskał siły, i precyzyjnie się do baru. Mężczyzna w słomkowym kapeluszu przesiadł się na inne miejsce. Siegfried sprawiał przez chwilę wrażenie, jakby nie chciał ich obsłużyć, ale jednak zmienił zdanie. Ktoś z grupy usadowił się na stołku obok Auberona: nieduża osoba, której plecy okrywała kolorowa koszula kompana. Inny stanął na palcach i podnosząc wysoko kieliszek, wznosił toast:

– Za Objawienie!

Wielu ludzi wykrzyknęło, za lub przeciw. Auberon pochylił się w stronę swojego sąsiada

i zapytał:

– Jakie objawienie?

Podniecona, starła z twarzy krople deszczu i odwróciła się do Auberona. Włosy miała obcięte bardzo krótko, jak chłopak.

– Objawienie – powiedziała, wręczając mu świstek papieru.

Teraz. Teraz, gdy była obok niego, nie chciał spuścić z niej oka, obawiając się, że jeśli odwróci głowę, to nie będzie jej tu, gdy znowu na nią spojrzy. Dlatego też przysunął kartkę do prawie niewidzących oczu. Napis brzmiał: „Nie z twojej winy”.

To bez znaczenia

W rzeczywistości siedziały obok niego dwie Sylvie, każdym okiem widział jedną. Przykrył jedno oko dłonią i powiedział:

– Dawno cię nie widziałem.

– No. – Popatrzyła na towarzyszy, uśmiechając się i drżąc z zimna. Ich entuzjazm i wspaniałość były porywające.

– Tak przy okazji, dokąd poszłaś? – zapytał Auberon. – Gdzie byłaś? – Wiedział, że jest pijany i musi mówić ostrożnie i łagodnie, żeby Sylvie tego nie zauważyła i nie musiała się wstydzić za niego.

– Tu i tam – rzuciła.

– Nie wydaje mi się – powiedział i chciał dodać: nie wydaje mi się, żebyś tak mi odpowiedziała, gdybyś nie była prawdziwą Sylvie, ale przerwały mu kolejne toasty i dalszy napływ ludzi. Stwierdził więc tylko: – Gdybyś była urojeniem.

– Co? – spytała Sylvie.

– Chciałem spytać, jak ci się powodziło! – Czuł, że głowa chwieje mu się na szyi, i usiłował powstrzymać ten ruch. – Mogę ci postawić drinka? – Zaśmiała się na te słowa. Ludzie Eigenblicka nie musieli tej nocy płacić za drinki. Jeden z kompanów ucisnął ją i pocałował: – Miasto upadło! – wykrzyknął zachrypniętym głosem, niewątpliwie krzyczał przez cały dzień. – Miasto upadło!

– Heeeej! – zawołała, solidaryzując się raczej z jego entuzjazmem niż z uczuciami. Odwróciła się do Auberona.

Spuściła oczy, wyciągnęła do niego rękę. Już miała wszystko mu wytłumaczyć, ale nie zrobiła tego, tylko wzięła swój kieliszek, pociągnęła z niego mały łyk (patrzac ponad brzegiem naczynia na Auberona) i odstawiła go z powrotem, krzywiąc się z niesmakiem.

– Dżin – powiedział.

– Smakuje jak alcolado – odparła.

– To nie musi być dobre – wyjaśnił – ma tylko dobrze ci zrobić. – Usłyszał w swym głosie dawny żartobliwy ton, którym przekomarzał się z Sylvie; ton, którego nie używał od tak dawna, że miał wrażenie, iż słucha starej muzyki lub próbuje jedzenia, którego nie

kosztował od lat. Dobrze ci zrobi, tak. Ponieważ niepokojące myśli, że ma przed sobą tylko urojenie, ścisnęły jego umysł jak imadło, napił się znowu i uśmiechnął do niej promiennie, gdy ona uśmiechnęła się, widząc kotłujące się wokół nich szaleństwo.

– Jak się miewa pan Bogacz? – zapytał.

– Dobrze. – Zamilkła i nie patrzyła na niego. Nie miał zamiaru podtrzymywać tego tematu, ale rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, co dzieje się w jej sercu.

– Byłaś chociaż szczęśliwa?

Wzruszyła ramionami.

– Byłam zajęta – uśmiechnęła się nieznacznie. – Zajęta mała dziewczynka.

– Chodzi o to... – przerwał. Ostatnia ostrzegawcza lampka zapaliła się w jego mózgu, nakazując milczenie i przezorność, ale po chwili zgasła. – To bez znaczenia – powiedział. – Wiele o tym ostatnio myślałem, no wiesz, mogłabyś się domyślić, o nas i w ogóle, to znaczy o tobie i o mnie. I wymyśliłem, że właściwie tak ogólnie jest w porządku, naprawdę.

Oparła policzek na dłoni i przyglądała mu się jak urzeczona, ale nie słuchała uważnie, tak jak zawsze, kiedy snuł swoje wywody.

– Przeprowadziłaś się, to wszystko, no nie? Wszystko się zmienia, życie się zmienia, co mogę na to poradzić? To nie podlega dyskusji. – Nagle zaczęło to być dla niego niezwykle jasne. – To tak, jakbym był z tobą tylko w czasie jednego stadium twojego rozwoju, w czasie stadium poczwarki. Ale wyrosłaś z tego, stałaś się inną osobą. Jak motyl. – Tak, opuściła przezroczystą muszlę, będącą schronieniem dla dziewczyny, którą znał i tulił do serca, a on ocalił tę muszlę (tak jak przechowywał w dzieciństwie puste kokony). To było wszystko, co mu po niej pozostało, tym cenniejsze, że bardzo kruche i zawierające doskonałą pustkę. Tymczasem (choć znajdowała się już poza zasięgiem jego wzroku i wiedzy, dostępna tylko dzięki wyobraźni) wyrosły jej skrzydła i odleciała: nie tylko zmieniła miejsce pobytu, ale również przybrała inną postać. Zmarszczyła nos i otworzyła usta ze zdumieniem.

– Jakie stadium? – zapytała.

– Jakieś wczesne stadium – powiedział.

– Ale co to było za słowo?

– Poczwarka – odparł.

Przetoczył się grzmot, burza oddalała się, deszcz znowu padał. Czy to, co przed nim siedziało, to była tylko dawna przezroczysta zjawa? Czy rzeczywiście cielesna Sylvie? Musiał to odróżnić bez wahania. I dlaczego pozostał mu po niej cielesny kształt, czy to było ciało jej duszy, czy dusza jej ciała?

– To bez znaczenia, to bez znaczenia – powtarzał głosem nabrzmiałym ze szczęścia. Jego serce było skąpane w dżinie ludzkiej dobroci. Przebaczył jej wszystko w zamian za samą obecność, kimkolwiek była. – Bez znaczenia.

– Słuchaj, to naprawdę nieważne – powiedziała, podniosła jego kieliszek i pociągnęła z niego energicznie. – Płyn z prądem, no wiesz.

– Wszystko minie – powiedział. – Tyle tylko wiemy, nic więcej...

– Muszę iść – przerwała mu. – Do kibla.

Wróciła, chociaż nie spodziewał się tego, i była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętał. Kiedy widział, jak wraca, serce mu załomotało, tak jak wtedy, gdy siedząc obok, odwróciła twarz w jego stronę. Zapomniał, że wyparł się jej trzy razy, że postanowił, iż nigdy nie istniała. Wydawało się to absurdalne, skoro była tu, skoro mógł pocałować ją na zewnątrz w strugach deszczu. Jej mokra skóra była tak zimna, jak skóra każdej zjawy, jej sutki tak twarde jak niedojrzałe owoce, ale wyobraził sobie, że robi się ciepła.

Sylvie i Bruno zadecydowali

Bywa, że czar trwa długo i trzyma świat w swej mocy, a czasem szybko pryska i pozostawia świat w niezmienionej postaci. Alkohol jest znany z tego, że jego działanie nie trwa długo.

Auberon obudził się gwałtownie z nastaniem świtu po kilku godzinach nieprzytomnego snu podobnego do śmierci. Wiedział natychmiast, że powinien być martwy, śmierć bowiem była dla niego najstosowniejszym stanem, i że jednak żyje. Zajęczał cicho schrypniętym głosem: „Nie, o Boże, nie”, ale świadomość wróciła, a sen go całkiem opuścił. Żył i otaczał go ohydny świat. Utkwił oczy w zaciekach na suficie, których widok doprowadzał go do szału: mapa z wieloma diabelskimi wyspami na tynku. Nie potrzebował patrzeć, żeby zdać sobie sprawę, iż Sylvie nie ma obok niego.

Jednakże ktoś tam leżał, omotany wilgotną pościelą (było już bardzo gorąco, chłodny pot pokrywał szyję i czoło Auberon). Ktoś do niego coś mówił, poufny i kojący głos dobiegał z rogu sypialni: „Och, za łyk wina chłodzonego przez wieki w głębinach ziemi, wina o smaku flory i wiejskiej zieleni...”.

Głos wydobywał się z małego, czerwonego, starego radia, na którym widniał wypukły napis „Silverton”. Auberon nie wiedział, że ten rupieć w ogóle działa. Głos należał do czarnoskórego mężczyzny, jedwabisty głos prezentera: czarny, ale znamionujący człowieka wykształconego. Boże, oni są wszędzie, pomyślał Auberon, przytłoczony strasznym uczuciem obcości, tak jak podróżnik, który uświadamia sobie nagle, jak wielu cudzoziemców go otacza. „Precz! Precz! Przylecę do ciebie nie w zaprzęgu Bachusa, ale na niewidocznych skrzydłach poezji”.

Powoli, jak kaleka, Auberon wstał z łóżka. Kto, do diabła, leży w jego łóżku? Spod pościeli wystawało duże, muskularne, brązowe ramię, a kołdra unosiła się delikatnie. Dobiegało spod niej chrapanie. Chryste, co ja zrobiłem? Już miał ściągnąć kołdrę, gdy sama się poruszyła i wychynęła spod niej noga pokryta kręconymi, czarnymi włosami. To mu dostarczyło kolejnej poszlaki. Tak, w łóżku leży mężczyzna. Auberon otworzył ostrożnie drzwi do łazienki i zdjął z wieszaka swój płaszcz. Włożył go na gołe ciało, czując ze wstrętem

zimną wilgoć podszewki na skórze. Poszedł do kuchni i trzęsącymi się kościstymi rękoma otwierał wszystkie szafki po kolei. Pustka zakurzonych półek wydawała mu się upiorna. W ostatniej znalazł butelkę rumu Doña Mariposa, w której zostało jeszcze trochę bursztynowego trunku. Skręcał mu się żołądek, ale wyjął butelkę. Podeszedł do drzwi, rzucając okiem na łóżko – jego nowy przyjaciel nadal spał – i wyszedł na korytarz.

Usiadł na schodach i zagapił się na nie, trzymając w ręku butelkę. Tak straszliwie tęsknił za Sylvie i za pocieszeniem, był tak spragniony, że otworzył usta i pochylił się do przodu, jakby chciał krzyknąć lub wymiotować. Ale w oczach nie pojawiły się łzy. Wyschły w nim ożywcze płyny, był jak wysuszona łupinka, cały świat był jak łupinka. A ten facet w łóżku. Odkręcił (co wymagało pewnej siły) zakrętkę i nie patrząc na oskarżycielską etykietę, zesłał ognisty deszcz na pustynię. Słucham w ciemnościach. Słowa Keatsa, recytowane pełnym słodczy głosem, przenikały przez szparę pod drzwiami i wpadały przymilnie do jego uszu. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, wydawały się pełne aluzji. Wypił ostatnią kroplę rumu i wstał, sapiąc i przelękając ślinę.

Zakręcił pustą butelkę i zostawił ją na schodach. W lustrze, wiszącym nad stolikiem na końcu korytarza, uchwycił odbicie jakiegoś smutnego i opuszczonego osobnika. Samo słowo ma siłę dzwonu. Odwrócił spojrzenie. Poszedł do sypialni, jak Golem, którego gliniane ciało ożywił na chwilę rum. Teraz mógł rozmawiać. Podeszedł do łóżka. Leżąca w nim osoba rzuciła pościel: wyglądała jak Sylvie, tylko w męskim wcieleniu. Czar nie działał, ten lubieżny chłopiec był realny. Auberon potrząsnął jego ramieniem. Sylvie przetoczyła się na poduszce. Ciemne oczy rozchyliły się na moment, zobaczyły Auberona i zamknęły się na powrót.

Auberon, pochylony nad łóżkiem, powiedział prosto do ucha chłopca:

– Kim jesteś? – Mówił powoli i starannie, na wypadek gdyby osobnik nie znał dobrze angielskiego. – Jak ci na imię?

Chłopiec pokręcił się na łóżku, rozbudził, przesunął ręką po twarzy od czoła do podbródka, jakby chciał w ten sposób usunąć podobieństwo do Sylvie (co mu się nie udało) i powiedział zaspanym głosem:

– Hej, co jest.

– Jak ci na imię?

– Hej, cześć, Jezu Chryste. – Położył się z powrotem, cmokając wargami. Pocierał oczy palcami jak dziecko. Drapał się i gładził bezwstydnie, jakby zadowolony ze swego ciała. Uśmiechnął się do Auberona i powiedział: – Bruno.

– Och.

– No, pamiętasz.

– Och.

– Wyszliśmy z tego baru.

– Och, och.

– Rany, byłeś spity.

– Och.

– Pamiętasz? Nawet nie mogłeś...

– Och. Nie. Nie. – Bruno patrzył na niego i nie wydawał się przejęty. Nadal głąaskał się po klatce piersiowej.

– Powiedziałeś: poczekaj – dodał, śmiejąc się. – To były twoje ostatnie słowa, stary.

– Ach tak? – Nie pamiętał tego, ale czuł dziwny żal i chciało mu się śmiać i płakać, że zawiódł Sylvie, kiedy ten osobnik był Sylvie.

– Przykro mi – przeprosił.

– E tam – odparł Bruno wspaniałomyślnie.

Auberon chciał odejść, wiedział, że powinien to zrobić; chciał zapiąć płaszcz, spod którego ukazywało się gołe ciało, ale nie mógł. Gdyby tak zrobił, gdyby nie wypił swego kielicha do dna, to nadal pozostałoby w naczyniu kilka kropel czarownego napoju, który tak na niego podziałał zeszłej nocy, i być może już na zawsze znajdowałby się pod jego urokiem. Spojrzał na szczerą twarz Bruna, bardziej ujmującą niż twarz Sylvie. Nie było na niej śladów namiętności, choć jak twierdziła Sylvie, silne emocje zawsze nim targały. Przyjazna twarz: to było najwłaściwsze słowo na określenie Bruna. Łzy błysnęły w oczach Auberona.

– Czy masz siostrę? – zapytał.

– No chyba.

– Wiesz może, gdzie ona jest?

– Nie. – Machnął lekceważąco ręką, prawie tak samo, jak robiła to Sylvie. – Nie widziałem jej od miesiący. Kręci się gdzieś.

– Tak. – Gdyby tylko mógł zanurzyć ręce we włosach Bruna. Chociaż na chwilę. To by mu wystarczyło. I zamknąć piekące oczy. Na samą myśl zrobiło mu się słabo i musiał położyć się na łóżku.

– Prawdziwa latawica – powiedział Bruno. Bez skrupowania przemieścił się ociężale na łóżku, żeby zrobić miejsce dla Auberona. – Co? Latawica. Sylvie. – Śmiejąc się, złączył kciuki i ruchami rąk naśladował małe latające stworzenie. Machał tak przez chwilę dłońmi, uśmiechając się do Auberona. A potem stworzonko, trzepocząc skrzydełkami, zawezwało Auberona do lotu.

Jak daleko zaszedłeś

Bruno spał oczywiście tak jak jego siostra: jak zabity. Auberon nawet nie starał się zachowywać cicho. Wyciągnął swoje rzeczy z kufra i z szafy i porozrzucił je po całym pokoju. Otworzył zielony plecak, włożył do niego swoje wiersze oraz inne rzeczy, nad którymi pracował, wrzucił do środka brzytwę, mydło i tyle ubrań, ile tylko mogło się zmieścić. Do kieszeni plecaka wetknął wszystkie pieniądze, jakie znalazł.

Odeszła, odeszła, pomyślał, umarła, umarła. Pozostała pustka. Ale żadne zaklęcia nie

były w stanie przegonić z tego miejsca choćby najslabszej, najbledszej zjawy. Tak więc mógł zrobić tylko jedno: uciec stąd. Uciec. Przemierzał pokój w tę i z powrotem, zaglądając z pośpiechem do szuflad i na półki, jego znieważony penis kołysał się swobodnie. W końcu skrył go pod majtkami i spodniami, ale i tak sterczał oskarżycielsko, nawet gdy był ukryty. Pakowanie okazało się bardziej pracochłonne niż sądził. Upychając parę skarpetek do kieszeni plecaka, znalazł tam coś, o czym zapomniał: mały przedmiot zawinięty w papier. Wyjął go.

Był to prezent, który dała mu Lily w dniu, kiedy wyruszał do miasta na poszukiwanie szczęścia: mały upominek zawinięty w biały papier. „Otwórz ten prezent, gdy o nim pomyślisz” – powiedziała.

Rozejrzył się po sypialni. Pusta. Tak pusta jak zawsze. Bruno leżał na zbezczeszczonym łóżku, a jego różnokolorowy płaszcz wisiał na krześle obitym aksamitem. Mysz? A może to halucynacje, czy już tak nisko upadł? Miał wrażenie, że przebiegła przez kuchnię i ukryła się. Rozpakował paczuszkę od Lily.

Zawierała jakiś mały przyrząd. Wpatrywał się w niego bezmyślnie przez dłuższą chwilę, obracając go w lepkich i drżących dłoniach, zanim zdał sobie sprawę, co to jest: krokomierz. Mały przyrząd, który można zawiesić na pasku, żeby informował, jak daleko zaszedłeś.

Dno butelki

Mały park zapełniał się. Dlaczego nie wiedział, że miłość może być właśnie taka? Dlaczego nikt go nie uświadomił? Gdyby wiedział, nigdy by się nie zaangażował, albo przynajmniej nie z taką gorliwością. Dlaczego on, młody i w końcu dość inteligentny człowiek z dobrej rodziny, nic o niczym nie wiedział?

Opuszczając Starą Farmę, by zamieszkać na ulicach cuchnącego upałem i podupadającego miasta, sądził, że ucieka od Sylvie. A tymczasem ściagał ją i to z coraz gorszym skutkiem. Pijacy – mawiała stryjeczna ciotka Cloud – piją, żeby uciec od swoich problemów. Jeśli tak było w jego przypadku (a z pewnością robił, co w jego mocy, żeby zostać pijakiem), to jakim cudem spotykał Sylvie, nie za każdym razem, ale dość często, w momencie, gdy według Cloud pijacy znajdują zapomnienie, to znaczy gdy ukazywało się dno butelki? Nie ustawaj. Jesień przedstawiała oczywiście żniwa, powiązane snopy pszenicy, dorodne owoce. A z oddali nadciągał żwawo Północny Wiatr z wydętymi policzkami i zmierzwionymi brwiami.

Kim była dziewczyna, która obcinała sierpem ciężkie kłosa? Wyglądała tak samo, jak ta, która sadziła wiosną młode roślinki. A kim był młody człowiek, skulony na ziemi zasypanej bogactwami, który ukazywał zamyślony profil? Rozmyśla o zimie...

W listopadzie wszyscy troje – on, ona i Fred Savage, jego mistrz włóczęgowskiego życia, który ukazywał mu się wtedy tak często jak Sylvie, tyle że był bardziej realny – siedzieli skuleni w parku, ale nie było im niewygodnie. W mieście zapadał zmrok. Przy każdym

poruszeniu szeleściły gazety, które Fred Savage miał w kieszeniach, ale on ruszał się tylko wtedy, gdy podnosił do ust butelkę brandy. Śpiewali i recytowali pijackie wiersze:

*Popijałem ostro ze starym kumplem
I stałem się bezdomnym lumpem.*

A potem siedzieli, rozmyślając o tej straszliwej godzinie, gdy na ulicach nie zapalano jeszcze latarni.

– Stary Hawk jest w mieście – powiedział Fred Savage.

– Co to?

– Zima – zauważyła Sylvie, wpychając dłonie pod pachy.

– Trzeba ruszyć kości – stwierdził Fred Savage, pociągając łyk i szeleszcząc gazetami. – Trzeba ruszyć stare kości i pojechać na Florydę.

– No właśnie – powiedziała Sylvie takim tonem, jakby nareszcie ktoś zaproponował coś sensownego.

– Stary Hawk nie jest moim przyjacielem – zauważył Fred Savage. – Stawka na wyścigach dla każdego, kto prześcignie tego chłopca. Philly, Baltimore, Charleston, Atlanta, J'ville, St. Pete. Miami. Widział kiedy pelikana?

Nie widział. Sylvie za to widywała je od najwcześniejszego dzieciństwa: fregaty karaibskich wieczorów, piękne i absurdałne.

– Tak, tak – powiedział Fred Savage. – Mają wielkie dzioby. Wyrrywają sobie pióra z piersi i karmią małe krwią z własnego serca. Och, Floryda.

Fred wziął wolne na całą jesień i prawdopodobnie na resztę życia. Przyszedł Auberonowi z pomocą, był przy nim w najtrudniejszych chwilach, tak jak obiecał w dniu, kiedy po raz pierwszy zaprowadził go do kancelarii „Petty, Smilodon i Ruth”. Auberon nie kwestionował ani tego, ani innych darów, które dało mu miasto. Żył na łasce Miasta i odkrył, że jak surowa kochanka, było życzliwe tylko dla tych, którzy ulegali mu całkowicie i niczego nie zatajali. Stopniowo nauczył się tego. On, który zawsze był wymagający, a przez wzgląd na Sylvie jeszcze bardziej, stał się brudasem, miejski brud na dobre wżarł się w jego skórę. Chociaż po pijanemu przemierzał ulice w poszukiwaniu publicznych toalet – było ich bardzo mało i raczej niezbyt bezpieczne – to w przerwach między tymi zrywami schludności wyśmiewał się z siebie. Jesienią jego plecak wyglądał jak bezużyteczny łachman, ale i tak nie był już przydatny, okazał się za mały dla człowieka, który żyje na ulicy. Podobnie jak inni ulicznicy, Auberon taszczył plastikowe torby na zakupy, wkładając jedną w drugą, żeby się nie zerwały. W ten sposób zdegenerowany osobnik reklamował wiele wspaniałych przedsięwzięć.

I tak żył, topiąc smutki w dżinie, śpiąc na ulicach, czasem pełnych manifestantów, a czasem spokojnych jak cmentarz. Jeśli chodziło o niego, miasto zawsze było puste. Nauczył się od Freda i od tych, którzy poinstruowali Freda, że skończyły się dni świetności i tajemnej

jedności włóczęgów; dni, kiedy na dolnym Broadwayu panowali królowie i mędrzy; dni, kiedy miasto było oznakowane ich szyframi, które odczytać potrafili tylko wtajemniczeni; dni, kiedy pijak, cygan, szaleniec i filozof mieli swą ustaloną rangę, tak trwała jak diakon, kościelny, ksiądz i biskup. Te dni oczywiście minęły. Przyłącz się dzisiaj do jakiegokolwiek przedsięwzięcia, a okaże się, że okres świetności już minął.

Nie musiał zebrać. Petty, Smilodon i Ruth dawali mu pieniądze nie tylko dlatego, że miał do nich jakieś prawo, ale dlatego, że chcieli, by cuchnący osobnik jak najszybciej wyniósł się z ich kancelarii. Dobrze o tym wiedział i starał się zachodzić do nich wtedy, gdy wyglądał najbardziej odrażająco. W dodatku zabierał często ze sobą Freda Savage'a. Pieniądzy wystarczyło na niewielkie potrzeby żywieniowe pijaka, na dziwaczne łóżko, na którym leżał zdjęty strachem, że zamarznie na śmierć w pijackim zamroczeniu, tak jak podobno zamarzli kumple jego kumpli, oraz na dżin. Nigdy nie upadł tak nisko, żeby kupować nędzne wino, był dumny z tego, że uratował się przed ostateczną degradacją. Wiedział, że tylko w przezroczystym płomieniu dżinu może czasem pojawić się Sylvie (jak salamandra).

Było mu zimno w kolana. Nie wiedział dlaczego, ale zawsze najpierw marzły mu kolana, a nie palce u nóg ani nos.

– Wyścigi chartów – powiedział. Wyprostował nogi i dodał, zwracając się do Sylvie: – Mogę podnieść stawkę. Chcesz pojechać?

– Pewnie – odparła.

– Pewnie – przyznał Fred Savage.

– Nie mówiłem do ciebie – zauważył Auberon.

Fred delikatnie objął go za ramiona. Obojętnie, jakie zjawy prześladowały jego przyjaciół, zawsze starał się być uprzejmy dla tych duchów.

– Jasne, że ona chce – powiedział, spoglądając na Auberona oczami o żółtych białkach.

Auberon nigdy nie był pewien, czy jego spojrzenie jest wrogie, czy życzliwe.

– A poza tym – dodał Fred z uśmiechem – ona jeździ bez biletu.

Drzwi donikąd

Auberon miewał w ostatnim czasie zaniki pamięci, ale najbardziej niepokoił go fakt, że nie mógł sobie przypomnieć, czy pojechał na Florydę, czy nie. Dzięki sztuce pamięci ujrzał kilka postrzępionych palm, jakieś budynki pomalowane na różowo albo turkusowe, czuł zapach eukaliptusa. Chociaż te obrazy wydawały się na trwałe wyryte w jego pamięci, to jednak mogły być tylko wyobrażeniami albo zapamiętanymi zdjęciami. Tak samo żywe były jego wspomnienia związane ze Starym Hawkiem, którego widział na szerokich alejach. Stary Hawk przysiadł na dłoniach portierów pilnujących domów koło parku. Pióra na jego brodzie były oszronione, a szpony tak ostre, że z łatwością mogłyby wyszarpać jelita. Ale jakimś cudem Auberon nie zamarzł na śmierć i na pewno bardziej niż obraz palm i żaluzji wyryło się w jego pamięci wspomnienie wiatru szalejącego na ulicach miasta. Właściwie niewiele go to

wszystko obchodziło. Interesowały go wyłącznie przystanie, na które zapraszały wędrowców czerwone neony (zawsze były czerwone) i niekończące się rzędy płaskich butelek z płynem przezroczystym jak woda. W niektórych butelkach, jak w pudełkach z płatkami dla dzieci, kryła się niespodzianka. Najlepiej ze wszystkiego przypominał sobie fakt, że pod koniec zimy, nie wiadomo dlaczego, w żadnej butelce nie znalazł już niespodzianki. Jego pijaństwo stało się bezużyteczne. Do wypicia pozostały same resztki i wypił je.

W jaki sposób znalazł się w korytarzach starego Terminusa? Czy właśnie wrócił pociągiem ze słonecznego stanu? Czy trafił tu tylko przez przypadek? Widząc wszystko potrójnie, między innymi wilgotną kolumnę, którą przed chwilą obsiusiał, kroczył zdecydowanie (a chodzenie było bardziej skomplikowane, niż przypuszczała większość ludzi) rampami i przejściami podziemnymi. Oszust przebrany za zakonnice, w brudnym barbecie, spojrział na niego strwożonym wzrokiem (Auberon już dawno zdał sobie sprawę, że ten kształt to człowiek) i potrząsnął mu przed nosem skarbonką, bardziej z ironią niż z nadzieją. Auberon poszedł dalej.

Na dworcu panował teraz taki spokój jak zawsze (nigdy nie było zupełnie spokojnie). Nieliczni podróżni i błędzący omijali go z daleka, chociaż spozierał na nich groźnie tylko dlatego, że starał się zobaczyć ich w jednej postaci. Gdy każdy człowiek był widziany potrójnie, robił się zbyt duży tłum. Jedną z zalet picia jest to, że redukuje ono życie do kilku prostych rzeczy, którym należy poświęcić wyłączną uwagę: patrzenia, chodzenia i trafiania butelką prosto do ust. Zupełnie jakby znowu miało się dwa lata. Pozostają tylko najprostsze myśli. I wymyślony przyjaciel, z którym można rozmawiać. Podeszedł do mniej lub bardziej solidnej ściany i pomyślał: Jestem zgubiony.

Prosta myśl. Prosta i jedyna myśl. Całe życie i czas wydawały się wielką, płaską, szarą równiną, rozciągającą się we wszystkich kierunkach. Świadomość – ogromną kulą wypełnioną po brzegi brudnymi kłakami kurzu. Tylko jedna żywa myśl tliła się jak przysypana iskra.

– Co? – powiedział, odchodząc od ściany. Przyjrzał się dokładnie miejscu, w którym stał: przecięcie czterech korytarzy w kształcie krzyża, z żebrowym sklepieniem. Stał w narożniku. W miejscu, gdzie sklepienie obniżało się ku podłodze, tworzyła się szczelina lub wąski otwór, ale w rzeczywistości było to tylko połączenie cegieł. Stojąc twarzą do tej szczeliny, odnosiło się wrażenie, że można zerknąć do środka.

– Halo – wyszeptał w ciemność. – Halo?

Nie było odpowiedzi.

– Halo, cześć – powtórzył, tym razem głośniej.

– Ciszej – przykazała.

– Co?

– Mów po cichutku – powiedziała Sylvie. – Nie odwracaj się teraz.

– Cześć, cześć.

– Cześć, czy to nie jest wspaniałe?

– Sylvie – wyszeptał.

– Zupełnie jakbyś był tuż koło mnie.

– Tak – mówił – tak. – Skoncentrował swoją świadomość, by przeniknąć ciemności.

Przez chwilę kontakt się urwał, potem znowu ją usłyszał. – Co? – zapytał.

– Wiesz – powiedziała po cichu, a po dłuższej przerwie dodała: – Chyba odchodzę.

– Nie – szepnął. – Nie. Założę się, że nie. Dlaczego?

– Widzisz, straciłam pracę.

– Pracę?

– Na promie. U takiego starego faceta. Był miły. Ale praca nudna. Ciągłe w tę i z powrotem, przez cały dzień. (Miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa). Więc chyba muszę odejść. Przeznaczenie mnie wzywa – stwierdziła, przedrzeźniając samą siebie i traktując to lekko, żeby podtrzymać go na duchu.

– Dlaczego? – spytał.

– Mów szeptem – poprosiła cicho.

– Dlaczego chcesz mi to zrobić?

– Co zrobić, skarbie?

– Więc idź sobie po prostu, do cholery. Dlaczego nie odejdziesz i nie zostawisz mnie w spokoju? Idź – przerwał i nasłuchiwał. Cisza i pustka. Ogarnęło go straszne przerażenie. – Sylvie? Słyszysz?

– Sylvie? Dokąd odchodzisz?

– Głębiej.

– Głębiej gdzie?

– Tutaj.

Chwytał kurczowo zimne cegły, bo nie mógł ustać o własnych siłach. Kolana uginały się pod nim i na przemian stykały się ze sobą i rozłączały.

– Tutaj?

– Im głębiej wchodzisz, tym większe się to staje – powiedziała.

– Niech to cholera weźmie – zaklął – niech to cholera, Sylvie.

– Tutaj jest bardzo dziwnie – ciągnęła. – Nie tak, jak myślałam. Ale dużo się nauczyłam. Chyba się do tego przyzwyczaję. – Przerwała. W ciemności zapadła cisza. – Ale tęsknię za tobą.

– O Boże – powiedział.

– Więc pójdę już – jej szept stawał się coraz cichszy.

– Nie – zawołał – nie, nie, nie.

– Ale dopiero co mówiłeś...

– O Boże, Sylvie – powiedział i przestał walczyć o zachowanie równowagi. Padł na kolana, ciągle wpatrując się w ciemność. – O Boże. – Wcisnął twarz w nieistniejące miejsce,

do którego mówił. Przepraszał, nędznie błagał, chociaż już nie wiedział, o co.

– Nie, przestań, posłuchaj mnie – wyszeptała zmieszana. – Myślę, że jesteś wspaniała, naprawdę. Zawsze tak myślałam. Nie mów takich rzeczy.

Płakał, nie mogąc zrozumieć, nic nie pojmując.

– I tak muszę iść – powiedziała. Jej głos był słaby, jakby dochodził z daleka, a uwaga skierowana już była na co innego. – Okay. Powinieneś zobaczyć te rzeczy, które mi dali... Słuchaj, *papo. Bendicion*. Bądź grzeczny. Żegnaj.

Później, gdy pojawili się pierwsi podróżni i sklepikarze, którzy przyszli otworzyć kramy z tandetą, nadal tam był. Klęczał w kącie jak niegrzeczny chłopczyk, długo pozbawiony zmysłów, z twarzą wepchniętą w drzwi donikąd. Przechodnie, po staroświecku uprzejmi lub obojętni, nie przeszkadzali mu, choć ten i ów kręcił głową ze smutkiem lub wstrętem, kiedy go mijał. Lekcja pogładowa.

Przed nią i za nią

Siedział w małym parku, ocaliwszy tę ostatnią rzecz, jaka pozostała mu po Sylvie, i miał łzy na policzkach. Koniec za życia. Kiedy odzyskał wreszcie zmysły na Terminusie, był w tej samej pozycji. Nie wiedział, w jaki sposób się tu znalazł ani po co przyszedł, ale teraz już sobie przypomniał. Dzięki sztuce pamięci wszystko do niego powróciło, wszystko, i mógł z tym zrobić, co chciał.

To, czego nie wiedział, wyłoniło się spontanicznie, w zdumiewający sposób, dzięki odpowiedniemu uporządkowaniu tego, co wiedział, a raczej tego, co wiedział przez cały czas, tylko nie zdawał sobie sprawy, że wie. Każdego dnia, który spędzał tutaj, zbliżał się do odkrycia tajemnicy; każdej nocy, gdy leżał bezsennie w przytułku pomiędzy kumplami i ich zmorami, zbliżał się po ścieżkach pamięci do tego, czego nie wiedział: do poznania jednego prostego faktu, który wcześniej przeoczył. Teraz już go znał; teraz w układance nie brakowało już żadnego elementu.

Jest przeklęty, to wszystko.

Dawno temu – dokładnie wiedział kiedy, ale nie wiedział dlaczego – został obłożony klątwą, rzucono na niego urok, naznaczono go piętnem, przydzielono mu na dobre rolę poszukiwacza, ale jednocześnie skazano jego poszukiwania na niepowodzenie. Przeklęli go z powodów, które tylko oni znali (nie wiadomo dlaczego, może z czystej złośliwości, a może chcieli ukarać jego krnąbrność, której i tak nie wyplenili, nigdy się nie podda). Skrępowali mu stopy tak, że nawet tego nie zauważył, a potem wysłali go na poszukiwania.

To stało się w ciemnym lesie (teraz już wiedział), kiedy odeszła Lilac, a on wołał za nią i serce omal mu nie pękło. Od tamtej chwili stał się poszukiwaczem, ale nogi niosły go w złym kierunku.

Szukał Lilac w ciemnych lasach, ale oczywiście zgubił jej ślad. Miał osiem lat i robił się coraz starszy wbrew własnej woli. Czego mógł oczekiwać?

Został tajnym agentem, żeby zgłębić tajemnice, które przed nim ukrywano. Tak długo jak je zgłębiał, tak długo je przed nim skrywano.

Poszukiwał Sylvie, ale ścieżki, którymi podążał, choć zdawały się prowadzić do jej serca, w istocie wiodły zupełnie gdzie indziej. Wyciągnij ręce do dziewczyny odbitej w lustrze, która spogląda na ciebie z uśmiechem, a twoje dłonie napotkają na zimną przegrodę ze szkła.

Cóż, wszystko skończone. Poszukiwania rozpoczęte tak dawno temu zakończyły się tutaj. Mały park, założony przez jego prapradziadka, stał się dla Auberona skończonym symbolem, tak pełnym znaczeń, jak każda karta w talii ciotki Cloud czy jakikolwiek obszar pamięci Hawksquill. Ten park stanowił twarz Sylvie, jej serce, jej ciało, zupełnie jak na starych obrazach, na których twarz jest ukryta w rogu obfitości, a każda zmarszczka, brew czy fałdka na szyi zrobiona z ziaren, owoców i wiktuałów tak realistycznych, że chciałoby się je wyrwać z obrazu i zjeść. Wypędził ze swej duszy wszystkie inne wyobrażenia, zdeponował w niej wszystkie zjawy i demony, które powstały z jego pijaństwa i wrodzonego szaleństwa. Gdzieś żyła prawdziwa Sylvie ścigająca swe przeznaczenie. Odeszła z powodów, które знаła tylko ona, miał nadzieję, że jest szczęśliwa. Przemocą i dzięki sztuce pamięci zdjął z siebie przekleństwo i był teraz wolny, mógł iść swoją drogą.

Siedział.

Właśnie w tym tygodniu z jednego z drzew (jego przodek wiedziałby, co to za gatunek, ale Auberon nie miał pojęcia) opadały podobne do liści kwiaty i nasiona. Małe srebrzystozielone kółeczka rozrzucone były po całym parku i lśniły jak dziesięciocentowe monety. Niszczycielski wiatr usypał całą stertę przy nieruchomych stopach Auberona. Wypełniły też rondo jego kapelusza i obsypały uda, tak jakby był tylko jeszcze jednym przedmiotem w parku, jak ławka, na której siedział, i pawilon, na który patrzył.

Kiedy w końcu wstał, z ociąganiem i z poczuciem wewnętrznej pustki, to tylko po to, żeby nie patrzeć dłużej na zimę i powrócić znowu do wiosny, do miejsca, od którego zaczął wędrówkę. I teraz znowu tu jest. Zatoczył pełne koło. Zimę symbolizował stary ojciec Czas z sierpem i klepsydrą, ubrany w postrzępiony płaszcz. Jego brodę rozwiewał wiatr, a na twarzy malował się wstręt. U jego chudych stóp warował mizerny, śliniący się pies czy też wilk. Zielone monety pokrywały płaskorzeźbę, zatrzymując się w jej zagłębieniach; zielone monety rozsypały się z szelestem, gdy Auberon wstał.

Wiedział, jak wygląda wiosna, która znajdowała się tuż za rogiem. Już tam kiedyś był. Nagle odniósł wrażenie, że nic nie ma sensu oprócz zakreślania tego koła. Odnalazł tu wszystko, czego potrzebował.

Tajemnica Północnego Wiatru. Tylko dziesięć kroków. Jeśli nadchodzi zima, to czy wiosna może być daleko za nią? Zawsze uważał, że to nieodpowiednia perspektywa. Czy nie powinno się raczej mówić: jeśli nadchodzi zima, to czy wiosna może być daleko przed nią? W przedzie.

– Kiedy przechodzisz przez kolejne pory roku, to najpierw zjawia się zima, a wiosna jest

tuż przed nią. Prawda? – powiedział na głos do siebie. Przed nią, za nią. Pewnie on źle to pojmuję, patrzy na wszystko z dziwnego, osobistego punktu widzenia, którego nie podziela nikt inny. Jeśli nadejdzie zima... Skręcił za róg pawilonu. Czy wiosna może być daleko przed nią, za nią... Ktoś właśnie skręcał za inny narożnik, kierując się od wiosny do lata. – Lilac – powiedział.

Odwróciła się w jego stronę. W połowie już niewidoczna, spojrzała na niego z wyrazem twarzy, który dobrze znał, ale którego od tak dawna nie widział. Zrobiło mu się słabo. Jej spojrzenie mówiło: „Och, właśnie się gdzieś wybierałam, ale przyłapałeś mnie”, a jednak znaczyło co innego. To była tylko zwykła kokieteria zmieszana z nieśmiałością, zawsze to rozumiał. Otaczający go park stał się nagle nierealny, jak gdyby w jednej chwili został zdmuchnięty. Lilac ruszyła w stronę Auberona, kołysząc złożonymi rękoma. Robiła małe kroczki bosymi stopami. Oczywiście, miała na sobie niebieską sukienkę.

– Cześć – powiedziała i szybkim ruchem odgarnęła włosy z twarzy.

– Lilac – powtórzył.

Chrząknęła, ponieważ od dawna nic nie mówiła, i zapytała:

– Auberon, nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyś pojechał do domu?

– Do domu – powtórzył.

Zrobiła krok w jego stronę albo on w jej stronę. Wyciągnął do niej rękę albo ona do niego.

– Lilac – zaczął – skąd się tutaj wzięłaś?

– Tutaj?

– Dokąd poszłaś wtedy, gdy odeszłaś? – spytał.

– Odeszłam?

– Proszę – powiedział. – Proszę.

– Byłam tam cały czas – odparła z uśmiechem. – Głuptasie, to ty zmieniałeś miejsca.

Przekleństwo, jedynie przekleństwo, nie ma w tym jego winy.

– W porządku – powiedział – w porządku. – Chwycił Lilac za rękę i podniósł ją albo próbował podnieść, ale nic z tego nie wyszło. Złożył dłonie, tworząc coś w rodzaju strzemienia, i pochylił się. Lilac postawiła swoją małą stopę na jego dłoniach i położyła mu rękę na ramionach. W ten sposób podniósł ją w górę.

– Trochę tu tłoczno – zauważyła, torując sobie drogę do wnętrza. – Kim są ci wszyscy ludzie?

– Nieważne, nieważne – odparł.

– Dokąd właściwie idziemy? – zapytała, a jej głos brzmiał coraz słabiej, bardziej jak jego głos, a nie jej, w końcu zawsze tak było.

Wyciągnął klucz, który dostał od starej kobiety. Po to, żeby wyjść z parku, musiał użyć klucza, aby otworzyć bramę z kutego żelaza.

– Chyba do domu – powiedział Auberon.

Małe dziewczynki, które grały w klasy i zrywały mlecze rosnące wzdłuż ścieżki, spojrzwały na niego, widząc, że mówi do siebie.

– Chyba do domu.

III

*Wzgardziwszy dla twego dobra Miastem,
odwracam się w druga stronę:
istnieje inny świat.*

William Shakespeare, *Koriolan*

Potężny Vulpes w niemal rekordowym tempie przeniósł Hawksquill z powrotem do miasta i miała nadzieję (patrzac na zegarek), że jeszcze nie było za późno. Znała już teraz wszystkie brakujące fragmenty układanki, którą stanowił Russell Eigenblick. Poznanie tych fragmentów zabrało jej więcej czasu, niż oczekiwała.

W samą porę

Przez całą drogę planowała, w jaki sposób ma się przedstawić spadkobiercom Violet Bramble, aby pokazano jej karty: jako antykwariuszka, kolekcjonerka czy okultystka. Ale jeśli nie byłoby w kartach jej samej (Sophie od razu wiedziała, z kim ma do czynienia, a w każdym razie zorientowała się bardzo szybko), to prawdopodobnie wcale by ich nie zobaczyła. Pomogło jej również to, że udowodniła, iż jest daleką kuzynką potomków Violet Bramble. Ten zbieg okoliczności zdumiał, ale i uradował dziwną rodzinę, podobnie jak zainteresował Hawksquill. Dni mijały, gdy wraz z Sophie ślęczały nad kartami. Jeszcze więcej czasu spędziła, studiując ostatnie wydanie Architektury domów wiejskich, której dziwnej treści nikt nie znał chyba zbyt dokładnie. I chociaż ślęcząc nad kartami i studiując, zaczęła stopniowo coraz lepiej rozumieć całą historię – albo chociaż tę jej część, która zdarzyła się do tej pory – to przez cały czas ludzie z Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego nadal nieuchronnie dążyli do spotkania z Russellem Eigenblickiem. Zobowiązania Hawksquill pozostały nieokreślone, zaś jej droga – nieznaną.

Jednak teraz nie była już całkiem nieznaną. Dzieci dzieci Czasu, kto by pomyślał? Głupiec i Kuzyn, Podróż i Gospodarz. Najmniej ważne figury! Uśmiechnęła się ponuro, okrążając olbrzymi Empire Hotel, w którym rezydował Eigenblick, i postanowiła skorzystać z zaklęcia, chociaż rzadko uciekała się do takich metod.

Wjechała na podziemny parking pod hotelem. Uzbrojeni funkcjonariusze patrolowali drzwi i windy. Znalazła się w szeregu samochodów, które czekały, aż strażnicy je sprawdzą. Zgasiła silnik samochodu i wyjęła ze schowka na rękawiczki kopertę. Wyciągnęła z niej małą, białą kość. Była to kość czarnego kota, ugotowanego żywcem w skromnej kuchni La Negry, spirytystki, której Hawksquill oddała kiedyś wielką przysługę. Możliwe, że była to kość z nogi albo fragment szczęki – La Negra oczywiście tego nie wiedziała. Natrafiła na nią po całym dniu eksperymentów przeprowadzanych przed lustrem. Starannie oddzielała kości od cuchnącego mięsa i wkładała je do ust, szukając tej jednej, która może sprawić, że człowiek stanie się niewidzialny. W końcu ją znalazła. Hawksquill uważała wszelkie czary za wulgarne, a okrucieństwo tych zabiegów wydawało jej się szczególnie odrażające. Nie była przekonana, czy pomiędzy tysiącami dziwnych kosteczek czarnego kota znajduje się choć jedna, która sprawia, że człowiek staje się niewidzialny, ale La Negra zapewniła ją, że czary będą działać, obojętnie, czy w nie wierzy, czy nie. Cieszyła się teraz, że ma przy sobie ten podarunek. Obsługa hotelu nie zauważyła jeszcze jej samochodu. Hawksquill z rozmysłem zostawiła kluczyki w stacyjce, po czym ze wstrętem włożyła do ust kosteczkę i zniknęła.

Aby niezauważenie opuścić pojazd, musiała się trochę wysilić, ale strażnicy i obsługa hotelu nie zwrócili uwagi na to, że drzwi windy otwierają się i zamykają, chociaż nikt do niej nie wsiada (kto mógł przewidzieć wybryki pustej windy). Hawksquill weszła do holu, uważając, aby nie ocierać się o ludzi. Zwykli, ponurzy mężczyźni, ubrani w płaszcze przeciwdeszczowe, stali pod ścianami w pewnych odstępach od siebie albo siedzieli w fotelach skryci za gazetami, niby to czytając. Nie nabrali nikogo i nikt nie był w stanie ich nabrać, oprócz niej. Na niezauważalny znak zmienili pozycje, zupełnie jak klocki w układance. Duża grupa mężczyzn wchodziła przez obrotowe drzwi, poprzedzali ich podwładni. W samą porę, pomyślała Hawksquill, ponieważ byli to ludzie z Klubu. Nie rozglądali się wokół siebie, jak czynią to zwykli śmiertelnicy, znalazłszy się w takim miejscu, ale rozluźnili szyk, jak gdyby pragnęli wziąć cały hotel w posiadanie. Patrzyli prosto przed siebie, widząc przyszłość, a nie przemijający kształt teraźniejszości. Każdy z nich trzymał pod pachą skórzaną teczkę, a na głowie miał potężny filcowy kapelusz – nakrycie głowy, które wyglądałoby śmiesznie, gdyby nosił je ktokolwiek inny.

Wsiedli do dwóch wind. Ci, którzy stali niżej w hierarchii, przepuścili w drzwiach pozostałych, jak nakazuje pradawny męski obyczaj. Hawksquill wśliznęła się do mniej zatłoczonej windy.

– Trzynaste?

– Trzynaste.

Jeden z nich mocno przycisnął palcem wskazującym guzik trzynastego piętra. Inny zerknął na płaską tarczę zegarka. W ciszy wjeżdżali na górę. Nie mieli sobie nic do powiedzenia: wszystko było już zaplanowane, a ściany – każdy to wie – mają przecież uszy. Hawksquill stała przyciśnięta do drzwi, wpatrując się w ich twarze bez wyrazu. Drzwi

rozsunęły się i wysliznęła się bokiem. W sekundę potem do członków Klubu wyciągnęło się wiele rąk na powitanie.

- Wykładowca zaraz do panów przyjdzie.
- Zechcą panowie poczekać w tym pokoju.
- Czy mamy coś dla panów zamówić? Wykładowca zamówił kawę.

Czujni mężczyźni w garniturach poprowadzili ich na lewo. Przy każdych drzwiach stał jeden lub dwóch młodych ludzi w kolorowych koszulach. Sposób, w jaki skrzyżowali ręce na plecach, znamionował wymuszony spokój. Przynajmniej zachowuje ostrożność, pomyślała Hawksquill. Z drugiej windy wysiadł ubrany na czerwono kelner niosący dużą tacę, na której stała jedna mała filiżanka kawy. Skierował się na prawo, a Hawksquill podążyła w ślad za nim. Przeszedł nie zatrzymywany przez podwójne drzwi i minął strażników, a Hawksquill cały czas deptała mu po piętach. Podszedł do nieoznaczonego apartamentu, zapukał, otworzył drzwi i wszedł do środka. Hawksquill zdążyła wśliznąć się do pokoju, gdy zamykał je za sobą.

Igła w stogu czasu

Był to umeblowany salon pozbawiony osobistego piętna. Jego szerokie okna wychodziły na miasto. Strzelały za nimi w górę drapacze chmur. Kelner, mrucząc coś pod nosem, minął Hawksquill i wyszedł. Ona zaś wyjęła z ust kawałek kości i starannie schowała go na swoje miejsce. Wtem drzwi otworzyły się i stanął w nich ziewający Russell Eigenblick. Ubrany był w czarny, jedwabny szlafrok z wyhaftowanym smokiem. Na nosie miał małe okulary o półkolistych szklach, których Hawksquill nigdy wcześniej nie widziała.

Drgnął, gdy ją zobaczył, nie przypuszczał bowiem, że zastanie kogoś w pokoju.

– Co to? – zdziwił się.

Hawksquill przyklękła bez wdzięku na jedno kolano (nie przypominała sobie, żeby już to kiedyś robiła), skłoniła się nisko i powiedziała:

- Jestem unizoną służką Waszej Wysokości.
- Wstań – polecił Eigenblick. – Kto cię tu wpuścił?
- Czarny kot – odparła Hawksquill, wstając. – To nieistotne. Nie mamy zbyt wiele czasu.
- Nie rozmawiam z dziennikarzami.
- Przykro mi – powiedziała Hawksquill – ale to pomówienie. Nie jestem dziennikarką.

– Tak też myślałem! – wykrzyknął z triumfem. Zerwał z nosa okulary, jakby dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że je tam ma. Podszedł do interkomu stojącego na biurku w stylu Ludwika XIV.

– Niech pan poczeka – poprosiła Hawksquill. – Czy chce pan, żeby po ośmiuset latach snu przedsięwzięcie się nie udało?

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią.

– Musi pan pamiętać – ciągnęła – jak został kiedyś upokorzony przez pewnego papieża,

który zmusił pana, żeby biegł pan za jego koniem, trzymając się strzemienia.

Twarz Eigenblicka oblała się szkarłatem. Przybrała inny odcień czerwieni niż jego broda. Wściekłość biła z jego sokolich oczu wlepionych w Hawksquill.

– Kim jesteś? – zapytał.

– W tej chwili – mówiła dalej, wskazując na drugi koniec apartamentu – oczekują tam ludzie, którzy zamierzają upokorzyć pana dokładnie tak samo, tylko że zrobią to sprytniej. Nawet pan nie zauważy, że mają go w ręku. Mam na myśli Towarzystwo Hałaśliwego Mostu i Klub Strzelecki. A może przedstawili się jako kto inny?

– Bzdury. Nigdy nie słyszałem o tym tak zwanym klubie – powiedział Eigenblick, ale zasepił się. Być może kiedyś, gdzieś ostrzegano go... – Co miała pani na myśli, mówiąc o papieżu? Czarujący pan, którego nigdy nie poznałem... – Nie patrząc jej w oczy, podniósł do ust małą filiżankę i wypił kawę do dna.

Miała go w garści. Jeśli dotąd nie zadzwonił po strażników i nie wyrzucił jej, to wysłucha, co ma do powiedzenia.

– Czy obiecali panu wysokie stanowisko? – zapytała.

– Najwyższe – odparł po długiej chwili milczenia, wyglądając przez okno.

– Być może zainteresuje pana fakt, że przez parę lat ci panowie zlecali mi różne zadania. Chyba ich dobrze znam. Czy chodzi o prezydenturę?

Nic nie odpowiedział. A zatem trafiła w sedno.

– Prezydentura – stwierdziła Hawksquill – to już nie urząd. To jedynie gabinet. Całkiem miły, ale tylko gabinet. Musi pan odmówić. Grzecznie. I odrzucić też wszelkie inne próby przekupstwa. Później wytłumaczę, jakie powinny być pana następne działania... Odwrócił się do niej.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał. – Skąd mnie znasz?

Hawksquill odpowiedziała na jego ostre spojrzenie takim samym spojrzeniem i powiedziała tonem najlepiej pasującym do maga:

– Wiem o wielu rzeczach.

Zabrzączał interkom. Eigenblick podszedł do biurka, przykładając palec do ust, spojrzał z namysłem na szereg guziczków i w końcu nacisnął jeden. Nikt się nie odezwał. Nacisnął kolejny guzik. Spokojny głos oznajmił: – Wszystko gotowe, sir.

– *Ja* – powiedział Eigenblick. – Chwileczkę. – Oderwał palec od przycisku, zdał sobie sprawę, że nie usłyszano, co mówił, nacisnął inny guzik i powtórzył swoje słowa. Potem zwrócił się do Hawksquill: – Obojętnie, w jaki sposób zdobyłaś te informacje, najwyraźniej nie wiesz jeszcze wszystkiego. Widzisz – uśmiechnął się szeroko i spojrzał w górę z miną człowieka, który jest pewny, że zostanie wybrany – mój los jest zapisany w kartach. Nic, co mi się przytrafi, nie zmieni mego przeznaczenia, które zostało ustalone gdzie indziej dawno temu. To wszystko miało się zdarzyć.

– Wasza Wysokość – powiedziała Hawksquill – być może wyraziłam się nie dość jasno...

– Przestań mnie tak nazywać! – krzyknął z wściekłością.

– Przepraszam. Być może nie wyraziłam się jasno. Dobrze wiem, że pana los jest zapisany w kartach – chodzi o talię bardzo ładnych kart atutowych, których figury wymyślono po to, żeby zapowiadały i popierały powrót cesarstwa. Zostały zaprojektowane i wykonane chyba za czasów panowania Rudolfa II, a wydane w Pradze. Od tego czasu używano ich do innych celów. A nie był pan w nich, że tak powiem, pomniejszą figurą.

– Gdzie jest teraz ta talia? – zapytał, podchodząc nagle do niej i wyciągając ręce o palcach zakrzywionych jak szpony. – Daj mi te karty. Muszę je mieć.

– Jeśli pozwoli mi pan dokończyć – powiedziała Hawksquill.

– Są moją własnością – dodał Eigenblick.

– Raczej własnością pańskiego cesarstwa – poprawiła go. – Kiedyś były. – Zamilkł, a ona mówiła dalej: – Wiem, że pana los został w nich zapisany. Wiem, jakie moce tam pana umieścili, i wiem – mniej więcej – jaki ma być koniec. Znam pańskie przeznaczenie. Ale jeśli pan chce, żeby się wypełniło, musi pan uwierzyć, że ja też jestem jego częścią.

– Ty.

– Przyszłam, żeby pana ostrzec i pomóc. Mam moc. Na tyle wielką, że byłam w stanie to wszystko odkryć, że znalazłam pana, chociaż jest pan igłą w stogu czasu. Potrzebuje mnie pan. Teraz i w czasach, które nadejdą.

Rozważał jej słowa. Na jego twarzy malowały się kolejno: zwątpienie, ulga, strach i stanowczość.

– Dlaczego – spytał – nigdy mi o tobie nie mówiono?

– Być może dlatego – odparła – że nie wiedzieli o mnie. Przed nimi raczej nic się nie ukryje. Wiedzą prawie wszystko. Ale paru rzeczy nie wiedzą. Lepiej dla pana, żeby pan w to uwierzył.

Przez moment przygryzał policzek, ale bitwa była skończona.

– Co z tego masz? – spytał.

Interkom znowu zabrzączał.

– Później pomówimy o mojej nagrodzie – odparła. – Teraz niech pan lepiej postanowi, jakiej odpowiedzi udzielić swoim gościom.

– Będziesz tam ze mną? – powiedział, nagle pragnąc pomocy.

– Oni nie mogą mnie zobaczyć – odrzekła Hawksquill – ale będę z panem.

Tania sztuczka – kość kota, a jednak (pomyślała, gdy Eigenblick przyciskał guzik interkomu) najlepszy argument, żeby przekonać cesarza Fryderyka Barbarossę, jeśli w ogóle pamiętał swoją młodość, że istotnie posiada moc. Gdy stał do niej tyłem, zniknęła. Kiedy spojrzał na nią ponownie, czy raczej na miejsce, w którym stała, zapytała:

– Czy możemy iść na spotkanie z Klubem?

Rozstajne drogi

Kiedy Auberon wysiadał z autobusu na rozstajnych drogach, świat spowijała białoszara wilgoć. Musiał rozmówić się z kierowcą, żeby wysadził go właśnie w tym miejscu. Z początku Auberon nie wiedział, jak je opisać, potem nie mógł przekonać kierowcy, że rzeczywiście jest po drodze takie miejsce. Ten przecząco kręcił głową, nie patrząc na Auberona, i powtarzał: „Nie, nie, na pewno nie”. Udawał, że się głęboko zastanawia, ale Auberon dobrze wiedział, że udaje, po prostu nie chciało mu się ani trochę zboczyć ze stałej trasy. Z wymuszoną uprzejmością Auberon raz jeszcze opisał miejsce, a potem usiadł za kierowcą i śledził drogę. Wsiadł pełen triumfu, mówiąc, że przecież kierowca musiał setki razy mijać to miejsce i jeśli od ludzi, którym powierza się obsługę publicznej komunikacji, wcale nie wymaga się spostrzegawczości, to... itd. Ale drzwi zamknęły się z sykiem i długi, szary autobus odjechał, zgrzytając biegami jak zębami.

Drogowskaz, przy którym Auberon stał, wskazywał jak zwykle drogę do Edgewood. Był tylko bardziej zniszczony i mocniej pochylony ku ziemi, a napis na nim bardziej starty, niż kiedy go widział po raz ostatni. Ale na pewno był to ten sam drogowskaz. Ruszył krętą drogą, która po deszczu nabrała barwy mlecznej czekolady. Ostrożnie stawiał kroki i dziwił się, że robi tyle hałasu. Nie rozumiał dotąd, jak wielu rzeczy był pozbawiony, mieszkając tak długo w mieście. Sztuka pamięci pozwalała znaleźć właściwe miejsce dla całej jego przeszłości, ale nie mogła oddać tej pełni wokół niego: słodkich, wilgotnych i orzeźwiających zapachów, wrażenia, że powietrze ma strukturę przezroczystego płynu; nieprzerwanego, cichego i nieokreślonego dźwięku, który przepelniał powietrze i wpadał ze szmerem do jego przygłuchych uszu, dźwięku przetykanego śpiewem ptaków; samego poczucia niczym nieograniczonej przestrzeni, dalszej i bliższej perspektywy wytyczonej liniami drzew wypuszczających młode listki; odczucia nieustannego ruchu Ziemi.

Mógł znakomicie dawać sobie radę bez tego wszystkiego – w końcu powietrze to tylko powietrze, obojętnie czy tutaj, czy w mieście – ale kiedy na nowo się w tym pograżał, powinien czuć, że wraca do natury, a jego dusza, spętana dotąd jak poczwarzka w kokonie, powinna rozwijać skrzydła jak motyl. I rzeczywiście, rozłożył ramiona, głęboko oddychał, wyrecytował nawet kilka wersów jakiegoś wiersza, ale jego dusza była nadal nieporuszona i zimna jak gład.

Kiedy maszerował drogą, miał wrażenie, że ktoś mu towarzyszy, jakiś młody człowiek, ubrany w liche, brązowy płaszcz, ktoś, kto nie przetrwał. Ten ktoś ciągnął go za rękaw i przypominał, że właśnie tutaj przeciągał kiedyś rower na drugą stronę muru i ruszał tajemnymi drogami do letniego domu i cesarza Fryderyka Barbarossy, że tam spadł z drzewa, a w tamtym miejscu spacerował z doktorem i nasłuchiwał odgłosów świstaków. To wszystko zdarzyło się kiedyś w życiu tamtej osoby, tego natręta, który nie dawał mu spokoju. Nie w jego życiu...

Szare, kamienne kolumny, zwieńczone szarymi pomarańczami, wyrosły na jego drodze w tym miejscu co zawsze. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć ich wilgotnej powierzchni. Na końcu

podjazdu, na werandzie, oczekiwały go siostry.

Na miłość boską. Spodziewali się jego powrotu do domu, tak samo jak przeczuwali jego odejście. Nie było to dla nich tajemnicą. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że chciał, aby jego powrót stanowił tajemnicę. Przypuszczał, że wślizgnię się do domu niepostrzeżenie, że nikt nie zauważy, iż nie było go przez półtora roku. Co za głupota! Nie chciał, żeby mu nadskakiwali. Za późno. Kiedy stał niepewnie przy bramie, Lucy go zobaczyła i podskoczyła, machając ręką. Pociągnęła Lily i wybiegły mu na powitanie. Tacey, bardziej dostojna, nie ruszyła się z krzesła. Miała na sobie długą spódnicę i jedną z jego tweedowych marynarek.

– Cześć, cześć – powiedział po prostu, ale nagle uświadomił sobie, jak wygląda: nieogolony, z oczami nabiegłymi krwią, z plastikową torbą i miejskim brudem za paznokciami i we włosach, Lily i Lucy wydawały się takie czyste i świeże, takie zadowolone, że miał ochotę albo od nich uciec, albo uklęknąć i błagać o przebaczenie: targały nim sprzeczne uczucia. Chociaż otoczyły go ramionami, wzięły jego torbę i mówiły obie naraz, wiedział, że bacznie mu się przypatrują.

– Nigdy nie zgadniesz, kto nas odwiedził – powiedziała Lucy.

– Stara kobieta – odparł Auberon, zadowolony, że chociaż raz w życiu udało mu się zgadnąć – uczesana w kok. Jak mama i tata.

– Ale nie zgadniesz, kim ona jest – dodała Lily.

– Czy powiedziała wam, że przyjadę? Nigdy jej o tym nie wspominałem.

– Nie, ale wiedzieliśmy. No zgadnij.

– Jest naszą kuzynką – nie wytrzymała Lucy. – W pewnym sensie. Sophie to odkryła. To było dawno temu...

– W Anglii – dorzuciła Lily. – Wiesz, kim był Auberon, którego imię nosisz? Synem Violet Bramble Drinkwatera...

– Ale nie Johna Drinkwatera! Był owocem miłości...

– W jaki sposób możecie to wszystko spamiętać? – zapytał Auberon.

– Violet Bramble miała romans w Anglii. Zanim wyszła za Johna. Z kimś, kto się nazywał Oliver Hawksquill.

– Był w niej zakochany – dodała Lily.

– I zaszła w ciążę i urodziła Auberona. A ta kobieta...

– Witaj, Auberonie – powiedziała Tacey. – Jak było w mieście?

– Po prostu wspaniale – odparł Auberon, czując, że coś go ściska za gardło i łzy napływają do oczu. – Wspaniale.

– Przyszedłeś pieszo? – spytała Tacey.

– Nie, przyjechałem autobusem.

Zamilkły na chwilę na te słowa. Nie było rady.

– Jak tam mama? I tata?

– Dobrze. Dostała kartkę od ciebie.

Ogarnęła go zgroza, gdy pomyślał, jak niewiele kartek i listów wysłał z miasta. Na ogół były wykrętne i pełne przechwałek albo zupełnie niezrozumiałe czy też utrzymane w tonie czarnego humoru. Ostatnią, którą napisał na mamy urodziny, znalazł, o Boże, niepodpisaną w koszu na śmieci, którego zawartość przeglądał. Stanowiła tylko wiązanek pochlebstw, ale ponieważ długo się nie odzywał i był wtedy pijany, wysłał ją. Teraz zrozumiał, że dla matki musiało to być tak bolesne jak okrutny cios kuchennym nożem.

Przysiadł na stopniach werandy, niezdolny zrobić ani jednego kroku.

Straszliwe kłopoty

– I jaki masz pomysł, mamó? – spytała Daily Alice, stojąc przy otwartej lodówce i wpatrując się w jej ciemne, wilgotne wnętrze.

Mamade sprawdzała zawartość szafek kuchennych.

– Tuńczyk? – zaproponowała bez przekonania.

– O nie – powiedziała Alice. – Smoky dopiero by na mnie spojrział. Znasz to spojrzenie.

– O tak.

– Więc...

Wydawało się, że kilka wilgotnych produktów na metalowych półkach skurczyło się jeszcze bardziej pod wpływem jej wzroku. Ciągłe kapała woda, jak w jaskini. Daily Alice pomyślała o dawnych czasach. Wielka lodówka była wtedy zawsze wypełniona po brzegi. Na półkach tłoczyły się kruche warzywa i kolorowe pudełka, czasem różowił się indyk albo wyśmienita szynka. Schludnie zapakowane mięso i gotowe dania spoczywały spokojnie w lodowatym wnętrzu zamrażarki, a wesoła żaróweczka oświetlała wszystko jak na scenie. Tęsknota. Położyła rękę na niezbyt zimnej butelce mleka i zapytała:

– Czy Rudy dziś był?

– Nie.

– Jest już na to naprawdę za stary – zauważyła Alice.

– Dźwiganie wielkich brył lodu to dla niego zbyt duży wysiłek. A poza tym zapomina. – Westchnęła, ciągle wpatrując się we wnętrze lodówki. Starość Rudy'ego, obniżenie poziomu życia i brak przyjemności, niezbyt ciepły obiad, który mieli dzisiaj w perspektywie – wszystko to zdawało się mieścić w cynkowym wnętrzu lodówki.

– Nie trzymaj jej otwartej, kochanie – napomniała ją łagodnie Mamade.

Alice właśnie zamykała urządzenie, kiedy otworzyły się wahadłowe drzwi spiżarni.

– Och, mój Boże – powiedziała Alice. – Auberon.

Podeszła szybko do syna, żeby go uściskać. Spieszyła się tak, jakby miał wielkie zmartwienie, a ona musiała natychmiast go pocieszyć. Ale jego udreńczony wygląd był nie tyle wynikiem kłopotów, ile faktu, że właśnie przed chwilą obszedł cały dom, który bezlitośnie maltretował go wspomnieniami, zapomnianymi zapachami, porysowanymi meblami i wyświechtanymi dywanami. Przeżywał męczarnie, patrząc przez okna na ogród, i nie widział

niczego poza nim. Czuł się tak, jakby od jego wyjazdu upłynęło pół życia, a nie półtora roku.

– Cześć – powiedział na powitanie.

Uwolniła go z objęć.

– Jak ty wyglądasz? – zdziwiła się. – Co to znaczy?

– Co to znaczy? – próbował się uśmiechnąć. Zastanawiał się, jakie cierpienia wyczytała w jego twarzy.

Zdziwiona, Daily Alice uniosła palce i przejechała nimi po złączonych brwiach syna.

– Kiedy się zrosły?

– He?

Daily Alice dotknęła miejsca nad swoim nosem, gdzie widniał charakterystyczny znak potomków Violet (u niej było to słabiej widoczne, ponieważ miała jaśniejsze włosy).

– Aa, tam. Nie wiem – wzruszył ramionami i roześmiał się. Właściwie nawet tego nie zauważył. Ostatnio niezbyt często przeglądał się w lustrze. – Jak ci się podoba? – Przejechał palcami po brwi. Włoski były miękkie i delikatne jak u dziecka, tylko jeden czy dwa sterczały sztywno. – Pewnie się starzeję – stwierdził.

Ona też to zauważyła. Zauważyła, że w czasie swej nieobecności, przekroczył granicę, za którą życia szybciej ubywa niż przybywa. Widziała oznaki na jego twarzy i na powierzchni dłoni. Coś ścisnęło ją za gardło i objęła go znowu, bo nie mogła wydusić z siebie słowa. Auberon powiedział do babci ponad ramieniem Alice:

– Dzień dobry, Mamade, tylko nie wstawaj, nie wstawaj.

– Brzydki z ciebie chłopak, żeby nie napisać do matki – zgaśniła go Mamade – żeby nie zadzwonić, że wracasz. Nie ma nic na kolację.

– Och, nie przejmuj się, wszystko w porządku.

Patrzyła na niego ze swego miejsca, przesywając go wzrokiem na wskroś. Zawsze miał uczucie, że babcia zna jakieś jego wstydlive tajemnice i gdyby mogła po prostu włączyć je niepostrzeżenie do swej przemowy, zostałyby ujawnione.

– To ja się starzeję – powiedziała. – Ty dorosłeś.

– Nie sądzę.

– Albo zapomniałam już, że jesteś taki duży.

– Tak, chyba tak...

Dwie kobiety obserwowały go z perspektywy dwóch pokoleń i widziały go inaczej. Czuł się jak na egzaminie. Wiedział, że powinien zdjąć płaszcz, ale zapomniał, co na siebie włożył, więc usiadł w odległym końcu stołu.

– No cóż – westchnął.

– Może herbaty? – zaproponowała Daily Alice. – Napijesz się herbaty? I możesz nam opowiedzieć, co się z tobą działo.

– Chętnie się napiję – odparł.

– Jak się miewa George? – zapytała Mamade. – I jego ludzie?

– Dobrze. (Od miesiący nie był w Starej Farmie.) Dobrze, jak zawsze. – Potrząsnął głową z rozbawieniem, myśląc o George’u. – Ta zwariowana farma.

– Pamiętam, że kiedyś – powiedziała – było to naprawdę miłe miejsce. Przed laty. Narożny dom, ten, w którym na początku mieszkała rodzina Mouse...

– Nadal tam mieszka, nadal... – wtrącił Auberon.

Spojrzał na matkę, która stawiała właśnie czajnik z wodą na dużym piecu. Wycierała ukradkiem oczy w rękaw swetra i zauważyła, że ją na tym przyłapał. Odwróciła się w jego stronę, trzymając czajnik w dłoni.

– ...a po śmierci Phyllis Townes – opowiadała Mamade – tak, to była przewlekła choroba, jej lekarz myślał, że opanowała nerki, ale ona uważała...

– Więc jak to naprawdę było? – powiedziała Alice do syna. – Naprawdę.

– Naprawdę to nie było tak gorąco – powiedział Auberon. Spuścił oczy. – Przepraszam.

– Och, już dobrze – odparła.

– Przepraszam, że nie pisałem i w ogóle. Nie miałem wiele do powiedzenia.

– W porządku. Martwiliśmy się o ciebie, to wszystko.

Podniósł wzrok. Wcale o tym nie pomyślał. Tutaj wyglądało to tak, jakby został połknięty przez ohydne, rojące się miasto, jakby wylądował w paszczy smoka. Nie było potem od niego żadnych wieści. Oczywiście, że się o niego martwili. Otworzyło się teraz w jego umyśle jakieś okienko, jak już kiedyś w tej kuchni, i zobaczył przez nie prawdziwego siebie. Ludzie go kochali i martwili się o niego. To, czy jest w ogóle coś wart, nie było nawet brane pod uwagę. Znowu spuścił wzrok, zawstydzony. Alice odwróciła się z powrotem do pieca. Babcia przerwała ciszę, przywołując wspomnienia, opowiadając z detalami o chorobach, zmarłych krewnych, remisjach, nawrotach, pogorszeniach i śmierci. – Mhm, mhm – słuchał, kiwając głową i wpatrując się w porysowany blat stołu. Usiadł bez zastanowienia na swoim dawnym miejscu, po prawej ręce ojca i lewej Tacey.

– Herbata – powiedziała Alice. Umieściła czajniczek na trójnogu i poklepała jego wypukły brzuszek. Postawiła przed synem filiżankę. A potem czekała, złożywszy ramiona, aż sobie naleje, a może zrobi coś innego. Spojrzał na nią i chciał cokolwiek powiedzieć, udzielić odpowiedzi na pytania, które ją nurtowały. Gdyby mógł, gdyby tylko umiał znaleźć słowa. Podwójne drzwi zakołysały się i weszła Lily z bliźniętami oraz Tony Buck.

– Cześć, wujku Auberonie – wykrzyknęły dzieci jednocześnie (dziewczynka miała na imię Blossom, a chłopiec – Bud), tak jakby Auberon był jeszcze gdzieś daleko i musiały krzyczeć, żeby je usłyszał. Auberon wpatrywał się w dzieci: były dwa razy większe niż przed jego wyjazdem i umiały już mówić. Kiedy wyjeżdżał, chyba jeszcze nie mówiły? Czy kiedy je ostatnio widział, nie leżały czasem spokojnie w brezentowym nosidelku, które dźwigała ich matka? Pod wpływem nalegań dzieci Lily zaczęła przeglądać zawartość szafek w poszukiwaniu czegoś dobrego do jedzenia. Samotny czajniczek z herbatą nie zrobił na dzieciach najmniejszego wrażenia, a na pewno był już czas na jakąś przekąskę. Tony Buck

potrzęsął dłonią Auberona i zapytał:

– Jak było w Mieście?

– Byczo – odparł Auberon takim tonem jak Tony, serdecznie i bez namysłu.

Tony zwrócił się do Alice:

– Tacey powiedziała, że moglibyśmy zrobić na kolację dwa króliki.

– Och, Tony, byłoby wspaniale – ucieszyła się Alice.

Tacey weszła do kuchni, wołając Tony'ego.

– Co ty na to, mamó? – spytała.

– Wspaniale – powtórzyła Alice. – Lepsze to niż tuńczyk.

– Zabijcie tłustego cielca – wtrąciła Mamade, jedyna, której ten zwrot przyszedł do głowy. – I przyrządźcie w potrawce.

– Smoky będzie uszczęśliwiony – powiedziała Alice do Auberona. – Uwielbia króliki, ale uważa, że nie wypada mu tego proponować.

– Słuchajcie – poprosił Auberon – tylko nie róbcie sobie kłopotu... – W swej skromności nie potrafił dokończyć tego zdania. – To znaczy przez to...

– Wujku Auberonie – wtrącił się Bud – czy widziałeś jakichś drapiezców?

– Co?

– Drapiezców. – Zagiął palce, upodabniając je do pazurów drapieznika. – Które czyhają na ciebie. W Mieście.

– No, właściwie...

Ale Bud zauważył, że jego siostra Blossom (ani na chwilę nie spuszczał z niej oka) zdobyła ciasteczko, którego on nie dostał, i też upomniał się o swój przydział.

– Wyjdźcie stąd, ale już! – nakazała Lily.

– Chcesz zobaczyć, jak zabijają króliki? – zapytała Blossom, biorąc mamę za rękę.

– Nie, nie chcę – odparła Lily, ale Blossom chciała, żeby matka towarzyszyła jej przy tym strasznym i fascynującym akcie i nie wypuszczała jej ręki.

– To potrwa tylko sekundę – zapewniała matkę, ciągnąc ją za sobą. – Nie bój się.

Lily, Blossom, Bud oraz Tony wyszli na zewnątrz przez letnią kuchnię i drzwi, które prowadziły do ogrodu. Tacey naląła herbaty sobie i babce, po czym wyszła z filiżankami popychając plecami drzwi. Mamade podążyła za nią.

Drzwi kołysały się coraz wolniej.

Alice i Auberon zostali w kuchni sami, inni odeszli tak szybko, jak się pojawili.

– Wygląda na to – zauważył Auberon – że wszyscy są zdrowi.

– Tak.

– Czy masz coś przeciwko temu – zapytał, wstając powoli, jak stary, spracowany człowiek – żebym napił się czegoś mocniejszego?

– Nie – odparła Alice. – Jest tam chyba trochę sherry i jakieś inne trunki.

Wyjął zakurzoną butelkę whisky.

– Nie ma lodu – powiedziała Alice. – Rudy nie przyszedł.

– Nadal przynosi lód?

– O tak. Ale ostatnio choruje, a Robin, jego wnuk, znasz Robina, nie pomaga mu za bardzo. Biedny stary człowiek.

Dziwne, ale to była ostatnia kropla. Biedny stary Rudy...

– To niedobrze, to niedobrze – powiedział Auberon drżącym głosem. – Fatalnie.

Pełna szklanka whisky wydała mu się najsmutniejszą rzeczą, jaką w życiu widział. Jego oczy błyszczały ponuro. Alice, zatrwożona, wstała z wolna...

– Ale narobiłem kłopotów, mam – powiedział. – Naprawdę straszliwych kłopotów. – Ukrył twarz w dłoniach, a rozpacz wzbierała w jego gardle i piersi.

Alice, nie wiedząc, co robić, objęła ostrożnie jego ramiona. Auberon, który od lat tego nie robił, nawet przy Sylvie, wiedział, że rozplacze się jak dziecko. Rozpacz napierała z siłą, szukając ujścia. Otworzył usta i trząsł się gwałtownie, wydając dźwięki, o jakie nigdy by się nie posądzał. Uspokój się, uspokój się, uspokój – powtarzał sobie, ale raz uwolniona rozpacz narastała, musiał wyrzucić z siebie cały ten balast. Położył głowę na kuchennym stole i wył.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał, kiedy był już w stanie przemówić. – Przepraszam, przepraszam.

– Nie przepraszaj – powiedziała Alice, obejmując jego ramiona okryte płaszczem. – Za co przepraszasz?

Podniósł nagle głowę, odrzucając jej ramię, zaszlochął po raz ostatni i uciszył się, tylko pierś mu falowała.

– Czy to z powodu ciemnoskórej dziewczyny? – spytała Alice miękko, ostrożnie.

– Och – westchnął Auberon. – Częściowo.

– I przez ten głupi zapis.

– Częściowo.

Zauważyła chusteczkę wystającą z jego kieszeni i podała mu ją.

– Proszę – powiedziała, zaszokowana, że twarz nosząca ślady łez to nie twarz jej małego synka, ale dorosłego człowieka, tak zmieniona przez ból, że ledwo ją poznawała. Spojrzała na chusteczkę i zauważyła: – Bardzo ładna. Wygląda jak...

– Tak – przerwał Auberon biorąc chusteczkę i wycierając twarz. – Lucy ją zrobiła. – Wydmuchał nos. – Dała mi ją w prezencie, kiedy wyjeżdżałem. Otwórz to, gdy przyjedziesz do domu, tak powiedziała. – Zaśmiał się, albo znów zapłakał, może zrobił obie rzeczy jednocześnie, i przełknął ślinę. – Ładna, nie? – Wepchnął ją z powrotem do kieszeni, oparł się wygodnie i patrzył na Alice. – O Boże, to okropnie krępujące – powiedział.

– Nie – zaprzeczyła – wcale nie. – Położyła dłoń na jego ręce. Była w kłopotliwym położeniu. Auberon potrzebował rady, a ona nie potrafiła mu w niczym pomóc. Wiedziała, gdzie można się udać po radę, ale nie wiedziała, czy jemu to pomoże i czy powinna go tam wysłać. – Już dobrze – powiedziała. – Naprawdę, ponieważ – w tym momencie podjęła

decyzję – ponieważ wszystko będzie dobrze.

– No pewnie – westchnął głęboko. – Wszystko już skończone.

– Nie – powiedziała Alice i mocniej uściśniła jego dłoń. – Nie, nie wszystko skończone, ale... Cokolwiek się zdarzy, będzie to częścią tego, co ma się zdarzyć, prawda? To znaczy: nie ma nic, co nie mogłoby się zdarzyć, mam rację?

– Nie wiem – zawahał się Auberon. – Co ja wiem?

Wyciągnęła ręce; ale był już za duży, żeby go do siebie przytulić, trzymać w ramionach i kołysać, i opowiedzieć mu długą, długą historię, tak długą i dziwną, że zasnąłby przed jej końcem, uspokojony głosem matki, jej ciepłem, biciem jej serca i niewzruszonym spokojem jej słów: a wtedy... a wtedy będzie bardziej cudownie i dziwnie i jakoś się to wszystko potoczy. Opowiadałaby to, czego nie potrafiła opowiedzieć wtedy, kiedy był mały i słuchał jej opowieści. Znała teraz tę historię, ale był już za duży, żeby go przytulić i szeptać bajki, za duży, by w nie uwierzyć, chociaż to wszystko się zdarzy, i to właśnie jemu. Ale nie mogła znieść jego rozpacz i milczenia.

– Czy mógłbyś... – zaczęła, nie uwalniając jego dłoni. Chrząknęła, bo coś ścisnęło ją za gardło i głos brzmiał zbyt szorstko (czy to dobrze, czy źle, że wyplakała wszystkie łzy dawno temu?). – Czy mógłbyś – powtórzyła – coś dla mnie zrobić?

– Pewnie.

– Dziś wieczorem, nie, jutro rano. Wiesz, gdzie jest ta stara altanka? Ta mała wysepka? Jeśli pójdziesz w górę strumienia, dojdiesz do stawu z wodospadem.

– Tak, wiem.

– W porządku – powiedziała.

Wzięła głęboki oddech i dała mu wskazówki. Zobowiązała go, żeby postępował zgodnie z nimi, i wyjaśniła niektóre powody, ale nie wszystkie, chcąc go przekonać, że musi się trzymać jej poleceń. Zgodził się. Był zaszepiony, ale wyplakał się już przed nią i nie miał teraz żadnych zastrzeżeń do jej planu i do tych powodów, które wyłuszczyła.

Drzwi prowadzące do ogrodu otworzyły się i wszedł przez nie Smoky. Zanim wyszedł z za rogu letniej kuchni, Alice poklepała Auberona po ręce, uśmiechnęła się, przyłożyła palec najpierw do swoich ust, a potem do jego.

– Króliki na kolację? – rzucił Smoky, wchodząc do kuchni. – Po co tyle zamieszania? – Bez zastanowienia wyciągnął ręce, kiedy zobaczył Auberona, i książki, które niósł pod pachą, upadły na podłogę.

– Cześć, cześć – powiedział Auberon, zadowolony, że udało mu się zaskoczyć chociaż jedną osobę.

Odwracam się powoli

Sophie również wiedziała, że Auberon jest w drodze do domu, ale ponieważ przyjechał autobusem, pomyliła się o jeden dzień. Miała wiele rad i pytań, ale Auberon nie chciał

niczych rad, a jej pytania również trafiłyby w próżnię, więc ich nie zadała. W tej chwili musiała zadowolić się tym, co sam jej opowiedział, chociaż te informacje nawet w części nie oddawały jego przeżyć podczas miesięcy spędzonych w mieście.

W czasie obiadu powiedziała:

– To miło, że znowu jesteśmy razem, chociaż przez jeden wieczór.

Auberon, który pochłaniał jedzenie tak, jakby przez wiele miesięcy żywił się tylko hot dogami i pizzą, spojrzał na nią, ale Sophie odwróciła wzrok. Najwyraźniej nie sądziła, że powiedziała coś dziwnego. Tacey zaczęła opowiadać o Cherry Lake, która rozwiodła się zaledwie po roku małżeństwa.

– Kolacja jest pyszna, mamó – pochwalił Auberon i wziął dokładkę, zdumiony swoim apetytem.

Później, w bibliotece, Smoky porównywał Miasto: to sprzed lat, które sam znał, i to, które poznał Auberon.

– Najlepsze – powiedział Smoky – albo też najbardziej podniecające było to, że zawsze miałeś uczucie, jakbyś był ośrodkiem wszelkich zdarzeń, jakbyś szedł na czele pochodu. Nawet jeśli całymi dniami siedziałeś tylko w swoim pokoju, to i tak miałeś takie wrażenie, wiedziałeś, że na zewnątrz, na ulicach i w budynkach tętni życie i gna do przodu, bum, bum, bum, i że ty sam jesteś częścią tego pędu, a wszyscy ludzie spoza miasta zostają w tyle, nie nadążają. Wiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak – powiedział Auberon. – Sądzę, że to się zmieniło.

W czarnym swetrze i w legginsach, które znalazł między swoimi starymi rzeczami, wyglądał jak Hamlet. Siedział skulony w wysokim skórzanym fotelu nabijanym guzikami. Skąpe światło odbijało się od butelki brandy, którą otworzył Smoky. Alice zaproponowała, żeby odbył z Auberonem długą rozmowę, ale trudno im było znaleźć wspólny temat.

– Zawsze miałem wrażenie, że wszyscy ludzie spoza miasta zupełnie o nas zapomnieli. – Wyciągnął kieliszek, a Smoky nalał mu odrobinę brandy.

– Ale te tłumy – ciągnął Smoky. – Ta bieganina, dobrze ubrani ludzie, wszyscy biegali na jakieś spotkania...

– Mhm.

– Myślę, że...

– Myślę, że wiem, co masz na myśli, to znaczy myślisz, że to było...

– Myślę, że miałem wrażenie...

– To się zmieniło – powiedział Auberon.

Zapadło milczenie. Obaj wpatrywali się w swoje kieliszki.

– No a jak ją poznałeś? – spytał w końcu Smoky.

– Kogo? – Auberon zeszytywniał. Nie miał zamiaru rozmawiać z ojcem na pewne tematy. Wystarczyło mu zupełnie, że dzięki stawianiu kart doskonale wiedzieli, co się dzieje w jego sercu i znali jego problemy.

– Tę kobietę, która tu przyjechała – wyjaśnił Smoky. – Tę pannę Hawksquill. Kuzynkę Ariel, jak mówi Sophie.

– Ach, w parku. Ucieliśmy sobie pogawędkę... W takim małym parku, który podobno zaprojektował stary John i jego firma dawno temu.

– Mały park – powiedział Smoky ze zdumieniem – w którym są takie zabawne kręte ścieżki, które...

– Tak – potwierdził Auberon.

– Prowadziły niby do środka, a tak naprawdę na zewnątrz i...

– Tak.

– Są tam fontanny, rzeźby, mały mostek...

– Tak, tak.

– Chadzałem tamtędy – dodał Smoky. – Jak ci się tam podobało?

Auberonowi w ogóle się tam nie podobało, więc nic nie odpowiedział.

– Ten park – wyjaśnił Smoky – z jakichś powodów zawsze przypominał mi Alice. – Smoky odpłynął nagle w przeszłość, bardzo wyraźnie widział we wspomnieniach mały park i czuł – niemal smakował od nowa – urok swej pierwszej miłości do żony. Był wtedy w wieku Auberona. – Jak ci się tam podobało? – zapytał ponownie, rozmarzony, smakując ten owocowy napój, który dawno już zwietrzał. Spojrzał na Auberona. Syn gapił się ponuro na swój kieliszek. Smoky wyczuł, że dotknął drażliwego tematu. Jakie to dziwne, pomyślał, w tym samym parku... Chrząknął i powiedział: – Niezwykła z niej kobieta.

Auberon przejechał dłonią po swych złączonych brwiach.

– Myślę o tej Hawksquill – wyjaśnił synowi.

– O tak. – Auberon chrząknął i wypił łyk. – Chyba trochę stuknięta.

– Tak? Nie wydaje mi się. Nie bardziej niż... Z pewnością ma dużo energii. Chciała obejrzeć cały dom, od piwnic po strych. Mówiła interesujące rzeczy. Zajrzeliśmy nawet do starego planetarium. Wspomniała, że też ma planetarium w swoim domu w mieście, inne niż to, ale zbudowane na tych samych zasadach, może przez tę samą osobę. – Ożywił się. Przepęniała go nadzieja. – Wiesz co? Ona myśli, że można by je na nowo uruchomić. Pokazałem jej, że wszystko jest zardzewiałe, wiesz, to najważniejsze koło z jakiegoś powodu nie działa, ale ona powiedziała, że podstawowa część maszynierii jest w porządku. Nie mam pojęcia, skąd może to wiedzieć, ale czyby nie było zabawnie? Po tylu latach. Pomyślałem, że można by spróbować. Wyczyścić i zobaczyć...

Auberon patrzył na ojca. Zaczął się śmiać. Jego szeroka, prostolinijna, łagodna twarz. Jak w ogóle mógł myśleć...

– Wiesz co? – powiedział. – Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że to planetarium działa.

– Co?

– Myślałem, że działa. Myślałem, że potrafię to udowodnić.

– Tak samo z siebie? W jaki sposób?

– Nie wiedziałem, w jaki sposób – wyjaśnił Auberon – ale sądziłem, że działa i że wszyscy o tym wiedzieliście i nie chcieliście, żebym ja się dowiedział.

Teraz Smoky się roześmiał.

– Ale dlaczego? – spytał. – Dlaczego mielibyśmy to przed tobą ukrywać? I w ogóle jak mogłoby działać? Co byłoby siłą napędową?

– Nie wiem, tato – powiedział Auberon, śmiejąc się jeszcze bardziej, chociaż można by sądzić, że ten śmiech przerodzi się w płacz. – Samo z siebie. Nie wiem. – Wstał z fotela. – Myślałem, o do diabła, nie potrafię tego wyrazić. Nie wiem, dlaczego myślałem, że to ważne, ale wydawało mi się, że muszę mieć na was haka...

– Co? Co takiego? – zdumiał się Smoky. – Ale dlaczego nie zapytałeś? Przecież proste pytanie...

– Tato – przerwał mu Auberon – czy uważasz, że w tym domu można zadać jakiegokolwiek proste pytanie?

– No... – zawahał się Smoky.

– W porządku – powiedział Auberon. – W porządku. Zadam ci proste pytanie, dobrze? Smoky poprawił się w krześle. Auberon już był poważny.

– Dobrze – zgodził się.

– Wierzysz we wróżki?

Smoky patrzył na swojego syna. Przez całe ich wspólne życie stali jakby złączeni plecami, niezdolni się odwrócić. Mogli utrzymywać kontakt tylko za pośrednictwem innych ludzi albo wyginać szyje i mówić jedynie kącikami ust. Musieli się domyślać swoich grymasów i gestów. Od czasu do czasu któryś z nich próbował odwrócić się szybkim ruchem i przyłapać drugiego w chwili, kiedy tamten najmniej się tego spodziewał, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Ten drugi stał ciągle zwrócony twarzą w przeciwną stronę, jak w starym wodewilu.

A porozumiewanie się w takiej pozycji, starania, by zostać dobrze zrozumianym, często przerastały ich możliwości, więc zaniechali wysiłków. Ale teraz Auberon zwrócił się do ojca twarzą, być może na skutek tego, co przeżył w mieście, cokolwiek to było. A może jedynie czas rozluźnił nieco te więzy, które ich krępowały i oddalały od siebie. Odwracam się powoli. I Smoky'emu pozostało już tylko odwrócić się również i stanąć z synem twarzą w twarz. Czy wierzę... dumął. „Wierzyć”... nie wiem, „wierzyć” to słowo...

– Tylko bez cudzysłówów – powiedział Auberon. – Bez wykrętów.

Syn stał teraz nad nim i czekał na odpowiedź.

– No dobrze – poddał się Smoky. – Odpowiedź brzmi: nie.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Auberon z ponurym zadowoleniem.

– Nigdy nie wierzyłem.

– W porządku.

– Oczywiście – tłumaczył Smoky – nie byłoby w porządku przyznawać się do tego, no

wiesz, albo pytać wprost, co to jest. Nigdy nie chciałem niczego zepsuć przez to, że się nie przyłączyłem. Więc nigdy nic nie mówiłem. Nigdy nie zadawałem pytań, nigdy. A zwłaszcza tych prostych. Mam nadzieję, że zauważyłeś, bo to nie zawsze było łatwe.

– Wiem – powiedział Auberon.

Smoky spuścił wzrok.

– Przykro mi – ciągnął – że cię oszukiwałem, jeśli rzeczywiście oszukiwałem, ale wydaje mi się, że jednak nie. Przepraszam, że czasem mogłeś odnieść wrażenie, że cię szpiegowałem, próbując się czegoś dowiedzieć, podczas gdy cały czas przypuszczano, że wiem o wszystkim, tak jak i ty. – Westchnął. – Nie jest łatwo żyć w kłamstwie.

– Chwileczkę, tato – przerwał Auberon.

– Nikogo z was to nie obchodziło. Oprócz ciebie. Tak sędzę. Wydaje mi się, że im nie przeszkadzało, że w nie nie wierzyłem, opowieść trwała dalej, niezmiennie, prawda? Tylko że ja, przyznaję, byłem trochę zazdrosny, ale przywykłem do tego. Byłem zazdrosny o ciebie. Bo ty wiedziałeś.

– Tato, posłuchaj.

– Nie, wszystko w porządku – powiedział Smoky. Jeśli miał spojrzeć prawdzie w oczy, to niech tak będzie, na Boga. – Tylko... Zawsze mi się zdawało, że to właśnie ty, a nie ktoś inny, mógłbyś mi to wyjaśnić. Że chciałeś to zrobić, tylko nie mogłeś. Nie, wszystko w porządku. – Podniósł dłoń, żeby powstrzymać usprawiedliwienia czy wymówki syna. – One, to znaczy Alice, Sophie i ciotka Cloud, i nawet dziewczęta, powiedziały tyle, ile mogły, tylko że to nigdy nie było żadnym wyjaśnieniem, nawet jeśli myślały, że było. Może uważały, że tłumaczyły to dostatecznie jasno, wiele razy, a ja po prostu byłem za głupi, żeby cokolwiek pojąć. Może i byłem. Ale zawsze miałem nadzieję, nie wiem dlaczego, że może zrozumiałbym, gdybyś to ty mi wytłumaczył i że zawsze miałeś to na końcu języka...

– Tato...

– I że może zaczęliśmy nie od tej strony, od końca, bo musiałeś to ukrywać, więc musiałeś też uciekać przede mną...

– Nie! Nie, nie, nie...

– I naprawdę jest mi przykro, że miałeś wrażenie, jakbym cię wiecznie szpiegował i wtrącał się, i w ogóle, ale...

– Tato, czy możesz mnie wysłuchać?

– Skoro już zadajemy proste pytania, to chciałbym wiedzieć, dlaczego tak się działo, że ty...

– Ja o niczym nie wiedziałem! – Jego krzyk obudził Smoky'ego, który podniósł oczy i zobaczył, że jego syn przybrał taką pozę, jak gdyby obwiniał się bądź czynił wyznania. Z jego oczu bił błysk szaleństwa.

– Co takiego?

– O niczym nie wiedziałem! – Auberon przyklęknął nagle przed ojcem, całe jego

dzieciństwo przewróciło się do góry nogami. Zaczynał go ogarniać szalony śmiech. – O niczym!

– Daj spokój – powiedział Smoky, zdumiony. – Myślałem, że rozmawiamy wreszcie zupełnie szczerze.

– O niczym!

– Więc jak mogłeś to ukrywać?

– Co ukrywać?

– To, co wiedziałeś. Sekretny pamiętnik i te wszystkie dziwaczne aluzje...

– Tato, tato. Gdybym wiedział coś więcej niż ty, gdybym wiedział, to czy mogłoby mi przyjść do głowy, że planetarium działa, tylko nikt nie chce mi o tym powiedzieć? A co z *Architekturą domów wiejskich*, której mi wcale nie wytłumaczyłeś...?

– Ja nie wytłumaczyłem! To ty uważałeś, że wiesz, co to jest...

– A Lilac?

– Lilac?

– Co się z nią stało? Z Lilac, córką Sophie. Dlaczego nikt mi nic nie powiedział? – Ścisnął dłonie ojca. – Co się z nią stało? Dokąd odeszła?

– No właśnie – powiedział Smoky, zawiedziony do granic wytrzymałości. – Dokąd?

Patrzyli na siebie błędnym wzrokiem, były tylko pytania bez odpowiedzi. I zrozumieli w tej samej chwili.

– Ale jak mogłeś pomyśleć, że ja... to znaczy, czy nie było oczywiste, że ja nie wiem...

– Wahałem się – przyznał Auberon. – Nie mów: dlaczego nie zapytałeś. Po prostu tego nie mów.

– O Boże – roześmiał się Smoky. – O Boże.

Auberon usiadł z powrotem na podłodze, kręcąc głową.

– Tyle pracy. Tyle wysiłku.

– Chyba napiję się jeszcze tej brandy, jeśli mi nalejesz – powiedział Smoky.

Auberon poszukał pustego kieliszka, który stał gdzieś poza kręgiem światła, nalał brandy ojcu i sobie i przez długi czas siedzieli w milczeniu, spoglądając raz po raz na siebie, śmiejąc się i kiwając głowami.

– To ci dopiero, no nie? – dziwił się Smoky. – Ale byłoby dużo gorzej – dodał po chwili – gdyby żaden z nas nie wiedział, jak sprawy stoją. Gdybyśmy na przykład wmaszerowali ramię w ramię do pokoju matki... – Roześmiał się na samą myśl – i powiedzieli: hej...

– Nie wiem – zawahał się Auberon. – Założę się...

– Tak – powiedział Smoky. – Tak, na pewno. No cóż.

Pamiętał, jak wiele lat temu pewnego październikowego dnia wybrali się z doktorem na polowanie. Doktor, który był przecież wnukiem Violet, doradzał Smoky'emu, że lepiej za głęboko nie wnikać w pewne sprawy, w to, co jest dane z góry i czego nie można zmienić. I kto by teraz odgadł, co wiedział sam doktor? Zabrał to ze sobą do grobu.

W dniu, kiedy przybył do Edgewood, ciotka Cloud powiedziała: „Kobiety odczuwają to głębiej, ale mężczyźni prawdopodobnie bardziej cierpią z tego powodu...”. Przyszło mu spędzić życie ze specjalistami w dziedzinie dochowywania tajemnic i wiele się od nich nauczył. Nic dziwnego, że nabrał Auberona. Uczył się od mistrzów, jak dotrzymywać sekretów, nawet jeśli sam nie miał żadnych. Nagle przyszło mu do głowy, że jednak miał sekrety, o tak. Chociaż nie potrafił wyjaśnić Auberonowi, co stało się z Lilac, to przecież wiedział niejedno o niej i o rodzinie Barnable i miał zamiar zatrzymać to dla siebie. Nie chciał, aby syn kiedykolwiek się o tym dowiedział i czuł się przez to winny. Twarzą w twarz, no cóż. Czy Auberon podejrzewał to, kiedy pocierał brwi, wpatrując się znowu w kieliszek?

Nie, Auberon myślał o Sylvie i o tym, co matka nakazała mu zrobić jutro w lesie za małą wyspą. Zupełnie dziwaczna rzecz. I przypomniało mu się, jak położyła palec na swoich, a potem na jego ustach, wymuszając milczenie, kiedy ojciec wszedł do kuchni. Podniósł palec wskazujący i pogłodził nowe włoski, które nie wiadomo dlaczego wyrosły pomiędzy jego brwiami, łącząc je w jedną brew.

– W pewnym sensie – powiedział Smoky – żałuję, że wróciłeś...

– Hmm?

– To znaczy, oczywiście nie żałuję, tylko... Miałem pewien plan: gdybyś w najbliższym czasie nie wrócił ani nie dał znaku życia, to wyruszyłbym cię szukać.

– Naprawdę?

– Tak – roześmiał się. – To byłaby wielka wyprawa. Myślałem już, co powinienem zabrać... i w ogóle.

– Powinieneś był to zrobić – powiedział Auberon, uśmiechając się szeroko, ale czując ulgę, że jednak ojciec tego nie uczynił.

– Byłoby zabawne znowu zobaczyć Miasto. – W jego pamięci ożyły dawne obrazy. – Pewnie bym zabłądził.

– Tak. – Auberon znowu uśmiechnął się do ojca. – Chyba tak. Ale dziękuję, tato.

– O rany! – jęknął Smoky. – Zobacz, która godzina.

Objąć samego siebie

Wszedł za ojcem na górę po szerokich frontowych schodach. Trzeszczały tak samo jak zawsze. Dom ani w nocy, ani w ciągu dnia nie miał przed nim żadnych tajemnic. Auberon zapomniał tylko, że kiedyś go tak dobrze znał.

Pożegnali się na zakręcie korytarza.

– Śpij dobrze – powiedział Smoky, gdy stali razem oświetleni nikłym płomieniem świecy. Być może gdyby Auberon nie taszczył nieporęcznych toreb, a Smoky nie trzymał świecy, uścisnęliby się. Być może nie.

– Trafisz do swojego pokoju?

– Pewnie.

– To dobranoc.

– Dobranoc.

Auberon pokonał jeszcze pięćdziesiąt pięć stopni i uderzył biodrem o dziwaczną komodę, o której istnieniu zawsze zapominał, po czym jego dłoń spoczęła na szklanej gałce. Kiedy znalazł się w środku, nie zapalił świecy, chociaż wiedział, że razem z zapalkami stoi na nocnym stoliku. Wiedział również, jak zapalić zapalkę, pocierając jej czubkiem o porysowany spód stolika. Zapach pokoju (chłodny, ledwo wyczuwalny, ale znany, przemieszany z zapachem dzieci – pokój bowiem okupowały bliźnięta Lily) przypomniał mu w delikatny sposób minione czasy. Przez chwilę stał nieporuszony, rozpoznając węchem miejsce, gdzie stoi fotel, w którym upłynęła większa część jego szczęśliwego dzieciństwa. Fotel był tak duży, że Auberon mógł wtedy zwinąć się w nim z książką w ręce albo z blokiem rysunkowym. Obok stała lampa i stół, na którym w ciepłe światła grzały się powoli ciasteczka i mleko albo herbata i grzanka. Inny kąt pokoju zajmowała szafa, zza której uchylonych drzwi wymykały się duchy i złośliwe zjawy, żeby go straszyć. (Co się stało z tymi duchami, kiedyś tak dobrze znanymi? Umarły, umarły z samotności – nie miały kogo straszyć). Rozpoznawał też wąskie łóżko, na którym leżała kołdra i dwie poduszki. Od wczesnego dzieciństwa walczył o to, żeby mieć dwie poduszki, chociaż opierał głowę tylko na jednej. Lubił ten nęcący luksus. Wszystko w tym pokoju było nęcące. Zapachy poruszyły jego duszę, spętały ją jak łańcuchy. Czuł się tak, jakby znowu wziął na barki dawny ciężar.

Rozebrał się w ciemności i wsunął do łóżka. Zupełnie jakby objął samego siebie. Od czasu gdy wystrzelił w górę i dorównał wzrostem Alice, jego stopy, gdy leżał w łóżku, wystawały nieco i dotykały końca materaca. Odnalazł teraz zagłębienia w tych miejscach. Wypukłości były też tam gdzie zawsze. W łóżku znajdowała się tylko jedna poduszka, pachnąca lekko moczem. Kot? Dziecko? Nie będę mógł spać, pomyślał. Nie mógł się zdecydować, czy żałował, że nie miał dość śmiałości, by wypić więcej brandy, czy też był zadowolony, że czekają go męki. Musi wiele nadrobić począwszy od dzisiejszej nocy. Tak wiele było spraw, które mogły zająć jego rozbudzony umysł. Przewrócił się ostrożnie, przybierając pozę numer dwa w niezmienną się choreografii, i leżał długo, nie mogąc zasnąć. Przytłaczała go znajoma ciemność.

IV

*Mówisz jak różokrzyżowiec, który
kocha jedynie sylfa, który nie wierzy
w istnienie sylfa, a który mimo to ma
pretensje do całego wszechświata o to,
że nie zawiera on sylfa.*

Thomas Love Peacock, *Nightmare Abbey*

Tak, teraz rozumiem – powiedział Auberon ze spokojem, siedząc w lesie. To było przecież takie proste. – Przez długi czas nie rozumiałem, ale teraz już zrozumiałem. Nie można zatrzymać ludzi na zawsze, nie można ich mieć na własność. To jest naturalne, naturalny proces. Spotkanie. Miłość. Rozstanie. Życie toczy się dalej. Nie powinienem był oczekiwać, że zawsze będzie taka sama, to znaczy „zakochana”. – Po tonie jego głosu rozpoznawało się wyraźnie, które słowo objął cudzysłowem. Był w tym podobny do Smoky’ego. – Nie żywię urazy. Nie mogę.

– Właśnie że tak – powiedział Dziadek Pstrąg. – I wcale nie rozumiesz.

Nic za coś

Wyszedł z domu o świcie. Obudziło go drapanie w gardle i suchość w ustach spowodowana brakiem alkoholu. Odkąd pił nałogowo, zawsze budził się z takim odczuciem. Ponieważ nie mógł już dłużej spać i nie miał ochoty gapić się na pokój, który w niełaskawym świetle świtu był obcy i nieprzyjazny, wstał i ubrał się. Włożył kapelusz i płaszcz i wyszedł na mglisty chłód.

Szedł pod górę przez las, minął wyspę na jeziorze, gdzie stała biała altanka skąpiana do połowy we mgle, i dotarł do miejsca, w którym wodospad wpadał z melodyjnym szumem do głębokiego, ciemnego stawu. Zrobił to, co nakazała mu matka, chociaż nie dawał wiary jej słowom albo starał się im nie wierzyć. Ale, wierząc czy też nie, był przecież mimo wszystko Barnable’em, Drinkwaterem ze strony matki. Jego pradziadek nie odrzucił swych powinności. Nie mógłby, nawet gdyby chciał.

– No tak, ale chciałbym jej wyjaśnić – powiedział Auberon. – Powiedzieć jej jakoś, że nie mam żalu, że szanuję jej decyzję. Więc pomyślałem sobie, że gdybym wiedział, gdzie ona jest, chociaż w przybliżeniu...

– Nie wiem – odparł Dziadek Pstrąg.

Auberon, który siedział na brzegu stawu, wyprostował plecy. Co on tu robi? Jeśli ta jedna informacja, na której mu zależy, jest ciągle przed nim ukrywana, jeśli właśnie tego nie wolno mu wiedzieć? Jak w ogóle mógł o to zapytać?

– Nie rozumiem nadal – rzekł w końcu – dlaczego ciągle się tym tak bardzo przejmuję. Przecież w morzu jest dużo rybek. Odeszła, nie mogę jej odnaleźć, więc dlaczego nie potrafię się z tego otrząsnąć? Te duchy, te zjawy...

– To nie twoja wina – powiedział Pstrąg. – Te zjawy. To ich praca.

– Ich praca?

– Nie chcą, żebyś o tym wiedział – wyjaśnił Dziadek Pstrąg – ale to ich praca. Robią to dlatego, żebyś nadal jej pragnął. To przynęta. Nie trzeba się przejmować.

– Nie przejmować się?

– Pozwól im zniknąć. Przyjdą następne. Po prostu pozwól im zniknąć. Nie mów im, że ci to powiedziałem.

– Ich praca – powtórzył Auberon. – Ale po co?

– Daj spokój – powiedział Dziadek Pstrąg wymijająco. – Po co? Dlaczego?

– W porządku – wszedł mu w słowo Auberon. – W porządku, rozumiesz? Rozumiesz, o co mi chodzi? – Łzy napłynęły mu do oczu, był niewinną ofiarą. – Do diabła z tym. Urojenia. Mam to gdzieś. To minie. Zjawy czy nie zjawy. Niech wykonują swoją podłą robotę. To nie będzie trwać wiecznie.

To było najsmutniejsze ze wszystkiego, smutne, ale prawdziwe. Westchnął z drzeniem.

– To normalne – stwierdził. – To nie będzie trwać wiecznie. Nie może.

– Może – powiedział dziadek Pstrąg. – I będzie.

– Nie – sprzeciwił się Auberon. – Nie, czasem myślisz, że będzie, ale to mija. Myślisz, że miłość to takie wielkie, nieprzemijające uczucie. Niezależne od ciebie samego. Samoistne. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– Ale to nieprawda. To także urojenie. Nie muszę być jej niewolnikiem. Po prostu miłość sama kiedyś przemija. Kiedy wreszcie to następuje, nie możesz sobie nawet przypomnieć, co się wtedy czuje. – Tego właśnie nauczył się w małym parku: że można, a nawet trzeba pozbyć się złamanego serca tak, jak wyrzuca się stłuczoną filiżankę. Komu jest potrzebne? – Miłość. To sprawa wyłącznie osobista. To znaczy, że moja miłość nie ma z nią nic wspólnego, w każdym razie nie z prawdziwą Sylvie. To tylko coś, co ja odczuwam. Myślę, że to mnie z nią łączy, ale tak nie jest. To tylko mit, mit, który sam tworzę. Mit o niej i o mnie. Miłość jest mitem.

– Miłość jest mitem – powtórzył Dziadek Pstrąg. – Jak lato.

– Co takiego?

– W zimie – wyjaśnił Dziadek Pstrąg – lato jest mitem. Pogłoską. Plotką. Czymś nie do uwierzenia. Pojmujesz? Miłość jest mitem. I lato też.

Auberon podniósł wzrok na powyginane gałęzie drzew, które zwieszały się nad szemrzącym stawem. Niezliczone gałązki wypuszczały młode listki. Właśnie się dowiedział, że sztuka pamięci w niczym mu nie pomogła.

Dźwigał cały czas to brzemień i nic go od niego nie uwolni. Przecież tak nie może być. Czy rzeczywiście będzie ją zawsze kochał, zawsze będzie spętany pamięcią o niej, nigdy nie wyrwie się z tej niewoli?

– W lecie – powiedział – zima jest mitem...

– Tak – zgodził się Pstrąg.

– Pogłoską, plotką, czymś nie do uwierzenia. Tak.

Kochał ją, a ona go zostawiła, opuściła bez powodu, bez pożegnania. Jeśli będzie ją zawsze kochał, jeśli miłość nie umiera, to ona zawsze będzie od niego odchodzić, zawsze bez powodu, zawsze bez pożegnania. Zostanie uwięziony na zawsze pomiędzy tymi dwoma biegunami radości i smutku. Tak nie może się stać.

– Na zawsze – powiedział. – O nie.

– Na zawsze – powtórzył jego pradziadek. – O tak.

A więc to tak. Zdał sobie sprawę, z oczami mokrymi od łez i sercem przepełnionym zgrozą, że nie odrzucił ani jednej chwili spędzonej z Sylvie, ani jednego spojrzenia. Sztuka pamięci tylko uszlachetniła jego wspomnienia i nadała im blask. Żaden moment spędzony razem z nią nie mógł przeminąć na zawsze. Lato nadeszło, każda pogodna jesień i każda spokojna zima była tylko mitem i nie niosła żadnej pomocy.

– Nie ma w tym twojej winy – powiedział Dziadek Pstrąg.

– Muszę przyznać – stwierdził Auberon, wycierając oczy i nos w rękaw płaszcza – że wcale mnie nie pocieszyłeś.

Pstrąg nic nie odpowiedział. Nie spodziewał się wdzięczności.

– Nie wiesz, gdzie ona jest. Ani dlaczego zostałem tak potraktowany. Ani co powinienem zrobić. Potem mówisz mi, że to nie minie.

Zapadła długa cisza. Białe rybi kształt falował pod wodą. Smutek Auberona nie wzruszał Pstrąga.

– Przewidzieli dla ciebie jakiś podarunek – powiedział w końcu Dziadek Pstrąg.

– Podarunek. Jaki podarunek?

– Nie wiem dokładnie. Ale na pewno jakiś przewidzieli. Nie jest tak, że nic się nie dostaje za coś.

– Dziękuję, cokolwiek to jest. – Auberon wyczuł, że Pstrąg czyni wysiłki, by być miłym.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – dodał Dziadek Pstrąg. Auberon wpatrywał się w

powierzchnię wody, pofałdowaną jak jedwab. Gdyby miał wędkę. Dziadek Pstrąg zanurzał się powoli. – Więc słuchaj – powiedział, ale nic więcej już nie dodał, tylko zniknął wolno pod wodą.

Auberon wstał. Poranna mgła opadła, słońce mocno przygrzewało, a ptaki śpiewały ekstatycznie – było tak, jak miało być. Wracił wzdłuż strumienia, a potem ścieżką wiodącą przez pastwisko. Otaczało go bogactwo przyrody. Dom, skryty w szepczących drzewach, miał rankiem pastelowe kolory. Wydawało się, że właśnie otwiera oczy. Auberon, który stanowił dysonans w harmonii wiosny, potykał się na nierównym gruncie pastwiska. Spodnie aż do kolan miał mokre od rosy. To może trwać wiecznie. I będzie trwać wiecznie. Spróbuje złapać wieczorny autobus, który jedzie obwodnicą. Potem przesiądzie się na drugi, jadący na południe. Będzie podążał przez gęstniejące przedmieścia, przez szeroki most i tunel. W końcu dotrze do przerażających ulic, które przez brud i nędzę Miasta poprowadzą go na Starą Farmę i do dawnego pokoju, gdzie być może znajduje się Sylvie. Przystanął. Był sztywny jak wyschnięta gałąź, jak gałąź, którą według pewnej legendy papież wręczył grzesznemu rycerzowi. Nieszczęsny pokochał Wenus. Jego grzechy miały zostać odkupione dopiero wtedy, gdy zakwitnie gałąź. Ale Auberon nie czuł w sobie zdolności do rozkwitu.

Dziadek Pstrąg, do którego stawu również zawitała wiosna, okalając jego legowisko młodymi wodorostami i przynosząc bogactwo żeru, zastanawiał się, czy rzeczywiście przewidzieli dla chłopca jakiś podarunek. Prawdopodobnie nie. Nie obdarowywali nikogo, jeśli nie musieli. Ale ten chłopiec był taki smutny. Nic nie szkodzi, że mu tak powiedział. Okazał trochę serca. Dziadek Pstrąg nie był z natury zbyt uczuciowy, już nie, nie po tych wszystkich latach, ale w końcu nadeszła przecież wiosna, a chłopiec był bądź co bądź krwią z krwi, tak przynajmniej mówili. Miał w każdym razie nadzieję, że jeśli jednak przygotowali dla chłopca jakiś podarunek, to nie będzie to nic takiego, co przysporzyłoby mu wielkiego cierpienia.

Całkiem dalekowzroczni

– Oczywiście zawsze wiedziałam o ich istnieniu – powiedziała Ariel Hawksquill do cesarza Fryderyka Barbarossy. – W czasie moich praktycznych czy eksperymentalnych studiów zawsze stanowiły pewną dokuczliwość. Elementale. Eksperymenty zdawały się przyciągać je, tak jak miska z brzoskwiniami przyciąga chmurę muszek, które nie wiadomo skąd się biorą, a nasz spacer wśród drzew pobudza cykady. Czasem bywało, że nie mogłam wejść na górę ani zejść po schodach do mojego gabinetu – w którym pracowałam za pomocą szkieł, okularów i luster – żeby cała ich chmara nie deptała mi po piętach i nie wchodziła na głowę. Uprzykrzone. Nie miałam nawet pewności, czy nie wpływają w jakiś sposób na wyniki moich badań.

Pociągnęła łyk sherry, którą cesarz dla niej zamówił. Chodził w tę i z powrotem po saloniku i nie słuchał zbyt uważnie jej wywodów. Ludzie z Klubu opuszczali jego apartament

z pewnym zakłopotaniem, nie mając pewności, czy cokolwiek osiągnęli. Czuli, że wyłudzone od nich zbyt wiele.

– Co teraz zrobimy? – spytał Barbarossa. – Oto jest pytanie. Myślę, że godzina wybiła. Miecze zostały obnażone. Objawienie nastąpi wkrótce.

– Hm.

Kłopot polegał na tym, że Hawksquill nigdy nie uważała ich za istoty posiadające wolę. Byli tylko pewną siłą, jak anioły, emanacją, kondensacją tajemnej energii, obiektami obdarzonymi nie większą świadomością niż kamienie czy światło słoneczne. Przybierały wprawdzie pewne kształty, które mogły posiadać wolę, miały głosy o zmiennym wyrazie i przemieszczały się z określonym celem, ale przypisywała to wyłącznie właściwościom ludzkiego postrzegania. Wszak ludzie dostrzegają twarze w plamach pokrywających ściany, widzą wrogie lub przyjazne postacie w krajobrazie oraz istoty stworzone z obłoków. Mając do czynienia z Siłą, dostrzega się ją jako istotę z twarzą i charakterem, nie ma na to rady. Ale w *Architekturze domów wiejskich* przedstawiono inny punkt widzenia. Twierdzono, że jeśli istnieją stworzenia będące jedynie emanacją sił natury, pozbawioną woli emanacją sił wyobraźni, mediami duchów, które dobrze wiedzą, co robią, to stworzenia są ludźmi, a nie wrózkami. Hawksquill nie posunęłaby się tak daleko, ale została zmuszona do przyznania racji tym twierdzeniom. Istoty te naprawdę miały wolę i moc, miały swoje pragnienia, jak i obowiązki, i wcale nie były ślepe, o nie, w rzeczywistości były całkiem dalekowzroczne. I gdzie w tym wszystkim było jej miejsce?

Nie chciała być jedynie ogniwem w łańcuchu poruszonym przez inne siły, nie uważała siebie za nic nie znaczącą jednostkę w przeciwieństwie do kuzynów, którzy w ten właśnie sposób o sobie myśleli. Na pewno nie miała zamiaru pełnić funkcji młodszego oficera w ich armii. Tę rolę przypisali prawdopodobnie Fryderykowi Barbarossie, bez względu na to, co on sam o sobie myślał. O nie. Z nikim nie chciała tak całkowicie dzielić swego losu. Magiem jest ten, kto manipuluje i rządzi mocami, którym zwykli śmiertelnicy ślepo się poddają.

Stąpiła po cienkim lodzie. Ludzie z Klubu nigdy nie byli dla niej godnymi przeciwnikami. Przewyższała klasą tych dżentelmenów, tak samo jak przewyższali ją klasą ci, którzy manipulowali Russellem Eigenblickiem. Ale będzie to wreszcie rywalizacja, na jaką czekała. Teraz, kiedy jej zdolności były w pełnym rozkwicie, a zmysły najbardziej wyostrzone, podda wreszcie próbie siebie i swą wiedzę o nich, przynajmniej na tyle, na ile w ogóle można je sprawdzić. I jeśli nie sprostą temu zadaniu, to chociaż przegra z honorem.

– Co ty na to? – spytał cesarz, siadając ciężko.

– Nie będzie żadnego objawienia – odparła wstając. – Nie teraz, jeśli w ogóle.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Zmieniłam zdanie – powiedziała Hawksquill. – Może było najwłaściwiej wybrać cię na prezydenta.

– Ale mówiłaś...

– O ile wiem – ciągnęła Hawksquill – uprawnienia urzędu są prawnie nienaruszone, tyle że się ich nie wykorzystywało. Kiedy będziesz u władzy, możesz je skierować przeciwko Klubowi. Byliby zdziwieni. Mógłbyś wtrącić ich...

– Do więzienia. Skazać w tajemnicy na śmierć.

– Nie. Ale może chociaż złapać w sidła systemu prawnego. Jeśli wydarzenia najnowszej historii mogą być jakąś nauką, to przez długi czas się z nich nie wypłaczą, a jeśli nawet, to będą osłabieni i dużo biedniejsi, splukani doszczętnie, jak zwykliśmy mówić.

Obdarzył ją uśmiechem, szerokim, drapieźnym, chytrym uśmiechem konspiratora. Omal się nie roześmiała. Skrzyżował krótkie, grube palce na brzuchu i kiwał głową z zadowoleniem. Hawksquill odwróciła się do okna, myśląc: Dlaczego on? Dlaczego właśnie on spośród tylu ludzi? I odpowiedziała sobie pytaniem: gdyby myszy w gospodarstwie otrzymały nagle prawo głosu w sprawie zarządzania domem, to kogo wybrałyby na gospodarza?

– I zdaje się – dodała – że bycie prezydentem tego kraju właśnie w tym momencie nie różniłoby się niczym szczególnym od bycia cesarzem. – Uśmiechnęła się do niego przez ramię, a on spojrzał na nią spod rudych brwi, żeby upewnić się, czy z niego nie kpi. – Te same splendory – powiedziała łagodnie, podnosząc szklanekę do światła. – Te same radości. Te same smutki. Jak długo, twoim zdaniem, mógłbyś sprawować teraz władzę?

– Nie wiem – odparł, ziewając potężnie, z samozadowoleniem. – Chyba od zaraz. I już na zawsze.

– Tak też myślałam – stwierdziła Hawksquill. – W takim razie nie ma pośpiechu, prawda?

Ze wschodu, znad oceanu, nadciągał wieczór. Ponure, gasnące światło słońca rozlewało się na zachodzie jak ciecz ze zbitego naczynia. Z tej wysokości, z tego szklanego przybytku próżności, można było obserwować zmaganie się dnia i wieczoru – pokaz dla bogatych i wszechmocnych, którzy zajmowali wysokie stanowiska. Na zawsze... Hawksquill, która obserwowała tę bitwę, miała wrażenie, że cały świat zapada właśnie w tym momencie w długi sen albo, być może, budzi się z innego. Nie była pewna. Ale kiedy odwróciła się od okna, żeby wypowiedzieć tę myśl, zobaczyła, że cesarz Fryderyk Barbarossa śpi na krześle, pochrapując cicho. Jego słaby oddech poruszał czerwone wąsy, a oblicze było tak spokojne jak twarzyczka śpiącego dziecka. Zupełnie jakby wcale się nie obudził, pomyślała Hawksquill.

Już na zawsze

– Ho, ho – powiedział George Mouse, kiedy otworzył w końcu drzwi do Starej Farmy i zobaczył Auberona siedzącego na stopniu. Auberon długo walił w drzwi i wołał (w czasie swojej włóczędzy zgubił gdzieś wszystkie klucze), a teraz stanął przed obliczem George'a zawstydzony, jak marnotrawny kuzyn.

- Cześć – powiedział.
- Cześć – odparł George. – Długo się nie pokazywałeś.
- Tak.
- Martwiłem się, człowieku. Co to, do diabła, ucieczka? Straszna rzecz.
- Szukałem Sylvie.
- O tak, zostawiłeś jej brata w pokoju. Miły facet, naprawdę. Znalazłeś ją?
- Nie.
- O kurczę.

Stali naprzeciw siebie. Auberon, ciągle trochę zamroczony nagłym powrotem na ulice miasta, nie wiedział, jak zapytać George'a, czy może zostać, chociaż wydawało się oczywiste, że właśnie po to tu przyszedł. George patrzył tylko z uśmiechem i kiwał głową. W jego czarnych oczach zagościła trwoga, jakby obawiał się czegoś, czego nie mógł zobaczyć. Chociaż w Edgewood panowała jeszcze pogoda typowa dla maja, jednotygodniowa, miejska wiosna już przeminęła i lato było w pełni. Powietrze przepełniało bogactwo zapachów, ulice ogarniała gorączka. Auberon zdążył już zapomnieć.

- To co – powiedział George.
- To co – powtórzył Auberon.
- Z powrotem w wielkim mieście? – powiedział George. – Czy myślałeś...
- Mogę wrócić? – zapytał Auberon.
- No coś ty. Świetnie. Jest dużo roboty. Twój pokój stoi pusty... Jak długo chcesz zostać?
- No nie wiem, chyba już na zawsze – odparł Auberon.

Czuł się jak poobijana piłka, teraz rozumiał to doskonale. Najpierw został wybity z Edgewood, poszybował wysoko, aż spadł do miasta. W jakimś szaleńczym tańcu odbijał się rykoszetem od ścian i obiektów, które wyznaczały kierunek jego drogi. Aż w końcu (nie z własnego wyboru) rzucono go z powrotem do Edgewood, gdzie odbijał się regularnie – kątem padania równy kątowi odbicia. A potem znów poszybował na ulice i dotarł do dawnego domu. Nawet najbardziej wytrzymała piłka nie może być ciągle podbijana. Najpierw skacze wysoko, potem coraz niżej, a w końcu tylko się toczy po trawie. Wreszcie zupełnie zwalnia i kołysząc się leciutko, staje.

Trzy wcielenia Lilac

George zdał sobie nagle sprawę, że stoją w otwartych drzwiach, i rzuciwszy spojrzenie w głąb ulicy, żeby zobaczyć, czy ktoś nie nadchodzi, pociągnął Auberona do środka, po czym zamknął drzwi. Tak samo postąpił kiedyś pewnego zimowego dnia w innym świecie.

– Jest poczta do ciebie – powiedział, idąc z Auberonem przez hol w stronę schodów wiodących na dół do kuchni. Potem mówił coś o pomidorach, ale Auberon już nic nie słyszał, bo krew uderzyła mu nagle do głowy. Z trwogą przypomniał sobie o podarunku. Nie mógł myśleć w tej chwili o niczym innym. Trwał w tym stanie, podczas gdy George chaotycznie

przerzucał papiery w poszukiwaniu listów, co rusz przerywając, żeby rzucić jakąś uwagę albo zadać pytanie. Dopiero gdy zauważył, że Auberon go nie słucha ani nie odpowiada na jego pytania, skoncentrował się na jednym zajęciu i znalazł wreszcie dwie podłużne koperty, które wsunął wcześniej do tosterka z jakimiś przestarzałymi monitami i mało ważnymi przepisami.

Auberon od razu stwierdził, że żaden z listów nie jest od Sylvie. Ręce mu drżały, gdy otwierał koperty, chociaż nie było już powodu do zdenerwowania. „Petty, Smilodon i Ruth” mieli przyjemność poinformować go, że testament doktora Drinkwata został wreszcie wykonany. Załączali rozliczenie, z którego wynikało, że jego udział, po potrąceniu zaliczek i kosztów wynosi 34 dolary i 17 centów. Jeśli przyjdzie do kancelarii i podpisze odpowiednie dokumenty, otrzyma wzmiankowaną sumę w całości. Druga koperta, z czerpanego papieru i z kosztownym nadrukiem firmowym, zawierała list od producentów serialu *Inny świat*. Przeczytali bardzo wnikliwie jego maszynopisy. Pomysły fabularne były wspaniałe i żywe, ale dialogi niezbyt przekonujące. Jednak gdyby zechciał poprawić te maszynopisy albo napisać kolejne, to mogliby włączyć go do swojego zespołu młodych scenarzystów. Mieli nadzieję, że odpowie. W każdym razie mieli tę nadzieję w zeszłym roku. Auberon roześmiał się. Być może znalazł chociaż pracę. Może będzie kontynuował niekończące się kroniki doktora na temat zielonej łąki i dzikiego lasu, choć nie w tej samej formie, w jakiej robił to doktor.

– Dobre wieści? – spytał George, parząc kawę.

– Wiesz – powiedział Auberon – ostatnio bardzo dziwne rzeczy dzieją się na świecie. Bardzo dziwne.

– Opowiedz mi o nich – poprosił George, nie chcąc wcale niczego wiedzieć.

Auberon uświadomił sobie, że dopiero gdy wyzwolił się z pijackiego zamroczenia, zaczął zauważać rzeczy, do których inni ludzie już przywykli. Poczul się tak, jakby miał za chwilę oznajmić kumplom, że niebo jest błękitne, a drzewa rosnące wzdłuż ulicy wypuściły liście.

– Czy zawsze rosły tu takie duże drzewa? – zapytał George’a.

– Najgorsze – odparł kuzyn – że korzenie podnoszą podłogę w suterenie. A spróbuj wytłumaczyć to w Zieleni Miejskiej. Beznadzieja. – Postawił przed Auberonem kawę. – Mleka? Cukru?

– Wolę czarną.

– Dziw nad dziwy – powiedział George, mieszając małą pamiętkową łyżeczką kawę, której wcale nie osłodził. – Czasem mam ochotę wysadzić tę budę. Wrócić do fajerwerków. Na tym można teraz zbić forszę, przy tych wszystkich uroczystościach. – Tak?

– Eigenblick i reszta. Parady, pokazy. Lubi te rzeczy. I fajerwerki.

– Ach tak.

Odkąd Auberon spędził noc i poranek z Brunem, celowo unikał wszelkich myśli dotyczących Russella Eigenblicka. Miłość to dziwna rzecz. Zabarwia swoim kolorem całe polacie świata i już zawsze noszą one barwy miłości, obojętnie czy jasne, czy ciemne.

Pomyślał o południowych rytmach, pamiątkowych koszulach, o niektórych ulicach i placach w mieście, o słowiku.

– Zajmowałeś się fajerwerkami?

– Jasne. Nie wiedziałeś? Byłem najlepszy, chłopie. Nazwisko w gazetach. Kupa śmiechu.

– W domu nigdy nie wspominali – powiedział Auberon, czując, że to kolejna sprawa, którą trzymali w tajemnicy. – Nie przy mnie.

– Nie? – George dziwnie na niego spojrzał. – To się dosyć gwałtownie skończyło. Mniej więcej w tym czasie, kiedy się urodziłeś.

– Ach tak? Dlaczego?

– Okoliczności, chłopie, okoliczności. – Zagapił się na swoją kawę, popadł w dziwną zadumę, rzecz niespotykana u George'a. W końcu podjął najwyraźniej jakąś decyzję. – Wiesz, że miałeś siostrę, Lilac?

– Siostrę? – To było coś nowego. – Siostrę?

– No tak, siostrę.

– Nie. Sophie miała dziecko, dziewczynkę, Lilac, która zaginęła. Ja miałem tylko wymyśloną przyjaciółkę o takim samym imieniu. Ale nie siostrę. – Zamyślił się. – Zawsze mi się zdawało, że były trzy. Nie wiem czemu.

– Ja mówię o dziecku Sophie. Myślałem, że ta historia, która rozegrała się na górze... No, nieważne.

Ale Auberon nie dał za wygraną.

– O nie, chwileczkę. Co znaczy „nieważne”? – George wznosił oczy z poczuciem winy, zdziwiony tonem Auberona. – Jeśli coś wiesz, to chcę to usłyszeć.

– To długa historia.

– Tym lepiej.

George zamyślił się. Wstał, włożył stary sweter i usiadł z powrotem.

– Zgoda. Sam tego chcesz. – Zastanawiał się, od czego zacząć. Na skutek długoletniego zażywania narkotyków potrafił opowiadać bardzo żywo, ale nie zawsze z sensem. – Fajerwerki. Trzy wcielenia Lilac, tak?

– Jedna była zmyślona.

– Cholera. Ciekawe, jakie były tamte. W każdym razie jedna była fałszywa jak sztuczny nos. Dokładnie tak. O tej fałszywej to historia z fajerwerkami. Więc pewnego dnia dawno temu Sophie i ja... To było w zimie, kiedy przyjechałem do Edgewood i ona i ja... Ale nie miałem pojęcia, że coś z tego wyniknęło, rozumiesz? Chwila słabości. Machnąłem na to ręką. To znaczy nabrała mnie. Poza tym wiedziałem, że w tym samym czasie było coś między Sophie i Smokym. – Spojrzał na Auberona. – Wszyscy o tym wiedzą, prawda?

– Nie.

– Ty nie... Oni nic ci nie...

– Nigdy mi o niczym nie powiedzieli. Wiedziałem, że Sophie miała dziecko, Lilac. Potem

dziewczynka zniknęła... To wszystko, co wiem.

– Więc słuchaj. O ile wiem, Smoky nadal myśli, że jest ojcem Lilac. Więc wszyscy milczą na temat tej historii. Tak, milczenie to najwłaściwsze słowo. O co chodzi?

Auberon śmiał się.

– Nie, nic – powiedział. – Pewnie, milczenie to najlepsze słowo.

– To było... bo ja wiem... chyba dwadzieścia pięć lat temu. Zajmowałem się poważnie fajerwerkami, z powodu teorii działania. Pamiętasz teorię działania? Nie? O Jezu, szybko się dziś o wszystkim zapomina, no nie. Teoria działania, o rany, nie wiem, czy sam jeszcze coś z tego pamiętam. To była teoria na temat życia, że życie składa się z działań, a nie myśli albo rzeczy. Działanie jest jednocześnie myślą i rzeczą, tylko że ma ten sam kształt, więc można je analizować. Każde działanie, obojętnie jakiego rodzaju, na przykład podnoszenie filiżanki albo całe życie, albo nawet cała ewolucja, każde działanie ma ten sam kształt. Dwa działania są innym działaniem o tym samym kształcie. Całe życie jest tylko jednym wielkim działaniem złożonym z milionów mniejszych działań, kapujesz?

– Nie za bardzo.

– Nieważne. Dlatego właśnie zająłem się fajerwerkami, ponieważ rakietą ma ten sam kształt co działanie: faza wstępna, podpalenie, eksplozja i spalenie się. Tylko że czasem rakietą, to działanie, zapoczątkowuje następne działanie i tak dalej, jasne? Więc możesz urządzić pokaz, który ma taką samą formę jak życie. Działania, wszystko to tylko działania. Na przykład skorupki: w jednej skorupce możesz pomieścić kilka innych, kurczak jest ściśnięty w jajku, a w tym kurczaku następne jajko z następnym kurczakiem i tak dalej, bez końca. Weźmy gerby. Gerb ma taką samą formę jak uczucie, że jest się żyjącą istotą: cały czas następuje po sobie wiązka małych eksplozji i spalania, początek i spalenie, początek i spalenie. W ten sposób tworzy się obrazy, tak jak za pomocą myśli tworzy się obrazy w powietrzu.

– Co to jest gerb?

– Gerb, chłopie, to chińskie ognie. No wiesz, można z tego zrobić obraz dwóch walczących okrętów, które strzelają z dział, a potem robi się z tego symbol zwycięstwa.

– Ach tak.

– Mówimy na to chirurgiczna robota. Zupełnie jak myślenie. Kilka osób to rozumie. Para krytyków.

Zamilkł na chwilę, wspominając dawne czasy. Miał żywo w pamięci barkę rzeczną, na której wystawił *The Act Entrained* i inne pokazy. Widział ciemność i słyszał pluskanie oleistej wody, czuł zapach hubki. I nagle niebo rozbłysło ogniem, ogień jest podobny do życia, jest światłem, które zapala się, pochłania i znika, lecz przez chwilę kreśli w powietrzu kształt, którego nie można zapomnieć, ale który w pewnym sensie nie istniał. Przypominał sobie, jak biegał niczym szaleniec, pokrzykując na asystentów, odpalając z moździerza. Włosy miał osmalone, gardło przeżarte, jego płaszcz, zjedzony przez mole, był brudny od

popiołu. Nie przeszkadzało mu to. Jego myśl przybierała kształt w powietrzu.

– A co z Lilac? – zapytał Auberon.

– A tak. Od wielu tygodni przygotowywałem nowy pokaz. Miałem parę nowych pomysłów co do garniturów i pracowałem nad nimi dniem i nocą. Chłopie, to było całe moje życie. I pewnej nocy...

– Co to są garnitury?

– Garnitury to część rakiety, którą wystrzeliwuje się na końcu. Rozkwita jak kwiat. Masz raketę i tutaj jest skrzynka z twoją kompozycją, która po odpaleniu wykreśla się w powietrzu, a tutaj masz swój, nazwijmy to kapturek, i tutaj właśnie umieszczasz swoje garnitury: gwiazdki o różnych kształtach...

– Okay. Wystarczy.

– Więc jestem na trzecim piętrze tej pracowni, którą sobie zorganizowałem. Wybrałem ostatnie piętro, gdyby coś się stało, bo przynajmniej cały budynek nie wyleciałby w powietrze. Jest późno i słyszę dzwonek do drzwi. Wtedy jeszcze działały dzwonki. Więc odkładam robotę, bo nie można po prostu tak sobie wyjść z pokoju pełnego fajerwerków. Dzwonek cały czas dzwoni. Schodzę na dół i myślę, co to za mądrała oparł się na dzwonku. To była Sophie. Noc była zimna, padał deszcz. Pamiętam, że miała na twarzy szal. A ta twarz... Wyglądała prawie jak martwa, jakby nie spała od wielu dni. Oczy wielkie jak spodki i te łzy, a może miała twarz mokrą od deszczu. W ramionach trzymała duże zawiniątko. Spytałem, o co chodzi, co się stało i tak dalej, a ona powiedziała: „Przyniosłam Lilac” i odchyliła szal, który przykrywał dziecko.

George zadrżał, a drżenie zdawało się przenikać jego ciało od stóp do głów, włosy unosiły mu się z przerażenia. Była to reakcja człowieka, który, jak mówią, zobaczył własny grób.

– Pamiętaj, chłopie, że nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Nie wiedziałem przecież, że jestem ojcem. Nie miałem żadnych wieści z Edgewood od roku. I nagle zjawia się Sophie, stoi na schodkach, jak w jakimś koszmarnym śnie, i mówi, że to moja córka, i pokazuje mi dziecko, jeśli to w ogóle było dziecko. Chłopie, ten dzieciak był w tarapatkach. Wyglądał staro. Chyba miał niespełna dwa lata, a wyglądał na czterdzieści pięć: mały, wysuszony, łysy facet, z takim chytrym wyrazem twarzy, jak jakiś sklepikarz w tarapatkach. – George zaśmiał się dziwnym śmiechem. – To miała być dziewczynka, pamiętaj. Boże, przestraszyłem się nie na żarty. Więc stoimy tam i ten dzieciak wysuwa dłoń o tak, spodem do góry, i sprawdza, czy pada deszcz, i naciąga sobie szal na głowę. Co miałem powiedzieć? Dziecko samo się zdradziło. Wpuściłem je do środka.

Weszliśmy tutaj. Posadziła dzieciaka w tym wysokim krześle. Nie mogłem na to patrzeć, ale nie mogłem też oderwać wzroku, a Sophie mi wszystko opowiedziała: że ona i ja tego popołudnia, chociaż to dziwne, ale doszła do tego po datkach i tak dalej, i Lilac jest moim dzieckiem. Ale, na rany, nie ta. Odkryła, że pewnej nocy prawdziwa Lilac została

podmieniona na tę. Ta tutaj nie jest wcale prawdziwa. Nie jest prawdziwą Lilac ani nawet prawdziwym dzieckiem. Byłem zdruzgotany. Chodzę w kółko i powtarzam: co takiego, co, co. I tak przez długą chwilę. – Znowu się roześmiał bezradnie. – A ten dzieciak siedzi tam z tą miną, nie potrafię jej opisać, z tym szyderczym wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „O co tyle krzyku, słyszałem te bzdury już milion razy”. Zupełnie jakby go to nudziło. A ja pomyślałem sobie, że dla dopełnienia obrazu brakuje mu tylko cygara w ustach.

Sophie była jak w szoku. Drżała. Chciała mi opowiedzieć wszystko naraz. W pewnej chwili przerwała i nie mogła dalej mówić. Zdaje się, że początkowo z dzieciakiem było wszystko w porządku, nie zauważyła żadnej różnicy. Nie potrafiła nawet określić dokładnie, której nocy nastąpiła zamiana, bo Lilac wydawała się całkiem normalna i piękna. Tylko spokojna. Zupełnie spokojna. Jakby bez życia. Ale po kilku miesiącach zaczęła się zmieniać. Bardzo powoli. Potem szybciej. Zaczęła jakby marnieć. Ale nie była chora. Doktor ją zbadał, wszystko w porządku, znakomity apetyt, uśmiechnięta, ale starzeje się jakby. O Boże. Owinąłem Sophie szalem i zacząłem robić herbatę. I cały czas powtarzam: „Uspokój się! Uspokój się!” A ona opowiada, jak w końcu połapała się, jak do tego doszło. Nie przekonywało mnie to, myślałem, że dzieciaka powinien zobaczyć jakiś specjalista. I wtedy zaczęła ukrywać dziecko przed wszystkimi, a oni zaczęli ją pytać, jak tam Lilac, dlaczego w ogóle jej nie widać. – George znowu się roześmiał, mimowolnie. Wstał i odgrywał kolejne sceny tej historii, szczególnie własne zdziwienie. Nagle otworzył szeroko oczy, patrząc na puste, wysokie krzesło. – Wtedy patrzymy, a dzieciaka nie ma. Ani na krzesle, ani na podłodze. Drzwi są otwarte. Sophie jest oszołomiona, krzyknęła cichutko i patrzy na mnie. Wiesz, w końcu byłem ojcem tego czegoś. Spodziewała się, że coś zrobię. Dlatego właśnie do mnie przyszła i w ogóle. Boże. Jak pomyślałem, że to coś łązi swobodnie po moim domu, zdenerwowałem się. Wyszedłem na korytarz. Żywego ducha. Wtem zobaczyłem, że wchodzi na górę po schodach: stopień po stopniu. Krok po kroku. Wyglądało tak, jak to powiedzieć, jakby miało określony cel, jakby wiedziało, dokąd idzie. Więc powiedziałem: „Hej, poczekaj chwilę, ty draniu”. Nie potrafiłem myśleć o tym jak o dziewczynce. Schwyciłem dzieciaka za ramię. Było bardzo dziwne w dotyku, jak martwa skóra. Spojrzało na mnie z nienawiścią, jakby chciało powiedzieć: „Kim do cholery jesteś?” i wyrwało mi ramię... – George usiadł z powrotem, przytłoczony. – Rozdarło się. Zrobiłem dziurę w tej przekłętej rzeczy. Na ramieniu zrobiła się dziura, mogłeś zajrzeć do środka jak do wnętrza lalki: było puste. Najwyraźniej to go nie bolało. Po prostu klepnęło się w ramię „o cholera, rozdarło się” i poczłapało dalej. Koc z niego opadł i zobaczyłem, że w innych miejscach też ma takie pęknięcia i rozdarcia: na kolanach i na łokciach. Dzieciak rozlatywał się na kawałki.

Nie potrafiłem myśleć. Wróciłem tutaj. Sophie skulona w krzesle i te jej wielkie oczy. Po prostu się rozkleiła. Chłopie, to była najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. „Musisz mi pomóc, musisz?”. No wiesz. „Dobrze, dobrze, pomogę ci, ale co, do cholery, mam zrobić?”. Nie wiedziała. Co chcę. „Gdzie ona jest?”, zapytała Sophie.

„Poszła na górę”, powiedziałem. „Może jej zimno. Na górze jest napalone w kominku”. I nagle Sophie spojrzała na mnie strasznym wzrokiem. Była przerażona, ale zbyt zmęczona, żeby coś zrobić, a nawet żeby cokolwiek czuć. Nie potrafię tego opisać. Złapała mnie za rękę i powiedziała: „Nie pozwól jej zbliżyć się do ognia, proszę, proszę!”

A to co znowu? Powiedziałem: „Zostań tu i ogrzej się, a ja zobaczę”. Nie wiem, co chciałem zobaczyć. Wziąłem ze sobą kij baseballowy, tak na wszelki wypadek, i wyszedłem z kuchni. Sophie ciągle błagała: „Nie pozwól jej zbliżyć się do ognia”.

George odegrał scenę wchodzenia po schodach i do pokoju na drugim piętrze.

– Wchodzę do środka. Jest. Koło ognia. Siedzi na obramowaniu, a tam palenisko. I, nie wierzę własnym oczom, siedzi tam, sięga ręką do ognia i wyciąga z niego żarzące się węgle. Wyciąga je i pakuje do buzi. – George podszedł blisko do Auberona, złapał go za rękę, jakby sądził, że tylko w ten sposób skłoni kuzyna, by uwierzył w prawdziwość jego słów. – I gryzie je. – George zrobił taki ruch szczęką, jakby rozgryzał włoskie orzechy. – Chrupie. Chrupie. I uśmiecha się do mnie, uśmiecha. Widziałem, jak te węgle żarzą się w jego głowie. Jak w wydrążonej dyni. Potem gasły, a dzieciak brał następne. I nabierał życia. Robił się jakby młodszy, to go odświeżało. Podskoczył, zatańczył. Był teraz goły. Wyglądał jak mały, popękany, zły cherubinek z gipsu. Przysięgam na Boga, że nic, ale to nic nigdy mnie tak w życiu nie przstraszyło jak ten widok. Byłem tak przerażony, że nie mogłem myśleć, po prostu działałem jak automat. No wiesz. Byłem zbyt przerażony, żeby się bać.

Podszedłem do kominka. Wziąłem na łopatę garść węgielków z ognia, gorących jak diabli. Pokazałem mu: „mm, ale dobre, no chodź, no chodź”. Złapał haczyk, gorące kasztany, bardzo gorące kasztany, no chodź, no chodź. Wyszliśmy z pokoju i idziemy na górę. Dzieciak próbuje dosięgnąć łopaty. O nie, ciągle ją odsuwam. Słuchaj, chłopie, nie wiem, czy odebrało mi rozum, czy co. Wiedziałem tylko, że to coś jest złe. To znaczy nie żaden zły diabeł, bo to w ogóle nie była żadna osoba. To było jak kukielka albo lalka, albo maszyna, ale poruszająca się samoczynnie, jak czasem w koszmarnych snach ruszają się rzeczy, które są martwymi przedmiotami, na przykład sterty ciuchów nagle wstają i zaczynają straszyć, rozumiesz? Martwe, ale się ruszają. Ożywione. Ale to było złe, straszna, zła rzecz, dla której nie było miejsca na tym świecie. Myślałem tylko, że muszę się tego pozbyć. Lilac czy nie Lilac. Po prostu muszę się tego pozbyć.

Więc idzie za mną. A na trzecim piętrze, na ukos od biblioteki znajduje się moja pracownia. Widzisz to? Drzwi są oczywiście zamknięte. Zamknąłem je, kiedy schodziłem na dół, zawsze tak robię, nigdy za wiele ostrożności. Więc gmeram przy drzwiach, a to coś patrzy na mnie tymi oczami, które nie są oczami, i w każdej chwili może pojąć, co jest grane. Podsuwam mu pod nos łopatę. Czy te cholerne drzwi nigdy się nie otworzą? W końcu otwieram i...

George zamaszystym gestem wrzucił łopatę z gorącymi węgielkami do pracowni pełnej fajerwerków. Auberon wstrzymał oddech.

– Potem sięgam do dzieciaka...

Szybkim, starannym kopnięciem bokiem stopy George wepchnął fałszywą Lilac do swojej pracowni.

– I zamykam drzwi. – Trzasnął drzwiami, patrząc na Auberona z takim samym przerażeniem w oczach, jakie musiało się w nich malować tamtej nocy. – Udało się! Udało się! Zbiegam po schodach, krzycząc: „Sophie! Sophie! Uciekaj!”. A ona siedzi w tym krześle, o tam, jak sparaliżowana. Więc podniosłem ją, to znaczy nie niosłem jej na rękach, tylko popychałem, bo na górze słychać było już hałasy. Wypchnąłem ją na korytarz. Bang, bum, bum! I za drzwi.

Staliśmy na deszczu, chłopie, z zadartymi głowami. W każdym razie ja patrzyłem w górę, a ona jakby ukryła głowę w ramionach. Przez okna pracowni wyleciał cały mój pokaz.

Gwiazdy, rakiety i tak dalej. Magnez, fosfor, siarka. Jasno jak w dzień. Hałas. Całe zapasy wyleciały w powietrze, wywalając dziurę w dachu. Dym, gwiazdy, chłopie! Zapaliliśmy wszystkie okoliczne domy, ale deszcz padał coraz mocniej i wkrótce, zanim przyjechała policja i straż pożarna, było po wszystkim.

Moja pracownia została dobrze zabezpieczona, miała stalowe drzwi, azbest i inne rzeczy, więc budynek nie był mocno zniszczony. Ale czy cokolwiek zostało z tego dzieciaka, czy czego tam...

– A Sophie? – spytał Auberon.

– Sophie – powtórzył George. – Powiedziałem jej: „Wszystko w porządku. Złapałem to”. „Co? Co?”, zapytała. „Złapałem to” – powtórzyłem. – „Wysadziłem w powietrze. Nic z tego nie zostało”. Wiesz, co mi powiedziała?

Auberon milczał.

– Spojrzała na mnie, chłopie, nic, co zdarzyło się tamtej nocy nie było tak straszne jak wyraz jej twarzy w tym momencie, i powiedziała: „Zabiłeś ją”. Tak właśnie powiedziała: „Zabiłeś ją”. To wszystko.

George usiadł, znużony, wyczerpany, przy kuchennym stole.

– Zabiłem ją – powtórzył. – Tak właśnie myślała Sophie: że zabiłem jej jedyne dziecko. Może nadal tak myśli, nie wiem, że stary George zabił jej jedyne dziecko, i swoje zarazem. Wysadził je w powietrze razem z fajerwerkami. – Spuścił głowę. – Chłopie, nie chciałbym, żeby ktokolwiek spojrzał na mnie kiedyś w taki sposób jak Sophie tamtej nocy.

– Co za historia – wykrztusił Auberon, kiedy odzyskał głos.

– Widzisz – powiedział George – jeśli to była Lilac, tylko odmieniona w jakiś dziwny sposób...

– Ale Sophie wiedziała – przerwał mu Auberon. – Wiedziała, że to nie była prawdziwa Lilac.

– Czy ja wiem? – zawahał się George. – Kto może wiedzieć, co Sophie wiedziała. – Zapadło milczenie. – Kobiety. Kto je zrozumie?

– Nie pojmuję tylko – powiedział Auberon – dlaczego mieliby jej przynieść w zamian coś takiego? Przecież oszustwo było ewidentne.

George patrzył na niego podejrzliwie.

– Co za „oni”? – zapytał.

Auberon uciekł wzrokiem przed pytającym spojrzeniem kuzyna.

– No oni – powiedział zdziwiony i zakłopotany, że musi udzielać takich wyjaśnień. – Ci, którzy porwali Lilac.

– Hm – mruknął George.

Auberon nie dodał nic więcej, bo nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał w całej pełni, dlaczego ci, których szpiegował, tak starannie zachowywali milczenie. Mówienie o „nich” niczego w gruncie rzeczy nie wyjaśniało i miał wrażenie, że chcąc nie chcąc został w tej chwili zobowiązany do takiego samego milczenia. A jednak sądził, że w życiu nie będzie potrafił wyjaśnić żadnej rzeczy na świecie, nie używając zaimka „oni”. Oni.

– No tak – powiedział w końcu. – Ale to dopiero dwie.

George uniósł pytająco brwi.

– Dwie Lilac – wyjaśnił Auberon. – Z trzech, które, jak sądziłem, istniały, jedna była wymyślona: ta moja, i wiem, gdzie ona jest. – Czuł, że skrywa się głęboko w jego wnętrzu i wie, iż o niej mowa. – Jedna była fałszywa: ta, którą wysadziłeś w powietrze.

– Ale jeśli – wtrącił George – to była prawdziwa Lilac, tylko jakoś odmieniona... ha?

– Nie – powiedział Auberon. – Tej prawdziwej właśnie brakuje, nie policzyliśmy jej. – Wyjrzał przez okno, za którym rozpościerał się mrok, skrywający zarysy Starej Farmy i wysokich wież miasta.

– Ciekawe... – zamyślił się.

– Ciekawe – powtórzył George. – Wiele bym dał za to, żeby wiedzieć.

– Gdzie jest – zastanawiał się Auberon. – Gdzie, gdzie?

Myśląc o przebudzeniu

Była daleko, daleko, pogrążona we śnie. Odwracała się niespokojnie z boku na bok i myślała o przebudzeniu, chociaż miała spać jeszcze przez wiele lat. Czuła swędzenie w nosie, chciało jej się ziewać. Nawet mrugnęła oczami, ale nic nie widziała, nic oprócz snów. Spała wśród wiosennego krajobrazu, ale śniła o jesieni: o szarej dolinie, w której w dniu, gdy odbywała się podróż, bocianica dźwigająca na grzbiecie ją i panią Underhill postawiła wreszcie nogi na stałym gruncie, terra firma. Pani Underhill westchnęła i zsiadła z grzbietu ptaka, a Lilac wyciągnęła ręce, objęła ją za szyję i z jej pomocą zeszła na dół. Ziewała. Gdy nauczyła się, jak to robić, nie była w stanie przestać i nie potrafiła zdecydować, czy podoba jej się to uczucie, czy nie.

– Jesteś śpiąca – powiedziała pani Underhill.

– Gdzie to jest? – spytała Lilac, kiedy stara kobieta postawiła ją na ziemi.

– A w pewnym miejscu – odparła miękko pani Underhill. – Chodźmy.

Stały przed łukowatą bramą pokrytą głębokimi płaskorzeźbami. A może były to delikatne rzeźby, tylko zniszczone przez warunki atmosferyczne. Nie było żadnych murów, brama stała samotnie, rozkraczona pośrodku ścieżki zasypanej liśćmi. Była to jedyna droga prowadząca do lasu z nagimi, jesiennymi drzewami.

Lilac, z lękiem, ale i z rezygnacją, wsunęła swoją małą rączkę w dużą, starą dłoń pani Underhill. Podeszły razem do bramy, jak babunia i wnuczka opuszczające zimny park, w którym nie świeci już słońce i przestało być zabawnie. Bocianica stała samotnie na jednej czerwonej nodze, doprowadzając do ładu potargane piórka.

Przeszły pod łukiem. Zagłębienia i wypukłości pokryte były mchem i starymi ptasimi gniazdami. Kształty rzeźb były niewidoczne, jakby dopiero co rozpoczęto dzieło lub właśnie na nowo pogrążyły się w chaosie. Przechodząc pod łukiem, Lilac przesunęła dłonią po murze: brama nie została wykonana z kamienia. Może to szkło? – zastanawiała się. Albo kość.

– To z rogów – wyjaśniła pani Underhill.

Zdjęła jeden ze swoich licznych płaszczy i okryła nagą dziewczynkę. Lilac kopała brązowe liście, myśląc, że miło by było poleżeć sobie na nich.

– To był długi dzień – stwierdziła pani Underhill, jakby nadążając za biegiem myśli dziewczynki.

– Za szybko minął – powiedziała Lilac.

Pani Underhill objęła jej ramiona. Dziewczynka powłóczyła nogami, wsparta o starą kobietę, a nogi poruszały się jakby niezależnie od woli. Znowu ziewnęła.

– Aaaa – powiedziała, a pani Underhill szybkim ruchem wzięła ją na ręce. Mocniej owinęła dziewczynkę płaszczem i usadowiła ją w swoich ramionach.

– Dobrze się bawiłaś? – spytała.

– O tak – odparła Lilac.

Zatrzymały się u stóp wielkiego dębu, pod którym leżała sterta liści. Sowa, dopiero co przebudzona, siedziała w dziupli i cicho pohukiwała. Pani Underhill schyliła się i złożyła swój ciężar na szeleszczących liściach.

– Niech ci się to przyśni – powiedziała.

Lilac odpowiedziała coś bez sensu o chmurkach i domach, a potem od razu zapadła w sen. Nie wiedziała nawet, w którym momencie zasnęła, śniąc o tym już w chwili, gdy sen morzył powieki. Śniło jej się wszystko, co widziała, i wszystko, co mogło z tego wyniknąć. Śniła o wiosnie, podczas której marzyła o jesieni, kiedy to zapadnie w sen, i o zimie, kiedy się przebudzi. W tym sennym powikłaniu przekształcały się i przenikały rzeczy, o których śniła, że jej się śnią, podczas gdy na jawie przemijały. Nieświadomie podciągnęła kolana i złożyła dłonie tuż przy brodzie, która nieco opadła. W końcu Lilac przybrała kształt litery „s”, taki sam, jaki miała w łonie matki.

Spała głęboko.

Pani Underhill starannie otuliła się płaszczem i wyprostowała. Podparła plecy obiema dłońmi i odchyliła się do tyłu. Czuła znużenie, jak zwykle. Wskazała palcem na sowę, której błyszczące, ciepłe oczy wзираły z dziupli, i powiedziała:

– Opiekuj się nią, miej baczenie.

Ta para oczu nadawała się do tego tak samo dobrze jak każda inna. Pani Underhill zadarła głowę. Zmierzch, nawet długi listopadowy zmierzch, dobiegł jednak kresu, a ona miała przed sobą tyle pracy: koniec roku nie został jeszcze pogrzebany, a deszcze, które miały go pogrzebać (i miliony poczwerek, miliony cebulek i ziaren) nie spadły na ziemię. Z powierzchni nieba nie zmieciono jeszcze brudnych chmur i nie pojawiły się pierwsze zwiastuny zimy. Północny Wiatr czekał już pewno niecierpliwie, aż go spuszczą z uwięzi i pozwolą wyładować tłumiony gniew. Cudem tylko, pomyślała, dzień następował po nocy, cudem obracała się Ziemia, bo przecież tak niewiele uwagi poświęcała ostatnio tym sprawom. Westchnęła, odwróciła się i (nabierając siły i mocy, o jakie Lilac nigdy nawet by jej nie posądzała) ruszyła wypełnić swoje zadanie. Nie obejrzała się ani razu na swą adoptowaną wnuczkę leżącą na liściach i pogrążoną we śnie.

KSIĘGA SZÓSTA

**PARLAMENT
WRÓŻEK**

I

*Na wzgórzu wysokim
Król stary zasiada
Tak stary i siwy
Że ledwie rozumem włada.*

William Allingham, *The Fairies*

Po dojściu Russella Eigenblicka do władzy nadeszły najtrudniejsze lata, jakie pamiętali żyjący ludzie. Nie spodziewali się, że doczekają takich czasów. Gwałtowne burze śnieżne szalejące tego listopadowego dnia, kiedy pomimo jawnej opozycji został wybrany na prezydenta, nie straciły potem ani trochę na sile. Zima nie mogła wtedy trwać wiecznie, wszak lato musiało nadchodzić o zwykłej porze, jednak w pamięci większości ludzi utrwaliły się jedynie zimy: najdłuższe, najmroźniejsze, najostrzejsze zimy, jakie kiedykolwiek panowały, właściwie była to jakby jedna nieustająca zima.

Właśnie ona sprawiała, że wszystkie obostrzenia, które ze skrucą i żalem narzucał tyran, oraz wszelkie niewygody spowodowane z rozmysłem przez jego przeciwników dążących do przejęcia władzy, były jeszcze trudniejsze do zniesienia. W padającym miesiącami deszczu ze śniegiem i w zamarzającej mazi grzęzły wszystkie przedsięwzięcia. Przemieszczanie się ciężarówek i innych pojazdów oraz ruchy oddziałów wojska, ubranych w brązowe mundury, wydawały się upiornym i beznadziejnym działaniem. W pamięci ludzkiej na dobre wyrył się obraz stłoczonych tłumów i kolejek uchodźców, którzy osłaniali się przed zimnem kocami. Pociągi były unieruchomione, samoloty tkwiły na ziemi. Na nowo wytyczonych granicach grzęzły w mokrym śniegu rządki samochodów czekających na kontrolę. Z ich rur wydechowych wzbijały się w powietrze obłoki zimnego dymu. Niedobory wszystkich towarów, straszna walka o przetrwanie, trudności i niepewne jutro były bardziej dotkliwe z powodu niekończącego się zimna. A krew męczenników i buntowników zamarzała na brudnym śniegu, który pokrywał place miasta.

Zimy

Stary dom w Edgewood nie potrafił walczyć z poniżeniem: antyczne rury kanalizacyjne zamarzały, całe piętro zostało zamknięte, a w nieużywanych pokojach gromadził się kurz. Ponure czarne piece na dobre przycupnęły przed marmurowymi kominkami. Jednak najgorsze ze wszystkiego były płachty folii, którymi po raz pierwszy w historii domu zasłonięto dziesiątki okien. Każdy dzień wydawał się przez to mglisty. Pewnej nocy Smoky usłyszał hałasy dobiegające ze zdziczałego ogrodu przy kuchni i wyszedłszy na zewnątrz, przestraszył światłem latarki zagłodzone stworzonko: długie, szare zwierzątko o czarnych oczach, śliniace się, ogłupiałe z zimna i głodu. Zabłąkany pies, stwierdziła rodzina, albo coś w tym rodzaju, ale tylko Smoky widział stworzenie i nie bardzo zgadzał się z tą opinią.

Na piecu w starym pokoju muzycznym stała miska z wodą, aby sufit nie popękał od zbyt suchego powietrza. W wielkiej drewnianej skrzyni, którą Smoky zbił z desek, spoczywały polana. Piec i skrzynia nadawały miłemu skądinąd pokojowi wygląd chaty w Klondike. Polana porąbał Rudy Flood, który upadł pewnego dnia w czasie tej pracy. Przewrócił się twarzą do przodu, nie wypuszczając z rąk piły łańcuchowej, i umarł, zanim dotknął ziemi, która zadrżała, kiedy jej dosięgnął (tak w każdym razie twierdził Robin, który był świadkiem tego zdarzenia i bardzo się zmienił od tamtego czasu). Ilekroć Sophie wstawiała ze swojego miejsca przy stoliku, żeby dorzucić drewna do paszczy nienasyconego Molocha, odnosiła dziwne wrażenie, że wrzuca do ognia szczątki Rudy'ego, a nie zwykłe polana.

Praca zabijała mężczyzn. Nie tak bywało za jej młodości. Nie tylko Robin, ale również Sonny Noon i inni mężczyźni, którzy w dawnych czasach dobrobytu porzuciliby może farmy swoich rodziców, teraz zacinali się w sobie i sądzili, że gdyby wyrzekli się ziemi i pracy, to nic by im nie pozostało. Rudy był mimo wszystko wyjątkiem. Ludzie starszej generacji mieli inne doświadczenia. Żyli w czasach ogromnych możliwości, nagłych zmian na lepsze, nieograniczonej wolności i swobody. Młodszy inaczej patrzyli na życie, ich mottem było: „Wszystko się kończy i trzeba wykorzystać to, co jeszcze pozostało”. Było to widoczne na każdym kroku. Smoky uważał nawet, że opłaty za dzierżawę zostaną zredukowane albo zawieszzone na czas nieokreślony. Dom był również dowodem na to, że wszystko schodzi na psy: sprawiał wrażenie, jakby jego dni dobiegały kresu.

Owijając się szczelniej grubym szalem, Sophie rzuciła okiem na kościstą dłoń i ramię wyrysowane z pęknięć na suficie, po czym wróciła do stawiania kart.

Pięćdziesiąt dwie

Zużyte, zniszczone i nie do zastąpienia. Czy to może być to? Spojrzała na karty, które przed chwilą rozłożyła. Nora Cloud zostawiła Sophie nie tylko karty, ale i przekonanie, że wszystkie ich układy wiążą się jakoś ze sobą, że w gruncie rzeczy karty opowiadają tylko jedną historię, chociaż można ją odczytać na wiele sposobów w zależności od różnych celów. Przez to wydaje się wrywkowa. Sophie podjęła dzieło Cloud w miejscu, w którym tamta je przerwała, i doszła samodzielnie do dalszych wniosków. Jeśli karty opowiadają ciągle jedną

historię, to przynajmniej jedno powtarzane bezustannie pytanie musiałyby się w końcu doczekać pełnej odpowiedzi, jakkolwiek długiej i skomplikowanej. Gdyby tylko potrafiła skoncentrować się wystarczająco i sformułować właściwe pytania z odpowiednimi warunkami i wariantami. Gdyby tylko nie rozpraszały jej mgliste odpowiedzi udzielane przez karty na drobne, nie postawione pytania: tak, dusznica bolesna Smoky'ego pogorszy się, Lily urodzi chłopca – to może poznałaby najważniejszą odpowiedź.

Pytanie, które powinna postawić, nie było dokładnie tym samym pytaniem, na które chciała znaleźć odpowiedź Hawksquill, chociaż nagłe pojawienie się tej kobiety i jej natręctwo zmobilizowały Sophie do tego, by spróbować je zadać. Hawksquill nie miała żadnego problemu z odczytaniem z kart wielkich wydarzeń, które ostatnio wstrząsnęły światem, ich przyczyn i własnej w nich roli. Potrafiła je wyłuskać z zagadkowych układów tak, jak chirurg potrafi znaleźć i usunąć guz. Sophie miała z tym trudności, ponieważ od czasu zaginięcia Lilac pytania i odpowiedzi w kartach wydawały się jednym i tym samym. Wszystkie odpowiedzi tworzyły jedynie kolejny ciąg pytań o najważniejsze pytanie; każde pytanie stanowiło tylko wariant wyszukanej odpowiedzi. Hawksquill miała większą wprawę i dzięki temu umiała przezwyciężyć podobne trudności. Każda Cyganka potrafiłaby wyjaśnić Sophie, jak zignorować tę trudność lub jej uniknąć. Ale może gdyby tak się stało, Sophie nie walczyłaby tak bardzo, przez wszystkie lata, wszystkie długie zimy, z nie postawionym pytaniem i nie byłaby teraz tak bliska stworzenia rodzaju słownika czy almanachu bądź przewodnika zawierającego wszystkie odpowiedzi na jej jedno pytanie (mówiąc szczerze, niemożliwe do zadania). Kończyli się, jeden po drugim, i przez nikogo nie byli zastępowani, umierali, chociaż nie mogli umrzeć, albo przynajmniej Sophie, właściwie nie wiadomo dlaczego, zawsze przypuszczała, że nie mogą. Czy może się tak stać? Czy to tylko myśl wywołana zimą, trudami i niedostatkiem?

Cloud powiedziała: mamy tylko złudzenie, że świat się starzeje i kończy tak jak ludzie. Świat istnieje zbyt długo, by człowiek w ciągu własnego życia mógł odczuwać jego przemijanie. Kiedy się starzejesz, dociera do ciebie prawda, że świat już jest stary, i to od dawien dawna.

No dobrze. Ale Sophie miała wrażenie, że to nie świat się starzeje, lecz jego mieszkańcy. Jeśli istnieje coś takiego jak świat, który zamieszkują, będący czymś odrębnym od nich, czego Sophie nie potrafiła sobie wyobrazić – ale jednak przypuśćmy, że jest taki świat, nieważne, młody czy stary – to Sophie wiedziała z całą pewnością, że jakkolwiek gęsto zaludnione mogły być te lądy w czasach doktora Bramble czy Paracelsusa, to teraz nie były już zaludnione w takim samym stopniu. Sophie sądziła, że w końcu (wkrótce) będzie można, jeśli nie nazwać, to przynajmniej policzyć te wszystkie lądy i że liczba całkowita nie okaże się zbyt wysoka: prawdopodobnie dwucyfrowa. Każdy bez wyjątku podkreślał w *Architekturze*, że są ich miliardy, przynajmniej po jednym w każdym dzwoneczku i ciernistym krzewie. Przypuszczali tak wszyscy, którzy w ogóle rozważali tę kwestię. Mogło

to oznaczać, że ostatnio zostały one jeden po drugim zniszczone w jakiś sposób, tak jak duże polana, które Sophie wrzucała do ognia. Może zabił je żal, niepokój i wiek i zostały starte z powierzchni świata.

Albo zniszczyła je wojna. Ariel Hawksquill twierdziła z przekonaniem, że właśnie wojna spowodowała, iż świat lub Opowieść (jeśli była między tymi dwoma pojęciami jakaś różnica) stał się taki smutny, zagadkowy i pełen niewiadomych. Wojna ta, jak każda wojna, była niechciana, ale nieunikniona, wiązała się z olbrzymimi stratami, przynajmniej po ich stronie. Sophie nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie straty oni sami mogli spowodować, ani jak... Wojna: czy zatem wszystkim, co z nich pozostało, był ostatni oddział skazany na stracenie, odważna grupa uwikłana w działania na tyłach i wybita niemal do nogi?

Nie! To było zbyt straszne: umieranie. Całkowite wymarcie. Sophie wiedziała, lepiej niż ktokolwiek, że oni nawet nie myśleli o niej z miłością, że nie obchodziła ich w ludzkim rozumieniu tego słowa ani ona, ani żadna istota podobna do niej. Porwali Lilac i chociaż nie mieli zamiaru skrzywdzić w ten sposób Sophie, to przecież wychowując dziewczynkę, nie kierowali się miłością, ale tylko wyrachowaniem. Sophie nie miała żadnego powodu, żeby ich kochać, ale sama myśl, że odejdą z tego świata całkowicie, była nie do zniesienia. Zupełnie jak myśl o zimie, która się nigdy nie skończy. A jednak sądziła, że wkrótce będzie mogła policzyć tych niewielu pozostałych.

Zgarnęła karty i rozłożyła je na kształt wachlarza. Potem wyciągnęła z niego karty atutowe, które miały reprezentować tych, których już знаła, rozłożyła je z kartami niższego rzędu reprezentującymi ich domy, dzieci lub pośredników, tak żeby mogła snuć domysły na ich temat.

Jedna oznacza sen, cztery to cztery pory roku, trzy przepowiadają przyszłość, dwie – to Księżna i Książę. Jedna do przekazywania wiadomości, nie, dwie do przekazywania wiadomości: jedna, żeby pójść, druga, żeby wrócić... Polegało to na dobieraniu funkcji i uczeniu się, jakie funkcje przynależą jakim kartom i jak wiele kart jest potrzebnych. Jedna do przynoszenia darów, trzy do odnoszenia darów. Królowa Mieczy i Król Mieczy, i Rycerz Mieczy; Królowa Denarów i Król Denarów i 10 kart niższego rzędu jako ich dzieci.

Pięćdziesiąt dwie?

A może tylko dlatego, że w jej talii nie ma więcej kart? Pozostawały tylko Małe Atuty, wąż, który snuli.

Nagle rozległ się nad jej głową jakiś łoskot i Sophie skuliła się odruchowo. Brzmiało to tak, jakby ktoś rozsypał ciężkie, żelazne narzędzia na strychu. Smoky pracował w planetarium. Spojrzała na sufit. Pęknięcie wydawało się dłuższe, ale nie sądziła, żeby rzeczywiście tak było.

Trzy symbolizują pracę, dwie muzykę, jedna sny... Włożyła dłonie w rękawy. Mało, w każdym razie nie za wiele. Naprężona folia na oknie przypominała perkusję, w którą uderzał wiatr. Sophie zdawało się – ale nie była tego pewna – że znowu pada śnieg. Porzuciła swoje

zajęcie (wciąż za mało wiedziała: w takie popołudnie nie wolno spekulować, jeśli wie się tak mało), zebrała karty i odłożyła je na miejsce.

Siedziała przez chwilę, wsłuchując się w uderzenia młotka dochodzące z góry, na początku nieco niepewne, potem coraz głośniejsze, wreszcie tak silne jak walenie w gong. W końcu jednak ucichły i wrócił nastrój popołudnia.

Ogień nieodwzajemnionej miłości

– Lato jest mitem – powiedziała pani MacReynolds, unosząc głowę znad poduszki. Jej bratanice i bratankowie, stojący wokół łóżka, popatrzyli na siebie z namysłem i powątpiewaniem.

– W zimie – ciągnęła umierająca kobieta – lato jest mitem, pogłoską, plotką, czymś nie do uwierzenia...

Podeszli bliżej, wpatrując się w jej delikatną twarz i drżące, sinawe powieki. Głowa tak lekko spoczywała na poduszce, że niemal błękitne włosy starej kobiety były w nienaruszonym stanie, ale niewątpliwie pani MacReynolds wydawała ostatnie tchnienie. Jej kontrakt wygasł i nie zostanie przedłużony.

– Nigdy – powiedziała i zamilkła, pogrążając się w niebycie, podczas gdy Auberon zastanawiał się, co dalej: nigdy nie zapomnijcie, nigdy nie traćcie wiary, nigdy nie mówcie o śmierci, nigdy, nigdy, nigdy...?

– Nigdy nie tęsknijcie – powiedziała – tylko czekajcie i bądźcie cierpliwi. Tęsknota jest zgubna. To nadejdzie. – Zaczęli popłakiwać, ale ukrywali to, ponieważ stara kobieta nie znosiła łez. – Bądźcie szczęśliwi – dodała jeszcze słabszym głosem.

– Bo wszystko... – Tak. Odchodzi z tego świata. Żegnaj, pani MacR. – Wszystko, dzieci, co nas uszczęśliwia, czyni nas mądrymi.

Ostatni rzut oka na rodzinę. Wymiana spojrzeń z Frankiem MacR., czarną owcą (nigdy tego nie zapomni, rozpocznie nowe życie). Głośniejsza muzyka. I umiera. Auberon zrobił podwójny odstęp i postawił trzy gwiazdki na stronie, po czym wyciągnął kartkę z maszyny.

– Okay – powiedział.

– Okay? – powtórzył Fred Savage. – Gotowe?

– Gotowe – potwierdził Auberon. Złożył razem około dwudziestu stron, ale szło mu to niezręcznie, ponieważ miał na rękach rękawiczki z obciętymi palcami, po czym włożył maszynopis do koperty. – No to jazda.

Fred zabrał kopertę, wsunął ją zgrabnie pod ramię i salutując żartobliwie, ruszył do drzwi pokoju.

– Mam czekać? – zapytał, trzymając rękę na klamce. – Jak będą czytać?

– A tam, nie zawracaj sobie głowy – powiedział Auberon. – Już za późno. I tak muszą to nakręcić.

– W porządku – odparł Fred. – Na razie, stary.

Auberon dołożył do ognia, zadowolony z siebie. Pani MacReynolds była ostatnią postacią z grona tych, które odziedziczył po twórcach serialu *Inny świat*. Młodo rozwiedziona przed trzydziestu laty aktorka, kurczowo trzymała się swojej roli pomimo alkoholizmu, powtórnego małżeństwa, nawrócenia religijnego, starości i choroby. Ale to już koniec. Kontrakt tracił ważność. Frankie też miał wyjechać w długą podróż. Wróci, bo jego kontrakt jeszcze przez wiele lat nie wygaśnie, a poza tym aktor był chłopakiem producenta, ale wróci zupełnie odmieniony.

Zostanie misjonarzem? Tak, w pewnym sensie. Może misjonarzem.

„Więcej powinno się dziać”, tak powiedziała pewnego dnia Sylvie do Freda – i wiele się zdarzyło, odkąd wizje Auberon’a zaczęły przenikać do serialu, który zastał. Z początku nie mógł w to uwierzyć, ale wydawało się oczywiste, że serial był nadmiernie rozdmuchany i pełen dłużyzn tylko z tego powodu, iż scenarzystom brakowało pomysłów. Auberon nie narzekał początkowo na brak inwencji, a poza tym musiał pozbyć się nudnych i nie lubianych postaci, których namiętności i zazdrości nie potrafił pojąć. Wskaźnik umieralności był więc przez jakiś czas wysoki. Bezustannie rozlegał się pisk opon na mokrych drogach, przeraźliwy szcęk stali uderzającej o stal i wycie syren. Pewnej młodej kobiety, lesbijki i narkomanki ze zidiociałym dzieckiem, nie mógł się pozbyć, ponieważ nie pozwalał na to kontrakt. Wymyślił jej więc identyczną siostrę bliźniaczkę, zaginioną wiele lat temu, która miała zupełnie inny charakter, i tym sposobem pozbył się poprzedniej postaci. Dokonanie tego zabrało kilka tygodni.

Producenci wystraszyli się tempa, w jakim następowały wówczas kolejne punkty zwrotne akcji. Widzowie – utrzymywali – nie zniosą takiej rewolucji, przyzwyczaili się do nudy. Ale widownia zareagowała inaczej i chociaż była to już trochę inna widownia, to wcale nie mniej liczna i nawet bardziej przywiązana do serialu. A poza tym niewielu scenarzystów umiałoby pracować tak szybko jak Auberon, i to w dodatku za znacznie obniżone wynagrodzenie. Tak więc producenci, którzy po raz pierwszy w swej karierze mieli ograniczony budżet i byli o krok od bankructwa, zestawiali do późnej nocy aktywa i pasywa i dali w końcu Auberonowi wolną rękę.

Aktorzy wypowiadali więc zdania, które Fred Savage przynosił im codziennie ze Starej Farmy, i próbowali nieśmiało tchnąć trochę życia w pomysły Auberon’a. Starali się urealnić dziwne nadzieje, znaki nadchodzących wydarzeń i tajemnicze oczekiwania (spokojne, smutne, niecierpliwe bądź stanowcze), które zatruły postacie grane przez nich od wielu lat.

Aktorzy nie mogli obecnie tak przebierać w rolach jak dawniej, w czasach dobrobytu. Chętnych do zagrania każdej postaci wymyślonej przez Auberon’a były tłumy. Nie zniechęcały ich nawet honoraria, które by wyśmiali w Złotym Wieku dostatku. Byli wdzięczni, że mogą wcielać się w te dziwaczne postacie dążące do wielkiego rozstrzygnięcia, które nieuchronnie nadchodziło, ale nie doczekało się jeszcze ostatniej odsłony. Dzięki temu widzowie już od lat czekali w napięciu na dalszy ciąg serialu.

Auberon roześmiał się, patrząc na ogień i w myślach tworzył już kolejne perypetie i klęski, zwroty i przełomy. Co za forma! Dlaczego nikt nie posiadał wcześniej tego sekretu. Wystarczyła prosta intryga, zwykłe zadanie, które angażowało całkowicie wszystkie postacie i które miało wielkie, ale proste rozwiązanie. Rzecz jasna, do tego rozwiązania nigdy nie dojdzie. Moment ten będzie się ciągle zbliżać, podtrzymując nadzieję, uwydatniając gorycz rozczarowań, nadając kształt życiu i miłości swym nieubłaganym, powolnym naciąganiem, ale nigdy, przenigdy nie nastąpi.

W dawnych, dobrych czasach, kiedy przeprowadzanie ankiet było tak rozpowszechnionym zajęciem jak obecnie rewidowanie domów, ankietery pytali widzów, dlaczego lubią znosić dziwaczne tortury mydlanych oper, co ich skłania do oglądania tych seriali. Najczęściej odpowiadali, że lubią mydlane opery, ponieważ przypominają życie.

Przypominają życie. Auberon uważał, że *Inny świat*, odkąd on sam pisał scenariusze, przypominał wiele rzeczy: prawdę, marzenia, dzieciństwo, w każdym razie jego własne, talię kart albo stary album ze zdjęciami, ale na pewno nie życie – nie jego życie. Kiedy największe nadzieje bohatera serialu zostały zniweczone albo kiedy spełnił on swoje zadanie czy dzięki poświęceniu zdołał uratować dzieci lub przyjaciół, mógł umrzeć albo przynajmniej odejść. Mógł zmienić się całkowicie i pojawić ponownie z nowym zadaniem do wypełnienia, z nowymi kłopotami, nowymi dziećmi. Oprócz postaci granych przez aktorów, którzy byli na wakacjach lub chorowali, żadna inna postać nie zniknęła całkowicie. Jeśli nie odgrywała już znaczącej roli, majaczyła gdzieś na obrzeżach głównego wątku z ostatnim skryptem w rękę.

To było jednak jak w życiu – jak w życiu Auberona.

Nie przypominało ono serialowej intrygi, ale fabułę, opowiadanie z momentem zwrotnym, który już nastąpił. Fabułą była Sylvie. Sylvie stanowiła ostro uwypukloną, nie zagadkową, ale pełną znaczeń i niewyczerpaną alegorię czy opowieść tkwiącą u podstaw jego życia. Czasem miał świadomość, że myśląc w ten sposób o Sylvie, odbiera jej cielesny kształt, który nadal miała. Ogarniał go wówczas nagły wstyd i przestach, jak gdyby ktoś naopowiadał mu, lub on komuś, szokujących i zniesławiających kłamstw na jej temat. Ale zdarzało się to coraz rzadziej, w miarę jak historia, fabuła, udoskonalała się, przybierając nawet bardziej pogmatwany kształt, gdy stała się krótsza i możliwa do opowiedzenia. Zdominowała, wyjaśniała, krytykowała i definiowała jego życie nawet wtedy, gdy coraz mniej przypominała historię, która rzeczywiście się wydarzyła.

„Ogień nieodwzajemnionej miłości”. Tak określił kiedyś jego uczucia George Mouse. Auberon przypomniał to sobie teraz. Płonął ogniem nieodwzajemnionej miłości. W tym ogniu była ona. Czasem jaśniała żywym blaskiem, czasem przygasła. Ten ogień rozświetlał mu drogę, chociaż Auberon nie wiedział, którą ścieżką pragnie podążać.

Mieszkał w dawnym pokoju, pracował na farmie i jeden rok nie różnił się od drugiego. Jak człowiek przez długi czas sparaliżowany, zrezygnował z tego, co najlepsze na świecie, nie

zawsze sobie uświadamiając, jak wiele traci. Tacy jak on i tak nie mogą zrobić z tego użytku. W jego życiu nic już się nie działo.

Cierpiał na dziwne dolegliwości. Tylko w najciemniejsze zimowe poranki mógł spać dłużej niż do świtu. W kształtach mebli i sprzętów w pokoju dostrzegał nieraz różne twarze. Nie był w stanie ich ignorować. Twarze bywały złe, mądre albo głupie, postacie kiwały na niego, dziwacznie wykoślawione albo kalekie, posiadały zdolność wyrażania uczuć, które go poruszały, chociaż one same wcale ich nie odczuwały. Wydawały się ożywione, chociaż nie żyły, co uważał za nieco wstrętne. Współczuł wbrew własnej woli abażurowi na suficie, dwóm pustym oczodołom lampy i żarówce, która tkwiła w głupiej, rozwartej, ceramicznej buzi. Zasłony w kwiatki stanowiły już tłum ludzi, zgromadzenie, a raczej dwa różne zgromadzenia: ludzi kwiatów i ludzi majaczących w tle, wyzierających zza kwiatów. Kiedy cały pokój był już gęsto zaludniony, aż do granic wytrzymałości, Auberon udał się do psychiatry. Lekarz orzekł, że cierpi na syndrom człowieka na Księżycu, który jest dość rozpowszechnioną dolegliwością. Auberon powinien częściej wychodzić z domu. Jednak leczenie, zawyrokował, potrwa wiele lat.

Wiele lat.

Częściej wychodzić. George, który był nieuleczalnym, a przy tym wybrednym podrywaczem, cieszącym się obecnie niemal takim powodzeniem jak za młodu, zapoznawał go z wieloma kobietami. W Barze Siódmego Świętego też nie brakowało ich towarzystwa. Ale dla niego te kobiety były jak widma. Od czasu do czasu dwie realne kobiety stapały się w jedną osobę (jeśli potrafił przekonać je, by były jedną osobą) i dawały mu rozkosz, jeśli się dostatecznie skoncentrował. Rozkosz była nawet intensywna. Ale obrazy, które tworzył w wyobraźni i praca nad oporną, chociaż bardzo delikatną materią pamięci, dostarczały mu o wiele większej przyjemności. Nie musiało tak być. Szczerze w to wierzył. W momentach jasności umysłu zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że nie działałoby się tak, gdyby on sam był innym człowiekiem. Ta niezdolność nie wynikała z tego, co mu się przytrafiło, ale z jego ułomnej natury.

Nie każdy – być może nikt oprócz niego – zostałby tak zdruzgotany tylko z tego powodu, że zraniła go Sylvie. Co to za starodawna choroba i właściwie już całkowicie wyrugowana ze współczesnego świata! Od czasu do czasu ogarniał go głęboki żal, że najwyraźniej ma być ostatnią jej ofiarą, i dlatego musi zostać wykluczony, ze względów ostrożności, z kręgu tych, którzy uczestniczyli w radosnym, nawet w czasach upadku, życiu Miasta. Żałował, że nie potrafi postąpić tak jak Sylvie, powiedzieć przeznaczeniu „mam cię gdzieś” i uciec. Na pewno był do tego zdolny, ale po prostu nie próbował. Wiedział o tym, ale nic nie mógł poradzić. Winna była jego ułomna natura. Żadnej pociechy nie stanowiło dla niego przekonanie, że być może jego ułomność, jego nieprzystosowanie do świata wynika z faktu, iż został wyłączony z Opowieści. Nie mógł już dłużej zaprzeczać, że istotnie jest jej częścią. Może sama Opowieść stanowiła jakąś skazę, może ułomność i Opowieść były jednym i tym

samym. Bycie częścią Opowieści mogło oznaczać, że jest się przypasowanym do swej roli i niezdatnym do niczego więcej. Zupełnie jakby człowiek miał zeza i z tego powodu postrzegał świat w inny sposób, podczas gdy dla pozostałych ludzi (i nawet często dla samego poszkodowanego) zniekształcenie widzenia wynika tylko z deformacji wzroku.

Wstał, zirytowany, że jego myśli powędrowały znowu tym utartym torem. Miał wiele pracy, to powinno wystarczyć i na ogół wystarczało, był za to wdzięczny. Robota, którą wykonywał, i psie pieniądze, jakie za nią dostawał, zdziwiłyby łagodnego i uprzejmego młodzieńca, któremu Auberon zaniósł swój pierwszy maszynopis (człowiek ten nie żył już z powodu przypadkowego przedawkowania). Życie było wtedy łatwe... Nalał sobie trochę whisky (dżin był zakazany, ale z tamtych czasów pozostał mu jeśli nie nałóg, to przynajmniej niewinna skłonność, ale nie poważne uzależnienie) i zabrał się do przeglądania poczty, którą Fred przyniósł z miasta. Fred, dawniej jego przewodnik, był teraz współpracownikiem i tak traktowali go pracodawcy Auberona. Dorabiał też jako parobek na farmie, a dla Auberona stanowił *memento mori* albo przynajmniej pewnego rodzaju przypomnienie. Nie potrafił już obyć się bez niego, w każdym razie tak sądził. Otworzył kopertę.

„Niech pan powie Frankiemu, że złamie matce SERCE, jeśli będzie się zachowywał w ten sposób. Czy on tego nie widzi, jak może być taki ZAŚLEPIONY? Dlaczego nie znajdzie sobie porządnej kobiety i się nie ustatkuje?”. Auberona ciągle od nowa zaskakiwał fakt, że widzowie serialu są w stanie we wszystko uwierzyć. W takich chwilach poczuwał się do winy. Czasem odnosił wrażenie, że rodzina MacReynoldsów jest prawdziwa, natomiast widzowie tacy jak ta pani, zostali wymyśleni. Blade zjawy złaknione takiej pełni życia, jaką stworzył Auberon. Wyrzucił list do kosza. Ustatkuje się, ha, znajdzie porządną kobietę. Nic z tego. Dużo wody upłynie w rzece, zanim Frankie się ustatkuje.

Na koniec zostawił sobie list z Edgewood, który szedł kilka tygodni: długi list od matki. Zabrał się do czytania z radością, jak wiewiórka do orzecha, mając nadzieję, że znajdzie w nim coś, co będzie mógł wykorzystać w następnych odcinkach.

Coś, co można podkraść

„Pytałeś, co się stało z panem Cloud, którego poślubiła ciotka Cloud – pisała matka. – To bardzo smutna historia. Zdarzyło się to na długo przed moim urodzeniem. Mamade jeszcze co nieco pamięta. Nazywał się Harvey Cloud. Jego ojcem był Henry Cloud, miał ładną chatkę, tę, w której ostatnio mieszkali Juniperowie. Utrzymywał się chyba z patentów na swoje wynalazki, silniki chyba, czy jakieś rzeczy związane z astronomią. Nie wiem dokładnie. Stary John włożył w nie sporo pieniędzy. Jednym z tych wynalazków było stare planetarium na poddaszu, wiesz gdzie. To było dzieło Henry’ego. To znaczy nie wynalazł planetariów w ogóle, zostały wynalezione przez lorda Orrery¹⁴ możesz w to wierzyć lub nie (wiem to od

¹⁴ Orrery (ang) – planetarium (przyp. tłum.).

Smoky'ego). Ale Henry umarł, zanim prace zostały zakończone (to chyba pochłaniało mnóstwo pieniędzy) i mniej więcej w tym samym czasie Nora, cioteczna babka Cloud, wyszła za Harveya. Harvey również się tym zajmował. Nieodrodny syn. Widziałam kiedyś jego zdjęcie, które zrobił Auberon. W samej koszuli, ze sztywnym kołnierzykiem i w krawacie (chyba nawet do pracy tak się ubierał). Wyglądał bardzo groźnie i mądrze, stał koło silnika planetarium, jeszcze przed zainstalowaniem go. Mechanizm był ogromny i skomplikowany, zajmuje większość fotografii. Kiedy go wreszcie zainstalowali (a John umarł na długo przedtem), zdarzył się wypadek: biedny Harvey spadł z dachu domu i zabił się. Chyba wszyscy wtedy zapomnieli o planetarium albo nie chcieli o nim myśleć. Wiem, że Cloud nigdy o nim nie mówiła. Pamiętam, jak lubiłaś tam przesiadywać. Teraz natomiast, jak wiesz, Smoky siedzi na górze całymi dniami i próbuje się przekonać, czy kiedykolwiek będzie działało. Studiuje książki na temat maszyn i zegarów. Nie wiem, jak mu idzie.

Więc on po prostu tu mieszkał, to znaczy Harvey, mieszkał z Norą w jej pokoju. Chodził pracować na górę, do planetarium. A potem spadł. I to cała historia.

Sophie prosi, żebyś uważał na gardło, bo w marcu można złapać bronchit.

Lucy będzie miała chłopca.

Czy ta zima nie wlecze się okropnie?

Twoja kochająca matka”.

No tak. Istnieją smutne albo przynajmniej dziwne sprawy w życiu jego rodziny, o których nie miał pojęcia. Pamiętał, jak opowiadał Sylvie, że w jego domu nigdy nie wydarzyło się nic strasznego. Oczywiście, wtedy nie wiedział jeszcze o prawdziwej i fałszywej Lilac. A teraz okazuje się, że była jeszcze sprawa biednego Harveya Clouda, młodego męża, który spadł z dachu w chwili swego największego triumfu.

Mógłby to jakoś wykorzystać w swoich scenariuszach. Zaczynał myśleć, że nie było rzeczy, której nie potrafiłby spożytkować. Miał niezwykle zdolności do tego, prawdziwy dar. Wszyscy tak mówili.

Ale tymczasem kolejna scena działa się w mieście. To był łatwy fragment, odpoczynek po innych, bardziej skomplikowanych scenach. Tutaj wszystko było proste: grabież, pościg, ucieczka, triumf i klęska. Słabi muszą zginąć, tylko silni przetrwają. Z długiego rzędu książek, które zastąpiły na półce kieszonkowe wydania George'a, wybrał jedno ze starych dzieł doktora. Kiedy został scenarzystą, poprosił o przysłanie książek z Edgewood i tak jak się spodziewał, okazały się bardzo przydatne. Teraz czytał o przygodach Szarego Wilka i sącząc whisky, zaczął szukać materiału, który można by podkraść.

Tajemnica planetarium

Księżyc był srebrny, słońce złote albo przynajmniej pozłacane. Merkury był lustrzanym globem – pokrytym rtęcią, oczywiście. Smoky pamiętał, że w którymś rozdziale Architektury

wiązano określone metale z określonymi planetami. Ale nie chodziło o konkretne planety, lecz te wydumane – magów i astrologów.

Planetarium, wykonane z mosiądzu, zaopatrzone w dębową skrzynkę, stanowiło jeden z wynalazków z przełomu wieków, które były oparte na racjonalnych i materialnych przesłankach. Był to solidnie zaprojektowany mechanizm – opatentowany wszechświat, zbudowany z prętów i kulek, z kółek zębatach i posrebrzanych, galwanizowanych sprężynek.

Dlaczego Smoky nie mógł pojąć, jak to działa?

Wpatrywał się uporczywie w mechanizm wychwytowy, który miał zamiar zdemontować. Jeśli zrobiłby to, nie poznałby przedtem zasady jego działania, to prawdopodobnie nie umiałby złożyć go z powrotem. Na podłodze i na stolikach w korytarzu leżało już wiele takich zdemontowanych części, wyczyszczonych i owiniętych w przetłuszczone szmaty. Przeznaczenia tych elementów również nie zgłębił. Mechanizm wychwytowy był ostatni. Smoky pomyślał, nie po raz pierwszy, że w ogóle nie powinien być się do tego zabierać. Zerknął ponownie do *Encyklopedii techniki* na schemat urządzenia przypominającego to zakurzone i zardzewiałe, które miał przed sobą.

„E to koło wychwytowe, którego ząbki, podczas obrotu, dotykają wygiętego przesuwacza GFL w punkcie G. Aby przesuwacz nie odskoczył za daleko do tyłu, zabezpiecza go sworzeń H, a bardzo delikatna sprężynka K utrzymuje w stałej pozycji”. Boże, zimno tu. Bardzo delikatna sprężynka, czy to to? Dlaczego tutaj jest jakby trochę z tyłu? „Przesuwacz B porusza ramię FL, uwalniając koło wychwytowe, którego ząbki M...”. O Boże. Opis wykorzystał już połowę liter alfabetu. Smoky poczuł się bezradny, jakby zaplątany w sieć. Wziął szczypce i odłożył je z powrotem.

Pomysłowość projektantów była przerażająca. Smoky zrozumiał już podstawową zasadę działania mechanizmu zegarowego, na której opierały się te wszystkie wymysły. Wiedział, że mechanizm wychwytowy zabezpiecza siłą napędową po to, żeby cała energia nie została spożytkowana od razu, tylko wyładowywała się w tykaniu i poruszała wskazówki lub planety w równym tempie. Ruch ten trwał aż do całkowitego wyczerpania energii. Wtedy należało znowu nakręcić mechanizm. Wszystkie kolebniki, palety, sprężynki, bębniaki stanowiły tylko zabezpieczenie regularnego ruchu. W przypadku planetarium w Edgewood najgorszą trudnością, która doprowadzała Smoky’ego do szału, było to, że nie mógł odkryć, co jest siłą napędową, co sprawia, że planety się poruszają. A ściślej mówiąc, odkrył już, gdzie mieści się mechanizm napędowy: w wielkiej, okrągłej, czarnej skrzyni o tak grubych ścianach jak staroświecki sejf. Obejrzał go nawet, ale nadal nie przychodziło mu do głowy, w jaki sposób może on cokolwiek wprawić w ruch, skoro wygląda tak, jakby sam wymagał uruchomienia.

Można było to rozgryzać bez końca. Smoky przykucnął i objął rękoma kolana. Miał teraz oczy na tym samym poziomie co płaszczyzna Układu Słonecznego, patrzył na Słońce z takiej pozycji jak człowiek na Saturnie. Bez końca. Na tę myśl ogarnęła go mieszanina żalu i czystej, głębokiej przyjemności, której nigdy przedtem nie odczuwał, a raczej odczuwał

bardzo słabo, kiedy był chłopcem i uczył się łaciny. Odkąd zaczął dostrzegać bogactwo tego języka, zrozumiał, że nauka mogłaby wypełnić mu życie i wszystkie puste ścieżki jego nieokreślonej osobowości. Czuł się zarazem pokonany i pocieszony. Porzucił łacinę mniej więcej na półmetku nauki, nie zgłębiwszy do końca jej magicznych tajników. Ale teraz, będąc dorosłym, stanął przed innym zadaniem. I ono również przypominało naukę języka.

Śrubki, kulki, sprężynki były syntaksą, a nie obrazem. Planetarium nie stanowiło wiernego odzwierciedlenia Układu Słonecznego w sensie wizualnym ani przestrzennym. Gdyby tak było, ładna, niebiesko-zielona kula ziemską miałaby maleńkie rozmiary, a cała maszyneria musiałaby być przynajmniej dziesięć razy większa. Nie, zobrazowano tutaj, tak jak za pomocą składni w języku, relacje między elementami. Podczas gdy rozmiary były fikcyjne, wzajemne związki zostały oddane bardzo trafnie.

Upłynęło wiele czasu, zanim to wszystko odkrył, zanim przestał myśleć kategoriami matematyki i mechaniki. Ale teraz znał już słownictwo, a gramatyka stawała się coraz bardziej zrozumiała. Sądził, że kiedyś, pewnie nie tak szybko, będzie w stanie zrozumieć te wielkie zdania wykute w mosiądzu i szkłe i że nie okażą się one tak płaskie i nudne, jak okazały się teksty Cezara i Cyserona. Miał nadzieję, że ujawnią coś wspaniałego, ponieważ wspaniałym był alfabet, w którym je zakodowano, że dowie się czegoś, co koniecznie musi wiedzieć.

Rozległy się szybkie kroki na schodach prowadzących do planetarium i jego wnuk Bud wetknął rudą głowę w drzwi.

– Dziadziu – powiedział, rozglądając się po tajemniczym miejscu. – Babcia przygotowała ci kanapkę.

– Wspaniale – ucieszył się Smoky. – Wejdz do środka.

Bud wszedł powoli, niosąc kanapkę i kubek herbaty, nie odrywając wzroku od maszynerii, która była ciekawsza i wspanialsza niż jakikolwiek zestaw kolejek.

– Skończyłeś? – spytał.

– Nie – odrzekł Smoky, jedząc.

– Kiedy skończysz? – Bud dotknął jednej planety, po czym szybko cofnął dłoń, kiedy kula poruszyła się łagodnie.

– Och – powiedział Smoky – nie uda mi się to do końca świata.

Bud spojrział na niego z obawą, po czym roześmiał się.

– Nie żartuj, dziadziu.

– Nie żartuję – wyjaśnił Smoky. – Nie wiem, co porusza mechanizm.

– To tutaj – stwierdził bez wahania Bud, wskazując palcem na czarną skrzynkę podobną do sejfu.

– O tak – Smoky podszedł do skrzynki z kubkiem w dłoni. – Ale co wprawia w ruch skrzynkę?

Nacisnął dźwignię, która odblokowała uszczelnione drzwi (nie przepuszczające kurzu,

tylko po co?), i otworzył skrzynkę. Wewnątrz znajdowało się serce maszynierii Clouda: wyczyszczony i naoliwiony mechanizm, gotowy do działania, gdyby tylko mógł działać; niesamowite serce całego Edgewood, jak czasem myślał Smoky.

– Koło – zdziwił się Bud. – Wygięte koło, o rany.

– Przypuszczam – powiedział Smoky – że to prąd miał to wprawiać w ruch. Pod podłogą, jeśli podniesiesz tę klapę, znajdziesz duży, stary motor elektryczny. Tylko że...

– Co?

– Jest z tyłu. Jest z tyłu, i to nie przez przypadek.

Bud przyglądał się mechanizmom, głęboko myśląc.

– No tak – stwierdził. – Może to porusza to, to porusza to, a to porusza tamto.

– Dobra teoria – przyznał Smoky – tylko że w ten sposób zatoczyłeś pełne koło. Każda rzecz porusza inną rzecz. Nawzajem wprawiają się w ruch.

– No dobrze – powiedział Bud. – Ale gdyby poruszało się dostatecznie szybko i gdyby było gładkie...

Na pewno było szybkie, gładkie i ciężkie. Smoky dokładnie to przestudiował, jego umysł zmagał się z paradoksami. Jeśli to wprawia w ruch tamto, a wydaje się to oczywiste, i tamto porusza to, co jest całkiem logiczne, a to i tamto wprawiają w ruch to i to... Niemal to widział: system połączeń, zdanie czytane od końca i od początku jednocześnie, i nawet nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego uważał, że to niemożliwe. Chyba dlatego, że świat jest po prostu taki, jaki jest, a nie inny...

– A gdyby czasem zwolniło – odezwał się Bud – mógłbyś przychodzić na górę raz na jakiś czas i to popchnąć.

Smoky roześmiał się.

– Czy to nie mogłoby być twoje zadanie? – zapytał.

– Nie, twoje – odparł Bud.

Jedno popchnięcie, pomyślał Smoky, jedno nieustające popychanie – ale ktokolwiek miał to zrobić, na pewno tą osobą nie był Smoky. Nie miał niezbędnej siły. Musiałby jakimś sposobem sprawić, żeby wszechświat porzucił na chwilkę swoje niekończące się zadania, wyciągnął olbrzymi palec i dotknął nim tych kółek i trybów. A Smoky nie widział żadnego powodu, dla którego taka łaska miałaby spotkać jego albo Harveya Clouda czy nawet Edgewood.

– No cóż, wracajmy do pracy – powiedział. Delikatnie popchnął pokrytą ołowiem kulę Saturna, a ta poruszyła się, przesunęła o kilka stopni i wprawiała w ruch wszystkie pozostałe części, koła, tryby, pręty i planety.

Furgonetki

– **A może... – zastanawiała się Ariel Hawksquill. – A może wcale nie ma wojny.**

– Co masz na myśli? – spytał cesarz Fryderyk Barbarossa, otrząsnąwszy się z chwilowego zdumienia.

– Myślę – wyjaśniła Hawksquill – że to, co uważamy za wojnę, może wcale nie być wojną. Może wcale nie ma żadnej wojny, może nigdy nie było.

– Nie pleć bzdur. Oczywiście, że trwa wojna. Wygrywamy.

Cesarz siedział w wysokim fotelu, opierając brodę na piersi, Hawksquill zaś przy ogromnym fortepianie, który zajmował prawie cały kąt pokoju. Kazała przestroić fortepian tak, aby mogła wygrywać na nim ćwierćtony. Lubiła grać stare, grzmiące hymny w sposób, który sama wymyśliła. Jej interpretacja była dziwna, przestrojony fortepian wydawał słodkie, ale niemelodyjne dźwięki. Napawało to tyrana smutkiem. Na dworze padał śnieg.

– Nie mówię, że nie masz wrogów – wyjaśniła Hawksquill. – Oczywiście, że masz. Mam na myśli inną długą wojnę: wielką wojnę. Może to, co jest teraz, to wcale nie wojna.

Chociaż ludzie z Towarzystwa Hałaśliwego Mostu i Klubu Strzeleckiego zostali w końcu zdemaskowani (ich spięte, pozbawione wyrazu twarze i ciemne płaszcze widniały na zdjęciach we wszystkich gazetach), nie poddali się łatwo. Nie było to zresztą dla Hawksquill zaskoczeniem. Ich zasoby były ogromne. Każdy proces wywoływał wzajemne powództwo. Mieli najlepszych obrońców. Jednak ich rola była skończona (nie chcieli słuchać, kiedy Hawksquill ostrzegała ich, że taki może być finał). Ich walka bez wątpienia odwlekała nieco koniec. W krytycznych momentach udawało im się zgromadzić pieniądze, co powodowało dziwaczne, chwilowe zwroty w procesie, ale jednak nie dawało członkom klubu dostatecznie dużo czasu na odrobienie strat. „Petty, Smilodon i Ruth”, po zgarnięciu ogromnych wynagrodzeń, zrezygnowali z obrony w tajemniczych okolicznościach i w atmosferze wzajemnego obwiniania się. Wkrótce potem ujrzały światło dzienne liczne dokumenty, których pochodzenie wydawało się na tyle oczywiste, że nie można było się ich wyprzeć. Ludzie, niegdyś wszechmocni i działający z zimną krwią, pojawiali się w telewizji, ocierając z oczu łzy zawodu i rozpacz. Podwładni prokuratora, w jednakowych ubraniach i rękawiczkach, prowadzili ich na procesy. Zakończenie tej historii nie było powszechnie znane. Tej samej zimy, kiedy wyszły na jaw najbardziej szokujące rewelacje, ostro ograniczono działalność środków masowego przekazu, które przez blisko siedemdziesiąt pięć wspaniałych lat oświecały naród. Uczynił to sam Russell Eigenblick, aby nie dopuścić do przejścia mediów przez opozycję. Uczynili to również jego wrogowie, aby uniemożliwić tyranowi zdobycie całkowitej kontroli nad sytuacją.

Wojna – wojna Ludu przeciwko Bestii, która przejęła władzę i podeptała demokratyczne instytucje i wojna cesarza-prezydenta przeciwko wielkim kapitałom prowadzona w imieniu Ludu – była najprawdziwszą wojną. Przelana w niej krew była prawdziwa, rany zadane społeczeństwu – głębokie.

– Jeśli ci – powiedziała Hawksquill – o których myślimy, że wypowiedzieli wojnę ludziom, pojawili się w nowym świecie, po raz pierwszy mniej więcej w tym samym czasie

co Europejczycy, to znaczy wówczas, gdy zaczynano przepowiadać nadejście twego poprzedniego imperium; jeśli przybyli tu z tych samych powodów: w poszukiwaniu wolności, przestrzeni i swobody rozwoju, to musieli się w końcu rozczarować tak samo, jak rozczarowali się ludzie...

– Tak – przyznał Barbarossa.

– Dziewicze lasy, które służyły im za kryjówkę, zostały po części wycięte; na brzegach rzek i jezior pobudowano miasta; w górach kopalnie, a ludzie nie darzyli już szacunkiem leśnych elfów i krasnoludków, tak jak czynili to dawni Europejczycy.

– Tak.

– I jeśli istotnie są tak dalekowzroczni, jak nam się zdaje, to musieli przewidzieć skutki, musieli je znać już dawno temu. – Tak.

– Zanim jeszcze zaczęło się osadnictwo. Musieli o tym wiedzieć już w czasach twojego pierwszego królestwa. A ponieważ potrafili to przewidzieć, przygotowali się na tę ewentualność. Ubłagali tego, który rządzi czasem, by zesłał na ciebie długi sen. Naszykowali broń. Czekali...

– Tak, tak – wtrącił Barbarossa. – I po latach cierpliwego czekania wreszcie uderzyli, chociaż są bardzo osłabieni liczebnie. Opuścili swoje fortece i ruszyli do boju. Obrabowany smok otrząsa się i budzi! – Wstał gwałtownie z fotela, a wydruki komputerowe, strategie, plany i cyfry zsunęły się z jego kolan na podłogę.

– A interes, który z tobą ubili – kontynuowała Hawksquill – pomógł im w tym przedsięwzięciu. Odwróciłeś uwagę narodu, skłóciłeś ludzi podobnie jak w dawnym cesarstwie. Wiedzieli, że dobrze się wywiązesz z tego zadania. Kiedy odrosną znowu gęste lasy, kiedy odrodzą się moczary, a ruch samochodowy zupełnie ustanie, kiedy wynagrodzą sobie straty, które ponieśli, oddadzą ci to, co pozostanie jako twoje cesarstwo.

– Na zawsze – powiedział Eigenblick przejęty. – Taka była obietnica.

– To dobrze – stwierdziła Hawksquill, zamyślona. – To dobrze.

Nacisnęła klawisze. Spod jej upierścienionych palców wydobyła się melodia przypominająca *Jeruzalem*.

– Tylko, że to wszystko nieprawda – dodała.

– Co?

– To wszystko nieprawda. Fałsz, kłamstwo, nie ma sprawy.

– Co...?

– To jest nie dość dziwaczne, po pierwsze. – Wydobyła brzękliwy ton, skrzywiła się i spróbowała zagrać inaczej. – Nie. Myślę, że dzieje się coś zupełnie innego, że następuje jakaś generalna zmiana kierunku, na którą nie ma wpływu nikt... – Pomyślała o nieboskłonie Terminusa, o zodiaku skierowanym w przeciwną stronę. Wtedy winą za to obarczała cesarza, stojącego teraz przed nią. Co za głupota! A jednak... – Coś – dodała – co przypomina jednocześnie tasowanie dwóch talii kart.

– Jeśli mowa o kartach... – wtrącił.

– Albo jednej zdekompletowanej talii – powiedziała, nie zwracając na niego uwagi. – Bardzo małe dzieci, kiedy chcą potasować karty, mieszają je i niektóre odwracają spodem do góry. I wtedy wszystko jest pomieszane, figury znajdują się raz na dole, raz na górze.

– Chcę mieć te karty – powiedział.

– Ja ich nie mam.

– Wiesz, gdzie są.

– Tak. I gdybyś miał je dostać, dostałbyś je.

– Potrzebuję ich rady! I to zaraz!

– Ci, którzy mają te karty – wyjaśniła Hawksquill – wszystko już odpowiednio zaplanowali: twoje zwycięstwo, obecne i przyszłe, przygotowali to o wiele lepiej, niż sam byś to zrobił. Na długo zanim się pojawiłeś, stanowili piątą kolumnę tej armii. – Nacisnęła klawisz, fortepian wydał dźwięk słodkocierpki jak smak lemoniady. – Ciekawe – dodała – czy tego żałują, czy nie czują się podle, jak zdrajcy własnego gatunku? Czy w ogóle kiedykolwiek zdawali sobie sprawę, że stają po przeciwnej stronie barykady niż ludzie?

– Nie rozumiem, dlaczego twierdzisz, że nie ma wojny – powiedział Barbarossa – skoro potem mówisz takie rzeczy.

– To nie wojna – oznajmiła Hawksquill – ale coś podobnego do wojny. Coś, co przypomina burzę. Być może nadciągający front atmosferyczny, który na ciepły świat przynosi zimno, zamienia błękit w szarość, a wiosnę w zimę. Albo zderzenie, *mysterium coniunctionis*, ale czego z czym? Albo – powiedziała, uderzona nagle pewną myślą – coś, co przypomina dwie furgonetki, które spotykają się przy bramie wjazdowej, przybywają z dwóch różnych odległych punktów i zdążają do dwóch różnych odległych miejsc. Przepychają się przez bramę obie naraz, a po przeciwnej stronie znowu zdążają do odrębnych celów swego przeznaczenia, tylko że być może kilku pasażerów zamieniło się miejscami, została skradziona torba albo dwie, może wymieniono pocałunek...

– O czym ty mówisz? – spytał Barbarossa.

Odwróciła się na stołku i spojrzała na niego.

– Pytanie brzmi, co to za królestwo, do którego wkroczyłeś?

– Moje własne.

– Tak... Chińczycy wierzą, że głęboko we wnętrzu każdego człowieka znajduje się ogród nieśmiertelnych, nie większy niż czubek kciuka, szare aleje, gdzie wszyscy jesteśmy na wieki królami.

– Uważaj – powiedział w przyływie wściekłości.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – To byłaby okrutna hańba, gdybyś skończył nie jako władca Republiki, której mieszkańcy zapalali do ciebie uczuciem, ale całkiem innego miejsca.

– Bzdury.

– Bardzo małego miejsca.

– Chcę mieć te karty.

– Nie możesz. Nie dam ci ich, nie są moje.

– Zdobędziesz je dla mnie.

– Nie.

– Co byś powiedziała, gdybym wydusił z ciebie ten sekret? Mam władzę, dobrze wiesz, że mam władzę.

– Grozisz mi?

– Mógłbym kazać... mógłbym kazać cię zabić. Potajemnie. Nikt by się nie dowiedział.

– Nic z tego – odparła ze spokojem Hawksquill. – Nie możesz kazać mnie zabić. Nie mnie.

Tyran roześmiał się, jego oczy zapalały ponurym ogniem.

– Myślisz, że bym nie mógł? Ho, ho, naprawdę?

– Wiem, że nie możesz – oznajmiła Hawksquill. – Nigdy nie domyśliłbyś się, z jakiego powodu. Ukryłam swoją duszę.

– Co?

– Ukryłam swoją duszę. To stara sztuczka, którą zna każda wioskowa czarownica. I jest na tyle roztropna, że ją stosuje: nigdy nie wiadomo, kiedy ci, którym służysz, zwrócą się przeciwko tobie.

– Ukryłaś? Gdzie? Jak?

– Ukryłam. Gdzieś. Oczywiście, nie powiem gdzie ani w czym. Ale sam rozumiesz, że dopóki tego nie wiesz, nie jesteś w stanie mnie zabić.

– Tortury. – Jego oczy zwięzły się. – Mogę cię torturować.

– O tak. – Hawksquill wstała ze stołka. Dość tego. – Tortury mogłyby się okazać skuteczne. Dobranoc na razie. Mam dużo pracy.

Odwróciła się przy drzwiach i zobaczyła, że nadal stoi jak wykuty z kamienia w swej groźnej pozie, wpatrując się w nią, ale nie widząc jej. Czy usłyszał, czy zrozumiał cokolwiek z tego, co próbowała mu powiedzieć? Owładnęła ją ta dziwna, niepokojąca myśl i przez chwilę patrzyła tylko na niego, podobnie jak on na nią. Wyglądało to tak, jakby oboje próbowali sobie przypomnieć, gdzie się przedtem spotkali i czy w ogóle już się kiedyś spotkali.

– Dobranoc, Wasza Wysokość – powiedziała w końcu Hawksquill z nagłą trwogą i wyszła.

Nowo odkryty łąd

Tego samego wieczora, ale nieco później, nadawano w stolicy kolejny odcinek Innego świata, ten, w którym umierała pani MacReynolds. Czas emisji serialu był różny w różnych miejscach. W niektórych rejonach nie był to już serial popołudniowy, często oglądano go dopiero po północy. Ale docierał wszędzie. Transmitowano go albo nadawano w telewizji

kablowej, a tam, gdzie było to niemożliwe – ponieważ transmisje zostały zabronione, a kable przecięte – przemycano go do lokalnych stacji, kopiowano, przekazywano kasety, jak kraj długi i szeroki, do nielegalnych stacji. Z drzeniem serca dostarczano cenne taśmy do odległych, zasypanych śniegiem miasteczek. Przechodzień, który przemierzałby wieczorem jedyną ulicę takiego miasteczka, mógłby dostrzec błękitnawy poblask w każdym salonie. Idąc od domu do domu, w jednym zobaczyłby scenę, w której panią MacReynolds niosą do łóżka, w następnym – zgromadzone wokół niej dzieci, a z następnego dobiegłyby jego uszu oderwane fragmenty rozmów. W ostatnim domu, stojącym na skraju miasta, za którym zaczyna się już cicha preria, obejrzałby śmierć pani MacReynolds.

Cesarz-prezydent również oglądał w stolicy serial, jego bystre, ale ciepłe, brązowe oczy były zasnuwane mgłą. Nigdy nie tęsknijcie, tęsknota jest zgubna. Spowijał go obłok żalu nad samym sobą. Obłok ten przybrał konkretny kształt (jak wszystkie obłoki): kształt twarzy Ariel Hawksquill, twarzy pełnej rezerwy, rozbawionej i nieugiętej.

Dlaczego ja? – pomyślał, podnosząc ręce w taki sposób, jakby chciał pokazać komuś swoje kajdany. Co on zrobił, że akurat z nim ubito taki straszny interes? Był pełen dobrych chęci i ciężko pracował, napisał parę ostrych listów do papieża, żenił się z własnymi dziećmi. I jeszcze kilka drobiazgow. Dlaczego nie wybrali jego wnuka? Ten był przynajmniej prawdziwym wodzem. Dlaczego nie opowiadano o nim takiej samej legendy? Czyż nie mówiono, że nie umarł, tylko śpi i obudzi się, żeby stanąć na czele swojego ludu?

Ale to była tylko legenda. A on tymczasem jest tutaj, to on ma znosić to wszystko, chociaż wydaje się to niemożliwe do zniesienia. Król w baśniowym królestwie: przekleństwo Artura. Czy to może być prawda? Królestwo nie większe niż czubeczek kciuka. Czy jego ziemskie królestwo jest nietrwałe jak wiatr, który dmie między jednym a drugim snem?

Nie! Wyprostował się. Jeśli dotąd nie było wojny, albo była tylko pozorowana, to teraz dopiero zacznie się prawdziwy bój. Będzie walczył. Wymusi na nich dotrzymanie każdej obietnicy, jaką mu złożyli dawno temu. Spał przez osiemset lat, staczając bitwy z własnymi snami, oblegając własne sny, podbijając wyśnioną Ziemię Świętą, nosząc wyśnione korony. Przez osiemset lat tęsknił rozpaczliwie za realnym światem, którego istnienie wyczuwał, ale którego nie mógł dojrzeć, ponieważ przysłaniały go królestwa jego snów. Być może Hawksquill ma rację, może wcale nie zamierzali oddać mu we władanie żadnego królestwa. Mogła być z nimi w zмовie od samego początku, żeby pozbawić go władzy. (O tak, teraz było to dla niego zupełnie jasne). Omal nie roześmiał się na myśl, że kiedyś jej ufał, a nawet na niej polegał. Koniec z tym. Będzie walczył. Wydobędzie od niej te karty, obojętnie jakich sposobów musiałby w tym celu użyć, o tak, zrobi to, choćby nawet skierowała przeciwko niemu swe straszliwe moce.

Chociaż jest samotny, chociaż wydaje się to beznadziejne, będzie walczył, będzie walczył o ten nowo odkryty ląd: wielki, ciemny i zasypany śniegiem.

– Musicie mieć nadzieję – powiedziała pani MacReynolds tuż przed śmiercią – i

cierpliwość.

Samotny przechodzień (uchodźca? komiwojażer? donosiciel?) minął ostatni dom na obrzeżu miasteczka i wyszedł na pustą autostradę. W domach, które za sobą zostawił, gasły jeden po drugim niebieskawe ekrany telewizorów. Zaczynał się serwis informacyjny, tylko że nie było już żadnych wiadomości. Widzowie poszli spać. Noc była długa. Śnili o życiu innych ludzi, życiu wypełniającym ich własne życie, o rodzinie mieszkającej gdzie indziej i o domu, który mógł sprawić, że pogrążona w ciemnościach ziemia wydawała się znowu przyjaznym miejscem.

W stolicy nadal sypał śnieg: rozświetlał mrok, przysypywał odległe pomniki widoczne z monumentalnych okien rezydencji, tworzył zasy u stóp kamiennych bohaterów, blokował wejścia do podziemnych garaży. Unieruchomiony samochód zawodził rytmicznie gdzieś w oddali, próbując wydostać się z zasy śnieżnej.

Barbarossa płakał.

To prawie koniec

– Co masz na myśli, mówiąc, że to prawie koniec? – spytał Smoky.

– Właśnie to: że to już prawie koniec – powiedziała Alice. – Jeszcze nie całkiem koniec, ale już prawie.

Wcześniej poszli do łóżka, co zdarzało im się ostatnio dość często, ponieważ wielkie łóżo z kilkoma kołdrami i watowanym przykryciem na nogi było jedynym miejscem, gdzie nie odczuwało się zimna. Smoky miał na głowie szlafmycę: z przeciągami nie ma żartów, a i tak nikt nie widział, jak głupio wygląda. Rozmawiali. W ciągu tych długich nocy rozwikłali wiele starych i trudnych problemów albo przynajmniej doszli do wniosku, że są one nie do rozwiązania, co dla Smoky'ego stanowiło niemal jedno i to samo.

– Jak możesz tak mówić? – pytał Smoky, przewracając się na drugi bok, twarzą do Alice, i unosząc przy tym, jak na dużej fali, dwa koty przycupnięte w nogach łóżka.

– Dobry Boże – powiedziała – to przecież już dość długo trwa, prawda?

Spojrzał na nią: blada twarz i niemal białe włosy zlewały się w ciemności z jasną poduszką. Skąd jej się brały te niedopowiedzenia, te uwagi wypowiedane z takim żelaznym poczuciem konsekwencji i logiki, które nic albo prawie nic nie znaczyły? Za każdym razem niezmiennie go to zdumiewało.

– Nie o to mi chodziło. Chciałem spytać, skąd wiesz, że to prawie koniec? Cokolwiek to jest.

– Nie jestem pewna – odparła po długiej chwili milczenia. – Prócz tego, że to na pewno dzieje się ze mną, przynajmniej częściowo. Czuję, jakbym się kończyła w pewien sposób i...

– Nie mów tak – przerwał. – Nawet nie żartuj na ten temat.

– Nie – powiedziała. – Nie mówię o umieraniu. Myślałeś, że o to mi chodzi?

Tak właśnie myślał. Pojął teraz, że zupełnie nic nie rozumie, i znowu odwrócił się do niej

plecami.

– Do diabła – powiedział – to nigdy nie miało nic wspólnego ze mną.

– Ojej. – Przynęła się bliżej i otoczyła go ramionami. – Oj, Smoky, nie bądź taki. – Podgięła kolana tak, że przylegały ściśle do jego kolan. Wspólnie tworzyli kształt podobny do podwójnego „s”.

– Jaki?

Po długiej chwili milczenia powiedziała w końcu:

– To Opowieść, to wszystko. A opowieści mają początek, rozwinięcie i zakończenie. Nie wiem, kiedy się zaczęła, ale znam jej treść...

– Co było treścią?

– Ty! Co było? No przecież ty!

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– A koniec?

– Właśnie o tym mówię. O końcu.

Zanim zdążyła go pochłonąć tajemnicza groza jej słów; powiedział szybko:

– Nie, nie, nie. Nic nie ma takiego końca, Alice. I nie ma również początku. W życiu wszystko jest rozwinięciem. Jak w serialu Auberona. Jak w historii. Jedna rzecz następuje po drugiej, to wszystko.

– Opowieści mają zakończenia.

– To ty tak twierdzisz, ale...

– I ten dom – dokończyła.

– Co znowu z domem?

– Czy nie może kiedyś zakończyć żywota? Wygląda na to, że niedługo się tak stanie. Gdyby...

– Nie. Po prostu jest coraz starszy.

– Gdyby się rozpadł...

Pomyślał o popękanych ścianach domu, o pustych pokojach, o wodzie sączącej się w piwnicy. Niemalowana boazeria była wypaczona, sufit zbutwiały, mogły się załęgnąć termyty

– To nie jest wina domu – stwierdził.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Powinien mieć elektryczność. Tak został zaprojektowany. Powinien mieć sprawne pompy, gorącą wodę w rurach, gorącą wodę w kaloryferach, światło, wentylację. Wszystko zamarza i pęka, bo nie ma ogrzewania, nie ma prądu.

– Wiem.

– Ale to nie jest wina domu. I nie nasza wina. Wszystko zeszło na psy. Russell Eigenblick. Jak można to naprawić, skoro trwa wojna? Jego polityka wewnętrzna. To szaleństwo. I dlatego wszystkiego brakuje, nie ma prądu i w ogóle...

– A kto, twoim zdaniem, ponosi winę za to, że rządzi Russell Eigenblick? – spytała.

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, Smoky przestał się bronić i poczuł, że Opowieść pochłania i jego, i całą rodzinę. Pochłania wszystko wokół nich.

– Daj spokój – powiedział, jakby wypowiadał zaklęcie, które miało odpędzić to wrażenie. Jednak ono trwało. Opowieść. Przypominało to bardziej jakiś potworny żart. Po nie wiadomo ilu latach przygotowań, powodując rozlew krwi, niezgodę i ogromne cierpienia, tyran doszedł do władzy tylko po to, żeby pozbawić jeden stary dom tego, co było niezbędne do jego przetrwania. Tylko po to, żeby wywołać albo przyspieszyć zakończenie jakiejś pogmatwanej historii, które dziwnym trafem zbiegło się z rozpadem domu. A on odziedziczył ten dom – zwabiony tu początkowo przez miłość tylko po to, by móc go odziedziczyć – żeby sprawować pieczę nad jego rozkładem. I łatwo mógł sobie wyobrazić, że na skutek pewnej własnej niezręczności czy niedopasowania do sytuacji, istotnie nadawał się do tego zadania. Ciągłe walczył z rozkładem, ciągle miał w swych rękach jakieś narzędzia, ale i tak nie przynosiło to żadnego pożytku. A z kolei upadek domu miał spowodować...

– Więc co z nami będzie? – spytał. – Jeśli nie będziemy mogli tu dłużej mieszkać?

Nie odpowiedziała, poszukała tylko w ciemności jego dłoni i ujęła ją.

Rozproszenie. Poznał to po dotyku jej ręki.

Nie! Może inni mogli sobie coś takiego wyobrazić (ale jak, skoro ten dom należał zawsze bardziej do nich niż do niego?), może Alice potrafiła albo Sophie, albo dziewczęta. Może umiały sobie wyobrazić jakieś niewyobrażalne miejsce przeznaczenia, jakiś odległy zakątek... On nie potrafił. Pamiętał pewną zimową noc dawno temu i obietnicę. Noc, kiedy on i Alice po raz pierwszy ze sobą spali. Zrzucili ubrania i leżeli w łóżku, tworząc podwójne „s”. Zrozumiał wtedy, że po to, aby pójść za nią i nie zostać w tyle, będzie musiał odnaleźć w swym wnętrzu dziecięcą wiarę, której właściwie nigdy nie miał albo miał, przez długi czas nie wiedząc nawet o tym. I okazało się, że teraz jest tak samo niegotowy pójść za Alice jak dawniej.

– Odejdiesz? – zapytał.

– Chyba tak.

– Kiedy?

– Gdy dowiem się, dokąd mam pójść. Kiedykolwiek to będzie. – Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, jakby przepraszająco. Zapadła cisza i czuł tylko jej delikatny oddech na szyi. – Może dopiero za jakiś czas. – Potarła policzkiem jego ramię. – I może nie odejdę, to znaczy może nie całkiem odejdę, może nigdy.

Ale wiedział, że mówi tak tylko po to, by go pocieszyć. W końcu przez cały czas był zaledwie drugoplanową postacią. Zawsze się spodziewał, że zostanie w tyle. Jednak przeznaczenie tak długo pozostawało w zawieszaniu, nie przysparzając mu smutku, że przestał się nim przejmować (choć nigdy całkiem o nim nie zapomniał). Czasem nawet pozwalał sobie myśleć, że dzięki własnej dobroci i przychylnemu nastawieniu oddalił je. Ale to nie była prawda. Bo oto pojawiło się i Alice właśnie mu oznajmiła, najłagodniej jak umiała, że nie ma co do tego wątpliwości.

– Dobrze, dobrze – powiedział. – Dobrze.

To było w ich małżeństwie słowo klucz, które oznaczało: „Nie rozumiem, ale znalazłem się u kresu wytrzymałości, próbując zrozumieć. Ufam ci, wierzę, że jest tak, jak mówisz. Porozmawiajmy o czymś innym”. Ale tym razem mówiąc „dobrze”, Smoky miał na myśli inną treść. Ponieważ właśnie w tej chwili pojął, że musi istnieć jakiś sposób, nieprawdopodobny, ale jedyny, żeby z tym walczyć. I odkryje, co to za sposób.

Ten przeklęty dom należy teraz do niego i musi utrzymać go przy życiu, to wszystko. Bo jeśli dom będzie żył, wówczas Opowieść nie dobiegnie końca. Nikt nie będzie zmuszony odchodzić, może nikt nie będzie mógł odejść (nie był tego pewny), jeśli dom przetrwa, jeśli znajdzie się sposób, żeby powstrzymać jego rozpad. Sama siła nie wystarczy, w każdym razie nie jego siła. Potrzebny będzie spryt. Musi wpaść na jakiś doskonały pomysł. (Czyżby nie czuł, że już się rodzi w jego umyśle? A może to tylko zwodnicza nadzieja?). Będzie to wymagało odwagi, ogromnych starań i wytrwałości. Ale to był jedyny sposób.

Czując nagły przypływ energii, poruszył się gwałtownie na łóżku, aż szlafmyca podskoczyła.

– Dobrze, Alice, dobrze – powtórzył.

Pocałował ją namiętnie, potem jeszcze raz, mocno. Roześmiała się, oplótła go ramionami – nie wiedząc (tak sądził), że właśnie postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby podkopać jej wiarę – i odwzajemniła pocałunek.

Jak to możliwe, dziwiła się Daily Alice, podczas pocałunku, że pomimo iż w najciemniejszą noc roku naopowiadała takich rzeczy mężowi, którego kochała, to nie odczuwała wcale smutku, lecz zadowolenie, i przepełniało ją radosne oczekiwanie? Koniec. Zakończenie Opowieści oznaczało dla niej, że wreszcie i już na zawsze wszystkie jej fragmenty będą znane, że nareszcie stanie się pełna i jednolita. Oczywiście, Smoky nie pozostanie na uboczu, za bardzo został wciągnięty w jej tryby. Jak dobrze, że Opowieść wreszcie się zakończy, jak jakieś ogromne dzieło znane tylko wrywkowo, tworzone w nadziei, że ostatni gwóźdź, ostatni szew, ostatnia sprężynka sprawi, iż całość nabierze sensu. Co za ulga! Opowieść jeszcze się nie skończyła, ale tej zimy Alice mogła uwierzyć, że kiedyś to nastąpi. Koniec był bliski.

– A może – powiedziała do Smoky’ego, który osłabł na moment w swym zapale – może to początek.

Smoky jęknął, potrząsając głową. Alice roześmiała się i mocno do niego przywarła.

Kiedy z łóżka przestały dobiegać odgłosy rozmowy, dziewczynka, która od pewnego czasu podsłuchiwała ich i obserwowała unoszące się kołdry, teraz odwróciła się i odeszła. Weszła tutaj po cichutku przez drzwi otwarte po to, żeby koty mogły swobodnie wchodzić i wychodzić.

Miała bose stopy. Stała w cieniu z uśmiechem na ustach, patrząc i słuchając. Smoky i Alice nie widzieli jej, ponieważ widok zasłaniała im góra pościeli, a znużone koty

wprawdzie otworzyły oczy, kiedy weszła, ale po chwili znowu zaczęły zapadać w drzemkę, zerkając na nią spod przymkniętych powiek. Zatrzymała się teraz na moment przy drzwiach, ponieważ z łóżka dochodziły znowu jakieś odgłosy, ale nic nie mogła z tego zrozumieć. Słyszała tylko ciche dźwięki, a nie słowa, więc wysliznęła się na korytarz.

Było ciemno, jedynie słaba śnieżna poświata wpadała przez okna na końcu korytarza. Powoli, jak ślepiec, postąpiła cichutko kilka kroków, wyciągając przed siebie ręce. Przystawała przy kolejnych zamkniętych drzwiach, które mijała, ale za każdym razem kręciła jasną główką z namysłem. Wreszcie, gdy korytarz skreślił, znalazła się przy tych właściwych. Uśmiechnęła się, po czym małą dłonią przekreśliła szklaną gałkę i otworzyła je.

II

*Wspominanie o szaleństwie fikcji,
absurdalności zachowań, poplątaniu
imion i obyczajów z różnych epok,
nieprawdopodobieństwie wydarzeń
to marnowanie krytycyzmu na wytknięcie
nieodpartej głupoty, błędów zbyt łatwych
do wykrycia i zbyt wielkich do wybaczenia.*

Johnson o *Cymbelinie*

Sophie również położyła się wcześniej, ale nie po to, żeby spać. Leżała skulona blisko świecy stojącej na nocnym stoliku. Miała na sobie stary, wzorzysty szlafrok, a na nim kardigan. Spod kołdry wystawały tylko dwa palce, którymi trzymała drugi tom starej, trzytomowej powieści. Świeca już prawie dogasała, więc Sophie sięgnęła do szuflady stolika po następną, wyjęła ją i odpaliła od pierwszej, po czym wcisnęła w świecznik i z westchnieniem odwróciła kartkę. Jeszcze wiele, wiele stron pozostało do ślubów kończących powieść. Dopiero ukryto testament w starym sekretarzyku, a córka biskupa rozmyślała o balu. Drzwi pokoju Sophie otworzyły się i stanęło w nich dziecko.

Co za niespodzianka

Dziewczynka była ubrana w niebieską sukienkę bez rękawów, przewiązaną paskiem. Zrobiła krok do środka, nadal trzymając dłoń na klamce. Na jej ustach błąkał się uśmiech dziecka, które zna niezwykłą tajemnicę i nie jest pewne, czy ujawnienie tej tajemnicy rozbawi, czy też rozżłości dorosłych. Przez chwilę stała tylko w drzwiach, słabo widoczna w świetle świecy. Opuściła brodę i patrzyła na Sophie, która zupełnie skamieniała.

W końcu dziewczynka odezwała się:

– Witaj, Sophie.

Wyglądała dokładnie tak, jak Sophie sobie wyobrażała. Dokładnie tak, jak powinna wyglądać w tym wieku, a ona nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić jej ani trochę starszej.

Płomień świecy drżał w przeciągu. Otwarte drzwi rzucały na dziecko dziwne cienie. Przez chwilę Sophie czuła przerażenie z powodu dziwności tego zjawiska, jakiego nie doświadczyła nigdy w życiu, ale dziecko nie było zjawą. Nabrała pewności co do tego w momencie, gdy zobaczyła, jak dziewczynka wchodzi i odwraca się, żeby zamknąć za sobą ciężkie drzwi. Żadna zjawy by tego nie uczyniła.

Dziewczynka podeszła powoli do łóżka z tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Wiesz, jak mam na imię? – zwróciła się z pytaniem do Sophie.

Nie wiadomo dlaczego to, że przemówiła, było dla Sophie trudniejsze do zniesienia niż sam fakt, że stała przed nią. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy nie wierzyć własnym uszom. Słyszała, że dziecko przemówiło, ale nie wierzyła, że to prawda, i nie mogła sobie wyobrazić, że miałyby na to pytanie odpowiedzieć. To byłoby tak, jakby zwracała się do jakiejś części samej siebie, która nagle w niewytłumaczalny sposób oddzieliła się od reszty ciała, stanęła naprzeciw niej i zadawała pytania.

Dziewczynka zaśmiała się. Sytuacja ją bawiła.

– Nie wiesz – powiedziała. – Mam ci podpowiedzieć?

Podpowiedzieć! Nie była zjawą, nie była też snem, ponieważ Sophie nie spała. Nie była oczywiście jej córką, jej córka bowiem została porwana przeszło dwadzieścia pięć lat temu, a to było dziecko. A jednak Sophie doskonale wiedziała, jak dziewczynce na imię. Podniosła dłonie do twarzy i zasłaniając nimi usta wyszeptała:

– Lilac.

Lilac wydawała się rozczarowana.

– Tak – potwierdziła. – Skąd wiesz?

Sophie roześmiała się albo załkała, a może był to śmiech przez łzy.

– Lilac – powtórzyła.

Dziewczynka wybuchnęła śmiechem i zaczęła się wdrapywać na łóżko, ale Sophie musiała jej w tym pomóc. Schwyciła ją za rękę z obawą, że być może poczuje dotyk swej własnej dłoni. A jeśli tak się stanie, to co wtedy? Ale Lilac była cielesna, a jej skóra chłodna. Dłoń Sophie objęła dziecięcy nadgarstek i podniosła Lilac, która sporo ważyła. Kolana dziewczynki dotknęły łóżka, a ono zaczęło podskakiwać. Wszystkie zmysły mówiły teraz Sophie, że to bez wątplenia Lilac jest tu z nią.

– I co – powiedziała dziewczynka, odgarniając szybkim ruchem złociste włosy, które opadły jej na oczy. – Nie jesteś zdziwiona? Nie powiesz „cześć”, nie pocałujesz mnie? – Wpatrywała się w napiętą twarz matki.

– Lilac – powtórzyła Sophie. Przez wiele lat zabraniała sobie myśleć o jednej rzeczy, o tej właśnie niewyobrażalnej scenie, i nie była teraz przygotowana do takiego spotkania z córką. Ta chwila i ta dziewczynka były dokładnie takie, jakimi by je mogła widzieć, gdyby popuściła wodze fantazji. Ale zabroniła sobie tego i nie wiedziała teraz, co ma powiedzieć i co uczynić.

– Ty mówisz – zaczęła Lilac, wskazując na Sophie. Miała trudności z przypomnieniem sobie tego wszystkiego, a przecież nie mogła się pomylić. – Ty mówisz: „Witaj, Lilac, co za niespodzianka”, bo nie widziałas mnie, odkąd byłam bardzo mała. A wtedy ja mówię: „Przybywam z daleka, żeby powiedzieć ci to i owo”, a ty słuchasz, ale przedtem mówisz jeszcze, jak bardzo za mną tęskniłaś, kiedy mnie porwano, i padamy sobie w objęcia. – Rozwarła ramiona, a jej twarz promieniowała udawaną radością, wzruszeniem, które miało dać Sophie wskazówkę. I Sophie nie mogła wtedy zrobić nic innego, jak tylko otworzyć ramiona, powoli i ostrożnie (już bez strachu, ale z wielką ostrożnością, ponieważ wydawało jej się to zupełnie niemożliwe) i objąć Lilac.

– Powiedz: „Co za niespodzianka” – wyszeptała jej dziewczynka do ucha.

Lilac pachniała śniegiem, ziemią i sobą.

– Co za niespodzianka – zaczęła Sophie, ale nie mogła dokończyć, bo łzy żalości i zachwyty ścisnęły ją za gardło. Uwolnione zostały te wszystkie uczucia, których doznawania Sophie odmawiała sobie przez wiele lat. Zapłakała, a Lilac, zdziwiona, chciała wysunąć się z jej objęć, lecz ona trzymała ją mocno. Dziewczynka poklepała więc Sophie delikatnie po plecach, żeby ją pocieszyć.

– Tak – powiedziała do matki – wróciłam. Przebyłam długą drogę, bardzo długą drogę.

W drodze stamtąd

Możliwe, że przebyła bardzo długą drogę. Pamiętała, że tak właśnie miała powiedzieć. Nie pamiętała jednak, żeby odbywała jakąś daleką podróż. Albo większą część drogi przemierzyła we śnie i miała ją za sobą, gdy się obudziła, albo droga ta była w rzeczywistości bardzo krótka...

– We śnie? – zapytała Sophie.

– Spałam – wyjaśniła Lilac – bardzo długo. Nie wiedziałam, że aż tak długo. Nawet dłużej niż misie. O tak, spałam przez cały czas od dnia, kiedy cię obudziłam. Pamiętasz?

– Nie – odparła Sophie.

– Tego dnia – powiedziała Lilac – skradłam twój sen. Krzyknęłam: „Obudź się!” i pociągnęłam cię za włosy.

– Skradłaś mój sen?

– Bo musiałam spać. Przepraszam – powiedziała wesoło.

– Tego dnia – powtórzyła Sophie, myśląc, że to dziwne uczucie, kiedy wszystko w życiu odwraca się do góry nogami, gdy jest się już takim starym i doświadczonym człowiekiem... Tego dnia. Czy spała tyle czasu?

– Tak, spałam od tamtej pory – wyjaśniła Lilac. – A potem przyszedłam tutaj.

– Ale skąd?

– Stamtąd. Ze snu. Ale w końcu...

W końcu się obudziła z najdłuższego snu na świecie i gdy tylko otworzyła oczy,

zapomniała, co jej się śniło. Szła ciemną drogą. Był wieczór. Po obu stronach drogi rozpościerały się ciche, zaśnieżone pola, a bezchmurne, zimne niebo przybrało kolor różowobłękitny. Miała do wypełnienia zadanie, do którego przygotowywano ją, zanim zapadła w sen, i o którym nie zapomniała w czasie jego trwania. Wszystko było zupełnie jasne i Lilac niczemu się nie dziwiła. W jej dzieciństwie nie brakowało zaskakujących sytuacji. Zmieniała nieraz miejsca pobytu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przyzwyczała się do tego jak dziecko, które nagle przebudzone, musi uczestniczyć w przyjęciu, mruży zaspane oczy, ale nie sprzeciwia się, ponieważ obejmują je ręce bliskich osób. Więc szła spokojnie przed siebie, patrzyła na wrony, wspinała się na wzgórze i widziała, jak gaśnie ostatni promyk czerwonego słońca, niebo staje się jeszcze bardziej różowe, śnieg zaś przybiera błękitną barwę. I dopiero kiedy schodziła na dół, myślała o tym, gdzie jest i jak daleka droga jeszcze ją czeka.

U stóp wzgórza ujrzała chatkę, wylaniającą się spomiędzy małych, wiecznie zielonych drzewek. Żółty blask bijący z okien rozświetlał błękit wieczoru. Kiedy Lilac znalazła się przy chatce, popchnęła małą, białą furtkę w drewnianym płocie – w tym samym momencie w domu zabrzączał dzwonek – i ruszyła ścieżką do drzwi. Spośród zasypanego śniegiem trawnika wyglądała głowa krasnoludka, na którego wysokim kapeluszu uformowała się czapa śniegu. Krasnoludek przyglądał się wchodzącym już od wielu lat.

– Dom Juniperów – powiedziała Sophie.

– Co?

– To był dom Juniperów – powtórzyła.

Wewnątrz czekała bardzo, bardzo stara kobieta, najstarsza (nie licząc pani Underhill i jej córek), jaką Lilac kiedykolwiek widziała. Kobieta otworzyła drzwi, trzymając w górze lampę, powiedziała cichym, słabym głosem:

– Przyjaciel czy wróg? O Boże. – Zobaczyła, że stoi przed nią na śniegu prawie nagie dziecko, w dodatku bosa i bez nakrycia głowy.

Margaret Juniper zachowała się bardzo rozsądnie. Otworzyła drzwi, żeby Lilac mogła wejść do środka, a ona, po chwili wahania, postanowiła skorzystać z zaproszenia. Przeszła przez maleńki przedpokój z wystrzępionym dywanem na podłodze, minęła miniaturową etażerkę (Margaret od dawna jej nie odkurzała, ponieważ obawiała się, że stojące tam drobiazgi wyślizną się z jej niezdarnych, starych rąk i potłuką, a poza tym nie dostrzegала już kurzu) i przez drzwi w kształcie łuku weszła do salonu. W piecu było napalone. Marge szła za dziewczynką, niosąc lampę, ale zatrzymała się w drzwiach do salonu, niepewna, czy ma ochotę tam wejść. Patrzyła, jak dziecko siada w fotelu, w którym zwykł siadać Jeff, i kładzie ręce na szerokich oparciach z taką miną, jakby mu to sprawiało przyjemność. Potem dziewczynka spojrzała na Margaret.

– Może mi pani powiedzieć – spytała – czy ta droga prowadzi do Edgewood?

– Tak – odparła Marge, wcale nie zdziwiona, że dziewczynka zadała jej właśnie takie

pytanie.

– To dobrze – powiedziała Lilac. – Muszę im przekazać wiadomość.

Wyciągnęła dłonie i stopy w stronę pieca, chociaż wcale nie wyglądała na przemarzną. To również nie zdziwiło Marge.

– Jak daleko jeszcze?

– Kilka godzin drogi.

– Ile dokładnie?

– Nigdy tam nie szłam piechotą.

– To nic. Ja szybko chodzę. – Dziewczynka skoczyła na równe nogi i wskazała pytająco palcem w jedną stronę, ale Marge zaprzeczyła ruchem głowy. Lilac roześmiała się i wskazała drugi kierunek. Marge przytaknęła. Poczekala, aż dziewczynka minie ją w drzwiach, po czym ruszyła za nią.

– Dziękuję pani – powiedziała Lilac, trzymając dłoń na klamce.

Przy drzwiach stała miska, w której Marge miała zawsze parę dolarów i słodycze. Płaciła nimi chłopcom odgarniającym śnieg ze ścieżki i rąbiącym drewno na opał. Wyjęła teraz stamtąd dużą czekoladę i dała ją Lilac. Dziewczynka z uśmiechem przyjęła podarunek i stanawszy na paluszkach, pocałowała starą Marge w policzek. Potem wyszła z domu i ruszyła w stronę Edgewood, nie oglądając się za siebie.

Marge stała w drzwiach, patrząc za dziewczynką, i przepelniało ją dziwne uczucie, że żyła tak długo tylko po to, by to dziecko mogło jej złożyć krótką wizytę. Miała wrażenie, że ten przydrożny domek i lampa w jej ręku oraz cały łańcuch wydarzeń, które powołały to wszystko do istnienia, nabrały sensu dopiero dzięki tym odwiedzinom. A Lilac, maszerując szybkim krokiem, pamiętała, że miała odwiedzić ten dom i powiedzieć do starej kobiety dokładnie to, co powiedziała – przypomniał jej o tym smak czekolady. I wiedziała też, że następnego wieczora, tak bezchmurnego i błękitnego jak ten, każdy mieszkaniec pięciu miast, otaczających Edgewood na kształt pentagramu, dowie się, iż Marge Juniper miała gościa.

– Ale – powiedziała Sophie – nie mogłaś tutaj dojść tak szybko.

– Ja szybko chodzę – wyjaśniła Lilac – a może szłam na skróty.

Droga, którą wędrowała, prowadziła wzdłuż zamrożonego jeziora i wyspy rozświetlanej blaskiem gwiazd. Stała tam mała altanka otoczona kolumnkami. A może tylko kształt śniegu przywodził jej na myśl taki budynek. Następnie przeszła przez las, budząc cykady, i minęła miejsce, które wyglądało jak zamek zbudowany z zamrożonego śniegu...

– Letni domek – wtrąciła Sophie.

...Miejsce, które widziała już wcześniej, dawno temu, o innej porze roku. Zbliżyła się do tego budynku, mijając klomby okalające trawnik. Kwiaty zdziczały i tylko wysokie, zamarznięte badyle malw oraz dziewanny wystawały spod śniegu. Na podwórku stało szare, płócienne krzesło. Widząc to wszystko, Lilac pomyślała: czy to nie tutaj miałam przekazać wiadomość, czy to nie temu domowi miałam przynieść pocieszenie? Stała tam przez chwilę,

patrząc na porzucone krzesło, ale nie zauważyła żadnych śladów stóp na śniegu i po raz pierwszy zadrżała z zimna. Jednak nie mogła sobie przypomnieć, jaką wiadomość i komu miała przekazać. Ruszyła więc w dalszą drogę.

– Auberonowi – rzuciła Sophie.

– Nie – zaprzeczyła Lilac. – Nie Auberonowi.

Szła przez cmentarz, nie wiedząc, co to za miejsce. Po prostu były tam dziwne kupki ziemi w miejscu, gdzie pochowany został John Drinkwater, i podobne kupki ziemi tam, gdzie pochowano pozostałych członków rodziny. Niektórych z nich знаła, innych nie. Lilac była zdziwiona widokiem dużych kamieni pokrytych płaskorzeźbami, rozrzuconych tu i ówdzie jak ogromne, zapomniane zabawki. Przyglądała im się przez jakiś czas, krążąc od jednego do drugiego i zgarniając czapy śniegu, żeby popatrzeć na smutne aniołki, głęboko wyżłobione litery i granitowe kwiaty.

Sztywne kości pod jej stopami, przykryte śniegiem, opadłymi liśćmi i ziemią, odprężyły się, a z zapadniętych piersi wypłynęłoby zapewne westchnienie, gdyby tylko mogły się one poruszać. Dopiero teraz zelżał stan napięcia i oczekiwania, którego nie złagodziła nawet śmierć. Kiedy Lilac spacerowała po cmentarzu, ludzie złożeni tu na wieczny spoczynek zasnęli nareszcie prawdziwym, głębokim snem (zupełnie tak jak zdarza się to śpiącym, gdy minie wreszcie koszmar albo niepokojący hałas).

– Violet – powiedziała Sophie, a łzy płynące po jej twarzy nie były już łzami cierpienia – i John, i Harvey Cloud, i ciotka Cloud. Tatusz. I również ojciec Violet, i Auberon. I Auberon.

Tak, Auberon, tamten Auberon... Stojąc nad nim, na ziemi przykrywającej jego ciało, Lilac zaczęła sobie przypominać, jaką wiadomość ma przekazać i w jakim celu tutaj przyszła. Wszystko zaczynało być jasne, jakby dopiero teraz naprawdę się rozbudziła.

– O tak – powiedziała do siebie. – O tak... – Odwróciła się i ujrzała ciemny zarys domu za czarnymi jodłami. W ani jednym oknie nie świeciło się światło. Dom był tak przysypany śniegiem jak ten pierwszy, który widziała, ale nie można go było pomylić z żadnym innym. Znalazła ścieżkę, wejście oraz schody wiodące na górę i drzwi ze szklaną gałką: te, których szukała.

– A teraz – rzekła, klęcząc na łóżku przed Sophie – muszę ci coś powiedzieć.

– Czy ja to wszystko zapamiętam?

Parlament

– Więc miałam rację. Tylko niewielu – stwierdziła Sophie. Minęła północ i dopalała się już trzecia świeca.

– Pięćdziesięciu dwóch – powiedziała Lilac. – Wszystkich policzyli.

– Tak mało.

– Jest wojna. Wszyscy zginęli. A ci, którzy zostali, są starzy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jacy starzy.

– Ale dlaczego? – spytała Sophie. – Dlaczego musieli poświęcić tak wielu, skoro wiedzieli?

Lilac wzruszyła ramionami i spojrzała w bok. Wyjaśnienie tego nie było jej misją. Miała tylko przekazać wieści i wezwanie. Nie potrafiła dokładnie wytłumaczyć Sophie, co się z nią działo, gdy została porwana, ani jak żyła. Kiedy wypytywała ją, odpowiadała tak jak wszystkie dzieci. Mówiła o ludziach i zdarzeniach nieznanymi słuchaczowi, oczekując, że ten wszystko zrozumie i że to dla niego jest tak samo oczywiste jak dla dziecka. Ale Lilac nie była podobna do innych dzieci.

– No wiesz – powiedziała tylko niecierpliwie, kiedy Sophie ją wypytywała, i powróciła do relacjonowania tego, co powinna była przekazać.

Wojna miała być zakończona. Musi się odbyć konferencja pokojowa, zebranie parlamentu. Wszyscy, którzy mogą przybyć, muszą to uczynić, by zakończyć konflikt i położyć kres smutnym czasom.

Będzie to parlament, gdzie wszyscy przybyli spotkają się twarzą w twarz. Gdy Lilac to powiedziała, Sophie poczuła szum w głowie, a serce na moment przestało jej bić, jak gdyby to dziecko właśnie oznajmiło jej śmierć lub coś równie ostatecznego i niewyobrażalnego.

– Więc musicie przybyć – powiedziała Lilac. – Musicie. Wojna powinna się skończyć, bo jest ich teraz za mało. Trzeba przygotować traktat dla wszystkich.

– Traktat.

– Albo wszyscy zginą. Zima może trwać wiecznie. Potrafią tego dokonać. To ostatnia rzecz, którą mogą zrobić.

– O nie – powiedziała Sophie. – Tylko nie to.

– Wszystko w waszych rękach – oznajmiła Lilac tonem pogroźki, przybierając majestatyczną pozę. I kiedy już wypełniła to uroczyste posłannictwo, rozrzuciła szeroko ramiona. – Więc zgadzasz się? – powiedziała radośnie. – Przyjdziecie? Wszyscy?

Sophie przyłożyła zziębnięte knykcie do ust. Lilac uśmiechała się, była ożywiona i radosna w tym zimnym, zakurzonej pokoju. I te wieści. Sophie czuła się pusta. Jeśli któraś z nich dwóch była zjawą, to właśnie ona, a nie jej córka. Jej córka!

– Ale jak?! – zapytała – Jak mamy się tam dostać?

Lilac spojrzała na nią skonsternowana.

– Nie wiesz?

– Kiedyś wiedziałam – odparła Sophie i znowu poczuła, że łzy utrudniają jej mówienie. – Przykro mi, Lilac. Widzisz, moje życie było smutne...

Dziewczynka spojrzała na nią obojętnie.

– Och, już wiem – zawołała z nagłym ożywieniem. – Te karty! Gdzie one są?

– Tutaj – odparła Sophie, wskazując drewniane pudełko na nocnym stoliku.

Lilac sięgnęła po nie i otworzyła je.

– Dlaczego twoje życie było smutne? – zapytała, wyjmując karty.

– Dlaczego? – powtórzyła Sophie. – Bo zostałam porwana, przede wszystkim dlatego...

– Ach to. To nie ma znaczenia.

– Nie ma znaczenia? – Sophie zaśmiała się przez łzy.

– Nie, to był tylko początek. – Lilac niezręcznie tasowała karty w swych małych dłoniach. – Nie wiedziałas o tym?

– Nie. Nie, myślałam... Myślałam, że to koniec.

– To głupie. Gdybym nie została porwana, nie odebrałabym wykształcenia, a gdybym nie odebrała wykształcenia, nie mogłabym przynieść tych wiadomości, więc to naprawdę był początek. Więc wszystko w porządku, nie rozumiesz?

Sophie patrzyła, jak dziewczynka niedbale tasuje karty, upuszczając co rusz niektóre z nich i dołączając je z powrotem do talii. Próbowwała sobie wyobrazić, jakie życie wiodła Lilac, ale nie umiała.

– Czy kiedykolwiek za mną tęskniłaś? – spytała.

Lilac, zajęta tasowaniem, wzruszyła jednym ramieniem.

– Proszę. – Wręczyła Sophie talię kart. – Kieruj tym.

Sophie powoli wzięła karty z jej rąk i odniosła wrażenie, że w tym momencie Lilac zobaczyła ją naprawdę, po raz pierwszy odkąd tu weszła.

– Sophie – usłyszała. – Nie smuć się. To jest o wiele większe, niż myślisz. – Lilac położyła dłoń na jej ręce. – Jest tam fontanna albo wodospad, nie pamiętam. Można się tam umyć. Woda jest taka czysta i lodowata. To wszystko jest o wiele, o wiele większe niż myślisz!

Zeszła z łóżka na podłogę.

– Teraz śpij – poleciła. – Muszę już iść.

– Dokąd? Nie będę spać, Lilac.

– Będziesz – odparła Lilac. – Teraz możesz, bo ja już nie śpię.

– Jak to?

Sophie położyła się powoli i oparła o poduszki, które Lilac poprawiła.

– Bo ja ukradłam twój sen – wyjaśniła z tajemniczym uśmiechem. – Ale teraz już nie śpię, więc ty możesz spać.

Sophie, wyczerpana, trzymała w dłoni karty.

– Dokąd pójdziesz? – spytała. – Jest ciemno i zimno. Lilac zadrżała, ale powiedziała tylko:

– Spij. – Stała na paluszkach przy wysokim łóżku, odgarnęła białe loki z policzka Sophie, pocałowała ją delikatnie. – Śpij.

Podeszła bezgłośnie do drzwi, otworzyła je i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na matkę, wyszła na cichy, zimny korytarz, zamykając je za sobą.

Sophie leżała wpatrzona w zamknięte drzwi. Trzecia świeca dopaliła się z sykiem. Nadal ściskając karty, Sophie otuliła się kołdrami. Sądziła – a może wcale nie sądziła, tylko była

pewna – że Lilac z jakiegoś powodu kłamała, z jakiegoś powodu wprowadziła ją w błąd. Ale co to był za powód?

Spać.

Z jakiego powodu? Rozmyślała i czuła się tak, jak gdyby jej umysł oddychał. Nagle, z westchnieniem rozkoszy, które niemal ją przebudziło, poczuła, że zasypia.

Jeszcze nie koniec

Auberon, ziewając, przejrzał wrywkowo pocztę, którą Fred Savage przyniósł wieczorem z miasta.

„Drogi *Inny świecie* – pisała jakaś pani zielonym atramentem. – Piszę, żeby zadać pytanie, nad którym długo rozmyślałam. Wolałabym wiedzieć, jeśli można, gdzie znajduje się dom, w którym mieszkają MacReynoldsowie i cała reszta. Muszę dodać, że dla mnie osobiście jest to bardzo ważne. Chciałabym znać dokładne położenie. Nie zawracałabym Wam głowy listami, tylko że nie mogę sobie wyobrazić tego domu. Kiedy mieszkali w Shady Acres (kiedy to było!), to bardzo łatwo mogłam to sobie wyobrazić, ale tego drugiego miejsca już nie umiem. Proszę dać mi jakąś wskazówkę. Nie mogę myśleć o niczym innym”. Podpisała list: „Pozostaję z nadzieją” i dodała postscriptum: „Obiecuję, że nie będę nikogo nachodzić”. Auberon spojrział na znaczek – przesyłka z zachodu – i cisnął list do kosza.

Po co, do diabła, wstał tak wcześniej? Przecież nie miał zamiaru przeglądać poczty. Zerknął na stary, kwadratowy zegar stojący na obramowaniu kominka. A tak: pora na dojenie. Przez cały tydzień. Szybko poskładał pościel na łóżku, włożył rękę pod spód, powiedział: „No to jazda” i łóżko zamieniło się w starą szafę z lustrem na drzwiach. Zawsze był zadowolony, słysząc znajomy szczeł, gdy rano wracało na swoje miejsce.

Włożył wysokie gumki i gruby sweter. Wyjrzał przez okno: padał śnieg. Znowu ziewając (czy George zaparzył kawę? – pozostaję z nadzieją), wcisnął na głowę kapelusz i poczłapał na korytarz. Zamknął za sobą drzwi składanej sypialni, zszedł po schodach, przeszedł przez okno i idąc wyjściem pożarowym od holu, znalazł się na schodach prowadzących do kuchni George’a.

Wpadł na niego u stóp schodów.

– Nie uwierzysz, co się stało. – Tymi słowami kuzyn powitał Auberona.

Auberon zatrzymał się, ale George nie powiedział nic więcej. Wyglądał tak, jakby zobaczył ducha. Auberon natychmiast rozpoznał ten wyraz twarzy, chociaż nigdy przedtem nie widział żadnego człowieka, który zetknął się z duchem. George sam wyglądał jak zjawą, jeśli zjawy mogą być zaaferowane, szarpane sprzecznymi uczuciami i zdumione do granic wytrzymałości.

– Co się stało? – spytał.

– Nie uwierzysz w to. – Miał na sobie skarpetki pamiętające lepsze czasy i połatany szlafrok z napisami klubu bokserskiego „Yonkers A.C.”. Wziął Auberona za rękę i

poprowadził na dół do drzwi kuchni.

– O co chodzi? – spytał ponownie Auberon.

Przy drzwiach, które były lekko uchylone, George odwrócił się do niego.

– Na miłość boską – wyszeptał pospiesznie – tylko ani słowa o tamtej historii, o tym, co opowiadałem, no wiesz... – Zerknął na uchylone drzwi. – O Lilac – powiedział, a raczej poruszył tylko bezgłośnie wargami z pewną egzaltacją i mrugnął ostrzegawczo okiem, przerażony. Potem otworzył drzwi na oścież.

– Popatrz – powiedział. – No popatrz. – Tak jakby Auberon mógł tego nie widzieć. – Moje dziecko.

Dziewczynka siedziała na skraju stołu i machała w powietrzu skrzyżowanymi, bosymi nogami.

– Cześć, Auberon – rzuciła. – Ale urosłeś.

Auberon miał wrażenie, że obraz skacze mu przed oczami i rozmazuje się, ale mimo to wpatrywał się uparcie w dziecko. Przyłożył dłoń do serca, gdzie mieszkała jego wymyślona Lilac. Była tam. A więc to jest...

– Lilac – powiedział.

– Moja córka Lilac – oznajmił George.

– Ale jak to możliwe?

– Mnie nie pytaj.

– To długa historia – wtrąciła Lilac. – Najdłuższa, jaką znam.

– Ma się odbyć spotkanie – wyjaśnił George.

– Parlament – poprawiła Lilac. – Przyszłam, żeby wam powiedzieć.

– Przyszła, żeby nam powiedzieć.

– Parlament – powtórzył Auberon. – Co to za licho?

– Słuchaj, chłopie – powiedział George. – Mnie nie pytaj. Zszedłem na dół, żeby zaparzyć kawę, i nagle słyszę pukanie do drzwi...

– Ale dlaczego ona jest taka mała? – zdziwił się Auberon.

– Mnie pytasz? Więc wyrząłem, a tam to dziecko na śniegu...

– Powinna być o wiele starsza.

– Spała. Czy coś w tym rodzaju. Skąd mam wiedzieć? Więc otwieram drzwi...

– Trudno w to wszystko uwierzyć – powiedział Auberon.

Lilac patrzyła to na jednego, to na drugiego, złożywszy dłonie na podołku. Uśmiechała się z serdeczną miłością do swojego ojca i z szelmowskim błyskiem w oku do Auberona. Mężczyźni zamilkli, wpatrzeni w dziewczynkę. George podszedł bliżej. Jego twarz miała wyraz niepokoju, ale i radosnego zachwytu, jak gdyby Lilac była pisklciem, które sam wysiedział.

– Mleko – powiedział, strzelając palcami. – Może napijesz się mleka? Dzieci lubią mleko, prawda?

– Ja nie lubię – odparła Lilac i roześmiała się, widząc jego zafrasowaną minę. – Nie lubię. Ale George wyjmował już z lodówki słoiczek galaretki i kankę z kozim mlekiem.

– No jasne – powiedział. – Mleko.

– Lilac, dokąd mamy się udać? – spytał Auberon.

– Na spotkanie – odparła. – Na zebranie parlamentu.

– Ale dokąd? Dlaczego? Co...

– Ojej, Auberon – zniecierpliwiła się. – Oni ci wszystko wytłumaczą, jak przyjdiesz.

Masz tylko przyjść.

– Oni?

Dziewczynka wzniosła oczy z udanym zdumieniem.

– No daj spokój – powiedziała. – Musicie się pospieszyć, żeby zdążyć na czas, to wszystko...

– Nikt teraz nigdzie nie pójdzie – oświadczył George, wkładając w dłoń Lilac kubek. Spojrzała na naczynie z zaciekawieniem i odstawiła je.

– Wróciłaś, to wspaniale. Jesteś tutaj, nic ci nie grozi i nie ruszymy się stąd.

– Ale musicie przyjść – nalegała Lilac, ciągnąc go za rękaw. – Musicie, bo w przeciwnym razie...

– Co w przeciwnym razie? – spytał George.

– To się dobrze nie skończy – dokończyła miękko. – To znaczy Opowieść – dodała jeszcze łagodniej.

– Oho – powiedział George. – Oho, Opowieść. No dobrze. – Stał przed nią, założywszy ręce. Kiwał sceptycznie głową, ale nie potrafił znaleźć żadnej odpowiedzi.

Auberon patrzył na ojca i córkę, myśląc: „Więc to jeszcze nie koniec”. Ta myśl przyszła mu do głowy, gdy tylko przekroczył próg starej kuchni. A raczej nie była to jedynie myśl, lecz pewność. Pewność, od której włosy zjeżyły mu się na głowie i odniósł dziwne wrażenie, że obraz skacze mu przed oczami. Mimo to był w stanie dostrzegać wszystko o wiele wyraźniej niż przedtem. Jeszcze nie wszystko skończone. Mieszkał bardzo długo w małym pokoju, w składanej sypialni, i poznał każdy skrawek tego miejsca tak dobrze, jak znał samego siebie. I doszedł do wniosku, że wszystko w porządku, że można tu jakoś żyć: miał krzesło przy kominku, miał łóżko i okno z widokiem. Nawet jeśli źle się czuł w tych warunkach, to jednak jego życie miało jakiś sens. A teraz poczuł się tak, jakby po opuszczeniu szafy nie znalazł łóżka z pocerowanym prześcieradłem i starą kołdrą, ale statek pod pełnymi żaglami, podnoszący kotwicę, wietrzny świt i aleję z wysokimi drzewami, której koniec nikał gdzieś na horyzoncie.

Przeraziła go ta wizja. Miał już za sobą przygody. Podążał już odległymi ścieżkami i porzucił je, ponieważ były ku temu ważne powody. Wstał i poczłapał w gumiakach do okna. Niewydojone kozy zawodziły.

– Nie – powiedział. – Nigdzie nie pójdę, Lilac.

– Ale nawet nie znasz powodów – zaprotestowała dziewczynka.

– Nie obchodzi mnie to.

– Wojna! Pokój! – zawołała.

– Nie obchodzi mnie to – powtarzał z uporem.

Nie tęskniłby za światem, który prawdopodobnie musiałby porzucić, wyruszając w drogę. A może nawet by tęsknił. Jednak wszystko było lepsze niż wstępowanie po raz drugi do morza namiętności, i to teraz, kiedy szczęśliwie dobił do brzegu. Nigdy.

– Auberon – powiedziała miękko Lilac. – Sylvie tam będzie.

Nigdy, nigdy, nigdy.

– Sylvie? – powtórzył George.

– Sylvie – przytaknęła Lilac.

Ponieważ żaden z nich nie odezwał się, dodała:

– Prosiła mnie, żebym ci powiedziała...

– Nieprawda! – wykrzyknął Auberon, zwracając się w jej stronę. – Nieprawda. To kłamstwo! Nie wiem, dlaczego chcesz nas nabrać, nie wiem dlaczego i po co tu przysłaś, ale powiesz wszystko! Wszystko, tylko nie prawdę! Tak jak oni, bo dla was to nie ma znaczenia. O tak, jesteś zła jak oni, taka zła jak ta Lilac, którą George wysadził w powietrze, ta fałszywa. Nie różnisz się niczym od tamtej.

– O rany – powiedział George, wznosząc oczy ku niebu. – Wspaniale.

– Wysadziłeś ją w powietrze? – Lilac spojrzała uważnie na George'a.

– To nie była moja wina – wyjaśnił George, gromiąc Auberona spojrzeniem.

– Więc dlatego zniknęła – powiedziała z rozmysłem Lilac, po czym roześmiała się. – Byli wściekli, kiedy popioły spadły na ziemię. To było okropnie stare, miało paręset lat. I nie mieli nic innego, tylko to im zostało. – Zeskoczyła ze stołu na podłogę, a jej niebieska spódniczka trochę się przy tym uniosła. – Muszę już iść – oznajmiła, zerkając na drzwi.

– Nie – powiedział Auberon. – Zaczekaj.

– Iść! O nie – zaprotestował George, chwytając ją za ramię.

– Jest tyle do zrobienia – powiedziała Lilac. – A tutaj już wszystko gotowe, więc... Ach, zapomniałam. Droga prowadzi przez las, więc lepiej będzie, jeśli znajdziecie jakiegoś przewodnika. Kogoś, kto zna lasy, kto wam pomoże trafić. Przyniescie monetę dla przewoźnika i ubierzcie się ciepło. Jest wiele bram, ale przez jedne dochodzi się szybciej niż przez inne. Nie zwlekajcie zbyt długo, bo spóźnicie się na przyjęcie! – Była już przy drzwiach, lecz cofnęła się jeszcze, żeby uścisnąć George'a. Wspinając się na palce, otoczyła jego szyję szczupłymi, złocistymi ramionkami, pocałowała jego chude policzki i stanęła z powrotem na podłodze. – Będzie niezła zabawa – powiedziała.

Rzuciła im jeszcze ostatnie spojrzenie, uśmiechając się z niewinną złośliwością, i już jej nie było. Słyszeli plaskanie jej bosych stóp na starym linoleum w korytarzu, ale nie słyszeli odgłosu otwierania i zamykania drzwi wyjściowych.

George zdjął z wieszaka kombinezon i płaszcz, włożył je, po czym wzał buty. Podeszedł do drzwi, ale gdy już był przy nich, zapomniał, co chciał zrobić i dlaczego się spieszy. Rozejrzał się po kuchni, ale nic sobie nie przypomniał, więc podeszedł do stołu i usiadł.

Auberon zajął krzesło naprzeciwko niego i przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, wbijając spojrzenie w blat stołu, ale nic nie widząc. Światło nadające sens zdarzeniom zgasło i kuchnia znowu miała swój zwykły wygląd: pomieszczenie, w którym przygotowuje się owsiankę, pije kozie mleko i w którym dwóch starych kawalerów siedzi przy stole w gumowych butach, podczas gdy robota czeka.

Mieli wyruszyć w drogę.

– No dobra – George pierwszy przerwał milczenie. – Co? – Podniósł głowę, ale Auberon nic nie mówił.

– Nic.

– Powiedziała – zaczął George, ale nie potrafił dokładnie powtórzyć, co Lilac powiedziała. Nie mógł zapomnieć jej słów, ale nie mógł też ich sobie przypomnieć (co z kozami? co ze śniegiem na ulicy? co z jego sercem?).

– Sylvie – rzekł Auberon.

– Przewodnik – powiedział George, strzelając palcami. – W korytarzu rozległy się czyjeś kroki. – Przewodnik – powtórzył George. – Powiedziała, że musimy znaleźć przewodnika.

Obaj odwrócili się i spojrzeli na drzwi, które właśnie się otworzyły.

Do środka wszedł Fred Savage w gumiakach na nogach. Miał zamiar zjeść śniadanie.

– Przewodnik? – powiedział. – Ktoś gdzieś idzie?

Kobieta z torebką ze skóry aligatora

– Czy to ona? – zapytała Sophie, rozsuwając zasłony jeszcze bardziej, żeby lepiej widzieć.

– To musi być ona – powiedziała Alice.

Ostatnio bardzo rzadko błyskały przy kamiennej bramie światła samochodu podjeżdżającego pod dom, więc nie mógł to być nikt inny. Długi, niski samochód, czarny o zmierzchu, omiół dom jasnymi światłami, podskakując na wyboistym podjeździe. Zakręcił przy werandzie, światła zgasły, ale niecierpliwy silnik warkotał jeszcze przez chwilę. Wreszcie umilkł.

– Widzisz George'a? – zapytała Sophie. – Albo Auberon?

– Nie. Jest sama.

– O Boże.

– To nic – powiedziała Alice. – Dobrze, że chociaż ona przyjechała.

Odwróciły się od okna i spojrzały na wyczekujące twarze zgromadzonych gości, którzy zasiedli w dwóch połączonych pokojach salonu.

– Już jest – oznajmiła Alice. – Wkrótce zaczniemy.

Po zgaszeniu silnika Ariel Hawksquill siedziała jeszcze przez chwilę w samochodzie, wsłuchując się w ciszę. Potem wysiadła, zabierając z sąsiedniego siedzenia torebkę ze skóry aligatora, i stała chwilę na dworze. Padał drobny deszcz. Wdychała głęboko wieczorne powietrze i pomyślała o tym, że nadeszła wiosna.

Już po raz drugi przyjechała na północ do Edgewood, tym razem po wyboistych, zaniedbanych i opustoszałych drogach. Mijała też punkty kontrolne, na których musiała pokazywać przepustki i wizy. Pięć lat temu, gdy przyjechała tu po raz pierwszy, było to nie do pomyślenia. Wydawało jej się, że jest śledzona, przynajmniej przez połowę drogi, ale nawet jeśli miała ogon, to na pewno zgubiła go w gmatwaninie gruntowych dróg prowadzących z autostrady do Edgewood. Przyjechała sama.

List od Sophie był dziwny, ale nagły. Miała nadzieję, że sprawa jest na tyle pilna, by usprawiedliwić fakt wysłania go (Hawksquill nalegała, żeby kuzynki nigdy nie pisały do niej do stolicy, ponieważ jej poczta z pewnością była kontrolowana) oraz jej przybycia do Edgewood, mimo że wymagało to opuszczenia rządu na dłuższy czas, i to w krytycznym momencie.

– Witaj, Sophie, witaj, Alice – powiedziała Hawksquill, kiedy obie siostry wyszły na werandę. Powitanie było radosne.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Alice. – Gdzie jest Auberon? I George? Prosiłyśmy...

Hawksquill weszła na schody.

– Udałam się pod ten adres – wyjaśniła – i długo pukałam. Miejsce wyglądało na opuszczone.

– Zawsze tak wygląda – wtrąciła Sophie.

– ...i nikt nie otwierał. Zdawało mi się, że słyszę ruch za drzwiami. Wołałam ich, ale ktoś z dziwnym, obcym akcentem odkrzyknął, że wyjechali.

– Wyjechali? – powtórzyła Sophie.

– Wyjechali. Zapytałam dokąd, na jak długo, ale nikt nie odpowiedział. Bałam się tam stać zbyt długo.

– Bałaś się? – Alice była zdziwiona.

– Możemy wejść do domu? – poprosiła Hawksquill. – Wieczór jest piękny, ale trochę siąpi.

Jej kuzynki nawet sobie nie wyobrażały, na jakie niebezpieczeństwo mogły się narazić, pisząc do niej. Wielkie żądze zbliżały się nieustannie do domu, nie wiedząc o jego istnieniu. Miała nadzieję, że nie było potrzeby wszczynać alarmu.

W holu nie paliło się światło, ale tylko przyćmiona świeca, przez co sprawiał on wrażenie obszernego i mrocznego. Hawksquill szła za kuzynkami, najpierw na dół, potem dookoła i na górę przez niesamowite wnętrza domu. Wreszcie znalazły się w dwóch połączonych pokojach, gdzie płonął ogień na kominku, światła były zapalone, a wiele osób z zainteresowaniem i nadzieją oczekiwało jej przybycia.

– To nasza kuzynka – zwróciła się do nich Daily Alice. – Odnaleziona po długim czasie. Ma na imię Ariel. To nasza rodzina – powiedziała do Ariel – znasz ich, i kilkoro przyjaciół. Sądzę więc, że wszyscy są obecni. Wszyscy, którzy mogli przybyć. Pójdę po Smoky’ego.

Sophie podeszła do stolika, na którym paliła się lampa przykryta kloszem z zielonego szkła. Leżały tam również karty. Ariel Hawksquill poczuła, że na ich widok serce bije jej nierównym rytmem. Czyjekolwiek jeszcze losy były lub nie były zapisane w kartach, Hawksquill wiedziała w tym momencie, że jej przeznaczenie na pewno się w nich mieści.

– Witajcie. – Skinęła lekko głową do zgromadzonych. Usiadła na prostym krześle między niezwykle starą damą o jasnych oczach i bliźniętami, chłopcem i dziewczynką, którzy zajmowali wspólnie jeden fotel.

– W jaki sposób jest pani spowinowacona? – zapytała ją Marge Juniper.

– Właściwie nie jestem – odparła Hawksquill. – Ojciec Auberona, który był synem Violet Drinkwater, był też, za sprawą późniejszego małżeństwa, moim dziadkiem.

– Ach tak – powiedziała Marge. – To ta gałąź rodziny.

Hawksquill rzuciła okiem na dwoje dzieci w fotelu, które wpatrywały się w nią z nieśmiałą ciekawością, i uśmiechnęła się do nich. Rzadko widują obcych, pomyślała. Ale Bud i Blossom, ze zdumieniem i przestachem, zobaczyli przed sobą ucieleśnienie tajemniczej i napawającej trwogą postaci, która w śpiewanej przez nich piosence pojawiała się zwykle w decydującej chwili. Dama z torebką ze skóry aligatora.

Nadal na swoim miejscu

Alice wdrapała się szybko na górę, pokonując kolejne stopnie ciemnych schodów ze zręcznością niewidomego człowieka.

– Smoky?! – zawołała, kiedy znalazła się u stóp spiralnych, wąskich schodków wiodących do planetarium. Nie było odpowiedzi, ale w środku paliło się światło. – Smoky?

Nie lubiła tam wchodzić. Wąskie schody i małe drzwi oraz ciasna kopuła, zapchana po brzegi maszyną, działały jej na nerwy. Pomieszczenie nie zostało zaprojektowane z myślą o osobie tak wysokiej jak ona.

– Wszyscy już są – powiedziała. – Możemy zaczynać.

Czekała, poklepując się dla rozgrzewki. Na opuszczonym piętrze panowała okropna wilgoć, a papierowe ściany były pokryte brunatnymi plamami. Smoky powiedział „dobrze”, ale nie słyszała żadnego ruchu.

– George’a i Auberona nie ma – poinformowała go. – Gdzieś wyjechali. – Czekała dalej, ale ponieważ Smoky nie schodził na dół, wspięła się po schodach i wetknęła głowę przez małe drzwi.

Siedział na małym taborecie jak skruszony grzesznik przed obiektem kultu i wpatrywał się uporczywie we wnętrze stalowej skrzynki. Widząc go przed obnażonym mechanizmem,

Alice poczuła się niepewnie, jak intruz naruszający czyjąś prywatność.

– Okay – powiedział Smoky, ale wstał tylko po to, żeby wyjąć stalową kulkę wielkości piłeczki do krykieta z siatki umieszczonej w tyle skrzynki. Włożył ją do miseczki na końcu jednego z dwóch rozwartych, połączonych ramion koła, które znajdowały się w skrzynce. Zwolnił mechanizm i kulka ciężarem pociągnęła ramię w dół. Kiedy się przesunęło, poruszyła się również druga para połączonych ramion. Klak, klak, klak i ramiona przyjęły następną kulkę.

– Widzisz, jak to działa? – powiedział Smoky ze smutkiem.

– Nie.

– Koło przeważające – wyjaśnił. – Te połączone ramiona sterczą sztywno po tej stronie, ale kiedy przesuną się na tę stronę, złącza zawijają się i ramiona otaczają koło. Ta strona koła, po której ramiona sterczą, jest zawsze cięższa i zawsze spada w dół. Więc kiedy włożysz kulkę w miseczkę, koło się obraca i następne ramię trafia na swoje miejsce. A kulka wpada do miseczki tamtego ramienia i ściąga je w dół i znowu koło się obraca, i tak dalej.

Mówił o tym bez uczucia, jakby opowiadał starą jak świat i znaną historię albo wykladał nudny i zbyt często powtarzany temat z gramatyki. Alice przyszło do głowy, że wcale nie jadł obiadu.

– Potem – kontynuował – ciężar kulek, które wpadają do miseczek ramion po tej stronie, przesuwa je na tę stronę i ramiona odginają się, miseczki się odwracają i kulka wypada. – Odwrócił koło ręką, żeby to zademonstrować. – Wraca do siatki i wpada do miseczki ramienia, które właśnie się rozwarło po tej stronie i to znowu ściąga ramiona na dół. I tak to działa bez końca. – Ramię wyrzuciło kulkę, kulka wpadła do miseczki, ramię się rozwarło, klak, klak, klak, koło się obraca. Ramię spada w dół. Koniec cyklu.

– Zdumiewające – powiedziała łagodnie Alice.

Smoky wpatrywał się ponuro w nieruchome koło, założywszy ręce na plecach.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu widziałem – oznajmił.

– Och.

– Ten facet Cloud musiał być najgłupszym wynalazcą, jaki kiedykolwiek... – Nie wiedział, jak dokończyć to zdanie, i pochylił głowę. – To nigdy nie działało, Alice. Ten mechanizm niczego by nie poruszył. Nigdy nie będzie działać.

Przeszła ostrożnie pomiędzy narzędziami i naoliwionymi częściami maszynierii i wzięła go pod ramię.

– Smoky – powiedziała. – Wszyscy już czekają na dole. Ariel Hawksquill przyjechała.

Spojrzał na nią i zaśmiał się ze smutkiem, przejęty swą całkowitą, absurdalną porażką. Nagle skrzywił się i szybko położył dłoń na klatce piersiowej.

– Powinieneś być coś zjeść – stwierdziła Alice.

– Czuję się lepiej, kiedy nic nie jem. Tak sędzę.

– No chodź – ponagliła go Alice. – Na pewno to rozgryziesz. Możesz zapytać Ariel. –

Pocałowała go w czoło i wyszła pierwsza przez małe drzwi. Odetchnęła z ulgą, gdy zaczęła schodzić.

– Alice – zagadnął ją Smoky – czy to już to? Dziś wieczorem?

– Czy to już co?

– To już to, prawda?

Nic nie odpowiedziała, gdy szli przez hol i schodzili na drugie piętro. Trzymała Smoky'ego pod ramię i zastanawiała się, co powinna powiedzieć, ale w końcu (ponieważ nie było już sensu mnożyć zagadek, i tak wiedział zbyt dużo, tak jak i ona) odparła tylko:

– Chyba tak. Już wkrótce.

Dłoń, którą Smoky przyciskał do piersi pod mostkiem, zaczęła mrowić. Powiedział tylko „ojej” i przystanął.

Znajdowali się u szczytu schodów. Smoky widział już słabe światło lamp i słyszał niewyraźne głosy. Nagle wszystko ucichło, a jego głowę wypełnił narastający szum. Wkrótce. Jeśli to już wkrótce, to znaczy, że przegrał. Został daleko w tyle, miał do wykonania pracę, której nawet jeszcze dobrze nie przemyślał, a co dopiero mówić o rozpoczęciu. Przegrał.

Czuł, jakby w jego piersi otwierała się ogromna dziura, większa niż on sam. Ból pulsował na jej obrzeżu i Smoky wiedział, że za chwilę rozprzestrzeni się i wypełni całą tę dziurę. Ale w tej chwili w jego sercu nie było nic oprócz strasznego przecucia i rodzącego się objawienia. Walczyły między sobą o lepsze miejsce w jego pustym sercu. Przecucie było czarne, ale objawienie będzie jasne. Stał jak skamieniały, ponieważ nie mógł złapać tchu, i starał się przezwyciężyć panikę. W dziurze brakowało powietrza do oddychania. Czuł, że toczy się bitwa między przecuciem a objawieniem, i wsłuchiwał się w głośny szum w uszach. Miał wrażenie, że to głos, który mówi: „A widzisz, teraz rozumiesz, nie prosiłeś o to i nie spodziewałeś się, że olśnienie przyjdzie tutaj, na tych ciemnych schodach”. Nagle głos umilkł. Jego serce szarpnęło się jeszcze dziko dwa razy, po czym zaczęło bić równo i gwałtownie, jak gdyby z furją, a znajomy, przynoszący ulgę ból wypełnił piersi. Bitwa była skończona. Mógł oddychać i przezwyciężyć cierpienie.

– Ojej – powiedziała Alice. – Tym razem bolało. – Zobaczył, że trzyma rękę na własnej piersi, a w jej oczach maluje się współczucie. Czuł uścisk jej dłoni na lewym ramieniu.

– O tak – przyznał, gdy odzyskał głos. – Bardzo.

– Przeszło?

– Prawie. – Ból przepłynął przez lewe ramię, zwięzając się w wąską niteczkę biegnącą do palca, na którym nosi się obrączkę. Jednak miał takie uczucie, jakby nie było już na nim obrączki, jakby długo noszony krążek został zdarty siłą, co spowodowało uszkodzenie nerwów i ścięgien.

– Idź sobie – powiedział i ból opuścił palec. – Już dobrze, już dobrze.

– Na pewno? – spytała Alice.

– Przeszło.

Zaczął schodzić w stronę światła salonu. Alice podtrzymywała go, lecz nie czuł się osłabiony. Nie był nawet chory. Wyczytał w starych księgach doktora Fisha i doktora Drinkwatera, że to, na co się skarżał, to nie była nawet choroba, ale tylko pewna dolegliwość związana z wiekiem, na którą cierpią nawet ludzie cieszący się dobrym zdrowiem. Dolegliwość, z którą można żyć. Więc dlaczego odbierał to jak objawienie, które nigdy nie przychodzi i którego potem się nie pamięta? „O tak – powiedział stary Fish – przeczucie śmierci to bardzo pospolite wrażenie przy *angina pectoris*, nie ma się czym martwić”. Ale czy rzeczywiście było to przeczucie śmierci? Czy właśnie tym byłoby objawienie, gdyby kiedyś przyszło?

– To bolesne – rzekła Alice.

– Tak – potwierdził Smoky, śmiejąc się czy raczej sapiąc. – Chyba bym wolał, żeby mi to nie dokuczało. Tak.

– Może to już ostatni raz – powiedziała Alice. Myślała o atakach tak, jakby chodziło o kichanie: jedno potężne kichnięcie może oczyścić system.

– Na pewno nie – odparł spokojnie Smoky. – Myślę, że nie życzymy sobie ostatniego razu.

Zeszli po schodach, trzymając się pod ramię, i wkroczyli do salonu, gdzie czekali na nich goście.

– Już jesteśmy – oznajmiła Alice. – Smoky też.

– Cześć, cześć – powiedział.

Sophie podniosła wzrok znad stolika, a jego córki znad robótki na drutach. Dostrzegł na ich twarzach odbicie swojego bólu. Nadal czuł mrowienie w palcu, ale był ocalony. Długo noszona obrączka znajdowała się jeszcze na swoim miejscu. Dolegliwość, ale przypominająca objawienie. Czy im również sprawia to taki ból jak mnie? – pomyślał po raz pierwszy.

– Zatem zaczynamy – powiedziała Sophie. Spojrzała po twarzach, które otaczały ją kołem: rodziny Drinkwaterów i Barnable’ów, Flowersów, Stone’ów i Woodsów, jej kuzynowie, sąsiedzi, powinowaci. Światło miedzianej lampy stojącej na stoliku sprawiało, że reszta pokoju była niewidoczna dla jej oczu. Czowała się tak, jakby siedziała przy ognisku i patrzyła na zwierzęta przyczajone w ciemności, które miały dzięki jej zaklęciom zyskać świadomość i cel istnienia.

– Miałam gościa – oznajmiła.

III

*Ale jak mogliście oczekiwać, że
będziecie podążać tą ścieżką myśli
samotnie? Jak mogliście oczekiwać, że
zmierzycie księżyc? Nie, moi państwo, nie
spodziewajcie się, że ta ścieżka jest
krótka. Musicie mieć serca lwów, by nią podążać,
nie jest krótka, a jej morza
są głębokie. Będziecie szli nią długo
w zdumieniu, to uśmiechając się, to płacząc.*

Farid al-Din Attar, *Parliament of the Birds*

Zwołanie wszystkich krewnych i znajomych było łatwiejsze, niż Sophie sądziła, chociaż miała trudności z podjęciem ostatecznej decyzji. Tak samo trudne okazało się przedstawienie im tego, co wiedziała, wymagało to bowiem przełamania niemal odwiecznego milczenia, trwającego od tak dawna, że mieszkańcy Edgewood nie pamiętali już nawet, iż zostali do niego zobowiązani przysięgą. Milczenie broniło dostępu do serca wielu historii. Zanim je przełamano, upłynęły ostatnie miesiące zimy. W tym czasie wieści docierały do zasypanych śniegiem farm i odizolowanych domostw, do stolicy i do Miasta. I w końcu ustalono taką datę, która odpowiadała wszystkim.

Czy to daleko stąd?

Kiedy wieści dotarły wreszcie do wszystkich, bez oporów zgodzili się przybyć i co dziwniejsze, wcale nie byli zaskoczeni. Tak jakby od dawna oczekiwali takiego wezwania. I tak też było, chociaż większość z nich nie zdawała sobie z tego sprawy aż do tej chwili.

Kiedy gość Margaret Juniper minął pentagram wytyczony przez pięć miast, porównywany kiedyś przez Jeffa Junipera do pięcioramiennej gwiazdy, która miała wskazać Smoky'emu drogę do Edgewood, niejednen z gospodarzy przebudził się, czując, że ktoś albo coś nadchodzi. Wszyscy odnieśli wrażenie, że spływa na nich długo oczekiwany pokój, z

uczuciem szczęścia poczuli, że ich życie nie skończy się w zwykły sposób, nie skończy się, dopóki nie zostanie wypełniona obietnica lub nie nastąpi coś wielkiego. To tylko wiosna, stwierdzili rano, to tylko nadchodząca wiosna. Świat jest taki, jaki był, nic się nie zmieniło, życie nie przynosi takich niespodzianek. Ale historia Marge była przekazywana od domu do domu, przy czym wzbogacano ją o szczegóły, snuto przypuszczenia i domysły. I kiedy nadeszło wezwanie do Edgewood, ludzie wcale nie byli zaskoczeni – jedynie zdziwieni, że jest to dla nich takie naturalne.

Była to ich sprawa, sprawa tych wszystkich rodzin, z którymi zetknął się August, które uczył Auberon, a potem Smoky, które odwiedzała Sophie w czasie swoich staropanińskich spacerów. Stało się dokładnie tak, jak przewidywała cioteczna babka Nora Cloud: dotyczyło to Drinkwaterów i Barnable'ów. Prawie sto lat temu ich przodkowie osiedlili się na tych ziemiach, ponieważ znali Opowieść albo tych, którzy ją snuli. Niektórzy z nich byli dopiero studentami, a nawet uczniami. Ludzie tacy jak rodzina Flowersów zostali wtajemniczeni albo przynajmniej tak im się zdawało. Wielu z nich było tak zamożnych, że nie musieli pracować. Mogli całymi dniami zgłębiać tajemnicę wśród jaskrów i mleczy, rosnących na farmach, które kupili i które zaniedbali. Ciężkie czasy sprawiły, że poziom życia ich potomków znacznie się obniżył: pracowali jako rzemieślnicy, imali się dorywczych zajęć, zamienili się w farmerów ciułających grosz do grosza, a małżeństwa z dziećmi młeczarzy i prostych robotników, z którymi ich dziadkowie nie zamieniliby słowa, wcale nie należały do rzadkości. Mimo to nadal krążyły wśród nich historie, jakich nie znano nigdzie na świecie. Warunki ich życia pogorszyły się, a oni myśleli, że świat się zestarzał i coraz trudniej na nim żyć, że wszystko jest tak rozpaczliwie pospolite. Ale byli potomkami bardów i bohaterów, a kiedyś panował przecież na ziemi złoty wiek, tętniła ona życiem i była gęsto zaludniona. Pamiętali o tym, czasy współczesne wydawały się bowiem ordynarne i nieciekawe. Wszyscy jako dzieci zasypiali, słuchając opowieści o dawnych wiekach, a potem przekazywali te same historie własnym dzieciom. Wielki dom był zawsze na ich ustach, jego mieszkańcy zdziwiliby się, słysząc, jak dużo wiedzą o nim i o jego dziejach. Często dumali o tych rzeczach, siedząc przy stole i nie mając w tych mrocznych dniach innych rozrywek. I chociaż zniekształcali trochę prawdę, to jednak niczego nie zapomnieli. Kiedy nadeszło wezwanie od Sophie, byli zdziwieni, że wcale ich to nie dziwi. Od razu odłożyli narzędzia, zdjęli fartuchy, zwołali dzieci i zapalili silniki starych aut. Przybyli do Edgewood, gdzie powiedziano im, że pojawiło się zaginione dziecko, że sprawa jest pilna i wkrótce będzie trzeba wyruszyć w podróż.

– Tak więc to jest brama – powiedziała Sophie, dotykając jednej z kart, które przed nią leżały – a to dom.

W salonie panowała niezakłócona cisza.

– To jest rzeka – mówiła dalej – albo coś w tym rodzaju...

– Mów głośniej, kochanie – poprosiła Mamade, która siedziała tuż obok Sophie. – Nikt cię nie słyszy.

– To jest rzeka – Sophie niemal krzyknęła. Zarumieniła się. W ciemnej sypialni, gdy była przy niej cielesna Lilac, wszystko wydawało się... nie, nie łatwiejsze, ale przynajmniej bardziej zrozumiałe. Koniec był znany, lecz miała teraz mówić o sposobach, a to okazało się dość trudne. – I most, albo bród czy też prom, w jakiś sposób trzeba się przedostać. A na drugim brzegu stary człowiek, który nas poprowadzi, on zna drogę.

– Drogę dokąd? – spytał nieśmiało ktoś za jej plecami. Sophie zdawało się, że to głos Bird.

– Do tego miejsca – powiedział ktoś inny. – Nie słuchasz?

– Do tego miejsca, gdzie są oni – wyjaśniła Sophie. – Gdzie ma się zebrać parlament.

– Och, myślałam, że tu jest parlament – powiedział pierwszy głos.

– Nie – odparła Sophie. – Tam będzie.

Znowu zapadło milczenie, a Sophie usiłowała sobie przypomnieć, co jeszcze wie.

– Czy to daleko stąd? – zapytała Marge Juniper. – Niektórzy z nas nie dojdą, jeśli to daleko.

– Nie wiem – odrzekła Sophie. – Nie sądzę, żeby było daleko. Wiem, że czasem wydaje się to daleko, a czasem blisko. Ale na pewno nie będzie to zbyt duża odległość, to znaczy nie aż taka, żeby wszyscy nie mogli dojść. Ale właściwie to nie wiem.

Czekali. Sophie spojrzała na karty i potasowała je. A jeśli było daleko?

Blossom zapytała miękko:

– Czy tam jest pięknie? Musi być pięknie.

Bud zaprotestował:

– O nie! Jest niebezpiecznie. I strasznie. Trzeba walczyć z różnymi rzeczami, prawda, ciociu Sophie?

Ariel Hawksquill popatrzyła na dzieci i na Sophie.

– Czy istotnie? Czy naprawdę trwa wojna? – spytała.

Sophie podniosła głowę i wyciągnęła przed siebie puste dłonie.

– Nie wiem – powiedziała. – Chyba jest wojna, tak mówiła Lilac. Ty sama tak mówiłaś – zwróciła się do Ariel z wyrzutem. – Nie wiem, nie wiem! – Wstała i odwróciła się, żeby widzieć wszystkich. – Wiem tylko, że musimy się tam udać, musimy im pomóc, bo jeśli tego nie zrobimy, zginą. Oni umierają, wiem o tym! Albo odchodzą stąd. I odejdą tak daleko, ukryją się tak, że to będzie jak śmierć, i to wszystko przez nas! Pomyślcie, co by było, gdyby wszyscy nas opuścili.

Myśleli o tym albo przynajmniej próbowali sobie to wyobrazić. Każdy wyciągał inne wnioski, każdy miał inne wizje albo nie miał ich wcale.

– Nie wiem, gdzie to jest – ciągnęła Sophie – ani jak mamy się tam dostać, ani co możemy zrobić, żeby im pomóc i dlatego to właśnie my musimy się tam udać. Ale wiem, że musimy, musimy spróbować! Nieważne nawet, czy tego chcemy, czy nie, rozumiecie? Ponieważ wcale by nas tu nie było, gdybyśmy byli im niepotrzebni, jesteśmy tu tylko ze

względu na nich. Tego też jestem pewna. Gdybyśmy teraz nie poszli, to byłoby tak, jakbyśmy się urodzili, dorośli, pożenili i wychowali dzieci, a potem powiedzieli: „Właściwie zmieniałem zdanie, wolę ich nie mieć”. A przecież nie ma tu osoby, która by tak powiedziała, skoro już je ma. Rozumiecie? Z nimi jest tak samo. Nie moglibyśmy odmówić, gdybyśmy nie byli tymi, którzy mają tam pójść, gdybyśmy nie mieli zamiaru się tam udać.

Spojrzała po zgromadzonych: rodziny Drinkwaterów i Barnable’ów, Birdów, Stone’ów, Flowersów, Woodsów i Wolfów, Charles Wayne i Cherry Lake, Bud i Blossom, Ariel Hawksquill i Marge Juniper, Sonny Noon, stary Phil Flowers i jego dziewczynki i chłopcy, wnuki, prawnuki i praprawnuki Augusta.

Bardzo jej brakowało ciotki Cloud, która powiedziała im o tym wszystkim w sposób prosty i nie wzbudzający sprzeciwu. Daily Alice patrzyła tylko na Sophie, opierając brodę na dłoni, uśmiechała się. Córki Alice spokojnie dziergały, jak gdyby to, co powiedziała ciotka, było jasne jak słońce, chociaż Sophie własne słowa wydawały się stekiem bzdur już w chwili, gdy je wypowiadała. Jej matka mądrze potakiwała, ale być może nie dosłyszała wszystkiego. A na twarzach kuzynów zgromadzonych wokół niej malowały się głupota i mądrość, wesołość i smutek. Jedne były zmienione, inne pozostały niewzruszone.

– Powiedziałam wam wszystko, co wiem – rzekła bezradnie Sophie. – Wszystko, co przekazała mi Lilac: że zostało ich pięćdziesięciu dwóch, że to się stanie na świętego Jana, że tutaj jest brama, zawsze była, a karty stanowią mapę. I powiedziałam wam to, co z nich wyczytałam: o psie i rzece i tak dalej. Teraz musimy pomyśleć, co robić.

Wszyscy zatopili się w myślach, choć wielu z nich nie przywykło do myślenia. Niektórzy, chociaż trzymali dłoń na czole albo spleli ręce, pogubili się w domysłach bądź odplynęli we wspomnienia. Odczuwali dawny ból i zastanawiali się, czy to nie zapowiada tej lub innej podróży. Albo po prostu dumali nad własną naturą, przypominając sobie dawne obawy i stare rady, wspominając miłość i dostatek. Albo też nie robili zupełnie nic.

– To może być łatwe – powiedziała nagle Sophie. – Naprawdę łatwe! Po prostu jeden krok! Albo trudne, być może to nie odbywa się zawsze w ten sam sposób, może z każdym jest inaczej, ale na pewno istnieje jakaś metoda, musi istnieć. Powinniście o tym pomyśleć, każdy z was musi to sobie wyobrazić.

Spróbowali poruszyć wyobraźnię, podnosząc się w krzesłach i krzyżując nogi. Pomyśleli o północy, południu, wschodzie i zachodzie. Pomyśleli o tym, w jaki sposób się tu znaleźli. Przypuszczali, że jeśli znaleźli ścieżkę do tego miejsca, to być może znajdą też dalszy ciąg tej ścieżki. I nagle w tej ciszy, po raz pierwszy w tym roku, usłyszeli znany dźwięk: kukulki gwałtownie wypowiadały jedyne słowo, które znały.

– A więc... – zaczęła Sophie i usiadła. Złożyła karty, tak jakby opowiedziały już całą historię. – Pójdziemy krok po kroku. Mamy na to całą wiosnę. Potem się spotkamy i zobaczymy, co dalej. Nie umiem nic więcej wymyślić.

– Ale Sophie – powiedziała Tacey, odkładając robótkę – jeśli dom jest bramą...

– I jeśli się w nim znajdziemy... – dodała Lily.

– To czy już i tak nie podróżujemy? – dokończyła Lucy.

Sophie spojrzała na siostrzenice. Ich słowa miały głęboki sens, a przy tym zostały wypowiedziane tak zwyczajnie.

– Nie wiem – odparła.

– Sophie – powiedział Smoky od drzwi, przy których stał. Odezwał się po raz pierwszy od początku spotkania. – Mogę ci zadać pewne pytanie?

– Oczywiście.

– Jak wrócimy?

Milczenie, które zapadło, wystarczyło za odpowiedź. Właśnie tego się spodziewał. Wszyscy obecni domyślali się, że tak właśnie będzie. Sophie w milczeniu pochyliła głowę. Nikt nie przerwał ciszy. Wszyscy zrozumieli jej odpowiedź, a w niej dojrzeliby ukryte pytanie, prawdziwe pytanie, które im postawiono, ale którego Sophie nie była w stanie zadać wprost.

W końcu są rodziną, pomyślała Sophie. I jeśli przyszli, to spodziewali się tego, a jeśli nie, to trudno, nie ma nic więcej do dodania. Otworzyła usta, żeby zapytać: „Pójdziecie?”. Ale ich twarze onieśmiały ją, były tak różne i tak znajome. Nie zdobyła się na postawienie tego pytania.

– To chyba wszystko – powiedziała w końcu. Łzy napłynęły jej do oczu, a wpatrzone w nią twarze rozmazały się.

Blossom zeskoczyła z fotela.

– Już wiem – zawołała. – Musimy się wszyscy wziąć za rękę, zrobić kółko, żeby mieć siłę, i powiedzieć: „Zrobimy to!”. – Rozejrzała się wokół siebie: – Zgoda?

Niektórzy się roześmiali, inni zaprotestowali, a Lily przyciągnęła Blossom do siebie i powiedziała, że być może nie każdy tego chce. Jednak dziewczynka, wzięwszy brata za rękę, zaczęła ponaglać swoich kuzynów, ciotki i wujów, żeby zrobili to samo. Unikała tylko damy z torebką ze skóry aligatora. Potem doszła do wniosku, że koło będzie mocniejsze, jeśli skrzyżują swoje ręce i podadzą sobie przeciwne dłonie. Dzięki temu koło byłoby nawet ciaśniejsze. Kiedy jednak udawało jej się połączyć łańcuch dłoni w jednym miejscu, to przerywał się gdzie indziej.

– Nikt mnie nie słucha – skarżyła się ciotce Sophie.

A Sophie patrzyła tylko na siostrzenicę, jakby nic nie słysząc, i zastanawiała się, co by mogło wyrosnąć z Blossom, co wyrosłoby z tych odważnych ludzi, ale nie była w stanie sobie tego wyobrazić. W tym momencie Mamade, która nie dosłyszała ponagrania Blossom, wstała chwiejnie i powiedziała:

– W kuchni jest herbata, kawa i trochę kanapek.

Po jej słowach koło się zupełnie rozerwało. Słysząc było już tylko szuranie odsuwanych krzeseł, po czym wszyscy udali się do kuchni, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Tylko udawała

– Chętnie napiję się kawy – powiedziała Hawksquill do bardzo starej kobiety, która siedziała koło niej.

– Ja też – odparła Marge Juniper. – Tylko że pójście do kuchni to dla mnie zbyt duży wysiłek.

– Może przynieść pani filiżankę? – zaproponowała Hawksquill.

– To bardzo uprzejmie z pani strony – rzekła Marge z ulgą.

Przywiezienie jej tutaj i tak sprawiło duży kłopot wielu osobom i była zadowolona, że może siedzieć na miejscu, na którym ją posadzili.

– Drobiazg – powiedziała Hawksquill. Ruszyła za innymi, ale zatrzymała się przy stoliku do kart. Siedziała tam Sophie, podpierając dłonią policzek i patrząc ze zdziwieniem i smutkiem na talię. – Sophie – zagadnęła ją Hawksquill.

– A jeśli to za daleko – powiedziała tamta. Spojrzała na Hawksquill, a w jej oczach pojawił się nagle strach. – A jeśli się mylę?

– Nie sądzę, żebyś mogła się mylić – uspokoiła ją Hawksquill. – O ile rozumiem, co miałaś na myśli. To bardzo dziwne, wiem, ale nie ma powodu przypuszczać, że się mylisz. – Dotknęła ramienia Sophie. – Właściwie odnoszę wrażenie, że to jest jeszcze nie dość dziwne.

– A Lilac?

– Tak, to było rzeczywiście osobliwe – przyznała Hawksquill. – Tak.

– Ariel, nie spojrzysz w karty? Może coś byś w nich zobaczyła, ten pierwszy krok...

– Nie – odparła, odsuwając się. – Nie, nie powinnam ich dotykać. Nie. – W figurze, którą Sophie przed chwilą ułożyła, teraz pomieszanej, nie było Głupca. – Są teraz zbyt ważne.

– No nie wiem. – Sophie bezmyślnie rozkładała karty. – Sądzę, że doszłam już prawie do końca. Już mi nic nie mówią. Może to dotyczy tylko mnie, ale wydaje mi się, że już niczego w nich nie ma. – Wstała i odeszła od stolika. – Lilac powiedziała, że są przewodnikiem – dodała. – Ale nie wiem. Myślę, że tylko udawała.

– Udawała? – zdziwiła się Hawksquill, idąc za Sophie.

– Żeby podtrzymać nasze zainteresowanie – odparła Sophie. – I nadzieję.

Hawksquill odwróciła się, żeby spojrzeć na talię kart. Nawet leżąc w nieładzie, karty były ze sobą mocno powiązane, jakby trzymały je niewidzialne ręce. Przypominały koło, które próbowała utworzyć Blossom. Koniec... Odwróciła się szybko i skinęła głową starej kobiecie, obok której siedziała. Jednak tamta zdawała się jej nie widzieć.

Marge Juniper istotnie jej nie widziała, ale nie z powodu słabego wzroku czy roztargnienia. Po prostu była pogrążona w myślach. Zastanawiała się, jak dojdzie do tego miejsca i co mogłaby ze sobą zabrać: zasuszoną roślinkę, szal z wyhaftowanymi kwiatami, puderko zawierające kosmyk włosów, kartkę z dnia świętego Walentego, na której czułe słówka już wyblakły i brzmiały nieszczerze. Rozmyślała, jak ma oszczędzać siły do dnia, gdy wyruszy w drogę. Wiedziała, o jakim miejscu mówiła Sophie, pomimo że jej pamięć była już

ostatnio kiepska. Nie przechowywała całej przeszłości, wszystkich momentów, poranków i wieczorów jej długiego życia. Zupełnie jakby plomba została złamana, a jej wspomnienia rozproszyły się na wszystkie strony i pomieszały, przez co nie można ich było odróżnić od chwili obecnej. Z wiekiem pamięć Marge nie panowała już nad wszystkim. Jednak stara kobieta wiedziała dobrze, do jakiego miejsca ma się udać. Do tego samego, do którego przed osiemdziesięcioma paroma laty uciekł August Drinkwater. Do miejsca, w którym ona pozostała, kiedy August odszedł. Do miejsca, gdzie odchodzą nadzieje miłości, kiedy przychodzi starość. Do miejsca, gdzie odchodzi początek, gdy nadciąga koniec i wreszcie sam przemija.

Dzień świętego Jana, pomyślała i próbowała policzyć dni i tygodnie, które jeszcze pozostały. Ale nie pamiętała, jaka jest pora roku i od jakiego dnia należało zacząć odliczanie, więc porzuciła ten zamiar.

W którą stronę?

W jadalni Hawksquill podeszła do Smoky'ego, który stał beczynnie w kącie. Wydawał się zagubiony i pozbawiony zajęcia w swoim własnym domu.

– Jak pan to rozumie, panie Barnable? – spytała.

– Słucham? – Przez chwilę patrzył na nią nieobecny wzrokiem. – Nie rozumiem. Nie rozumiem tego. – Wzruszył ramionami, ale nie był to gest przepraszający, raczej gest człowieka, który chce pokazać, że zajął właśnie takie a nie inne stanowisko w danej sprawie, choć wiele można by na ten temat powiedzieć. Odwrócił wzrok.

– Jak przebiegają prace w planetarium? – zapytała, wiedząc, że nie powinna dłużej rozwijać tamtego tematu. – Czy już udało się panu je uruchomić?

To chyba też nie było właściwe pytanie. Westchnął.

– Nie działa – odparł. – Wszystko jest gotowe, tylko nie działa.

– Na czym polega trudność?

Wetknął dłoń w kieszenie.

– Problem polega na tym, że to jest ruch w kółko...

– No cóż, taki jest też ruch planet – powiedziała Hawksquill – przynajmniej w przybliżeniu.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił Smoky. – Chodzi mi o fakt, że ten mechanizm porusza się sam z siebie. Musi się obracać, żeby się obracać. Ruch okrężny powoduje ruch okrężny. To *perpetuum mobile*, może mi pani wierzyć lub nie.

– To samo dzieje się z planetami – wtrąciła Hawksquill. – Przynajmniej w przybliżeniu.

– Nie rozumiem tylko, jak ktoś taki jak Harvey Cloud mógł wpaść na taki głupi pomysł – powiedział Smoky, nieco podniecony tym tematem, podzwaniając małymi przedmiotami, które miał w kieszeniach: śrubokrętami, uszczelkami i sprężynkami. – *Perpetuum mobile*. Każdy wie... – Spojrzał na Hawksquill. – A tak a propos, jak działa pani planetarium? Co

wprawia je w ruch?

– No cóż – zaczęła Hawksquill, stawiając na tacy dwie filiżanki kawy, które trzymała. – Chyba podobnie jak pańskie. Moje przedstawia trochę inne sklepienie. Uproszczone pod wieloma względami...

– Ale jak działa? – Smoky nie dawał za wygraną. – Proszę mi dać jakąś wskazówkę. – Uśmiechnął się, a Hawksquill pomyślała, że ostatnio niezbyt często miał po temu okazję. Zastanawiała się, jak wyglądało jego życie w tej rodzinie.

– Mogę panu powiedzieć tylko tyle: odnoszę wrażenie, że cokolwiek porusza teraz moje planetarium, zostało ono zaprojektowane tak, aby poruszało się samo z siebie.

– Samo z siebie – powtórzył Smoky z powątpiewaniem.

– Ale nie udało się – ciągnęła Hawksquill. – Może dlatego, że to złe sklepienie. Moje planetarium jest modelem sklepienia, które nigdy nie poruszało się samo z siebie, ale zawsze było napędzane siłą woli aniołów czy bogów. To stary model. Ale pana model jest nowy, newtonowski. Być może więc pańskie planetarium porusza się samo z siebie, bez niczyjego udziału.

Smoky wpatrywał się w nią.

– Jest tam maszyneria, która wygląda jak mechanizm napędowy – powiedział. – Ale sama też wymaga siły napędowej, wymaga popchnięcia. No cóż, kiedy raz się go właściwie ustawi... Gdyby odwzorowywało ruchy gwiazd, byłoby porywające, prawda? Na zawsze. – Dziwny błysk zamigotał w oczach Smoky'ego. Hawksquill uznała to za oznakę cierpienia. Nie powinna była nic mówić. Mała nauczka. Gdyby nie odniosła wrażenia, że Smoky nie bierze udziału w tym wszystkim, co planowały jej kuzynki, a czego Hawksquill nie miała zamiaru popierać, nie powiedziałyby:

– Równie dobrze może działać wstecz, panie Barnable. Napędza i jest napędzane. Gwiazdy mają energię do spożytkowania.

Podniosła filiżanki z kawą, a kiedy wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, wskazała na nie, skinęła głową i odeszła. Na następne pytanie, które by jej zadał, nie mogłaby odpowiedzieć, nie łamiąc przyrzeczeń. Ale chciała mu pomóc. Czuła, że z jakiegoś powodu potrzebny jest jej sprzymierzeniec. Stojąc niezdecydowanie na skrzyżowaniu korytarzy (kiedy wychodziła z jadalni, skręciła w niewłaściwą stronę), widziała, jak Smoky szybko idzie na górę, i miała nadzieję, że jego trud okaże się owocny.

Tylko w którą stronę powinna pójść? Rozejrzała się wokół siebie i skręciła w pierwszy z brzegu korytarz, potem w następny. Kawa stygła.

Kolejny zakręt – skrzyżowanie wielu korytarzy, na którym można było zajrzeć w głąb każdego z nich. Nawet przybytki w jej pamięci nie zachodziły bardziej na siebie, nie miały tylu odgałęzień, tylu miejsc, które okazywały się dwoma miejscami naraz, nie były tak precyzyjnie pogmatwane jak ten dom. Czuła, że pochłania ją to marzenie Johna, ten zamek Violet, wysoki i obszerny. Całkowicie zapanował nad jej umysłem, jak gdyby został

wzniesiony z materii jej pamięci. Zrozumiała teraz z całą jasnością, że jeśli to był właśnie gmach jej pamięci, to wszystkie wnioski okażą się zupełnie inne, całkowicie różne. Przepęniło ją to trwogą.

Siedziała tego wieczoru wśród nich, uśmiechając się i słuchając uprzejmie ich słów, tak jakby uczestniczyła w nabożeństwie wyznawców innej religii, uznana przez pomyłkę za członka kongregacji. Z początku czuła się trochę zakłopotana ich szczerością i wolna od uczuć, które oni dzielili. Ogarniał ją nawet smutek, że jest wykluczona z ich grona, bo zrozumienie rzeczy i zjawisk w taki prosty sposób wydawało się niemal zabawne. A tymczasem dom bez przerwy ich osaczał, tak jak osaczał ją teraz: wielki, ponury i niecierpliw. Dom mówił, że wcale nie jest tak, wcale nie tak. Hawksquill potrafiła wsłuchać się w mowę domu – to była jej najważniejsza umiejętność i wielka sztuka. Dziwiła się tylko, że tak długo była głucha na jego słowa. Dom mówił, że wcale nie oni, nie Drinkwaterowie i nie Barnablebwie, i nie cała reszta, nie oni, którzy rozumieją rzeczy zbyt prosto. Pomyślała, że wspinałe karty, którymi się bawili, znalazły się w ich rękach przez przypadek, jak gdyby ktoś pomylił świętego Graala z filiżankami używanymi na co dzień. To był przypadek o historycznej doniosłości. Ale dom nie wierzył w przypadki. Dom mówił, że znowu wprowadzono ją w błąd, lecz zdarzyło się to już po raz ostatni. Drżała ze strachu i nie chciała uwierzyć, tak jakby siedząc obojętnie w skromnym kościele pomiędzy zwykłymi parafianami śpiewającymi stare psalmy, doświadczyła nagle namacalnie cudu lub łaski. Przecież mogła zostać tak okrutnie oszukana, jej umysł nie mógł znieść tej myśli, to wszystko zaraz okaże się snem i rozpadnie na kawałki, a ona obudzi się w jakimś dziwnym i nowym domu...

Głos Daily Alice, wołającej jej imię, dochodził z nieoczekiwanej strony. Nadal trzymała w dłoniach filiżanki z kawą, które lekko dzwoniły o spodeczki. Wzięła się w garść, zebrała się na odwagę i wymknęła z gmatwaniny wyobraźni, w której utknęła.

– Zostaniesz na noc, prawda Ariel? – spytała Alice. – Sypialnia jest przygotowana...

– Nie – odparła Hawksquill. Zniosła kawę Marge. Kobieta nadal siedziała w tym samym miejscu. Wzięła machinalnie filiżankę, a Hawksquill zdawało się, że Marge płacze, ale może było to tylko starcze łzawienie oczu. – To bardzo miło z twojej strony, ale muszę jechać. Muszę złapać pociąg o północy. Już powinnam tam być, ale udało mi się jakoś wyrwać, żeby najpierw przyjechać tutaj.

– Nie mogłabyś...

– Nie – powiedziała Hawksquill. – To pociąg prezydencki. Na usługach władzy. Prezydent wyrusza w jedną ze swych podróży. Nie wiem, dlaczego zadaje sobie ten trud. Albo go wyśmiewają, albo ignorują. Nadal.

Goście już powoli wychodzili. Wkładali ciężkie płaszcze i czapki. Wielu ociągało się, żeby zamienić parę słów z Sophie. Hawksquill zauważyła, że jakiś stary mężczyzna płacze. Sophie go objęła.

– Więc wszyscy pójdą? – zwróciła się z pytaniem do Alice.

– Chyba – powiedziała Alice. – Większość. Zobaczymy, prawda?

Jej czyste brązowe oczy spoczęły na Hawksquill, przebijała z nich pewność. Hawksquill odwróciła wzrok, bojąc się, że ona również może się rozplakać.

– Moja torba – powiedziała. – Wrócę tylko po nią, a potem muszę już iść. Muszę.

Salon, w którym odbyło się spotkanie, był teraz pusty. Majaczyła w nim tylko ciemna postać staruszki popijającej małymi łykami kawę i przypominającej porcelanową figurynkę. Hawksquill zabrała torebkę. Wtem zauważyła, że karty nadal leżą rozrzucone na stoliku pod lampą. Koniec ich historii. Ale nie jej historii, gdyby tylko mogła cokolwiek zrobić.

Rozejrzała się szybko. Słyszała głosy Alice i Sophie żegnających gości przy drzwiach frontowych. Marge miała zamknięte oczy. Nie namyślając się długo, Hawksquill odwróciła się plecami do staruszki, otworzyła torebkę i wsunęła do niej karty. Końce palców piekły ją jak po dotknięciu lodu. Zamknęła torebkę i odwróciła się do drzwi. Alice stała w salonie, przyglądając się kuzynce.

– A więc do zobaczenia – powiedziała szybko Hawksquill, ale serce jej waliło. Czuła się jak niegrzeczne dziecko, które, obejmowane przez dorosłych, nie może wyładować gniewu.

– Do zobaczenia – odpowiedziała Alice, robiąc jej przejście. – Powodzenia z prezydentem. Wkrótce się zobaczymy.

Hawksquill unikała jej wzroku, wiedząc, że w oczach Alice wyczyta potępienie swojego postępu i coś jeszcze, czego wcale nie pragnęła w nich dojrzeć. Na pewno istnieje jakaś droga ucieczki, musi istnieć, i jeśli rozum nie potrafi jej znaleźć, uczyni to moc. A teraz było już za późno i mogła myśleć jedynie o ucieczce.

Zbyt proste, żeby to powiedzieć

Daily Alice i Sophie patrzyły, jak Hawksquill wsiada pospiesznie do samochodu, jakby ją ktoś gonił, i zapala silnik. Jej samochód wyrwał do przodu jak rumak i przemknął niczym strzała między kamiennymi kolumnami przy bramie, zanurzając się w ciemność i w mgłę.

– Nie zdąży na ten pociąg – zauważyła Alice.

– Myślisz, że się przyłączy? – zapytała Sophie.

– O tak – odparła Alice. – Na pewno.

Weszły do środka i zamknęły drzwi.

– Ale co z Auberonem – powiedziała Sophie. – Z Auberonem i George'em...

– Wszystko w porządku – zapewniła ją siostra.

– Ale...

– Sophie, czy mogłabyś posiedzieć chwilę ze mną? – poprosiła Alice. – Nie idę spać.

Alice była spokojna i uśmiechała się, lecz Sophie słyszała w jej głosie błagalny ton, a nawet jakby strach.

– Pewnie, Alice – powiedziała.

– Może pójdziemy do biblioteki? Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Okay. – Przeszły do wielkiego, ciemnego pokoju. Alice zapaliła lampę i przykręciła knot. We mgle za oknami zdawały się migotać przyćmione światełka, ale nic więcej nie było widać. – Alice – zaczęła Sophie. Alice przebudziła się jakby z zamyślenia i spojrzała na siostrę. – Alice, wiedziałas o tym, co chciałam powiedzieć dziś wieczorem?

– O tak. Prawie o wszystkim.

– Naprawdę? Od jak dawna?

– Nie wiem – powiedziała, siadając powoli w jednym końcu długiej skórzanej kanapy. – Myślę, że w pewnym sensie zawsze wiedziałam, a z czasem stawało się to po prostu bardziej jasne. Tylko czasami... Czasami bywały takie momenty, kiedy było jeszcze bardziej niezrozumiałe. Kiedy nic nie szło tak, jak oczekiwałaś, albo nawet działo się coś wręcz przeciwnego. Takie momenty, kiedy miałaś wrażenie, że wszystko gdzieś odchodzi.

Sophie odwróciła się. Jej siostra mówiła z głębokim namysłem, w jej głosie nie było wymówki. Ale wiedziała, o jakich momentach wspominała Alice, i żałowała, że o tym wie, że nawet przez dzień, przez godzinę mogła zatracić wiarę w pewniki. A wszystko zdarzyło się tak dawno temu!

– Jednak potem – ciągnęła Alice – kiedy rzeczy znowu nabrały sensu, to sprawiały wrażenie bardziej sensownych niż przedtem. I wydawało się zabawne, że kiedykolwiek mogliśmy pomyśleć, iż coś jest nie w porządku, że zostaliśmy oszukani. Czyż tak nie było?

– Nie wiem – odparła Sophie.

– Usiądź koło mnie – poprosiła Alice. – Czy z tobą tak właśnie nie było?

– Nie. – Usiadła obok Alice, a ta otuliła ją i siebie wielobarwnym szalem stanowiącym dzieło Tacey. W pokoju nie było napalone. – Myślę, że z biegiem czasu nie miało to już tyle sensu, co w dzieciństwie.

Tak trudno było o tym mówić po wielu latach milczenia. Kiedyś, dawno temu, gawędziły na ten temat bez końca, nie próbując doszukiwać się sensu i nie dbając o to, mieszając wszystko z własnymi snami i zabawami. Zrozumienie nie sprawiało im trudności, ponieważ nie potrafiły odróżnić tego od własnego pragnienia przygód, cudu, pocieszenia. Nagle wróciło w jej umyśle pewne wspomnienie, tak żywe i wyraźne, jakby rzecz cała działa się teraz. Zobaczyła siebie i Alice nagie, i wuja Auberona gdzieś na skraju lasu. Przez długi czas miejsce wspomnień zajmowały fotografie Auberona, na których zostały uwiecznione z Alice: piękne, blade i spokojne dziewczynki. Kiedy więc jedno z tych wspomnień ożyło w pełni, Sophie aż wstrzymała oddech. Znowu poczuła tamten upał, niezachwianą pewność i zachwyt nad cudem, uczucia, które towarzyszyły jej owego pięknego lata w dzieciństwie.

– Dlaczego – powiedziała – nie mogliśmy tam pójść wtedy, kiedy wiedziałyśmy? Kiedy było to takie proste?

Alice chwyciła jej dłoń ukrytą pod szalem.

– Mogłyśmy – odparła – mogłyśmy w każdej chwili. Ale to Opowieść decyduje, kiedy mamy się tam udać. – Po chwili dodała: – To nie będzie łatwe. – Jej słowa zatrwożyły Sophie,

która mocniej uścisnęła dłoń siostry. – Sophie – ciągnęła Alice. – Mówiłaś o dniu świętego Jana.

– Tak.

– No dobrze. Tylko że ja... muszę się tam udać wcześniej.

Sophie uniosła głowę znad oparcia sofy, nie uwalniając dłoni Alice z uścisku, i zapytała z obawą:

– Co?

– Muszę iść wcześniej – powtórzyła Alice. Spojrzała na siostrę i odwróciła wzrok. Jej spojrzenie powiedziało Sophie, że wyjawiała jej teraz rzecz, o której wiedziała od dawna.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Nie.

– Dziś w nocy, albo nad ranem. To dlatego... To dlatego chciałam, żebyś ze mną posiedziała, bo...

– Ale dlaczego? – spytała Sophie.

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie, Alice, nie, ale...

– W porządku, Sophie – powiedziała Alice, uśmiechając się na widok zaskoczony miny siostry. – Wszyscy mamy się tam udać, tylko że ja pójdę wcześniej. To wszystko.

Sophie wpatrywała się w Alice i nagle zawładnęła nią bardzo dziwna myśl, wypełniając pustkę w jej sercu. Pod wpływem tej myśli aż otworzyła szeroko oczy i usta. Dziwne, przecież słyszała o tym od Lilac, wyczytała to w kartach, powiedziała o wszystkim rodzinie i znajomym, a dopiero teraz w pełni pojęła istotę sprawy.

– Więc idziemy – stwierdziła.

Alice przytaknęła.

– To wszystko prawda – dodała Sophie. Siostra, spokojna i gotowa, przybrała nagle w oczach Sophie rozmiary olbrzyma i przesłoniła sobą cały pokój. – To prawda.

– Tak.

– Och, Alice. – Alice, która tak zogniła, napęła ją strachem. – Ale, Alice, nie możesz. Poczekaj. Nie idź teraz, nie tak od razu...

– Muszę.

– Ale zostawisz mnie... i wszystkich. – Odrzuciła szal i stanęła przed siostrą, błagając: – Nie, nie idź beze mnie, poczekaj!

– Muszę, Sophie, ponieważ... Nie mogę tego powiedzieć, to zbyt dziwne albo zbyt proste, żeby to powiedzieć. Muszę iść, bo jeśli nie pójdę, to nie będzie już dokąd pójść. Nie będzie miejsca dla ciebie i innych.

– Nie rozumiem.

Alice zaśmiała się, ale przypominało to bardziej łkanie.

– Ja też nie. Ale wkrótce...

– Ale całkiem sama – powiedziała Sophie. – Jak możesz?

Alice nic na to nie odrzekła, a Sophie pożałowała swoich ostatnich słów. Odważna! Przepeliła ją ogromna miłość, miłość przypominająca najgłębsze współczucie. Ponownie ujmując dłoń siostry, Sophie usiadła obok niej. Gdzieś w domu zegar wybijał jakąś poranną godzinę, a dźwięki kurantów przenikały ciało Sophie.

– Boisz się? – zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

– Po prostu posiedź ze mną przez chwilę – odparła na to Alice. – Już wkrótce będzie świtać.

Nad ich głowami rozległy się czyjeś szybkie, ciężkie kroki. Obie zadarły głowy. Ktoś zbiegał po schodach. Po chwili odgłos kroków stał się głośniejszy i bardziej gwałtowny. Alice ścisnęła dłoń siostry w sposób, który tylko Sophie rozumiała. To, co Alice chciała wyrazić, wstrząsnęło nią bardziej niż wszystkie słowa, które do tej pory padały z jej ust.

Smoky otworzył drzwi do biblioteki i był zaskoczony, widząc dwie kobiety siedzące na sofie.

– Jeszcze nie śpicie? – powiedział. Z trudem łapał powietrze. Sophie była pewna, że wyczyta prawdę z ich ściągniętych twarzy, ale on niczego nie zauważył. Podeszedł do lampy, podniósł ją i zaczął krążyć po bibliotece, zerkając na ciemne, przeładowane półki.

– Nie wiecie przypadkiem, gdzie mogą być efemerydy?

– Co takiego? – spytała Alice.

– Efemerydy. – Wyciągnął jedną z książek i odstawił z powrotem. – Duża czerwona książka, która opisuje pozycje planet w każdym dniu. No wiecie.

– Zaglądałeś do niej, kiedy patrzyliśmy na gwiazdy?

– Właśnie. – Odwrócił się do nich, nadal trochę posapywał, ale wydawał się niezwykle podniecony. – Nie domyślacie się? – Trzymał lampę w górze. – Nie uwierzycie w to. Sam jeszcze nie mogę uwierzyć. Ale to jedyna rzecz, która ma sens. Jedyna rzecz na tyle zwariowana, żeby mieć sens.

Czekał na to, co powiedzą, i w końcu Alice zapytała:

– Chodzi o planetarium?

– O planetarium. Będzie działać.

– Och – zdziwiła się Alice.

– To nie wszystko, to nie wszystko – Triumfował. – Myślę, że naprawdę będzie działać. Myślę, że miało działać. To takie proste! Nigdy o tym nie pomyślałem. Możecie sobie wyobrazić? Alice, dom nie upadnie. Jeśli planetarium będzie działać, to poruszy wszystko, uruchomi generatory. Będzie prąd! Ogrzewanie!

W świetle lampy, którą trzymał, widziały jego odmienioną twarz. Był tak bliski przekroczenia jakiejś niebezpiecznej granicy, że Sophie zadrżała. Przypuszczała, że nie widzi ich dwóch zbyt dokładnie. Spojrzała na Alice, która nadal ścisnęła mocno jej dłoń, i

pomyślała, że te oczy wypełniłyby się łzami, gdyby mogły. Jednak to nie było możliwe. Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy jej łez...

– To dobrze – powiedziała Alice.

– Dobrze – powtórzył Smoky, podejmując na nowo poszukiwania. – Myślisz, że zwariowałem. Ja też tak myślę. Ale zdaje się, że Harvey Cloud nie był szaleńcem. Być może nie. – Wyciągnął grubą książkę spod sterty innych, które z hukiem upadły na podłogę. – Jest, to ta, to ta – powiedział i nie patrząc już na Alice i Sophie, ruszył do drzwi.

– Smoky, lampa – przypomniała mu Alice.

– Ach, przepraszam. – Niósł ją zupełnie bezmyślnie. Odstawił lampę na stół i uśmiechnął się do nich z taką wielką satysfakcją, że nie mogły nie odpowiedzieć uśmiechem. Niemal biegiem opuścił pokój, dźwigając pod pachą ciężką książkę.

Inna kraina

Po jego wyjściu obie kobiety siedziały przez jakiś czas w milczeniu. W końcu Sophie spytała:

– Nie powiesz mi?

– Nie – odparła Alice. Zaczęła mówić coś jeszcze, może chciała podać przyczynę albo usprawiedliwić się, jednak zrezygnowała z tego, a Sophie nie ośmieliła się już nic więcej dodać.

– Ja właściwie nie odejdę – powiedziała Alice. – Naprawdę nie. To znaczy odejdę, ale nadal tu będę. Zawsze. – Wierzyła w prawdziwość swoich słów. Patrząc na ciemny sufit i na wysokie okna, pomyślała, że to, co ją przyzywało, nawołując z samego serca rzeczy, przyzywałoby ją tak samo w każdym innym miejscu. Nie miała uczucia, że coś traci, tylko czasem jej się tak zdawało, ale to było złudzenie.

– Sophie – powiedziała, a jej głos stał się nagle ochrypy. – Sophie, musisz się nim zaopiekować. Musisz na niego uważać.

– Ale jak to zrobić, Alice?

– Nie wiem, ale musisz. Naprawdę, Sophie. Zrób to dla mnie.

– Oczywiście – odparła Sophie. – Ale niezbyt dobrze mi to wychodzi. Nie jestem opiekunką.

– To nie potrwa długo – dodała Alice. Tego również była pewna, a przynajmniej wierzyła i miała nadzieję, że tak jest. Próbowwała znaleźć w swym wnętrzu tę pewność, znaleźć spokojne zadowolenie, wdzięczność i rozradowanie, które odczuwała, gdy zaczęła pojmować, jakie to wszystko będzie mieć zakończenie. Przeżyła całe wieki jak kurczak w skorupce, ale urosła za duża i w końcu znalazła sposób, żeby rozbić skorupkę. Właśnie miała wyjść na ogromny świat, którego istnienia nawet się nie domyślała. Nie wypróbowała jeszcze skrzydeł, które miały jej ułatwić życie na tym świecie. Czuła przerażenie, ale jednocześnie miała poczucie własnej potęgi. Była pewna, że inni nabiorą w końcu takiej samej pewności, jaką

miała ona, i rozumieją też inne rzeczy, coraz to cudowniejsze. Ale w zimnym, starym pokoju, w ciemnościach wiecznej nocy, nie odczuwała tej ożywiającej nadziei. Pomyślała o Smokym. Bała się. Bała się tak, jakby... – Sophie, czy myślisz, że to śmierć? – zapytała miękko.

Sophie drzemała z głową opartą na ramieniu siostry.

– Hm? – zamruczała.

– Czy myślisz, że to jest w gruncie rzeczy śmierć?

– Nie wiem – odparła Sophie. Czowała, że Alice drży. – Chyba nie, ale nie wiem.

– Ja też myślę, że to nie jest śmierć – powiedziała Alice. – Ale jeśli tak, to nie jest to takie, jak myślałam...

– Chodzi ci o śmierć czy o miejsce?

– Jedno i drugie. – Owinęła trochę mocniej szalem siebie i siostrę. – Smoky opowiadał mi kiedyś o takim miejscu w Indiach czy w Chinach, gdzie przed wiekami dawali skazanym na śmierć narkotyk, który działał podobnie jak środek nasenny. Tylko że to była trucizna o bardzo powolnym działaniu. Najpierw taki skazaniec zasypia, głęboko zasypia i ma bardzo żywe sny. Śni przez długi czas, zapomina nawet, że to sen. Śpi przez wiele dni. Śni mu się, że podróżuje czy coś w tym rodzaju. I w pewnym momencie umiera podczas tego snu. Narkotyk działa tak łagodnie, że człowiek śpi mocno i nawet nie zauważa, kiedy umiera. Nie wie, że umarł. Może sen się zmienia, ale on nawet nie wie, że to sen. Po prostu tak jakby dalej śnił. Myśli tylko, że znalazł się w innej krainie.

– To okropne – stwierdziła Sophie.

– Smoky powiedział, że nie za bardzo w to wierzy.

– Nie. To nie może być prawda.

– Powiedział, że jeśli narkotyk miał w końcu doprowadzić do śmierci, to skąd ludzie wiedzieli, jakie właściwie jest jego działanie.

– Och.

– Myślałam, że może to się odbędzie w podobny sposób.

– Nie, Alice, to straszne, nie.

Ale Alice nie wydawało się to straszne. Sądziła, że jeśli ktoś został skazany na śmierć, to wędrówka do jakiejś innej krainy wcale nie jest najgorszym rozwiązaniem. Przeczuwała coś, czego nie przeczuwał nikt inny, i nawet Sophie nie była tego świadoma: miejsce, do którego ich wezwano, nie jest prawdziwe. Gdy dorastała, wydawało jej się, iż żadne miejsce nie istnieje w oderwaniu od jego mieszkańców. Im mniej ich było, tym mniejsza była ta kraina. I jeśli teraz mieli odbyć podróż do tej krainy, to każdy emigrant będzie musiał stworzyć miejsce, do którego się udaje, stworzyć je z samego siebie. A ona, jako pionier, będzie również musiała zbudować ład z własnej śmierci, czy z tego, co w tej chwili zdawało jej się podobne do śmierci, ład, do którego przybędą pozostali. Stanie się tak ogromna, żeby mogła zamknąć w sobie cały świat, albo cały wielki świat skurczy się na tyle, żeby zmieścić się w jej

piersi.

Smoky oczywiście w to nie uwierzy. W każdym razie będzie mu trudno. Wszystko teraz wydawało mu się bardzo trudne. Jakkolwiek znosił to cierpliwie i nauczył się z tym żyć, nigdy nie było mu łatwo. Czy przyjdzie? Była pewna wielu spraw, ale nie tego. Już dawno zrozumiała, że to samo, dzięki czemu Smoky ją zdobył, może teraz stać się przyczyną tego, iż go utraci. Chodziło o jej rolę w Opowieści. Ta umowa nadal obowiązywała. Miała wrażenie, że Smoky znajduje się na końcu długiego i cienkiego sznura, który może pęknąć, jeśli któreś z nich go pociągnie, albo wysliznąć się z jej lub jego dłoni. Odejdzie teraz bez pożegnania, żeby się ludzić, iż nie odchodzi na dobre.

Smoky, pomyślała, śmierć. I przez długi czas nie mogła myśleć o niczym innym. Życzyła sobie tylko, choć nie wyraziła tego na głos, żeby to rozwiązanie nie okazało się jedynym możliwym rozwiązaniem, jedynym, jakie ta historia musi mieć czy kiedykolwiek miała.

– Będziesz na niego uważać, Sophie – wyszeptwała. – Musisz dopilnować, żeby przyszedł. Musisz.

Ale Sophie z szalem podciągniętym pod brodę znowu spała. Alice rozejrzała się wokół siebie, tak jakby dopiero co się przebudziła. Za oknami jaśniał błękitny blask. Noc dobiegała końca. Jak ktoś odzyskujący przytomność bez bólu, ogarnęła jedną myślą cały świat, ten brzask i swoją przyszłość. Potem wstała, uwolniwszy się z uścisku śpiącej siostry. Sophie właśnie o tym śniła i prawie się obudziła, wypowiadając słowa: jestem gotowa, idę. Zamruczała coś jeszcze bez sensu i westchnęła. Znowu rozległ się odgłos nadchodzących kroków. Alice otuliła Sophie szalem, ucałowała ją w czoło i zgasła żółty płomień lampy. Błękit świtu wypełnił pokój. Było później, niż myślała. Wyszła na korytarz. Smoky zbiegał po schodach w stronę podestu.

– Alice! – zawołał.

– Ciszej – powiedziała. – Obudzisz cały dom.

– Alice, to działa. – Chwycił się poręczy na zakręcie schodów, jak gdyby bał się, że lada moment upadnie. – To działa, musisz przyjść zobaczyć.

– Tak?

– Chodź, Alice, chodź zobaczyć! Wszystko w porządku. Działa, obraca się. Słuchaj! – Wskazał w górę.

Z oddali dobiegał cichy szum, ledwie słyszalny wśród odgłosów świtu i śpiewu budzących się ptaków. Przypominał przesuwanie się wielkich kół zębatych, metaliczne tykanie ogromnego zegara, w którego wnętrzu mieścił się cały dom.

– Działa?

– Wszystko w porządku, nie musimy nigdzie odchodzić! – Przerwał, żeby wsłuchać się w odległy szum i stukot. – Dom się nie rozpadnie na kawałki. Będzie prąd i ogrzewanie. Nie musimy nigdzie iść!

Stała u stóp schodów i patrzyła na niego, zadzierając głowę.

- Czy to nie wspaniale? – powiedział.
- Wspaniale – powtórzyła.
- Chodź zobaczyć. – Już wchodził na górę.
- Dobrze, za minutę przyjdę – odparła.
- Pospiesz się. – Pędził już po schodach.
- Smoky, nie tak szybko – przestrzegła go.

Słyszała jego oddalające się kroki. Podeszła do lustra w holu, zdjęła z wieszaka swój ciężki płaszcz i otuliła się nim. Spojrzała raz jeszcze na swoje odbicie w lustrze. W ostrym świetle poranka wyglądała staro. Podeszła do wielkich drzwi i przekręciwszy gałkę, otworzyła je.

Ranek obejmował we władanie cały świat i zimnymi podmuchami wdzierał się do domu. Stała długo w otwartych drzwiach, myśląc: tylko jeden krok. Jeden krok, który będzie się wydawał krokiem w nicość. Jeden krok w stronę tęczy, krok, który zrobiła właściwie już dawno, którego nie mogła nie zrobić, każdy kolejny przybliżał tylko obecny moment. Postąpiła do przodu. Po trawniku, zatopionym w porannej mgle, biegł w jej stronę mały piesek, podskakując i radośnie szczekając.

IV

Itur in antiquam silvam, stabula alta terrarum.

Eneida, Księga VI

Kiedy Daily Alice stała zamyślona na progu domu, Sophie spała, a Hawksquill sunęła po spowitych we mgle wiejskich drogach, żeby zdążyć na pociąg na północnej stacji, Auberon i George Mouse siedzieli przy małym ognisku, zastanawiając się, dokąd też powiodł ich Fred Savage. Nie byli jednak w stanie przypomnieć sobie, w jaki sposób tutaj trafili.

Zmiany

Wyruszyli jakiś czas temu, ale przygotowania rozpoczęli dużo wcześniej. Przejrzeli stare pudła i szuflady George'a, żeby się odpowiednio wyposażyć, choć nie mieli pojęcia, na jakie trudności bądź niebezpieczeństwa mogą natrafić. Pakowanie odbywało się w dość przypadkowy sposób. George powyciągał skądś stare swetry, miękkie plecaki, włóczkowe czapeczki i kalosze.

– Już dawno tego nie nosiłem – powiedział Fred, naciągając na potargane włosy czapkę.

– Na co to wszystko? – dziwił się Auberon, stojąc na uboczu z rękami w kieszeniach.

– Lepiej się zabezpieczyć zawczasu niż potem żałować – stwierdził George. – Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– To tutaj i tak ci nie pomoże – powiedział Fred, trzymając ogromne poncho.

– To głupie – powiedział Auberon.

– Okay, okay. – George wymachiwał ze złością dużym pistoletem, który właśnie znalazł w kufrze. – Okay, ty decydujesz, panie wszystkowiedzący. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem. – Zatknał pistolet za pasek, ale zmienił zdanie i wrzucił broń z powrotem do kufra. – A co powiesz o tym? – Wyjął scyzoryk o dwudziestu ostrzach, służący niemal do wszystkiego. – Boże, nie pamiętam, kiedy go ostatni raz widziałem.

– Niezły – powiedział Fred, podważając korkociąg żółtym paznokciem. – Bardzo ładny. Poręczny.

Auberon przyglądał się tylko, trzymając ręce w kieszeniach, ale nie robił już żadnych

uwag. Po chwili przestał nawet patrzeć. Odkąd Lilac pojawiła się na Starej Farmie, życie na tym świecie było dla niego coraz trudniejsze. Uczestniczył tylko w poszczególnych scenach, nie mających ze sobą żadnego powiązania, jak pokoje w domu, którego rozkładu nie potrafił ani nawet nie chciał zapamiętać. Czasem podejrzewał, że to pierwsze oznaki szaleństwa, i chociaż ta myśl sama w sobie wydawała się rozsądna, a przy tym stanowiła przekonujące wyjaśnienie, to jednak wcale nie odczuwał przerażenia. Oczywiście, natura rzeczy i zjawisk zmieniła się nagle ogromnie, ale nie potrafił dokładnie określić, na czym polegała ta różnica. Każdy pojedynczy element wydawał się nie zmieniony, taki sam jak kiedyś, a jednak na pewno istniały jakieś różnice. „Takie same, ale inne” – mawiał często jego kuzyn o rzeczach, które były bardziej lub mniej do siebie podobne. Ale dla Auberona to wyrażenie oznaczało jedną jedyną rzecz, która została w jakiś sposób – i prawdopodobnie nieodwracalnie – bardziej lub mniej odmieniona.

– Takie samo, ale inne.

Prawdopodobnie jednak (nie był tego pewien, ale wydawało się to prawdopodobne) zmiana nie nastąpiła wcale w gwałtowny sposób, tylko on zaczął ją nagle zauważać. Doznał olśnienia, to wszystko. Stało się to dla niego jasne. I ze słabym przeblyskiem zrozumienia przewidział moment, gdy nie będzie już dostrzegał zmian, ani pamiętał, że kiedyś rzeczy były czy raczej nie były inne. Przeczuł, że nadejdzie chwila, kiedy zmiany będą następować jedna po drugiej, zgodnie z własnym porządkiem, a on wcale nie będzie niczego zauważał. Już teraz zaczynał zapominać, że jego wspomnienia o Sylvie, które dotychczas były bardziej trwałe i niezmiennie niż wszystko to, co posiadał, odmieniły się tak, jakby spustoszył je gwałtowny front atmosferyczny. A kiedy przywoływał je teraz, zdawały się zamieniać w jesienne liście koloru czystego złota, w wilgotną ziemię, skorupki ślimaków, w ślady stóp faunów.

– Co? – zapytał.

– Weź to – powiedział George i wręczył mu nóż, na którego pochwie widniały nieco starte litery, tworzące napis „Ausable Chasm”. Auberonowi nic to nie mówiło, ale wsunął nóż za pasek, nie wiedząc w tym momencie, dlaczego miałby tego nie zrobić.

Oczywiście, to przesuwanie się przez coś, co przypominało kolejne rozdziały powieści, pomogło mu uporać się z trudnym zadaniem, jakie przed nim stało: musiał zakończyć historię zatytułowaną *Inny świat* (sądził kiedyś, że nigdy nie nadejdzie ta chwila), zakończyć opowieść, która ze swej natury była prawie niemożliwa do zakończenia! A jednak wystarczyło tylko zasiąść przy zupełnie zdezelowanej maszynie do pisania (tak wiele wycierpiała), żeby finałowe odcinki zaczęły rozwijać się bez trudu, tak sprytnie i niesamowicie jak niemający końca łańcuch szali, które wyłaniają się z pustego rękawa iluzjonisty. Jaki może być finał opowieści, która niosła obietnicę nieskończoności? Taki sam jak zmienność świata, który pod każdym względem nadal pozostaje niezmienny. Taki sam jak obrazek przedstawiający kielich – gdy na niego długo patrzeć, przybiera kształt dwóch twarzy zwróconych do siebie.

Wypełnił obietnicę, że to się nie skończy: i taki był koniec. To wszystko.

Nie pamiętał później, jak tego dokonał, jakie sceny wyszły spod dwudziestu sześciu głównych i kilku pomocniczych klawiszy maszyny, jakie słowa zostały wypowiedziane, kto umarł, a kto się urodził. To były tylko wizje człowieka, któremu się śni, że jest pogrążony we śnie, wymyślone obrazy, pozbawione treści sprawy osadzone w świecie, który sam stawał się pozbawiony treści. Czy kiedykolwiek te sceny zostaną wykorzystane, jaki skutek mogą wyrzucić tam, jeśli zostaną wyprodukowane, jaki urok rzucić, jaki odwrócić – nie potrafił sobie wyobrazić. Wysłał tylko Freda z ostatnimi stronami i pomyślał, śmiejąc się w duchu, o tym kluczowym ostatnim zdaniu, o szkolnej sztuczce, za pomocą której chciał uprawdopodobnić swoje dzikie fantazje. Bez tego zakończenia wydawałyby się one pozbawione sensu. Zdanie to brzmiało: wtedy się obudził.

Wtedy się obudził.

Tych kilka słów określało jego stosunek do świata.

Wszyscy trzej: Auberon, George i Fred, ubrani w wysokie buty i uzbrojeni, stali u wejścia do metra. Ten zimny wiosenny poranek przypominał łóżko ze wzburzoną pościelą, w którym spał jeszcze świat.

– Do centrum? Za miasto? – spytał George.

Patrz pod nogi

Auberon zaproponował, żeby skorzystali z innych bram, to jest z tego, co według niego mogło stanowić bramy. Miał na myśli pawilon czterech pór roku w parku, do którego klucz spoczywał w jego kieszeni, budynek w centrum, który był ostatnim miejscem przeznaczenia Sylvie, krzyżowe sklepienie w podziemnych przejściach Terminusa na skrzyżowaniu czterech korytarzy. Ale to Fred prowadził wyprawę.

– Prom – powiedział. – Jeśli mamy płynąć promem, to musimy poszukać rzeki. Więc odpada Bronx i Harlem, Kills i Spuyten Duyvil, bo jest jak ocean, nie idziemy tak daleko na północ jak Saw Mill, omijamy East i Hudson, bo tam są mosty. I tak została kupa rzek, ale innych, płyną pod ziemią, nie widać ich. Nad nimi są ulice i domy, i interesy. To są tylko małe strugi, strumyczki. Drażą skały, sączą się, nazywacie to wodą gruntową. Ale są, więc wpierw musimy znaleźć rzekę, a potem ją przekroczyć. A jeśli prawie wszystkie są pod ziemią, to musimy tam pójść.

– Okay – zgodził się George.

– Okay – powiedział Auberon.

– Patrzcie pod nogi – polecił Fred.

Stąpali uważnie po schodach, jakby znajdowali się w nieznanym miejscu, chociaż wszyscy trzej byli tu wiele razy. Schodzili tylko do metra, którego korytarze i zakamarki przypominały jaskinie i nory, a zwariowane drogowskazy ustawiono tak dziwnie, że stanowiły niewielką pomoc dla zagubionych; do metra, gdzie płynęły strugi atramentowej

wody i rozlegało się odległe dudnienie.

Auberon przystanął w połowie schodów.

– Zaraz – powiedział. – Poczekajcie.

– Co jest? – spytał George, rozglądając się szybko.

– To bez sensu – stwierdził Auberon. – Coś tu nie gra.

Fred szedł przed siebie, skręcał już za narożnik, kiwając na nich. George stał pomiędzy nimi niezdecydowany, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Chodźmy, chodźmy – popędzał.

To będzie trudne, bardzo trudne, pomyślał Auberon, niechętnie ruszając za kuzynem. Trudniejsze do zniesienia niż wewnętrzna pustka i poczucie klęski w czasach pijaństwa.

A jednak nauczył się wtedy wiele. Nauczył się, jak tracić nad sobą panowanie, jak nie przejmować się wstydem ani tym, że robi z siebie widowisko, jak nie kwestionować istniejących okoliczności albo przynajmniej nie dziwić się, kiedy nie mógł znaleźć odpowiedzi na zadawane pytania. Te umiejętności były wszystkim, co teraz posiadał, i tylko one mogły stanowić jego osobisty wkład do tej wyprawy. Mimo to wątpił, czy dotrwa do końca. Ale gdyby ich wcale nie posiadał, nie byłby nawet w stanie wyruszyć w drogę.

– Poczekajcie – powiedział, kierując się za tamtymi do głębiej położonych korytarzy. – Poczekajcie.

A jeśli ten straszny okres pijaństwa w jego życiu służył tylko temu, żeby teraz mógł przetrwać jakoś te burzliwe zmiany i znaleźć drogę przez ciemny las? Może to był tylko trening?

Nie. To przez Sylvie wkroczył na tę ścieżkę, a raczej sprawiło to jej zniknięcie.

Zniknięcie Sylvie. A jeśli jej odejście, jeśli sama jej obecność w jego życiu, Boże, jeśli jej miłość do niego i jej uroda były tylko elementami intrygi, uknutej po to, żeby go wpędzić w pijaństwo, żeby nauczyć go odnajdywania ścieżek, żeby zamknąć go na całe lata w czterech ścianach Starej Farmy, kazać mu czekać na wieści, chociaż nie wiedział nawet, że czeka, czekać na przybycie Lilac, na jej obietnice albo kłamstwa, które miały poruszyć jego wypalone serce i na nowo wzniecić w nim płomień? Co wtedy? A może mieli jeszcze jakiś inny cel, niezwiązany ani z nim, ani nawet z Sylvie?

Dobrze. Przypuśćmy, że ma się odbyć zgromadzenie parlamentu, przypuśćmy, że to nie były kłamstwa i że w jakimś miejscu spotka się z nimi twarzą w twarz. Chciał im zadać wiele pytań i otrzymać wyczerpujące odpowiedzi. Jeśli już o tym mowa, to niech tylko znajdzie Sylvie, a spyta ją od razu, jaką odegrała w tym wszystkim rolę. Zada jej naprawdę trudne pytanie. Niech tylko ją znajdzie. Niech ją tylko znajdzie.

Kiedy o tym pomyślał, schodząc z ostatniego stopnia zdezelowanych schodów, dostrzegł dziewczynę o blond włosach, ubraną w niebieską suknię. Stanowiła jasną plamę w ciemnościach.

Spojrzała za siebie i (widząc, że ją zobaczył) odwróciła stojak, na którym zawieszono

tabliczkę: „Proszę trzymać kapelusze”.

– Myślę, że to ta droga – zawołał George. W chwili gdy mieli zejść jeszcze niżej, pociąg przetoczył się z hukiem koło nich. Wiatr poderwał im kapelusze, ale ręce były szybsze. – W porządku? – zapytał George, przytrzymując dłonią nakrycie głowy i przekrzykując dudnienie metra.

– No – przytaknął Fred, również trzymając nakrycie głowy. – Właśnie miałem to powiedzieć.

Zaczęli schodzić niżej. Auberon podążył za nimi. Obietnice czy kłamstwa, i tak nie miał wyboru, i na pewno przez cały czas dobrze o tym wiedzieli. Bo czyż to nie oni właśnie obłożyli go klątwą? Zrozumiał teraz z przerażającą jasnością, że poszczególne elementy jego życia łączyły się w logiczny łańcuch, nic nie było zbędne, nawet ta wędrówka przez cuchnące podziemne korytarze i te schody prowadzące na dół. Wszystko wiązało się w całość, prawda ta chwyciła go za gardło, wstrząsała nim, wstrząsała, wstrząsała, aż się ocknął.

Fred Savage wrócił z lasu z chrustem na podpałkę.

– Ale tam tłoczno – powiedział z zadowoleniem, kiedy wrzucał gałązki do ognia. – Okropny ścisk.

– Naprawdę? – powiedział George, nieco zatrwożony. – Może dzikie zwierzęta?

– Może – mruknął Fred. Jego białe zęby błysnęły w ciemności.

W czapce i poncho wyglądał staromodnie, przypominał bezkształtnego garbusa, mądrą, napęczniałą od wody ropuchę. George i Auberon przysunęli się nieco bliżej do słabego ognia i nadstawili uszu, usiłując jednocześnie przeniknąć wzrokiem gęsty mrok.

Sprawa rodzinna

Znajdowali się ciągle na skraju lasu, kiedy złapała ich noc. Fred zarządził postój. Nadal byli w pobliżu brzegu rzeki, do którego przybił prom. Już na tym starym, szarym, stukającym i trzeszczącym promie, który wolno pokonywał przestrzeń między jednym a drugim brzegiem rzeki, obserwowali, jak czerwone słońce kryje się za wielkimi, ciągle jeszcze bezlistnymi drzewami, jak rozpada się na szkarłatne kawałeczki, roztapia w leśnym poszyciu i w końcu ginie. Krajobraz oblany czerwonym światłem sprawiał dziwne i przerażające wrażenie, jednak George powiedział:

– Chyba już tu kiedyś byłem.

– Tak? – zdziwił się Auberon. Stali razem na dziobie, podczas gdy Fred siedział po turecku na rufie i zagadywał przewoźnika. Ten jednak wcale nie reagował.

– No, może tak naprawdę nie byłem – dorzucił George

– ale coś w tym rodzaju. – Chyba ktoś mu naopowiadał o swoich przygodach na tej łodzi i w tych lasach, ale nie pamiętał kto. Boże, jego pamięć stała się ostatnio dziurawa jak sito.- Nie wiem – powiedział i spojrzał ze zdziwieniem na Auberona. – Nie wiem. Tylko... – Przytrzymując kapelusz, obejrzał się na brzeg, który opuścili, a potem na ten, do którego się

zbliżali.- Tylko wydaje mi się... Czy nie pomyliliśmy czasem drogi?

– Nie mam pojęcia – odparł Auberon.

– Nie. Niemożliwe... – A jednak nie opuszczało go wrażenie, że cofali się zamiast podążać do przodu. Pomyślał, że to pewnie podobne uczucie dezorientacji jak to, którego nieraz doświadczał po wyjściu z korytarzy metra na niezbyt dobrze znany teren. Wszystko w jego umyśle było wtedy na opak i nie mógł tego doprowadzić do ładu, nawet znaki drogowe i pozycja słońca wprowadzały go w błąd, jak gdyby widział świat w lustrzanym odbiciu. – Tak – powiedział i wzdrygnął się. Ale jego słowa pobudziły pamięć Auberona. On również przypomniawszy sobie ten prom, w każdym razie musiał o nim słyszeć. Dobijali do brzegu. Przewoźnik wziął długi bosak i ruszył na dziób, żeby zacumować. Auberon wpatrywał się w jego łysą głowę i siwą brodę, ale on nie zwracał na niego uwagi.

– Czy kiedyś – zaczął Auberon – miał pan... – Nie wiedział, jak sformułować pytanie. – Czy pracowała kiedyś u pana dziewczyna, ciemnoskóra dziewczyna? Jakiś czas temu?

Przewoźnik ciągnął linę promu długimi, silnymi rękoma. Spojrzał na Auberona oczyma tak niebieskimi i mętными jak niebo.

– Miała na imię Sylvie – dorzucił Auberon.

– Sylvie? – powtórzył przewoźnik.

Prom przybił z jękiem do brzegu i zatrzymał się. Przewoźnik wyciągnął odwróconą dłoń, a George położył na niej błyszczącą monetę, którą przygotował wcześniej.

– Sylvie – powiedział George, gdy siedzieli przy ognisku. Podkurczył kolana i otoczył je rękoma. – Nie myślałeś kiedyś... – ciągnął – bo ja sobie tak pomyślałem, że to jakby sprawa rodzinna?

– Sprawa rodzinna?

– No, to wszystko – mówił niejasno George. – Pomyślałem, że tylko rodzina jest w to zamieszana, przez Violet.

– Też tak myślałem – przyznał Auberon. – Ale co z Sylvie?

– Tak, właśnie o to mi chodzi.

– Ta cała historia z Sylvie może być kłamstwem – stwierdził Auberon.

– Oni powiedzą wszystko. Cokolwiek.

George wpatrywał się w ogień, a po chwili powiedział:

– Hm. Muszę ci coś wyznać.

– Co takiego?

– Możliwe, że Sylvie należy do rodziny. Nie jestem pewien, ale... Dawno temu, jakieś dwadzieścia pięć lat wstecz, może więcej, znałem pewną kobietę, Portorykankę. Była bardzo uwodzicielska. Zupełnie szalona. Ale piękna. – Zaśmiał się. – Gorący numerek. To najwłaściwsze określenie. Wynajmowała pokój, mały pokój, wtedy jeszcze nie było farmy. Prawdę mówiąc, wynajmowała składaną sypialnię.

– Coś podobnego – wtrącił Auberon.

– Ależ to była kobieta! Przyszedłem do niej kiedyś, akurat zmywała naczynia i miała na nogach wysokie obcasy. Zmywała naczynia w czerwonych butach na wysokich obcasach! Nie wiem, chyba wtedy mnie wzięło.

– Hm – mruknął Auberon.

– No tak – westchnął George. – Miała gdzieś dwoje dzieci. Myślałem, że jak tylko zajdzie w ciążę, to się tego pozbędzie. Po cichu. Byłem ostrożny. Ale...

– Rany, George.

– I chyba się wściekła, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem dlaczego. Nigdy mi nie powiedziała. Po prostu wróciła do Puerto Rico. Nigdy jej już nie widziałem.

– No i?

– No i – odchrząknął – Sylvie była do niej bardzo podobna. I znalazła farmę. Po prostu kiedyś się pojawiła. I nigdy nie powiedziała jak.

– Rany boskie – powiedział Auberon, kiedy dotarła do niego cała prawda. – Rany boskie, nie zmyślasz? Ale czy ona...

– Nie. Nic nie powiedziała. Imię się zgadzało, ale nie było w tym nic dziwnego. Jej matka odeszła, Sylvie powiedziała, że umarła, zresztą nigdy więcej jej nie spotkałem.

– Ale oczywiście nie wiedziałeś...

– Prawdę mówiąc – odparł George – nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem.

Auberon, zdumiony, siedział przez chwilę w milczeniu. A więc ona należała do intrygi. Była jedną z nich.

– Ciekawe, co ona... – powiedział. – Ciekawe, co myślała.

– Tak. Tak, to dobre pytanie. Cholernie dobre pytanie.

– Mawiała zwykle, że przypominałaś jej...

– Wiem, co mówiła.

– Boże, George, więc jak mogłeś...

– Nie byłem pewny. Skąd miałem mieć pewność? Wszyscy Latynosi są trochę podobni, w tym samym typie.

– Naprawdę masz do tego słabość, no nie? – powiedział Auberon ze zgrozą. – Naprawdę jesteś...

– Daj mi spokój. Nie byłem pewny. Myślałem, że to niemożliwe, do diabła.

– No tak. – Obaj kuzyni zapatrzyli się w ogień. – To wiele wyjaśnia – stwierdził Auberon.

– Jeśli należy do rodziny...

– Tak też myślałem – przytaknął George.

– Tak? – odezwał się Fred Savage, a oni spojrzeli na niego zaskoczeni. – To co, do diabła, ja tu robię?

Patrzył to na jednego, to na drugiego, szczerząc zęby. W jego tępych, ruchliwych oczkach malowało się rozbawienie.

– No i co? – powiedział.

- No... – zaczął George.
- No... – podjął Auberon.
- Widzicie? Co ja tu, do diabła, robię?

Pozótkle oczy Freda otwierały się i zamykały, podobnie jak wiele par żółtych oczu, skrytych w lasach, które rozpościerały się za jego plecami. Kiwał głową ze zdziwieniem, ale nie był wcale zdziwiony. Nigdy nie był poważny, gdy zadawał takie pytanie: na przykład, co robi tu, gdzie akurat jest. Zadawał je tylko wtedy, gdy sprawiało mu radość obserwowanie, jak inni zastanawiają się nad tym z konsternacją. Konsternacja i rozmyślanie, a w istocie myśl sama, były dla niego tylko widowiskiem. Niełatwo wprowadzić w zakłopotanie człowieka niedostrzegającego już od dawna różnic pomiędzy światem, w którym się pogrąża, zamykając oczy, a tym, na który codziennie patrzy. Fred nie zastanawiał się, w jakim miejscu się znaleźli. Nie tonął w domysłach, czy kiedykolwiek przebywał gdzie indziej.

– Dręczycie się – powiedział miękko i uprzejmie do swoich dwóch przyjaciół. – Dręczycie się.

Przez chwilę czuwał albo spał, a może robił obie te rzeczy jednocześnie lub nie robił żadnej z nich. Noc minęła. Zobaczył ścieżkę... Bładym świtem, gdy ptaki się przebudziły, a ogień zgasł, dojrzał ją między drzewami. Obudził George'a i Auberona, którzy spali skuleni obok siebie, i brązowym, kościstym paluchem, pokrytym odwiecznym brudem, wskazał im drogę.

Zegarek i fajka

George Mouse rozglądał się wokół siebie, zdumiony i przejęty niepokojem. Od chwili gdy wkroczył na ścieżkę, którą znalazł Fred, towarzyszyło mu uczucie, że nic nie jest tak dziwne ani tak nieznanne, jak powinno być. A gdy zatopił się w gęstym leśnym poszyciu, przytłoczony ogromem strzelistych drzew, uczucie to jeszcze się nasiliło. Już tu kiedyś był. Właściwie rzadko przebywał z dala od tego miejsca.

– Poczekajcie – powiedział do Freda i Auberona, którzy szli przed siebie, patrząc, dokąd wiedzie ścieżka. – Sekundę.

Zatrzymali się i odwrócili w jego stronę.

George popatrzył w górę, w dół, na prawo i lewo. Po prawej stronie znajdowała się polana. Nie widział jej, ale wyczuł, że tam jest. Za tym rzędem drzew strażników powietrze wydawało się bardziej złote i błękitne niż w szarym lesie.

Rząd drzew stojących na straży.

– Wiecie co – powiedział. – Mam wrażenie, że wcale nie zaszliśmy zbyt daleko.

Ale tamci wysforowali się już do przodu i nie słyszeli jego słów.

– Chodź, George! – zawołał Auberon.

George ruszył z wolna za kompaniami, lecz zdołał postąpić ledwie kilka kroków i znowu poczuł, że coś go ciągnie z powrotem. Las przypominał ogromny dom z wieloma pokojami,

choć trudno było w to uwierzyć, widząc to bogactwo i bezładne przemieszanie wszelkiej roślinności. A jednak. Cały czas przechodziło się jakby przez drzwi prowadzące z jednej komnaty do drugiej, zupełnie innej. Wystarczyło, że zrobił pięć kroków, a już opuścił miejsce, w którym czuł się tak dobrze. Chciał tam wrócić. Bardzo chciał tam wrócić.

– Poczekajcie chwileczkę – zawołał do swoich towarzyszy, ale nie odwrócili się. Byli już daleko w przódzie, w zupełnie innym miejscu. Śpiew ptaków zagłuszał nawoływanie George'a. Będąc w rozterce, postąpił dwa kroki w stronę, dokąd poszli, a potem, przyciągany ciekawością silniejszą niż strach, powrócił do miejsca, z którego dostrzegł polanę.

Nie wydawała się zbyt oddalona. W jej kierunku wiodła nawet ścieżka. Ruszył nią i prawie natychmiast zniknęły mu przed oczu opiekuńcze drzewa i plamy słonecznego światła. Potem zniknęła również sama ścieżka. A już w chwilę później George zapomniał, dlaczego idzie tą drogą.

Uszedł kawałek, grzęznąc butami w miękkiej ziemi, jego płaszcz ocierał się o ostre krzaki rosnące na moczarach. Dokąd? Po co? Stał jak wryty, ale ponieważ zaczął się pogrążyć, znowu ruszył ostro do przodu. Las rozbrzmiewał różnymi melodiami, tak że George nie słyszał nawet własnych myśli. Zapomniał, kim jest. Znowu przystanął. Było ciemno, a jednak powietrze połyskiwało, zdawało się, że wszystkie drzewa rozkwitły w jednej chwili, jakby otuliła je mgiełka. Nadeszła wiosna. Jak się znalazł w tym miejscu, przepełniony strachem, co to było za miejsce i czas, co się z nim stało? Kim był? Zaczął przetrząsać kieszenie, nie wiedząc, co się w nich kryje, ale mając nadzieję, że znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania. Z jednej kieszeni wyjął poczerńiałą fajkę, która nie nasuwała mu żadnych skojarzeń, chociaż obracał ją w rękę we wszystkie strony. Z drugiej wyciągnął kieszonkowy zegarek.

Zegarek, tak. Nic nie mógł wyczytać z jego niepokojącej tarczy, ale na pewno był to jakiś trop. Zegarek w ręce. Tak.

Bez wątpienia zażył jakiś narkotyk (prawie sobie przypomniał, że to zrobił), nowy narkotyk, który chciał wypróbować, narkotyk o zdumiewającej, niespotykanej dotąd mocy. To się zdarzyło jakiś czas temu, tak, zegarek mu podsunął tę myśl, to wszystko jest skutkiem działania narkotyku. To on odebrał mu pamięć do tego stopnia, że nie wiedział nawet, kiedy go zażył. To on sprawił, że znalazł się w całkowicie nierealnym miejscu, o Boże. Narkotyk miał taką moc, że George ujrzał las z czarnymi jagodami, słyszał śpiew ptaków i widział homunculusa, samego siebie, wędrującego po tym lesie. Ale realny świat ciągle delikatnie przenikał ten wymyślony las. George trzymał przecież w ręce zegarek, za pomocą którego chciał ocenić czas działania narkotyku. Dopiero kiedy odurzenie zaczęło ustępować, wyobraził sobie, że wyciągnął zegarek z kieszeni, ponieważ dopiero w tym momencie zaczynał powoli przychodzić do siebie. Prawdziwy zegarek wdarł się do nierealnego lasu. Lada moment straszny liściasty las zniknie, a George zobaczy znowu swój pokój, w którym w istocie siedział przez cały czas, trzymając w dłoni zegarek, i zobaczy bibliotekę na trzecim piętrze swojej kamienicy. Tak! Siedział tam bez ruchu nie wiadomo jak długo, narkotyk

sprawił, że wydawało się, iż trwa to całe wieki. Ocknie się w otoczeniu przyjaciół, czekających niecierpliwie na jego reakcję. W każdej sekundzie ich twarze mogą przybrać realny kształt, tak jak zegarek. Franz, Smoky i Alice wyłonią się z mgły w pełnej kurzu bibliotece, gdzie tak często przesiadywał. Na ich twarzach dostrzeże niepokój, rozradowanie i oczekiwanie. Jak było, George? Jak było? A on przez długą chwilę będzie tylko potrząsał głową i wydawał niezrozumiałe dźwięki, niezdolny opowiadać o tym, dopóki nie stwierdzi z niezbitą pewnością, że znajduje się w realnym świecie.

– Tak, tak – powiedział George i niemal zapłakał z ulgą, że sobie przypomniał. – Pamiętam, pamiętam. – I w momencie gdy to mówił, wsunął zegarek z powrotem do kieszeni, rozglądając się po zielonej okolicy. – Pamiętam. – Wyciągnął jeden but z grzędzawiska, potem drugi i już nie pamiętał.

Rząd drzew strażników, polanka skąpana w słońcu i jakby zarys pól uprawnych na horyzoncie. Gdzieś w oddali. Tylko że teraz schodzi z mozołem w dół, stąpając po omszałych skałach, aż czarnych od wilgoci. Zmierzał w stronę parowu, w którym wartko płynął zimny strumień. Wdychał jego parującą wilgoć. Nad strumieniem biegł prymitywny mostek, nieco chybotliwy, pod nim zaś płynęły niesione z prądem gałęzie i wirowała spieniona woda. Mostek wydawał się niebezpieczny i trudny do przebycia. Kiedy ostrożnie i ze strachem, ciężko dysząc, postawił na nim stopę, zapomniał, dokąd właściwie zdążył z takim mozołem, a gdy zrobił następny krok (to tylko obluzowana klapka – uspokajał się), nie pamiętał już, kim jest i po co się tak trudzi. Postąpiwszy jeszcze krok do przodu – był już na środku mostku – uświadomił sobie, że wszystko zapomniał.

Dlaczego stoi, gapiąc się na spienioną wodę? Co tu się właściwie dzieje? Włożył ręce do kieszeni w nadziei, że znajdzie tam coś, co mu podsunie choćby drobną wskazówkę. Wyciągnął stary, kieszonkowy zegarek, który z niczym mu się nie kojarzył, oraz poczerniałą fajkę z małym cybuchem. Obracał fajkę w dłoniach. Fajka, tak.

– Pamiętam – powiedział bez przekonania. Fajka, fajka. Tak. Jego piwnica. W piwnicy swojego domu odkrył stare zapasy. To było zdumiewające, wspaniałe znalezisko. Niezwykle! Palił niekiedy tę fajkę, tak, to o to chodzi; nabijał ten poczerniały cybuch. Widział jeszcze strzępki wypalanej żywicy. Wszystko znajdowało się teraz w jego organizmie i oto był efekt! Nigdy, przenigdy nie przeżył czegoś tak gwałtownego! Dosłownie go zmiotło! Gdy przykładął zapalną cybuch, stał na mostku, tak, na kamiennym mostku w parczku, do którego chadzał nieraz z Sylvie palić fajkę. Teraz przebywał w jakimś dziwnym lesie, który wydawał się tak realny, że czuł nawet jego zapach. Zatracił się całkowicie. Miał wrażenie, że już od wielu godzin, wieki całe błądzi po tym lesie, nie pamiętając, kim jest, podczas gdy w rzeczywistości (pamiętał, pamiętał to dokładnie) dopiero co odsunął fajkę od ust. O proszę, nadal trzyma ją w dłoni, tuż przy ustach. Tak, to pierwsza rzecz, która znowu przybrała realny kształt, pierwszy znak, że wraca do rzeczywistości z krótkiego, ale całkowicie zniewalającego transu. Za chwilę ujrzy Sylvie w starym kapeluszu na głowie.

Odwróci się zaraz do niej (gdy nierealny las zniknie i otoczy go znowu zaśmiecony, zimowy park) i powie: „Oho, to mocna rzecz! Uważaj, to mocna rzecz”. A ona odpowie coś po swojemu, biorąc fajkę z jego rąk.

– Rozumiem, pamiętam – rzekł, jakby wypowiadał zaklęcie, ale poraziło go znowu straszne przeczucie, że już kiedyś coś sobie przypomniał, coś zupełnie innego. Już kiedyś? O nie, może wiele razy, o nie, nie. Stał jak przykuty do ziemi. Zastanawiał się, czy nie podlega ustawicznym nawrotom pamięci, czy za każdym razem nie przypomina sobie wszystkiego w nieco innym kształcie. Może ulega niekończącej się serii przypomnień, powtarzanych bez przerwy. Pamiętam, pamiętam. Jeden krótki moment w tym niesamowitym lesie (odwrócenie głowy, jeden krok) obejmował całe życie. Pod wpływem tych rozmyślań George odniósł wrażenie, że został nagle – na długi, odwieczny czas – strącony do piekła.

– Pomocy – powiedział czy raczej wyszeptał. – Pomocy, pomocy.

Kroczył po chwiejnym mostku, pod którym wirował spieniony strumień. Na ścianie w jego kuchni wisiał obraz w starej, pozłacanej ramie (lecz George nie pamiętał w tej chwili o jego istnieniu). Przedstawiał taki sam niebezpieczny most i dwoje niewinnych, spokojnych dzieci, może po prostu nieświadomych niebezpieczeństwa, które przekraczały go, trzymając się za ręce: jasnowłosa dziewczynka i ciemnowłosa, odważny chłopiec. Czuwał nad nimi anioł, gotowy pospieszyć z pomocą, gdyby luźne deseczki załamały się lub któreś z dzieci źle postawiło stopę: biały anioł ze złocistą opaską na włosach i cikliwą twarzą spowitą draperiami z gazy; anioł na tyle wszechmocny, żeby je ocalić. George odczuwał właśnie obecność kogoś tak potężnego za swoimi plecami (choć nie odważył się odwrócić) i biorąc tę osobę, może Lilac, a może Sylvie, za rękę, ruszył odważnie po skrzypiącym moście w stronę przeciwległego brzegu.

Potem nastąpił długi, niemal wieczny okres niepamięci, ale w końcu George znalazł się po drugiej stronie parowu. Kolana miał podrapane, ręce obtarte. Wyszedł pomiędzy dwie skały, przypominające podniesione kolana i wkroczył – o tak – na małą polankę pełną kwiatów. W oddali ukazał się rząd drzew strażników. Za nimi – teraz widział to wyraźnie – widoczne było ogrodzenie z palików oraz budynek lub dwa. Z komina unosił się wijący dym.

– O tak – powiedział George, sapiąc. – O tak.

Obok niego stało jagnię. Słyszał pobekiwanie zwierzęcia, lecz początkowo pomylił ten dźwięk z biciem swego zagubionego serca. Jagnię zaplątało się wśród pędów jakiejś okropnej, płożącej dzikiej róży i chcąc uwolnić nogę, kaleczyło się coraz bardziej.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział George. – No już, spokojnie.

– Bee, bee – beczało jagnię.

George wyplątał jego delikatną, czarną nóżkę. Jagnię pokuśtykało przed siebie, ciągle pobekując. Było bardzo młode, jakim cudem oddaliło się od matki? George podszedł do zwierzęcia, chwycił je za nogi i podniósł do góry, aby położyć je sobie na ramionach. Już to kiedyś widział, ale zapomniał gdzie. Niosąc jagnię, które słabo kopało i wykrcęcało swój

niemądry, smutny pyszczek, żeby spojrzeć na jego twarz, podszedł do bramy w płocie za rzędem drzew. Była otwarta.

– O tak – powiedział George, stając przed nią. – O tak, rozumiem, rozumiem.

Wszystko stało się zupełnie jasne. Przed nim stał mały, wałący się domek z małymi oknami, obora, szopa dla kóz i grządka świeżo posadzonych warzyw, na której pracował mały człowieczek o brązowej skórze. Kiedy ujrzał George'a, rzucił narzędzia i uciekł, mamrocząc coś pod nosem. Znajdowała się tam również ocembrowana studnia, kopiec, sterta drewna z siekierą wbita w pień. Głodne owce, stłoczone przy ogrodzeniu, czekały na trawę. A dookoła polanki rozpościerał się dziki i ciemny las.

Nie wiedział, w jaki sposób tu trafił, nie wiedział też, skąd przybył, ale było dla niego jasne, gdzie jest. Znalazł się w domu.

Postawił jagnię na ziemi obok pozostałych owiec. Natychmiast pobiegło do matki, która je zganiła. George wolałby pamiętać chociaż odrobinę. Ale co tam, do diabła, spędził życie, uganiając się za rozrywkami. Był już za stary, żeby się zamartwiać tą odmianą. To, co widział, było dla niego wystarczająco realne.

– Do diabła – powiedział – do diabła, takie jest życie. – Odwrócił się i dokładnie zaryglował bramę, jak dobry gospodarz, który pragnie ochronić mieszkańców zagrody przed dzikim lasem i zamieszkującymi go stworzeniami, po czym zacierając ręce, podszedł do drzwi domku.

W samym środku pustkowie

Niebiosa, pomyślała Ariel Hawksquill, głęboko we wnętrzu, niebiosa nie większe niż czubeczek kciuka. Ogród nieśmiertelnych, dolina, w której wszyscy jesteśmy na wieki królami. Pod wpływem rytmicznego stukotu kół pociągu myśl ta nieustannie krążyła po jej głowie.

Hawksquill nie należała do osób, na które jazda pociągiem działa kojąco. Zgrzyt i stukot drażnił jej system nerwowy i chociaż deszczowy świt zawisł ciężko nad krajobrazem, który przesuwał się za oknami, nie spała, mimo iż rozgłosiła, wsiadając do pociągu, że ma taki zamiar. Zrobiła to tylko po to, by prezydent zostawił ją przez jakiś czas w spokoju. Kiedy stary, uprzejmy steward przyszedł pościelić jej łóżko, odesłała go, a potem przywołała z powrotem i poprosiła, żeby przyniesiono jej butelkę brandy i żeby nikt jej nie przeszkadzał.

– Na pewno pani nie chce, żebym zaścielił łóżko, proszę pani?

– Na pewno. To wszystko.

Gdzie też ludzie prezydenta znaleźli tego uprzejmego, zgarbionego czarnego mężczyznę, który musiał być powolny i stary nawet za czasów jej młodości? I gdzie znaleźli te wielkie, stare wagony i szyny, po których jeszcze można jeździć?

Nalała sobie brandy, zaciskając zęby z nerwowego wyczerpania, czując, że nawet najbardziej wytrzymałe obszary jej pamięci są wstrząsane do głębi na skutek jazdy pociągiem.

A jednak musiała teraz, bardziej niż kiedykolwiek, myśleć jasno, logicznie i prosto. Na półce leżała jej torebka ze skóry aligatora, w której znajdowały się karty.

Niebiosa głęboko we wnętrzu, ogród nieśmiertelnych. Tak, jeśli istotnie tak jest, jeśli przypomina to niebiosa albo jakieś podobne miejsce, to z całą pewnością można powiedzieć jedno: jakiegokolwiek inne wspaniałe cechy ma to miejsce, niewątpliwie jest tam więcej przestrzeni niż w zwykłym świecie, który opuszczamy, aby tam dotrzeć.

Więcej przestrzeni: bezkresne niebo, niezdojbyte szczyty gór, głębokie i niezbadane morze.

Ale sami nieśmiertelni też zapewne marzą, rozmyślają i poddają duszę ćwiczeniom, poszukując jeszcze mniejszych niebios w obrębie tego nieba. I niebiosa te, jeśli istnieją, muszą być jeszcze obszerniejsze, jeszcze bardziej nieograniczone, wyższe, szersze i głębsze niż te pierwsze. I tak dalej... „A najrozleglejszym miejscem, centrum, nieskończonością jest Czarodziejska Kraina, w której gigantyczni herosi galopują po bezkresnych przestrzeniach, żeglują po niekończących się morzach i w której wszystko jest możliwe – ten kraj jest tak maleńki, że nie prowadzi do niego żadna brama”.

Tak, stary Bramble mógł mieć rację, tylko że wydaje się to zbyt proste albo zbyt skomplikowane: dwa różne światy, do których prowadzą bramy. Nie, wcale nie dwa światy. Można ten pomysł zdusić w zarodku. Tylko jeden świat, ale przybierający różne formy. Czym w końcu był „świat”? Ten, który widziała w telewizji w serialu *Inny świat*, mógł wypełnić tamten bez potrzeby mnożenia bytów, był cząsteczkowy, ale stanowił skończoną całość. To była tylko inna forma, fikcja.

I właśnie w takiej formie jak fikcja, jak bajka, istniała kraina, do której, jak powiedziały jej kuzynki, ona również została zaproszona. O nie! Powiedziały, że musi wyruszyć w podróż. Tak, wyruszyć w podróż, ponieważ jedynym sposobem dotarcia do tej krainy była właśnie podróż. Wszystko wydawało się już dostatecznie jasne. Nie ma na to rady.

Chińczycy wierzyli, że niebiosa i czarodziejskie krainy mają jedną wspólną cechę: wybór sposobu, w jaki chcesz się tam dostać, należy do ciebie. Takie podróże wymagały prawie zawsze długich przygotowań i żelaznej woli albo przynajmniej ogromnej siły marzeń. I co to miało wspólnego z formą, która wbrew woli tego świata albo przynajmniej nie pytając o zdanie jego mieszkańców, zajęła go kawałek po kawałku, wykorzystując fantazję architektów, pentagram miast, blok slumsów, sufit Terminusa i wreszcie samą stolicę? Która spadła na obywateli tego zwykłego świata i wchłonęła ich niechęć jak wielka fala przypływu? Nazwała to Świętym Cesarstwem Rzymskim. Wprowadzono ją w błąd. Cesarz Fryderyk Barbarossa okazał się tylko marnym szczątkiem okrętu, dryfującym na fali, która poruszyła wody czasu. Wtargnięcie fali zakłóciło jego sen, tak jak powódź zakłóca wieczny sen zmarłych, unosząc ich doczesne szczątki z grobów. Kierował się gdzie indziej. Ona jednak nie miała zamiaru skończyć w jakimś miejscu rządzonym nie wiadomo przez jakich mistrzów, którzy mogli bardzo źle potraktować jej bunt przeciwko nim. Może była w stanie

zmienić kierunek jego drogi? Zmienić jego samego, tak jak można przekabacić tajnego szpiega i sprawić, żeby stanął po stronie tych, których szpiegował? W tym celu ukradła karty. Z ich pomocą była w stanie nim rządzić albo przynajmniej otworzyć mu oczy na przyczyny.

Ten plan miał jednak bardzo słaby punkt. Co za kłopot, co za kłopot! Spojrzała na torebkę leżącą na siatce na bagaże. Czowała, że jej próba przeciwstawienia się temu sztormowi była beznadziejna jak każdy opór stawiany przez tych, którzy stanowili tylko przeszkodę na drodze czegoś obojętnego, nadciągającego nieuchronnie i o wiele potężniejszego, niż sobie wyobrażali. Eigenblick wspominał o tym czymś w każdym przemówieniu i miał rację, natomiast ona była zaślepiona. Zarówno witanie tego z radością, jak i stawianie oporu były jałowymi zajęciami. To coś dostanie każdego, jeśli tylko zechce. Hawksquill bardzo żałowała, że była taka pewna siebie, ale to nie zmieniało faktu, iż ocalenie widziała jedynie w ucieczce.

Usłyszała kroki. Jej ucho wyłowiło ich odgłos spośród stukotu kół pociągu. Zbliżały się do jej przedziału.

Nie ma czasu, żeby ukryć karty. Jednak najciemniej jest pod latarnią. To wszystko dzieje się zbyt szybko, w końcu jest tylko starą kobietą i wcale nie umie zbyt dobrze sobie radzić w takich sytuacjach. Wcale.

– Nie patrz tam – ostrzegła się w duchu. – Nie patrz na torebkę.

Drzwi otworzyły się: Russell Eigenblick stanął przed nią, trzymając się oburącz słupka przy drzwiach, żeby utrzymać równowagę w pędzącym pociągu. Jego ciemny krawat był przekrzywiony, na czole błyszczały kropelki potu. Spojrzał złowrogo na Hawksquill.

– Czuję ich zapach – powiedział.

A więc to był słaby punkt jej planu. Po raz pierwszy przemknęło jej to przez myśl, gdy siedzieli pewnej zimowej nocy w owalnym biurze, a na dworze sypał śnieg. Teraz miała pewność. Cesarz jest szalony, zupełnie zbzikowany.

– Zapach czego, sir? – spytała potulnie.

– Czuję ich zapach – powtórzył tylko.

– Wcześniej pan wstał – zauważyła. – Nie za wcześniej na kieliszek tego? – Wskazała na butelkę brandy.

– Gdzie one są? – powiedział, wchodząc chwiejnie do maleńkiego przedziału. – Masz je przecież, muszą tu gdzieś być.

Nie patrz na torebkę.

– Ale co?

– Karty, ty suko.

– Muszę z panem pomówić o pewnej sprawie – oznajmiła, wstając. – Przepraszam, że spóźniłam się na pociąg wczorajszej nocy, ale...

Kręcił się gwałtownie po przedziale, przewracając dziko oczami, jego nozdrza falowały.

– Gdzie? – powtarzał. – Gdzie?

– Sir – zaczęła, usiłując przewyciężyć ogarniające ją uczucie beznadziejności – Sir,

proszę mnie wysłuchać.

– Karty.

– Działa pan po złej stronie – wyrzuciła z siebie, nie będąc w stanie sformułować tej myśli ostrożniej. Bardzo ją korciło, żeby spoglądać na torebkę, której on jeszcze nie dostrzegł. Obmacywał ściany w poszukiwaniu tajnej skrytki. – Musi mnie pan wysłuchać. Ci, którzy panu tyle naobiecowali, wcale nie mają zamiaru dotrzymać słowa. Nawet gdyby mogli. Ale ja...

– Ty! – wykrzyknął, odwracając się do niej. – Ty! – Roześmiał się głośno. – To przezabawne!

– Chcę panu pomóc.

Przerwał poszukiwania. Spojrzał na nią z wyrazem głębokiego wyrzutu w brązowych oczach.

– Pomóc. Ty. Pomóc mi.

Użyła niewłaściwych słów. Wiedział – czytała to z jego twarzy – że pomaganie mu nigdy nie leżało w jej planach i nie miała takiego zamiaru również teraz. Może i był szalony, ale nie głupi. Dojrzała w jego oczach, że poczuł się przez nią zdradzony, i odwróciła wzrok. Było oczywiste, że nic, co by w tej chwili powiedziała, nie poruszyłoby go. To, czego chciał od niej teraz, było bez niej beużyteczne, ale nawet tego nie umiałyby mu wyjaśnić.

Przyłapała się na tym, że patrzy na torebkę z kartami. Czuła niemal, że odwzajemniają jej spojrzenie. Szybko odwróciła wzrok, ale tyran już zauważył torebkę. Sięgnął po nią, odpychając Hawksquill.

– Stój! – wykrzyknęła, uciekając się do siły zaklęć. Przysięgła kiedyś, że użyje tej metody tylko w ostateczności i w dobrych zamiarach. Cesarz skamieniał, trzymając dłoń na torebce. Z całej siły próbował przezwyciężyć zaklęcie Hawksquill, ale nie mógł się ruszyć. Ona zaś schwyciła torebkę i pędem wybiegła z przedziału. W korytarzu wpadła prawie na przygarbionego i powolnego stewarda.

– Idzie pani teraz spać, proszę pani? – spytał uprzejmie.

– Ty będziesz spać – powiedziała i precyzyjnie się obok niego. Osunął się po ścianie, otwierając usta i zamykając oczy. Zapadł w głęboki sen. Wpadając do następnego wagonu, Hawksquill słyszała, jak Eigenblick wrzeszczy z wściekłości i przerażenia. Odsunęła na bok ciężką zasłonę, która zagradzała jej drogę i znalazła się w przedziale sypialnym. Ludzi pobudziły już wrzaski Eigenblicka. Zaspani, bladzi i zatrwożeni, wychylali głowy zza zasłon na górnych i dolnych kuszetkach. Zobaczyli Hawksquill. Wróciła do wagonu, z którego przyszła.

Jej spojrzenie padło na sznur znajdujący się w małej niszy, który widziała już wiele razy podczas podróży pociągami. Ten, kto pociągnie go dla żartu albo złośliwości, naraża się na surową grzywnę. Właściwie nigdy nie dowierzała, że taki cienki sznureczek może zatrzymać pociąg, ale słysząc wrzawę i kroki w odległym przedziale, pociągnęła go teraz, po czym

szybko podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę. W ciągu kilku sekund pociąg ostro zahamował ze zgrzytem i piskiem. Hawksquill jednym szarpnięciem otworzyła drzwi, zdumiona tym, co robi. Uderzyły w nią krople deszczu. Pociąg stał w samym środku pustkowiec, w ciemnych, skąpanych w deszczu lasach, w których topniały jeszcze ostatnie zaspy śniegu. Było przenikliwie zimno. Hawksquill zeskoczyła z krzykiem na ziemię i przywarła do niej bez ruchu. Potem z trudem zaczęła się wspinać po nasypie, płacząc się we własnej spódnicy. Spieszyła się, żeby nie dosięgło jej poczucie nieprawdopodobieństwa tego, co robi.

Świt był pochmurny, jego szarość wydawała się bardziej nieprzenikniona niż ciemności nocy. Gdy stanęła na szczycie nasypu, w lesie, przystanęła, sapiąc, i spojrzała na ciemny, długi kształt zatrzymanego pociągu. Wewnątrz zapalały się światła. Po chwili z pociągu wyskoczył jakiś mężczyzna, dając znak następnym.

Hawksquill wbiegła głębiej w las, zapadając się w przysypanym śniegiem podłożu. Słyszała za sobą nawoływania. Rozpoczęto polowanie.

Skryła się za wielkim drzewem i przywarła do niego plecami, z trudem chwytając ostre, zimne powietrze i nasłuchując. Trzaskały gałązki: torowali sobie drogę przez las. Rzuciła okiem za siebie i dostrzegła ciemną sylwetkę w oddali po lewej stronie. Człowiek trzymał w ręku krótki, czarny przedmiot, wymierzony w jej stronę.

Potajemnie skazana na śmierć.

Drżącymi rękoma otworzyła torebkę ze skóry aligatora i wyjęła spomiędzy rozsypanych kart małą kopertę. Para własnego oddechu przysłaniała jej widok. Nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Otworzyła kopertę i zaczęła w niej gmerać, usiłując namacać kawałek kostki, jeden jedyny kawałek spośród tysiąca dziwnych kości czarnego kota. Gdzie jest ta przeklęta kość? Poczula znajomy kształt. Uchwyciła przedmiot dwoma palcami, lecz przestraszył ją nagły trzask w zaroślach gdzieś w pobliżu. Poderwała głowę, a niewielki magiczny przedmiot wysliznął się jej z palców. Dłoń Hawksquill dotykała go, gdy zsuwał się po fałdach spódnicy, ale tak gorączkowo ją zaciskała, że jeszcze szybciej zleciał na ziemię. Upadł na śnieg i czarne liście, a Hawksquill krzyknęła z rozpaczą „nie!” i bezmyślnie deptała po miejscu, na które spadł.

Ścigający nawoływali się. Ich głosy były łagodne, ale stanowcze i coraz bardziej się przybliżały. Hawksquill uciekła ze swojej kryjówki za drzewem, dostrzegając kątem oka cień następnego z żołnierzy Eigenblicka, a może nawet był to ten sam. W każdym razie miał broń. I również ją zobaczył.

Nigdy nie myślała nad tym, co się stanie z jej śmiertelnym ciałem, jeśli przesyją ją pociski i popłynie krew. Nie myślała o sprawach ostatecznych, ponieważ jej dusza została dobrze ukryta. Nie mogła umrzeć, tego była pewna. Ale co dokładnie się stanie? Co? Odwróciła się i zobaczyła, że napastnik mierzy do niej z broni. Padł strzał, zaczęła znowu biec, nie będąc w stanie stwierdzić, czy została trafiona, czy ogłuszył ją tylko huk wystrzału.

Trafił. Odróżniała ciepłą wilgoć krwi od zimnego deszczu. Dlaczego nie czuje bólu? Biegła nadal, choć było z nią kiepsko: jedna noga okazała się niesprawna. Hawksquill oparła się o wysokie drzewo, słysząc, jak jej prześladowcy krótkimi komendami naprowadzają się na jej trop. Byli już dość blisko.

Na pewno istniały jakieś sposoby ucieczki, jakieś wyjście z tej sytuacji, ale w tej chwili niczego nie mogła sobie przypomnieć.

Niczego nie mogła sobie przypomnieć! Opuściła ją moc. No cóż, to było sprawiedliwe. Postępowała niehonorowo, kłamała, kradła, pełna pychy chciała osiąść władzę. Wykorzystała do własnych celów moce, których przysięgała nie używać w taki sposób. To, co ją spotkało, było sprawiedliwe. Odwróciła się: osaczali ją. Ze wszystkich stron nadchodziły ciemne sylwetki jej prześladowców. Chcieli pewnie podejść jak najbliżej, żeby nie robić zbędnego zamieszania: jeden albo dwa strzały. Ale co się z nią stanie? Potworny ból, którego dotąd nie czuła, przeszył na wylot jej ciało. Nie ma sensu dłużej uciekać. Oczy zachodziły jej mgłą. Jednak odwróciła się, żeby biec dalej.

Zauważyła ścieżkę.

Rysowała się całkiem wyraźnie w świetle poranka. Mogłaby tam pobiec, mogłaby... Do tego małego domku na polanie. Kule szarpnęły jej ciałem, ale dom widziała teraz jeszcze wyraźniej, jakby nagle padł na niego promień słońca. Zabawny dom, najdziwniejszy domek, jaki kiedykolwiek widziała. Co jej przypomina? Dom jak z pierników, różnokolorowy, ze śmiesznymi wylotami kominów w kształcie kapeluszy. Przez głębokie, małe okienka dostrzegła wesołe promyki ognia na kominku. Ujrzała też okrągłe, zielone drzwi: przyjazne, witające przybyszów zielone drzwi. Właśnie w tym momencie otworzyły się i wyjrzała zza nich na powitanie twarz, na której malował się szeroki uśmiech.

Ktoś grał talią pięćdziesięciu dwóch kart

Zastrzelili ją. Oddali kilka strzałów, byli bowiem przesądni. I oczywiście jej ciało wyglądało tak samo jak ciało jakiegokolwiek zabitej osoby: kończyny rozrzucone bezładnie jak u lalki, twarz pozbawiona wyrazu. Nie ruszała się. Nad jej ustami nie gromadziła się para oddechu. Byli zadowoleni. Jeden złapał torebkę z aligatora, po czym wrócili do pociągu.

Łkając, wybuchając co rusz ochryplym śmiechem, trzymając nareszcie w kurczowym uścisku tuż przy piersi stare karty, Russell Eigenblick, prezydent, pociągnął sznurek, dając sygnał do odjazdu. Przemierzał pociąg wzdłuż i wszerz, zaślepiiony strachem i radością, i niemal się przewrócił, kiedy pojazd ruszył z ostrym szarpnięciem.

Wypuszczając obłoki pary, pociąg sunął przez tonący w deszczu kraj. Pomiędzy Sandusky i South Bend deszcz przemienił się najpierw w śnieg, potem w deszcz ze śniegiem, a następnie w zadymkę. Oślepiiony maszynista nie widział drogi. Wykrzyknął, kiedy jego oczom ukazała się nagle paszcza ciemnego tunelu, ponieważ wiedział, że w tej okolicy nie ma i nigdy nie było żadnego tunelu, ale zanim zdołał coś przedsięwziąć (co przedsięwziąć?),

pociąg z hukiem wpadł w bezkresną ciemność, mroczniejszą i głośniejszą niż zwycięstwo i triumf Barbarossy. Kiedy przyjechał na następną stację (do miasta o indiańskiej nazwie, w którym od lat nie zatrzymywały się pociągi), nie było w nim ani jednego pasażera, a steward, uśpiony przez uciekającą Hawksquill, wreszcie się obudził.

Co się dzieje?

Wstał i powoli, zmęczony po czterdziestu latach pracy, przeszedł przez pociąg. Zdumiewało go zarówno własne nagłe zaśnięcie, jak i postój pociągu niezgodny z rozkładem jazdy oraz nieobecność pasażerów. Gdy był w połowie drogi przez uśpione wagony, spotkał pobladłego maszynistę. Naradzili się, wymieniając lakoniczne uwagi. Prócz nich nie było w pociągu żywego ducha, konduktor z nimi nie jechał, był to bowiem pociąg specjalny i wszyscy pasażerowie wiedzieli, dokąd się udają. Tak więc steward powiedział do maszynisty: „Wiedzieli, dokąd jadą”.

Maszynista wrócił do swojej kabiny, żeby nadać wiadomość przez radio, chociaż jeszcze nie zdecydował, co ma powiedzieć. Steward kontynuował wędrówkę po opustoszałych wagonach, czując się tam jak w domu nawiedzonym przez duchy. W wagonie restauracyjnym, pomiędzy opróżnionymi szklankami i niedopałkami papierosów, wały się bardzo stare karty. Wyglądało to tak, jakby ktoś porozrzucił je w przypiływie złości.

– Ktoś grał talią pięćdziesięciu dwóch kart – powiedział steward.

Zaczął zbierać karty. Jeszcze nigdy nie widział takich figur: rycerzy, królów i królowych. Patrzyły na niego błagalnie z różnych kątów wagonu, jakby dopraszając się, żeby je pozbiarał. Ostatnia karta – chyba joker, postać z bardzo długą brodą spływającą po końskim grzbiecie aż do strumienia – utknęła na skraju okna, przylepiona awersem do szyby, jakby próbowała uciekać. Kiedy zebrał wszystkie i równiutko poskładał, stał bez ruchu, trzymając je w dłoniach. Przepeliąło go głębokie poczucie sensu świata, całego świata i zrozumiał swoje na nim miejsce. I wiedział, jaką wartość będzie miała po latach jego samotna obecność tutaj, w tej chwili: w pustym pociągu, na opuszczonej stacji.

Pamięć o tyranie Russellu Eigenblicku nie zaginie. Nadchodziły złe czasy dla jego ludu, czasy pełne goryczy. Ci, którzy walczyli przeciwko niemu, zwrócą się teraz, pod jego nieobecność, przeciwko sobie. I krucha republika zostanie podzielona i rozczłonkowana na wiele różnych sposobów. Podczas tej długiej walki pójdą w zapomnienie trudy i cierpienia, przez jakie przeszli ludzie pod rządami Bestii. Następne pokolenia, z narastającą nostalgią i z głębokim, bolesnym poczuciem straty, będą wracać myślą do tamtych lat, jeszcze nie całkiem zapomnianych, do lat kiedy, w ich mniemaniu, zawsze świeciło słońce. Jego dzieło, powiedzą, nie zostało ukończone, jego objawienie – nie całkiem objawione. Odszedł i zostawił swój lud z nieodkupionymi grzechami.

Ale nie umarł. Nie. Odszedł, zniknął pewnej nocy o tej dziwnej godzinie między świtem a porankiem, wymknął się, ale nie umarł. Leży może uśpiony gdzieś w Górach Skalistych, w otoczeniu swego rządu, a jego ruda broda rośnie i rośnie. Czeka na dzień (który

przepowiadały setki znaków), kiedy obudzi się ponownie, gdy jego lud znajdzie się w wielkiej potrzebie.

V

*Jesteś czy cię nie ma? Znasz
smak swego istnienia czy też nie?
Czy jesteś w kraju czy na granicy?
Jesteś śmiertelny czy nieśmiertelny?*

Parliament of the Birds

*„- Chcę czystą filiżankę – przerwał Kapelusznik.
– Każdy przesuwa się o jedno miejsce”.*

Alicja w Krainie Czarów

Alice nie zdziwiła się specjalnie, że pies, który zgodnie z przepowiednią Sophie powitał ją przy drzwiach, okazał się Sparkiem. Zaskoczył ją jednak fakt, że stary człowiek, którego spotkała na drugim brzegu i który miał być jej przewodnikiem, to kuzyn George Mouse.

– Nie dociera do mnie, że jesteś starym człowiekiem, George – powiedziała. – Nie możesz być stary.

– Hej – powiedział George – jestem przecież starszy od ciebie, a i ty, mała, nie jesteś już młoda jak wiosenka.

– Jak się tutaj znalazłeś? – spytała.

– Jak się gdzie znalazłem? – odpowiedział pytaniem.

Błogosławieństwo

Szli razem przez ciemne lasy, rozprawiając o wielu rzeczach. Przebyli długą drogę, wiosna była w całej pełni. Otaczał ich coraz gęstszy las. Alice cieszyła się z jego towarzystwa, chociaż nie była pewna, czy potrzebny jej przewodnik. Nie знаła tych lasów i trochę się lękała, George natomiast niósł grubą laskę i rozpoznawał wszystkie ścieżki.

– Gęste lasy – zauważyła i gdy tylko wypowiedziała te słowa, przypomniała sobie swoją podróż poślubną. Pamiętała, jak Smoky zapytał, gdy minęli gospodarstwo Rudy’ego Flooda, czy to właśnie na skraju tych lasów leży Edgewood. Przypomniała sobie noc, którą spędzili w

omszalej jaskini. Przypomniała sobie, jak szli przez las do domu Amy i Chrisa.

– Gęste – przytaknął George.

– Opiekuńcze – dodała.

Obrazy z przeszłości stanęły jej przed oczami jak żywe, ale Alice zdawało się, że przypomina je sobie po raz ostatni, tak jakby zblakły i odeszły niemal tak szybko, jak rozkwitły. Każde wspomnienie przestawało być wspomnieniem, gdy tylko je przywołała, i zamieniało się w jakiś dziwny sposób w przeczucie, w coś, co się jeszcze nie wydarzyło, ale czego nadejścia wyczekiwała z uczuciem głębokiego szczęścia.

– Dalej już nie idę – oznajmił George.

Dotarli do skraju lasu. Przed ich oczyma rozpościerały się nasłonecznione polany podobne do jezior, a promienie słońca przechodząc przez gęstwinę wysokich drzew, tworzyły na polanach świetliste kwadraty. Jeszcze dalej znajdował się biały, skąpany w słońcu świat, niewidoczny dla ich oczu przywykłych do mroku.

– Zatem do zobaczenia – powiedziała Alice. – Przyjdiesz na bankiet?

– Jasne – odrzekł George. – Jak mógłbym nie przyjść?

Przez chwilę stali w milczeniu, a potem George poprosił ją o błogosławieństwo. Był nieco zmieszany, ponieważ robił to po raz pierwszy. Alice chętnie spełniła prośbę kuzyna i pobłogosławiła jego stada, płody rolne i również jego samego. Pochyliła się i pocałowała go, gdy klęczał, po czym ruszyła w dalszą drogę.

Taka duża

Polany jak jeziora ciągnęły się jedna za drugą przez długi czas. Ta część drogi jest jak dotąd najpiękniejsza, pomyślała Alice, fiołki i paprocie pokryte świeżą rosą, kamienie porośnięte szarym mchem, dobroczynne promienie słońca. – Taka duża – powiedziała – taka duża.

Tysiące stworzeń przerywało na moment swe wiosenne zajęcia, żeby na nią popatrzeć. Szelest nowo narodzonych owadów przypominał nieprzerwany oddech. Tacie podobałoby się to miejsce, pomyślała i w tej samej chwili pojęła, w jaki sposób mógł rozumieć głosy stworzeń, ponieważ ona sama je rozumiała, wystarczyło tylko się wsłuchać.

Nieme króliki i hałaśliwe sójki, kumkające żaby i wiewiórki rzucające bystre uwagi... Ale co to za stworzenie na następnej polance, które stoi na jednej nodze, podnosząc to jedno, to drugie skrzydło? Czy to bocian?

– Czy ja cię czasem nie znam? – spytała Alice, kiedy tam dotarła. Bocian drgnął, zaskoczony i jakby pełen skruchy.

– Nie jestem pewna – odparła bocianica. Popatrzyła na Alice znad długiego, czerwonego dzioba, najpierw jednym okiem, a potem obydwoma. Wydawała się zmartwiona, ale jednocześnie taksowała Alice wzrokiem, zupełnie jakby zerkała znad pince-nez. – Wcale nie jestem pewna. Właściwie wielu rzeczy nie jestem pewna, prawdę mówiąc.

– Chyba cię znam – powiedziała Alice. – Czy nie miałaś kiedyś gniazda na dachu domu

w Edgewood, nie wychowywałaś tam małych?

– Może i miałam – odrzekła bocianica. Zaczęła muskać piórka dziobem, ale robiła to bardzo nieporadnie, jak gdyby zdumiona faktem, że w ogóle ma pióra.

– Widzę – stwierdziła Alice – że będzie to trudna próba.

Alice pomogła jej wyprostować skrzydło, które odgięło się w niewłaściwą stronę, i bocianica, strzepując niezręcznie piórka, powiedziała:

– Zastanawiam się, czy nie masz nic przeciwko temu, żebym przeszła się z tobą kawałek?

– Oczywiście, że nie. Jeśli jesteś pewna, że nie wolałabyś sobie polatać.

– Polatać? – powtórzył zatrwożony ptak. – Polatać?

– Właściwie to nie wiem dokładnie, dokąd idę – wyjaśniła Alice. – Po prostu jakoś tu trafiłam.

– Nieważne. Ja też tu po prostu jakoś trafiłam, jeśli można tak powiedzieć.

Szły dalej razem. Bocianica, jak wszystkie bociany, stawiała ostrożnie długie kroki, jakby lękała się, że może niechcący na coś nadepnąć.

– Ale jak się tu właściwie dostałaś? – spytała Alice, ponieważ bocianica już nic więcej nie powiedziała.

– No cóż...

– Opowiem ci moją historię – zaproponowała Alice – jeśli ty opowiesz mi swoją. – Bocianica miała najwyraźniej ochotę komuś się zwierzyć, lecz nie była w stanie zacząć opowieści.

– To zależy – powiedziała w końcu – czyją historię chcesz usłyszeć. No dobrze, dość już tych wykrętów. Kiedyś – zaczęła po chwili wahania – byłam prawdziwym bocianem. A raczej byłam tylko bocianem i niczym więcej, właściwie ona nim była. Bardzo zawile to opowiadam, ale w każdym razie chodzi o to, że byłam też, czy raczej byłyśmy młodą kobietą, bardzo dumną i bardzo ambitną młodą kobietą, która nauczyła się w dalekim kraju bardzo trudnych sztuk od mistrzów o wiele starszych i mądrzejszych od niej. Nic nie uzasadniało tego, żeby wypróbować jedną z poznanych sztuczek na nieświadomym ptaku, lecz była młoda i lekkomyślna i nadarzyła się sposobność. Sztuczka czy manipulacja udała się znakomicie i kobieta była uszczęśliwiona, że ma taką moc, ale jak to zniósł bocian... Obawiam się, że ona, ja, nigdy się nie zastanawiała, albo raczej ja, bocianica, nie myślałam o niczym innym. Otrzymałam świadomość. Nie wiedziałam, że to nie moja świadomość, tylko świadomość innej osoby, ukryta we mnie ze względów bezpieczeństwa. Ja, ja bocianica, myślałam, to bardzo przykre, ale myślałam, że nie jestem wcale ptakiem. Wierzyłam, że jestem kobietą, istotą ludzką, która na skutek czyjejś złośliwości, nie wiedziałam czyjej, została przemieniona w bociana czy też uwięziona w tym ciele. Nie miałam żadnych wspomnień, nie pamiętałam tej kobiety, którą byłam, bo oczywiście ona zatrzymała moje życie i wspomnienia i żyła sobie wesoło dalej. Pozostawiono mnie samej sobie z tą zagadką.

Latałam daleko, wiele się nauczyłam, przekraczałam bramy, których żaden bocian przede mną nie przekroczył. Ułożyłam sobie życie, wychowałam małe, tak, właśnie w Edgewood, i miałam inne zajęcia, nie ma potrzeby o nich mówić, bocianie zajęcia... Nauczyłam się między innymi i tego, że wielki król ma powrócić czy przebudzić się i że wraz z jego wyzwoleniem nastąpi również moje wyzwolenie z bocianiego ciała i że będę naprawdę kobietą.

Przerwała swą opowieść i zasepiła się. Alice, nie wiedząc, czy bociany potrafią płakać, czy nie, patrzyła na nią uważnie i chociaż żadna łza nie spłynęła z różowawych oczu bocianicy, pomyślała, że w jakiś ptasi sposób na pewno płacze.

– No i jestem – powiedziała w końcu – no i jestem wreszcie tą kobietą. I nadal jestem i zostanę już na zawsze tylko bocianem, którym zresztą byłam. – Pochyliła głowę, wyznając z żalem tę prawdę. – Alice, ty mnie znasz – powiedziała. – Jestem albo byłam, albo byłyśmy, albo będziemy twoją kuzynką Ariel Hawksquill.

Alice zamrugała. Obiecała sobie, że nic jej tutaj nie zdziwi.

I rzeczywiście, kiedy przyjrzała się uważnie bocianicy czy Hawksquill, odniosła wrażenie, że słyszała już tę opowieść albo wiedziała, że to się zdarzy bądź zdarzyło.

– Ale – powiedziała – gdzie, to znaczy jak, gdzie jest...

– Nie żyje – odparła bocianica. – Nie żyje, jest zniszczona, unicestwiona. Ja naprawdę, ona naprawdę nie miała dokąd pójść. – Otworzyła swój czerwony dziób i zamknęła go z trzaskiem, co przypominało westchnienie. – Nieważne. Tylko że długo się będę przyzwyczajając. Jej rozczarowanie, to znaczy bocianicy. Moje nowe... ciało. – Podniosła skrzydło i spojrzała na nie. – Latanie – dodała. – No cóż, może.

– Na pewno – pocieszyła ją Alice, kładąc dłoń na jej gładkim boku. – I myślę, że mogłabyś podjąć ten trud razem z Ariel, razem z bocianicą. Przyzwyczaisz się – dodała z uśmiechem. Przypominało to rozsądzanie sporu pomiędzy dwojgiem jej dzieci.

Bocianica kroczyła przez chwilę w milczeniu. Dłoń Alice zdawała się ją uspokajać, przestała nerwowo otrząpywać piórka.

– Może – powiedziała w końcu. – Tylko... To już na zawsze. – Żal ścisnął ją za gardło. Alice widziała, jak porusza się długa grdyka. – To takie trudne.

– Wiem – przyznała Alice. – Nic nigdy nie dzieje się tak, jak myślisz, że będzie się działo. Ani nawet tak, jak powiedzieli. Chociaż może właśnie tak jest. Nauczysz się z tym żyć. To wszystko.

– Żałuję teraz – wyznała Ariel Hawksquill – oczywiście, już za późno na żale, że nie przyjechałam tamtej nocy twojego zaproszenia. Powinnam była pójść z tobą. Myślałam, że to przeznaczenie mnie nie dotyczy. Ale przez cały czas tkwiłam w tej Opowieści, prawda? Razem z całą resztą.

– Przypuszczam – odparła Alice – że tak, skoro jesteś tutaj. Powiedz mi jeszcze, co stało się z kartami?

– Ojej – Hawksquill ze wstydem odwróciła czerwony dziób. – Muszę wam wiele

wynagrodzić, prawda?

– To nie ma znaczenia – powiedziała Alice. Dochodziły do skraju leśnej polanki. Przed nimi rozpościerała się inna kraina. Alice przystanąła. – Jestem pewna, że potrafisz wynagrodzić to wszystko. To, że nie przyszedłeś, i w ogóle. – Ogarnęła spojrzeniem okolicę, do której miała się udać. Taka duża, taka duża. – Myślę, że możesz mi pomóc. Mam taką nadzieję.

– Na pewno – przytaknęła Hawksquill z przekonaniem. – Na pewno.

– Będę potrzebować pomocy – dodała Alice.

Gdzieś za tymi żywopłotami, za zielonymi falami ziemi, na której nowe morze trawy srebrzyło się w promieniach słońca, miał być pagórek.

Alice to pamiętała czy raczej przewidywała. Na pagórku stał dąb spleciony w uścisku z kolczastym krzewem. I był tam też mały domek z okrągłymi drzwiami zaopatrzonymi w miedziany uchwyt. Ale nie trzeba będzie pukać, bo drzwi są otwarte, a dom jest pusty. Czeka tam na nią jakaś rozpoczęta robótka oraz obowiązki, tak niezliczone, tak nowe...

– Będę potrzebowała pomocy – powtórzyła. – O tak.

– Pomogę ci – obiecywała jej kuzynka. – Mogę ci pomóc.

Gdzieś tam, za tymi błękitnymi wzgórzami, jak daleko stąd?

Otwarte drzwi i mały domek, ale wystarczająco duży, żeby pomieścić całą wirującą Ziemię; krzesło, na którym można wykołysać kolejne lata, i stara miotła w kącie do wymiatania wiatru.

– Chodźmy – powiedziała bocianica. – Przyzwyczajmy się do tego. Wszystko będzie dobrze.

– Tak – zgodziła się Alice. Ktoś przecież musi jej pomóc. Nie mogłaby zrobić tego sama. Wszystko będzie dobrze. Ale ciągle stała na skraju lasu, nie będąc w stanie zrobić pierwszego kroku. Stała przez długi czas, czując podmuchy wiatru na twarzy, przypominając sobie wiele rzeczy albo zapominając o nich.

Więcej, o wiele więcej

Smoky Barnable siedział w bibliotece w ciepłym blasku elektrycznych lamp i przewracał raz jeszcze kartki ostatniego wydania Architektury domów wiejskich.

Przez otwarte okna wpływało swobodne, chłodne, świeże powietrze majowej nocy. Resztki zimy zniknęły jak wymiecione nową miotłą.

Wysoko na piętrze, cichutko jak gwiazdy, którego obraz stanowiło, poruszało się stare planetarium. Jego nieznaczny, ale nieustający ruch pobudzał liczne naoliwione, mosiężne koła zębate, napędzał koło zamachowe zamknięte znowu w czarnej skrzynce, ale dostarczające energii do prądnic, które w zamian pozwalały oświetlać dom. I będzie to trwało dopóty, dopóki wszystkie łożyska z kamieni szlachetnych, wszystkie pasy z nylonu i skóry najlepszej jakości oraz spawy z hartowanej stali nie zużyją się, a więc przez długie, długie lata. Dom,

jego dom, odświeżył się, nabrał życia i mocy, jak pod wpływem środka wzmacniającego. Jego piwnice osuszyły się, strychy wywietrzyły, grube pokłady kurzu zostały wessane przez potężny, stary system wentylacyjny, którego istnienia w ścianach domu Smoky wprowadził się domyślał, nie sądził jednak, że kiedykolwiek będzie znowu sprawnie działać. Wydawało się, że nawet trzaskanie sufitu w muzycznym pokoju zaczęło słabnąć, chociaż przyczyna tego była dla Smoky'ego tajemnicą. Smoky naruszył stare zapasy żarówek i tylko jego dom, jako jedyny w promieniu wielu mil, był cały czas oświetlony, przez co przypominał latarnię morską albo westybul sali balowej. Smoky nie robił tego wyłącznie z dumy – chociaż istotnie, był bardzo dumny ze swoich osiągnięć – ale dlatego, że łatwiej było spożytkować tę nieograniczoną energię niż ją gromadzić (i po co właściwie miałby ją gromadzić?) albo unieruchomić całą maszynię.

Poza tym oświetlony dom można było z łatwością odszukać. Gdyby ktoś, kto zabłądził lub odszedł, powracał w bezksiężycową noc, bez trudu odnalazłby w ciemnościach dom.

Odwrócił ciężką stronicę.

To tutaj właśnie opisano ten straszny pomysł jakiegoś mściwego spirytualisty. Oczywiście, po śmierci nie ma żadnego piekła, a tylko postęp ku coraz wyższym poziomom, nie ma wiecznych cierpień, chociaż może odbywać się trudna albo przynajmniej długotrwała reedukacja krnąbrnych lub głupich dusz. Co za wielkoduszność! Ale nie dość było tego, żeby skruszyć opory sceptyków, więc wymyślono ideę, że ci, którzy nie chcą dojrzeć światła w tym życiu, nie ujrzą go również w przyszłym, będą jak ślepcy. Będą snuć się samotnie w wiecznym mroku, podczas gdy wokół nich, pogrążonych w niewiedzy, rozkwitać będzie szczęśliwa wspólnota wszystkich świętych w otoczeniu kwiatów, fontann, wirujących planet i złąknionych dusz wielkich odłączonych.

Samotność.

Było dla niego jasne, że nie pójdzie tam, dokąd wezwano ich wszystkich, jeśli jego pragnienie nie będzie równie silne jak wiara. Ale jak mógłby pragnąć innego świata niż ten? Ciągłe od nowa czytał opisy w *Architekturze*, ale nie znalazł niczego, co mogłoby go przekonać, że znajdzie Tam świat tak samo bogaty, tak samo dziwny, a jednak doskonale znany jak ten, w którym żył teraz.

Tam panuje wieczna wiosna, ale on pragnął również zimowych dni: szarych i deszczowych. Pragnął wszystkiego, nie chciał się niczego wyrzekać. Pragnął własnego ognia na kominku, pragnął zachować swoje wspomnienia i wszystko, co je wywoływało, nie chciał wyrzekać się małych wygod ani nawet kłopotów. Pragnął takiej śmierci, o jakiej często ostatnio rozmyślał, i chciał znaleźć miejsce obok tych, których już pochował.

Podniósł głowę. Pomiędzy lampami odbitymi w szybie lśnił księżyc, który już wzeszedł. Właściwie był to tylko kruchy i blady półksiężyc. Kiedy nadejdzie pełnia, w dzień świętego Jana, wszyscy wyruszą.

Raj. Inny świat.

Nie dbał o to, że opowiadano długą Opowieść, nawet już się nie oburzał, że został wykorzystany do jej celów. Chciał tylko, by ta Opowieść była kontynuowana nieprzerwanie. Obojętnie, jakie siły ją snuły, chciał, by robiły to bez końca. Pragnął zasypiać, słysząc coraz słabszy szmer wypowiedzanych słów, niekończący się nawet wtedy, gdy będzie już w grobie. Nie życzył sobie, by Opowieść porywała go w ten sposób, by zaskakiwała go wielkimi, smutnymi i dręczącymi wydarzeniami, na które nie był przygotowany. Nie życzył sobie, aby zabierała mu żonę. Nie chciał znaleźć się w innym świecie, którego nie potrafił sobie nawet wyobrazić: w małym świecie, na pewno nie tak wielkim jak ten.

A jednak jest wielki – szepnął mu do ucha wietrzyk.

Tamten świat nie może zawierać pór roku w ich całej krasie, wszystkich radości i smutków. Nie może zawierać historii jego pięciu zmysłów i wszystkiego, co dzięki nim odczuwa i wie.

Ale zawiera – zaszumił wietrzyk.

Nie ma tam tego wszystkiego, co tworzy jego świat i zarazem jest więcej.

Oj, więcej – szepnął wietrzyk – więcej, o wiele więcej.

Smoky uniósł wzrok. Firanki poruszyły się.

– Alice? – powiedział.

Wstał, zrzucając ciężką książkę na podłogę. Podeszedł do wysokiego okna i wyjrzał na dwór. W ten mglisty wieczór ogród otoczony murami wyglądał jak ciemny westybul. Za otwartą bramą w murze rozpościerały się łąki oblane światłem księżyca.

Ona jest daleko, tam, tam – szepnął wietrzyk.

– Alice?

Ona jest blisko, tutaj, tutaj – zaszumił wietrzyk. Ale cokolwiek zbliżało się ku Smoky'emu z mglistej ciemności, nie rozpoznał tego. Stał przez długi czas nieruchomo, wpatrując się w noc jak w ludzką twarz, jak gdyby mogła z nim porozmawiać i wyjaśnić wiele spraw. Myślał, że to możliwe, ale słyszał tylko, jak noc wypowiada jedno jedyne imię. A może to on sam je wypowiadał.

Księżyc skrył się za domem. Smoky ruszył powoli na górę do sypialni. Gdy księżyc zaszedł, a blade smugi wskazywały miejsce, gdzie wkrótce miało wzejść śpiące jeszcze słońce, Smoky przebudził się z dziwnym wrażeniem, które często odnoszą ludzie cierpiący na bezsenność, że nie spał ani chwili. Włożył stary, postrzępiony szlafrok z ozdobnymi lamówkami wokół mankietów i kieszeni, po czym wdrapał się na strych, zaświecając po drodze kinkiety w holu, które jakaś bezmyślna osoba zostawiła niezapalone.

Uśpiona maszyna, oświetlona blaskiem planet i świtu, zdawała się pogrążona w bezruchu, tak samo jak poranna gwiazda za okrągłym okienkiem. A jednak się poruszała. Smoky obserwował mechanizm, myśląc o nocy, kiedy przy lampie naftowej odczytał z *Efemeryd* dokładny czas i miejsce wschodzenia gwiazd. Gdy już ustalił czas wzejścia ostatniego księżyca Jowisza, poczuł nieskończenie małe, pierwsze drgnienie maszyny. I usłyszał, jak

pierwsza piłeczka krykietowa wpadła bez niczyjej pomocy do ustawionej miseczki na ramieniu absurdalnego koła. Ocalenie. Pamiętał, co wtedy odczuwał.

Położył dłoń na czarnej skrzynce koła, czując tykanie mocniejsze i bardziej regularne niż bicie własnego serca. Otworzył okienko w dachu, przez które wpłynął do środka radosny śpiew ptaków, i wyjrzał na dwór. Następny ładny dzień. A to taka rzadkość. Zauważył, że z tej wysokości można sięgnąć wzrokiem daleko na południe: widział wieżę w Meadowbrook i dachy Plainfield. Zieleniejące kępki lasów, rozrzuconych pomiędzy miastami, otulała mgielka. Na obrzeżach miast lasy gęstniały, tworząc Dziki Las, na skraju którego leżało Edgewood. Dalej na południu, tam gdzie wzrok już nie sięgał, lasy stawały się jeszcze gęstsze i rozleglejsze.

Tylko odważni

Doszli do serca lasu, ale było to opuszczone królestwo. Nie zbliżyli się do żadnego parlamentu ani do tej, której Auberon poszukiwał, lecz której imię wyleciało mu z pamięci.

– Jak długo można wchodzić w głąb lasu? – spytał Fred.

Auberon znał odpowiedź.

– Tylko przez połowę drogi – odparł. – Potem znowu zaczyna się wychodzić.

– Ale nie z tych lasów – powiedział Fred i zwolnił. Z każdym krokiem wyrывał mech i unosił ciepłą ziemię. Postawił nogę.

– Którędy? – zapytał Auberon. Ale z tego miejsca wszystkie drogi wydawały się jednakowe.

Widział ją. Widział ją parę razy. Widział ją w oddali, jak szła szybko przez ciemny las pełen niebezpieczeństw, najwyraźniej czuła się tu jak w domu. Pewnego razu stała samotnie w cętkowanym cieniu, zadumana (był pewny, prawie pewny, że to była ona), kiedy indziej spieszyła się dokądś, a chmury małych stworzeń kręciły się u jej stóp. Nie spojrzała za siebie i nie widziała go, ale dostrzegło go jedno ze stworzeń o spiczastych uszach, żółtych oczach i pozbawionym wyrazu uśmiechu. Wiecznie się spieszyła, jakby zmierzała w konkretne miejsce. A kiedy ruszał jej śladem, zawsze gubił trop.

Zawołałby ją, gdyby był w stanie przypomnieć sobie jej imię.

Powtarzał kolejne litery alfabetu, żeby pobudzić pamięć, ale wszystko zamieniało się w zeschnięte liście, w skorupy ślimaków, w ślady stóp faunów. Wszystkie litery zdawały się pasować, ale żadna nie przywodziła na myśl jej imienia. I wtedy uciekała, nie zauważywszy go, a on znajdował się w jeszcze głębszym lesie niż przedtem.

Teraz był w samym centrum i tutaj też jej nie było, jakkolwiek miała na imię.

Brazowe piersi? Coś brązowego. Wawrzyn albo pajęczyna, coś w tym rodzaju, jeżyna, coś, co zaczyna się na „b” albo na „c”.

– No nic – powiedział Fred. – Chyba dalej nie idę. – Jego poncho było sztywne i postrzępione, a obcisłe spodnie zupełnie podarte. Palce u nóg wystawały z dziurawych

kaloszy. Spróbował oderwać jedną stopę od podłoża, ale nie mógł. Palce zagarniały ziemię.

– Czekaj – powiedział Auberon.

– Nie dam rady. Mam gniazda drożdów we włosach. Fajowo. Klawo.

– Daj spokój. Nie mogę iść dalej bez ciebie.

– Idę, idę – oznajmił Fred, posuwając się trochę. – Jeszcze idę, prowadzę, tylko się nie ruszam. – Spomiędzy jego wielkich, powykrzywianych palców wyskoczyła gromadka brązowych grzybów. Auberon zadarł głowę wysoko, wysoko, żeby na niego spojrzeć. Palce Freda podwoiły się, potroiły, zamieniły w setki palców.

– Hej, stary – powiedział Fred. – Patrzysz na Boga, kapujesz. Muszę złapać trochę słonka, przepraszam. – Jego twarz przechyliła się do tyłu i zniknęła za pniem, gdy wspinał się na wierzchołek drzewa, obejmując je tysiącem zieleniejących palców. Auberon schwycił plecak.

– No nie – zawołał. – Cholera, nie rób tego.

Usiadł bezradnie u stóp Freda. Teraz na pewno zabłądzi. Co za głupie, szalone pragnienie pchało go tutaj, tutaj, gdzie jej nie było, do tego niczyjego królestwa, w którym nigdy nie postawiła stopy, w którym zapomniał wszystko, co jej dotyczyło, oprócz swego pożądanego? Objął głowę rękoma, zrozpaczony.

– Hej – powiedziało drzewo drewnianym głosem. – Hej, co jest? Znalazłem radę. Słuchaj no.

Auberon podniósł głowę.

– Tylko odważni – oznajmił Fred – Jezu, tylko odważni zasługują na niewiastę.

Auberon wstał. Łzy wyłobily rowki w jego brudnych policzkach.

– Dobrze – powiedział.

Przeczesał palcami włosy, wygarniając z nich martwe liście. On też był zaniedbany, jak gdyby żył w lasach całe lata: miał błoto na mankietach, sok jeżynowy na brodzie, gąsienice w kieszeniach. Oberwaniec.

Będzie musiał zacząć wszystko od początku. Nie był odważny, ale znał fortele. Czy niczego się nie nauczył? Musi to zagarnąć, musi mieć nad tym władzę. Jeśli to opuszczone królestwo, to on zasiądzie na tronie, o ile wymyśli, jak to zrobić, i wtedy nie będzie już zagubiony. Jak?

Tylko za pomocą rozumu. Musi myśleć. Musi zaprowadzić porządek tam, gdzie panuje nieład. Musi ustalić położenie, zrobić listę, ponumerować wszystko i ustawić w szeregu, po kolei. Najpierw jednak powinien zbudować w sercu lasu jakiś obiekt, który pomoże mu ustalić, gdzie jest i co jest czym. Potem może mu się przypomni, kim jest on, który znajduje się tutaj, w centrum, na tronie. A wtedy będzie już wiedział, co powinien zrobić. Musi jakoś zawrócić z drogi i zacząć od początku.

Rozejrzył się dookoła, próbując zgadnąć, które z dróg biegnących do tego miejsca doprowadzą go z powrotem.

Wszystkie albo żadna. Ostrożnie przebiegł wzrokiem obsypane liśćmi, ukwiecone alejki.

Ścieżki, które zdawały się najbardziej oddalać od punktu, zawrócą niezauważenie i przywiodą go znów tutaj. Dobrze o tym wiedział. W lesie panowała pełna wyczekiwania, nabrzmiała ironią cisza, którą przerywały tylko raz po raz krótkie zapytania ptaków.

Usiadł na zwałonym pniu. Nieco w przedzie, na środku polanki, wśród trawy i fiołków wznosił mały kamienny pawilon, wychodzący na cztery strony świata: północ, południe, wschód i zachód. Na każdej ścianie umieścił jedną porę roku: zimą, wiosną, lato i jesień. Od pawilonu rozchodziły się kręte, zwodnicze ścieżki. Posypał je żwirem i obrysował ich brzegi białymi kamieniami. Poprowadził je tak, by wiły się wzdłuż rzeźb, obelisku i domku na słupie, małego łukowatego mostku, grządek tulipanów i liliowców. Wokół tego wszystkiego rozciągnął wielki kwadrat płotu z kutego żelaza. Oparł płot na słupkach zakończonych na kształt strzały i osadził w nim cztery zamknięte bramy.

Tak. Słyszeć nawet ruch uliczny, ale przytłumiony. Podniósł ostrożnie wzrok. Ponad płotem znajdował się gmach sądu w stylu klasycystycznym, otoczony statuami prawodawców. Odrobina gryzącego dymu zmieszała się w nozdrzach Auberona z wiosennym powietrzem. Teraz musi tylko obejść w ściśle określonej kolejności wszystkie części miejsca, które stworzył, i zażądać zwrotu ukrytych tam fragmentów Sylvie.

Fragmentów kogo?

Obraz parku drgnął, ale Auberon umocnił swą budowlę. Najpierw pierwsze miejsce, potem drugie. Jeśli nie zrobi tego poprawnie, nigdy się nie dowie, jakie zakończenie miała ta historia: czy odnalazł ją i przywiódł z powrotem (z powrotem dokąd?), czy stracił ją na dobre? Nie dowie się w ogóle, jaki był, czy jaki będzie koniec. Zaczął od początku: pierwsze miejsce, potem drugie.

Nie. To beznadziejne. Jak mógł przypuszczać, że zatrzymał ją tu jak księżniczkę w wieży? Uciekła. Ona też znała różne fortele. I co właściwie zyskiwał, dźwigając ten bagaż wspomnień? Ją? Z biegiem czasu wspomnienia przemieszały się i zblakły. Były teraz bardziej niekompletne niż wtedy, kiedy je tam ukrył. To nie miało sensu. Wstał z ławki w parku, szukając po kieszeniach klucza od bramy. Małe dziewczynki, które grały w klasy na ścieżce, zerkały na niego z lękiem, gdy szedł do wyjścia.

Zamki. Właśnie takie jest to przeklęte miasto, pomyślał, wyciągając klucz: same zamki, rzędy, skupiska, grupy zamków na brzegu wszystkich drzwi i kieszenie przytłoczone kluczami jak dusza grzechami. Niekończące się otwieranie i zamykanie drzwi. Pchnął ciężką bramę, rozwierając oba jej skrzydła, jakby to były drzwi więzienia. Na słupku wzniesionym z czerwonego kamienia i utrzymanym w stylu rustykalnym wisiała tablica, a na niej widniał napis: „Mouse Drinkwater Stone 1900”. Od bramy biegła ulica, po której obu stronach stał nieprzerwany rząd kamienic. Spowita dymem i hałaśliwa, ginęła gdzieś na horyzoncie pomiędzy niewyraźnymi zarysami zamków, świadczących o dawnej potęgę.

Ruszył przed siebie. Ludzie mijali go w pośpiechu – mieli dokąd zdążyć – on zaś kroczył powoli i bez celu. Z bocznej ulicy wyszła w aleję Sylvie, niosąc pod pachą paczkę i stawiając

szybkie kroki. Oddalała się od niego.

Wydawała się mała i samotna, ale zarazem pewna siebie w tym szalonym mieście, które było jej królestwem. I jego. Widział jej oddalające się plecy. Zostawał w tyle. Ale przynajmniej teraz podążał wreszcie we właściwym kierunku. Otworzył usta i przypomniał sobie jej imię. Miał je cały czas na końcu języka.

– Sylvie – zawołał.

Całkiem blisko

Usłyszała go, miała wrażenie że ktoś zawołał dobrze znane imię. Zwolniła kroku i odwróciła się nieznacznie. To było imię, które coś jej przypominało. Czy to ptak zaćwierkał, przywołując samiczkę? Spojrzała w górę na liście skapane w słońcu. A może wiewiórka zwoływała swych przyjaciół i krewnych? Jedna z nich pędziła właśnie i zastygła nagle na moment na gruzłowatych korzeniach dębu, a potem odwróciła się i spojrzała na nią. Dziewczyna szła dalej pod baldachimem wysokich drzew, mała, samotna, ale pewna siebie. Bose stopy śmigały szybko pomiędzy kwiatami.

Szła szybko, bo miała daleką drogę do przebycia. Skrzydła, które jej wyrosły, nie były prawdziwymi skrzydłami, ale jednak ją niosły. Nie przystawała, żeby się zabawić, chociaż kuszono ją przyjemnościami, a wiele stworzonek zachęcało do pozostania. „Później, później” – mówiła wszystkim i spieszyła dalej ścieżką, która rozwijała się przed nią dzień po dniu i noc po nocy.

On przyjdzie, pomyślała, wiem o tym, zjawi się na pewno. Może nie będzie mnie pamiętał, ale przypomnę mu, zrozumie. Pod pachą niosła podarunek dla niego, który wybrała po długim namyśle. Trzymała go mocno i nie pozwalała, by ktokolwiek ją wyręczył, chociaż wielu oferowało jej pomoc.

A jeśli go tam nie będzie?

Nie, na pewno będzie, żaden bankiet nie miałby dla niej znaczenia, gdyby jego tam zabrakło, a przecież obiecano jej, że odbędzie się bankiet. Wszyscy się na nim zjawią i on na pewno też. Tak! Najlepsze miejsce, najsmakowitsze kąski, będzie go sama karmiła tylko po to, żeby móc patrzeć na jego twarz. Będzie taki zdziwiony! Czy się zmienił? Na pewno, ale ona go pozna. Nie miała co do tego wątpliwości.

Noc ją prześcignęła. Wszedł księżyc, już prawie w pełni, i mrugał do niej: przyjście! Gdzie właściwie jest? Przystanąła i wsłuchała się w mowę lasu. Blisko, blisko. Nie знаła tego miejsca, a to był znak. Nie chciała iść dalej, nie mając pewnych wskazówek. Jej zaproszenie było jasno sformułowane i nie musiała się nikim przejmować, ale... Wdrapała się na sam wierzchołek wysokiego drzewa i rozejrzała po okolicy oblanej światłem księżyca.

Stała na skrajku lasu. Nocny wietrzyk poruszał delikatnie liśćmi drzewa. W oddali, a może blisko, w każdym razie za dachami miasta i wieżą otuloną blaskiem księżyca, ujrzała dom: dom rześcicie oświetlony, wszystkie jego okna były jasne. Znajdowała się całkiem blisko.

Zróbcie miejsce, zróbcie miejsce

Tej nocy pani Underhill obrzuciła ostatnim spojrzeniem ciemny i czysty dom, stwierdzając, że wszystko jest jak należy. Wyszła na dwór i popatrzyła na tarczę księżyca. Wyjęła z przepastnej kieszeni żelazny klucz, po czym zamknęła drzwi i wsunęła go pod wycieraczkę.

Zróbcie miejsce, zróbcie miejsce, pomyślała, zróbcie miejsce. Teraz wszystko należało do nich. Bankiet został przygotowany, wszystkie miejsca czekały. Wyglądało to bardzo pięknie i niemal żałowała, że nie weźmie w nim udziału. Ale teraz, kiedy przybył stary król, który zasiądzie na wysokim tronie (nie wiedziała dokładnie, kiedy to nastąpi), nie pozostało jej nic więcej do zrobienia.

Kiedy człowiek znany jako Russell Eigenblick wreszcie się zjawił, zadał jej tylko jedno pytanie, i to ledwo zsiadł z konia:

– Dlaczego?

– Dlaczego, na miłość boską – powiedziała pani Underhill. – Dlaczego, dlaczego. Dlaczego na świecie potrzebne są trzy płcie, kiedy jedna nic nie daje? Dlaczego istnieją dwadzieścia cztery rodzaje snów, a nie dwadzieścia pięć? Dlaczego zawsze jest parzysta liczba biodronek na świecie, dlaczego jest nieparzysta liczba widzialnych gwiazd? Drzwi trzeba otworzyć, szczeliny rozepchnąć siłą, potrzebny był klin i ty spełniłeś tę rolę. Musi zapanować zima, żeby mogła nadejść wiosna. Ty byłeś zimą. Dlaczego? Dlaczego świat jest taki, jaki jest, a nie inny? Gdybyś znał odpowiedź, nie stałbyś tu i nie zadawał tego pytania. Uspokój się. Masz swoje szaty i koronę? Czy wszystko jest tak, jak lubisz, przynajmniej z grubsza? Rządź mądrze i dobrze. Wiem, że będziesz rządził długo. Pozdrów ich ode mnie, kiedy przybędą złożyć ci hołd jesienią. I, proszę, nie zadawaj im trudnych pytań. Mają już tego dość. Przez te wszystkie lata musieli znaleźć odpowiedzi na wiele takich problemów.

Czy to wszystko? Rozejrzała się wokół siebie. Była już spakowana. Jej niesamowite kufry i kosze zostały wysłane wcześniej razem z tymi silnymi i młodymi, którzy wyruszyli jako pierwsi. Czy zostawiła klucz? Tak, pod wycieraczką. Dopiero co. Ale z niej zapominalska. Czy to wszystko?

Ach, pomyślała, pozostała jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Chodź z nami albo zostań

– Wyruszamy – powiedziała, kiedy bladym świtem stanęła na wysuniętej skale nad stawem w lesie. Pieśń wodospadu rozbrzmiewała nieprzerwanie. Światło księżyca załamywało się na powierzchni wody, a młode listki i kwiaty, niesione z prądem, kotłowały się w jej wirach. Wielki, biały pstrąg o różowych oczach i ciele, na którym nie widniała ani jedna plamka czy pasek, wypłynął niespiesznie na powierzchnię, usłyszawszy słowa pani

Underhill.

– Wyruszać? – powtórzył.

– Możesz iść z nami albo zostać – oznajmiła pani Underhill. – Tak długo tkwiłeś po tej stronie Opowieści, że decyzja należy teraz do ciebie.

Pstrąg nic nie odrzekł, niewymownie zatrwożony. W końcu pani Underhill, zniecierpliwiona smutnym spojrzeniem jego wytrzeszczonych oczu, zapytała ostro:

– No więc?

– Zostaję – powiedział szybko.

– Bardzo dobrze – stwierdziła pani Underhill, która byłaby zdziwiona, gdyby odpowiedział inaczej. – Wkrótce – dodała – przybędzie tu młoda dziewczyna (właściwie jest teraz starszą panią, ale nieważne, ty znałeś dziewczynę). Zajrzy w głąb stawu. To będzie ta, na którą tak długo czekałeś, i nie zmyli jej twoja postać. Zajrzy w głąb stawu i wypowie słowa, dzięki którym będziesz wolny

– Naprawdę? – spytał Dziadek Pstrąg.

– Tak.

– Dlaczego?

– Na miłość boską, ty stary głupcze – powiedziała pani Underhill i z taką siłą uderzyła łaską w skałę, na której stała, że drobinki granitu posypały się do wody i wzburzyły jej powierzchnię. – Ponieważ historia się kończy.

– Och – westchnął Dziadek Pstrąg. – Kończy się?

– Tak. Kończy się.

– Czy nie mogłoby zostać tak, jak jest? – zapytał.

Pochyliła się, patrząc na ciemny, srebrzysty kształt w wodzie.

– Tak jak jest? – powtórzyła.

– Tak – odparła ryba. – Przyzwyczailem się. Wcale nie pamiętam tej dziewczyny.

– Nie – odparła pani Underhill po namyśle. – Nie, nie może tak zostać. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Wyprostowała się. – Umowa jest umową – oświadczyła, odwracając się. – Nie mam z tym nic wspólnego.

Dziadek Pstrąg odpłynął do ukrytych jam porośniętych wodorostami. W głębi serca bardzo się lękał. Wspomnienia, wbrew jego woli, powracały szybko. Ona, ale która ona to będzie? I czy nie mógłby ukryć się przed nią, gdy przybędzie tu po to, by wypowiedzieć słowa, jedyne słowa, które poruszą jego zimne serce (zamknąłby oczy, żeby nie dopuścić do siebie tej wiedzy, gdyby tylko miał powieki)? A jednak nie mógł odejść. Nadeszło lato, przynosząc bogactwo pożywienia. Wzburzone potoki niesione przez wiosnę zasiliły jego staw i stał się on znowu dobrze znanym schronieniem. Nie odejdzie. Podniecony, poruszył płetwami, czując, że jego cienką skórę przebiegają dreszcze, jakich nie zaznał od dawna. Skrył się głębiej w swojej jamie, mając nadzieję, że jest dość głęboka, żeby się w niej schować, a jednocześnie wątpiąc w to.

– Już czas – powiedziała pani Underhill, kiedy wstał świt.

– Już czas – powtórzyły zgodnym chórem jej liczne dzieci, znajdujące się blisko i daleko. Te, które były blisko, zgromadziły się wokół niej.

Położyła dłoń na czole i obserwowała tych, którzy już wyruszyli: karawany ciągnęły się doliną w stronę świtu, niknąc na horyzoncie. Pan Woods wziął ją pod ramię.

– Długa droga – powiedział. – Bardzo długa droga.

Dłuższa, pomyślała, niż droga przebyta przez tych, którzy zjawili się tu w ślad za nią, ale nie tak trudna, bo dobrze znana: będą fontanny, przy których można się odświeżyć, i rozległa kraina, o której tak często marzyła.

Książę miał trudności z wdrapaniem się na dychawicznego konia, ale z pomocą innych w końcu tego dokonał. Siedząc w siodle, uniósł słabą dłoń, a tłum zawiwatował. Wojna była skończona, a nawet więcej: odeszła w niepamięć. Wygrali. Pani Underhill, podpierając się laską, ujęła wodze konia. Wyruszyli.

Zostaje

Sophie wiedziała, że jest to najdłuższy dzień w roku, ale nie rozumiała, dlaczego nazywano go środkiem lata¹⁵, skoro lato dopiero się zaczęło. Może dlatego, że w tym dniu po raz pierwszy wydawało się, iż lato nigdy się nie skończy. Nikt nie był w stanie wyobrazić sobie nadejścia jakiegokolwiek innej pory roku. Nawet odgłos zamykania i otwierania drzwi z siatką przeciwko owadom oraz zapach holu, do którego weszła, nie wydawał się nowy. Zupełnie jakby nigdy się nie zmieniał.

A przecież mogłoby się zdarzyć, że to lato wcale by nie nadeszło. To Daily Alice sprawiła, że zawitało. Sophie była tego pewna. Odwaga jej siostry uchroniła ich przed wieczną zimą. Dzięki temu, że wyruszyła pierwsza, mogli powitać ten dzień. Powinien być kruchy i nietrwały, a jednak okazał się najprawdziwszym letnim dniem, jaki Sophie kiedykolwiek przeżyła, być może nawet najprawdziwszym letnim dniem od czasów jej dzieciństwa. To przekonanie ożywiało ją i dodawało otuchy. Przez długi czas wcale nie znajdowała w sobie dość odwagi, ale teraz, kiedy odczuwała wszędzie obecność Alice, sądziła, że potrafi i musi być odważna. Ponieważ właśnie dzisiaj wyruszą.

Dzisiaj wyruszą. Serce w niej rosło na tę myśl i przycisnęła mocniej do piersi torbę wydzierganą na drutach, która stanowiła cały jej bagaż. Nie wiedziała, co jeszcze miałyby ze sobą zabrać. Planowanie, rozmyślanie, odczuwanie na przemian nadziei i strachu wypełniło bez reszty jej czas od dnia spotkania w Edgewood, ale tylko niekiedy uświadamiała sobie, co ją czeka.

Można by powiedzieć, że zapomniała to odczuwać. Jednak doskonale wiedziała, co robi.

¹⁵ Midsummer Day (ang.) – dosł. dzień w środku lata, ang. określenie 24 czerwca, dzień Świętego Jana (przyp. tłum.).

– Smoky?! – zawołała.

Imię odbiło się echem w wysokim holu pustego domu. Wszyscy zgromadzili się na zewnątrz: w ogrodzie otoczonym murem, na werandach, w parku. Przybywali tam od rana, przynosząc to, co ich zdaniem mogło okazać się przydatne w czasie podróży. Byli gotowi do takiej drogi, jaką sobie wyobrażali. Popołudnie miało się ku końcowi i czekali na jakieś wskazówki od Sophie. Ona zaś poszła poszukać Smoky’ego, który w takich sytuacjach był zawsze pod ręką – zarządzał wszystkim, gdy wyruszali na pikniki czy wycieczki.

Gdyby tylko potrafiła sobie wmówić, że wyruszają na piknik albo wycieczkę, na wesele lub na pogrzeb czy też na wakacje, to wiedziałaby dokładnie, jak sobie poradzić ze wszystkim i robiłaby po prostu to, co należy, tak jakby wiedziała, dokąd jada. Zrobiłaby tyle, ile zdoła, resztę pozostawiając innym.

– Smoky? – zawołała ponownie.

Znalazła go w bibliotece, chociaż gdy zajrzała tam po raz pierwszy, wcale go nie dostrzegła. Zasłony były zaciągnięte, a on siedział nieruchomo w dużym fotelu z wielką księgą na kolanach. Ręce miał splecione, a głowę opuszczoną, jakby wpatrywał się w podłogę u swoich stóp.

– Smoky? – Weszła do środka z lękiem. – Wszyscy są gotowi, Smoky – powiedziała. – Czy dobrze się czujesz?

Podniósł na nią oczy.

– Ja zostaję – oświadczył.

Stała przez chwilę jak wryta, nie będąc w stanie pojąć sensu jego słów. W końcu odłożyła torbę (znajdował się w niej stary album ze zdjęciami, pęknięta figurka z porcelany, przedstawiająca bociana dźwigającego na grzbiecie nagie dziecko i starą kobietę, oraz dwie inne rzeczy, powinny się w niej znaleźć karty, ale oczywiście ich tam nie było) i podeszła do Smoky’ego.

– Co ty mówisz? Nie – zaprotestowała. – Nie.

– Ja nie idę, Sophie – powtórzył obojętnie, tak jakby po prostu nie miał ochoty nigdzie jechać, po czym utkwiał spojrzenie w swoich splecionych rękach.

Sophie wyciągnęła do niego dłoń i otworzyła usta, żeby się sprzeciwić tej decyzji, ale zrezygnowała. Uklękła przy nim i spytała łagodnie:

– Co to ma znaczyć?

– No cóż – odparł, nie patrząc na nią. – Ktoś powinien zostać, prawda? Ktoś tu powinien być, żeby zająć się wszystkim. To znaczy na wypadek... na wypadek, gdybyście chcieli wrócić, czy coś w tym rodzaju. To w końcu mój dom.

– Smoky – powiedziała i położyła dłoń na jego rękach. – Smoky, musisz iść, musisz!

– Nie, Sophie.

– Tak! Nie możesz nie pójść, nie możesz, co my zrobimy bez ciebie?

Spojrzał na nią, zaintrygowany tym wybuchem. Wydawało mu się, że taki argument jest

zupełnie nie na miejscu. Co my bez ciebie zrobimy? Nie wiedział, jak na to zareagować.

– Nie mogę – rzekł.

– Dlaczego?

Westchnął głęboko.

– Po prostu nie mogę... – Przesunął dłonią po czole i dodał: – Nie wiem, po prostu...

Sophie przeczekwała te wstępy. Przypomniało jej to sytuację sprzed wielu, wielu lat, kiedy takie wstępy poprzedzały powiedzenie najgorszej rzeczy. Zaciśnęła wargi i milczała.

– Odejdźcie Alice – ciągnął – było już wystarczającym złem. Widzisz – poruszył się w fotelu – widzisz, Sophie, ja nigdy nie byłem częścią tego, sama wiesz. Nie mogę... To znaczy... Miałem tyle szczęścia, naprawdę. Nigdy bym nie pomyślał, kiedy jako dziecko przybyłem do miasta, że spotka mnie w życiu tyle szczęścia. Nie byłem po prostu do tego stworzony Ale ty i Alice... przyjęłyście mnie. To było tak, jakbym się dowiedział, że odziedziczyłem milion dolarów. Nie zawsze to rozumiałem, a może tak, może rozumiałem, czasami uważałem pewnie, że tak musi być. Jednak w głębi duszy wiedziałem. Byłem wdzięczny. Nie potrafię nawet wyrazić jak bardzo. – Ucisnął jej dłoń. – W porządku, w porządku. Ale teraz kiedy Alice odeszła... Chyba zawsze wiedziałem, że musi coś takiego zrobić, wiedziałem przez cały czas, ale nigdy się nie spodziewałem, że to jednak nastąpi. I wiesz, Sophie, ja się do tego nie nadaję, nie jestem do tego stworzony. Chciałem spróbować, naprawdę. Ale potrafię tylko myśleć, że utrata Alice jest już wystarczającym złem. A teraz mam utracić was wszystkich. Nie mogę, Sophie. Po prostu nie mogę.

Sophie ujrzała łzy zbierające się w jego oczach, wymykające się spod zwiotczałych, różowych powiek. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek zobaczy taką scenę. I z całego serca chciała go zapewnić, że wcale wszystkiego nie straci, że to, co zostawia, jest nieważne, bo w zamian otrzyma o wiele więcej, a szczególnie Alice. Ale nie ośmieliła się, bo jakkolwiek w jej przekonaniu była to prawda, nie mogła tego powiedzieć Smoky'emu, ponieważ on nie uważał tego za prawdę, a i ona sama nie miała całkowitej pewności, czy nie skłamałaby. A jeśli tak, to najstraszniejsze kłamstwo nie mogłoby być bardziej okrutne. Jednakże obiecała Alice, że bez względu na okoliczności przyprowadzi Smoky'ego, i nie mogła sobie wyobrazić, że miałaby wyruszyć bez niego. Nie była jednak w stanie nic powiedzieć.

– No nic – odezwał się i wytarł twarz dłonią.

Sophie, nie wiedząc, co począć, przytłoczona smutkiem, wstała. Nie potrafiła jasno myśleć.

– Ale – powiedziała bezradnie – ten dzień jest zbyt piękny, to po prostu taki piękny dzień...

Podeszła do ciężkich zasłon, które nie wpuszczały światła dziennego, i odsunęła je. Słońce ją niemal oślepiło, ale pomimo to zobaczyła wielu ludzi w ogrodzie, zgromadzonych wokół kamiennego stolika pod bukiem. Niektórzy zadarli głowy. Dziecko zastukało od zewnątrz w okno, chcąc, żeby je wpuściła. Sophie otworzyła okno, a Smoky przyglądał się tej

scenie, nie wstając z fotela. Lilac przeskoczyła przez parapet, zerknęła na splecione ręce Smoky'ego i zapytała:

– O co chodzi?

– Och, dzięki ci za to – powiedziała Sophie, a uczucie ulgi aż ją osłabiło. – Dobrze, że jesteś.

– Kto to jest? – spytał Smoky.

Sophie zawahała się, ale tylko przez moment. Były kłamstwa i kłamstwa.

– To twoja córka – oznajmiła. – Twoja córka Lilac.

Kraina zwana Opowieścią

– **Dobrze – Smoky zaprzestał oporu i rozrzucił ręce jak człowiek, którego przyszli aresztować. – Dobrze, dobrze.**

– Och, świetnie – ucieszyła się Sophie. – Och, Smoky.

– Będzie wesoło – zapewniała Lilac. – Zobaczysz. Sam się zdziwisz.

Został ostatecznie pokonany, ale należało się tego spodziewać. Nie miał przecież przeciwko nim żadnych argumentów. Potrafili doprowadzić nawet do tego, żeby dawno zaginiona córka stanęła przed nim i prosiła go; żeby przypomniawszy o danym kiedyś słowie. Nie wierzył, by Lilac potrzebowała ojcowskiej opieki. Przypuszczał, że nie potrzebowała absolutnie nikogo i niczego, ale nie mógł złamać obietnicy, że się nią zaopiekuje.

– Dobrze – powtórzył, usiłując nie patrzeć na rozradowaną twarz Sophie. Przeszedł po bibliotecę i pozapalał wszystkie lampy.

– Ale pospiesz się – popędziła go Sophie. – Żeby nie zapadła noc.

– Pospiesz się – powtórzyła Lilac, ciągnąc go za rękę.

– Poczekajcie chwileczkę. Muszę zabrać parę rzeczy.

– Och, Smoky! – zawołała Sophie, tupiąc nogą.

– Spokojnie – powiedział. – Wstrzymajcie się.

Wyszedł do holu i pozapalał lampy i kinkiety, po czym ruszył na górę, a Sophie deptała mu po piętach. Obszedł po kolei wszystkie sypialnie na piętrze, zapalając światło, rozglądając się, a Sophie stała niecierpliwie za jego plecami.

Wyjrzał przez okno i zobaczył w dole tłum ludzi. Popołudnie miało się ku końcowi. Lilac zadarła głowę i machała mu dłonią.

– Okay, okay – zamruczał. – Dobrze.

Kiedy znalazł się w pokoju swoim i Alice, pozapalał wszystkie lampy i stał tam przez chwilę, ciężko oddychając i tłumiąc gniew. Co, u diabła, trzeba zabrać w taką podróż?

– Smoky... – powiedziała Sophie od drzwi.

– Cicho, Sophie – przerwał jej i wysunął szuflady.

Czysta koszula, zmiana bielizny. Poncho, na wypadek deszczu. Zapalki i nóż. Mały

szczyryk z nocnego stolika. *Metamorfozy*. Tak.

W co to wszystko włożyć? Uświadomił sobie, że już od tak wielu lat nigdzie się z tego domu nie ruszał, iż nie ma nawet walizki. Gdzieś w piwnicy albo na strychu leży pewnie plecak, z którym przybył do Edgewood, ale nie miał pojęcia, w którym dokładnie miejscu należałoby go szukać. Otworzył na oścież drzwi od szafy. W pokoju stało z pół tuzina szaf z drewna cedrowego, a rzeczy jego i Alice i tak nigdy nie były w stanie zapełnić całej tej przestrzeni. Pociągnął za sznurek od lampki, jego fosforyzujące końcówki przypominały robaczki świętojańskie. Kątem oka dostrzegł swój kremowy garnitur ślubny od Trumana. Pod nim, w kącie... tak, może to się nada, ciekawe, że stare rzeczy tkwią gdzieś w zakamarkach szafy, nie miał pojęcia, że to tu jest. Wyciągnął torbę podróżną. Była to stara, nadgryziona przez myszy torba podróżna ze skórzanymi uchwytami.

Smoky otworzył ją i zajrzał do jej ciemnego wnętrza, poddając się dziwnym przecuciom, a może przelotnym wspomnieniom. Torba była pusta. Uderzył go w nozdrza stęchły zapach, przypominający woń zeschniętych liści albo starych koronek, albo ziemi pod kamieniem, którego nikt nigdy nie podnosił.

– To się nadaje – powiedział miękko. – To się chyba nadaje.

Włożył do torby swoje rzeczy. Zniknęły niemal w jej przepastnym wnętrzu. Co jeszcze powinien zabrać?

Zastanawiał się nad tym, trzymając otwartą torbę: może naszyjnik albo kapelusz ciężki jak korona, może dubeltówkę, termos herbaty z rumem, płatek śniegu, książkę o domach, książkę o gwiazdach, obrączkę. Stał mu w pamięci obraz drogi między Meadowbrook i Highland. Wizja była tak żywa i konkretna, że ugodziło go to jak cios sztyletem. Zobaczył wyraźnie Daily Alice, tak jak wyglądała tamtego dnia, wtedy, kiedy odbywali podróż poślubną, dnia, kiedy zabłądził w lasach. Słyszał jak mówi: „Chronione”. Zamknął torbę.

– Dobrze – powiedział. Schwycił skórzany uchwyt. Torba była ciężka, ale dźwigał ją z łatwością, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Odnosił wrażenie, że bez tego obciążenia nie byłby w stanie utrzymać równowagi, nie potrafiłby nawet chodzić.

– Gotowy? – spytała Sophie od drzwi.

– Gotowy – potwierdził. – Chyba.

Zeszli razem na dół. Smoky przystanął jeszcze w holu, żeby przycisnąć kremowe włączniki światła. Zapłonęły lampy w holu, na werandach i w piwnicy. Potem wyszli na dwór. Aaach, wszyscy zgromadzeni jednocześnie wydali głębokie westchnienie. Lilac przywołała ludzi, którzy tłoczyli się w parku, w ogrodzie i na werandach oraz klombach, przed front domu. Stańli naprzeciw drewnianej werandy, przy której kończyła się zachwaszczona aleja. Jej początek wyznaczały kamienne kolumny przy bramie, zwieńczone kulkami szarych, kamiennych pomarańcz.

– Cześć, cześć – powiedział Smoky.

Jego córki: Tacey, Lily i Lucy, oraz ich dzieci podeszły do niego, uśmiechając się.

Wszyscy wstali i popatrzyli po sobie. Tylko Marge Juniper nie ruszyła się ze swojego miejsca na schodach werandy. Nie chciała wstawać, jeśli nie było to konieczne, ponieważ nadal nie wiedziała, jak daleka droga ją czeka. Sophie spytała Lilac:

– Poprowadzisz nas?

– Tylko kawałeczek – odparła dziewczynka. Stała w środku zgromadzenia, zadowolona, ale też nieco zalekniona, nie była bowiem pewna, czy wszyscy dotrwiąją do końca i miała za mało palców, żeby ich policzyć. – Przez część drogi.

– Czy pójdziemy tamtędy? – zapytała Sophie, wskazując na kamienne kolumny przy bramie.

Wszyscy się odwrócili i spojrzeli w stronę, którą wskazywała. Zacykały pierwsze świerszcze. Jerzyki przecinały powietrze, którego błękitna barwa zaczęła przybierać zielonkawy odcień. Oddech stygnącej ziemi sprawiał, że droga za bramą była spowita mgiełką. Smoky zastanawiał się, czy to właśnie w chwili, gdy po raz pierwszy skręcił przy tych kamiennych kolumnach, padł na niego urok, który odtąd już zawsze miał go w swej mocy. Ręka, w której trzymał torbę, zaczynała mrowić, ale Smoky nie odebrał ostrzegawczego sygnału.

– Jak to daleko, jak to daleko? – pytali Bud i Blossom, trzymając się za ręce.

Czy to było owego dnia? Wtedy gdy przybył do Edgewood, żeby już nigdy go nie opuścić? A może stało się to wcześniej lub później? W gruncie rzeczy nie chodziło przecież o to, żeby dowiedzieć się, kiedy dokładnie po raz pierwszy padł na niego urok lub kiedy poddał się nieświadomie temu czarowi, ponieważ zdarzało się to niejedną raz. Urok padał na niego kilkakrotnie, zaklęcia następowały jedno po drugim, w zgodzie ze swym własnym porządkiem. Każde jedno wywoływało następne i żadnego nie można było cofnąć. Nawet sama próba rozwikłania tej łańcucha przyczynowo-skutkowego, lecz tylko serię odsłon. Przypominały raczej chińskie pudełko, w którym każdy element znajduje się w innym elemencie i powiększają się one z każdym następnym krokiem. To jeszcze nie był koniec. Właśnie miał wkroczyć do następnego ciągu pudełek: nieskończonych, lejkowatych, pochłaniających. Zatrwożony perspektywą nieprzerwanych zmian, Smoky cieszył się tym, że przynajmniej niektóre rzeczy stanowią pewnik: wśród nich na pierwszym miejscu stawał miłość Alice. To właśnie ku niej zmierzał, tylko miłość Alice mogła go skłonić do podjęcia tej podróży. Czuł, że pozostawia ją za sobą, a jednocześnie niesie w swym sercu.

– Pies będzie na nas czekać – powiedziała Sophie, biorąc go za rękę. – I przeprawimy się przez rzekę.

Coś drgnęło w sercu Smoky'ego, kiedy schodził z werandy: przecucie lub znak objawienia.

Wszyscy ruszyli ku bramie, dźwigając torby i dobytek, rozmawiając przyciszonymi głosami. Ale Smoky przystanął, uświadomiwszy sobie, że nie wyjdzie na zewnątrz tą samą

drogą, którą tu wszedł. Po prostu nie może wyjść przez tę bramę. Zbyt wiele padło zakłęb. Brama nie była już tą samą bramą i on też się zmienił.

– Długa droga – powiedziała Lilac, ciągnąc matkę za rękę.

– Długa, bardzo długa droga przed nami.

Mijali Smoky'ego, trzymając się za ręce, dźwigając pakunki, ale on nie ruszał się z miejsca. Był gotów rozpocząć podróż, lecz nie zrobił ani jednego kroku.

W dniu ślubu on i Daily Alice spacerowali pomiędzy gośćmi, którzy rozsiedli się na trawie. Wielu wręczało im podarunki i wszyscy mówili: dziękuję. „Dziękuję”, bo naprawdę chciał podjąć to zadanie, nie przeciwstawiać się tokowi wydarzeń, przeżyć życie w taki sposób, jak pragnęli ci, w których istnienie nigdy za bardzo nie wierzył. Chciał ofiarować samego siebie po to, by doprowadzić do zakończenia Opowieści, w której nie odgrywał żadnej roli. I tak też uczynił i nadal tego pragnął, jednak nie było powodu, żeby mu za to podziękować. Może nie zdawali sobie z tego sprawy, lecz on doskonale rozumiał, iż Daily Alice stanęłaby przy jego boku owego dnia i poślubiła go niezależnie od tego, czy wybrali go dla niej, czy też nie. Postąpiłaby wbrew ich woli, żeby być z nim. Nie miał co do tego wątpliwości.

Wyprowadził ich w pole. Nieważne, co się teraz stanie: czy dotrze do miejsca, do którego wyruszali, czy też nie, czy uda się z nimi, czy zostanie w tyle, on już i tak ma swoją opowieść. Ma ją w rękach. Niech się skończy, i tak nie mogą mu jej zabrać. Nie mógł pójść tam, dokąd zmięrzają pozostali, ale to nie miało znaczenia, był tam bowiem przez cały czas. I dokąd w takim razie wszyscy oni zdużają?

– Och, rozumiem – powiedział, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust.

Małe drgnienie zapoczątkowało w jego sercu dziwny proces, który się pogłębiał. Czuł, że jego serce otwiera się coraz bardziej, że przepływają przez nie wielkie podmuchy wieczornego powietrza, jerzyki, pszczoły i malwy. Bolało tak, że już nie odczuwał bólu. Jego serce wchłonęło Sophie i córki, i również syna Auberona oraz wielu zmarłych. Wiedział, jaki będzie koniec Opowieści i kto się tam znajdzie.

– Twarzą w twarz – powiedziała Marge Juniper, mijając go. – Twarzą w twarz. – Ale Smoky słyszał jedynie wiatr objawienia szalejący w jego duszy. Tym razem nie uda mu się przed nim uciec. Dojrzał Lilac w obłoku błękitnej mgiełki. Dziewczynka odwróciła się i obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Poznał po wyrazie jej twarzy, że się nie myli.

Opowieść była już skończona. I właśnie do tego miejsca podróżowali. Wystarczy jeden krok, żeby się tam znaleźć. Właściwie już tam byli.

– Z powrotem tam – usiłował powiedzieć, nie będąc w stanie odwrócić się we właściwą stronę, z powrotem tam, z powrotem w miejscu, w którym czekał oświetlony dom, park i werandy, ogród otoczony murem i aleja wiodąca do niekończących się łądów, drzwi do słońca. Gdyby tylko mógł się teraz odwrócić (ale nie mógł, nie miało to znaczenia, ale nie mógł), to odkryłby, że znajduje się naprzeciw letniego domku, a na balkonie stoi Alice i

pozdrawia go, zsuwając z ramion brązową suknię i ukazując swą nagość przyćmioną cieniem liści. Daily Alice – jego oblubienica, wybranka serca, bogini krainy, którą zostawili za sobą, na której granicy stali, krainy zwanej Opowieścią. Gdyby tylko był w stanie dotrzeć do tych kolumn przy bramie (ale nigdy mu się to nie uda), odkryłby, że skręca w aleję w dniu świętego Jana, podczas gdy pszczoły bzykają wśród malw, a stara kobieta siedzi na werandzie, pochylona nad rozłożonymi kartami.

Stypa

Sylvie szła w stronę domu, który ujrzała z wierzchołka drzewa, a nad jej głową lśnił olbrzymi, nabrzmiały księżyc w pełni. Im bardziej zbliżała się do tego domu, tym bardziej zdawał się on oddalać. Musiała pokonać kamienne ogrodzenie i przejść przez bukowy las. Następnie przeprowić się przez strumień czy raczej wielką rzekę, płynącą wartko i połyskującą złotym światłem księżyca. Przez długą chwilę Sylvie siedziała na brzegu rzeki, aż wreszcie postanowiła zrobić łódkę z kory. Szeroki liść zastępował żagiel, a niteczki pajęczyny i lupiny żółodzi służyły do czerpania wody. W końcu Sylvie udało się przybić do drugiego brzegu, chociaż niewiele brakowało, a pochłonęłaby ją ciemna otchłań wzburzonej rzeki. Gdy zeszła na ląd, jej oczom ukazał się kamienny dom, olbrzymi jak katedra. Ciemne cisy, które go otaczały, zdawały się wskazywać w jej kierunku, werandy podparte kamiennymi kolumnkami nie zachęcały do wejścia. A Auberon zawsze opowiadał, że to radosny dom!

W chwili gdy pomyślała, że chyba nigdy nie dojdzie do domu, a jeśli nawet dojdzie, to będzie taką drobinką, że wpadnie pomiędzy szczeliny w chodniku, przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Oprócz szmeru chrząszczy i pisku kozodojów dobiegła jej uszu ponura, ale jednocześnie radosna i uroczysta muzyka. Ruszyła w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Muzyka nie stawała się głośniejsza, lecz jakby nabierała głębi. W puszystym poszyciu rozblęły światła procesji, która otoczyła Sylvie, ale możliwe, że były to tylko robaczki świętojańskie i nocne kwiaty, tworzące jakby pochod, w którym sama kroczyła. Zdziwiona, z sercem przepelnionym muzyką, podeszła do miejsca, w którym zbiegały się światła. Przeszła przez portal, a niektórzy podnieśli wzrok, żeby zobaczyć jej wejście. Stawiała stopy wśród uspionych kwiatów alei wiodącej do miejsca, w którym zgromadziło się już wielu, a następni nadciągali nieprzerwanym strumieniem. Pod kwitnącym drzewem stał stół przykryty białym obrusem. Ustawiono na nim liczne nakrycia, a jedno w samym środku przeznaczono dla niej. Tylko że to nie był bankiet, nie taki bankiet, jak myślała. To była stypa.

Onieśmielona i zasmucona na równi z tymi, którzy oplakiwali czyjaś śmierć, stała przez długą chwilę nieruchomo. Pod pachą trzymała mocno prezent dla Auberona i wsłuchiwała się w ciche odgłosy rozmów. Wtem na końcu stołu ktoś się odwrócił, a jego czarny kapelusz opadł do tyłu. Gdy ją ujrzał, pokazał w uśmiechu białe zęby. Podniósł w jej stronę filizankę i pomachał dłonią na powitanie. Uradowana jego widokiem bardziej, niż mogła przypuszczać,

przeciskała się przez ciżbę. Wiele par oczu zwróciło się na nią. Wreszcie uściśnęła go, a łyzy uwieźły jej w gardle.

– Hej – wykrztusiła – Hej.

– Hej – powiedział George. – Teraz są już wszyscy.

Nie wypuszczając go z objęć, rozejrzała się wśród tłumu biesiadników: przybyły całe tuziny. Wszyscy uśmiechali się albo płakali, albo sączyli napoje z filizanek. Jedni mieli na głowach korony, inni byli okryci futrami lub piórami (bocian, lub stworzenie bardzo podobne do niego, zanurzał swój długi dziób w wysokiej filizance, zerkając z obawą na szczerzącego zęby lisa, który siedział obok niego). Znalazło się tam miejsce dla wszystkich.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Sylvie.

– Rodziną – odparł George.

– A kto umarł? – wyszeptwała.

– Jego ojciec – wyjaśnił George i wskazał na człowieka, który siedział przygarbiony, trzymając przy twarzy chusteczkę. W jego włosach tkwił liść. Człowiek odwrócił się nieco, głęboko wzdychając. Trzy kobiety, które mu towarzyszyły, wpatrywały się w Sylvie i uśmiechały tak, jak gdyby ją znały. Po chwili zwróciły go twarzą w jej stronę.

– Auberon – powiedziała Sylvie.

Wszyscy obserwowali ich spotkanie. Sylvie nie potrafiła nic powiedzieć, a na twarzy Auberona lśniły jeszcze łyzy żalu i jemu również brakowało słów, więc wzięli się tylko za ręce. Aach, wyrwało się z wielu piersi. Muzyka zmieniła się, Sylvie uśmiechnęła się, a oni odwzajemnili jej uśmiech. Ktoś przyozdobił głowę dziewczyny białym, pachnącym kwieciem z drzewa świętojańskiego zwieszającego się nad stołem, po czym ukoronował tak samo Auberona. Wzniesiono toasty, radosny gwar mieszał się z dźwiękami muzyki. Brązową ręką, na której widniał pierścienek, Sylvie starła łyzy z twarzy swego księcia.

Księżyc poześlował w stronę świtu, a stypa przerodziła się w gwarne przyjęcie weselne. Ludzie ruszali w tany albo siedzieli, jedząc i popijając.

– Wiedziałaś, że tu będziesz – powiedziała Sylvie. – Wiedziałaś.

Prawdziwy podarunek

Ponieważ Auberon miał całkowitą pewność, że Sylvie jest tu teraz z nim, zapomniał o tym, iż do niedawna nie wiedział jeszcze, czy ją tu spotka.

– Ja też byłem tego pewien – powiedział. – Ale... – dodał – dlaczego jakiś czas temu... – nie miał pojęcia, jak dawno to było: kilka godzin temu czy może wieki całe – nie zatrzymałaś się i nie odwróciłaś, kiedy zwołałem cię po imieniu?

– Naprawdę wołałaś mnie po imieniu?

– Tak. Widziałem cię. Oddalałaś się. Zwołałem: „Sylvie!

– Sylvie? – Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i rozbawieniem. – Ach, Sylvie – powiedziała wreszcie. – No tak, zapomniałam. To było tak dawno temu. Oni nigdy mnie tak

nie nazywają. Nigdy.

– A jak cię nazywają?

– Inaczej – odrzekła. – Używają przezwiska, które miałam w dzieciństwie.

– Jakiego?

Powiedziała mu.

– Och – wyszeptał. – Och.

Roześmiała się, widząc jego minę. Nalała do filiżanki pieniącego się napoju i podała mu naczynie. Wypił posłusznie.

– Posłuchaj – powiedziała. – Chcę usłyszeć o wszystkich twoich przygodach. O wszystkich. Chcesz wiedzieć, co działo się ze mną?

Wszystko, pomyślał. Po wypiciu miodowego likieru Auberon zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło się z nią dziać, jak gdyby wszystko miało się dopiero wydarzyć, a on miał w tym uczestniczyć. Czy ona tam była? Czy była w tym królestwie, w ich królestwie, przez cały czas? Czy on tam był? Jakie miał przygody? Wszystkie zniknęły, stały się pomieszanyymi strzępkami, w chwili gdy o nich pomyślał. Były tak niewyraźne i nierealne jak ponura przyszłość, w momencie gdy stawała przed nim otworem jak sławiona w legendach przeszłość.

– Powinienem był wiedzieć – powiedział ze śmiechem. – Powinienem był wiedzieć.

– Tak – zgodziła się. – To początek. Zobaczysz.

To nie była jedna historia, ale tysiąc historii, tak trudnych do zakończenia jak do rozpoczęcia. Roześmiani tancerze rozdzielili ich. Nie odrywał od niej wzroku, wiele rąk wyciągało się do Sylvie, liczne stworzenia kręciły się u jej stóp, a ona uśmiechała się serdecznie do wszystkich. Pił, rozpalony, a stopy aż rwały mu się do tańca w rytm starej melodii. Czy może jeszcze – pomyślał, patrząc na nią – sprawić mi ból? Dotknął podarunku, który w czasie biesiady umieściła na jego skroniach: były to dwa piękne, szerokie, ostre i wspaniale skrzycone rogi, ciężkie i wyzywające jak korona.

Pomyślał o sobie i Sylvie. Miłość nie była łaskawa, nie zawsze, raczej wypalająca. Wypalała dobroć tak samo jak żal. Byli teraz jak dzieci, które zdobyły władzę, ale kiedyś dorosną. Ich kłótnie przysłonią księżyc i obudzą przerażające, dzikie żywioły, jesienne burze. Tak, tak się stanie, już tak się działo, to nie miało znaczenia.

To nie ma znaczenia, to nie ma znaczenia. Jej ciotka była czarownicą, ale jego siostry królowały w ciemnościach i przestworzach. Ich podarunki już kiedyś pomogły i jeszcze nieraz pomogą. Odziedziczył po ojcu słabość niewiary, ale mógł wziąć siłę od matki.

Nagle, jakby odwracał strony niekończącego się zbioru powieści, który przeczytał już dawno temu, ujrzał tysiące jej dzieci, całe ich pokolenia, większość z nich jego. Straci ich ślad, spotka je ponownie, ale będą mu obce, będzie je kochał, będzie kłamał, walczył z nimi, zapominał o nich. Tak! Chcąc opisać ich historie i historie, które dały im początek, kronikarze stępią mnóstwo piór. Nudne, błyskotliwe lub smutne wspomnienia wyczynów, bałów,

przywdziewanych masek, klątw, którymi się obrzucano, i jej pocałunku, który udaremnił te klątwy, historie ich długiej rozłąki, jej zniknięć i przebrań (starowina, zamek, ptak: przewidział lub pamiętał wiele z nich, ale nie wszystkie), ponownych spotkań i czułego bądź lubieżnego połączenia. To będzie spektakl dla wszystkich, trwający bez końca. Roześmiał się pełną piersią, pojmując, że tak właśnie będzie. Przecież miał dar do tego, prawdziwy dar.

– Widzisz? – powiedziało czarne drzewo świętojańskie, zwieszające się nad stołem biesiadnym, drzewo, z którego zerwano kwiecie zdobiące głowę Auberona zwieńczoną rogami.

– Widzisz? Tylko odważni zasługują na niewiastę.

Jest blisko, tuż-tuż

Tancerze wirowali wokół księcia i księżniczki, zakreślając szeroki krąg na zroszonej trawie. Gdy zbliżał się świt, robaczki świętojańskie zaczęły zataczać wielkie koła, latając posłusznie za palcem Lilac, którym dziewczynka wodziła w ciemnościach. Aaach, westchnęli wszyscy goście.

– To dopiero początek – powiedziała Lilac do matki. – Widzisz? Tak, jak ci mówiłam.

– Tak, ale Lilac – rzekła Sophie – okłamałaś mnie. To, co mówiłaś o traktacie pokojowym i spotkaniu z nimi twarzą w twarz, to była nieprawda.

Opierając łokieć na zaśmieconym stole, a policzek wspierając na dłoni, Lilac uśmiechnęła się do matki.

– Naprawdę? – spytała takim tonem, jakby nie mogła sobie tego przypomnieć.

– W żywe oczy – powtórzyła Sophie, spoglądając na biesiadników. Jak wielu gości przybyło? Policzyłyby ich, ale tak się kręcili, nikt nie widział w skrzących się ciemnościach. Pomyślała, że niektórzy przybyli tu nieproszeni, na przykład ten lis, ten ponury bocian, na pewno ten niezręczny jelonek, który sunął niezdarnie pomiędzy przewróconymi filiżankami, wystawiając czarne rożki. Tak czy owak nie musiała liczyć, żeby dowiedzieć się, ilu ich było. Tylko... – A gdzie jest Alice? – spytała. – Alice powinna tu być.

Jest blisko, tuż-tuż – zaszeptał wietrzyk, przepływając między gośćmi.

Sophie zasmuciła się żałobą Alice. Muzyka znowu zmieniła ton, towarzystwo ogarnął posępny nastrój.

– Zawołajcie drozda, rudzika i strzyżyka – powiedziało drzewo świętojańskie, zrzucając białe płatki jak łzy na stół biesiadny.

Zefirki zamieniły się w poranne podmuchy i rozwiały dźwięki muzyki.

– Nasza uczta skończona – oznajmiło drzewo świętojańskie.

Alice odsunęła białą dłoń smutny księżyc, jakby był tylko chmurką, i niebo przybrało błękitny kolor. Jelonek spadł ze stołu, biedronka odfrunęła do domu, robaczki świętojańskie zgasiły swoje latarnie, filiżanki i naczynia posypały się ze stołu jak liście z drzew, pierzchając przed nadchodzącym dniem. Alice wracająca z pogrzebu – nikt oprócz niej nie wiedział,

gdzie odbyła się uroczystość – wkroczyła między nich jak nagły brzask, a jej łzy były niczym wonna, poranna rosa. Przełękali łzy i byli zdumieni jej obecnością. Zaczynali zbierać się do odejścia, ale nikt nie powiedziałby potem, że nie obdarowała go uśmiechem i nie uszczęśliwiła błogosławieństwem, kiedy się żegnali. Wzdychali, ziewali, po czym brali się za ręce i w parach lub trójkami odchodzili tam, dokąd ich wysyłała: w góry, na pola, do strumieni, lasów, do czterech żywiołów ziemi, do ich nowo stworzonego królestwa.

Następnie Alice poszła tam sama, mijając miejsce, gdzie na wilgotnej ziemi został zakreślony ślad ich tanecznego kręgu, a jej spódnica zgarniała wilgoć z połyskującej trawy. Pomyślała, że gdyby tylko mogła, to zatrzymałaby dla niego ten letni dzień, ten jeden jedyny dzień. Ale on nie chciałby, żeby tak postąpiła, a poza tym nie była w stanie tego zrobić. Mogła jednak uczynić z tego dnia dzień jej rocznicy, pełen wspaniałego blasku. Będzie to poranek tak nowy, popołudnie tak nieskończone, że cały świat zapamięta je na wieki.

Kiedyś dawno temu

Blask lamp, które Smoky zostawił zapalone, zbladł tego dnia całkowicie. W nocy rozbłysły znowu i świeciły już odtąd każdej nocy. Deszcze i wiatry wpadały do środka przez otwarte okna, których zapomnieli pozamykać. Letnie burze spryskały zasłony i koce, wichury szarpały drzwiami od szaf, porozrzucały papiery. Mole i robaki znalazły dziury w siatkach na drzwiach i umierały uszczęśliwione wraz z przepalonymi żarówkami, ale nie umarły całkowicie, pozostawiły bowiem swe potomstwo w kocach, narzutach i obiciach. Nadeszła jesień, choć wydawało się to niemożliwe. W lecie jesień była tylko mitem, pogłoską, plotką nie do uwierzenia. Opadłe liście przysypały werandy, wdzierały się do środka przez otwarte drzwi, które stawiały beznadziejny opór wiatrowi, lecz w końcu zawisły bezwładnie na zawiasach i przestały bronić dostępu do domu. Myszy objęły we władanie kuchnię. Koty opuściły dom, poszukując bardziej cywilizowanych warunków życia, i spiżarnia należała wyłącznie do myszy i wiewiórek, które wymościły sobie legowiska w zatęchłych łózkach. Planetarium nadal działało, bezmyślnie i radośnie obracając planety, i dom nadal jaśniał jak latarnia morska lub westybul sali balowej. Zimą światła odbijały się na śniegu, a dom przypominał pałac z lodu. Śnieg hulał w pokojach i osiadał wielkimi czapami na kominach. Lampa na werandzie przepaliła się.

W owych dniach opowiadano opowieści o domu, który był oświetlony, otwarty i niezamieszkały. Opowiadano też inne historie. Ludzie przenosili się z miejsca na miejsce, a życie stało się tak uciążliwe, że opowieści były wszystkim, czego chcieli słuchać, jedyną rzeczą, w którą wierzyli.

Opowieść o jasno oświetlonym, czteropiętrowym domu z siedmioma kominami, trzystu sześćdziesięcioma pięcioma stopniami schodów, pięćdziesięcioma dwoma drzwiami dotarła daleko. Wszyscy byli wtedy wędrowcami. Powiązano ją z drugą historią: o innym świecie i rodzinie, której imiona wielu znało, której dom był obszerny, a gościły w nim radości, smutki

i szczęście. Kiedyś wydawało się ono wieczne, ale przyszedł jednak jego kres. Dla ludzi, którzy śnili o tej rodzinie tak często, jakby była ich własna, te dwie historie stopiły się w jedną. Dom można było odnaleźć. Wiosną zgasły lampy w pokoju muzycznym i w piwnicach.

Ludzie w ruchu, historie biorące początek z sennych marzeń i szeptane przez nieroztropnych aktorów do uszu spragnionych słuchaczy. Kiedyś musi nastąpić ich kres. Historie stające się na powrót sennym marzeniem, które nawiedza ludzi za dnia. Historie opowiadane wciąż od nowa. Ludzie wiedzieli, że istnieje dom zbudowany z czasu, i wielu wyruszyło, aby go odszukać.

Można go było znaleźć. Oto on: na końcu zachwaszczonej alei dojazdowej, skąpany w ciepłym deszczu, jaśniejący blaskiem wielu lamp. Obojętnie jak długo go poszukiwano, jego widok był zaskakujący i nieoczekiwany, głównie z powodu niezliczonych świateł. Dom z chybotliwymi schodami prowadzącymi na werandę i drzwiami zapraszającymi do środka, zamieszkały przez małe zwierzątka, które tak długo nim władały, dzieląc tę kryjówkę jedynie z deszczem i wiatrem, iż uznały, że to miejsce należy wyłącznie do nich. Na podłodze w bibliotece, przy jednym z krzeseł, leży ciężka książka odwrócona okładką do góry, zniszczona i przesiąknięta wilgocią. I jest w tym domu wiele innych pokoi, z których okien rozciąga się widok na deszczowy ogród, na park i wiekowe drzewa: obojętne i coraz starsze. I wiele drzwi, którymi można wejść, i skrzyżowania wielu korytarzy biegnących w różne strony, kończących się przy drzwiach wyjściowych. Wcześniej zapadający i niosący zapomnienie zmierzch nie pozwala odróżnić, która droga wiedzie do środka, a która na zewnątrz.

Wybierz drzwi, zrób krok. Grzyby obrodziły dzięki wilgoci, w ogrodzie jest ich pod dostatkiem. Tam także płoną światła, tam – w ogrodzie oblanym zmierzchem. Drzwi w murze stoją otworem, a srebrzysty deszcz szybuje ponad parkiem, którego skrawek można przez nie zobaczyć. Czyj to pies...?

Żarówki wypalały się jedna po drugiej, jak ludzie kończący długie życie. I dom pogrążał się w ciemnościach, dom zbudowany niegdyś z czasu, a obecnie z kapryśnej aury. Trudno go odszukać i trudno o nim marzyć, gdy nie rozświetlają go setki lamp. Żywot opowieści jest dłuższy, lecz tylko wtedy, gdy stają się jedynymi opowieściami. W każdym razie to wszystko działo się dawno temu. Świat, który znamy, jest taki, jaki jest, nie inny. Jeśli kiedykolwiek były takie czasy, gdy przejścia, bramy i granice stały otworem i wielu je przekraczało, to na pewno było to dawno temu. Świat jest teraz starszy. Nawet pogoda nie jest już taka, jaką pamiętamy z dawnych lat. Ostatnio nie zdarzają się już takie letnie dni jak dawniej, nie ma tak białych obłoków jak wtedy, ani traw tak wonnych oraz cienia tak głębokiego i pełnego obietnic, jaki pamiętamy. Wszystko to bywało dawno temu.